

A u g u s t a D o c h e r

HABBATUM
WĘDROWCY

Augusta Docher

Habbatum

Projekt okładki: *Dorothea Bylica*

Copyright © INFOBIS Rafał Głab
Copyright © Wydawnictwo BIS 2016

ISBN 978-83-7551-499-5

Wydawnictwo BIS
ul. Łędzka 44a
01-446 Warszawa
tel. 22 877-27-05, 22 877-40-33; fax 22 837-10-84

e-mail: bisbis@wydawnictwobis.com.pl
www.wydawnictwobis.com.pl

Skład wersji elektronicznej: Tomasz Szymański

virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Prolog

Rozdział 1: Czarny pokój

Rozdział 2: List, który nabił w butelkę

Rozdział 3: Sojusznicy

Rozdział 4: Bitwa o Annę

Rozdział 5: Jej wybór

Rozdział 6: Pamiętaj, że Kocham

Rozdział 7: Idą święta...

Rozdział 8: Nie ma nas

Rozdział 9: Ucieczka z raj

Rozdział 10: Spowiedź

Scena I: Drugi dzień pobytu: wypad do centrum

Scena II: Siódmy dzień pobytu: sanna

Scena III: Jedenasty dzień pobytu: wypadek

Rozdział 11: Grande Finale

Scena IV: Dwunasty dzień pobytu: Grande Finale

Rozdział 12: Mur

Rozdział 13: Prawda

Rozdział 14: Mój przyjaciel Wróg

Rozdział 15: Wyprawa

Rozdział 16: Córeczka

Rozdział 17: Jeszcze jeden cud

Epilog

Przypisy

Prolog

Cierpliwość jest cnotą. Równie pożądaną, co trudną do osiągnięcia. Na szczęście przez całe moje długie życie nie traciłam zbyt wiele czasu, tutaj również nie zamierzałam. Gdy nie marnuje się ani minuty, bycie cierpliwym przychodzi znacznie łatwiej.

Często rozglądałam się po moim więzieniu. Uroczy pokoik... – myślałam, parszkając zduszonym śmiechem. Tygodnie spędziłam w celi do złudzenia przypominającej salkę sekcijną w szpitalu, w którym pracowałam lata temu. Białe ściany połyskujące beznamiętnie i szepczące: Jesteś sama i to się nie zmieni...

Może i ktoś słaby duchem usłyszałby ich natrętne głosy, ale nie ja. Ja słyszałam jedynie cichy szczełk cyfrowych zamków, monotonne buczenie wody krążącej w rurach, czasami echo rozmów dobiegające z korytarza lub zza ściany. Skupiałam wzrok na wyciągniętych przed siebie nogach. Gdy przez dłuższą chwilę patrzyło się na wściekle pomarańczowe nogawki więziennego stroju, a potem szybko zamknęło oczy, pod powiekami falowało fioletowe morze.

– *Purple, violet, violent...* – mamrotałam wtedy do siebie.

Bawiłam się grą słów, to zawsze mnie relaksowało.

Nie miałam powodów do narzekania. Dbali o mnie, czasami aż nadto. Pierwszy miesiąc kosztował ich najwięcej, drugi podobnie: oślepiające światło trwało bez końca, całą dobę wylewało się z sufitu, zupełnie jak w niebie przedstawianym w hollywoodzkich produkcjach. Co dwie minuty w kwadratowym okienku pojawiała się twarz bez wyrazu. Jedyne, co było w niej ludzkie, to oczy. Sprawdzające, czy żyję.

Dwie osoby, istoty w niczym nieprzypominające kobiet, androgeniczne twory w paskudnych uniformach wyprowadzały mnie na spacer, czyli czterdzieści sześć okrążeń po małym placyku. Rewidowały kilka razy na dobę, zaglądały w każdy zakamarek celi i mojego ciała. Nie omieszkałam się odwzajemnić. Z odrazą patrzyłam, jak pieszczą się w palarni dla strażników. Kiedyś rzuciłam im w twarz obelgę, a jedno z nich oddało mi ręką.

Gdy usłyszałam, że wyrok w mojej sprawie zapadnie dopiero za rok,

wkurzyłam się. Może dlatego nieco złagodzili warunki. Dotarło do nich, że nie jestem kłopotliwym więźniem. I że nie zamierzam ze sobą skończyć. Nastaly noc i dzień. Codziennie przynoszono książki, mogłam wybrać jedną. Po czterech miesiącach znałam prawie wszystkie. Poprosiłam o nowości i dostawałam je. Jedna z nich została moją przepustką do wolności. Cieniutka jak mgiełka pary na butelce szampana i wąska niczym ślad po spływającej z niej kropli metalowa blaszka tkwiła grzecznie wewnątrz grzbietu książki. A tę schowałam w równie wąską szczelinę między ścianą a posadzką.

Wiedziałam, komu zawdzięczam to wszystko. Mój papuga z urzędu, śmieszny człowieczek o komicznie obrzękniętej twarzy: Jeffrey Reed... Na mój widok ślinił się nawet przez skórę. Niestety, taki nieudolny adwokacina jak on nie był w stanie nic zrobić. Miałam zostać tu na zawsze. Zaakceptowałam ten fakt, bo ich „na zawsze” zasadniczo różniło się od mojego „na zawsze”. Tylko ja decydowałam, ile będzie trwało. Nic na tym parszywym świecie nie jest za darmo. Musiałam obiecać temu obrzydliwemu knurowi, że gdy za niecały rok zasłużę na jedną marną godzinę w prywatnym pokoju, spędzę ją z nim. Podsunął mi oświadczenie. Podpisałam, uroczo się przy tym uśmiechając.

Mając wyjście awaryjne, poczułam się znacznie lepiej. Jeff załatwił zmianę strażników. Teraz zajmowali się mną wyłącznie mężczyźni. Czasami musiał wystarczyć jeden, bo moje koleżanki często sprawiały kłopoty. Szybko wytypowałam ofiarę. Nigdy nie lubiłam zwykłych, normalnych, szczęśliwych ludzi. Z takimi zawsze był problem. Bob Tyler był kandydatem idealnym: trzydziestopięciolatek, zazdrosny psychopata, fizyczny mięśniak, psychiczny mięczak, mieszkający w niewielkim domku na obrzeżach San Quentin.

Byłam zniesmaczona, obserwując jego wyczyny niegodne dzentelmena. Prał po twarzy śliczną Lucy, a jej włosy fruwały wtedy razem z nią, ale sama była sobie winna. Po co znosiła towarzystwo tego palanta? Bo ją utrzymywał? Biedaczka potrafiła osłodzić swój nędzny los. Sąsiad zawsze był pod ręką. Gdy tylko Bob odjeżdżał zdezelowanym ffordem, kawaler John Feig – księgowy w małej spółce handlowej – spacerkiem pokonywał podwórko, a chwilę później równie leniwie eksplorował młode ciało sąsiadki, po czym zostawiał dwudziestodolarowy banknot na szafce nocnej stojącej przy małżeńskim łożu Tylerów.

Zaprzyjaźniłam się z Bobem. Rozmawialiśmy. Chwaliłam jego muskulaturę. Wiedziałam, że co najmniej trzy godziny dziennie ćwiczy z zapałem w swojej

przydomowej siłowni. Pasjonował się wędkarstwem, książkami o UFO, stawiał pasjansa, czasem grał na komputerze, znałam jego ulubioną drużynę bejsbolową, wiedziałam, na kogo głosował w ostatnich wyborach, co zjadał ze smakiem, a czego nienawidził.

Szybko znaleźliśmy nić porozumienia.

– Czemu my się wcześniej nie spotkaliśmy? Ech, Goldie – tak mnie nazywał – moje życie jest takie zasrane... Byłabyś świetną żoną, nie to co Lucy. Lubisz to samo co ja... – sapał, ze złością plując na wysypany żwirem spacerniak.

Kiedyś powiedziałam mu w największej tajemnicy, że widzę przyszłość. Kilka dni układałam bajeczkę o tym, jak to wujek Sam trzyma mnie w zamknięciu, bo jestem bardzo niebezpieczna, i że wkrótce na polecenie tajnych służb zostaną zlikwidowana. Płakałam, jęcząc, że nie chcę umierać. Mówiłam, że tylko on może odwrócić mój los. Oczywiście na początku Bob nie uwierzył, ale gdy któregoś dnia szepnęłam mu na ucho: „Zwolnij się zaraz po rozpoczęciu dniówki, jedź do domu, a zastaniesz swoją żonę puszczającą się z tym łachudrą Feigiem”, prawie zemdłał. Natychmiast spytał, skąd wiem, jak nazywa się jego sąsiad. Odpowiedź mogła być tylko jedna: „Mówiłam ci, Bob, jestem jasnowidzem”.

Nie uwierzył. Zawłókł mnie do celi i przez tydzień go nie widziałam. Oczywiście tylko on tak sądził. Zmiękł po tygodniu. Wpadł rano i burcząc pod nosem, kazał mi podać kolejny termin schadzki. Gdy wytłumaczyłam, że dzieje się tak prawie codziennie, no może oprócz dni, w których Lucy miesiączkowała, popadł w stupor. Tym razem posłuchał.

Ułożyłam się wygodnie i z ogromną satysfakcją obejrzałam dramat pod tytułem „Trójkąt w domu Tylerów”. Bob zgłosił się nazajutrz. Stwierdził, że nie wytrzyma i zabije Feiga oraz niewierną żonę. Nie odwodziłam go od tego pomysłu, za to przekazałam kolejną informację: „Potrafię przewidzieć numery w każdej loterii, w jakiej tylko zechcę wygrać. Ty zrobisz coś dla mnie, a ja się odwdzięczę”. Strzeliłam w dziesiątkę. Plan był prosty. Bob pomoże mi zwać, później wpadnie na chwilę do domu załatwić swoje sprawy z Lucy i Johnem, a następnie uciekamy do Meksyku i żyjemy jak królowie: on i jego Goldie. Niczego się nie obawiał, przecież wszystko byłam w stanie przewidzieć i uchronić nas przed złapaniem.

Opracowałam ucieczkę w każdym detalu. Znałam więzienie lepiej niż którykolwiek jego dyrektor. Na pamięć wykułam kody do wszystkich przejść. Imiona i nazwiska strażników recytowałam wyrwana ze snu. Wytypowałam

jedną z pracujących tu kobiet. Młoda Mary Kozlowsky była do mnie najbardziej podobna zarówno z figury, jak i twarzy. Podglądałam ją godzinami, a później mamrotałam cicho, żeby zapamiętać jej idiotyczne i prymitywne powiedzonka oraz gesty.

Bob próbował przemycić mapkę całego kompleksu. Ustąpił, gdy opowiedziałam mu ze szczegółami, jak wyglądają szafki w męskiej przebieralni. Patrzył na mnie jak na Boga.

Gdy nadszedł odpowiedni moment, cieszyłam się jak dziecko.

Mój pomocnik się spisał. O drugiej w nocy zaprowadził do kantorka służb porządkowych niczego niepodejrzewającą Mary. Uderzył ją pałką w głowę, obezwładniając na dobry kwadrans. Knebel ze skarpetki i uprzednio naszykowane sznury załatwiły resztę. Bez skrupułów zostawił nagą i nieprzytomną dziewczynę. Solidnie skrępowana i skutecznie uciszona, przeleżała kilka ładnych godzin za zablokowanymi drzwiami, zanim odnalazły ją sprzątaczkę. I tak miała szczęście: zabroniłam Tylerowi ją zabić. Wytłumaczyłam, a on uwierzył, że tak będzie lepiej. Później według moich wskazówek załatwił kwestię oświetlenia, również awaryjnego. Opracowanie planu, by czasowo je unieruchomić, zajęło mi sporo czasu. Udało się. Wybuchnęłam śmiechem, gdy w całym więzieniu na pięć minut zapanowały egipskie ciemności.

To nam wystarczyło. Jak na szpilkach czekałam na mojego wybawcę. Minutę później Bob wpadł do celi. Przebrałam się błyskawicznie. Niestety, zabrał służbową broń Mary, pozostawiając wiszącą u pasa pustą kaburę. Opuściliśmy celę, idąc ramię w ramię i świecąc przed sobą służbowymi latarkami. Nikt nie zwrócił uwagi na moją opuszczoną „komnatę”. We wszechogarniającym chaosie czuliśmy się bezpiecznie. Każde drzwi stały przede mną otworem. Wystarczyła karta strażnika i znajomość wszystkich kodów. Niezaczepiani, wyszliśmy poza teren zabudowań. Później przejazd przez bramę służbowym samochodem. Jeden z przystojniaków krzyknął do mnie: „Mary, obiecałaś mi łaskę!”. Odpowiedziałam mu spod opuszczonej nisko czapki z daszkiem: „Zmień dilerę, a świat stanie się lepszy”. Stare powiedzonko sierżant Kozlowsky wywołało jak zawsze salwę śmiechu. Trochę byli zdziwieni, co robię w samochodzie razem z Tylerem, ale ten zgrabnie się wytłumaczył.

Co było najlepsze? Bob zachowywał się spokojnie i bez najmniejszych objawów stresu. Żartował, podśpiewywał, w radiu grała muzyka. Ale jak

mogło być inaczej? Czuł się bezpiecznie u mojego boku, przecież w każdej sekundzie mogłam przewidzieć przyszłość i nas ochronić. Cóż za łatwowierny idiota! Do samego końca nie mogłam w to uwierzyć.

Mój bohater wypłacił z konta wszystkie swoje oszczędności. Łatwo go przekonałam, że musimy mieć coś na start. Kilka kilometrów za miastem stanęliśmy. W przydrożnych zaroślach czekał nowo zakupiony samochód, choć lepszym określeniem byłoby: „nowo zakupiony grat”. W bagażniku kłębiły się damskie i męskie ciuchy oraz kilka par obuwia. Wszystko używane, kupione w sklepie z odzieżą z drugiej ręki, jak kazałam. Znow musiałam zmienić garderobę, ale tym razem nie byłam sama. Zdjęłam piaskowy mundur, zrzuciłam więzienny podkoszulek i stanęłam w samej bieliźnie.

– Hej... przystojniaczku... – zagadałam do Boba, żwawo zdejmującego spodnie.

Nie spostrzegł, kiedy zdążyłam się prawie cała rozebrać. Zastygł z wrażenia. Obeszłam go i zatrzymałam się za umięśnionymi plecami.

– Jesteś wyjątkowo apetyczny, masz świetny tyłek – stwierdziłam zgodnie z prawdą. Nie zauważył, że podczas gdy jedną dłoń miałam zajęętą intensywnymi pieścizotami, drugą delikatnie wyjmowałam z kabury służbową broń. Na szczęście dla Tylera koniec żywota jeszcze nie był mu pisany.

– Przekłęte zasady! – westchnęłam w duchu, biorąc zamach pistoletem.

Bob nie stracił przytomności. Zadrżał, ale ciągle stał na lekko ugiętych nogach. Miał wyjątkowo odporną łepetynę, choć to akurat było do przewidzenia. Od zawsze myślałam o nim Twardogłowy.

– Goldie... – jęknął z wyrzutem, więc błyskawicznie poprawiłam.

Tym razem podziałało.

Skuty kajdankami ocknął się zaledwie minutę później. Zapobiegawczo zastosowałam ten sam manewr, który mu podsunęłam przy planowaniu ucieczki.

– Dobrze, że masz dwie stopy – burknęłam, patrząc jak dławi się własną, obrzydliwie przepoconą skarpetką. – Dzięki za wszystko. Jestem zobowiązana, ale nie miałam innego wyjścia...

Szybko dokończyłam zmieniać garderobę. Założyłam ciasnawe czółenka i poprawiłam nieco zburzoną fryzurę. Wyjęłam portfel Boba i ogołociłam z pieniędzy. Karty i dokumenty przełamałam na pół, wsunęłam z powrotem, po czym silnym rzutem posłałam całość w okoliczne zarośla. Taki sam los planowałam dla telefonu komórkowego, ale po kilku sekundach zastanowienia

uznałam, że chwilowo może się przydać, choćby dla zmylenia pościgu. Służbowy colt Boba trafił do tej samej kieszeni, w której szeleściły banknoty i dzwonił bilon.

Jeszcze raz rzuciłam okiem na Tylera. Leżał z zamkniętymi oczami i płakał. Musiał wiedzieć, że go nie zabiję. Głupcy wyczuwają instynktownie własną śmierć. Coś we mnie drgnęło, gdy tak się rozczulił nad sobą. W końcu to jemu zawdzięczałam wolność, a za dobrze wykonaną usługę się płaci. Nawet takim patałachom i naiwniakom.

Wyjęłam komórkę i znalazłam numer telefonu stacjonarnego kochasia pięknej Lucy. Nie odbierał. Po trzeciej próbie się udało.

– Halo... – Miał zaspany głos.

– Posłuchaj, Feig... – nie bawiłam się w zbędne uprzejmości – od dzisiaj nie tkniesz Lucy Tyler ani żadnej innej mężatki. Jeśli to zrobisz, cała dzielnica dowie się, co trzymasz w piwnicy i jak lubisz się zabawiać. Twój kierownik pierwszy. Powiem mu o randkach z jego żoną. Wiem wszystko, obserwujemy cię od dawna. Tyler wkrótce trafi za kratki. On też się nam naraził. Powiesz jego żonie, że ma go odwiedzać, w przeciwnym razie spotka ją coś strasznego. I niech wreszcie pójdzie do pracy i definitywnie skończy się puszczać – dodałam, krztusząc się ze śmiechu. – Teraz leć i przekaz jej to wszystko.

Rozłączyłam rozmowę i schowałam komórkę z powrotem.

– Już wiesz, dlaczego nie pozwoliłam, żebyś zatłukł Kowalsky? – spytałam, choć bez gwarancji, że Bob mnie słyszy i rozumie. – Miałeś farta, idioto, a twoja Lucy już nigdy nie pójdzie w tango. Gwarantuję.

Gdy odjeżdżałam, zobaczyłam w lusterku wstecznym, jak Bob powoli wstaje i zaczyna biec w stronę, z której przyjechaliśmy.

– Dzięki, przyjacielu – powiedziałam cicho.

Byłam wolna...

Rozdział 1

Czarny pokój

Czułem się zupełnie jak w Wye jeszcze kilka dni temu: oczy wlepione w sufit, w głowie pustka, a w sercu rozdzierający ból. I pytanie tłukące się po czaszce: dlaczego? Dlaczego znów straciłem Annę? Czy ten koszmar nigdy się nie skończy? Najtragiczniejsze *déjà vu*, jakie mogło być moim udziałem...

– Leż – warknął Kris, gdy tylko spróbowałem sięgnąć po wodę.

– Nic mi nie jest.

– Nie cwaniakuj, bo cię odwiozę z powrotem.

Po głosie poznałem, że Kris nie żartował. Siedział tuż obok i coś czytał.

– Nie mogę tak leżeć! – Podniosłem się na przedramionach. – Muszę jej szukać! Zaraz mnie szlag trafi w tym łóżku! Róbmy coś, Kris!

Chyba go sprowokowałem, bo z trzaskiem zamknął książkę i rzucił nią na podłogę. Przez moment mierzyliśmy się wzrokiem.

– Posłuchaj! – podniósł głos. – Obiecałem lekarzowi, że będziesz odpoczywał, i mam zamiar dotrzymać danego słowa! Jeszcze raz powtórzę, ty uparty idioto: uruchomiłem wszystkie prywatne znajomości, w s z y s t k i e! Rozumiesz?! Sztab ludzi pracuje nad tą sprawą i pozwól im działać! Minęło dopiero dziesięć godzin! Anka może wrócić w każdej chwili – zakończył znacznie spokojniej.

– A ja mówiłem ci już tysiąc razy, że ona nie wróci, bo Debora ją porwała. To my musimy ją odnaleźć. Dobrze o tym wiesz. – Opadłem bez sił na poduszkę. – Która godzina?

– Pytałeś pięć minut temu. Dwudziesta pierwsza.

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – Ciągle nie mogłem zrozumieć motywów, którymi kierował się mój przyjaciel, ukrywając prawdę o Deborze.

– Przepraszam po raz enty. Sądziłem, że to nieistotne, nie pojawiła się w naszym obecnym wcieleniu. Byłem pewien, że przestała się nami interesować.

– Julia dzwoniła?

– Przecież byś słyszał.

– Może telefon się rozładował?

– Nie. Sprawdziłem przed chwilą oba, mój i twój. Masz, napij się wody.

Wypiłem duszkiem lodowaty płyn, ale to nie ostudziło mojej głowy.

– Oszaleję z tej beczynności! – Rzuciłem w ścianę szklanką. Rozprysła się na kawałeczki. Zerknąłem na kumpla, jego jedyną reakcją było ostentacyjne uniesienie brwi. Wkurzył mnie ten stoicki spokój. – Wstaję, koniec tego. – Odrzuciłem kołdrę i powoli usiadłem na skraju łóżka.

– Okej. Skoro czujesz się na siłach. – Kris chyba dał za wygraną.

Próbowałem się podnieść, ale zupełnie mi to nie wychodziło.

– Naszprycowali mnie czymś! Konowały pieprzone! – sarkałem, ponawiając starania.

– Owszem. Trochę ci się dostało, miałeś przełom nadciśnieniowy. – Mój kumpel przyglądał się z politowaniem czynionym przeze mnie wysiłkom. – To dosyć niebezpieczny stan. Nie dziw się, że próbowali cię ratować. Leki zwiotczające mięśnie tak osłabiają.

– Po cholere mi je podali? – zrzędziłem. – Czuję się jak kapeć!

– Bezpiecznik ci wybiło, no to podali – zarżał w odpowiedzi Kris.

– Jak długo to gówno będzie działać?

– Nie wiem, pewnie do jutra będziesz taki sflaczały.

– Zrób mi kawy.

– O tak! Już pędzę, podwójne espresso bez cukru?

– Skąd wiedziałeś? – burknąłem.

– Dobra, to sobie pożartowaliśmy.

– Ruby dzwoniła?

– Dzisiaj nie. Wczoraj z nią gadałem, mówiłem, że się odnalazłeś i że wkrótce ich odwiedzisz.

– Chwała Bogu – odsapnąłem z ulgą.

– Skoro nie dzwoniła, to znaczy, że nie wie o tym incydencie. – Kris znów starał się mnie uspokoić. – Nikt nie wie, na szczęście. Mądra babka ta twoja Angela.

Pokiwałem głową w odpowiedzi. Faktycznie, znów spisała się bez zarzutu. Zadzwoniła do Krisa i to on przyjechał do szpitala. Mogłem mu wszystko szybko opowiedzieć. Każda minuta była cenna.

– A Barrow? – Przypomniałem sobie o jednym z zaufanych kumpli Krisa.

– Już ci mówiłem.

– Powtórz jeszcze raz. Pieprzy mi się w głowie – poprosiłem, cały czas uparcie próbując dźwignąć się z łóżka. Na przemian napinałem i rozluźniałem mięśnie ramion i nóg.

– Dwa razy dzwonił. Szukają, sprawdzili wszystkie lotniska i Anna nie wyleciała z żadnego w ciągu ostatnich dwunastu godzin. Prawdopodobnie nadal jest w kraju.

– Julka zgłosiła zaginięcie?

– O to też pytałeś przed godziną. Nie zgłosiła, bo nie może. Jeszcze jest za wcześnie. Na dodatek Anka jest pełnoletnia, zabrała ze sobą paszport, nikt z policji oficjalnie nie będzie jej szukał. Jakiś chłopak od Barrowa założył podsłuch w telefonie Julii, na razie tyle zrobili. Bogiem a prawdą, zupełnie nielegalnie zamontowali pluskwę.

– Przecież się zgodziła, to jak nielegalnie? – dociekałem.

– Niezgodnie z prawem i przepisami. Nie wolno im korzystać z takich wynalazków.

– Aha. Kris! Pomóż, człowieku, muszę wstać! Jakoś rozchodzę ten szajs, którym mnie naszpikowali. W najgorszym wypadku wykituję i spotkamy się za dwadzieścia lat. – Popatrzyłem na niego.

– No dobra. – Wzruszył ramionami. Chyba zauważył, że nie odpuszczę. Usiadł obok i zarzucił moje ramię na plecy. – Na trzy... Raz, dwa i...

– O w mordę, jaki helikopter, zaraz rzygnę... – Próbowałem utrzymać pozycję pionową, ale nogi miałem jak z waty.

– Siadamy?

– Nie! Wytrzymam, idziemy. Zaprowadź mnie pod prysznic. Zaraz mi przejdzie. – Strugałem bohatera, choć nigdy w życiu nie czułem się tak słaby. Nawet po największej alkoholowej bibie. – Co za syf te leki.

Przejście do łazienki zajęło nam dobre trzy minuty. W tym czasie wyrzuciłem z siebie stek przekleństw i obelg pod adresem wszystkich, którzy mnie tak załatwili. Nie oszczędziłem nikogo, włącznie z sanitariuszami, których uznałem za nadgorliwych idiotów, i lekarzami, którzy zamienili mnie w żywego trupa. Kris nie miał zamiaru opuścić łazienki mimo ostrych protestów z mojej strony. W końcu ustąpiłem i w bieliźnie wlałem do kabiny.

– Lepiej? – spytał, gdy z niej wyszedłem.

– O niebo! – stwierdziłem, sięgając po ręcznik.

Kwadrans spędzony pod strumieniem chłodnej wody zdecydowanie polepszył mi samopoczucie. – Podaj mi suchy T-shirt.

– Co teraz?

– Jak to co? Jedziemy do Julii – odpowiedziałem bez zastanowienia.

– No i po co?

– Po co, po co? – przedrzeźniałem go. – Może coś wie!

– Nie ma mowy. Tam jest kompletny sajgon. Dobrze, że Wanda i Jack są przy niej. W czasie gdy cię zabierali do szpitala, na telefon Małej zadzwoniła Julka. Wiktoria z nią rozmawiała i wytłumaczyła, dlaczego komórka Anki była u was w biurze. Później ja podjechałem na chwilę. Wtedy gdy leżałeś na OIOM-ie i spałeś jak dziecko.

– I co jej powiedziałeś?

– Nic szczególnego, oprócz tego, że jesteś w szpitalu. Przecież dopiero dzisiaj poznaliśmy się osobiście, poza tym przypominam ci, że nie byliśmy sami.

– Nie pytała, co z Anką? Gdzie jest? Kris, co ty bredzisz?! – Uderzyłem pięścią w brzeg umywalki.

– Pytała.

– No i?

– Nic nie mogłem zrobić. Przecież jej nie powiem, że Debora, czyli zmaterializowany duch z naszej przeszłości, porwał jej córkę! Stwierdziłem, że może się poprzykaliście i że Anka na pewno się odnajdzie, bo to rozsądna dziewczyna.

– I uwierzyła ci?

– Nie do końca, dlatego obiecałem, że spróbuję odszukać Małą. Na szczęście Julka ślepo wierzy w moje umiejętności. Stwierdziła, że skoro ciebie znalazłem jakimś cudem, to i Ankę odnajdę. Tłumaczyłem, że to nie żaden cud, tylko zaprzyjaźniony detektyw, przy okazji oficjalnie wprowadzając Barrowa do akcji.

– Kris, ja też wierzę tylko w ciebie. Pomóż mi, błagam. – Nagle wszystko do mnie dotarło. Siadłem na brzegu wanny, w której jeszcze dobiegłemu chlapaniu się z Anną. Na szafce zostały jej kosmetyczka i piżama. Podniosłem granatowy ciuszek i przytuliłem do twarzy, ciągle pachniał moją dziewczyną. – Jak jej się coś stanie, ja tego nie przeżyję... – ledwie wydusiłem przez ściśnięte z bólu gardło.

– Będzie dobrze. Zobaczysz. – Kris mnie objął.

Chciałem mu wierzyć, ale w głębi serca czułem, że to koniec.

* * *

– Otwórz oczy, Anno. Obudź się... – Cichy głos wlewał mi się do uszu.

Byłam pewna, że go znam, ale nie mogłam sobie przypomnieć, do kogo należał. Wystarczyło spełnić prośbę tajemniczej kobiety, żeby poznać rozwiązanie zagadki. Nie wiem, co mnie powstrzymywało, jakiś bliżej nieokreślony strach? Słyszałam, że coś cicho szumi, zupełnie jak słaby letni wietrzyk. Na policzkach czułam chłodny powiew, powietrze przesycone słabym zapachem świeżo skoszonej trawy pieściło nos.

– Otwórz oczy. – Tajemniczy ktoś się zniecierpliwił.

Powoli rozchyliłam powieki. Przez moment wszystko wydawało się kompletnie rozmazane, ale w końcu obraz nabrał ostrości. Śliczna kobieta, podobna do porcelanowej laleczki, nachylała się nade mną. Luźno spleciony warkocz o barwie dojrzałych kłosów zboża otaczał jej idealnie gładką twarz, delikatny makijaż, kremowy sweterek – wszystko sprawiało wrażenie czegoś nieskończenie perfekcyjnego. I znajomego.

– Hej, Dorothy... – z trudem wysapałam powitanie.

Próbowałam się podnieść, niestety moje ciało odmówiło posłuszeństwa, nie mogłam się ruszyć.

– Spokojnie, nie wstawaj. Za chwilę wrócisz do normy – stwierdziła rzeczowo, przybliżając do moich ust plastikową butelkę zakończoną specjalnym dzióbkiem. – Musisz się napić. To woda z elektrolitami.

Nieśmiało pociągnęłam kilka łyków, płyn był zimny, lekko słonawy i niezbyt smaczny, mimo to świetnie gasił pragnienie.

– Wypij wszystko, jesteś trochę odwodniona.

Posłusznie opróżniłam całość. Od razu poczułam się lepiej, choć ciągle byłam słaba, głowa opadła mi na poduszkę. Przez chwilę próbowałam się rozglądać, ale wzrok uparcie wracał do mojej nauczycielki. Siedziała tuż obok i uśmiechała się łagodnie. W końcu odwzajemniłam jej uśmiech, wyglądała przecież tak sympatycznie.

– Lepiej?

– Tak. – Pokiwałam głową.

– Okej, zadam ci kilka pytań. Postaraj się odpowiedzieć najlepiej, jak potrafisz. Zgoda? – Chwyciła moją dłoń i lekko ją uścisnęła.

– Dobrze.

– Jak się nazywasz i ile masz lat?

– Przecież wiesz – zachichotałam. – Dlaczego pytasz?
– Odpowiedz, proszę.
– No dobrze, nazywam się Anna Wilk i mam dziewiętnaście lat – odparłam.
– Świetnie. A kim ja jestem i jak się nazywam?
– Jesteś moją nauczycielką farmacji, nazywasz się Dorothy Vengere.
– Doskonale. Teraz coś trudniejszego: gdzie mieszkasz i jak ma na imię twoja mama?
– Mieszkam w Londynie, przy Hamprough Road, a moja.... – nagle coś chwyciło mnie za gardło – moja...
– Mama... – podpowiedziała, wpatrując się uważnie.
– Moja mama ma na imię... Dorothy, coś mi się dzieje. – Zacisnęłam oczy, a do uszu przytknęłam dłonie.
– Spokojnie. Oddychaj – ledwie usłyszałam polecenie.
Posłusznie wykonałam kilka głębokich wdechów. Opuściłam ręce. Myśli znów przepływały swobodnie. Przed zamkniętymi oczami wyświetliły się informacje, zupełnie jak na ekranie komputera.
– Moja mama ma na imię Julia. Mieszkam w Londynie, nazywam się Anna Wilk, mam dziewiętnaście lat, w styczniu skończę dwadzieścia i wtedy stanę się Wędrowcem, tak jak Leo... Leo?! Mama?! Mama!!! – Zerwałam się i usiadłam, jakby ktoś niewidzialny podniósł mnie jak szmacianą lalkę.
– Gdzie ja jestem?! Gdzie jest mama, gdzie Leo?! Co z nimi zrobiłaś?!
Rzuciłam się instynktownie na Dorothy, ale chyba przewidziała moją reakcję, bo w ułamku sekundy poderwała się i odskoczyła od łóżka. Byłam bezradna, nic nie czułam od pasa w dół i choć próbowałam się podczołgać do brzegu materaca, niestety błyskawicznie opadłam z sił. Znów zamknęłam oczy, chciałam się skupić. Natychmiast zobaczyłam wszystko jak w filmie: szkoła, ja, Dorothy, Jack, nasza rozmowa, Astrum, Habbatum, zastrzyk...
To było jak koszmarne sen, który po przebudzeniu nie chce się skończyć i uparcie trwa. Pod powiekami pojawiło się znajome pieczenie, łzy ciekły mi po twarzy. Czułam, jak torują sobie ścieżkę, powietrze chłodziło miejsca, po których płynęły. Ale musiałam wziąć się w garść, nie mogłam tak się rozkleić!
– Widzę, że przypomniałaś sobie wczorajszy dzień, bardzo mnie to cieszy – podsumował cyniczny głos.
W mojej głowie pojawiła się nieodparta chęć, aby stanąć naprzeciw Dorothy i podjąć walkę. Kilka mocnych wdechów i znów siedziałam na łóżku. Szybko otarłam twarz i popatrzyłam na moją nauczycielkę, starając się

zachować spokój.

– Czego ode mnie chcesz? – wypaliłam z całą mocą, na jaką mnie było stać.

– Ho, ho, jaka jesteś ostra! – Zaśmiała się lekko. – Dowiesz się w swoim czasie, a na razie wracaj do sił. Będą ci potrzebne, zwłaszcza te psychiczne. Skoro już ci lepiej, to posłuchaj uważnie: władza w nogach wróci w ciągu kilkunastu minut. Za godzinę będziesz całkowicie sprawna fizycznie. Ktoś przyniesie ci posiłek. Radzę zjeść wszystko i nie grymasić. Jedzenie będziesz dostawać pięć razy dziennie. Na blacie – wskazała mały okrągły stolik – leży harmonogram. Zapoznaj się i zastosuj do niego. Nie muszę chyba dodawać, jakie będą konsekwencje twojej niesubordynacji? To tyle, wobec tego witaj w moich skromnych progach. – Uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Idź do diabła – mruknęłam w odpowiedzi, gdy tylko zamknęła za sobą drzwi.

* * *

– Kris, gdzie byłeś do cholery?! – krzyknąłem, ledwo stanął w progu.

– Cześć. W domu. Skoro mam tu zostać parę dni, przywiozłem trochę ciuchów i laptopa. – Mój przyjaciel postawił swój bagaż na skraju łóżka.

– Mogłeś mnie uprzedzić – stwierdziłem z wyrzutem.

– Uprzedziłem. – Podniósł leżący na szafce świstek papieru i mi podał. – Nie odczytałeś? Odwiozłem panią Helenę, wpadła rano i trochę tu ogarnęła. Spałeś jak zarżnięty, więc cię nie budziliśmy, pewnie to te leki. – Przysiadł ciężko tuż obok wielkiej sportowej torby. – Jak się czujesz?

– Nie pytaj. – Zwiesiłem głowę. – Julia przed chwilą dzwoniła. To jej telefon mnie obudził.

– Opowiesz?

– Nie mam siły. – Siedziałem, międląc w rękę kartkę z wiadomością Krisa, w końcu zmiąłem papier w kulkę i rzuciłem na podłogę.

– Co robisz?

– Coś tu mam. – Otworzyłem szufladę szafki i grzebałem w niej niecierpliwie, wyrzucając na podłogę dziesiątki papierów i innych przypadkowo poupychanych szpargałów. Po chwili wydobyłem zmiętą paczkę marlboro i zapalniczkę. – Muszę zakurzyć. Otwórz okno, jeśli ci przeszkadza.

– Nie przeszkadza. Chyba też zapalę. – Kris wyciągnął papierosa. – Nie wiem, czy jeszcze potrafię się tym posługiwać, ostatni raz jarałem w Bostonie.

– Ja w Wyee. To jak jazda na rowerze – dodałem między jednym a drugim zaciągnięciem.

– Uhm.

Przez dłuższą chwilę siedzieliśmy w milczeniu, w końcu zgasilem peta w pustej filizance. Zaczerpnałem powietrza. Musiałem opowiedzieć Krisowi, jak odbyła się ta okropna rozmowa z Julią.

– Powiedziała, że nie chce mnie widzieć na oczy, że przeklina dzień, w którym stanąłem na drodze jej córki, że mnie nienawidzi, bo przeze mnie to wszystko się stało. Boże, daj mi siłę przetrwać... – Ukryłem twarz w dłoniach, wyraźnie przeceniłem własną odporność psychiczną. Czułem się jak ostatni śmieć, jak najgorszy człowiek, który stąpał kiedykolwiek po ziemi, ale kontynuowałem: – Julia tak strasznie płakała, gdy obrzucała mnie tymi wszystkimi słowami, że w pewnych momentach nie mogłem jej zrozumieć. W końcu się rozłączyła, oczywiście natychmiast oddzwoniłem, chciałem się czegoś dowiedzieć, ale odebrał Jack i powiedział, że Julia nie chce już ze mną gadać, i żebym dał jej spokój. O co chodzi? Co ja takiego zrobiłem? – Kręciłem głową. – Za co tak mi się oberwało?

– Anna do niej dzwoniła.

– Czemu nic nie mówisz?! – Podskoczyłem jak oparzony. – Kiedy? Co mówiła?! Gdzie ona jest? Co z nią?! No mówże, do cholery!!! – Chwyciłem go za bluzę i szarpnąłem.

– Przestań! – Odsunął moje ręce. – Zaraz ci wszystko powiem, ale musisz się uspokoić! Mała żyje, to jest pewne – wysapał.

– Mów, co wiesz! – Nie mogłem się doczekać wyjaśnień.

– Już! – odparł zniecierpliwiony. – Barrow zadzwonił do mnie rano, była może siódma, nie pamiętam dokładnie. Powiedział, że wczoraj późnym wieczorem Anna skontaktowała się z matką. Pogadały przez minutę, no i pewnie dlatego Julka dzisiaj...

– Co Anna mówiła?! – przerwałem mu.

– Mam to nagranie, po to przywiozłem komputer. Barrow wysłał mi je rano na e-mail.

– Słuchałeś?

– Tak.

– Dawaj tego kompa! – Zerwałem się i sięgnąłem po torbę Krisa.

– Chwileczkę! Siadaj. Najpierw kilka kwestii technicznych.

– Jasne. – Posłusznie wróciłem na swoje miejsce.

– Alan przekazał mi pewne informacje dotyczące tego nagr...

– Jaki Alan?

– Do jasnej cholery! Nie przerywaj mi ciągle! Alan to imię Barrowa!

– Sorry, już się zamykam. – Na sekundę zakryłem usta dłonią.

Kris pokręcił głową, ale opowiadał dalej:

– Więc Alan powiedział, że badają to nagranie. Na razie niewiele odkryli. Ich zdaniem w trakcie rozmowy Mała czymś się przemieszczała. Nie wiedzą, co to jest, ale raczej nic powietrznego, czyli samolot i śmigłowiec odpadają. Gdzieś w tle słychać silniki, ale uznali, że nie wydają charakterystycznego dźwięku, czy też nie ma on częstotliwości odpowiedniej dla maszyn latających. Nie znam się na tym, ale to fachowcy i na pewno wiedzą, co mówią.

– Aha – potaknąłem. – Coś jeszcze? Potrafią zlokalizować miejsce, z którego dzwoniła?

– Na razie się nie udało, ale za to zauważyli coś innego.

– Co?

– Skup się. Puszczę ci nagranie. Wsłuchaj się bardzo uważnie, jeśli coś ci się nasunie, od razu mi powiedz. Zgoda?

– Okej.

– Uprzedzam, będzie ciężko. Wytrzymasz?

– Tak, chyba tak... – potwierdziłem, choć bez przekonania.

– Dobrze. To zabieramy się do roboty.

Kris otworzył torbę. Przez dłuższą chwilę grzebał w komputerze, w końcu spojrzał na mnie badawczym wzrokiem.

– Możemy zaczynać?

– Poczekaj! – Wyciągnąłem ostatniego papierosa i błyskawicznie odpaliłem. – Okej. Jestem gotowy...

* * *

Dorothy nie kłamała, rzeczywiście czucie w nogach wróciło w ciągu kwadransa. Usiadłam na brzegu łóżka i próbowałam powoli się podnieść. W końcu się udało. Niepewnie, ale bez większych problemów podeszłam do stolika. Na szczęście tuż obok niego ktoś postawił dwa małe fotele i mogłam trochę ochłonać po kilkumetrowym spacerze.

– Harmonogram – wymamrotałam, podnosząc zadrukowaną gęsto kartkę.

Dobre pięć minut zajęło mi zapoznanie się z treścią. Im dłużej czytałam, tym większa złość mnie ogarniała. W końcu zmiełam papier w kulkę i rzuciłam nią w kierunku drzwi. Już zapomniałam o tym, że jeszcze pół godziny wcześniej leżałam bez sił. Zerwałam się i zaczęłam krążyć po moim więzieniu.

– Co to ma być? Jestem jakimś skazańcem?! – wrzasnęłam w stronę kamery wiszącej nad łóżkiem.

Śledziła każdy ruch, bezszelestnie obracając się w moją stronę. Naliczyłam pięć takich urządzeń: wszystkie zamontowane pod sufitem – na tyle wysoko, że nie było szansy się do nich dostać. Ta nad wezłowiek wyrka i dwie w naprzeciwległych rogach były dosyć spore, pozostała dwójka prezentowała się mniej okazale.

Rozglądałam się czujnie: pomieszczenie było duże, chociaż wydawało się znacznie mniejsze z powodu bardzo ciemnego, prawie czarnego koloru ścian i sufitu. Zmierzyłam krokami całość wzdłuż i wszerz. Z tych prymitywnych pomiarów i pamięciowych obliczeń wyszło, że pokój zajmuje powierzchnię około trzydziestu pięciu metrów kwadratowych. Oświetlenie stanowił rząd umieszczonych pod sufitem mikroskopijnych żaróweczek plus światło dzienne, czyli dwa duże, niczym nieprzysłonięte okna z mlecznymi szybami, oczywiście oba bez możliwości otwarcia. Nie zauważyłam żadnych uchwytów. Nie przepuszczały ani grama dźwięków z zewnątrz, zresztą w całym pomieszczeniu panowała dziwna, niepokojąca cisza. Umeblowane było dosyć skromnie: łóżko, niewielka szafa, biurko i obrotowy fotel, mały stolik z ustawionymi wokół tapicerowanymi krzesłami, oszklony regał. Szybki rzut oka pozwolił mi na stwierdzenie, że w tym ostatnim meblu znajduje się sporo książek, wszystkie w języku angielskim. Kryminały, biografie, coś kobiecego – same nowości.

Z blatu biurka podniosłam urządzenie wyglądające jak pilot. Przez chwilę próbowałam dostrzec, gdzie może znajdować się jakikolwiek odbiornik uruchamiany za jego pomocą, ale niczego nie zlokalizowałam. Miałam już odłożyć tajemniczy przedmiot, ale postanowiłam nacisnąć kilka kolorowych klawiszy, i bingo! Jedna ze ścian z dyskretnym szumem rozsunęła się na boki, ukazując dosyć spory ekran. Naciskałam jak oszalała gumowe kwadraciki, były nieopisane, mogłam więc zdać się jedynie na intuicję. Udało się po chwili: ekran rozbłysnął światłem i nagle z nie wiadomo gdzie ukrytych głośników popłynęła dosyć głośna hip-hopowa muzyka. Trafiłam na MTV. Gorączkowo starałam się uciszyć ryk ciemnoskórego wokalisty, gdy

drzwi mojej celi otworzyły się z jeszcze głośniejszym hukiem.

– Widzę, że się rozgościłaś? – Dorothy stała w progu i uśmiechała się bezczelnie.

– O tak! Świetny pensjonacik, witamy w krypcie – warknęłam, ale nie zrobiło to na niej najmniejszego wrażenia.

– Pozwól. – Podeszła energicznym krokiem i wyjęła pilota z mojej dłoni. – Jednak to bardzo prymitywne urządzenie chyba nie będzie potrzebne. Coś ci pokażę, patrz uważnie. – Obróciła się w stronę monitora. – Sue, ścisź muzykę. Sue, pokaż listę kanałów filmowych. Sue, wybierz HBO. Sue, pogłośnij trochę. Sue, wyłącz się.

Każda komenda Dorothy była spełniana natychmiast po wygłoszeniu, w końcu telewizor się wyłączył i ponownie zapadła cisza, teraz zakłócana jedynie szumem klimatyzacji.

– Teraz ty. Spróbuj – poleciła tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Musisz jedynie na początku wymienić imię Sue, no i oczywiście patrzeć na ekran, gdy wydajesz polecenia.

– Sue, pocałuj mnie w dupę – rzuciłam w kierunku Dorothy. – Och! Nie działa, pewnie dlatego, że patrzę w twoją stronę – zachichotałam nerwowo.

– Z pewnością. – Perfekcyjna blondynka wyraźnie nie zamierzała dać się wyprowadzić z równowagi.

Odwróciłam się o sto osiemdziesiąt stopni i powtórzyłam komendę.

Bardzo żałuję, ale nie mogę spełnić twojego żądania, zmień polecenie – aksamitny głos sączył się ze ścian.

– Sue, pokaż listę kanałów informacyjnych. Sue, włącz CNN. Sue, pogłośnij. Sue, ścisź. Sue, wyłącz się, włącz, pokaż listę kanałów przyrodniczych, wybierz Animal Planet... – rzucałam komendy coraz szybciej.

– Dość! Sue, wyłącz się na godzinę! – Dorothy nagle mi przerwała.

– Sue, włącz się natychmiast! – odbiłam piłeczkę.

Bardzo żałuję, ale nie mogę spełnić twojego żądania. Brak uprawnień, odczekaj godzinę.

– Świetnie, może teraz spokojnie porozmawiamy? – Moja gospodyni usiadła przy stoliku i wskazała mi ręką wolne krzesło.

– Okej – ustąpiłam.

– Jesteś głodna?

– Nie.

– Wobec tego obiad podadzą koło drugiej.

Chciałam sprawdzić, która jest godzina, ale ze zdumieniem odkryłam brak zegarka. Dorothy spostrzegła ten gest i natychmiast wyjaśniła, że osobiste rzeczy zostały mi odebrane i schowane. Dopiero w tym momencie zauważyłam, że nie mam swoich ciuchów, a ubrana byłam w białą, dżersejową koszulkę z krótkimi rękawami, takie same spodnie i bawełniane skarpetki. Zupełnie jak pacjentka wariatkowa.

– Co to za miejsce, jaki dzisiaj jest dzień? Która godzina!? Od kiedy tu jestem? Powiedz mi, o co ci chodzi, do cholery?! – podniosłam głos.

– Czas i datę bez problemów poda ci Sue, gdy tylko ją o to zapytasz, niestety dopiero za godzinę będziesz mogła sprawdzić. Jest prawie dziesiąta rano, wtorek.

– Dlaczego nie mogę otworzyć okna?

– Tu nie ma okien. – Dorothy wzruszyła ramionami.

– Nie ma? A to co jest? Fatamorgana? – Wskazałam na dwie oszklone kwatery.

– To specjalne lampy imitujące dzienne światło. Emitują wszystkie rodzaje promieniowania, których dostarcza nam słońce. Jak każdy człowiek, ty też nie możesz bez niego funkcjonować. Dostałabyś krzywicy i depresji. – Dorothy oparła się wygodnie i tłumaczyła mi najspokojniej na świecie, jak funkcjonalne jest moje więzienie. – Jesteśmy pod ziemią, dosyć głęboko, na pewno się domyślasz, że nie będziesz miała możliwości zbyt często wychodzić na spacer. Tutaj – rozejrzała się z dumą – masz zapewnione idealne warunki biologiczne: światło, temperaturę, wilgotność powietrza...

– Zupełnie jak krzaczek marychy uprawiany na nielegalnej plantacji. Wzrusza mnie twoja troska, ale wolałabym mniej komfortowe warunki na wolności.

– Anno... – Dorothy wysunęła się lekko w moją stronę – chyba się domyślasz, że z własnej woli nie opuścisz tego miejsca? To ja zdecyduję, kiedy to się stanie, o ile w ogóle to nastąpi. – Jej spojrzenie było zimne jak lód, głos nie zdradzał żadnych emocji.

Zadrżałam. Strach znów zaczął brać górę, serce waliło tak głośno, że chyba obie je słyszałyśmy.

– Gdzie jestem? – ledwie wykrztusiłam z siebie.

– Pod ziemią, już ci mówiłam.

– Mam klaustrofobię, zaraz będę mieć duszności, umrę tutaj... – zablefowałam, chwytając się za gardło.

– Nie kłam. Zresztą podać ci środki przeciwlękowe to żaden problem. To jak? Uleczona? – zaśmiała się.

– Jesteśmy w Londynie? Po co mnie tu zamknęłaś? – poddałam się.

– Nie zamierzam odpowiadać na takie pytania, zwłaszcza dzisiaj. Jak widzę, przeczytałaś harmonogram – zerknęła na zwitek papieru leżący przy drzwiach. – Już wiesz, że będziesz otrzymywać pięć posiłków dziennie. Są świetnie zbilansowane i dostosowane idealnie do twojego wieku i płci. Jesteś nieco niedożywiona, masz za niskie BMI i kiepskie wyniki morfologii, musimy tego przypilnować. Powinnaś być w dobrej formie, może będzie potrzebna, na wypadek gdybyś nie chciała współpracować. Wtedy... – zawiesiła głos.

– Co wtedy?!

– Jeśli wszystkie metody perswazji zawiodą, wtedy przeprowadzimy zabieg.

– Jaki zabieg? – wyjąkałam drżącym głosem.

– Inseminację.

– Inseminację?

Przez moment nie mogłam skojarzyć, co oznacza ten termin, ale już po kilku sekundach przypomniałam sobie. Chce, żebym urodziła dziecko? Po co jej ono? Jedno za drugim, pytania rodziły mi się w głowie. Moje zaciśnięte gardło nie pozwalało na ich wyartykułowanie. Nagle skojarzyłam, co spotkałoby mnie po urodzeniu potomka, i zadrżałam. Rzuciłam wzrokiem na Dorothy. Chyba zauważyła, że przypomniałam sobie, jak posiadanie dziecka skończyło się dla mojego ojca. Zmarł w wieku dwudziestu pięciu lat, kilka minut po moich narodzinach.

– Tak. Dobrze rozumiesz. – Pokiwała głową w odpowiedzi. – Chociaż to ostateczność i mam nadzieję, że nie będę musiała uciekać się do takich metod. Miesiączkujesz regularnie?

Nie miałam zamiaru jej odpowiadać. Odwróciłam głowę i wlepiłam wzrok w blat stolika.

– Jeśli nie odpowiesz, sami do tego dojdziemy. Znam kilku lekarzy, nie będzie problemów z gruntownym przebadaniem. To jak?

– Nie.

– Co nie?

– Od trzech miesięcy nie miałam miesiączki.

– Tak przypuszczałam, jesteś bardzo szczupła. Poprawimy BMI i od razu twój organizm wróci do normy. Mamy czas.

– Uhm.

– Żeby ci nie przyszło do głowy się głodzić. – Dorothy zaśmiała się lekko. – Wszędzie są kamery, radzę grzecznie wszystko zjadać. W łazience masz trochę bardziej intymne warunki, tam nie ma monitoringu, ale w posadzce wmontowaliśmy czujniki badające twoją wagę. To jak? Będiesz współpracować?

Przez chwilę myślałam, jak się zachować w obliczu takiej bezczelności, ale nagle przypomniałam sobie, co mówił Klaus, mój trener. Twierdził, że intensywne ćwiczenia fizyczne mogą powodować u młodych kobiet wahania wydzielania hormonów i zatrzymanie prawidłowego przebiegu cykli miesięcznych. Przynajmniej w ten sposób mogłam chwilowo zapobiec powrotowi mojej płodności. Postanowiłam wykorzystać tę wiedzę, nie miałam zamiaru tak łatwo się poddać.

– Okej, będę grzeczna – rzuciłam – ale stawiam jeden warunek.

– Słucham.

– Proszę, pozwól mi zadzwonić do Leo albo do mamy. Nie dałam znaku życia, na pewno szaleją ze strachu.

– To akurat już załatwione. Pogadałaś z Julią przez telefon.

– Co?! Kiedy? – Wybałuszyłam oczy.

– Wczoraj wieczorem koło dziewiątej.

– Aha... – Nagle przypomniałam sobie moją rozmowę z Dorothy.

Upредиła, że podda mnie hipnozie, która skasuje pamięć krótkotrwałą z ostatnich kilkunastu godzin. Wyszło na to, że hipnoza zadziałała, nie kojarzyłam niczego, co wydarzyło się od momentu, kiedy dostałam zastrzyk z jakimś świństwem, aż do chwili przebudzenia w czarnym pokoju.

– Chcę usłyszeć tę rozmowę! – stwierdziłam z determinacją. – Jak cię znam, masz nagranie. Muszę mieć dowód, że faktycznie się odbyła.

– Myślę, że mogę przystać na twoją prośbę, czy raczej żądanie – parsknęła śmiechem. – To może być całkiem zabawne. Sue – obróciła się w kierunku ekranu – włącz osobiste, wybierz rozmowa z Julią, zrób głośniej.

– *Halo, mama?*

– *Ania?! Boże, gdzie ty jesteś?*

– *Nieważne, musiałam wyjechać. Nie martw się o mnie, jestem bezpieczna.*

– *Boże! Co ty mówisz? Aniu, gdzie ty jesteś? Kiedy wracasz? Co się dzieje?!*

– Nie mogę ci powiedzieć, nie chcę. Wrócę niebawem. Będę pisać i czasami dzwonić. Nie szukaj mnie, sama podjęłam decyzję o wyjeździe. Przyjaciółka pomogła mi zorganizować się w nowym miejscu.

– Ale dlaczego?! Co się stało? Jaka przyjaciółka?

– Nieważne. To wspaniała osoba, godna zaufania, mogę na nią liczyć. Muszę przez jakiś czas pobyc sama, poukładać myśli i rozeznac się w uczuciach. To wszystko przez Leo, on bardzo mnie skrzywdził. Dlatego nie chcę ci zdradzić miejsca pobytu, boję się, że Leo dotarłby do tej wiedzy i zaczął mnie nachodzić.

– Co on ci zrobił? Boże, dziecko, powiedz mi, co jest grane?! Zaraz zwariuję!

– Coś bardzo podłego. Nie chcę teraz o tym mówić, kiedyś ci wyjaśnię.

– Ale jeszcze rano rozmawiałyśmy i wszystko było między wami w porządku! Byłaś taka szczęśliwa! Aniu, kochanie, to się nie trzyma kupy, ta cała historia!

– Między mną a Leo wszystko skończone. Muszę kończyć, dbaj o siebie...

– Ania! Nie rozłączaj się! Poczekaj!!!

– Mamo, dbaj o siebie. Wkrótce się odezwę, napiszę list. Pa...

– Puść to jeszcze raz – wykrztusiłam przez łyzy.

– Po co?

– Chcę jeszcze raz usłyszeć mamę! – wrzasnęłam z całych sił.

– Jak sobie życzysz. Sue, odtwórz ostatnie wybrane – Dorothy spokojnie wydała polecenie.

Słuchałam uważnie nagrania, starając się nie uronić nawet słówka, to był jakiś koszmar. Mama zdenerwowana do granic możliwości i ja mówiąca do niej jak pieprzony robot. Rwąca rzeka i ocean spokoju, histeryczka i zombie – tak wyglądała moja „rozmowa” z mamą. Nie przejęłam się, że cała ta historyjka z Leo oparta była na kłamstwach, wstrząsnęło mną jedynie to, że mama tak bardzo była zdenerwowana.

– Co za suka z ciebie! – wykrztusiłam w końcu z obrzydzeniem.

– Jakie słownictwo! Niezły rynsztok. Ładnie mi dziękujesz, a ja jestem taką uprzejmą, wspaniałą i godną zaufania osobą – odparła ze śmiechem adresatka mojego „komplementu”. – Cóż, nie liczyłam na wdzięczność.

– Wyjdź – warknęłam. – Nie mam ochoty cię oglądać. Spieprzaj, bo ci zrobię krzywdę!!! – Zerwałam się z krzesła i stanęłam nad Dorothy

z zaciśniętymi pięściami.

– Nie radzę podnosić głosu, a tym bardziej ręki na mnie. To może się fatalnie skończyć. Dzisiaj podamy ci dwie pigułki. Białą będziesz zażywać codziennie: poprawia pamięć i koncentrację, fioletowa zapewni ci łatwiejsze zasypianie i stonuje cię nieco. Możesz ją połknąć po kolacji.

– Wsadź sobie te swoje pigułki, gdzie chcesz, nic nie będę łykać – oświadczyłam hardo.

– Nie ma problemu, leki możemy podać domięśniowo. To jak?

– Wynocha! – tylko tyle byłam w stanie powiedzieć.

Ledwie zamknęła za sobą drzwi, rzuciłam się na łóżko. Płakałam chyba kwadrans, łkałam, wałam pięścią w poduszkę. Przepęłniała mnie niewyobrazalna złość, bo byłam bezsilna. Nie bałam się Dorothy, przerażało mnie jedynie to, że mama cierpi i że Leo z pewnością czuje to samo. Troska o nich odbierała mi rozum.

* * *

– No i jak to widzisz? – Kris zamknął laptopa.

– Daj zebrać myśli. Zresztą, co ja gadam, jakie myśli? – Zwiesiłem głowę.

– Posłuchaj. Musimy to jakoś usystematyzować. Wiem, że ci ciężko, ale postaraj się. Pierwsza sprawa: te wszystkie opowiadania o tym, jak to skrzywdziłaś Ankę, są bzdurą?

– No jasne. To jakiś bełkot.

– Okej. Jakie wrażenia? Znasz Małą dobrze, znacznie lepiej niż ja. Gadałem z nią raptem dwa razy, coś mógłbym powiedzieć na temat tego nagrania, ale wolałbym nic ci nie sugerować.

– Debora czymś ją naszprycowała. To nie była Anna, ten głos, ton, sposób wypowiedzi.

– Też tak uważam.

– Co teraz? – Podniosłem wzrok na Krisa. – Mamy kilka opcji, ale szczerze mówiąc, przychodzi mi do głowy tylko jedno.

– Chcesz powiedzieć Julii?

– Tak. Biorę to na siebie – zadeklarowałem się. – Muszę jej wszystko wyjaśnić, nie wytrzymam tego poczucia winy! To moja jedyna szansa! Wystarczająco skrzywdziłem jej córkę swoim zachowaniem, ucieczką do Australii, brakiem zaufania i wszystkim, co zrobiłem. Julia wspaniałomyślnie

mi wybaczyła, a teraz znów cios! Powiem jej wszystko bez względu na konsekwencje! Zasługuje na to jak nikt inny. Poza tym nie mogę znieść świadomości, że mnie nienawidzi.

– Obawiam się, że nie będzie chciała z tobą rozmawiać. Zdajesz sobie z tego sprawę?

– Uhm. – Popatrzyłem na niego. – Ale muszę spróbować.

– Nie podoba mi się ten pomysł. Wiem, że cię nosi, i rozumiem to, ale uważam, że powinniśmy przeczekać kilka dni. Może Mała coś napisze, skoro tak deklarowała.

– Nie wytrzymam tej beczynności i świadomości, że Julka mnie nienawidzi za coś, czego nie zrobiłem – prawie słowo w słowo powtórzyłem poprzednią kwestię.

– A ja ci radzę, poczekajmy do pierwszego listu.

– Poczekajmy? Chyba zwariowałeś!? Jak mam czekać? Mam siedzieć spokojnie, jakby nic się nie stało, podczas gdy Debora pastwi się nad Anną?

– Posłuchaj, i tak nic to nie da, kilka dni cię nie zbawi. Odrzuć emocje. Wiesz, jak ostatnio to się dla ciebie skończyło. Nie działaj pochopnie. Angela dzwoniła rano. Pytała, jak się czujesz. W czwartek masz casting, zarezerwowała ci bilet na samolot i nie wiedziała, czy ma odwołać twój udział. Pozwoliłem sobie na podjęcie decyzji w twoim imieniu.

– Boże, chyba nie myślisz, że polecę teraz do Stanów? W dupie mam casting – burknąłem.

– Ostudź głowę. Zajmiesz się czymś, poza tym nie przeginaj. Kilka dni temu wróciłeś po trzymiesięcznej nieobecności. Zaufaj mi: ciężka praca jest świetnym lekarstwem. Julka trochę ochłonie, ty też. Może chłopaki jeszcze coś odkryją.

Kris zamilkł. Widziałem, że nad czymś się zastanawia.

– Co jest? – Zniecierpliwiło mnie to. – Coś jeszcze wiesz? Jesteś jakoś dziwnie spokojny.

– Leo. Muszę ci coś wyznać. Zrobisz mi kawy? – Podniósł się z łóżka.

Konkretne śniadanie i duża kawa istotnie poprawiły mi samopoczucie. Kris, rozwalony na fotelu, też wyglądał lepiej.

– Dawaj, co powinienem wiedzieć? Przypuszczam, że to ma związek z Deborą. Już wiem, że jest Wędrowcem. Wyłumacz, jak to możliwe, że nie zauważyłem u niej znamienia? – Byłem pełen nowej energii.

– Po kolei. Otóż, jak słusznie zauważyłeś, Debora rzeczywiście jest

Wędrowcem, ale nie należy do plemienia Eperu, dlatego nie ma naszego znaku.

– Co? – zszokowała mnie ta informacja.

– Nie wszyscy Wędrowcy to ludzie z kryształowym charakterem. I wśród nas zdarzają się odszczepieńcy. Plemię tych outsiderów nazywa się Habbatum, a ich znak to jasnobrazowy trójkąt z zaokrąglonymi szczytami. Debora miała go na prawym przedramieniu. Zgadza się?

Pokiwałem głową, rzeczywiście coś takiego widniało na ręce mojej eksdziewczyny z poprzedniego wcielenia.

– Mają je po prawej stronie? – doprecyzowałem.

– Tak, zawsze po prawej, a my zawsze po lewej stronie ciała. Skoro już poruszyliśmy tę kwestię, muszę ci wytłumaczyć, dlaczego nasze znamiona są tak istotne. Będę się posługiwał przykładem Debory. Tak samo jak my potrafi opuszczać ciało i podglądać ludzi, ale znak Eperu uniemożliwia jej to w stosunku do nas. Nie widzi nas ani nie może usłyszeć, co mówimy.

Musiałem przyjąć minę nierozgarniętego idioty, bo Kris szybko kontynuował:

– Debora widzi Astrum.

– Boże, jakie Astrum? – Chwyciłem się za głowę.

– Nie wiem dokładnie, jak wygląda Astrum, ale ponoć jest to świetlny twór o kulistym kształcie i średnicy dochodzącej do kilku metrów. Wszyscy zwykli ludzie znajdujący się w jego zasięgu również są niewidoczni i niesłyszalni dla członków plemienia Habbatum.

– Czekaj. Nie wiem, czy dobrze cię zrozumiałem. Jeśli Debora przyleciałaby tu, ciebie nie zobaczy i nie usłyszy, ale mnie bez problemów może podglądać?

– Nie do końca. Na razie jestem obok ciebie, moje Astrum na to nie pozwoli. Pamiętaj o promieniu tego tworu.

– Dałem ciała, usuwając znamię. – Pokiwałem głową.

– Nie da się ukryć, ale jest jeszcze druga strona medalu: wszyscy z Habbatum mogą nas bardzo szybko zlokalizować poprzez Astrum – dodał strapionym tonem Kris.

– Uhm – przyznałem mu rację.

– Wystarczy, że opuszczą ciało, przelecą się nad światem i już nas wyłapią, bo świecimy jak robaczki świętojańskie.

– A oni? – dociekałem.

– Postrzegamy ich jak wszystkich innych. Sprawdziłem, nie ma różnicy. Możemy ich podglądać, słyszeć i tak dalej.

– I o to głupie Astrum tyle krzyku? – Piłem do sytuacji, gdy Kris potężnie mnie zrugął za to, że usunąłem znak Eperu.

– Nie wiem. Przypuszczam, że tworzenie Astrum to niejedyna właściwość naszych znamion.

– Okej, co jeszcze wiesz? – Świdrowałem go wzrokiem.

– To Debora zakończyła moje poprzednie wcielenie.

– Co?! – Podskoczyłem gwałtownie.

– Ona prowadziła ciężarówkę, która staranowała mój samochód.

– Nie! Dlaczego mi nie powiedziałaś?! – Walnąłem pięścią w stół, puste filiżanki podskoczyły jak na komendę. – Rozmawialiśmy o tym! Czyli to ona chciała zabić moich rodziców i prawie się jej udało! – przypomniałem mu.

– Chyba się mylisz. Przecież hamowała, i to ostro. Pamiętasz? – Zerknął na mnie. – Przypuszczam, że spodziewała się tylko mojej skromnej osoby i gdy zauważyła twoją matkę siedzącą z przodu, wcisnęła pedał hamulca, ale już było za późno. Debora jakoś wydostała się z samochodu i podbiegła do nas. Od razu sprawdziła, czy twoi rodzice żyją, dopiero później podeszła do mnie. Przez chwilę myślałem, że udzieli nam pomocy, ale ona stała, czekając na moją śmierć. Wreszcie straciłem przytomność i tak się skończyło. Uważam, że tylko mnie chciała się pozbyć, dlatego nic ci nie powiedziałem.

– Czym się jej tak naraziłeś? – nie mogłem zrozumieć.

– Nie mam bladego pojęcia, tak samo jak nie wiem, dlaczego uprowadziła Annę. Możesz być spokojny, na pewno nie chce jej zabić. Gdyby miała takie zamiary, już dawno by to zrobiła.

– W tej kwestii chyba muszę przyznać ci rację. Nie wiem dlaczego, ale ciągle myślę, że to wszystko, czyli twój wypadek i porwanie Anny, ma związek ze mną. Ty jesteś moim przyjacielem, a Anna dziewczyną. Może tu tkwi klucz do rozwiązania tej zagadki?

– Nie wiem, co o tym myśleć.

– Jesteś zmęczony? – Zerknąłem na Krisa.

– Nie da się ukryć. Kiepsko spałem.

– Idź się połóż.

– Chyba cię posłucham. Co będziesz robił?

– Pojadę do agencji. – Podniosłem się z kanapy.

* * *

Trzy dni. Siedemdziesiąt dwie godziny wlokące się jak senny koszmar. Dorothy gdzieś wybyła. Najpierw się ucieszyłam, ale teraz zaczynało mnie to martwić.

Próbowałam się zorientować, gdzie jestem przetrzymywana. Najpierw dokładnie sprawdziłam listę wszystkich kanałów telewizyjnych, licząc na jakikolwiek program regionalny, który zdradziłby miejsce mojego przymusowego pobytu, niestety wszystko wyglądało jak w najczęściej spotykanym repertuarze angielskiej telewizji kablowej. Jedyne, co ustaliłam na podstawie czasu posiłków, godzin podawanych w programach informacyjnych i mojego oświetlenia imitującego naturalne, to fakt, że jestem w podobnej do londyńskiej strefie czasowej.

Przejrzałam wszystko, co znajdowało się w pokoju i łazience: metki wiszące przy ręcznikach i pościeli, a nawet dywan, opakowania kosmetyków, każdą książkę, meble. Całe wyposażenie pochodziło ze sklepu IKEA. Sprytnie. W każdym europejskim kraju IKEA miała swoje sklepy, to był marny trop.

Kolejna rzecz: mój jadłospis. I znów kłapa na całej linii. Już po pierwszym śniadaniu wiedziałam, że marna to wskazówka. Był to typowy angielski posiłek, na stole wylądowały grzanki, jajka na bekonie, kiełbaski, marmolada, pomidory i dobra herbata – wszystko bardzo smaczne, to musiałam przyznać. Najpierw chciałam strajkować i nie jeść, ale po namyśle postanowiłam dobrze się odżywiać. Intuicyjnie czułam, że energia i siła będą mi potrzebne.

Posłusznie łykałam dostarczaną codziennie białą pigułkę, a fioletową odkładałam na później. Według słów Dorothy, był to jakiś środek nasenny. Przetestowałam lek: zażyłam jedną tabletkę w środku dnia. Działał bez zarzutu: przespałam całe popołudnie. Wiedziałam, że większość tego typu lekarstw zażytych w zbyt dużej dawce może spowodować śmierć, i tak postanowiłam się przygotować na najgorszą ewentualność. Nie miałam pojęcia, dlaczego zostałam uprowadzona i uwięziona, wolałam mieć chociaż jednego asa w rękawie.

Posiłki przynosił Brian. Dawałam mu jakieś dwadzieścia parę lat: młodszy od Leo, ale z pewnością starszy ode mnie. Wyglądał jak wzorcowy przedstawiciel rasy nordyckiej: przystojny blondyn z niebieskimi oczami, wysoki, dosyć mocno umięśniony, ale mimo to zachował szczupłą sylwetkę.

Niestety, nie był szczególnie rozmowny. Pierwszego dnia prawie wcale się nie odezwał, przedstawił się jedynie i powiedział kilka słów. Na podstawie wyjątkowo mocnego akcentu domyśliłam się, że pochodzi ze Stanów.

Wjeżdżał małym wózkiem kelnerskim, sprzątał naczynia z poprzedniego posiłku i podawał kolejny. Asystował mi przy każdym lunchu. Przed jedzeniem musiałam połknąć tabletkę. Brian bardzo tego pilnował. W końcu chyba znudziło mu się siedzenie w milczeniu i wymieniliśmy parę uwag. Ciężko rozmawiać z kimś nowo poznanym. Pogoda odpadała z oczywistych powodów, więc gadaliśmy o muzyce, zdrowym odżywianiu i książkach kucharskich. Brian okazał się wielkim fanem Gary'ego Rhodesa. Stwierdził, że lubi jego przepisy, zwłaszcza te na dania z ryb. Ja preferowałam Delię Smith, więc podyskutowaliśmy o naszych faworytach, choć i on, i ja świetnie zdawaliśmy sobie sprawę z tego, że nasza polemika to typowy zapychacz czasu.

W drugim dniu pobytu odkryłam ze zgrozą, że mój kelner-dozorca też jest z plemienia Habbatum. Niechcący zrzuciłam kubeczek, Brian próbował go złapać i schylił się gwałtownie, wtedy przez ułamek sekundy jego koszula lekko się rozchyliła, ujawniając sekret: znamię ukryte na prawym obojczyku. Załamalam się. W swojej naiwności liczyłam, że Brian jest zwykłym człowiekiem i może uda mi się w jakiś sposób przeciągnąć go na swoją stronę, ale to zdarzenie ostatecznie pozbawiło mnie złudzeń. Byłam zdana wyłącznie na siebie, a wąta nic sympatii, którą próbowałam podtrzymywać, zniknęła jak babie lato.

Zerknęłam na ekran: dochodziła ósma. Jeszcze kilkanaście minut i znów mogłam spróbować. Zgodnie z harmonogramem kolacja podawana była punktualnie o dwudziestej, później szybki prysznic i kładłam się do łóżka. Bynajmniej nie miałam zamiaru od razu zasypiać, chociaż o tej porze byłam już nieco senna, śniadanie dostarczane o ósmej rano nie pozwalało na długi wypoczynek.

Codziennie wieczorem gasiłam światło, oczywiście również ustną komendą, i gdy w pokoju robiło się ciemno – trenowałam latanie. Uparcie, czasami przez kilka godzin, ćwiczyłam opuszczanie ciała, niestety bez większych efektów, choć dzisiaj nad ranem prawie się udało! Przez chwilę miałam wrażenie, że znajduję się pod sufitem, doleciałam do kamery wiszącej nad łóżkiem i przyjrzałam się jej z bliska. Ten niespodziewany sukces tak mnie wytrącił z równowagi, że nawet nie wiem, kiedy znalazłam się z powrotem

w ciele. Miałam szczęście. Ledwie doszłam do siebie, gdy drzwi się otworzyły i Brian wjechał z rogalikami, jajecznicą i parującą kawą.

Cały dzień zastanawiałam się, czy to nie były jedynie moje halucynacje, i jak najszybciej chciałam ponowić próbę. Na tę okoliczność wykapałam się już przed kolacją, każda minuta była cenna.

– To ty? – ledwie wykrztusiłam z siebie.

– Zaskoczona? Wiem, wiem, nie jestem tak atrakcyjna jak Brian. – Dorothy weszła do celi, pchając przed sobą wózek. – I jak? Zaaklimatyzowałaś się?

Przez chwilę rozważałam, jak mam zareagować, ale ostatecznie postawiłam na uprzejme zachowanie, w końcu byłam na jej łasce.

– Tak.

– Brian jest miły?

– Uhm.

– To świetnie. Widziałam, że jedzenie też ci podeszło. Ćwiczysz codziennie? – Spojrzała na mnie badawczym wzrokiem.

– Tak, mam kiepski kręgosłup i muszę się ruszać.

– Trzygodzinny trening? Podziwiam za determinację. – Dorothy nadal nie spuszczała ze mnie oczu.

– Półtoragodzinny – uściśliłam.

– Ale dwa razy na dzień. Jak zawodowiec.

– Lubię ruch, poza tym co mam tu robić? – Wzruszyłam ramionami.

– Okej, nie wnikać. Chcesz, to ćwicz. Może udostępnię ci kilka kanałów z gimnastyką? Zumba, aerobik, joga? Co cię interesuje? – Rozkładała kolację na stoliku, co jakiś czas na mnie zerkając.

– Dzięki, wystarczy mi MTV i Viva. Mam własny zestaw ćwiczeń – burknęłam pod nosem. Nie miałam zamiaru jej wtajemniczać w swoją intrygę. Wszystko, co trenowałam, było bardzo obciążające fizycznie, chociaż dla laika mogło sprawiać wrażenie lekkiego i łatwego.

– Rozumiem. Już w piżamie?

– Tak, wyjątkowo dobrze sypiam. Może przez te fioletowe pigułki?

– Może? – zawiesiła głos, jakby miała coś jeszcze dodać.

Przyglądałam się jej uważnie, zawsze była bardzo dobrze ubrana. Teraz podwójnie zwracałam na to uwagę, wszak strój potrafił wiele powiedzieć. Niestety, Dorothy miała na sobie biały fartuch dokładnie przykrywający wszystko pod nim. Klasyczna fryzura, czyli warkocz ciasno oplatający głowę, perfekcyjny makijaż, taki sam manicure – całość jak zwykle. Chyba zauważyła,

że lustruję ją wzrokiem, bo uśmiechnęła się znacząco.

– Nie będę ci przeszkadzać, jutro dłużej porozmawiamy, ale zanim pójdę, muszę ci coś założyć. – Podniosła małe pudełko, po chwili wyjęła z niego przedmiot przypominający do złudzenia duży męski zegarek.

– Co to jest?

– Hm. Przeszkadzacz? – Uśmiechnęła się ironicznie Dorothy.

– To znaczy?

– Potrafisz latać?

– Nie – odpowiedziałam szybko, czując, jak rumieniec wpełza mi na twarz. Nigdy nie byłam mistrzem w kłamaniu.

– Dzisiaj rano pierwszy raz się udało, prawda?

– Nie. – Szłam w zaparte.

– Mam wariograf, może sprawdzimy?

Nie odpowiadałam, strużka potu spływała mi po czole. Czulałam, jak koszulka przykleja się powoli do moich pleców.

– Nieważne. Wyciągnij lewą rękę.

Spokojnie patrzyłam na Dorothy zapinającą metalową bransoletę na moim nadgarstku.

– Gotowe. Nie próbuj tego sama zdejmować, zresztą i tak ci się nie uda. Chcesz wiedzieć, do czego to służy? Czy sama się domyślisz?

– Powiedz – wyjąkałam przez zaciśniętą z nerwów krtani.

– W czasie gdy latamy, nasze ciała są zupełnie nieruchome, taki stan zostanie zarejestrowany przez czujniki w bransoletce. Gdy opuścisz ciało na dłużej niż pięć minut, to urządzenie wyśle sygnał w postaci elektrycznego impulsu, praktycznie niewyczuwalny, ale na tyle mocny, że twój organizm go zarejestruje i natychmiast wrócisz.

– Nie będę mogła zasnąć! Co kilka minut będzie mnie razić prąd! Zwariowałaś?! Dlaczego mnie tak dręczysz? – Byłam przerażona taką wizją.

– Nie rozśmieszaj mnie. – Dorothy uniosła brwi. – Nic cię nie będzie razić. W czasie snu ciało zachowuje się zupełnie inaczej. Gdy opuszczamy je duchowo, jest jak martwe: spada ciśnienie, tętno zwalnia, zmniejsza się temperatura – to jak hibernacja. Bez obaw, urządzenie nigdy nie pomyli tych dwóch stanów.

– Przez pięć minut można daleko zalecieć – odgryzłam się.

– No cóż, nie radzę ci się spóźniać. Nagły powrót bywa bolesny. Leo ci nie opowiedział? – Znów była rozbawiona.

– Nie. – Ścisnęło mnie w żołądku, gdy tylko usłyszałam imię mojego chłopaka.

– Sama się przekonasz. Z tego, co zdążyłam zauważyć, jesteś wyjątkowo upartą osobką. Zupełnie jak twój dziadek – rzuciła z przekąsem.

– Dziadek? – Zaintrygowała mnie.

– Właśnie. No ale my tu gadu-gadu, a kolacja stygnie. Smacznego i dobranoc.

– Nie wychodź! – Chwyciłam ją za rękaw kitla, ale Dorothy popatrzyła na moją rękę takim wzrokiem, że od razu puściłam tkaninę.

– Porozmawiamy innym razem – oświadczyła i zamknęła za sobą drzwi. – Aha, zapomniałam! Jeśli chcesz, napisz list do mamy. Wyślę go jutro, oczywiście najpierw przejdzie przez cenzurę...

Rozdział 2

List, który nabił w butelkę

Ciągle nie potrafiłem przyznać przed samym sobą, że jestem niezły. Każda kolejna nagroda zaskakiwała mnie tak samo jak pierwsze wyróżnienie, które otrzymałem lata temu. Wątpiłem w swój talent, nie licząc na jakąkolwiek zmianę w postrzeganiu siebie jako dobrego aktora. Może nie było mi pisane uwierzyć, że nim jestem? Byłem kompletnie zagubiony między tym, co słyszałem i widziałem, a własnymi uczuciami.

Czasami spędzałem godziny przed ekranem laptopa, czytając mniej pochlebne opinie na swój temat. Nie było ich wiele, więc wyszukiwałem je skrzętnie, a niektóre nawet archiwizowałem w specjalnie założonym do tego celu folderze. Zaglądałem tam, czerpiąc z lektury dziwną masochistyczną przyjemność. Ewidentnie miałem problem z poczuciem własnej wartości.

Stałem przed drzwiami mieszkania. Byłem tak niewiarygodnie zmęczony, że najchętniej otworzyłbym je mentalnie. Niestety, nie potrafiłem. Sięgnąłem do kieszeni w poszukiwaniu klucza lub karty, gdy nagle drzwi się otworzyły. Na okazanie zaskoczenia nie starczyło mi sił.

Kris uśmiechnął się szeroko:

– Właż, kowboju. Czekałem na ciebie. Jak podróż? Kiedy przyleciałeś?

– O dwudziestej pierwszej byliśmy na lotnisku, ledwo żyję. – Wszedłem do środka i ostatkiem energii postawiłem na komodzie torbę podróżną. – Nawet Mike narzekał na tempo.

– Szybko was odprawili. – Kris zerknął na zegarek. – Siedzę tu od ósmej. Zrobię ci ciepłą kolację. – Krzepiąco poklepał mnie po ramieniu. – Jak casting? Masz kontrakt?

– A jak myślisz? Żeby mi wszystko tak w życiu wychodziło jak to pieprzone granie. – Parsknąłem śmiechem, zzuwając przepocone buty. – Podpisałem papiery i prosto na samolot.

– Konkurencja duża?

– Nieliczna, kilka osób, ale za to górna półka górnej półki. Sama e l i t a

została zaproszona.

– Gratulacje. Zagrać u Rickmana to nie było co. – Wziął ode mnie kurtkę i odwiesił do szafy jak troskliwa matka.

– Nie da się ukryć – zgodziłem się z nim.

– Kiedy zdjęcia?

– Najwcześniej za jakieś trzy, cztery miesiące, tylko dlatego przystałem na jego warunki. Teraz nie miałbym głowy do pracy. Słysząc coś? – dopytywałem, idąc za Krisem w kierunku kuchni.

– Jeśli chodzi o Małą, niestety bez zmian.

– Aha.

Codziennie gadaliśmy przez Skype'a. Kris na bieżąco informował o postępach w śledztwie, a raczej o ich braku. Staraliśmy się rozmawiać na tyle ogólnie, że nawet gdyby ktoś nas podsłuchiwał, niczego by się nie dowiedział.

– Chodź, coś zjesz. Frytki z jajkiem? A może kanapki z frytkami? – zaproponował coś, co w niektórych kręgach uznawane było za kulinarne prostactwo i oznakę robotniczego pochodzenia, ale ja uwielbiałem te dwa dania. Może dlatego, że George potrafił przyrządzać wyłącznie frytki i pasł mnie nimi za każdym razem, gdy Ruby późno wracała z pracy.

– Zjem wszystko, ale może najpierw wezmę prysznic?

– Ja też jestem głodny – zaśmiał się.

– Śmierdę – uprzedziłem lojalnie.

– Przeżyłem Wyee, dzisiaj też wytrzymam.

Kris wycierał usta papierową serwetką, w końcu rzucił ją na stół.

– Mamy coś nowego, chociaż na razie to niepotwierdzone. Debora zakończyła poprzednie wcielenie w tym samym dniu co ty. Dzisiaj rano się o tym dowiedziałem, uprzedzam twoje pretensje.

– Co? – Nie mogłem załapać. – O czym ty mówisz?

– To, co słyszałeś. Twoja matka, ty i Debora – wszyscy zmarliście dwunastego września osiemdziesiątego pierwszego.

– Tak?! Skąd wiesz? – Wytrzeszczyłem oczy.

– Prawo jazdy jest sfałszowane, zawiera nieprawdziwe nazwisko, datę i miejsce urodzin. Tak naprawdę Dorothy nie nazywa się Vengere, tylko Goldberg, urodziła się w Bostonie. Moim zdaniem to nie przypadek.

– Co masz na myśli?

– Waszą śmierć w tym samym dniu. – Kris spoglądał tak poważnym wzrokiem, że aż ciarki mnie przeszły.

– Poczekaj chwilę. – Podniosłem się z krzesła. – Chcesz drinka?

– Alkohol to twój wróg – zaśmiał się.

Pobiegłem do salonu, niestety nie mogłem zlokalizować żadnej butelki. Już miałem dać za wygraną, ale postanowiłem sprawdzić lodówkę, i bingo! Pani Helena zadbała o zaopatrzenie. Trzęsącymi rękami odkręciłem butelkę whisky. Trucht z powrotem, trzy szybkie łyki i mogłem kontynuować.

– Alkohol to zły doradca – Kris poczęstował mnie kolejnym oklepanym frazesem.

– Jedna szklanka – wytłumaczyłem się.

– Niech ci będzie. Posłuchaj: Alan ma trochę znajomych w Stanach, poszperali w archiwach i okazało się, że Deborę, a raczej jej ciało, znaleziono kilka kilometrów od twojego bostońskiego domu.

– Jak zmarła?

– Otruła się. Przy zwłokach leżała strzykawka z resztką jakiejś mieszanki. Cyjanek i coś jeszcze.

– Chryste! Myślisz, że mnie też tak załatwiła? – wykrztusiłem przez zaciśnięte ze strachu gardło.

– Szczerze mówiąc, tak. Przypomnij sobie pożar, który nie wiadomo skąd się wziął. Lata mieliście ten piecyk i nigdy nie sprawiał problemów.

– Ale po co to zrobiła?

– Nie mam pojęcia. Głowiłem się nad tym godzinami i nie wiem. Totalna pustka. Zero pomysłów.

– Może to jednak zbieg okoliczności? – próbowałem zrationalizować wszystko. – Myślisz, że nie poczułbym ukłucia?

– Może cię czymś uśpiła, bo w zeznaniu nie wierzę. Flaszeczkę eteru nietrudno załatwić, zwłaszcza gdy jest się naukowcem. Debora pracowała w instytucie farmaceutycznym, była wykładowcą, coś nawet opublikowała, ale to był jakiś pic. Ona miała bardzo dużo kasy, sporo za dużo jak na zwykłego naukowca. Chłopaki próbują zdobyć jak najwięcej informacji na jej temat, znaleźli nawet dane jakiejś firmy, której Debora była współwłaścicielką, ale okazuje się, że cała dokumentacja spłonęła osiem lat temu.

– Zatarła ślady, gdy tylko przypomniała sobie, kim jest? – domyśliłem się.

– Tak to wygląda, tym bardziej że ta firma to była jakaś śliska sprawa. Co

chwilę mieli problemy. Ponoć pod przykrywką legalnej działalności produkowali jakieś świństwa, narkotyki i inne tego typu rzeczy.

– Teraz, kiedy już znam prawdę o Deborze, raczej witamin bym się nie spodziewał – stwierdziłem ironicznie. – Ona jest prawdziwym szatanem.

– Na dodatek piekielnie inteligentnym i dowcipnym – dodał Kris po dłuższej chwili. – Wiesz, co oznacza słowo „Vengere”?

– Anna mówiła o jakimś miasteczku w Afryce, w Nairobi? – próbowałem sobie przypomnieć.

– Jeśli już, to w Zimbabwie, ale nie o to miejsce chodzi. Vengere to przecież anagram słowa *revenge*. Zemsta. Ta diaboliczna mści się na nas, i przysięgam, że dowiem się, z jakiego powodu.

– Jutro sobota. Muszę się zobaczyć z Julią, dłużej nie zamierzam czekać – stwierdziłem, dopijając resztkę whisky.

– Nie będzie łatwo, gadałem z nią dzisiaj rano. Nie zauważyłem jakiejś istotnej zmiany w jej nastawieniu. – Kris podrapał się po zmarszczonym nosie. – Pojechaliśmy tam z Alanem. Tłumaczył, że formalnie już przyjęli zgłoszenie o zaginięciu, ale i tak konkretne działania poszukiwawcze mogą wdrożyć nieco później. Nie chciała tego przyjąć do wiadomości. Jest w kiepskim stanie, szczerze mówiąc. Dobrze, że Wanda ją wspiera i ten twój ochroniarz. Siedzi przy niej na okrągło, chyba tam teraz zamieszka.

– Jack chce się przeprowadzić do Julki? – Odchyliłem się na krześle, zdumiony słowami Krisa. Nie sądziłem, że ten związek jest aż tak poważny.

– Na to wygląda. Słuchaj, Leo, myślę, że powinieneś odpocząć. Jutro się zastanowimy, co dalej.

Skinąłem głową na zgodę. Nawet nie wiem, kiedy opadłem z resztek sił. Natłok informacji okraszony alkoholem dokończył dzieła. Powlokłem się do łazienki.

– Leo! Obudź się!! – Poczulem szarpnięcie.

Z trudem otworzyłem oczy. Kris stał przy łóżku. Wyrwał mnie z tak głębokiego snu, że nie mogłem oprzytomnieć.

– Która to godzina, co jest grane? – Usiadłem, rozglądając się na boki.

– Pierwsza w nocy.

– Co się stało? Dlaczego jesteś w kurtce?

– Jadę do Julii, zadzwoniła do mnie.

– Co? Chryste, co się dzieje?

– Julka do mnie zadzwoniła przed chwilą. Prosiła, żebym natychmiast do niej przyjechał. Była przerażona i panikowała jak wariatka. Jadę tam.

– Poczekaj! Jadę z tobą! – Zerwałem się z łóżka, gdy tylko zauważyłem, że Kris kieruje się w stronę drzwi.

– Nie! – Odwrócił się natychmiast. – Powiedziała, że tylko ja mam przyjechać. Nie zamierzam jej spłoszyć. Zamówiłem taksówkę, już czeka na dole. Leo, jeśli chcesz, wstań i się ogarnij. Podjedź tam i poczekaj przed domem. Weź swój samochód, zawsze będziesz mógł nas podpatrzeć – zauważył trzeźwo.

– Okej, okej. Już wstaję. Jedź! – Nagle dla odmiany zacząłem go popędzać, chociaż od kilku sekund mówiłem wyłącznie do siebie.

Wyrwałem z apartamentu jak szarżujący dzik, po drodze łapiąc przypadkowe ciuchy i buty, jeszcze kluczyki, i już byłem w windzie, tam się ubrałem. Dogoniłem taksówkę, bo przy takim tempie nie było innej możliwości, ale zatrzymałem samochód na rogu ulicy, żeby się nie ujawnić. Wreszcie coś się działo. Serce waliło mi tak, że słyszałem je nawet w głowie. Nie zamierzałem czekać bezczynnie, musiałem wiedzieć, co się dzieje. Rozłożyłem oparcie fotela i ułożyłem się w miarę wygodnie. Już dawno nie próbowałem opuścić pódsjedzącego ciała. Udało się dopiero za trzecim podejściem, ledwo zdążyłem: Kris właśnie wszedł do domu Anny.

Julka siedziała na sofie, trzęsła się jak galareta. Gdy tylko Wanda wprowadziła Krisa, matka Anny wybuchnęła płaczem. W ręce trzymała jakąś kartkę, widziałem, że to list – był odręcznie napisany, po chwili poznałem pismo Anny.

– Wanda, możesz nas zostawić? – wyjąkała przez łzy Julia.

– Już wychodzę.

– Zamknęłaś dokładnie drzwi wejściowe?

– Tak.

Kris zrzucił kurtkę i usiadł obok Julki. Przysunąłem się jak najbliżej, nie mogłem uronić nawet słowa. Cały czas usilnie starałem się przeczytać cokolwiek: chociaż fragment wiadomości od mojej dziewczyny, niestety jej matka nie ułatwiała mi zadania. Drżała jak w febrze, co kilka sekund ocierała oczy chusteczką trzymaną w tej samej dłoni, w której dzierżyła kartkę.

– Spokojnie, co się dzieje? – Kris objął Julię.

– Dostałam list od Ani. – Podała mu kartkę trzęsącą się ręką.

– Kiedy?

– Dzisiaj po południu, ale nie wiem, kiedy przyniósł go listonosz, bo to Jack zauważył kopertę w skrzynce. – Ledwie mówiła przez szcękające zęby. Bez patrzenia na jej usta nie mógłbym zrozumieć ani słowa.

– Masz kopertę?

– Tak, nadane w Greenford. To urząd pocztowy niedaleko nas. Ania zaadresowała odręcznie.

– Mogę zobaczyć?

– Tak, proszę.

Kris chyba się domyślił, że jestem blisko, bo najpierw dokładnie przyglądał się kopercie, trzymając ją za narożniki. To była najzwyczajniejsza koperta dostępna we wszystkich londyńskich urzędach pocztowych. Raczej niczego się nie dopatrzył, bo odłożył ją na stół i skupił się na liście. Odsunął kartkę od siebie na taką odległość, że bez problemów mogłem zapoznać się z tekstem. Czytał na tyle długo, że dwa razy przebiegłem wzrokiem całą treść.

– No i? – Położył list obok koperty, niestety pustą stroną do góry.

– Od razu wiedziałam, że coś się dzieje niedobrego. Ten list jest tak idiotycznie napisany! – Julia chwyciła Krisa za rękę i potrząsała co sekundę. – Najpierw rozmawiałam z Anią przez telefon i już wtedy coś było podejrzanego, ona nigdy tak się nie zachowywała, a teraz ten list? Co za bzdury? Jakies pierdoły napisała, każe mi osobiście spotkać się z Wiktoria, mam uważać na to, co jem... Przecież ja nie miałam nigdy problemów z żołądkiem! Czytałam go chyba ze dwadzieścia razy, w końcu Jack kazał mi się położyć i pojechał do siebie po rzeczy, jutro ma się tu wprowadzić na kilka dni. Nie mogłam zasnąć, ciągle w głowie miałam ten list i nagle przypominałam sobie o szyfrze!

– Spokojnie. – Kris pogłaskał Julię po plecach. – Jakim szyfrze?

– Takim specjalnym do listów! To Janek, mój mąż wymyślił. Kiedyś pisaliśmy tak ze sobą. Nawet przyśnił się Ani, gdy miała może ze dwanaście lat, i we śnie ją tego nauczył! Próbowałam odczytać ten list, ale nie mogę sobie przypomnieć szyfru! – Szarpnęła za rękaw koszuli Krisa.

– Julio, wiem, że się denerwujesz, ale jestem przy tobie i zaraz znajdziemy rozwiązanie. Spróbuj się uspokoić, chcesz herbaty? Poproszę Wandę, żeby ci zrobiła.

– Nie chcę żadnej herbaty. Chcę odczytać tę wiadomość! – Julia była wyjątkowo zdeterminowana.

– Okej, coś odszyfrowałaś?

– Tak, pojedyncze słowa: *Jack, jest, powiedz, Jack, Kris, osobiście, uważaj, zły*. Jakieś bzdury! Nie wiem, gdzie robię błąd?! Wiem, że Ania coś mi chce przekazać! Boję się, bo intuicyjnie wyczuwam, że to coś złego! Nie wiem dlaczego, ale ci ufam, dlatego do ciebie zadzwoniłam.

Wróciłem natychmiast do ciała. Znałem szyfr i tylko ja mogłem pomóc.

Jack jest Habbatum. Powiedz tylko Krisowi osobiście. Uważaj. – Tak brzmiała wstrząsająca wiadomość od Anny. Większych kłopotów z odszyfrowaniem nie miałem, ale z dostaniem się do tej twierdzy, w którą zamienił się dom mojej dziewczyny? Z tym był poważny problem. Przyjaciółka Julii na mój widok zatrzasnęła drzwi. Dopiero przy wsparciu Krisa udało mi się wejść do środka. Przez dobre kilka minut Julia zawodziła, nie chciała mi pokazać listu, później ktoś przyniósł butelkę i nalał jej potężny kieliszek koniaku. Wypiła i ciut jej się polepszyło, ale i tak nie wiem, jak ogarnęliśmy cały ten chaos. Na szczęście Wanda wyniosła się na górę, poszła do sypialni Wiktorii. Chociaż tyle.

Tak czy owak, informacja była porażająca, zwłaszcza dla mnie i Krisa. Przez kilka minut nawet mojemu elokwentnemu kumpłowi zabrakło języka w gębie. Julia ciągle dopytywała, co oznacza Habbatum, a ja nie miałem pojęcia, co jej odpowiedzieć. W końcu się uspokoiła. Okryta kocem siedziała obok Krisa i cicho pochlipywała.

– Musimy pogadać. Julio, coś ci pokażę – westchnął Kris i powoli zaczął zdejmować bransoletę zegarka. – Widziałaś takie znamię?

– Boże! Ania ma identyczne! Od zawsze je miała, urodziła się z nim! – Julka była zszokowana.

– Wiem. Ania ma takie, ja, a Leo kiedyś też je posiadał, ale wyciął. Dureń jeden – burknął pod nosem Kris.

– Poczekajcie, zaraz pokażę bliźnię – powiedziałem.

Ochoczo zerwałem się z fotela i zacząłem rozpinać dzinsy. Też chciałem uczestniczyć w tej rozmowie.

– Nie trzeba, siadaj – ostudził mnie Kris. – Chyba że chcesz zobaczyć? – zwrócił się do Julii.

– Nie muszę. Ufam ci. – Pokiwała głową.

– Dobrze. Każdy z nas ma znamię po lewej stronie ciała. Twoja córka też?

– zadał pytanie, ale ton głosu wskazywał raczej na stwierdzenie tego faktu.

– Tak.

– W porządku, teraz powiedz mi jedną rzecz. Wiem, że spotykacie się z Jackiem, i domyślam się, że nie jest to platoniczny związek. Czy nie kojarzysz u niego znamienia w kształcie trójkąta, kolor kawy z mlekiem, taki złocisty? Gdzieś powinien mieć taki znak, ale po prawej stronie ciała. Zauważyłaś u niego ten trójkąt?

Julia wyraźnie się zmieszała, ale dosyć szybko potaknęła.

– Więc to już mamy ustalone. Teraz posłuchaj uważnie: twoja córka, ja i Leo posiadamy znamię Eperu, jesteśmy członkami plemienia o tej nazwie, a Jack i Dorothy są z Habbatum. Jasne?

– Tak – potaknęła, choć z widocznym trudem.

Widziałem, że jej mózg chyba zaczynał odmawiać posłuszeństwa. Prawie trzecia nad ranem, alkohol i to, co próbowaliśmy przekazać, zdecydowanie przekraczało możliwości Julii.

– Dorothy to kobieta, która uprowadziła Annę. To jej nauczycielka. Kojarzysz taką osobę? – Kris wnikliwie przyglądał się Julii.

– Uprowadziła?! Wiedziałam! Czuję to... – Matka Anny na chwilę zamknęła oczy.

– Niestety, tak. Znasz to imię?

– Ania coś mi o niej opowiadała. – I znów potaknięcie, ale tym razem słabsze.

– Ta kobieta jest w zмовie z Jackiem.

– Dorothy jest w zмовie z Jackiem? Przecież to mój chłopak, ochroniarz Leo! – krzyknęła rozpaczliwie.

– Mnie też oszukał – szybko się wytłumaczyłem, chociaż nie usłyszałem w głosie Julii nawet nuty oskarżenia.

– Jack to taki dobry człowiek. Troszczy się o mnie, zakochałam się w nim...

Drżący głos zwiastował kolejną falę łez, szybko więc napełniłem kieliszek i podałem Julii. Wypiła duszkiem. Niestety, koniak nie pomógł. Razem z Krisem patrzyliśmy bezradnie, jak matka Anny zalewa się łzami. Nie mogłem tego znieść, usiadłem obok i mocno ją objąłem. Rozszłochała się na dobre. Przez kilka minut tuliłem ją w ramionach, spoglądając co jakiś czas na mojego kumpla. Był tak samo poruszony jak ja. Obaj wiedzieliśmy, że Julia przeżywa

właśnie ciężkie chwile. Wcześniej straciła męża, a teraz się okazało, że mężczyzna, którego pokochała, jest zdrajcą i przyczynił się do porwania jej córki.

W końcu się uspokoiła i wysunęła z moich ramion, ale ciągle trzymała za rękę. Odetchnąłem z ulgą, chyba mi ufała. Topór wojenny i wiadro wątpliwości zostały komisyjnie zakopane.

– Przepraszam. Już mi lepiej – wymamrotała. – Macie może chusteczkę?

– Skąd ja to znam? – Kris wyciągnął foliową paczuszkę.

– Dzięki. Możesz mówić dalej.

– Na pewno?

– Uhm.

– Może tak będzie najprościej: Eperu są dobrzy, a Habbatum źli. Rozumiesz? – powoli tłumaczył Kris.

– Tak, Eperu dobrzy... – wymamrotała przez w półzamknięte usta i zamilkła.

– A Habbatum źli – dokończyłem cicho.

Julia zamknęła oczy i wsparła się na moim boku. Objąłem ją ramieniem i znów lekko przytuliłem.

– No i mamy zgon – podsumowałem minutę później.

– A poza tym nie mały problem. Co robimy? Jakies pomysły? Jack to twój ochroniarz. – Kris parsknął śmiechem.

– Wypchaj się – mruknąłem. – Lepiej mi pomóż.

Delikatnie ułożyliśmy matkę Anny na sofie. Leżała przykryta kocem i postękiwała przez sen. Przysunąłem fotel, usiadłem blisko i chwyciłem ją za rękę. Po chwili zapadła cisza.

– Boże, co za cyrk! Swoją drogą, sprytna ta twoja Mała, coraz mniej się o nią martwię. Ciekawe, po kim taka kuta na cztery nogi? – Kris spoglądał na nas z rozbawieniem.

– Raczej nie po matce. – Rzuciłem wzrokiem na śpiącą Julię.

– No raczej. – Uśmiechnął się.

– Jaki plan?

– Zostajemy tu do rana. Gdy Jack wróci, udajemy Greka i tyle. Zdaj się na mnie, coś wymyślę. Ja zawałem, ukrywając prawdę, i ja zamierzam to naprawić.

– Kiedy on ma przyjechać?

– Wanda mówiła, że koło dziesiątej. Zanim zgłosi się z trasy, musimy obudzić Julię i coś zaimprovizować. Uda się! – Kris odzyskał rezon.

Bezwiednie uniosłem brwi, nie bardzo wierzyłem w powodzenie tej akcji.
– Nastaw budzik w komórce, ósma będzie w sam raz. To co? Ty śpisz z teściową w salonie, a ja idę się kimnąć na pięterko... – Znow się zaśmiał.

* * *

– Naprawdę jesteś dobra. – W głosie Dorothy usłyszałam podziw.
Nie zauważyłam, kiedy weszła do pokoju. DJ Snake skutecznie zagłuszał wszystko, włącznie z moimi postękiwaniami. Podniosłam oczy na niespodziewanego gościa.

– Nie krępuj się, trenuj – rzuciła od niechcienia.
– Już skończyłam, Sue wyłącz się. – Klapnęłam na krzesło. Przez chwilę dyszałam ciężko, ale kilka łyków wody pomogło mi odzyskać oddech. – Czego chcesz?
– Też się cieszę, że cię widzę. Poczekam, aż się uspokoisz. Co to za ćwiczenia?

– Pompki.
– Dziwne te pompki – stwierdziła, stojąc obok wejścia i przyglądając się spod lekko przymrużonych powiek.
– Specjalne, dla osób z problemami – zbyłam ją.

Nie miałam zamiaru wtajemniczać Dorothy w szczegóły programu mojego treningu interwałowego. Otarłam twarz ręcznikiem. Pot lał się strumieniami mimo klimatyzacji.

– Jakie ty masz problemy? – dociekała ironicznie.
– Z kręgosłupem, przecież ci mówiłam – odparłam równie dowcipnie.
– Zapomniałam.
– Polecam te białe pigułki, którymi mnie pasiesz od tygodnia. Ponoć poprawiają koncentrację. Chętnie odstąpię mój przydział. – Uśmiechnęłam się od ucha do ucha.

– Zrobiłaś się strasznie wyszczekana. Nie poznaję cię. – Dorothy powoli podeszła i usiadła naprzeciwko.
– Jeśli cię to pocieszy, ja też się nie poznaję. – Pokiwałam głową. – Powinnaś być dumna, twoje leki działają.

– To nie leki, po prostu zmieniasz się w Wędrowca.
Miała rację. Od kilku dni czułam się inaczej, przede wszystkim przestałam się bać. Strach gdzieś się ulotnił, zastąpiony determinacją, żeby za wszelką

cenę wydostać się z tego miejsca. Z dnia na dzień przybywało mi wewnętrznej siły i pewności, że uda mi się uciec. Jedyne, co naprawdę mnie niepokoiło, to fakt, że nadal nie poznałam powodów, dla których zostałam uprowadzona i jestem przetrzymywana.

– Przeklinasz – zachichotała Dorothy, znacząco unosząc swoje wymodelowane brwi.

Wiedziałam, do czego pije: dzień wcześniej tak intensywnie trenowałam latanie, że zagapiłam się i nie zdążyłam wrócić do ciała przed upływem pięciu minut. Ból rozsadzał głowę, trwało to może kilka–kilkanaście sekund, ale było na tyle okropnym przeżyciem, że parę niecenzuralnych słów mi się wymknęło. Byłam w szoku, nigdy wcześniej nie używałam wulgaryzmów.

– Przepraszam, nie wiedziałam, że nie wolno – ironizowałam.

– Wolno. Akurat tego ci nie zabraniam.

– Zbytek łaski – prychnęłam. – No dobrze, czego chcesz? – spytałam niezbyt grzecznie.

– Julia wczoraj wyjechała z miasta. Jack chciał dotrzymać jej towarzystwa, ale się nie zgodziła. Poprosiła go o przerwę, a tak naprawdę to zerwała z nim. Jestem pewna, że masz coś z tym wspólnego. Myle się? – Świdrowała mnie wzrokiem.

– Tak, mylisz. Nic mi o tym nie wiadomo. Zresztą, jak mogłabym wpłynąć na mamę, skoro ja jestem tu, czyli nie wiadomo gdzie, a ona w Londynie? Telepatycznie? Chyba mnie przeceniasz, nie posiadam takich umiejętności.

– Napisałaś list – przypomniała mi Dorothy.

– Przecież go czytałaś – wypaliłam. – Dlaczego zerwali? Gdzie wyjechała mama? – Pytaniami starałam się przykryć emocje, które mną targały. Wiedziałam, że mamie udało się odszyfrować wiadomość i powiadomić Krisa, że ze strony Jacka grozi im niebezpieczeństwo.

– Dlaczego zerwali? – powtórzyła za mną Dorothy. – Raczej twoja mamusia tak postąpiła. Sądziłam, że to ty mi zdradzisz powody. Poleciała do Polski, do swoich rodziców.

– Do babci Jani? Sama? – dopytywałam, udając kompletnie zaskoczoną, chociaż częściowo faktycznie się zdziwiłam. Nie wpadłabym na pomysł ucieczki w góry.

– Z Krisem. Bardzo mnie interesuje ta ich dziwna, nagle powstała zażyłość. Możesz mi to jakoś wytłumaczyć? – Dorothy nachyliła się nad blatem stolika i spojrzała, jakby chciała przeświecić mi głowę.

Czekałam, aż oprze się z powrotem. Po chwili intensywnego skanowania mojej twarzy Dorothy ustąpiła. Upiłam trochę wody, zmarszczyłam czoło, jakbym się nad czymś zastanawiała.

– Co do Krisa i mamy, nawet nie wiedziałam, że się poznali, bo i skąd? – Znów zagrałam niczego nieświadomą idiotkę. Na szczęście coraz lepiej mi to wychodziło. – Kiedy to się stało?

– W poniedziałek. Świeża sprawa, jeszcze nie ma tygodnia, a tu proszę: od razu taka komitywa! Kris pomaga cię odszukać, życzę powodzenia! – Parsknęła śmiechem. – On i jakiś gliniarz. Oczywiście nieoficjalnie, bo policja nie przyjęła zgłoszenia. Naopowiadałaś matce o tym, jak to Kris odnalazł Leo, i teraz Julia ślepo wierzy w jego możliwości. A właśnie, Leo! Coś ci za chwilkę pokażę – zaśmiała się. – Weź kąpiel, a ja za kilka minut będę z powrotem.

Błogosławiłam w duchu tę zwłokę, musiałam ochłonać. Chłodny prysznic zdecydowanie poprawił stan mojego ciała, przy okazji niezłe ożywiając ducha. Dorothy bardzo mnie zaskoczyła informacją o wyjeździe mamy, nie spodziewałam się takiego obrotu sprawy. W mojej głowie kłębiły się wątpliwości: na jak długo mama uciekła, co z jej pracą, co z Jackiem i ostatnie – co działo się z Leo? Szczęśliwie, na to pytanie miałam poznać odpowiedź. Ledwie zdążyłam się przebrać, gdy do mojego pokoju wkroczyła Dorothy, dzierżąc pod pachą dosyć dużą skórzaną teczkę.

– Zainstalowaliśmy ci nowy kanał, musisz mieć trochę rozrywki. – Rozsiadła się wygodnie. – Sue włącz się, ulubione, Star TV, archiwum z dwunastej trzydziści.

Przez kilka minut oglądałyśmy plotkarski magazyn. Byłam pewna, że wkrótce na ekranie pojawi się mój ukochany chłopak. Staralam się zachować równowagę, ale serce waliło mi coraz szybciej i gdy w końcu zobaczyłam twarz Leo, nie mogłam powstrzymać łez.

– Proszę, proszę, jakaś słaba ta wasza miłość? – Dorothy ironicznie podsumowała telewizyjną relację. – Znikasz gdzieś, Julia szaleje z niepokoju, a tymczasem twój facet leci za ocean, żeby wziąć udział w castingu. Na marginesie, udało mu się i podpisał kontrakt. Grać u Rickmana to duża rzecz... – Pokiwała głową z uznaniem. – Żeby było jeszcze zabawniej, jutro wylatuje do Kanady na zaległe zdjęcia. Uwaga, z kim? – Przerwała i popatrzyła na mnie przez moment. – Otóż z Jackiem, odrzuconym kawalerem twojej mamusi.

– Jack jest ochroniarzem Leo, to chyba nic dziwnego, że razem podróżują –

burknęłam.

– Tak samo naturalne jest to, że Kris dotrzymuje towarzystwa Julii, a Leo zupełnie nie przejął się twoją nieobecnością. Bierzesz mnie za idiotkę?

– Przecież powiedziałam mamie, że skończyłam mój związek z Leo. Może mu to przekazała i stąd jego obojętność – zasugerowałam.

– Nie bredź! Obie dobrze wiemy, że Leo szaleje za tobą. Nigdy by nie uwierzył w te bzdury, którymi nakarmiłaś Julię! I on, i Kris wiedzą, że to ja cię porwałam. Coś się dzieje! Ten ruch Julii musiał być czymś spowodowany! Jeśli to ty za nim stoisz, gwarantuję, że dowiem się, jak to zrobiłaś! Poza tym co ci to dało? Mam wszędzie swoich ludzi, tutaj, w Kanadzie, w Londynie i nawet w Polsce w tych przeklętych górach, gdzie ukrywa się twoja matka! – Podniosła głos, nietrudno było zauważyć, że jest zdenerwowana.

W myślach gorączkowo analizowałam każde słowo Dorothy:

...mam wszędzie swoich ludzi, tutaj, w Kanadzie, w Londynie i nawet w Polsce...

...tutaj, w Kanadzie, w Londynie i w Polsce...

Nagle dotarł do mnie ich ukryty sens. Nie wiedziałam, gdzie jestem, ale Kanadę i Polskę mogłam skreślić. Moją obecną ojczyznę też odrzuciłam, to byłoby zbyt oczywiste. Stany raczej odpadały ze względu na monitoring na lotniskach. Od razu by się wydało, gdzie i kiedy wybyłyśmy z Londynu.

Dorothy chyba zauważyła, że intensywnie rozmyślam, bo nagle pociągnęła mnie za ramię.

– Hej! Mów! Jak skontaktowałaś się z matką? Jak ją namówiłaś do ucieczki?

– Nie namówiłam mamy do żadnej ucieczki! Niby jak miałam to zrobić? – jęknęłam, pocierając rękę. Prawie nie poczułam szarpnięcia, ale nie chciałam ujawniać, jak bardzo jestem wyćwiczona.

– Pogrywasz ze mną? Zaraz się dowiem, jak to zrobiłaś! – Dorothy odpięła zamek skórzanej teczki.

* * *

– Leo, nie zachowuj się jak idiota. Tylko spokojnie – wymamrotałem do siebie.

Sekundę wcześniej cudem udało mi się uniknąć wypadku. Ledwie wyjechałem od rodziców, a tak odpływałem myślami, że minąłem właściwy

zjazd na autostradę. Teraz z kolei pokonałem skrzyżowanie na czerwonym świetle. Ewidentnie nie mogłem się skupić.

Już ponad dwa tygodnie upłynęły od porwania Anny. Zaczął się listopad, pogoda była obrzydliwa. To też nie pomagało. Uchyliłem okno. Chłodne powietrze uderzyło w twarz, od razu mnie otrzeźwiając.

Starałem się funkcjonować, jak gdyby nic się nie wydarzyło. Odwiedzałem agencję, pracowałem nad nową rolą, wszystko miało wyglądać tak, jakbyśmy nie odszyfrowali wiadomości od Anny. O tym, co odkryliśmy w liście, wiedzieliśmy tylko ja, Kris i Julia. Kris opracował plan. Polecił Julii, żeby wycofała zgłoszenie o zaginięciu córki i zerwała z Jackiem, czy też zaproponowała mu przerwę w związku, jak zwał, tak zwał. Kolejnym etapem był wyjazd Julii do rodziców. Teoretycznie matka Anny miała wytłumaczenie: załamała się „ucieczką” córki i chciała побыć z najbliższą rodziną.

Najgorsze zadanie stało przede mną. Musiałem zachowywać pozory. Jako porzucony facet, znieawidzony przez niedoszlą teściową, udawałem gościa, który stara się pracą zabić czas. Kris tak zarządził, a ja starałem się ze wszystkich sił jak najlepiej wczuć w rolę, chociaż to było najtrudniejsze wyzwanie, z jakim miałem do czynienia w całej mojej karierze.

Umierałem z tęsknoty i ze strachu o Annę. Nie mogłem spać, godzinami kręciłem się na łóżku. Sen ledwie się zaczął, a już uparcie umykał lub przeistaczał się w koszmar. Czasami wstawałem i szedłem po kieliszek wina lub czegoś mocniejszego. To też nie przynosiło ukojenia. Nad ranem padałem znużony, by z lękiem zerwać się jeszcze przed dzwonkiem budzika. Gdy w ciągu dnia na chwilę zostawałem sam, natychmiast zaczynałem rozmyślać. Żeby nie zwariować, starałem się ciągle przebywać z ludźmi – im bardziej absorbującymi, tym lepiej. Na wyjazdach spędzałem większość czasu, z kim popadło. Żadnego siedzenia w hotelu. Wychodziłem z ekipą na piwo i siedziałem w knajpie aż do późna w nocy. Dosyć dobrze udawało mi się symulować pijanego gościa. Pilnowałem się bardzo, na szczęście moi znajomi szybko przestawali trzeźwo myśleć. Dopiero gdy oni padali z przepicia, a ja przewracałem się ze zmęczenia, wracałem do pokoju i leżałem jak kłoda.

Tylko fanki były szczęśliwe. Pewnie uznały, że wróciłem do gry. Już nie uciekałem w popłochu na widok dziewczyn biegnących, żeby cyknąć mi fotkę, najlepiej selfie. W czasie pobytu w Quebecu jednego wieczoru zabalowaliśmy w małej, przytulnej knajpce o dwuznaczej nazwie: Mister BIG. Chyba właśnie wtedy pobiłem życiowy rekord w liczbie rozdanych autografów.

Akurat odbywał się tam wieczór panieński. Lisa, przyszła panna młoda, zaprosiła kilkanaście koleżanek, a my, czyli pięcioosobowa ekipa z planu, skwapliwie dołączyliśmy do imprezy.

Dziewczyny się upiły, moi kumple również. Nie wiadomo kiedy zbiegło się tam pół miasteczka. Oczywiście wszyscy rozdawali autografy, włącznie z Jackiem, operatorem Terrym i oświetleniowcem Thomasem. Starłem się zachowywać względnie spokojnie, za to chłopaki dali do wiwatu. Thomas podpisywał się jedynie na dekoltach dziewczyn, a Terry? Do uwiecznienia swojego podpisu wybierał jeszcze bardziej oryginalne miejsca, a ostatnią godzinę imprezy spędził jako niespełniony wcześniej Chippendale. Wyglądało to dosyć interesująco.

Na szczęście nic kompromitującego nie wypłynęło do sieci, zresztą nawet gdyby tak się stało, nie miałem innego wyjścia. Przecież udawałem porzuconego kolesia, który z dziką satysfakcją cieszy się z odzyskanej wolności, i chyba dobrze mi wychodziło, zwłaszcza w obecności Jacka. Byłem pewny, że nawet gdyby do Anny dotarły jakieś informacje, zrozumie, że to tylko gra.

Nie mogłem doczekać się relacji z Polski. Sam nie miałem zbyt dużo do powiedzenia. Trzy dni w Kanadzie, oprócz knajpianych ekscesów, nie obfitowały w nadmiar wrażeń, ot zwykłe zdjęcia jak tysiące innych, ale jedną sensację miałem w zanadrzu.

Zaparkowałem samochód i ledwo wysiadłem, utopiłem się po kostki. Kałuże na Saint Andrew's Road przypominały małe jeziora. Skokami pokonałem drogę do domu Krisa.

– Wchodź! – Gospodarz szybko zamknął drzwi wejściowe. – Byłeś u rodziców?

– Tak, jadę prosto od nich. – Zzułem kompletnie przemoczone buty. – Co za bajoro macie przed domem?

– Przez ostatnie dwie godziny tak dolało. Co u nich? Długo siedziałeś? – rzucił zza pleców.

Pospieszyłem za nim, zostawiając mokre ślady na wykładzinie.

– Ze trzy godziny. Wszystko w porządku. – Usiadłem na sofie i powoli zsunąłem skarpety.

W kilku zdaniach zreferowałem przebieg wizyty. Nie chciałem się nad nią rozwodzić, bo kosztowała mnie sporo emocji. Moje odwiedziny wywarły na rodzicach ogromne wrażenie. Ostatnio pojawiłem się u nich w lipcu, to były

pamiętne odwiedziny z Anną, później uciekłem do Australii, prawie trzy miesiące nie dałem im znaku życia, jak zresztą wszystkim. Gdy przekroczyłem próg domu, Ruby popłakała się na mój widok. George przez pierwsze dwie godziny prawie się nie odzywał, w końcu mu przeszło, ale wiedziałem, że ma do mnie żal.

– Dobrze, że w końcu ich odwiedziłeś – lakonicznie podsumował moje wynurzenia Kris. Może wyczuł, że nie chcę o tym mówić. – A co w Kanadzie?

– Nie widziałeś? Zgodnie z zaleceniami, panie reżyserze – zaśmiałem się.

– Jeśli ci chodzi o akcję w pubie, owszem, widziałem. Nieźle ci poszło. Coś poza tym?

– Mam newsa. – Uniosłem brwi. – Jack gdzieś wsiąknął. Zaginął w dniu odlotu. Wyjechał do Ottawy kilka godzin przed startem samolotu. Stwierdził, że musi coś kupić w sklepie dla myśliwych. Mieliśmy się spotkać na lotnisku, niestety nie dotarł.

– Dzwoniłeś?

– Oczywiście. Najpierw telefon był wyłączony, a teraz włącza się informacja, że nie ma takiego numeru. W agencji musi być adres Jacka. Może to wykorzystajmy?

– Chyba nie liczysz na to, że czeka na nas w domu? – Kris parsknął śmiechem.

– Zorientował się, że go zdemaskowaliśmy?

– Raczej nie, ale wykluczyć tego nie można, zwłaszcza że od Małej zero wiadomości. Szkoda, że Julia nie dała rady dalej z nim kręcić.

– Szkoda. – Pokiwałem głową.

Żałowałem. Gdy matka Anny obudziła się nazajutrz po odszyfrowaniu wiadomości, prawie natychmiast postanowiła zerwać z Jackiem. Siedzieliśmy w trójkę w kuchni, pijąc poranną kawę, a Julka tłumaczyła: „Nie umiem udawać, że wszystko jest w porządku”. Namawiałem ją, żeby wytrzymała choć tydzień, że jej pomogę, ale znów wybuchnęła płaczem. Łkała, że nie zniesie towarzystwa zdrajcy. Pytała, co ma zrobić, gdy Jack będzie chciał ją dotknąć, pocałować. Jak ma zapomnieć o tym, co ten dwulicowiec zrobił jej i Annie? W końcu Kris zaproponował, żeby wyjechała do rodziny, a Julia natychmiast skwapliwie na to przystała.

– Jest bezpieczna? – spytałem.

– O tak, dwójka jej pilnuje. Babka i facet.

– Od Alana?

– Nie, to prywaciarze. Rodzeństwo.

– Dobrzy są? – dopytywałem.

– Najlepsi. Sam diabeł im nie poradzi. Rosjanie. Natasza i Igor.

– Drodzy?

– Trochę, i od razu uprzedzam: nie wyrywaj się z kasą. Ja stawiam, czuję się winny całej sytuacji. A skoro mowa o stawianiu, zamówię pizzę, chociaż ty pewnie jesteś najedzony? Znam Ruby, na głodnego by cię nie wypuściła, ale ja chętnie coś przeżuję. – Kris sięgnął po komórkę.

– Kawalkiem margarity nie pogardzę, ale zamów dobrą. Od Włocha. – Zaśmiałem się, wstając z krzesła. – Zaraz wracam.

– Uważaj, moje Astrum tam nie sięga – mruknął Kris.

– Nie zamierzam rozmawiać z pisuarem, a jeśli chodzi o wrażenia wizualne, nie mam się czego wstydzić – odgryzłem się, wychodząc z salonu.

– Mówisz? – Mój kumpel zarechotał w odpowiedzi.

– Jak ona to przyjęła? Co jej powiedziałaś? – Gdy nasyciliśmy głód, wróciłem do rozmowy.

Ciekaw byłem reakcji Julii. Kris poleciał z nią do Polski i został tam kilka dni. Jeszcze przed podróżą ustaliliśmy, że na spokojnie opowie Julii o Wędrowcach. Uznałem, że nie ma innego wyjścia, matka Anny musiała poznać o nas prawdę.

Kris leniwie odsunął pudełko po pizzy na środek stołu. Podniósł dzbanek i spojrzał pytająco. Nie miałem już ochoty na sok, pokręciłem głową. Nalał sobie i wypił kilka łyków. Sprawiał wrażenie osoby, która odwleka, ile się da, wykonanie nieprzyjemnej czynności.

– Zamierzałem powiedzieć jej wszystko poza tym, że nie możemy mieć dzieci i że to Debora stała za zakończeniem naszych poprzednich wcieleń – rozpoczął.

– To już pewne, że i mnie załatwiła?

– Raczej tak, na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. – Zasepił się.

– Dobrze zrobiłeś. Nie wiem, jak Julia zniosłaby świadomość, że jej córka znajduje się łapach takiej bezwzględnej baby... – Ciężko westchnąłem. – No i jak to się odbyło?

– Zaskakująco... – Kris popatrzył na mnie z zagadkową miną. – Do domu dziadków Anny dotarliśmy pod wieczór, swoją drogą, bardzo mili i gościnni

ludzie. Nazajutrz rano poszliśmy z Julką na dłuższy spacer. Wiesz, że w tej ich małej wiosce jest po kolana śniegu? Ojciec Julii pożyczył mi zimowe trapery.

– Może nie baw się w Hitchcocka i nie buduj napięcia. Zwłaszcza teraz. – Zniecierpliwiłem się. – Powiesz mi w końcu, jak wyglądała wasza rozmowa?

– Nijak. Nic jej nie powiedziałem.

– Co?! Przecież się umówiliśmy! Nie! W co ty grasz, Kris?! – Zerwałem się z krzesła i zacząłem nerwowo krążyć wokół stołu.

Byłem wściekły, Kris mnie zawiódł. Wiedziałem, że nie podobał mu się pomysł z ujawnieniem naszych tajemnic Julii, ale przecież w końcu się na to zgodził.

– Usiądź. Zaraz ci wytłumaczę.

– Co mi wytłumaczysz? Zawaliłeś! Znow ukrywasz prawdę! – Zatrzymałem się i spojrzałem na Krisa.

– Nic jej nie powiedziałem, ponieważ nie zechciała mnie wysłuchać – stwierdził dobitnie. Chyba zauważył, że mam wątpliwości, bo pokręcił głową. – Leo, usiądźże wreszcie i daj mi wyjaśnić.

Klapnąłem na krzesło.

– Julia nie zgodziła się na rozmowę. Spytała, czy za wyjawienie prawdy grożą nam jakieś konsekwencje, i gdy potwierdziłem, zdecydowała, że nie musi jej znać. Powiedziała, że znak Eperu wystarczy, aby nam zaufać.

– I to tyle? – byłem zszokowany.

– Tak. Martwi się o córkę, więc ją uspokoiłem. Moim zdaniem Debora nie zamierza fizycznie skrzywdzić Anny, przynajmniej na razie. Julia zawlokła mnie do małej kapliczki, kazała klęknąć i przysiąc na rany Ukrzyżowanego, że Ance nie spadnie włos z głowy. – Zaśmiał się. – Długo nad tym myślałem i jestem stuprocentowo pewien, że porwanie ma związek z Johnem, dziadkiem Małej. Przedyskutowałem to z Julią. Poprosiłem, żeby przybliżyła mi wszystko, co miało z nim związek, przekazała każdą informację, którą posiada. Przygotowałem sporo notatek, już dałem je Alanowi, ma szukać. Rozmawiałem z Rosjanami, prędzej czy później też coś znajdą. Musimy dotrzeć do tego człowieka, a raczej śladów po nim. Intuicyjnie czuję, że to właściwy trop.

– A dlaczego w poprzednim wcieleniu uśmierciła ciebie i mnie? I dlaczego sama przeniosła się do następnego? Po co jej Anna? – Nadal miałem mnóstwo wątpliwości, mimo że pokrzepiły mnie jego słowa, a zwłaszcza pewność, z jaką je wypowiadał.

– Niestety, tego nie wiem, ale dowiem się prędzej czy później, choćbym miał złamać wszystkie zasady. – Kris uderzył pięścią w blat stołu.

– Żałujesz, że nie zachowaliśmy tajemnicy przed śmiertelnikami? Coś jednak zdradziliśmy Julii. Wie, że ciebie, mnie i Annę łączy jakaś tajemnicza więź. Wie o Habbatum.

– A mieliśmy inne wyjście? – Kris wzruszył ramionami.

– Jak myślisz, jakie poniesiemy konsekwencje? A tak w ogóle, skąd pochodzi twoja wiedza o Wędrowcach? – zapytałem po dłuższej chwili. – Nigdy mi tego nie zdradziłeś.

– Mam nadzieję, że tylko ja poniosę ewentualne konsekwencje. Formalnie rzecz biorąc, to ja zdradziłem wszystko Julii. A co do mojej wiedzy... Wielu rzeczy jeszcze ci nie powiedziałem. Złożyłem przysięgę milczenia komuś... – zawiesił głos – ...kto przekazał mi całą tę wiedzę. Niestety, już i tak złamałem słowo, więc chyba możesz poznać całą resztę.

– Jeśli nie chcesz, nie nalegam. – Zauważyłem, że nasza rozmowa przybrała dosyć nieoczekiwany obrót.

– Zaslługujesz na to. Nigdy tego nie mówiłem, ale kocham cię jak syna. Nie mam własnych dzieci, i to ty jesteś najbliższym mi człowiekiem.

– Dzięki... – Chrząknąłem zakłopotany.

Kris rzadko zdobywał się na taką wylewność i widziałem, że sporo go to kosztowało. Poczułem dziwne skrępowanie, gdy spostrzegłem, jak kilka razy szybko zamrugał i dyskretnie otarł coś połyskującego w kąciuku oka.

– Co jeszcze wiem? – kontynuował. – Nie jest tego dużo. Ponoć na świecie żyje trzydzieści troje Wędrowców. Najlicniejsza grupa to tacy jak my, inni pochodzą z plemienia Habbatum i jest jeszcze jakieś tajemnicze trzecie plemię, ale nic o nim nie wiadomo.

– Kris! – Nagle coś wpadło mi do głowy. – Ciekawe, jakie znamię miał ojciec Anny? Przecież musiał je mieć! – Byłem w szoku. Jak mogłem zapomnieć o tak istotnym szczególe! – Musimy spytać Julię!

– Już to zrobiłem. – Kris natychmiast mnie uspokoił. – Odpowiedź była bardzo zaskakująca. Otóż, według Julii, jej mąż nie posiadał żadnego znaku.

– Nie? Może znamię było w bardzo trudnym do zauważenia miejscu albo Jan je usunął? – zasugerowałem.

– No wiesz... – chrząknął znacząco. – Julia miała wiele okazji, aby dobrze pooglądać męża. Stwierdziła, że nie miał żadnych blizn ani znaków szczególnych poza kilkoma małymi pieprzykami.

– Jak to możliwe? To nie on był biologicznym ojcem Anny?! – Wytrzeszczyłem oczy.

– Zasugerowałem to Julii. Strasznie się oburzyła. Przysięgła, że mąż był jedynym mężczyzną, z jakim wtedy utrzymywała intymne kontakty. Poza tym przypominam, że podobieństwo fizyczne między Anną a Janem jest uderzające. Prawdopodobnie właśnie Jan pochodził z tego trzeciego plemienia.

– Na to by wychodziło – sapnąłem.

– Dobrze, jedziemy dalej. Gdy członek plemienia Eperu popełni jakąś zbrodnię, postępuje źle i swoim życiem szkodzi innym, ale również i sobie, wówczas w następnym wcieleniu rodzi się jako Habbatum. Już wiesz, dlaczego ostrożnie podchodzę do używek?

– Teraz rozumiem – potaknąłem. Kris zawsze mi truł, gdy tylko sięgałem po coś mocniejszego.

– Skąd to wszystko wiem? Obecnie przeżywam dwunaste wcielenie. Oprócz ciebie i Anny poznałem jeszcze troje Wędrowców. Pierwszą była kobieta. Miała na imię Katarzyna, ale kazała na siebie mówić Dalila. To jej w tysiąc pięćset osiemdziesiątym szóstym roku złożyłem przysięgę milczenia.

– Chryste! – jęknąłem z wrażenia. – W szesnastym wieku?

– A jakże, w szesnastym... – potwierdził Kris.

Nie mogłem sobie tego wyobrazić. Z wrażenia zaschło mi w gardle. Sięgnąłem po dzbanek z resztką soku i nalałem go do szklanek, starając się napęłnić je równo. Chyba potrzebowałem kilkunastu sekund, żeby przetrwać tę wstrząsającą informację. Bądź co bądź, nieczęsto człowiek się dowiaduje, że jego najbliższy kumpel, z którym właśnie rozmawia, ma ponad czterystuletnie doświadczenie życiowe.

– Jak wtedy było? – spytałem, podając mu szklankę.

– Śmierdząco – odparł z dziwnym uśmiechem, wyglądającym raczej jak grymas.

– To znaczy? – Wlepiłem w niego spojrzenie.

– Dokładnie tak, jak powiedziałem. Leo, to były inne czasy. Wszystko cuchnęło: ludzkie fekalia płynące strugami po ulicach, kloaczne doły, odchody zwierząt, gnijące odpadki jedzenia, fetor z jatek, spocone i niemyte ciała. Tylko małe dzieci nie śmierdziały, a reszta... – Machnął ręką. – Mój rówieśnik, o ile jeszcze żył, był wrakiem. Nie miał połowy zębów, a jego ciało było ciałem starca. Z powodu warunków, bo gdziekolwiek byś zaszedł, tam trafiałeś na smród, brud i robactwo. Gdy o tym myślę, dziwię się, że to

wytrzymywaliśmy. Tysiące wszy, pluskiew, pcheł, dziesiątki chorób, w większości śmiertelnych, świerzb, kołtuny we włosach i zepsute zęby. Do wyboru, do koloru.

– Nie mylicie się? – spytałem, odruchowo drapiąc się w głowę.

– Owszem, ale rzadko. W lecie można było wskoczyć do rzeki i przy okazji zabawy wziąć kąpiel. A w zimie? Gdybyśmy mogli przenieść się w czasie, umarlibyśmy tam po tygodniu. I na odwrót: przeciętny człowiek z tamtej epoki po kwadransie spędzonym w chlorowanej wodzie, umyty żelem o zapachu zielonego jabłuszka i nakarmiony chemicznym żarciem – szturchnął pusty karton po pizzy – skończyłby podobnie, o ile nie jeszcze szybciej.

– Wychodzi na to, że telewizja kłamie. – To była aluzja do jednego z moich filmów z tej właśnie epoki.

– Kłamie, bo przedstawia tylko obraz i dźwięk. Zawsze mnie śmieszą filmy pokazujące jakiegoś nieszczęsnego młodzieńca, który prosto ze średniowiecznego zamku teleportował się na ulice Manhattanu i dziarsko je przemierza. Po minucie padłby z powodu wstrząsu anafilaktycznego.

– Nie da się ukryć – parsknąłem śmiechem. – Powinieneś to opisać.

– A wiesz, że już tak zrobiłem. Napisałem pewnego rodzaju biografię, w formie siedmiu pamiętników, każdy z innym narratorem. Wydam je pośmiertnie.

– Dlaczego?

– Żeby uniknąć zbędnych pytań. – Kris porozumiewawczo mrugnął. Wypił szybko skromną zawartość szklanki, odstawił ją, oparł się wygodnie i kontynuował swoją fascynującą opowieść:

– Wrócę do Dalili. Mieszkała w małej, rozpadającej się chacie na skraju naszej wsi niedaleko Utrechtu. Wieść niesła, że została porzucona przez cygański tabor, bo nie chciała wyjść za dużo starszego mężczyznę. Jeszcze jako dzieciak przychodziłem do niej razem z rówieśnikami posłuchać, jak śpiewa. Głos miała piękny, znała wiele melodii, śpiewała w różnych językach, niestety my większości z nich nie rozumieliśmy.

– Z czego się utrzymywała?

– Głównie z ziołolecznictwa. W lecie sprzedawała runo leśne, a w zimie plotła dywaniki. Potrafiła szyć, więc z tego czasami skapnęło jej trochę grosza. Kiedyś, już jako dorosły mężczyzna, odwiedziłem ją późnym wieczorem i jak łatwo się domyślić, zostaliśmy parą. Wówczas liczyłem sobie zaledwie dwadzieścia jeden wiosen, a ona zbliżała się do czterdziestki, można

by rzecz, była już starą kobietą. Mężczyźni w tamtych czasach nigdy nie żenili się ze starszymi partnerkami, raczej z młodszymi, czasem nawet z dziećmi. Dlatego skrzętnie ukrywaliśmy nasz związek.

– Poczekaj – wtrąciłem się. – Skoro była taka leciwa, czy jej stan zdrowia, wygląd...

– I tu cię zaskoczę – przerwał mi Kris. – Dalila chyba się nie starzała. Była zdrowa i wyglądała jak obecne trzydziestolatki. Do dzisiaj nie znam wytłumaczenia tego faktu.

– Byłeś zakochany, wtedy inaczej postrzega się rzeczywistość – zasugerowałem.

– Mylisz się. Ona naprawdę była piękna. – Kris rozmarzył się na moment. – Oczywiście rozpoznała moje znamię i uświadomiła mi, kim jestem. Przymuszczałnie to właśnie wtedy pierwszy raz pojawiłem się na świecie jako Wędrowiec. Nic nie pamiętałem z poprzednich czasów, chociaż godzinami próbowałem cokolwiek wyszperać w zakamarkach jaźni. Moja ukochana wytłumaczyła, że jestem potomkiem innego Wędrowca. Mimo dzielącej nas sporej różnicy wieku bardzo się kochaliśmy. Niestety, poróżniła nas wizja naszej przyszłości. Gdy Dalila wszystko mi zdradziła, zapragnąłem wędrować z nią po świecie i poszukiwać takich jak my, ale odmówiła. Bała się, że zginiemy, bo w wielu krajach zaczęto wydawać edykty nakazujące Cyganom porzucenie wędrownego trybu życia i wyrzeczenie się swoich tradycji. Urażony opuściłem wioskę. Teraz wiem, że to był straszny błąd. Mogłem zmusić Dalilę, żebyśmy się przenieśli w bardziej przyjazne dla niej miejsce poza Europą – westchnął z goryczą.

– Co było dalej?

– Wkrótce po tym, jak powędrowałem w świat, wydarzyła się tragedia. Dalila pokazała mi, jak opuszczać ciało, a ja tak bardzo za nią tęskniłem, że codziennie leciałem ją zobaczyć. Była piękną kobietą. Jej czarne włosy i śniada cera rzucały się w oczy. Jak mówiłem, z wiekiem nie traciła urody. Żeby tego było mało: zajmowała się ziołolecznictwem. Wiadomo, czarownica. Nosiła bransoletkę, ale ktoś odkrył znamię na jej nadgarstku. Później wszystko szybko się potoczyło, proces trwał zaledwie kilkanaście minut.

– Inkwizycja?

– Nie. Już wtedy nie działała tak aktywnie na tamtych terenach. To był zwykły samosąd. Wieśniacy ją oskarżyli, może nie pomogła jednemu z nich, a może któremuś zaszkodziła jej kuracja? Kto to wie? Spalili Dalilę na stosie.

Wszystko widziałem, niestety nic nie mogłem zrobić. Rozpaczałem, a jedyną pociechą był fakt, że gdzieś odrodziła się na nowo.

– Nie próbowałeś jej odszukać? – Zadałem pytanie, które natychmiast pojawiło mi się w głowie.

– Próbowałem, ale bez skutku. Wróciłem do Utrechtu, zamierzałem przekupić wszystkie akuszerki w promieniu stu mil od miasta. Łudziłem się nadzieją uzyskania informacji o dziecku, które urodziło się ze znamieniem. Niestety, żadna z tych kobiet nie spotkała takiego noworodka. Może bały się powiedzieć prawdę, a może Dalila narodziła się gdzieś daleko? Chciałbym ją spotkać, marzę o tej chwili. To była moja Anna. Rozumiesz?

– Wiem, co czujesz – potaknąłem.

– Myślę, że gdyby chciała mnie odnaleźć, już dawno tak by się stało. Była bardzo inteligentną kobietą. Obawiam się, że już nie żyje.

– Czekaj... – mruknąłem. – Chyba coś wymyśliłem. Pamiętasz, jak wtedy miałeś na imię?

– Oczywiście, że tak. Hugo. Jak mógłbym zapomnieć własnego imienia? – Kris pokręcił głową. – Powiedz, co to za pomysł? Uprzedzam: ogłoszenia nie działają, próbowałem dziesiątki razy.

– Daj mi szansę. Chcę cię zaskoczyć. W końcu chyba jestem twoim najlepszym przyjacielem? – Znacząco uniosłem brwi.

– W sumie nic nie tracę. Może tobie się uda. Masz te swoje metody na baby – parsknął śmiechem.

– No, a ci dwaj pozostali Wędrowcy? – próbowałem sprowadzić rozmowę na początkowy tor. – Spotykasz się z nimi?

– Pogadamy kiedy indziej. – Kris zerknął na zegarek. – Obawiam się, że Jane zaraz wróci.

– Mam się zmyć?

Z trudem wstałem z krzesła. Zdrętwiałem, siedząc nieruchomo i chłonąc każde słowo, które wypływało z ust mojego przyjaciela.

– Zostań, Jane chciała się z tobą spotkać. Aha, co do mojego ostatniego wyjazdu: oficjalnie byłem w Polsce poszukiwać pewnych materiałów do kolejnej powieści, okej?

– Spoko. Zostanę jeszcze chwilę, tylko muszę rozprostować gnaty i umyć ręce. Przez te twoje historie wszystko mnie swędzi...

* * *

Martwiłam się i tęskniłam, tęskniłam i się martwiłam. I tak w kółko. Mogłam jedynie zgadywać, jak się czują mama i Leo. Wyobrażałam sobie, jakie katusze przechodzą. To ja byłam uwięziona, ale przynajmniej wiedziałam, co się z nimi dzieje. Zakładałam, że są bezpieczni, Kris na pewno o to zadbał. Niepewność co do losu kogoś bliskiego jest dużo gorsza niż najstraszniejsze traktowanie.

Czasami tak bardzo przybijała mnie świadomość ich cierpień, że nie mogłam sobie z tym poradzić. Szlochałam, stojąc pod prysznicem. Nie chciałam, żeby ktokolwiek widział moje łzy. Płynęły równie wartko jak strumienie wody, z którymi się mieszały. Gdy wychodziłam z kabiny, przestawałam płakać i skupiałam wszystkie myśli na tym, aby jak najszybciej poznać odpowiedzi na dwa główne pytania: gdzie jestem i dlaczego tu się znalazłam? To mnie wzmacniało. Dzień po dniu moja siła rosła, zarówno ta fizyczna, wspierana setkami powtórzonych ćwiczeń, jak i duchowa.

Każdego ranka pierwsze dwadzieścia minut spędzałam poza ciałem. Poczynałam sobie coraz śmielej. Lot, powrót, chwila przerwy, żeby czujnik nie zadziałał. Napinałam wtedy wszystkie mięśnie i trwałam tak przez kilkanaście sekund, i znów kolejna eksterioryzacja.

Wszystko, co znajdowało się za drzwiami mojego więzienia, nie stanowiło już żadnej tajemnicy. Czarny pokój był ostatnim i najbardziej osamotnionym pomieszczeniem na końcu długiego korytarza. Po przeciwnych stronach dwudziestometrowej kiszki rozmieszczono magazyny i jakieś pomniejsze składziki. Większość nieoświetlona, ale czasami coś udało mi się zobaczyć. Z reguły po kilku minutach wpatrywania się w ciemność zaczynałam dostrzegać pojedyncze kształty. Może w ciągu dnia ktoś korzystał z tych magazynów, ale rankiem nikogo tam nie było.

Tuż obok windy, zaraz przy wyjściu z korytarza, znajdowała się sporych rozmiarów sala, którą nazwałam dyżurką. W połowie puste pomieszczenie wyglądało jak sztab dowodzenia. Wrażenie potęgowało kilka stanowisk komputerowych i ściana obwieszona monitorami przedstawiającymi obraz z pięciu kamer zamontowanych w moim pokoju. Jeszcze tylko lodówka z napojami, dwie metalowe szafy i na tym kończyło się skromne wyposażenie.

Starałam się jak najlepiej wykorzystać te krótkie chwile, które tam spędzałam. Rozglądałam się uważnie, skoncentrowana aż do bólu. Przed opuszczeniem ciała układałam w głowie trasę wędrówki i gdy już znalazłam się poza nim, nie marnowałam ani sekundy.

W odróżnieniu od reszty pomieszczeń, dyżurka zawsze była jasno oświetlona. Najczęściej przebywało tam dwóch mężczyzn, czasami jeden. Znałam tylko Briana, dwóch pozostałych nigdy mnie nie odwiedzało. Obaj pracowali na zmiany według bliżej nieokreślonego grafiku. Nie odzywali się do siebie nawet słowem. Może wiedzieli, że właśnie ich podglądam? Na każdym monitorze pulsował czerwony napis: *OOB*. Widocznie urządzenie, które tkwiło na moim nadgarstku wysyłało sygnał, gdy tylko zaczynałam latać. Jeśli strażnicy byli zwykłymi ludźmi, prawdopodobnie nie mieli pojęcia, co to oznacza, a milczeli, bo tak im kazano. Każdy z trójki moich dozorców był wysokim i dobrze zbudowanym facetem. Jeden z nich, najbardziej rośły, z pewnością poradziłby sobie nawet z Mikiem, ochroniarzem Leo. Co do wyniku pojedynku z Klausem nie byłam pewna, na kogo postawić.

Dorothy znów gdzieś wyjechała na dłużej, ale tym razem ucieszyło mnie to. Przynajmniej mogłam spokojnie badać otoczenie. Gdy ostatni raz rozmawiałyśmy, bardzo się zdenerwowała. Próbowала za pomocą wariografu odkryć, czy w jakiś sposób porozumiałam się z mamą, ale miała pecha – okazało się, że jestem odporna na takie badanie. Wykrywacz kłamstw szalał, pokazywał absurdalne wyniki. Nie wiem, z czego to wynikało. Byłam zaskoczona jeszcze bardziej niż Dorothy, choć starałam się zachować kamienną twarz.

Moja prześladowczyni stwierdziła, że zawsze może poddać mnie hipnozie, ale w końcu odstąpiła od tego pomysłu. Gdy tylko odetchnęłam z ulgą, dobiła mnie informacją, że od tej chwili nie będę mogła kontaktować się z mamą pisemnie.

Ten rano miał być przełomowy. Obudziłam się nieco wcześniej z zamiarem zwiedzania wyższych rejonów mojego więzienia. Już kilka razy próbowałam przejść przez ścianę albo sufit, ale za każdym razem tchórzyłam. To było straszne: kompletna czerń, zero bodźców słuchowych i wzrokowych. Zupełnie jakby przestało się istnieć. Tylko myśli i nic więcej. Po kilku sekundach spanikowana wracałam do ciała i ciężko dysząc, dochodziłam do siebie – miałam wrażenie, że ta czerń mnie udusi.

Musiałam spróbować innej metody. Liczyłam w głowie: dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć, dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem, dziewięć tysięcy dziewięćset dziewięćdziesiąt siedem... Było lepiej, ale nie do końca podobał mi się ten sposób. Zbyt mocno skupiałam się na liczeniu i nie wiedziałam, czy się przemieszczam, czy też

tkwię w bezruchu. Ostatecznie wracałam do ciała, nie mając pojęcia, gdzie byłam i jak daleko. Jedyne pożytki: przestałam panikować, przebywając w kompletnej czerni.

Drugi wariant: postanowiłam śpiewać w myślach. Zupełnie spontanicznie w mojej głowie pojawiła się piosenka Beatelsów. Płynęłam wraz z żółtą łodzią podwodną i coraz lepiej się czułam w czarnych przestworzach. To był strzał w dziesiątkę.

Na dzisiaj zaplanowałam wycieczkę przez szyb windy. Oczywiście nic nie widziałam, ale przynajmniej miałam gwarancję, że kierunek podróży jest przewidywalny. Wcześniej testowałam kanał wentylacyjny, kilka razy próbowałam się nim przemieszczać. Wewnątrz również panowały egipskie ciemności, żadnych świateł, ale za to prawie cały czas huczały wentylatory, które trochę pomagały w ustalaniu położenia. Niestety, ktoś tak zaprojektował całą sieć, że biegła chaotycznie i często się gubiłam.

Ułożyłam się wygodnie. Kilka oddechów, zamknęłam oczy, błyskawiczny przelot przez korytarz i już byłam w windzie. Raz, dwa, trzy...

*We all live in a yellow submarine,
yellow submarine,
yellow submarine...*

*In the town when I was born
lived a man, who sailed to sea
and he told us of his life,
in the land of submarines.
So we sailed on to the sun,
till we found the sea of green
and we live beneath the waves
in our yellow submarine...*

Myśl o zaciśnięciu pięści i już.

Powrót...

Błyskawiczny rzut oka na zegar, minęło pięćdziesiąt sześć sekund.

Wdech, wydech, wdech, wydech....

Głęboko, aż do bólu, żeby serce przyspieszyło.

Napięłam mięśnie, rozluźniłam, znów napięłam.

Jeszcze raz... Musi się udać!
Korytarz!
Winda!
Zaczynam...

*We all live in a yellow submarine,
yellow submarine,
yellow submarine...*

*In the town when I was born
lived a man, who sailed to sea
and he told us of his life,
in the land of submarines.
So we sailed on to the sun,
till we found the sea of green
and we live beneath the waves
in our yellow submarine...*

*We all live in a yellow submarine,
yellow submarine,
yellow submarine...*

*We all live in a yellow submarine,
yellow submarine,
yellow submarine...*

Jest!!! Znalazłam wyjście!

Rozglądałam się uważnie, oczywiście nie przestając śpiewać. Cały utwór trwał niecałe trzy minuty, w ten właśnie sposób odmierzałam czas. Znajdowałam się w kompletnie pustym budynku. Błyskawicznie przeleciałam przez wszystkie pomieszczenia, ale nic szczególnego nie rzuciło mi się w oczy. W euforii i tak nie byłam w stanie dokonać precyzyjnej obserwacji. Kusiło mnie rozejrzenie się po okolicy, ale nie miałam czasu.

Znów myśl o zaciśnięciu pięści.

Powrót...

Tym razem prawie cztery minuty.

Wdech, wydech, wdech, wydech....

Tętno wzrosło. Nawet nie musiałam się ruszać, adrenalina i tak bulgotała w żyłach.

Lecieć jeszcze raz?

Lecieć!

We all live in a yellow submarine,

yellow submarine,

yellow submarine...

Analizowałam wszystko, starając się zachować jakąkolwiek systematyczność. Budynek parterowy, bez schodów, kilka pomieszczeń. Większość bez okien, ale we wszystkich świeciły się dyskretne zielone lampy z informacją o drodze ewakuacji. W trzech największych magazynach zauważyłam ustawione w równych szeregach metalowe regały zastawione pod sufit kartonami. Próbowałam odczytać, co było napisane na niezbyt dobrze widocznych etykietach. Bez wątpienia znajdowałam się w jakimś magazynie leków lub też innych chemicznych produktów.

Zatrzymałam się przy jednej z naklejek: opisana mikroskopijną czcionką nie zdradzała zbyt wiele, oprócz drobnego zadruku dobrze widoczne były jedynie symbole cyfrowe, ale nic mi nie mówiły. Szybko przeniknęłam do następnego pomieszczenia. Znow to samo: metry ciągnących się metalowych stelaży szczelnie zapchanych pudłami z tajemniczą zawartością.

Błyskawicznie podjęłam decyzję i wystrzeliłam w górę. Oślepiło mnie na chwilę, wszechogarniająca biel uderzała. Dopiero po paru sekundach zaczęłam zauważać: dach budynku, na nim jednostajnie buczący agregat, wokół połacie pustego terenu, gładkiego jak stół, przeciętego ledwie widoczną drogą, dalej lasy, wszystko pokryte śniegiem. Skupiłam wzrok na placu przed budynkiem. Mały parking – niestety pusty, zero ludzi. Ślady kół, już prawie zasypane, prowadziły do garażu. Szybko wleciałam do środka. Niestety, tu panowała kompletna ciemność, nie byłam nawet w stanie zauważyć zarysu samochodu... Wpatrywałam się intensywnie...

– Auuu...!!!

– Boże!

– Muszę wytrzymać!!!

Słyszałam samą siebie, swoje jęki. Wiłam się na łóżku, skręcało mnie

z bólu. Zacisnęłam zęby. Nie chciałam pokazać, że znów się spóźniłam, chociaż i tak pewnie wszyscy wtajemniczeni, którzy mnie pilnowali, dobrze o tym wiedzieli. Przez kilka minut dochodziłam do siebie, próbując złapać oddech i uspokoić oszalałe serce. Nie wiedziałam, czy istnieje choroba, która może spowodować aż taki ból głowy, ale jeśli istniała – współczułam z całego serca. To było nie do zniesienia.

W końcu najgorsza fala przeszła, ale na dzisiaj miałam już zdecydowanie dość wędrówek.

Powoli podniosłam się na przedramionach i otworzyłam oczy...

– Dzień dobry. – Dorothy stała przy łóżku i wpatrywała się we mnie zimnym jak lód wzrokiem. – Widzę, że coraz lepiej ci idzie. Najwyższy czas przejść do konkretów, moja droga...

Rozdział 3

Sojusznicy

Mdliło mnie. Ze strachu, z głodu, a może z wrażenia? Najpewniej z wszystkich tych powodów. Dorothy usiadła na skraju materaca i spoglądała na mnie z miną lekarza odwiedzającego kłopotliwego pacjenta. Miałam tego dość.

– Co cię do mnie sprowadza? Och, już wiem. Widzę, że przywiozłaś śniadanie. Jak miło – zagałam wesoło, ale wewnątrz cała dygotałam.

– Musimy porozmawiać. Chyba się domyślasz, że nie trzymam cię tu dla rozrywki, chociaż czasami jesteś naprawdę zabawna. – Zaśmiała się lekko. – Na przykład dzisiaj. Nie rozumiem, skąd u ciebie taki ośli upór, żeby samej dojść do wszystkiego? Wystarczy cierpliwie poczekać. Próbujesz ustalić, gdzie jesteś? – spytała protekcjonalnym tonem.

Nie miałam zamiaru jej odpowiadać. Żeby dać sobie czas, wstałam i z udawanym zainteresowaniem oceniłam zawartość tacy leżącej na blacie wózka. W końcu usiadłam przy stoliku z filiżanką kawy i rogalikiem.

– To gdzie się znajdujemy? – bąknęłam między jednym a drugim kęsem, jakby mi nie zależało na tej wiedzy.

– Jakieś propozycje? – zachichotała.

– Nie jestem w nastroju do zgadywanek.

– No dobrze. Powiem ci, bo i tak wkrótce sama to odkryjesz. Jesteśmy w Norwegii.

Z trudem przełknęłam kawałek rogalika. Żeby się nie udławić, szybko popiłam go kawą. Norwegia? – odetchnęłam w duchu. Blisko, tak blisko Wysp! Tak blisko Leo! Krisa! I do Polski też niedaleko! – cieszyłam się bezgłośnie. Pogoda i wygląd otoczenia wskazywały na to, że Dorothy nie kłamie. Szybko przypomiinałam sobie wszystko, co wiedziałam o Norwegii. Nie była to imponująca wiedza, ale coś kojarzyłam.

– Widzę, że ucieszyła cię ta informacja? – Dorothy znów parsknęła śmiechem. – Aż ci się oczy zaświeciły.

– Nie – burknęłam. – Zresztą jakie to ma znaczenie? – Próbowałam przybrać maskę obojętności. Wkurzyło mnie, że tak się odkryłam.

– Masz rację. To nie ma znaczenia. I tak nikt cię tu nie znajdzie, a na ucieczkę nie licz. Chyba widziałaś, jak zorganizowałam twoje sanatorium. Musisz przyznać: jedzenie świetne. Prawda?

– Świetne – pokiwałam głową. – A skoro już tak sobie gawędzimy, skąd się bierze? Nie zauważyłam kuchni. – Zachichotałam, starając się zdekoncentrować Dorothy. Ciągłe przetwarzaniem w głowie wszystko, czego dowiedziałam się przed chwilą.

– O! Czyżbyś nie dotarła piętro niżej? Pod nami jest drugi poziom i tam znajdują się magazyny żywności, kuchnia, piekarnia i nawet niewielka szklarnia ze specjalnym oświetleniem. Uprawiamy tam niektóre z warzyw – wyjaśniła, gładząc od niechcienia kosmyk włosów.

– Chyba źle mnie oceniasz, aż tak wścibska nie jestem. – Wzruszyłam ramionami.

Znów mnie zaskoczyła. Nie przyszło mi na myśl, aby próbować polecieć w dół. Postanowiłam jak najszybciej to sprawdzić, chociaż w ciągu dnia było to ciężkie do zrealizowania. Dorothy tak ustawiła urządzenie znajdujące się na nadgarstku, że między dwudziestą drugą a ósmą rano czujnik reagował dopiero po pięciu minutach eksterioryzacji. Poza tymi godzinami uaktywniał się już po jednej.

– Szkoda. Sądziłam, że chcesz wiedzieć, dlaczego cię tu goszczę? – Przechyliła głowę i zmrużyła oczy.

– No i po co te gierki? Mnie to nie bawi – wypaliłam. – Masz coś do powiedzenia, to mów.

Przez chwilę siedziała, świdrując mnie wzrokiem. Chyba zbiłam ją z tropu swoim pozornie spokojnym zachowaniem. W końcu podniosła się z łóżka, wolno podeszła do stolika i usiadła naprzeciwko. Dziś również wyglądała jak z żurnala, ubrana w te swoje ulubione eleganckie ciuchy w kolorze kawy z mlekiem, z idealnym makijażem, pozornie niedbałą fryzurą i perfekcyjnie pokrytymi kremową emalią paznokciami. I tak siedziałyśmy: ja, rozczochrana, w białej bawełnianej koszulce i ona: królowa beżu.

– Posłuchaj mnie uważnie i zapamiętaj każde słowo. – Dorothy przerwała te porównania. – Niecałe dwa miesiące dzielą cię od dwudziestych urodzin. Wiesz dobrze, co się wówczas wydarzy: w pełni staniesz się Wędrowcem. Ten moment jest nieco umowny i wiele cech Wędrowca już masz. Potrafisz

przemieszczać się poza ciałem, jestem pewna, że pamiętasz co nieco z życia swojego ojca, i nawet nie próbuj mnie przekonywać, że jest inaczej. Wiem, kim był i czym się zajmował, wiem, gdzie został pochowany. Byłam na cmentarzu w Brzegach na pogrzebie jego przybranej matki, Zofii, twojej babki.

Mimo że starałam się opanować, ostatnia informacja bardzo mnie poruszyła. Przed oczami stanęła tajemnicza elegantka w czarnej woalce. To była Dorothy! Zatrzęsła mi się ręka, więc szybko odstawiłam na stolik filiżankę z reszką kawy.

– Widzę, że sobie przypomniałaś – zaśmiała się lekko. – Tak, to byłam ja. Jack próbował odwieść mnie od tego pomysłu. Sam miał zdać mi relację, ale musiałam odwiedzić to miejsce osobiście. Szczerze mówiąc, William bardzo mnie rozczarował. Myślałam, że zajmuję w jego pamięci chociaż odrobinę miejsca. Kładę to na karb mojego doskonałego kamuflażu, pewnie dlatego nie rozpoznał swojej miłości sprzed lat. – Kąciki perfekcyjnie pomalowanych ust Dorothy lekko się uniosły.

– Schlebiasz sobie. Nigdy nie byłaś jego miłością. Może miłością, krótkim romanssem, ale nie kimś ważnym. – Starałam się jej dokuczyć. Sprowokowana zaczęła popełniać błędy. Przekonałam się o tym kilka razy.

– Nieważne – parsknęła. – Akurat ten twój piękniś William czy też Leo nigdy mnie nie interesował. To ty mnie interesujesz, moja droga... – Dorothy przeciągnęła wypowiedź.

Oślupiałam. Kompletnie zapomniałam języka w gębie. Wbiłam w nią spojrzenie. Lesbijka?! A może wariatka?! Leci na mnie??? Nie!! To niemożliwe!! Dziesiątki gorączkowych myśli opanowały moją głowę, ale dosyć szybko ochłonęłam. To nie mogło być prawdą. Kto jak kto, ale Dorothy nie wyglądała mi na lesbijkę, chociaż szczerze mówiąc, nie miałam pojęcia, po czym mogłabym poznać taką kobietę.

– Nie! Nie wierzę! – Zaczęła się śmiać. – Sądzisz, że gustuję w dziewczętach? – Zanosila się wprost ze śmiechu. – A nawet jeśli, raczej na ciebie bym się nie skusiła. Jesteś zaprzeczeniem kobiecości. Co William w tobie widzi? Nie pojmuję... – Kręciła głową.

W końcu się uspokoiła. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu i nagle poczułam, że coś jest nie tak. Dorothy podobnie, bo zauważyłam jej rozbiegane oczy. Coś się wydarzyło, ale ani ja, ani ona nie wiedzieliśmy co.

– O czym to ja mówiłam? – spytała z głupia frant.

Zachowywała się nieswojo, jakby czegoś się wystraszyła. Zupełnie straciła

rezon.

– Mówiłaś, że to ja cię interesuję – podsunęłam przytomnie, ale również nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że coś nam umknęło.

– Aha, no tak. Właściwie to interesuje mnie twój dziadek John, czyli prawdziwy ojciec Jana Wilka. Wiesz, o kim mówię? Wiesz, kto to John? – Dorothy nadal sprawiała wrażenie kompletnie rozkojarzonej.

– Wiem. – Szybko pokiwałam głową.

– No dobrze. – Znów się zawiesiła. Zamarła jak woskowa figura i tylko jej oczy intensywnie wpatrzone we mnie wskazywały na to, że jest żywym człowiekiem.

– I co z tym Johnem? – zniecierpliwiłam się.

– Co z tym Johnem... – powtórzyła bezwiednie.

– Dorothy, co jest?

– Nic. Porozmawiamy później. Muszę już iść. – Nagle zerwała się z krzesła i po kilku sekundach już jej nie było.

Poczłapałam do łazienki. Bezwiednie się rozebrałam, umyłam zęby, w końcu weszłam pod prysznic. Puściłam letnią wodę mocną strugą, opływała mnie strumieniami jak wodospad. Powoli przypomiinałam sobie całą treść naszej rozmowy zakończonej w tak nieoczekiwany sposób. Rzeczywiście tajemnicza biała pigułka chyba poprawiała pamięć, bo kojarzyłam nawet najdrobniejsze detale, każde słowo, które padło i które nie padło. I nagle w głowie znów otworzyła się mała zapadka...

* * *

– Cześć! – władowałem tyłek na siedzenie touarega. – Spóźniłeś się. Czekam dobry kwadrans.

– Hej. Były korki – Kris wyraźnie nie czuł się winny.

– Gdzie jedziemy? – spytałem, bo mój przyjaciel nie zamierzał przez telefon zdradzić mi celu wycieczki, choć czułem, że ma jakiś związek z Anną.

– Do Alana.

– I to taka wielka tajemnica?

– Uhm – mruknął, manewrując SUV-em między kilkoma samochodami stojącymi przed agencją.

– Daleko?

– Nie, jakieś pół godziny jazdy.

– Coś nowego?

– Tak. Wiemy, jak Mała opuściła Wyspy. – Kris próbował włączyć się do ruchu. Była piętnasta i Londyn wydawał się kompletnie wypełniony samochodami.

– Naprawdę?! Mów – ponagliłem go.

– Wodą.

– Wodą?

– Wtedy gdy rozmawiała z Julką, płynęła statkiem. Niewielką jednostką. Alan ma zapisane, co to konkretnie było. Poczekaj, daj mi wyjechać, bo zostaniemy tu do wieczora.

– Okej.

– Już myślałem, że się nie uda – sapnął po kilku minutach.

– To co z tym statkiem?

– Alan zna szczegóły. Jego znajomi sprawdzają, kto jest właścicielem i gdzie płynął ten statek czy jacht. Niestety, trochę trwa taka weryfikacja.

– Uhm...

– No ja nie mogę!!! Co za.... – bluznął Kris, bo ledwie mu się udało uniknąć katastrofy. Nie więcej niż dwadzieścia centymetrów dzieliło nas od zderzaka taksówki, która gwałtownie zatrzymała się przed nami. – No popatrz! Nie ma świateł stopu!!!

– Nie patrzę, bo wszystko poleciało. – Zbierałem dokumenty, które wyleciały z teczki wciśniętej między kokpit a przednią szybę i rozsypały pod moimi nogami.

– Bęcwał! Kto takiemu dał prawo jazdy? Nie dość, że jeździ złomem, to jeszcze nieudolnie!

– Dajże spokój – zaśmiałem się, pakując papiery.

Nagle jeden z dokumentów rzucił mi się w oczy. Z niedowierzaniem patrzyłem na pozew rozwodowy. Nawet nie zauważyłem, że Kris zerkał na mnie, dopiero gdy wsunąłem kartkę na miejsce i odłożyłem teczkę na tylne siedzenie, podniosłem wzrok na przyjaciela.

– To już wiesz.

– Ale dlaczego? Co się stało? – Byłem w szoku.

Zawsze postrzegałem Krisa i Jane jako dwójkę ludzi stanowiących bardzo udany związek. Jane, była top modelka, poznała mojego kumpla na jednym z jego nieoficjalnych spotkań autorskich. Wpadła po uszy, on zresztą też sprawiał podobne wrażenie. Dosyć szybko pobrali się i przez ostatnie siedem

lat stanowili wzór dobrego małżeństwa. I teraz coś takiego?

– Nie chciała się przyznać, ale jednak przeszkadzał jej mój wzrost – odpowiedział poważnym tonem Kris.

– Co? – zapałem z jeszcze większym zdumieniem.

Owszem, Jane była wyższa od męża o głowę, ale to chyba był najbardziej absurdalny powód rozwodu, jaki słyszałem.

– Żartowałem – zarechotał tubalnie Kris.

– Rzeczywiście zabawne, ubaw po pachy – mruknąłem.

– Przepraszam, głupi żart. Już mówię: otóż Jane spodziewa się dziecka i jak można się domyślić, nie ja jestem jego ojcem.

– Zdradziła cię? – Znów mnie zaskoczył, pewnie dlatego zadałem tak idiotyczne pytanie. Zarówno ja, jak i Kris przeszliśmy zabieg wazektomii, więc raczej odpowiedź była oczywista.

– A jakże, z fotografem. Pamiętasz twoją wizytę z Małą? Byliście u mnie w lecie. Jane nie było, wyjechała wtedy na event związany z jakąś kampanią. Tam poznała tego kolesia. Czech? Słowak? Na imię ma Libor, nazwiska nie pomnę, wszystkie brzmią podobnie.

– Nie wierzę! – Kręciłem głową. – Przecież ona nie chciała mieć dzieci.

– Chciała, ale lekarze nie dawali jej szans. Została okaleczona jako mała dziewczynka. Nigdy ci tego nie mówiłem i proszę, zachowaj to dla siebie. Wiesz, gdzie dorastała. Możesz sobie wyobrazić, jak wyglądało jej dzieciństwo.

– Wiem. To straszne, biedna dziewczyna... – Bez problemów mogłem domyślić się prawdy. Żona Krisa urodziła się w Nowym Jorku, w dzielnicy slumsów. Ktoś ją stamtąd wy dostał i zrobił z niej gwiazdę. Jane wstydziła się swojej przeszłości i na potrzeby wizerunku wymyśliła historię o życiu i ucieczce z RPA.

– I wyobraź sobie, nagle taki cud. Bo to jest cud! Wiesz, jak ona się cieszy? W przyszłym roku skończy czterdzieści lat i taka niespodzianka! – Kris uderzył dłonią w kierownicę.

– No dobrze, ale dlaczego rozwód? Chce być z tym kolesiem? Czy to ty złożyłeś pozew? Poza tym dlaczego mi nie powiedziałaś? Przecież byłem u ciebie niedawno i nawet się z nią widziałem. Nic nie zauważyłem, odnosiliście się do siebie jak zwykle – zarzuciłem Krisa gradem pytań i wyrzutów.

– Po kolei. – Zerknął na mnie, szeroko się uśmiechając. – Pozew złożyłem

ja. Jane praktycznie nie znała Libora, gdy zaszła w ciążę, ale zamierzają wychować dziecko w pełnej rodzinie. Nie czuję urazy z tego powodu, że mnie zdradziła, raczej podziw, że tak długo wytrzymała, stąd wniosek o rozwód bez orzekania o winie. Już dawno nam się nie układało. Myślę, że byłem zbyt oschły, może nie kochałem jej tak bardzo, jak na to zasługiwała? A Jane chyba wyczuła mój brak zaangażowania. Odnosimy się do siebie normalnie, lubimy się i Kochamy, to się nie zmieniło, ale nasz związek w ostatnich latach przypominał raczej relację brat-siostra. Jane wyznała, że to była jedyna zdrada, jakiej się dopuściła w trakcie naszego małżeństwa.

– Kris, nie mogę w to uwierzyć. – Potrząsałem głową. – Dlaczego wcześniej nic nie powiedziałeś? Jak sobie z tym radzisz? Kiedy Jane się wyprowadza? Nie jesteś zazdrosny?

– Nic nie mówiłem, bo ostatnio los cię nie rozpieszcza, a ja nie mam zamiaru dokładać ci moich problemów. Jane się nie wyprowadza, to ja przenoszę się do nowego mieszkania. Piękne miejsce, nie wiem, czy znasz Platinum Estate? – Znowż zerknął na mnie znad kierownicy.

– Coś słyszałem o tym osiedlu.

– A wkrótce zobaczysz. Z salonu mam widok na most Alberta. Prawdziwa bajka. Co do sytuacji, radzę sobie. Nie mam zamiaru zrywać kontaktów z Jane. Jak to się mówi: zostajemy przyjaciółmi – zaśmiał się. – Zazdrosny o nią nie jestem, moje ego też nie ucierpiało jakoś dotkliwie, chociaż gdy usłyszałem informację o dziecku, przyznam, lekkie ukłucie w sercu poczułem. Poza tym tyle się dzieje, że nie mam czasu myśleć. Muszę jeszcze załatwić kwestie finansowe. Przed ślubem zawarliśmy intercyzę, ale stwierdziłem, że ofiaruję Jane nie tylko dom w Londynie, ale i trochę pieniędzy.

– Trochę? – parsknąłem.

– Trochę. Może jakieś dziesięć procent całości mojego majątku.

– Przypuszczam, że ustawisz ją finansowo do końca życia i pewnie dla Libora też wystarczy.

– Jeśli nie będą co rok kupować nowej firy, wystarczy z pewnością.

– Podziwiam cię. – Nadal z niedowierzaniem kręciłem głową. – Moim zdaniem jesteś bardzo wspaniałomyślny.

– Bynajmniej. Czuję się podle. Chyba chcę zagłuszyć wyrzuty sumienia. Nie zaangażowałem się mocno w związek z Jane, może wynikało to ze strachu przed nieuniknionym rozstaniem? Wiedziałem, że kiedyś ją stracę, i pewnie dlatego nie pozwoliłem sobie na pełne oddanie. Teraz mam porównanie

i wiem, jak wygląda prawdziwa miłość. – Kris kolejny raz popatrzył na mnie. – Byłem asekurantem, i co tu kryć – idiotą. Zmarnowałem dziewczynie siedem lat życia. Kochać powinno się całym sercem, a nie tylko fragmentem.

– Chyba zbyt surowo się oceniasz. Znam Jane i nigdy nie sądziłem, że jest z tobą nieszczęśliwa.

– Leo, nie bądź głupcem. Czy uważasz, że moje małżeństwo było równie silnym związkiem jak twój i Anny? Nie dostrzegasz różnicy?

Przez chwilę rozważałem jego słowa. Zwróciłem wzrok w lewo. Jechaliśmy ulicą księcia Alberta i minęliśmy właśnie zjazd do ogrodu zoologicznego. Natychmiast przypomniała mi się wycieczka, moja i Anny, gdy zabrałem ją do Krisa. Pamiętałem wszystko, jakby to się wydarzyło dzisiaj – naszą rozmowę i jak próbowałem rozbawić mojego Wilczka, i jej stwierdzenie, że wygląda jak panda, bo popłakała się ze śmiechu, i propozycję, że zawrócę i pojedziemy do zoo. Wszystko przewijało mi się przed oczami jak powtórka ujęcia. Znow w gardle poczułem ten ucisk, który towarzyszył mi od tyłu dni.

– Masz rację. – Pokiwałem głową. Zdjąłem okulary. Starłem się opanować, mocno trąc powieki, ale to nic nie dawało. – Kris, tak strasznie za nią tęsknię, martwię się. Czasami nie mam siły wstać z łóżka, najchętniej leżałbym godzinami, jak wtedy w Wyee, i wył z rozpacz. To jakiś obłąd. Wróciliśmy do siebie, Anna mi wybaczyła, kocham ją nad życie, a teraz znow nie jesteśmy razem. Ktoś mnie chyba przeklął, sam nie wiem. Może nie powinienem był się związywać z Anną? Coraz częściej myślę, że Julia miała rację. To ja jestem sprawcą tych nieszczęść, przeze mnie jej córka tyle się nacierpiła. Te miesiące rozłąki... – zachnąłem się. – Wszystko z mojego powodu, a teraz? Ciągłe nie mogę pozbyć się wrażenia, że to porwanie ma związek ze mną, i ten straszny wypadek, i to, co spotkało moich rodziców, twoja śmierć w poprzednim wcieleniu... Te wszystkie koszarne wydarzenia dotyczyły osób, które kochałem, moich najbliższych – wylewałem z siebie potok frustracji i żalu. – Jakieś fatum wisi nade mną. Czego chce od nas ta potworna kobieta, za co się tak mści? Ciągłe drzę, że znow coś się wydarzy. Nie mówiłem ci, ale tydzień temu wynająłem ochroniarza, dyskretnie pilnuje moich rodziców.

– Coś się stało? – Kris wyraźnie się zdenerwował.

– Nie. Chyba czuję się spokojniejszy, gdy wiem, że ktoś nad nimi czuwa. Chociaż po tej akcji z Jackiem nikomu już nie ufam. To jakieś piekło...

– Nie popadaj w paranoję, ten ochroniarz to niezły pomysł. Strzeżonego Pan Bóg strzeże. Nie obwiniaj się. W jednym masz rację, z ucieczką do Australii rzeczywiście zaważyłeś, ale było, minęło. Co do reszty, jestem pewien, że to, co się wydarzyło, ma jakieś drugie dno. Moim zdaniem, nie chodzi o ciebie.

– A o kogo? – Wzruszyłem ramionami, ale Kris tego nie zauważył.

– Przypomnij sobie: to Debora odeszła od ciebie, a w tym wcieleniu nigdy nie próbowała się z tobą kontaktować. Już mówiłem: ona czegoś chce od Małej, jestem o tym przekonany. Anna coś musi wiedzieć, a na logikę: jest zbyt młoda, żeby dotyczyło to wydarzeń z jej życia. Z tych samych powodów jej ojciec też nie wchodzi w rachubę. Pozostaje nam skupić się na Johnie, dziadku Małej. To jest właściwy trop. Też się martwię o Annę, ale nie panikuj, to bardzo sprytna dziewczyna. – Kolejny raz Kris próbował mnie uspokoić. – Przecież zrelacjonowałeś mi akcję na strzelnicy. Mała zaczyna sobie przypominać pewne wydarzenia z życia ojca, i to jak szybko.

– Sugerujesz, że Debora porwała Annę, żeby wydobyć z niej wspomnienia z życia Johna?

– Właśnie.

– Myślisz, że to możliwe? Przecież to był jej dziadek. Ja w pierwszym świadomym wcieleniu niczego sobie nie przypominałem. Nie wiem, kim był Wędrowiec, którego zastąpiłem. A ty?

– To było tak dawno, mówiłem ci przecież, choć jeśli mam być szczery, też nic nie kojarzę, może jakieś krótkie przebłyski i tyle. – Kris wydał usta. – Leo, a może to ma związek z tymi dziwnymi zdolnościami Małej? Wiesz, o co mi chodzi?

– Masz rację! – Przypominałem sobie naszą rozmowę o snach Anny, w których rozmawiała ze zmarłymi. – Jest jeszcze coś. Kilka razy odniosłem wrażenie, że słyszę jej myśli, a ona chyba wyczuwała moje. Wszystkie te incydenty miały miejsce, gdy przebywaliśmy blisko siebie i zawsze to była bardzo emocjonalna sytuacja.

– Nie mówiłeś o tym. – Kris zatrzymał się na czerwonym świetle i teraz świdrował mnie wzrokiem.

– Może to tylko zbieg okoliczności, może oboje potrafimy dobrze odczytywać sygnały płynące z zachowania drugiej osoby.

– Może tak, a może nie. Leo, kiedyś o tym pogadamy, ale nie teraz.

– Dojeżdżamy?

– Tak, już prawie jesteśmy na miejscu.

Ledwie się wcisnęliśmy. Cała St John's Road z obu stron zastawiona była samochodami. Na szczęście jakiś facet właśnie wyjeżdżał porszakiem i skwapliwie zajęliśmy jego miejsce, choć z trudem, bo SUV Krisa nie należał do najmniejszych. Ale, jak mówił mój instruktor ze szkoły jazdy: dobry kierowca zaparkuje na wycieracze, i to tak, że nic nie będzie wystawało poza jej obrys.

Barrow mieszkał w jednej z wysokich ceglanych kamienic ciągnących się wzdłuż ulicy. Raz się widzieliśmy, poznałem go osobiście nazajutrz po pamiętnej nocy spędzonej w domu Anny. Był facetem po czterdziestce, niższym ode mnie, ale lepiej zbudowanym. Pewnie sporo czasu spędzał na siłowni. Jego żona Hilary też była policjantką, pracowała razem z nim w wydziale śledczym. Kilka lat temu zginęła w wypadku, może dlatego ciemne włosy Barrowa już mocno przyprószyła siwizna. Kris nieco lakonicznie zdradził mi parę szczegółów, ale nie chciał się wgłębiać, skąd znali się z Alanem. Stwierdził, że kiedyś mi opowie.

Alan przyjechał do Julii, wtajemniczony w szczegóły przez Krisa. To on zasugerował jej wyjazd do rodziny. Trzeba przyznać, nieźle sobie poradził z odegraniem tej sceny, zwłaszcza że publiczność w postaci Jacka miała niezwykle wymagającą. Późnym wieczorem podjechał do mnie razem z Krisem i zdał relację z tego spotkania. Prawdę mówiąc, nie było to konieczne, bo sam widziałem przebieg, korzystając z eksterioryzacji, ale przy okazji omówiliśmy wtedy kilka spraw organizacyjnych. Uznałem, że ogarnięty i sympatyczny z niego facet.

Zatrzymaliśmy się przed polakierowanymi na brązowo drzwiami. Niewielkich rozmiarów tabliczka, o nieco enigmatycznej treści: *H.A.T. Barrow* odcinała się od ciemnego drewna.

– Nie mam kondycji. Trzecie piętro, a dostałem zadyszki. – Kris nacisnął dzwonek.

Wiedziałem, że jego słowa to raczej fałszywa skromność, ja oddychałem znacznie głośniej. Tak się kończyły wyścigi po schodach. Zamiast jak normalni ludzie skorzystać z windy, wbiegliśmy na górę, przeskakując po dwa stopnie. To był nasz stary zwyczaj, jeszcze z czasów poprzedniego wcielenia. Obaj mieszkaliśmy w Bostonie i czasami ścigaliśmy się, pokonując osiem pięter miejskiej biblioteki. Wówczas z reguły to ja wygrywałem, ale dzisiaj Kris

mnie wyprzedził.

– Nie pamiętam, kiedy ostatnio byłem na siłowni. Co za wstyd. – Schyliłem się i oparłem dłonie na kolanach. Z wysiłku kręciło mi się w głowie. – Nie jesteście normalni.

– A ja ostatni raz ćwiczyłem systematycznie, gdy byłeś w Wyee. Miesiąc temu? – Kris głośno myślał.

– Może go nie ma w domu? – zaniepokoiłem się. Minęło pół minuty od dzwonka, mój oddech już się wyrównał.

– Jest, spokojnie. Nie słyszysz? Idzie...

Rzeczywiście, szczęknął zamek i drzwi się otworzyły, ale młody mężczyzna, który stał w progu, bez wątplenia nie był Alanem. Pierwsze, co rzuciło mi się w oczy, to masa długich kasztanowobrazowych dredów, sekundę później zauważyłem coś jeszcze: niebieskozielone oczy, patrzące przed siebie bez wyrazu.

– Hej, Thor!

– Cześć, Kris. – Właściciel oryginalnego imienia uśmiechnął się od ucha do ucha i wyciągnął rękę, którą mój przyjaciel natychmiast skwapliwie uścisnął. Weszliśmy do mieszkania. – Chciałbym się przedstawić, Theodor Barrow, w skrócie Thor. – Znów wysunął prawą dłoń.

– Leonard Black, w skrócie Leo – odpowiedziałem, szybko odwzajemniając gest.

– Moja dziewczyna cię uwielbia – stwierdził. Jego oczy błędziły gdzieś w okolicach sufitu. – Ma na płytach wszystkie odcinki *Upalu*. Oglądała to chyba ze sto razy.

– Miło mi, dzięki.

– Szczerze mówiąc, *Upalu* to nie moja bajka. Największe wrażenie zrobiłeś na mnie w *Wietnamskim dziecku*. Świetnie zagrał.

– Dzięki raz jeszcze – wyraziłem wdzięczność.

– Okej, chodźcie panowie. Może tutaj? – Wskazał nam drogę.

Weszliśmy do niewielkiego pomieszczenia. Było dosyć zagracone, ale bardzo przytulne i od razu skojarzyło mi się z naszym salonem w bostońskim domu. Mama zawsze się śmiała, że to kieszonkowy salon, i nazywała go „kieszonek”. Tu było podobnie: dwie pluszowe sofy w kolorze mchu, mały stolik przykryty białą serwetką, pełno bibelotów poukładanych na przypadkowo dobranych szafkach. Salon braci Barrowów nie wyglądał jak typowy pokój dwóch facetów. Usiedliśmy z Krisem na kanapie, ale nie

mogłem się oprzeć i rozglądałem z ciekawością. Moją uwagę przykuła stojąca lampa: cały abażur obwieszono małymi ptaszkami w krzykliwych kolorach.

– Wiem, dziwacznie to wygląda, ale to sprawka Bekan – wyjaśnił z uśmiechem Thor.

– Bekan?

– To moja dziewczyna, Rebecca, ale mówię na nią Bekan, choć to męskie imię. Celtyckie. Oznacza kogoś małego, a Rebecca naprawdę nie grzeszy wzrostem. Metr pięćdziesiąt, nie więcej – zwrócił się w moją stronę.

– Aha. – Pokiwałem głową, ale zaraz złapałem się na tym, że przecież Thor tego nie widzi. Tak samo jak nie mógł zobaczyć *Wietnamskiego dziecka* i tego, że na początku wizyty podziwiałem ornitologiczną fantazję. Szczerze mówiąc, zgłupiałem. Czułem się dziwnie, to wszystko sprawiało wrażenie jakiegoś snu.

– Alana nie ma? – Kris przerwał naszą pogawędkę.

– Loki? Musiał wyjść. Zadzwonili po niego i poleciał, jakieś dwie godziny temu. Wiedział, że przyjdziecie i zaklinał się, że zdąży wrócić, no ale pewnie Kapitan Ameryka go porwał. – Gospodarz parsknął śmiechem.

Loki, Thor, Bekan, Kapitan Ameryka i niewidomy facet, który ogląda filmy? Myśli galopowały po mojej głowie jak kucyki pony, którym doskwierała tajemnicza aberracja po zjedzeniu niebieskiej trawy.

Skupiłem wzrok na gospodarzu, starając się uchwycić jakiegokolwiek podobieństwo między nim a Alanem, ale bez powodzenia. Thor był wysokim facetem, może nawet wyższym ode mnie. Miał oliwkową cerę, włosy zdecydowanie jaśniejsze od Alana, no i przede wszystkim był luzakiem. Ubrany w jakąś zgniłozieloną spraną koszulę, ciemne spodnie postrzępione na dole i z bosymi stopami sprawiał wrażenie gościa, który niczym się nie przejmuje.

– No, a co u ciebie? Jak moja inwestycja? – Kris dołożył kolejnego kucyka do mojej obłąkanej kolekcji.

Inwestycja? O czym on mówi? – zachodziłem w głowę.

– Nie chcę się chwalić, ale etap wstępnych testów już mamy za sobą.

– Ilu już macie gawędziarzy?

Gawędziarzy? Czy na sali jest lekarz? Stadko moich poniaków powiększało się z minuty na minutę.

– Wczoraj przybył setny! – Thor z takim entuzjazmem klepnął się po udach, że aż podskoczyły dredy.

U mnie też zaraz wbije setny... Zerknąłem na Krisa, licząc, że w końcu zauważy moją konsternację.

– Kris, myślę, że już wystarczy. Świetnie się bawię, ale tak nie wypada. Może zaczniemy od początku.

Thor z zagadkowym uśmiechem podniósł się z sofy i podszedł do mnie. Powoli podwinął rękaw koszuli i się nachylił. Na jego lewym ramieniu widniał spory tatuaż. Przedstawiał jakiś skomplikowany celtycki wzór. Po kilku sekundach dopatrzyłem się głowy orła. Korpus ptaka, wypełniony idealnie równymi liniami imitującymi pióra, opleciony był gałązkami jakiegoś pnącza. Pędy rośliny zawijały się wokół całej ręki. Znowu popatrzyłem na Krisa. Siedział z głupią miną. Widziałem, że próbuje się kontrolować, ale kąćki jego ust mimowolnie drgały.

– No i? Dobrze się bawicie moim kosztem? – Też nie mogłem utrzymać powagi i parsknąłem śmiechem, chociaż nie miałem pojęcia, na czym polega ich intryga. – Fajna dziara – oceniłem tatuaż.

– Świetna. – Jego właściciel pokiwał głową.

– Poszukaj kwiatu – ledwie wydusił z siebie Kris.

– Kwiatu? – Uniosłem brwi.

Wstałem z sofy i badawczo wpatrywałem się w tatuaż, w końcu poleciłem Thorowi podnieść rękę. Jeden z pędów rośliny zawijał się do wewnętrznej strony ramienia. Był zakończony małym, czerwonym pąkiem.

– O ja cię! Thor! Jesteś...

* * *

Usiadła w fotelu, zrzuciła kremowe szpilki i założyła nogę na nogę. Lekko machała bosą stopą. Sprawiała wrażenie bardzo zadowolonej z siebie.

– Co zrobiłaś? Wiesz, czym ryzykowałaś? Nie możemy tak postępować! To zwykły człowiek. Gdyby ta kobieta zginęła, ty też zakończyłabyś egzystencję! Zresztą ciągle istnieje takie ryzyko. Jeśli ona umrze w ciągu najbliższych dwóch dni, ty pójdziesz w jej ślady! Kiedyś dopadnie cię choroba, wypadek albo w najlepszym przypadku starość i koniec!

– Nie umrze – stwierdziła rzeczowo, ale w jej głosie wyraźnie było słychać nutę irytacji. – Sprawdziłam. Co parę godzin tam jestem. Skąd mogłam wiedzieć, że Noah zabrał ze sobą rodziców Williama? Nie miałam o tym pojęcia, myślałam, że zostali razem z nim, przecież ma nogę w gipsie! Przez to

cholerne Astrum Noaha nic nie zauważyłam. Wsiedli do auta, gdy już stamtąd odleciałam. Przygotowałam się perfekcyjnie: fiołka z krwią, upatrzony samochód! Chciałam się go pozbyć jak najszybciej, to było jedyne rozwiązanie! John, rozmawialiśmy o tym! Musiałam wyeliminować tego cholernego Noaha, on wszystko by zepsuł! A to była taka dobra okazja! – Teraz ona też podniosła głos.

– Owszem dobra, ale mogłaś poczekać na lepszą, a najlepiej odpuścić. Tyle razy ci mówiłem, że nie jestem zwolennikiem ostatecznych rozwiązań. Ten twój William nie jest jedynym młodym Wędrowcem, jaki chodzi po świecie. Mogliśmy poszukać kogoś innego! Dlaczego tak się uparłaś?

– Jesteś zazdrosny? – parsknęła śmiechem. Przechyliła głowę, jej długie blond włosy opadły, lekko przykrywając ramię.

– Nie. Nie bądź głupia.

– To dobrze. Już myślałam, że zrobiłeś się sentymentalny. Powiem ci, że William jest całkiem przystojny, i to ciało... – Cmoknęła lekko. – Gdyby tylko nie był takim romantycznym głupcem... Jedyne znamię Eperu burzy całą kompozycję. Pomyśl, jaki byłby z niego Habbatum? – westchnęła z zachwytem.

– Nie wiem, nie gustuję w facetach.

– John, chyba zapomniałeś o przepowiedni!? Jasno z niej wynikało, że Księgę odczyta ktoś związany w jakiś sposób z Williamem albo on sam.

– Niczego nie zapomniałem.

– Czasami sprawiasz takie wrażenie – fuknęła zniecierpliwiona. – Wróżba była jednoznaczna. Dlaczego odrzucasz klarowne informacje?

Chyba się zdenerwowała, bo wyciągnęła z torebki małą szczotkę i zaczęła energicznie rozczesywać włosy, w końcu zaplotła je w warkocz i wprawnym ruchem upięła go wokół głowy.

– Nie wiem, czy to takie klarowne i oczywiste. Wróżby można zinterpretować na wiele sposobów. Nie wiadomo, czy chodziło właśnie o tego Wędrowca? Druga wersja mówiła o młodej dziewczynie z rodu Wilków. Poza tym co z Noahem? Poznał cię, prawdopodobnie kiedyś się spotkacie. Zdajesz sobie z tego sprawę? I co zamierzasz zrobić z matką Williama? Przecież cię widziała.

– Powtórzę: dla mnie przepowiednia jest jednoznaczna, ale co do dziewczyny masz rację, nie możemy tego zignorować. Ciągłe się zastanawiam, o co chodzi z tymi Wilkami? A Noah? – parsknęła śmiechem. – Będę go unikać, to żaden problem. Z tą kobietą też sobie poradzę, już wymyśliłam

pewien plan. Na szczęście ona ciągle jest w śpiączce i prędko się nie obudzi.

– Skąd ta pewność?

– Podśluchałam lekarzy. Obrażenia są poważne, choć nie zagrażają życiu. Przekupiłam lekarza z oddziału, na którym leży matka Williama. Ten facet wkrótce podda ją specjalnej terapii. Wystarczy kilkanaście iniekcji i mózg tej kobiety zamieni się w wiśniową galaretkę: będzie żyła, ale z pewnością nie przypomni sobie nigdy momentu wypadku.

– Zamierzasz wrócić do Williama? Teraz już nic nie stoi ci na przeszkodzie...

– Chyba nie. Jego ojciec siedział z tyłu i gdy podeszłam do samochodu, był nieprzytomny, zresztą tak samo jak jego żona. Ale nie mam stuprocentowej gwarancji, że ta kobieta na mój widok czegoś sobie nie przypomni. Wolę dyskretnie pozostać z boku i czekać na rozwój wypadków. Może sytuacja rozwiąże się szybciej, niż się tego spodziewamy, a na razie muszę pilnować Williama. Gwarantuję, że nigdy mi nie ucieknie. Będzie umierać i rodzić się wtedy, gdy ja zadecyduję! Musimy odczytać Księgę! Pamiętaj, że nie mamy zbyt wiele czasu, z każdym dniem znika zapis z jednej strony. Myślę, że nic nie stoi na przeszkodzie, żebyś teraz poszukał tej dziewczyny, może będzie potrzebna.

– Przypomnij mi, jak brzmiało imię z przepowiedni?

– Anastazja. Anastazja z rodu Wilków...

Usiadłam na łóżku. Serce waliło mi tak, że czułam je w gardle. Kilka razy wzięłam głęboki wdech, ale nie pomogło: nadal byłam oszołomiona. Wokół panowała kompletna ciemność.

– Sue! Włącz się, wiadomości, BBC News! Bez głosu! – krzyknęłam, kierując twarz w stronę ściany.

Czwarta dwadzieścia dwie. Środek nocy, pomyślałam, zerkając na rozświetlony ekran. Zerwałam się, wpadłam do łazienki, puściłam wodę i stojąc pod letnim strumieniem, trzęsącymi rękami zdzierałam z siebie pizamę.

Boże! Dorothy zabiła Krisa! To ona spowodowała ten wypadek!

Tysiące myśli przelatowały przez głowę. Zaciśnięte ze strachu i wzruszenia gardło nie pozwalało złapać oddechu. Wiedziałam, że to, co mi się przyśniło, kiedyś wydarzyło się naprawdę. To nie była projekcja senna, czy też inne wyobrażenie. Jakaś część pamięci Johna, mojego dziadka, pozostała we mnie

i teraz wszystko się odtworzyło.

Spokojnie! Tylko spokojnie! Jestem oazą spokoju!!! O matko! Byłam Johnem, byłam własnym dziadkiem! Dlaczego tu nie ma kostkarki do lodu? Muszę się ostudzić!!! Błyskawicznie przestawiłam temperaturę wody na bliską pięciu stopni, niestety mniej się nie dało. Powoli! Wdech, wydech, wdech, wydech, oddychaj dziewczyno, tylko się nie utop z wrażenia! Anastazja z rodu Wilków! To o mnie! O matko! Dorothy zabiła Krisa! Księga? Jaka Księga? Boże, o co chodzi???

Ratunku!!! Zaraz oszaleję!!!

Przez dobre pięć minut stałam pod prysznicem. Byłam już bliska hipotermii, mimo to w mojej głowie nadal szalało tornado. W końcu zakręciłam wodę i powoli wylazłam z kabiny. Otuliłam się grubym szlafrokiem, ale i tak z zimna zęby szczykały mi jak kastaniety. Zerknęłam w lustro: świeżo malowana gejsza, frotté kimono i do tego jeż na głowie. Uroczy widok...

– Co robić? Co robić? – mamrotałam do siebie.

Przeczesałam włosy, zdjęłam z półki pastę i szczoteczkę. Przez kilka minut szorowałam zęby z godnym podziwu zapałem. Później skorzystałam z nici dentystycznej i płynu. Gorączkowe zabiegi higieniczne, niestety, nie przyniosły jakiegoś szczególnego ukojenia. Wyszczrzyłam zęby: lśniły jak porcelana, ale i tak moja twarz była bielsza. No cóż, rzadko która dziewczyna ma okazję wcielić się we własnego dziadka.

Postanowiłam w końcu wyjść z łazienki. Rzut oka na ekran uświadomił mi, że w moim więziennym SPA spędziłam prawie dwadzieścia minut. Odkręciłam butelkę wody Evian i wypijałam całą duszkiem. Nerwowo rozejrzałam się po pokoju. Czytać? Ćwiczyć? Oglądać telewizję? Dobrze wiedziałam, że nic nie jest mnie w stanie odciągnąć od rozmyślania nad tym, co się wydarzyło. Ostatecznie postanowiłam z powrotem wejść do łóżka i zastanowić się, co zrobić z wiedzą, którą właśnie posiadałam.

– Sue! Wyłącz się.

Leżałam spokojnie i odtwarzałam w głowie słowo za słowem, od początku...

Zwykły człowiek? Też zakończyłabyś egzystencję.

Zakończyła egzystencję? Czyżby Dorothy nie mogła zabić zwykłego człowieka? Nie może zabić mojej mamy, bo wtedy sama by zmarła! Dorothy jest z Habbatum, tak samo jak Jack i ten młody – Brian, czyli oni wszyscy nie mogą zrobić krzywdy zwykłym ludziom! Aż podskoczyłam z wrażenia na łóżku. To była zdecydowanie dobra wiadomość!

O co chodzi z tą Księgą? Pewnie mam ją odczytać zgodnie z przepowiednią. Ale co wtedy miałabym sobie przypomnieć? Z tego powodu ta szuja pasie mnie pigułkami poprawiającymi pamięć? Z dziadka Johna też była niezła kanalia, nie taka jak Dorothy, no może ciut mniejsza, ale wystarczyło, że się z tą fałszywą małpą układał. Też sobie znalazł przyjaciółkę! – sarkałam w duchu. Aż wstyd mieć takiego w rodzinie! I to bliskiej. Co za Judasz!

Już wiedziałam, kto w poprzednim wcieleniu stał za śmiercią Krisa, kto był odpowiedzialny za wypadek i chorobę mamy Leo. Przypomniałam sobie naszą rozmowę, gdy mój ukochany wszystko mi opowiedział, i jak bardzo się wtedy wzruszyłam, teraz też łzy zakręciły mi się pod powiekami.

Leo, kocham cię i przysięgam, że stąd ucieknę. Razem pomścimy śmierć Krisa i to wszystko. Dorothy, zapomnij, że ci pomogę! Po moim trupie! Nigdy nie przeczytam żadnej Księgi, czymkolwiek jest. Idź do szkoły, analfabetko, i sama sobie czytaj te swoje Księgi! Zacisnęłam pięści.

Postanowiłam trochę polatać. Przez następne dwie godziny czujnik działał w trybie nocnym, miałam sporo czasu. Rozwazałam dolny poziom i kuchnię, bo jeszcze nie miałam okazji tam zajrzeć, a o tej porze z pewnością nikogo tam nie było, ale na razie wolałam skupić się na okolicy i badać, co otacza budynek stojący nad moim więzieniem. Owszem, wiedziałam, że znajduje się w Norwegii, nawet raz ktoś zostawił na parkingu samochód i rzeczywiście, tablice rejestracyjne jasno na to wskazywały, ale ciągle nie znałam dokładnej lokalizacji.

Dorothy nie pozwoliła mi pisać, ta droga kontaktu przepadła bezpowrotnie. Co do telefonów – obiecała, że jutro znów będę mogła zadzwonić do mamy. Próbowałam w głowie tak ułożyć treść rozmowy, żeby mama mogła odszyfrować wiadomość, ale stwierdziłam, że będzie ciężko. Na szczęście został mi jeszcze jeden sposób, mój as w rękawie.

Domyśliłam się, czym przeraziłam perfekcyjną blondynę w trakcie naszej pamiętnej porannej pogawędki. Dorothy odczytała moje myśli i to ją tak zaskoczyło, że kompletnie straciła rezon. Ewidentnie coś miałam z głową, oczywiście w pozytywnym znaczeniu tego słowa.

Wariograf szaleje, porozumiewam się telepatycznie, wcielam w dziadka. Niezły cyrk! – pomyślałam, układając się wygodnie. Środek nocy, pewnie nic nie zobaczę albo niewiele. Nastawiłam się na niezbyt dobrą widoczność.

No to: raz, dwa, trzy...

We all live in a yellow submarine...

Łałałał!!! Łałałał!!! Co to jest?! Rozglądałam się z zachwytem: cała okolica zalana była zielonym, kompletnie nierealnym światłem. Obracałam się na wszystkie strony. Nie mogę! Jak pięknie! Leo! Dlaczego cię tu nie ma?!

Szumiący wiatr i szmaragdowe niebo tworzyły tak harmonijną kompozycję, że kompletnie straciłam poczucie rzeczywistości. Postanowiłam wzbić się w niebo jak najwyżej, żeby zobaczyć z bliska ten fantastyczny spektakl. Wznosiłam się wyżej i wyżej, widząc przed sobą coraz większe połacie ośnieżonego terenu. Zielone błyski odbijały się od iskrzącej jak brokat powierzchni pól i lasów. Po chwili byłam już tak wysoko, że zauważyłam poszarpaną fiordami linię brzegu. Zatrzymałam się i popatrzyłam w górę. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, rozciągała się bajkowa przestrzeń.

Grynszpan, malachit, szmaragd, turkus, seledyn... Jestem w niebie! Jestem w zielonym niebie!!!! Mamo! Leo! Wiki! Musicie to zobaczyć! Jak tu pięknie!! – wykrzykiwałam w myślach.

Skierowałam wzrok w dół, próbując dostrzec budynek, ale zniknął – wzleciałam zbyt wysoko. Jeszcze przez chwilę napawałam się tym widokiem i już chciałam wracać, gdy nagle to usłyszałam.

Zorza śpiewała...

Bez słów, ciągłym tonem, płacząc i wzdychając, śpiewała o miłości i tęsknocie. Słuchałam oczarowana, z moich niewidzialnych oczu płynęły niewidzialne łzy, niewidzialne serce płakało...

Leo, kocham cię, zabierz mnie stąd! Przyjdź po mnie! Tak bardzo mi ciebie brak...

I wtedy znów poczułam ten straszny ból rozrywający czaszkę...

* * *

Jak dobrze, że Platinum Estate nie było aż tak mocno strzeżone jak moje miejsce zamieszkania. Dziękowałam Bogu, że ochroniarz nie zauważył, z kim rozmawia. Bez większych ceregieli wpuścił mnie na parking przed budynkiem, w którym od kilku dni zamieszkiwał jeden z najpoczytniejszych brytyjskich pisarzy. W kilku susach dopadłem do oszklonych drzwi. Błyskawicznie odszukałem właściwy przycisk na panelu z numerami mieszkań.

– Kto tam, do cholery?! – usłyszałem w domofonie głos Krisa.

Nie był to szczyt kurtuazji, ale ciężko się silić na uprzejmości, gdy ktoś o piątej rano próbuje nas odwiedzić. Natychmiast wybaczyłem mu ten brak galanterii.

– To ja, Leo! Otwórz! – odpowiedziałem.

Zamek w drzwiach cicho szczęknął. Szybko wbiegłem na ostatnie piętro apartamentowca.

– Na Boga! Co się stało?! – Kris stał w drzwiach. Był strasznie zaspany, ziewał co chwilę.

– Ubieraj się! Musimy jechać do chłopaków!

– Gdzie?

– Do Alana i Thora! Wiem, gdzie jest Anna! – Nerwowo wepchałem go do mieszkania, chciałem jak najszybciej wyruszyć, a mój przyjaciel był w kompletnie niewyjściowym stroju.

– Gdzie jest? Skąd to wiesz? – próbował się dowiedzieć, ale nie pozwoliłem mu nawet na chwilę wytchnienia.

– Zaraz ci powiem, ubieraj się! – Błyskawicznie odnalazłem spodnie Krisa i tak bardzo go popędzałem, że prawie mu te nieszczęsne portki założyłem i zapiąłem.

– Czekaj, jeszcze jakaś koszula! Tylko gdzie ja mam czyste koszule? – Ubrany w kraciastą górę od piżamy rozglądał się bezradnie: wszędzie wokół nas stały wieże z kartonów.

– Dobrze wyglądasz! – Zdjąłem kurtkę z wieszaka i rzuciłem mu.

– Świetnie. Wręcz idealnie – mruknął z przekąsem. – A skarpety?

– Nie trzeba, nikt cię nie będzie oglądał! Nie jedziemy na wystawę psów rasowych! No, chodźże wreszcie! – Ciągnąłem go za rękaw.

– Czemu nie zadzwoniłeś? – wysapał, zakładając buty.

– Masz wyłączony telefon.

– Cóż... – Wzruszył ramionami. – Na dodatek nie wiem, gdzie spakowałem ładowarkę.

W końcu udało się nam wyjść, zbiegliśmy po schodach i chwilę później już siedzieliśmy w samochodzie. Na szczęście Londyn jeszcze spał, więc korki nam nie groziły.

– Mów! – Kris nie mógł się doczekać.

– Moim zdaniem Anna jest w Norwegii!

– Skąd wiesz?

– Wiem, że to szalone, ale ja to widziałem! – Uśmiechnąłem się szeroko.

– Co?!

– Norwegię! Zorzę polarną! Fiordy! Rozumiesz?! Anna mnie wołała! – Zerknąłem na Krisa. Byłem rozemocjonowany i chciałem jak najszybciej wszystko mu wytłumaczyć.

– Leo, spokojnie i po kolei!

– Już ci opowiadam. Położyłem się późno, pewnie gdzieś po drugiej. Spałem jak kamień, gdy nagle coś mnie obudziło. Wyraźnie usłyszałem, że ktoś mnie woła. Usiadłem na łóżku, zapaliłem światło, nic nie było słyhać. Poszedłem do salonu, potem do kuchni i reszty mieszkania, zerknąłem nawet na korytarz: cicho jak w grobie. Pomyślałem, że wariuję. Wróciłem do łóżka i już prawie zasypiałem, gdy nagle zobaczyłem zorzę polarną! Uwierzysz!?! – Choć jechaliśmy bardzo szybko i prowadziłem uważnie, i tak co kilka sekund zerkałem na Krisa. – Przez chwilę myślałem, że to jakieś złudzenie, zacząłem się unosić. Leciałem coraz wyżej i wtedy pokazały się fiordy! Światło zorzy odbijało się w morzu, słyszałem muzykę! Kris, to było niesamowite, zupełnie jak jakaś symfonia! I wtedy w mojej głowie pojawił się głos Anny! Mówiła, że mnie kocha, że tęskni, że mam ją stamtąd zabrać... – Przygryzłem wargi, znów poczułem ucisk w gardle, tak samo jak wtedy, gdy to wszystko się działo.

– Może ja poprowadzę?

– Spoko, daję radę. – Przełknąłem ślinę. – Jestem pewny, że to nie był sen. Słyszałem ją tak samo wyraźnie, jak teraz słyszę ciebie. Rozumiesz? Wierzysz mi?

– Okej, Leo, wierzę ci. Przecież mówiłeś kiedyś o podobnym zdarzeniu. Norwegia to mimo wszystko spory kraj, zapamiętałeś jakiś szczegół? Cokolwiek?

– Nie bardzo. Byłem wzburzony, poza tym ta projekcja trwała może minutę? Na pewno widziałem brzeg i morze, to musiała być Norwegia. Wszystko wyglądało dokładnie tak samo jak wtedy, gdy poleciliśmy oglądać zorzę. Pamiętasz? Kiedy to było? – próbowałem sobie przypomnieć jedną z naszych mentalnych wycieczek.

– Cztery lata temu. W styczniu?

– Właśnie, zaraz po Nowym Roku. – Pokiwałem głową.

– To już coś mamy. Szkoda, że ten trop ze statkiem nie wypalił – westchnął Kris.

– Niestety, ludzie współpracujący z Alanem nie zdołali odkryć, dokąd dotarł

niewielkich rozmiarów szybki prom, którym Debora wypłynęła z Anną, i kto go wynajął. Jedyne, co udało się im ustalić, to miejsce i czas odprawy w porcie. Oczywiście Norwegię również braliśmy pod uwagę, ale teraz już mieliśmy pewność chociaż co do kraju.

– Jak myślisz? Brat Alana jest w stanie coś wyszukać? – Zerknąłem z nadzieją na Krisa.

– Jest szansa. Musisz jak najdokładniej mu to przedstawić.

– Powiedz mi, jak i kiedy Thor stracił wzrok? Co się stało? – Chciałem trochę się uspokoić, więc skierowałem rozmowę na inny temat.

– Dawno. Miał wtedy osiem lat. To był jakiś łagodny nowotwór mózgu. Guz, a raczej kilka guzów tak się ułożyło, że poraziły nerwy wzrokowe w obu oczach. Alan mówił, że choroba Theo trwała może pół roku, wyleczyli go całkowicie, ale bezpowrotnie stracił wzrok. Oczywiście, gdy porusza się poza ciałem, widzi tak samo jak my. Twierdzi, że nawet lepiej niż w poprzednim wcieleniu. Ma zdecydowanie mocniej wyostzone zmysły, lepiej słyszy i czuje. To normalne u takich osób.

– Kompensacja zmysłów?

– Tak.

– Jego dziewczyna, Beka? Też jest niewidoma? – Wiedziałem, że Thor poznał ją na obozie dla niepełnosprawnej młodzieży.

– Nie. Rebecca jest głucha. Śliczna. Blondynka. Rzeczywiście małeństwo. To nieprzeciętnie inteligentna dziewczyna, tak samo jak Thor. Jest jego rówieśnicą. Razem pracują nad projektem.

– Ona wie?

– Nie wszystko, podobnie jak Alan. Wie, że Thor odzyskuje wzrok, gdy zasypia, tak jej to wytłumaczył. Razem oglądają filmy, oczywiście ona musi mieć napisy. Razem czytają książki, gazety i tak dalej. Nawet do kina chodzą razem, siadają w ostatnim rzędzie i jazda!

– Nie wnika? Nie intryguje jej, o co w tym wszystkim chodzi?

– Nie. To bardzo ekscentryczna postać, sam zobaczysz. Oboje, ona i Thor, żyją we własnym świecie, pewnie najchętniej by się nie rozstawali.

– Aha. – Pokiwałem głową. – Z czego się utrzymują?

– Oboje mają rentę, poza tym od jakiegoś czasu im pomagam. Wspieram projekt „Gawędziarze”.

– Uhm. Wytłumacz mi jeszcze raz, na czym to polega? Szczerze mówiąc, nie wszystko zrozumiałem ostatnim razem.

– Projekt „Gawędziarze” oficjalnie nazywa się ANBA. To skrót od zwrotu Anty-Babel. Wiesz, czym była wieża Babel według Starego Testamentu?

– Kojarzę, chodziło o poplątanie języków?

– Właśnie. Najpierw Thor i Began wymyślili komunikator, dzięki któremu mogli się porozumiewać ze sobą, nawet gdy nie przebywali razem. Chłopak jest bardzo zdolnym elektronikiem. Rozbroił kilkanaście telefonów komórkowych i złożył z nich zestaw dwóch specjalnych aparatów. Gdy Thor dzwoni do Began, wszystko, co mówi, w czasie rzeczywistym wyświetla się u niej na ekranie. Później razem doszli do wniosku, że muszą udoskonalić system, i tak powstał projekt ANBA, a gawędziarze to osoby biorące w nim udział. ANBA też bazuje na aparatach telefonicznych, można również stosować zestaw głośnomówiący, to bardzo wygodna opcja, masz wtedy wolne ręce i możesz dużo swobodniej funkcjonować.

– Chodzi o rozmowy we wszystkich językach?

– Tak. Obecnie testują angielski i niemiecki. Jedna osoba mówi w języku niemieckim, a druga po angielsku. Rozmawiając ze sobą, obie w pełni się rozumieją. Aparaty telefoniczne łączą się z bazą, która zawiera wszelkie możliwe zwroty, które występują w tych dwóch językach. Tłumaczenie następuje w ułamku sekundy i to, co powiedziałeś po angielsku, druga osoba słyszy w języku niemieckim i na odwrót. Mało tego, twój głos jest tak przetworzony przez komputer, że rozmówca ma wrażenie, że to ty mówisz po niemiecku.

– Brzmi jak jakieś science fiction. A skąd wzięła się ta baza? Sam dobrze wiesz, jak ułomnie działają translatory w necie. W najlepszym przypadku przeczytasz: „Niedobra Kali ukraść bardzo duży krowa...” – Parsknąłem śmiechem.

– W ANBA jest inaczej, bazę budują użytkownicy. Idea jest taka: każdy użytkownik, czyli Gawędziarz, dostanie za darmo urządzenie ANBA. Nie ma żadnych opłat za korzystanie z tego systemu. Jedyne, co będzie wymagane, to samodzielne tworzenie bazy przez wszystkich uczestników projektu. Oczywiście im większa aktywność w systemie, tym więcej czasu, który możesz wykorzystać na rozmowy. Wiem, że wśród osób, które zaczęły w tym całym zamieszaniu uczestniczyć, jest kilku tłumaczy, filologów i humanistów. Ci na bieżąco zajmują się kontrolowaniem poprawności językowej. Na razie to niewielka garstka zapaleńców, ale w tej chwili wystarcza. W przyszłości tylko oni i informatycy będą otrzymywać normalne wynagrodzenie za swoją

pracę.

– Okej, ale jak ten system ma się utrzymać? Skąd pieniądze na urządzenia? Na tłumaczy, na tych wszystkich ludzi, którzy go będą nadzorować? Gdyby to wypaliło, to nie będzie garstka osób pracujących za darmo, tylko tysiące.

– System utrzymywany będzie z reklam emitowanych w trakcie rozmów. Przewidziane są również płatne abonamenty bez reklam.

– Sprytne. To naprawdę może okazać się hitem.

– Też tak sądzę, tylko dlatego zainwestowałem w ANBA.

– Jesteś materialistą – parsknąłem śmiechem.

– Żartuję. Nawet gdyby projekt nie wypalił, nie będę żałować. Thor i Bekan to fantastyczni młodzi ludzie, a praca nad ANBA pozwala im się realizować. Wystarczy, że miałem możliwość ich poznać, zwłaszcza Thora.

– Nie mówiłeś, jak to się stało. – Zerknąłem na Krisa.

– To było niedawno? Pojechaliśmy z Jane do centrum handlowego i nie wiem kiedy i jak, ale ktoś buchnął mi zegarek. Wróciliśmy do samochodu i wtedy się zorientowałem, że go nie mam, więc zadzwoniłem po policję. Ten zegarek może nie był jakiś drogi, zwykły atlantic, ale to była pamiątka – dostałem go od ojca. Żeby go kupić, przez rok odkładał pieniądze. Dosyć szybko przyjechał patrol, jednym z dwóch policjantów był Alan. Wszystko im przekazałem i dałem namiary na siebie. Godzinę później Alan zadzwonił do mnie z prywatnego telefonu. Chciał się spotkać, umówiliśmy się w jakiejś knajpce. Powiedział mi wtedy, że zauważył moje znamię, i stwierdził, że jego brat ma identyczne. Oczywiście spotkałem się z Theodoreem i resztę już znasz. Niestety, do tej pory zegarka nie udało się odnaleźć.

– Myślę, że korzyść z tego wydarzenia jest większa niż strata zegarka – zasugerowałem.

– Też tak sądzę. A może zegarek jeszcze się odnajdzie? Zobaczymy.

Ostatnie pięć minut podróży spędziliśmy w kompletnym milczeniu. Uświadomiłem sobie, jak jest wcześnie, dopiero gdy zaparkowałem. A przecież nie uprzedziliśmy Alana o naszej wizycie. Na szczęście Kris stwierdził, że nie jest to konieczne. Tym razem spokojnie udaliśmy się na górę.

– No chłopaki, oryginalna pora na wizyty. Wpadliście na kiełbaski? A może kawa się wam skończyła? – Thor wprowadził nas do salonu.

– Powiem ci, że z tą kawą to masz trochę racji. Chętnie bym się napił.

Czarna bez cukru. Mogę prosić? – Kris opadł na sofę.

– Jasne. Leo?

– Ja też proszę.

– Okej, minuta. Loki już wstał, zaraz pewnie przyjdzie. O, idzie...

– Cześć. Co jest? – Alan stanął w progu. Wyglądał równie przytomnie jak mój przyjaciel niecałą godzinę wcześniej. Nawet strój miał podobny.

– Pizama party. – Kris parsknął śmiechem. – Leo jest organizatorem.

– Pewnie dlatego sam ubrał się w zwykłą koszulę. Thor! Mnie też zrób kawę! – ryknął w kierunku drzwi Alan.

– Sam se zrób! Rączki do pałki przyrosły? – odpowiedział z kuchni jego brat.

– Chyba tobie!

– Ja mam dziewczynę i nie jestem gliną! Zadzwoń po Hulka, niech ci zrobi szpinak! – Thor nie dawał za wygraną.

– Gówniarzu, tysiąc razy szykowałem ci śniadanie! – stwierdził z wyrzutem Alan.

– Pamiętam! Zawsze przypalałeś owsiankę!

– A ty myliłeś sól z cukrem! Ślepy jesteś? – Barrow ryknął śmiechem.

– Chyba twoja stara!

– No chyba twoja!

– Moja na pewno nie!

– Twoja. Przecież znaleźliśmy cię na śmietniku.

Bracia wymieniali się uprzejmościami tak subtelnie, że trzęsły się ściany. Przy każdej ripocie Alan zginał się ze śmiechu, zresztą my z Krisem już przy pałce zaczęliśmy rechotać, później było tylko gorzej.

– Obudziliście mnie... – W drzwiach stanęła niska blondyneczka w intensywnie różowej koszuli nocnej i podobnych kapciach. – Dlaczego tak ksicicie? – spytała z wyrzutem. Nawet nie zauważyłem, kiedy się pojawiła, taki rumor panował w mieszkaniu braci Barrow. – Oliver z *Upalu!* – nagle pisnęła, w ciągu sekundy podbiegła i wskoczyła mi na kolana. – Kofam cię! Kofam cię! Mój kofany! – Całowała mnie po policzkach jak szalona. – Thor, tu jest Oliver! Ziobać! Psijć tu!!! Tu jest Oliver!!!

Byłem lekko skonsternowany, chociaż nie powiem, miło widzieć aż tak żywiołową reakcję. Rebecca tarosiła mną bez litości. Na szczęście była filigranową osobką, więc znosiłem to dzielnie i bez sprzeciwu.

– Began cię lubi, uprzedzałem! – Thor powoli wkroczył do salonu

i postawił na stoliku tacę z czterema filizankami parującej kawy. – Musisz przeżyć... – Uśmiechnął się. Jego oczy spoglądały gdzieś w bliżej nieokreślonym kierunku.

– Przeżyję, jest fantastyczna. Już cię lubię! – zwróciłem się do dziewczyny, ale od razu pomyślałem, że ona tego nie usłyszała.

– Lubiś mnie?! – Znów pisk i kilkanaście pocałunków, które trafiły na moje zaróżnione policzki.

– Doskonale czyta z ruchu warg, poza tym odczuwa wibracje powietrza, dlatego usłyszała, że krzyczymy, i się obudziła – szybko wyjaśnił Alan.

– Rozumiem.

W końcu Began zeszła z moich kolan i usiadła na przeciwległej sofie między Thorem a Alanem. Cały czas nie spuszczała ze mnie wzroku, ja też przyglądałem się jej uważnie. Gdy tylko stanęła w progu salonu, od razu spostrzegłem u niej zespół Downa. Miała dziecięcą twarz, charakterystyczne lekko ukośne oczy, łagodnie zarysowany podbródek. Burza jasnych loczków otaczała jej buzię jak afro. Wpatrywałem się w nią intensywnie, miałem wrażenie, że gdzieś już widziałem tę dziewczynę.

– Znam cię – powiedziałem powoli i wyraźnie. – Skąd?

– Began wystąpiła w reportażu, puszczała to w BBC Lifestyle – odpowiedział Thor z dumą i przytulił dziewczynę.

– Tak! Przypominam sobie! To była seria o sawantach!

– Began sawant! – Pokiwała głową.

– O matko! Jesteś informatycznym geniuszem? I matematycznym!

– Na dodatek niezły z niej haker! – Alan parsknął śmiechem.

– Leo, mówiłem ci, że to bardzo oryginalna osoba – przypomniał Kris.

– No dobrze. Mówcie, chłopaki. – Alan zwrócił się do mnie i Krisa. – Domyślam się, że coś się wydarzyło?

– Tak, Leo miał wizję. – Mój kumpel parsknął śmiechem.

– Grzybki? – zachichotał Thor.

– Weź się zamknij, ćpunie. – Alan wyciągnął rękę ponad Rebeccą i pięścią lekko uderzył brata w kępę dredów.

– Tylko nie ćpunie, pałkarzu! – Thor znów nie był dłużny. – Wiesz, że nie lubię grzybów.

– Nie śturchajcie mnie! – pisnęła Began.

– O matko! – jęknął Alan. – Zaraz z nimi oszaleję. Uspokójcie się, bo przyniosę kajdanki i poprzypinam was do kaloryferów. Mów, Leo.

– Okej. – Westchnąłem głęboko.

Powoli i wyraźnie, tak żeby Rebecca również mogła zrozumieć, opowiedziałem całą wizję. Starłem się nie poddać wzruszeniu, zwłaszcza pod koniec relacji, ale i tak chyba wszyscy zauważyli, że ciężko mi było zachować spokój, bo gdy skończyłem, zapadła cisza.

– Co można zrobić? – Kris przerwał milczenie.

– Musisz tam polecieć i spróbować zlokalizować to miejsce. Tylko ty je widziałeś – rzucił sugestię Thor.

– Nie pamiętam. – Bezradnie pokręciłem głową. – Kiedyś z Krisem oglądaliśmy zorzę i wiem, że wszystko wygląda tam podobnie.

– Spróbuj, co ci szkodzi? Do Norwegii dolećisz w niecałe dwie godziny.

– Ja myślę, że powinniśmy zadziałać wielotorowo. Leo poleci, jak wy to nazywacie, i spróbuje namierzyć miejsce. Ty, Thor, też się porozglądaj, i Kris też. Podzielcie teren na fragmenty, może coś zauważycie. A z kolei Began mogłaby się włamać do systemów telekomunikacyjnych. Anna parę dni temu dzwoniła do matki, mamy to zarchiwizowane, myślę, że coś uda się nam wydobyć. Trzeba sprawdzić, gdzie i o której godzinie była zorza w Norwegii. Proponuję spisać wszystkie informacje i ustalić schemat działania. – Alan zerwał się z sofy.

– Tak jest, kapitanie! – Thor również się podniósł. – Wyłumaczę Began, o co chodzi.

– Znajdziemy Annę. – Rebecca popatrzyła na mnie. Z jej oczu biła pewność...

Rozdział 4

Bitwa o Annę

Londyn już wstał, bo na drogach panował poranny tłok, ale chociaż raz tkwienie w korkach nie było tak uciążliwe jak zwykle. Mogłem na gorąco omówić wszystko z Krisem. A naprawdę mieliśmy o czym gadać. Od kiedy zostałem celebrytą, poznałem setki, a może nawet tysiące osób. Mimo to dzisiejsza przygoda zrobiła na mnie ogromne wrażenie.

– Miałeś rację, niesamowita z nich para – stwierdziłem, wyjeżdżając z St John's Road.

– To fakt, są oryginalni. – Kris zgodził się ze mną. – I bardzo się kochają.

– Hm... – Chrząknąłem znacząco. – Ona wygląda trochę jak dziecko, i to jej zachowanie, sposób, w jaki się wyraża. Dziwne, szczerze mówiąc. Nie wiem, jak bym się czuł na miejscu Thora. – Uniosłem znacząco brwi.

– Gdy pierwszy raz zobaczyłem ich razem, poczułem dokładnie to samo. Leo, musisz wiedzieć, że jej mowa w dużej mierze zniekształcona jest nie tylko przez brak słuchu, ale i budowę języka. Wiele osób z zespołem Downa mówi podobnie.

– Możliwe, ale ciężko to ignorować. Wiesz, o co mi chodzi?

– Wiem. Wydaje ci się, że Rebecca jest dzieckiem, a brat Alana wiadomo kim, gdy z nią sypia – zaśmiał się.

– Oni na pewno to robią? – Zerknąłem na Krisa.

– A jak myślisz? – mruknął. – Rebecca już dawno skończyła osiemnaście lat. Poza tym ona tylko sprawia wrażenie osoby z psychiką dziecka, ale jest bardzo rozwinięta emocjonalnie. W tej swojej spontaniczności i łatwości okazywania uczuć rzeczywiście przypomina małą dziewczynkę, lecz gdy chodzi o inteligencję, raczej nie chciałbym stanąć z nią w szranki. Ona należy do Mensy, teraz pisze doktorat o ósmym problemie Hilberta? Wyobrażasz sobie? Ta panienka wyglądająca jak amerek pisze o czymś, o czym ma pojęcie pewnie stu ludzi na świecie.

– Kto to ten Gilbert?

– Hilbert. Nie pytaj, bo nie wiem. Zresztą tego nikt nie ogarnia, oprócz Beka. Thor czasami zagląda jej przez ramię, gdy pisze tę swoją pracę, i twierdzi, że to jakiś kosmos.

– Powiedz, on wie o zagrożeniach, jakie płyną z ewentualnej... – Zająknąłem się, bo ciągle czułem dziwne skrępowanie, myśląc o Beka i Thorze w kontekście erotycznym. – Skoro sypiają ze sobą, a on jest Wędrowcem? Jak to rozwiązali?

– Rebecca jest bezpłodna.

– Coś z genami?

– Tak. Jak większość osób z tą aberracją chromosomalną.

– Niewiarygodne. – Kręciłem głową. – Oni naprawdę są niesamowici, nie wiem które bardziej? Chyba jednak Rebecca? Jest absolutnie k o s m i c z n a! Zresztą z Thora też niezły oryginał! I to poczucie humoru! Muszę koniecznie poznać ich z Anną! Kris! Czuję, że naprawdę odnajdziemy Annę! Czuję to! – Byłem rozemocjonowany.

– A ja czuję... – Kris ziewnął – że jeśli w ciągu kwadransa nie znajdę się w łóżku, umrę. Do trzeciej w nocy rozkładałem książki... Dwadzieścia trzy kartony książek.

* * *

– Hej! Śniadanie. – Brian powoli wmanewrował wózkem. – Przepraszam, że cię obudziłem.

– Hej. Spoko, już nie śpię. – Gramoliłam się z łóżka.

– Dorothy poleciła ci to przekazać. – Położył na stoliku papierową torbę.

– Co to?

– Nie wiem. Nie zaglądałem. – Wzruszył ramionami. – Przed kolacją chyba do ciebie zajrzy.

– Uhm.

– To do obiadu – pożegnał się jak zwykle.

Ostatnio zrobił się bardzo milczący. Przywoził posiłek, rozładowywał tacę, czasami rzucił spojrzeniem i tyle. Jakoś nigdy nie rozgadywaliśmy się szczególnie, jedynie przy lunchu, gdy czekał, aż zażyję tabletkę i zjem cały posiłek, ale teraz nawet ten czas spędzaliśmy w ciszy. Próbowałam zagadywać, pytałam, co czytał ostatnio, czy mu się nie nudzi taka monotonia w pracy. Odpowiadał zdawkowo, więc przestałam. Zerkał na mnie spod

przymrużonych powiek, a ja czułam się wtedy bardzo skrępowana. Co wówczas myślał? Gdy się odwzajemniałam i podnosiłam wzrok, płoszyłam go i do końca swojej krótkiej wizyty udawał, że nie ma mnie w pokoju. Nie miałam pojęcia, dlaczego Brian tak się zachowywał. Może Dorothy zabroniła mu się ze mną spoufalać?

Na początku podchodziłam do niego bardzo ostrożnie, wręcz wrogo. Wędrowiec z Habbatum, z przeciwnego obozu, na dodatek jego rola nie zachęcała do nawiązania przyjacielskich stosunków. Był moim dozorcą. Klawiszem. Bynajmniej nie Aniołem Stróżem. Po jakimś czasie stwierdziłam, że oprócz Dorothy to jedyny człowiek, który mnie odwiedzał, jeśli to można było tak nazwać. Samotność zaczynała mi doskwierać coraz bardziej. Owszem, miałam sposoby, aby wypełnić sobie czas: nadal konsekwentnie ćwiczyłam, czytałam, oglądałam telewizję, głównie filmy. Czasami coś rysowałam, choć rzadko. Na moją nieśmiałą prośbę o szkicownik i kilka ołówków Dorothy zarzuciła mi stosem materiałów papierniczych; byłam lepiej wyposażona niż Akademia Sztuk Pięknych. Może liczyła na to, że za pośrednictwem rysunków zdradzę, co siedzi w mojej głowie?

Mimo to tęskniłam za ludźmi. Brak kontaktu z innym człowiekiem dokuczał najmocniej. Zaczynałam rozumieć osoby, które wpadły w szpony syndromu sztokholmskiego. Sama chyba też miałam objawy. Zresztą Brian był wyjątkowo łagodnym prześladowcą i to mnie trochę usprawiedliwiało.

W końcu podniosłam się z łóżka i poczłapałam do łazienki. Szybka toaleta i już byłam z powrotem. Oczywiście pierwsze, co zrobiłam, to usiadłam przy stoliku i z ciekawością otworzyłam torbę.

Poczułam łzy, gdy tylko się zorientowałam, co zawiera niespodzianka od Dorothy. W środku znalazłam kilkanaście płyt z filmami, wszystkie z udziałem Leo. Przeglądałam okładki, każda wywoływała falę wspomnień: *Upalu* – *Miasto Obcych*, oglądałyśmy to z Wiką. Kiedy to było, kiedy widziałam ją po raz ostatni? Już prawie zapomniałam, jak wygląda moja przybrana siostra. Łzy polały się ciurkiem na wspomnienie naszej ostatniej rozmowy. *Czerwone ulice* – pierwsza poważna nagroda dla mojego ukochanego, *Francuski książę* – i wizyta u Ruby i George’a, jego rodziców, *Wietnamskie dziecko* – film, który Leo promował w Cannes...

Cannes, Francja... Boże, jaka byłam wtedy szczęśliwa...

Szybko włożyłam płyty z powrotem do torby. Oparłam głowę o stolik, czułam, jak z sekundy na sekundę rozpacz coraz bardziej pochłania moją duszę

i serce. Nagle uznałam, że jej się nie poddam! Nie pozwolę na to! Nie!!!

– Uspokój się! – Dorothy wpadła do celi i ku mojej nieklamanej satysfakcji ze zgrozą patrzyła na to, czego dokonałam przez ostatnią minutę.

Wokół nas wały się potrzaskane rzeczy. Krzesła, naczynia, jedzenie – wszystko porozrzucane, jak gdyby to nie ja, a stado wściekłych byków z Pampeluny wpadło prosto na śniadanko. Tylko torba z płytami pozostała nienaruszona i nadal tkwiła na blacie.

– Sama się uspokój, najlepiej na zawsze. – Chwycałam talerz: ostatnie naczynie, jakie się uchowało w całości, i cisnęłam ze złością w Dorothy. Ledwie zdołała się uchylić.

– A teraz mnie posłuchaj. Zaraz tu grzecznie posprzątasz. Brian przyniesie ci wszystko, co potrzebne. – Nie straciła rezonu.

– Chyba kpisz? – Klapnęłam na podłogę.

Oba krzesła leżały gdzieś na łóżku, stanowiły dosyć mizerny widok. Próbowałam nimi rozwalić kamerę wiszącą nad wezgłowiem mojego wyrka i troszkę się przy tym poturbowały, a w zasadzie niewiele z nich zostało. Byłam na siebie zła, Dorothy właśnie miała okazję zobaczyć, jak bardzo jestem silna.

– Nie kpię. Nie z takimi dawałam sobie radę. Sue, włącz tajne, kod osiem trzy zero – zwróciła się w stronę ekranu. – Pooglądaj sobie.

Nie miałam zamiaru patrzeć na cokolwiek, wlepiłam wzrok w podłogę.

– *Niet! Niet! Proszu ja was!* – ktoś krzyczał wniebogłosy.

Natychmiast popatrzyłam na monitor. Chyba też mu się oberwało, bo przez środek biegła ogromna rysa, ale i tak bez problemów mogłam zobaczyć nagranie.

To był mój czarny pokój, nawet łóżko było identyczne. Jakaś młoda dziewczyna z długimi ciemnymi włosami broniła się zaciekle przed wielkim, obrzydliwie grubym facetem. Bił ją i szarpał, próbował zderzyć z niej ubranie, a ona krzyczała tak strasznie, płakała, prosiła go o coś, niestety nie rozumiałam wszystkiego. Serce podeszło mi do gardła i gdy już myślałam, że nie wytrzymam tej projekcji, nagle pojawiła się kolejna bohaterka dramatu. Do pomieszczenia weszła Dorothy. Poznałam ją – ten jej charakterystyczny warkocz, jasna garsonka, wszystko jak zwykle. W ręce coś niosła, dopiero gdy zbliżyła się do walczącej pary, zorientowałam się, że to strzykawka. Obłeśny

koleś chwycił dziewczynę, a Dorothy wbiła igłę. Film się skończył.

– No i co? Dasz mi zastrzyk na uspokojenie? Wal śmiało. – Drżącą dłonią podciągnęłam rękaw koszulki.

– Jesteś pewna? Sue, tajne, kod osiem trzy jeden.

Przez moment nie mogłam zrozumieć, o co chodzi, dopiero po chwili do mnie dotarła brutalna prawda. Ta sama para, która przed chwilą walczyła ze sobą, teraz w najlepsze migdałowała się w łóżku. Patrzyłam z obrzydzeniem, jak ta śliczna dziewczyna zachowywała się w jednoznaczny sposób, jak prowokowała tego faceta, jak go pieściła, to było jeszcze gorsze niż poprzedni fragment. Odwróciłam wzrok, nie mogłam na to patrzeć. Czułam, jak żołądek podchodzi mi do gardła, jeszcze sekunda projekcji i zwymiotowałabym.

– Sue. Zablokuj tajne. Wyłącz się. – Dorothy podeszła do mnie, widziałam przed sobą tylko parę kremowych lakierowanych szpilek i nogi w cielistych rajstopach. Przykucnęła.

– Patrz na mnie, gdy do ciebie mówię.

Podniosłam oczy.

– Wiesz, co to było? To lekarstwo dla oziębłych i niegrzecznych dziewczynek. Wykonałam je na zamówienie dla pewnego pana. On również miał podobny problem jak ja z tobą, choć może ciut innego rodzaju, ale w twoim przypadku też powinno poskutkować. Zostało mi parę fiolek. Może zaaplikujemy ci jedną i podeślę tu któregoś z chłopaków. To co? Brian? A może Lukas? To ten największy. Zobaczysz, będzie fajnie. Zresztą sama zadecyduj. Nagramy film, a płytę wyślę twojemu Leo. Niech nacieszy oko, na pewno się stęsknił za twoim widokiem.

– Przepraszam – wycedziłam przez zaciśnięte ze strachu zęby. – Posprzątam tu.

– Tak myślałam. Grzeczna dziewczynka. – Dorothy wyciągnęła rękę i po sekundzie namysłu pogłaskała po głowie. Wzdrygnęłam się z obrzydzenia, ale chyba nie zauważyła. Starłam się przy niej bardzo kontrolować, zarówno fizycznie, jak i mentalnie. Od kiedy usłyszała moje myśli, bardzo uważałam na to, co wykrzykiwałam w głowie.

– Dobrze. Wobec tego zostawiam cię. Zaraz przyjdzie Brian, a ja wpadnę tu przed kolacją. Teraz muszę pilnie wyjechać. – Podniosła się i rozejrzała wokół. – Musimy porozmawiać, może wieczorem będą ku temu lepsze warunki.

– Przyniosłem odkurzacz i worki na śmieci. – Brian stanął w drzwiach.

– Dzięki. Połóż tam – mruknęłam, wskazując mu miejsce obok łóżka.

Siedziałam na podłodze. Dorothy wyszła już z piętnaście minut temu, a ja wciąż nie doszłam do siebie. Nadal dygotałam z nerwów, było mi zimno i ciągle mnie mdliło. Zaciśnięte gardło nie pozwalało na swobodny oddech, a łzy płynęły po policzkach. Pewnie oni wszyscy, którzy mnie pilnowali, mogli to zobaczyć, bo rozbiłam tylko jedną kamerę. Nie zależało mi już na dyskrecji, na tym, żeby Dorothy nie widziała, jak się rozkleiłam, jaka jestem słaba, przerażona. Na niczym mi już nie zależało. Chciałam umrzeć, zniknąć, rozpląnąć się w powietrzu albo odlecieć tak daleko, że już nigdy nie zdołałabym wrócić. Poleciałabym do Leo i tak długo trwała przy nim, aż moje ciało by umarło. Znow przed oczami stanęła mi scena z długowłosą dziewczyną, to było straszne. Nie wyobrażałam sobie, co mógłby poczuć Leo, gdyby zobaczył mnie w takiej sytuacji.

Popatrzyłam na Briana – ciągle stał w tym samym miejscu i nie spuszczał ze mnie wzroku. Fala mdłości kolejny raz podeszła mi do gardła. Pewnie wszystko zobaczył, słyszał naszą rozmowę, może widział się w tej roli, którą zaproponowała Dorothy.

– Po co tu jeszcze stoisz? – mruknęłam niezbyt przyjaźnie.

– Może ci pomóc pozbierać te rzeczy? – Rozejrzał się wokół.

– Nie trzeba. – Spuściłam wzrok. Przez chwilę czekałam, aż sobie pójdzie, ale on nadal tkwił w bezruchu. W końcu zerknęłam na niego.

– Dzięki, ale sama muszę posprzątać. Dorothy tak zdecydowała, przecież wszystko słyszałeś. Widziałeś, co się wydarzyło... – Znow poczułam napływające łzy. Nawet nie miałam siły krzyknąć, że jest taki sam jak Jack, jak Dorothy: potwór ze znakiem Habbatum, zakłamany, fałszywy i podły.

– Nie wiem, o czym rozmawialiście. Tylko widzieliśmy z Lukaszem, co ci pokazała.

– Nie kłam, na pewno słyszycie wszystko, co się tu dzieje.

– Słyszeliśmy, ale zniszczyłaś jedyną kamerę z mikrofonem. – Wskazał brodą na urządzenie.

– Uważaj, bo ci wierzę. Myślisz, że nie wiem, kim jesteś? – krzyknęłam.

– Kim? – Brian sprawiał wrażenie opanowanego, ale widziałam, że nerwowo przełknął ślinę.

Wstałam i na jeszcze wciąż trzęsących się nogach podeszłam do niego. Stałam na wprost, jak mogłam najbliżej, i przez chwilę patrzyłam w jego źrenice z taką intensywnością, że prawie dojrzałam dno błękitnych oczu.

– *Jesteś potworem, jesteś z Habbatum, jesteś upadłym Wędrowcem!!!* – pomyślałam z największym skupieniem, na jakie było mnie stać. – *Tak, Brian!!! Mówię do ciebie!!! Wiem, kim jesteś!!! Widziałam zamię, masz je na prawym obojczyku.*

– Potrafisz mówić... myślami... – wyszeptał wstrząśnięty.

– Potrafię. – Wzruszyłam ramionami. Zerknęłam w stronę ekranu. – Sue, włącz MTV.

Przez chwilę patrzyłam na zdemolowany wyświetlacz, na którym pokazała się informacja: *Dzień z Siq Fuller*. Od razu przed oczami znów stanął mi wieczór, w który Leo wrócił z Australii. Ciągłe i ciągle coś mi przypominało o tamtych dniach. Ile jeszcze musiałam znieść? Ale i tak nie miałam siły szukać czegoś innego. Obróciłam się i sięgnęłam po plastikowy worek. Metodycznie zaczęłam wkładać do niego kawałki oparcia jednego z krzeseł. Niektóre z nich były na tyle duże, że nie mieściły się w środku, więc tylko zrzuciłam je z łóżka. Popatrzyłam na Briana, dalej stał jak wmurowany i gapił się na mnie.

– Chcę ci pomóc. Pozwól mi. Proszę. – Zacisnął wargi tak mocno, że prawie ich nie było widać.

– Ale o co ci chodzi? Człowieku, daj mi spokój! – Odwróciłam się plecami, żeby go nie widzieć.

Powoli zbierałam resztki talerza, którym chciałam trafić w Dorothy. Rozprysły się po całym pokoju i powbijały w wykładzinę dywanową. – Daj mi spokój, rozumiesz? Nie chcę twojej pomocy. Nie obchodzi mnie, czy Dorothy nas słyszy, czy nie. Mam to gdzieś! Zniszczyła mi życie! Niszczy życie mojego chłopaka, mojej mamy, znajomych! – perorowałam. – Ona nas zabija, a ty jej w tym pomagasz! Pokazała mi film, widziałeś to przecież! Dorothy jest potworem, to diablica, a ty jesteś jej pomagierem. Boże! – Znów w moim gardle pojawiła się gula obrzydzenia i wściekłości. – Idź stąd.

– Proszę cię, uspokój się – wymamrotał pod nosem Brian. – Nie chodzi mi o pomoc w sprzątanu. Chcę ci pomóc się stąd wydostać.

Zadrżałam. Na sekundę ręka z kawałkiem rozbitego talerzyka zamarła w powietrzu.

– *Nie, nie wierzę ci, nigdy ci nie zaufam. Nigdy!* – krzyknęłam w głowie.

– Daj mi szansę. Proszę – zza pleców dobiegł prawie błagalny ton.

Znów te słowa, znów taka prośba. Moje dłonie zacisnęły się w pięści.

– *Jak mam ci zaufać? Powiedz, jak? To niemożliwe...*

Brian przykucnął tuż obok i zaczął pieczołowicie mi pomagać.

– Twój dziadek, John, był z Habbatum. Zmienił się, ja też już nie chcę tak żyć. – Schylił głowę i mówił dosyć cicho, ale wystarczająco wyraźnie. – Nie wszyscy jesteśmy potworami.

– Czego chce Dorothy? – wyszeptałam, chcąc sprawdzić, ile wie Brian.

– Musisz odczytać Księgę.

– Dlaczego jeszcze mi jej nie dała, skoro takie to dla niej ważne? – dopytywałam.

– Ona jej nie ma.

Znów zamarłam.

– To jak mam to zrobić?

– Nie przerywaj, sprzątaj. Lukas się może zorientować, że rozmawiamy o czymś ważnym – mruknął pod nosem. – Masz ją odnaleźć.

– Jak?

– John krótko przed śmiercią schował gdzieś Księgę. Dorothy liczy na to, że sobie przypomnisz coś z jego życia i wskażesz to miejsce.

– Uhm.

– Poczekaj, ten już pełny. – Brian podniósł się z kolan i sięgnął po kolejny worek.

Przez kilka minut sprzątaliśmy w kompletnym milczeniu. Musiałam to wszystko przemyśleć. Nadal nie byłam przekonana co do intencji mojego pomocnika, chyba to wyczuł, bo znów zbliżył się do mnie.

– Powiem ci, gdzie jesteście. To około jedenastu kilometrów od Fauske, małego miasteczka, znajdziesz je na zachodzie. Jeśli chcesz, polec i zobacz, skoro mi nie ufasz. Jest jasno, bez problemów zauważysz tabliczki z nazwą.

– Wiesz, że w dzień nie mogę. To urządzenie uruchamia się po minucie. – Zerknęłam na lewą rękę.

Żałowałam, bo kusilo mnie, żeby polecieć i spróbować przekazać Leo wizualną informację. Wprawdzie nie miałam żadnej gwarancji, że ją odczyta, ale warto było spróbować.

– Mogę zdjąć czujnik.

– Potrafisz? – zaskoczył mnie.

– Tak. Jeśli chcesz, chodźmy do łazienki. Tam nie ma kamer.

Iść? Nie iść? Dumałam nad wyborem. Kto nie ryzykuje, ten nie pije szampana!

Wstałam i powoli przeszłam do jedyne miejsce, gdzie mogłam się czuć w miarę swobodnie. Brian po chwili dołączył do mnie, wszedł do środka

i zamknął za sobą drzwi. Stał oparty o nie i przyglądał mi się z dziwnym napięciem. Nie wiem dlaczego, ale od razu przed oczami znów wyświetlił się obraz z filmu, zobaczyłam w nim samą siebie i właśnie w tym momencie Brian zaczął rozpinąć guziki w mankiecie swojej czarnej koszuli.

– To pułapka!?! Chcesz... – Wycofałam się na drugi koniec łazienki i przywarłam plecami do ściany. Dłoni wyczułam lodowate kafelki, zadrżałam. – *Proszę, nie rób tego!* – Patrzyłam mu w oczy. – *Proszę!*

– Anna... – Zastygł w bezruchu, ciągle trzymając prawą dłońią rękaw. W końcu ją opuścił. Zacisnął wargi. Widziałam, że jego policzek zadrgał jak porażony prądem. – Chyba nie myślałaś... – Przytknął złożone dłonie do twarzy i przez chwilę trwał, nie oddychając. W końcu wypuścił powietrze. – Chciałem tylko podwinąć rękaw. Gdy zdejmę ci czujnik, natychmiast przełożę go na swoją rękę, w przeciwnym razie wzbudzi alarm. Tylko tyle. A ty pomyślałaś... – zachnął się.

– Przepraszam. Przepraszam cię – sapnęłam. Ja chyba też wstrzymywałam oddech przez ostatnie kilkanaście sekund.

– Nigdy nie zrobiłbym ci krzywdy. Ja cię... – przerwał, znów zaciskając pięści. – Jestem głupcem. Łudziłem się, że kiedyś... Na TV Star leciała relacja z Kanady. Black bawił się w najlepsze, podczas gdy ty... Dopiero teraz rozumiem, że on... – Kolejny raz się zająknął.

Widziałam ten reportaż, pozornie mogło się wydawać, że Leo baluje na całego, ale ja nie dałam się zwieść.

– Brian, to tylko gra – wyszeptałam.

– Teraz to wiem! Wiem, że się mnie brzydzisz, że mną gardzisz i że mi nie ufasz! Nie bój się, nawet cię nie tknę.

– Nie gardzę tobą, Brian! Popatrz na mnie! – Podeszłam do niego.

Zignorował mnie. Chwycił za kłamkę i lekko uchylił drzwi. Muzyka wpłynęła do pomieszczenia łagodnym tonem *Soon We'll Be Found*.

– Nie wychodź! – Złapałam go za rękaw koszuli.

Powoli, jak na filmie puszczone w zwolnionym tempie, Brian się odwrócił. W złocistym świetle żarówek jego niebieskie oczy nagle przybrały ten tak dobrze mi znany ciepły, lekko zielonkawy odcień błękitu. Wpatrywałam się w nie z zachwytem i wtedy poczułam na plecach dotyk rąk Briana. Obejmował mnie, a ja chyba nie chciałam mu przeszkodzić, widziałam jedynie ten rzeczny błękit, utonęłam w nim. Łzy pojawiły się pod moimi powiekami. Żeby je powstrzymać, zamknęłam oczy.

– Nie płacz, proszę... – szepnął Brian.

Po sekundzie nasze usta się zetknęły. Miał ciepłe, miękkie wargi. Słodka ślina mieszała się z moimi łzami, które on łapczywie zlizywał. Coraz szybciej i goręcej... Krew szumiała w głowie, zatraciłam się w tym i wtedy nagle czyjeś ramiona mocno mnie odepchnęły.

– Dość! – Brian cofnął się o mały krok. – Wybacz mi! Ja... Anno, ja... – Nie mógł dokończyć.

– To ja przepraszam – wykrztusiłam.

Staliśmy naprzeciwko siebie, oboje jeszcze ciągle głęboko oddychając jak po długim biegu. Dopiero teraz do mnie dotarło, co się wydarzyło i jak bardzo się zapomniałam. Uświadomiłam sobie, że tak naprawdę w jakimś sensie zdradziłam Leo, że ten pocałunek nie był wymuszony i sprawił mi przyjemność, i że mógłby skończyć się czymś znacznie gorszym, gdyby Brian go nie przerwał. Znowu spojrzałam w jego oczy, w ciepłym świetle miały kolor oczu mojego ukochanego. I ta piosenka. To wszystko tak bardzo na mnie wpłynęło, że straciłam rozum – usprawiedliwiałam się przed samą sobą.

– Brian, to moja wina. Po prostu... – próbowałam się wytłumaczyć.

– Wiem. Nie mów nic – przerwał i delikatnie przytknął palec wskazujący do moich ust. – Jeszcze raz proszę o wybaczenie, ale jeśli spytasz, czy żałuję, odpowiem: nie.

Nadal dotykał moich warg, jakby nie mógł oderwać od nich opuszki palca. Dopiero po chwili opuścił dłoń.

– Mam zdjąć opaskę? – Zerknął na moją rękę.

– Nie. Nie trzeba, chodźmy stąd.

– Okej.

Znowu sprzątaliśmy ramię w ramię, prawie cały czas milcząc. Wymieniliśmy jedynie kilka uwag co do miejsca, w którym znajdował się budynek. Brian dokładnie wytłumaczył, gdzie znajduje się miasteczko Fauske i jak mogę bez problemu je namierzyć.

– Chyba to już wszystko? – Rozejrzałam się wokół.

– Chyba tak. – Pokiwał głową. – Pójdę już.

– Dziękuję za... pomoc.

– Zawsze możesz na mnie liczyć. – Popatrzył mi w oczy. – Ja też dziękuję.

– Brian, poczekaj! – Zawróciłam go od wyjścia. – *Powiedz, dlaczego John się zmienił? Dlaczego już nie chciał być Habbatum?* – spytałam w myślach.

– Zakochał się...

* * *

Starłem się podejść do tematu metodycznie. Najpierw odnajdywałem Fauske, później wskazany przez Annę budynek, następnie zawisałem nad jego dachem i powoli zanurzałem się do wewnątrz. Do tego momentu wszystko szło jak z płatka: na pamięć znałem układ pomieszczeń. Niestety, tu kończyła się wędrówka...

– Nie dam rady! – Walnąłem pięścią w materac, gdy dwie godziny później wróciłem do ciała.

Byłem na siebie wściekły. Tyle razy próbowałem polecieć i zobaczyć Annę, ale wciąż się nie udawało. Wszystko było idealnie do chwili, kiedy miałem przeniknąć przez dwadzieścia kilka metrów ziemi. Ledwie wpływałem we wszechogarniającą czerń i od razu miałem wrażenie, że się duszę. Ogarniało mnie przerażenie, paniczny strach nie pozwalał myśleć i natychmiast wydostawałem się z tej okropnej głębi.

– Jestem beznadziejny!!! – ryknąłem.

– To bardzo trudne. Leo, daj spokój, mnie też nie wyszło. – Kris stanął nade mną.

– Ale jakoś Thor potrafi ją zobaczyć. – Usiadłem, ciągle jeszcze ciężko oddychając.

– Synu! On jest niewidomy, przyzwyczał się do ciemności. Z kim się porównujesz? Mówiłem ci o kompensacji. Wiesz, jaki Thor ma słuch?

– Wiem. – Machnąłem ręką. – Która jest?

– Po trzeciej. Umówiłem się, że wpadniemy do niego za jakąś godzinę.

– Uhm. Coś nowego? – Byłem ciekaw, czego dokonali moi przyjaciele, podczas gdy ja odbywałem kolejną nieudaną mentalną podróż. Tyle czasu poszło na marne.

– Thor poleciał obejrzeć dokładnie, jak to wygląda. Began nadal walczy z systemem alarmowym, a ja musiałem załatwić parę spraw z Patrickiem. Ledwie udało mi się go złapać, bo leci do tropików na wakacje. Masz. – Rzucił mi torbę z chińskim jedzeniem na wynos. – Pewnie jesteś głodny. Powinno być ciepłe.

– Dzięki. – Otworzyłem pudełko z makaronem sojowym. – Co załatwiałeś?

– Drobne zakupy. – Machnął ręką.

– Z Patrickiem drobne?

Wiedziałem, że doradca finansowy Krisa zajmuje się wyłącznie kwestiami typu pośrednictwo w zakupie działki na Księżycu lub Marsie. Można było u niego załatwić również wysepkę na Morzu Śródziemnym albo średniowieczny zamek w Lotaryngii, kupić flotę kilkuset samochodów ewentualnie używany prom kosmiczny. To nie był koleś, z którym jechało się do agencji nieruchomości, żeby zorganizować trzyletni wynajem willi na Lazurowym Wybrzeżu.

– Wkurzył się, że mu zawracam dupę drobiazgami, ale zależało mi na czasie.

– To co tym razem? Pochwal się nowym nabytkiem.

– Hummer i jeszcze coś do transportu tego cacka. – Znacząco uniósł brwi.

– Po co ci laweta? – zbaraniałem. Wystarczająco zszokował mnie fakt, że Kris kupił amerykański wóz.

– Jaka laweta? Co ci przyszło do głowy? Jacht kupiłem, a w zasadzie to taki mały, dosyć szybki prom. Nie znam detali.

– Prom?

– No – potaknął.

– O Chryste! Chyba naprawdę nie masz co robić z kasą – stwierdziłem. – Muszę powiedzieć Julce. Może wreszcie przestanie się czepiać, że jestem rozrzutny.

– Ani mi się waż! Nie chcę psuć tego pięknego wizerunku skromnego nauczyciela. Poza tym czym chcesz się dostać do Norwegii? Samolotem rejsowym? Żeby cały świat wiedział, jaką wycieczkę urządził sobie Leo Black z przyjaciółmi? – Kris wzruszył ramionami. – To mała jednostka, na dwadzieścia osób włącznie z załogą. Lądowiska dla helikopterów nie ma, szyb kuloodpornych też nie – parsknął śmiechem.

– Skromniś z ciebie. Rzekłbym: asceta – ironizowałem.

– Wiem, jakoś muszę to znieść. Na dodatek zwolnili mnie z pracy, bo za dużo chorowałem. Nieszczęścia chodzą parami. Typowe.

– Uhm – mruknąłem, kończąc ostatnią sajonkę.

– To co? Jedziemy? Straszne korki na mieście. Zbieraj się.

– Już idę. – Podniosłem się z łóżka.

– Leo, powiedz mi jeszcze jedno: jakie masz plany?

– Zdjęcia u Rickmana zaczynają się dopiero w styczniu, a drobiazgi typu wywiady i inne odpuściłem. Angie jest na urlopie, a Wiktoria pójdzie zaraz po jej powrocie. Wolę nie pojawiać się w agencji zbyt często, za każdym razem

Wika morduje mnie wzrokiem – zasepiłem się.

Kris zmarszczył czoło.

– Dziwisz się jej? Ona i Anna zawsze były jak siostry. Leo, nie opuszczaj gardy. Będzie dobrze. – Klepnął mnie w ramię.

Cholernie chciałem mu wierzyć...

– Dobra. Ustalmy, co już mamy – chrząknął Alan.

Odbywaliśmy naradę wojenną, jak to określił Thor. Jego brat zdecydowanie dowodził skromnym czteroosobowym oddziałem, który stanowiliśmy. Began mogła uczestniczyć w rozmowie dzięki specjalnemu aparatowi telefonicznemu: na małym monitorze na bieżąco wyświetlało się wszystko, co mówiliśmy, a druga komórka leżała na stole jako nadajnik.

– Wizja lokalna zrobiona. Na jej podstawie Began rozrysowała schemat pomieszczeń. Tak to się mniej więcej prezentuje. – Thor wyjął z kieszeni złożoną we czworo kartkę.

– Daj. – Alan szybko otworzył plan i położył na blacie stolika.

Cała nasza czwórka od razu nachyliła się nad rysunkiem.

– To boczny przekrój całości, choć oczywiście proporcje mogą być zniekształcone, bo ciężko określić dokładnie, jakie są wymiary tego bunkra. Pomieszczenia, w którym jest przetrzymywana dziewczyna Leo, nie rysowaliśmy, bo Began zdołała już włamać się do systemu monitoringu i teraz na bieżąco mamy podgląd z pięciu kamer, które tam się znajdują. Widzimy również, co dzieje się w budynku na górze, na parkingu i przy bramie – wyjaśniał Thor.

– Nie ma schodów? – Alan uważnie przyglądał się rysunkowi.

– Nie. Tylko winda. Jeden pion, nieoświetlony, zresztą kabina też. Światło włącza się dopiero wtedy, gdy ktoś do niej wchodzi. Odkryłem jeszcze przejście przez szyb, a raczej kanał wentylacyjny, ale bardzo skomplikowane. Część trasy biegnie pionowo i wtedy poruszać się można jedynie po drabince, a część poziomo. Zwróćcie również uwagę na awaryjne połączenie między dwoma poziomami bunkra. Jest tuż obok pionu kanalizacyjnego. Dosyć wąskie, z metalowymi kotwami w ścianie.

– Jaka obsada?

– Zauważyłem trójkę: Brian najmłodszy, blondyn, dosyć wysoki. Taki jak my – klepnął się w lewe ramię – tylko z przeciwległego obozu, i dwójka

zwykłych.

– Skąd wiesz, że nie są z Habbatum? – spytał Kris.

– Podglądałem pod prysznicem – zaśmiał się Thor. – Wracając do obsady: Einar chyba jest Norwegiem, lekko myszowaty, na oko trzydziestolatek i absolutny lider tej załogi, czyli Lukas. Po czterdziestce, łysy, Rosjanin albo z jakiegoś kraju z bloku wschodniego, może Czeczen, bo ma śniadą cerę? Facet potwór, ze dwa metry jak nic. Łamacz kości, umysłowy troglodyta w ciele Mechagodzilla... – sapnął zafascynowany.

– Dobra, jedziemy dalej. W pomieszczeniu ze strażnikami też są kamery, zaraz Rebecca pokaże nagranie. – Lekko uściśnął jej dłoń. – Jeszcze muszę opowiedzieć o miejscach, gdzie nie ma monitoringu. Poziom, na którym znajduje się Anna, określiłem umownie jako jeden, pod nim znajduje się jeszcze poziom zero, czyli kuchnia, magazyny i kilka małych sypialni. Cała trójka ma tam swoje kwatery. Bekan sprawdziła zapisy z ostatnich trzech tygodni i stwierdziła, że Brian pracuje tylko w dzień, a pozostali na zmiany: dzienną i nocną. Wszyscy porozumiewają się po angielsku.

– Wyjeżdżają czasami? – Kris odezwał się po raz pierwszy od naszego przybycia. Tak samo jak ja chłonał każde słowo.

– Brian nigdy nie opuścił budynku, a ci dwaj tylko trzy razy, zawsze osobno i na krótko, może jakieś dwie godziny. Nie wiadomo, dokąd wybyli. Pojechali w kierunku Fauske.

– Uhm. – Kris pokiwał głową.

– Przywożą jakieś zapasy: jedzenie, chemię i tak dalej. Mają jeden samochód. Terenówka, stary nissan patrol. Gdzieś to jest nagrane, Rebecca później wam pokaże.

– Debora z nimi nie mieszka? – Byłem zdziwiony, że Thor o niej nie wspomniał.

– Nie. Była tam zaledwie kilka razy. Z reguły idzie tylko do twojej dziewczyny, chwilę z nią pogada i to wszystko.

– Gdzie się podziewa przez cały czas? – Alan zwrócił się do brata.

– Loki, ty masz taki dobry wzrok, widzisz moją szklaną kulę? Chyba gdzieś się poturlała, zaraz wywrózę, mogą też być fusy... Poza tym w tej chwili akurat ta wiedza nie jest nam potrzebna. I tak bez problemów wytropimy Deborę w sieci. Jej laptop, komórka – wszystko już namierzone i spacyfikowane. Siedzimy jak na czereśni... – dodał z wyraźną dumą.

– Dzięki. Bekan, Thor, jesteście wielcy – westchnąłem z podziwem.

– To była dla nas psijemność. – Rebecca uśmiechnęła się promiennie. – Kofany Oliver...

– Dobra, koniec tych uprzejmości – przywrócił nas do rzeczywistości Alan.
– Ustalamy skład załogi, oczywiście ja będę głową całego przedsięwzięcia.

– No oczywiście. Ty będziesz głową, ja uszami, Bekan rozumem, Leo może sercem? I wzrokiem, a Kris ma gadane. Jakoś uciągniesz! – Thor ryknął śmiechem.

– Obetnę ci te sznury! Zobaczysz! Kiedyś ci je ciachnę... – Alan próbował złapać brata za kępę dredów.

– Jesteś wolny jak ołowiany ping-pong braciszku...

– Śpokój, patałachi! – Bekan nie mogła wytrzymać ich szarpaniny.

– Przepraszam, kochanie. – Thor ucałował dziewczynę w policzek.

– No dobrze, to jeszcze raz. Ruszamy we trójkę. – Alan rozejrzał się wokół.

– Chyba że ktoś proponuje jakiś inny układ?

– Nie chcesz zabrać Mike’a? – Kris zerknął na mnie. – To dobry zawodnik. Mógłby pomóc.

– Już to ustaliliśmy: żadnych obcych. Wprawdzie znam Mike’a świetnie, ale nie będę go narażać. Uważam, że sam powinienem spróbować wydostać Annę z tego miejsca – stwierdziłem stanowczo.

– Chyba jesteś niepoważny? – Thor zwrócił się w moją stronę, ale jego oczy patrzyły gdzieś nade mną. – Sam nie dasz rady. Nie rznij bohatera. Nie widziałeś tych koleśi, to nie statyści z westernu. Ci dwaj noszą prawdziwe gnaty.

– Wiem, że może to wyglądać jak partyzantka i jest dalekie od profesjonalizmu, ale nie chcę nikogo narażać – powtórzyłem.

– Sorry, Leo, Thor ma rację. Nie jesteś na planie *Szklanej pułapki*. Sam nie pójdziesz, to bezdyskusyjne. Któryś z nas, ja albo Alan, wejdzie z tobą do budynku – włączył się do rozmowy Kris.

– Halo! Panowie, to ja ustalam plan tej wycieczki. Udajemy się tam razem, ale do bezpośredniego odbicia Anny wyznaczam siebie. Jestem jedynym profesjonalistą w tym gronie, przypominam! – warknął ostrzegawczo Alan.

– Łał, komandos z Nawalony. – Thor parsknął śmiechem.

– Wiecie co? Zastanowimy się nad tym później. Zawsze możemy rzucić monetą. – Mój przyjaciel zakończył spór. – Pokażcie lepiej te nagrania...

Zerknąłem na zegarek: trzecia w nocy. Zamknąłem laptopa i po cichu wyszedłem z sypialni, choć ta ostrożność była zbędna. Kris spał jak zabity. Wcale się nie dziwiłem. Ostatnio ciągle nie dosypialiśmy, wiecznie coś się działo. Dobę wcześniej znów miałem wizję, ale inną niż poprzednio. Anna chyba chciała jak najlepiej pokazać mi miejsce, gdzie ją więziono. Byłem z nią w Norwegii, patrzyłem na wszystko oczami mojej ukochanej: na oświetloną zielonym blaskiem zorzy tabliczkę z nazwą małego miasteczka, na śpiące domy. Chwilę później lecieliśmy nad polami iskrzącymi się od śniegu, nad drogą ledwie pod nim widoczną, aż dotarliśmy do niewielkiego prostokątnego budynku. Powtarzałem w myślach: Fauske, Fauske... I nagle wizja się zakończyła.

Począłem do kuchni, stanąłem przed otwartą lodówką. Niestety, nie było nawet śladu po sześciopaku piwa, który wczoraj zamówiłem. Kris najwyraźniej czuł się w moim penthousie jak u siebie w domu. Sięgnąłem po butelkę z wodą mineralną i dopiłem lodowatą reszkę. Miałem kaca.

Wróciliśmy od braci Barrow późnym wieczorem. Ledwie przekroczyłem próg, odpaliłem laptopa, którego dostaliśmy od Bekan. Thor uzasadnił, że wyłącznie na jednym z ich komputerów możemy bezkarnie oglądać wszystko, co dzieje się w tym strasznym miejscu, gdzie przetrzymywano Annę. Rebecca wymyśliła skomplikowany system ochrony przed hakerami i tylko komputery nim zabezpieczone były odporne na wszelkie próby włamania do systemu.

Na początku oglądaliśmy z Krisem bieżący obraz z kamer znajdujących się na górze, później przełączyliśmy na te z pomieszczenia strażników. Razem próbowaliśmy wypatrzeć na tych zdjęciach jak najwięcej. Pochłonęło nam to sporo czasu i pozwoliło na zajęcie myśli, ale ileż można odsuwać w czasie to, co interesowało nas najbardziej? W końcu Kris przełączył obraz na pokój Anny.

Pierwsze kilkanaście sekund tak mną wstrząsnęło, że przez moment nie mogłem dojść do siebie. Już to, że ujrzałem Annę po tylu dniach rozłąki, było wystarczająco silnym przeżyciem. Siedziała w ciemnym jak sala kinowa pomieszczeniu, sama. Czytała jakąś książkę, by po chwili rzucić ją na łóżko. Wstała. Widziałem, że coś mówi, niestety nic nie słyszeliśmy. Sekundę później włączył się wielki monitor na jednej ze ścian, poznałem teledysk z utworem *Chandelier* i nagle Anna zaczęła tańczyć zupełnie jak jego bohaterka: dziewczynka uwięziona w równie okropnym miejscu.

Moja ukochana tańczyła – drobna, szczupła i bezbronna, a ja czułem coraz

większy ucisk w gardle. W kompletnej ciszy oglądaliśmy z Krisem, jak Anna wiruje między ścianami, podbiega do drzwi i kopie w nie, macha nam ręką na pożegnanie, kłania się do kamery, by ostatecznie stanąć nieruchomo podobnie do tancerki w białej peruce. Teledysk się skończył, Anna opadła na ziemię, a jej ciałem wstrząsał szloch. To, co w tym momencie działo się w moim sercu, było niewyobrażalne. Kris przytomnie zatrzasnął laptopa, a po chwili przyniósł szklanek whisky. Ręce trzęsły mi się tak, że nie mogłem jej utrzymać.

Wygonił mnie z sypialni, ale po drugiej porcji alkoholu i dziesięciu minutach bezsensownego snucia się po salonie znów wróciłem. Kris przeglądał archiwalne nagrania z kamer zainstalowanych w pomieszczeniu strażników. W końcu postanowił się położyć, a ja zamiast iść w jego ślady, jak mu obiecałem, znów otworzyłem laptopa Bekan.

Znalazłem w archiwum nagrań taniec Anny, a jako podkład teledysk z YouTube'a, i założyłem słuchawki. Chyba musiałem ponownie ją zobaczyć. Może było mi to potrzebne? Takie cierpienie, które miażdży serce? Kilka razy puszczałem utwór Sii Fuller, wsłuchiwałem się w jego słowa, patrzyłem na Annę... i coraz bardziej wiedziałem. Wiedziałem, że muszę tam iść, że choćbym miał kogoś zabić, choćbym przez to miał stać się Habbatum, wydostanę ją z tego czarnego piekła.

– Zestawy sprawdzone? – Alan prowadził zebranie oparty o przyśrubowany do podłogi stół.

Kołysało strasznie, to fakt. Przez całe istnienie cierpiałem na klaustrofobię, ale teraz mogłem się łatwo przekonać, że choroba morska jest zdecydowanie bardziej uciążliwa. Thor od kilku godzin leżał w swojej kajucie, już nawet nie wymiotował, bo nie miał czym.

– Tak, i to dwukrotnie. – Kris wskazał stos rzeczy leżący pod ścianą.

Przygotowaliśmy się naprawdę dobrze. Wszystko wyglądało imponująco i bardzo profesjonalnie: trzy kevlarowe kamizelki, hełmy ze słuchawkami, zestawy do kontaktu, kilka sztuk broni. Zabrałem ulubioną dziewiętnastkę, ale Krisowi nie bardzo się to spodobało. Kolejny raz przypomniał i wytłumaczył, jak może się skończyć nawet nieumyślne zabicie człowieka, i stwierdził, że nie powinienem ryzykować. Oczywiście nie dotarło: byłem skrajnie zdesperowany.

– To jeszcze raz... – Alan ze stoperem w dłoni nachylał się nad planem

akcji. – Kris zostawia mnie i Leo niecały kilometr przed budynkiem, a sam oddala się do punktu zbiórki. Docieramy pod bramę, wbiegamy do budynku, wchodzimy do windy, Began puszcza zagłuszającą muzykę. Zjeżdżamy już w hełmach, blokując drzwi windy, odbezpieczam granat hukowy i wrzucam do pomieszczenia strażników, potem obezwładniam Lukasa, wtedy Leo... – Zerknął na mnie.

– Wbijam mu zastrzyk usypiający, rozbijam go.

– Okej. Ja pilnuję przejścia awaryjnego, a ty...

– Zabieram Annę i wzywam Krisa.

– Wsiadamy do windy...

Powtórzyliśmy wszystko chyba z pięć razy. We trójkę z Krisem i Thorem, wykorzystując umiejętność przemieszczania się poza ciałem, systematycznie sprawdzaliśmy teren wokół budynku. W promieniu kilkunastu kilometrów nigdy nie zauważyliśmy nikogo podejrzanego. Began włamała się do serwerów ulokowanych w małej fabryce leków, a raczej narkotyków, niedaleko Rio de Janeiro. Cały system informatyczny się posypał i Debora w trybie pilnym udała się do Brazylii, więc ją mieliśmy z głowy. Ciągłe nie udało się namierzyć Jacka, zupełnie jakby zapadł się pod ziemię. Ostrożnie uznaliśmy, że nam nie zagraża.

Atak na budynek zaplanowaliśmy na trzecią w nocy. Była dziewiąta wieczór, jeszcze trzy godziny rejsu i mieliśmy dobijać do brzegu.

– Idziemy się położyć. Wiem, że ciężko będzie zasnąć, ale spróbujcie. – Alan zerknął na nas.

– Okej, idziemy. – Kris podniósł się z ławki.

– Mam ciao! – Rebecca stanęła w drzwiach mesy. – Musicie iść!

– Co jest? – spytał Alan.

– Musicie iść! Wsistkie.

Szybko ruszyliśmy za nią.

– O matko, jak tu cuchnie. – Kris zmarszczył nos, ledwie przekroczył próg kajuty.

– Jak w wytwórni win owocowych. – Alan zerknął na nieprzytomnego brata.

Thor leżał na koi. Półnagi i blady jak trup, prezentował się dosyć dramatycznie.

– Oliver, citaj! – Rebecca podsunęła mi pod nos kartkę.

Od razu wszyscy nachylili się nad wydrukiem. To był zapis jakiejś dziwnej

rozmowy, nie mogliśmy zrozumieć, o co chodzi. Began szarpnęła mnie za rękaw i wskazała na monitor laptopa. Stojąc za nią, gapiliśmy się na nagranie, trwało kilkanaście minut. W trakcie filmu Rebecca wskazywała poszczególne fragmenty zapisków. Wiedzieliśmy, że odczytała z ruchu warg treść rozmowy między Anną a Brianem, jednym ze strażników. Sprzątali pokój i co kilka chwil wymieniali między sobą uwagi. Czasami tekst był niespójny, widocznie nie wszystko udało się odszyfrować. W pewnym momencie moja dziewczyna i Brian weszli do łazienki.

– Ma jej zdjęć bransoletę – mruknął Alan.

– Jest ustawiona na zbyt krótki czas – dodał Kris. – On chce jej pomóc. Jest po naszej stronie!?! To dobrze. Warto mieć lekarza w ekipie, zwłaszcza z takim doświadczeniem.

Wiedziałem, o czym mówi. Thor odkrył, że Brian już w poprzednim wcieleniu współpracował z Deborą.

Przez kilkadziesiąt sekund wpatrywaliśmy się w drzwi łazienki. Czułem, jak ciśnienie mi rośnie. Nagle drzwi lekko się uchyliły, zdecydowanie za szybko. Intuicyjnie poczułem, że coś jest nie tak. Niewiele było widać przez niezbyt szeroką szczelinę w przejściu. Alan i Kris chyba nie zauważyli nic szczególnego, bo spokojnie się przyglądali. W końcu Anna i Brian opuścili łazienkę. Od tego momentu zamienili tylko kilka zdań.

– On się zakochał? – Alan przeczytał ostatnią linijkę. Odwrócił się do mnie przodem i lekko unióśł brwi. – O co chodzi?

– Szczerze mówiąc, też nie rozumiem finału. – Kris wpatrywał się w kartkę.

– Może Began coś źle zrozumiała. – Wzruszyłem ramionami.

– Jedno jest pewne, Brian nie zachowuje się jak typowy Habbatum. O co mu chodzi? – Kris nadal się głowił. – Wygląda, jakby pomagał Małej. Może ma jakieś porachunki z Deborą?

– Pewnie tak – skwapliwie przyznałem mu rację.

– Mimo to uważam, że trzeba mieć na niego oko. – Alan pokiwał głową.

Jeszcze chwilę analizowaliśmy nagranie, ale w końcu Alan i Kris odmaszerowali do swoich kajut. Znalazłem jakiś pretekst, żeby zostać. Przysiadłem na blacie stolika.

– Oliver... – Rebecca spojrzała na mnie. W jej okrągłych jak u dziecka oczach błysnęły łzy. Nie tylko ja zauważyłem, że coś wydarzyło się w łazience.

– Pokaż mi – poprosiłem bezgłośnie.

Bekan westchnęła i odwróciła się w stronę monitora. Cofnęła nagranie do momentu, gdy uchyliły się drzwi łazienki. Zorientowałem się, że Rebecca pokazuje mi nagranie z innej kamery. Zbliżyła obraz sztucznie wyostrozony i skadrowany na kilkunastocentymetrowej szparze między drzwiami. Dało się wyraźnie dostrzec nie tylko cień dwójki osób na posadzce, ale i ich odbicie w lustrze.

– Widziałeś? – Bekan cicho sapnęła.

Pokiwałem głową.

– I cio zrobiś?

– Nic. Kocham ją bez względu na wszystko – szeptałem, patrząc Bekan w oczy. – Zrobię, co w mojej mocy, żeby ją uwolnić, a później niech sama zadecyduje. – Przygryzłem wargi, serce waliło jak głupie.

– Thor mówić, że on jest zły, zrobi ksiywda Annie. – Rebecca zmarszczyła czoło.

– Oby nie miał racji. Ja kiedyś naprawdę ją skrzywdziłem. Nie wiem, który z nas jest gorszy... – Westchnąłem.

– Hej, co tak szepczecie? – Thor usiadł na łóżku, nawet nie zauważyliśmy, kiedy się obudził. – Chyba znów będę rzygać. – Głośno czknął.

– Przepraszam, już znikam. – Wstałem, nerwowo poprawiając włosy.

Zerknąłem na Bekan, nadal siedziała zamysłona. Na sekundę przyłożyłem palec wskazujący do ust, a ona równie dyskretnie kiwnęła głową na zgodę.

* * *

Otworzyłam oczy. Coś było nie tak. Dziwny hałas docierał przez drzwi, a może przez ścianę? Niskie dudnienie, jakby gdzieś niedaleko przechodziła orkiestra dęta. Orkiestra w bunkrze? Mało prawdopodobne... Usiadłam na łóżku. Przez moment rozważałam włączenie światła, ale błyskawicznie uznałam, że lepiej nie angażować wzroku.

Bum, bum, bum... Rytmiczne uderzenia jak na dyskotecce. Obracałam głowę, próbując ustalić miejsce, skąd dochodził ten rytm. Bardziej go czułam, niż słyszałam, rezonował przez ściany; szyba w drzwiach komody z książkami przenosiła delikatne drgania. Nagle muzyka ucichła, a ułamek sekundy później całym bunkrem wstrząsnął przeraźliwy huk. Zamarłam.

Jezu! Coś wybuchło?!

Znów cisza...

I wtedy usłyszałam strzał, a raczej krótką serię. A potem następną i następną!

Błyskawicznie ułożyłam się na łóżku.

– O Boże!!! – Z przerażeniem patrzyłam na rozgrywające się w stróżówce sceny...

Jakiś człowiek w czarnym kombinezonie leżał nieruchomo na środku pomieszczenia. Próbowałam dostrzec, kim jest, ale twarzą przylegał do podłogi, a na głowie miał hełm. Sekundę później dostrzegłam jeszcze kogoś: drugi mężczyzna skryty za framugą drzwi wejściowych ostrzeliwał się przed Lukaszem. Mój strażnik schował się za biurkiem i rąbał z jakiegoś obrzyna. Wszędzie fruwały drzazgi i fragmenty szkielek oraz plastiku z rozbitych komputerów. Hałas obezwładniał. Podleciałam do drugiego mężczyzny...

Boże!!! To Leo!!! Zamarłam z przerażenia. Brian? Gdzie jest Brian? Rozglądałam się w panice. Przeleciałam na dolny poziom, tam też odgrywały się dantejskie sceny. Mój nowy sprzymierzeniec walczył z drugim strażnikiem. Okładali się na całego. Widziałam, jak Einar uderza Briana w głowę. Boże!!! Wróciłam na górę, a tam dalej to samo: kanonada przerywana jedynie na kilka sekund.

– O matko!!! O matko!!! – miotałam się jak oszalała między dwoma poziomami.

Brian słał się na nogach, ale na szczęście Einar też ledwie zipiał. Jednak na górze było znacznie gorzej: w powietrzu unosił się dym, chyba któryś z komputerów zaczął się palić, bo nagle uruchomiły się zraszacze. Czujnik!!! Błyskawicznie wróciłam do ciała. Od razu odruchowo wzięłam kilka głębokich wdechów, ale i bez tego serce waliło mi równie głośno, jak to niespodziewane dudnienie sprzed kilku minut. Już miałam ponownie polecieć, gdy nagle usłyszałam charakterystyczny dźwięk: zamek w drzwiach się aktywował. Otworzyłam oczy, rzeczywiście przy wejściu zapaliła się mała zielona lampka. Otwarte? Otwarte!!!!

– Sue! Światło! – Co robić?! Co robić?! Rozglądałam się nerwowo. – Wpadłam do łazienki, ale tu nic nie nadawało się na oręż, więc natychmiast wróciłam do pokoju. Nie miałam żadnych krzesel, a z drobnego wyposażenia pozostał jedynie stolik. Błyskawicznie go przewróciłam, z trudem wyrwałam jedną z dosyć grubych okrągłych nóg i tak uzbrojona powoli wyszłam na zewnątrz.

Skradałam się wzdłuż korytarza, teraz słyszałam już tylko pojedyncze

strzały.

– Co Lukas? Skończyły ci się naboje? – mamrotałam, analizując sytuację. Adrenalina bulgotała w moich żyłach. Szybko otworzyłam drzwi małego pomieszczenia, które przylegało do stróżówki. Na szczęście tam było otwarte przejście, delikatnie się przez nie przeczołgałam. Szybko oceniłam całość: tajemniczy koleś nadal leżał tuż przy wejściu, wyglądał jak martwy. Wszędzie tryskała woda, ale i tak w powietrzu unosił się gęsty dym. Zauważyłam Lukasa. Leżał na brzuchu, co jakiś czas wychylał głowę zza biurka i z małego pistoletu oddawał strzał w kierunku Leo.

– *Leo!!! Strzelaj w monitory!!!!* – krzyknęłam w myślach. – *Leo!!!*

Jak na komendę mój ukochany zaczął walić w ekrany wiszące na ścianie. Huk był nieprawdopodobny. Tysiące małych fragmentów szkła posypały się na Lukasa, odruchowo osłonił głowę, a mój chłopak cały czas strzelał. Błyskawicznie podbiegłam do leżącego tyłem do mnie strażnika.

– *Leo!! Dość!!! Przestań!!!*

Wszystko ucichło, jedynie szum zraszaczy zakłócał ciszę. Lukas oderwał ręce od łysiny i delikatnie uniósł głowę. Tego mi było trzeba, zamachnęłam się ze wszystkich sił i walnęłam w nią drewnianą pałką. Zamarłam: strażnik nadal trzymał swój łysy łeb w górze. O ty...!!! Co za zakuta pała!!! Znów uniosłam w górę prowizoryczny kij bejsbolowy, ale w tym momencie głowa Lukasa bezwładnie opadła na posadzkę.

– *Leo!!!* – krzyknęłam, wyskakując zza biurka. Sekundę później wpadłam w tak dobrze mi znane ramiona.

– *Anna! Moja kochana!!!* – Tulił mnie mocno. – *Nic ci nie jest? Nie jesteś ranna? Krwawisz!!!* – Odsunął mnie lekko i błyskawicznie zdjął hełm.

– *Wszystko w porządku, to ty jesteś ranny!* – Zauważyłam, że cały rękaw koszuli miał zboczony krwią. – *Boże! Postrzelił cię w rękę!*

– *Nic nie czuję!!! Zabieramy się stąd! Trzeba wziąć Alana!* – Leo podbiegł do leżącego mężczyzny. – *Pomóż mi, sam nie dam rady!!! Jest nieprzytomny, musimy go wnieść do windy!* – Chwycił bezwładnego kumpla pod ramiona. – *Łap za nogi!!*

Posłusznie schyliłam się i już miałam podnieść podkute buciory, gdy nagle poczułam, jak ktoś mnie odsuwa.

– *Ja to zrobię.*

Odwróciłam się:

– *Brian!!! Żyjesz!!!* – Rzuciłam mu się na szyję.

– Uważaj – syknął.

Natychmiast odskoczyłam. Był cały zakrwawiony, wyglądał strasznie.

– Żyję, żyję. Nic mi nie jest, parę siniaków – wymamrotał. – Dobra! Bierzemy go, nie ma czasu na głupoty. Black, zdejmij mu to ustrojstwo z głowy, zawsze kilo mniej.

Władowaliśmy się do windy. Chłopaki mozolili się z nieprzytomnym brunetem, w końcu udało się go wtłoczyć do kabiny.

– Poczekaj, trzeba się tego pozbyć. – Brian rozkodował moją bransoletę i rzucił ją gdzieś w kierunku Lukasa. – Pojadę z wami na górę, sami go nie wyniesiecie. Gdzie dostał? – Ledwie zamknęły się za nami drzwi, nachylił się nad leżącym mężczyzną.

– Nie wiem, ale będzie dobrze. Barrow to prawdziwy twardziel. – Leo trzymał się za lewe ramię, spod palców wyciekało coraz więcej krwi, skapywała z rękawa na kremową wykładzinę.

– Uhm, widzę... – mruknął pod nosem Brian.

Nie miałam pojęcia, co ma na myśli i czy mówi serio, tak dziwnie zabrzmiał jego głos. Zresztą nie to zaprzętało teraz moją uwagę. Czułam się okropnie. Żołądek powoli podjeżdżał mi do gardła, bo otaczający nas zapach był nie do zniesienia. Na chwilę opuściłam powieki i wstrzymałam oddech, ale to nie pomogło. Jeszcze bardziej zakręciło mi się w głowie. Natychmiast otworzyłam oczy, zerknęłam na boki. Panowie stali i we wrogim milczeniu mierzyli się wzrokiem.

– Trzeba coś z tym zrobić! – Brian schylił się i sięgnął do cholewki buta.

Pstryknął zamek, ostrze noża błysnęło w świetle żarówek windy...

Rozdział 5

Jej wybór

– Powinno być w porządku. Przepraszam, że zniszczyłem ci koszulkę. – Brian mocno zaciągnął węzeł prowizorycznej opaski uciskowej.

Zerknęłam na siebie: z bawełnianej tuniki, jeszcze przed chwilą sięgającej bioder, pozostał kusy topik ledwie zakrywający biust. Cały brzuch był na wierzchu. Czułam się niezbyt komfortowo z tą świadomością.

– Dzięki za pomoc. – Leo oparł głowę o ściankę windy.

Widziałam, że stara się trzymać fason, ale opaska tylko częściowo zahamowała upływ krwi. Mój chłopak wyraźnie pobladł, na czole pojawiły mu się krople potu. Próbował je otrzeć, gdy sądził, że tego nie zauważam. Winda w końcu się zatrzymała. Razem z Brianem wyciągaliśmy wciąż nieprzytomnego Alana; w końcu przy niewielkiej pomocy Leo jakoś się udało.

– Trzeba czymś zablokować drzwi. – Mój chłopak zatrzymał się w progu.

– Po co? – Brian popatrzył na niego zdumiony.

– Żeby ci dwaj tam na dole nie mogli się wydostać. Szybem wentylacyjnym nie przejdą.

– Masz rację, nie pomyślałem. Poczekaj, zaraz coś przyniosę.

Pojawił się po niecałej minucie, niosąc fotel obrotowy. Szybko wsadził go między drzwi windy. Dla pewności sprawdziliśmy, czy ten system zadziała. Na szczęście krzesło zdało egzamin.

We trójkę ciągnęliśmy biednego Alana. Każde z nas słabło z sekundy na sekundę. Jeszcze tylko kilka metrów dzieliło naszą grupkę od wyjścia, gdy nagle Leo zatrzymał nas ruchem ręki.

– Halo. Co jest, Kris?... Co?!! Nie wierzę!!!... I co teraz?!!! Wiem, jest tu samochód. A co z Alanem? Aha. Dobra, coś wymyślimy.

– Co się stało? – Wlepiłam w niego oczy. Nietrudno było zauważyć, że się zdenerwował.

– Hummer ugrzązł, Kris nie może tu dojechać. Co za pech! – Leo rzucił soczystym przekleństwem. – Stoi parę kilometrów stąd! Musimy jak

najszybciej tam dotrzeć. Mamy przygotowane worki z krwią, leki i wszystko! – Bezradnie pokręcił głową.

– Nie ma wyciągarki? – spytał Brian.

– Ma, ale to zajmie sporo czasu.

– Dacie radę sami zawlec go do garażu?

– A ty co? – Leo popatrzył na Briana.

– Wracam po kluczyki do nissana.

– Nie! – Chwyciłam go za rękaw koszuli. – Nie ma mowy! Lukas już na pewno odzyskał przytomność!

– Puść. – Brian powoli odciągnął moją rękę. – I tak zamierzałem wrócić. Chyba nie myślałaś, że z wami pojedę?

– Ale dlaczego? Co ty mówisz?

– Chyba zabiłem Einara. Nie mam nic do stracenia. To był człowiek. Wiesz, co to dla mnie oznacza? – Patrzył ze spokojem, jakby mówił o czymś kompletnie nieistotnym. – Co za różnica, czy dzisiaj, czy kiedyś? – Wzruszył ramionami.

– Musimy sprawdzić! Może Einar żyje!!! – Nie dawałam za wygraną.

– Daj mi spluwę. – Brian zwrócił się do mojego chłopaka.

– Nie ma mowy, nigdzie nie idziesz! Ledwie wyjdiesz z windy, a Lukas cię rąbnie! – Leo zerknął na mnie. Od razu potaknęłam, żałując, że nie zabraliśmy pistoletu Lukasa.

– Okej, nie chcesz, to nie dawaj. Mam nóż, wystarczy.

– Poczekaj! Musisz nam pomóc! – wrzasnęłam z całej siły. Chciałam odwlec moment podjęcia ostatecznej decyzji. – Idziemy do garażu! Bierzcie go!

Z trudem udało się nam pokonać ostatnie kilka metrów. Leo był już tak słaby, że co chwila się zataczał. W końcu Brian bez pytania zabrał jego pistolet i strzelił w zamek nissana. We dwójkę szybko wladowaliśmy bezwładnego mężczyznę na tylne siedzenie.

– Załóż to... – Podał mi zdjęte z głowy mojego chłopaka mikroskopijne słuchawki. – Black, siadaj koło Barrowa, a ty za kółko! – krzyknął do mnie.

– Nie mam prawa jazdy – zaoponowałam, ale posłusznie wpakowałam się za kierownicę.

– Trudno! Pojedziesz bez papierów. Czekał tu na mnie. Słyszałaś? Zaraz wracam.

– Nie! Błagam, Brian nie zostawiaj mnie. Nie idź tam! Wiesz, że nie możesz

tam iść.

Znów chwyciłam go za ubranie zalane powoli zastygającą krwią. W świetle garażowych jarzeniówek wydawało się pokryte czarnym mchem.

– Nie ma innego wyjścia. Black umrze, jeśli tu zostaniecie przez następne kilkanaście minut. Musi dostać krew. Nie rozumiesz? Ten drugi też nie lepszy, zbyt długo jest nieprzytomny. Chyba ma załamane żebra, bo krwawi z ust. Trzeba jak najszybciej im pomóc! Tutaj ich nie uratujemy! Muszę iść po kluczyki. Mam gnata, nic mi nie będzie.

– Nie! Proszę! Przecież ty nie możesz ich zabić! Wiesz, czym to grozi? Proszę... – błagałam go. Czułam, że jeszcze sekunda i zacznę płakać, gdy nagle wpadło mi do głowy idealne rozwiązanie. – Ja pójdę po te kluczyki! Daj mi pistolet!

– Co?! – Wybałuszył na mnie oczy. – Chyba zwariowałaś? Nie ma mowy! Puść mnie! – Siłą odciągał moje ręce, ale trzymałam tak mocno, że w końcu ustąpił. Pewnie bał się, że połamię mi palce.

– Brian, spróbuję wezwać pomoc. Zadzwonię na sto dwanaście. Masz komórkę? – podjęłam ostatnią próbę.

– Nie, ale możesz spróbować z tego czegoś. – Wskazał brodą zestaw na mojej głowie. – To daremne, bo zanim tu dojadą, miną wieki. W Fauske nie ma szpitala, jest tylko mała przychodnia. Nie mówiąc o aferze, którą rozpętasz. Dobra, koniec tego. Idę.

– Nie! Poczekaj. Daj mi się zastanowić!

– Byle szybko.

– Pół minuty. Obiecuję, że nie uciekniesz.

Popatrzyłam Brianowi prosto w oczy. Nie odpowiedział, ale byłam pewna, że mnie nie oszuka. Puściłam wreszcie jego koszulę, wsparłam dłonie o kierownicę, zamknęłam oczy i nagle znów poczułam to co kiedyś. Mieszkanie Leo, glock 19, strzelnica, tarcza... Tato? Tato!

– Mam! Mam pomysł! Wsiadaj! – krzyknęłam jak oparzona. – Musisz mi pomóc! Sama nie dam rady! – Zaczęłam szarpać plastikową obudowę pod kierownicą.

– Co robisz? – Brian władował się na siedzenie obok.

– Zdejmij to, do cholery!

– Co z tym? – Po sekundzie trzymał osłonę.

– Wyrzuć! – Nawet nie spojrzałam na niego. Błyskawicznie wyrzucałam wszystko ze schowka. – Jest! Świeć tu. – Skierowałam światło na wiązkę

kabli.

– Okej. – Chwycił latarkę. – Co teraz?

– Nic – mamrotałam do siebie. – Trzeba to wyrwać! – Zaparłam się i już po sekundzie trzymałam wiązkę w ręce. – Daj nóż!

– Skaleczysz się. – Chyba nie mógł spokojnie patrzeć na moje poczynania.

– Nic mi nie będzie, bez obaw. – Oddałam mu nóż. – Prawie gotowe... – Odsunęłam dwa skręcone kabelki.

– No i?

– Uwaga! – Zerknęłam na Briana. – Jesteś gotów? Ta-dam! – Zetknęłam przewody....

– O ja cię!!!

– Zamykaj drzwi! – popędziłam go. Błyskawicznie opuściliśmy garaż, pokonaliśmy parking i w ułamku sekundy dojechaliśmy do bramy. – Gdzie teraz?

– Chyba w lewo.

– W porządku. Trzymaj się! – Wcisnęłam gaz do dechy.

– Chryste, skąd wiedziałaś, jak to zrobić? – spytał Brian.

– Co? – Skupiłam wzrok na drodze, była ośnieżona i ledwie odcinała się od pobocza.

– Jak uruchomić nissana?

– Mój ojciec był policjantem.

– Raczej złodziejem. – Brian parsknął śmiechem.

– Nieważne! – zachichotałam, bo zdecydowanie poprawił mi się humor.

– Dlaczego nie masz prawka? Jesteś świetna – stwierdził po chwili.

– Dlaczego? No właśnie! Dlaczego? – Zerknęłam na Briana.

Nagle uświadomiłam sobie, że prowadzę samochód i nie sprawia mi to najmniejszej trudności. Może powodem był fakt, że kierownica była po lewej stronie? A może to duchy przodków mną kierowały: mój ojciec albo dziadek? Nie miałam pojęcia, a zresztą, jakie to w tym momencie miało znaczenie.

– Straż i chyba policja. – Brian wskazał na zbliżające się światła.

– I co teraz? – Podskoczyłam nerwowo na siedzeniu.

– Poczekaj, spróbuję cię połączyć z tym Krisem. Może on coś wie. – Brian odwrócił się na moment. – Co to za telefon? Wiesz, jak się tym posługiwać? – Próbował uruchomić urządzenie, na szczęście w tym momencie coś zatrzeszczało w małej słuchawce.

– Halo!

- Tu Anna.
- Czy mnie wyraźnie słyszysz?
- Cześć Kris. Tak, słyszę wyraźnie.
- Za chwilę minie was kilka pojazdów ratunkowych. Nie przejmuj się nimi, jadą do bunkra.
- To wasza sprawka?
- Tak. Co z chłopakami?!
- Obaj są w kiepskiej formie, Leo jest ranny w rękę, stracił dużo krwi, Brian założył mu opaskę uciskową.
- Aha.
- Jeśli chodzi o Alana, chyba odzyskuje przytomność, bo zaczyna pojękiwać
- raportowałam szybko.
- Nie martw się! Hummer jest wyposażony jak najlepszy ambulans, a ty masz pod ręką lekarza. Zaraz się nimi zajmiemy!
- Lekarza? Jakiego lekarza? – Zerknęłam na Briana, który dziwnie się uśmiechał. – Kris, co mówiłeś?
- To, co słyszałaś. Jeśli możesz, daj mi tego blond młodzieńca. Pokieruję go.
- Hm... Brian, zdejmij mi słuchawki, rozmowa do ciebie...

*

- Boli? – Delikatnie dotknęłam ramienia Leo.
 - Nie. Przy tobie nie czuję bólu. – Pocałował mnie w czoło.
 - Usiądźmy.
- Pociągnęłam go na ławeczkę. Była niewielkich rozmiarów, ale bardzo wygodna, z miękkim tapicerowanym siedzeniem, takim samym oparciem i podłokietnikami.
- Nie jest ci zimno? Może pójdziemy do kajuty?
 - Za chwilę. Ostatnio naprawdę stęskniłam się za świeżym powietrzem. – Odetchnęłam pełną piersią. Obłoczek pary wodnej zawisł nade mną jak dobry duszek, niestety zbyt szybko się ulotnił.
 - Sztorm ustąpił, wreszcie spokój – stwierdził Leo.
- Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu i napawaliśmy się ciszą przerywaną jedynie słabym pluskiem fal. Kapitan naszego promu zarządził postój w niewielkim porcie na zachodnim wybrzeżu Norwegii. Chyba wszyscy

przyjęli tę decyzję z radością. Thor z ulgą zszedł na ląd, zabrał Rebecę i poszli zwiedzać miasto, a Kris z Brianem zostali doglądać Alana. Już od trzech godzin grali w szachy. Sprawiało im to sporo frajdy, bo nawet obiad kazali sobie podać do kajuty.

– Świetna rzecz, taki statek – rozmarzyłam się. – Opowiedziałam mamie, jak wygląda. Powiedziała, że koniecznie musi się załapać na jakiś rejs.

– Kiedy wraca?

– Powoli się pakuje, jutro wieczorem powinna być w Londynie. Pewnie ma dość polskiej zimy i zasp po szyję – zachichotałam. – A co do rejsu, może w lecie wszyscy się wybierzemy? Na przykład do Francji? Kris na pewno się zgodzi, jak myślisz? – Zerknęłam na Leo.

– Pewnie tak – odparł zamyślony.

– Leo, co się dzieje?

– Nic. Przyniosę ci koc i rękawiczki. Naprawdę jest zimno. Masz tylko kurtkę i czapkę. – Podniósł się z ławeczki.

Obejrzałam się za nim. Z opuszczoną głową szedł przez pokład.

Wstałam i powoli zbliżyłam się do barierki, oparłam się o nie plecami i wystawiłam twarz do słońca. Grzało delikatnie. Tak bardzo mi tego brakowało przez ostatni miesiąc, kolejny straszny miesiąc mojego życia. Jeszcze dwie doby wcześniej tkwiłam w moim czarnym więzieniu, ale teraz wracaliśmy do Anglii, do Londynu. Oczywiście w pełnej obstawie. Nawet tutaj połowę spośród dwunastu osób załogi stanowili ludzie zatrudnieni do ochrony. Kręcili się wszędzie, chociaż trzeba przyznać, byli dosyć dyskretni.

Mieliśmy z Leo wspólną kajutę, ale wczorajszy dzień spędziliśmy razem ze wszystkimi – oglądając w Internecie relację z ujęcia Einara i Lukasa. Obaj przeżyli. Oczywiście Einar wylądował na intensywnej terapii, przewieźli go śmigłowcem do szpitala w Oslo. Lukas w znacznie lepszej formie również tam trafił, ale już tradycyjnym transportem medycznym. Widocznie mój cios stołową nogą był zbyt słaby na tego małopoluda i jego betonowy łeb. Dobrze, że Bekan wszystko zarchiwizowała. Szczerze mówiąc, przespałam połowę, po całej tej koszmarnej akcji byłam wykończona.

– Opalasz się? – Leo stanął przede mną. W prawej ręce trzymał wielki puszysty koc i parę ciepłych rękawiczek.

– Tak. – Przytuliłam się do niego.

Noc spędziłam w osobnym łóżku. Leo ciągle jeszcze dostawał kroplówki z jakimiś preparatami krwiopochodnymi, dopiero dziś nad ranem wyjęli mu

wenflon. Jeszcze nie mieliśmy okazji do intymnych chwil i chyba oboje za tym tęskniliśmy.

– Wracamy na ławeczkę?

– Mhm. – Kiwnął głową.

Okryłam nas kocem. Para jasnoniebieskich rękawiczek z angory leżała na moich kolanach. Bawiłam się nimi. Były miękkie i miłe w dotyku, tak samo czapka z pomponem, którą założyłam przed wyjściem na pokład. Wyglądałam w niej trochę jak mała dziewczynka.

– Nie założysz? – Leo zerknął na mnie z dziwnym napięciem w oczach.

Powoli wsunęłam prawą dłoń.

– Prawie jak w chmurce. – Zaśmiałam się i szybko włożyłam drugą. – Poczekaj, tu coś jest! – Poczułam jakiś chłodny przedmiot. Szybko zdjęłam lewą rękawiczkę i zajrzałam do środka, ale nic nie dostrzegłam, w końcu wywinęłam puszystą dzianinę. Mały metalowy krążek błysnął i wyturlał się na koc. – Pierścionek? – Chwyciłam złote kółeczko. – Leo, w środku był pierścionek!

Zerknęłam na leżący na mojej dłoni mieniący się drobiazg. Delikatna obrączka ozdobiona była kompozycją z mikroskopijnych diamentów, dopiero po kilku sekundach zauważyłam, że kamyczki układały się w specjalny wzór.

– To głowa wilka... – Popatrzyłam na mojego chłopaka. Chciałam sprawdzić, czy widzi to co ja, i nagle do mnie dotarło, że on bynajmniej nie jest zaskoczony. – Ty go tam włożyłeś? Dlaczego? – Uniosłam brwi ze zdumienia.

– Kocham cię. Wyjdź za mnie, Anno...

Patrzył na mnie, jego oczy lśniły jak dwa szmaragdy wrzucone do morza, ni to niebieskim, ni zielonym blaskiem. Delikatnie podniósł pierścionek i nałożył mi na serdeczny palec lewej dłoni. Słoneczne promienie zamigotały tęczowo w małych fasetkach i nagle zgasły. Spojrzałam w niebo, niewielki biały obłok przysłonił słońce. Znów zwróciłam wzrok na twarz mojego ukochanego. Teraz widziałam tylko czysty, chłodny błękit jego tęczówek...

– Leo, ja nie mogę tego przyjąć... Naprawdę, nie mogę. Ja muszę ci coś wyznać... – Przytknęłam dłoń do ust.

* * *

Miałem wrażenie, że właśnie zamarł cały świat, nawet fale ucichły. Jedynie z oddali docierał do nas smętny głos syreny przepływającego statku. Przełknąłem ślinę, gardło odmawiało posłuszeństwa, nie mogłem wydobyć z siebie nawet słowa.

– Kochasz go – wychrypiałem po dłuższej chwili.

Patrzyłem tępym wzrokiem na pokład. Wyłożony błękitnymi płytami, miał ten sam kolor co para rękawiczek, które wręczyłem Annie. Uświadomiłem sobie, że doskonale wie, kogo miałem na myśli, bo jej milczenie było wystarczająco klarowną odpowiedzią.

– Nie – powiedziała, zniżając głos do szeptu. – Zawsze kochałam ciebie i to nigdy się nie zmieni.

– To co się stało? Dlaczego odmawiasz? – Spojrzałem na nią.

– Leo, ja... Musisz to wiedzieć! Ja cię chyba zdradziłam... Pocałowałam Briana. – Anna patrzyła na mnie z ogromnym żalem w oczach, chyba nikt nie mógłby wyobrazić sobie większego smutku. – Nie mam nic na swoją obronę, bo to on przerwał nasz pocałunek. Nie zmusił mnie do niczego. Nie wiem, dlaczego tak się stało. Wybacz. – Zaczęła powoli zsuwać pierścioneł.

– Nie zdejmuj. – Zatrzymałem jej dłoń. – Czy to jedyny powód, dla którego mi odmówiłaś? Proszę, bądź szczerą...

– Tak. Uznałam, że powinieneś poznać prawdę – wyznała.

– Wiedziałem o tym... zdarzeniu.

– Brian ci powiedział – stwierdziła z nutką rozczarowania w głosie. – Niepotrzebnie, i tak wyznałabym ci wszystko.

Przez chwilę kusilo mnie, żeby nie wyprowadzać jej z błędu. Domyśliłem się, że Brian zakochał się w Annie. To było widać na każdym kroku: gdy na nią patrzył, jak do niej mówił, kiedy jej słuchał. Gdy przed chwilą z ust Anny usłyszałem, że to on wszystko przerwał, natychmiast poczułem do niego szacunek. Nie wiem, czy na jego miejscu potrafiłbym się powstrzymać. Cokolwiek by powiedzieć, ten facet miał charakter. Westchnąłem głęboko, ja też musiałem być szczerą:

– To nie Brian.

– To skąd wiesz? – Anna otworzyła szeroko oczy.

– Gdy tu płynęliśmy, Rebecca pokazała mi nagranie. Widziałem wasze odbicie w lustrze. – Zagryzłem wargi, to wspomnienie nie należało do moich ulubionych.

– Jeszcze przed wszystkim? Przed całą akcją?

– Tak.

– Wiedziałaś, a mimo to postanowiłaś mnie stamtąd zabrać? Zgodziłaś się, żeby Brian uciekł z nami? Leo...

– Kocham cię. Zrobiłbym dla ciebie wszystko, rozumiesz? Gdybyś chciała z nim być, gdyby to on dał ci szczęście, gdybyś go kochała, zszedłbym wam z drogi. Choćbym miał skonać z zazdrości i żalu...

– Leo, ja ciebie kocham. Zawsze byłeś tylko ty. – Chwyliła mnie za rękę.

– Wyjdiesz za mnie?

– Tak.

– Chodź do mnie. – Pociągnąłem Annę delikatnie.

Usiadła mi na kolanach, zanurzyłem twarz w jej szyję, ledwie wyczuwałem ukochany słodki zapach. Lekki wiatr smagał nam policzki zimnym powietrzem.

– Idziemy do kajuty? – zaproponowałem nieśmiało. Anna nie odpowiedziała, zeszła z moich kolan i wyciągnęła lewą dłoń. Odbite od pierścionka promienie zachodzącego słońca zatańczyły na jej twarzy...

Obudził mnie ból. Otworzyłem oczy, w naszej kajucie panował półmrok. Z trudem usiadłem i zerknąłem na telefon: była jedenasta w nocy. Już od siedmiu godzin stąd nie wychodziłem, jedynie Anna wyskoczyła na chwilę, żeby przynieść nam coś do jedzenia. Nie chciałem wypuszczać jej z ramion, ciągle nie mogłem się nią nasycić, ale stwierdziła, że muszę się wzmocnić.

Ramię bolało okrutnie. Rwało i ciągnęło jak diabli, zwłaszcza że przed paroma godzinami powinienem był dostać leki przeciwbólowe. Kris z Brianem stwierdzili, że miałem sporo szczęścia. Kula przeszła bokiem i nie naruszyła kości, jedynie mięsień był dosyć konkretnie poharatany.

Alanowi też się pofarciło, choć na powitanie dostał serią w klatę. Brian sądził, że złamane żebra przebiły płuco Barrowa i spowodowały krwawienie z ust, na szczęście diagnoza okazała się mylna. Kamizelka zdała egzamin, wszystko odbyło się bez większej szkody, nie licząc potężnych siniaków i stłuczeń, a krew pochodziła z przygryzionego języka. Zdecydowanie najmocniej ucierpiało poczucie dumy naszego kapitana, bo przecież cała akcja miała wyglądać inaczej. Ten niesamowity olbrzym Lukas błyskawicznie się opamiętał i gdy Alan podbiegł do niego, nagle nie wiadomo skąd wielkolud wyciągnął kałasznikowa. Takiego obrotu sprawy, niestety, nikt nie przewidział.

Zerknąłem na Annę, pogrążona w głębokim śnie wyglądała jak dziecko. Jej krótkie włosy zwinęły się pod wpływem wilgoci w małe loczki. Oddychała tak cicho, że prawie niesłyszalnie. Skóra na szyi lekko pulsowała, nachyliłem się i delikatnie ucałowałem to miejsce. Zapach odurzał, czułem, jak z sekundy na sekundę nieznośny ból znika, zastępowany przez falę pożądania, ale jakoś się opanowałem. Anna spała tak smacznie, że nie miałem sumienia jej budzić. W końcu wstałem z łóżka, z trudem odnalazłem porzucone gdzieś dzinsy. Ciężko było je założyć, posługując się jedynie prawą ręką. Lewa do niczego się nie nadawała, przynajmniej na razie.

Narzuciłem na siebie lekką kurtkę i po cichu wyszedłem z kajuty.

– Szukasz czegoś? – Brian stanął w drzwiach.

– Tak, tabletek przeciwbólowych. – Zerknąłem na niego.

Zamiast obudzić lekarza i poprosić o pomoc, sam od kilku minut bezskutecznie przetrząsałem szafki w niewielkim ambulatorium, które mieliśmy na promie. Znalazłem wszystko co możliwe: od kropli na chorobę morską, na nieszczęście dla Thora niezbyt skutecznych, poprzez środki na oparzenia słoneczne do leków przeciwbiegunkowych. Tego, co było potrzebne, nie znalazłem. Bolało coraz mocniej, czułem, że pot oblewa mi czoło. Słabłem w oczach.

– Siadaj. – Brian podszedł do mnie.

Posłusznie klapnąłem na niewielką kozetkę przyśrubowaną do podłogi. Oparłem głowę o płytki. Nie mogłem wytrzymać, ból przychodził falami. Zacisnąłem zęby. Spod w półopuszczonych powiek obserwowałem Briana. Otworzył kluczem szufladę jednej z szafek, wyjął z niej metalową kasetę, przez chwilę w niej grzebał. Umył ręce, założył gumowe rękawiczki i po minucie, która wydawała się trwać wieczność, podszedł do mnie, trzymając strzykawkę wypełnioną bezbarwnym płynem.

– Trzecia doba. Najgorsza. Zdejmij to – mruknął, wskazując na kurtkę.

– Dzięki. – Patrzyłem, jak powoli wstrzykuje lekarstwo w moje przedramię.

– Za chwilę odpuści.

Brian wyciągnął igłę. Wrzucił strzykawkę do kubła na odpady medyczne, nalał kubek wody i mi podał. Przyniósł niewielkie plastikowe krzesło i usiadł na nim okrakiem tuż obok. Przez kilka minut siedzieliśmy w milczeniu. Powoli przechodziło, lek zaczął działać. Coraz łatwiej mi się oddychało, mięśnie

rozluźniły się, rytm serca wracał do normy. Zerknąłem na mojego wybawcę, konstatając, że nieźle mu się oberwało od Einara. Norweg rozwalił Brianowi łuk brwiowy nad prawym okiem, które spuchło tak bardzo, że teraz praktycznie nie było go widać spod opatrunku.

Gdy planowaliśmy odbicie Anny, rzuciłem pomysł, żeby zabrać ze sobą lekarza. Miałem na uwadze głównie zdrowie i życie mojej dziewczyny. Ostatecznie jednak przeprowadziliśmy akcję we trzech. Alan znał się dosyć dobrze na udzielaniu pierwszej pomocy, a Kris jeszcze lepiej, bo kiedyś ukończył dwuletni kurs ratownictwa medycznego. Na szczęście nie musiał się szczególnie wykazywać. Posłużył Brianowi jako pomocnik. Już w hammerze ja i Alan zostaliśmy opatrzeni, a gdy wróciliśmy na prom, lekarz zajął się nami, a Brian sobą. Był prawdziwym twardzielem, sam zszył skórę nad własnym okiem.

– Przeszło? – spytał.

– Tak, jest o wiele lepiej – sapnąłem z ulgą. – Dzięki.

– Zmienię to. – Wskazał na zakrwawiony bandaż. – Przeworsowałeś się, w twoim stanie to raczej niewskazane. – Parsknął śmiechem.

Wiedziałem dobrze, o co mu chodzi. Pewnie się domyślił, jak spędziliśmy z Anną ostatnie siedem godzin. Skupiłem wzrok na bulaju osadzonym na przeciwległej ścianie. Czułem każdy ruch rąk Briana: rozcinanie bandaża, chłód środka dezynfekcyjnego, zakładanie opatrunku. Starłem się nawet nie stęknąć, choć w chwili gdy przemywał ranę, zagryzłem zęby tak mocno, że zgrzytnęło.

– W porządku, możesz wracać do narzeczonej. – Spojrzał mi kpiarsko w oczy. – Powinienem złożyć ci gratulacje, ale chyba się powstrzymam.

Podniosłem się z kozetki. Ból zelżał, pozostał jedynie ćmiący, tępy ucisk. Brian zebrał do worka wszystkie pozostałości po opatrunku. Przez chwilę biedził się z rękawiczkami, po kilku sekundach metalowa kłapa kosza lekko strzeliła.

Wkurzał mnie tą swoją impertynencką pewnością siebie, ale i tak nie mogłem w stosunku do niego pozbyć się uczucia wdzięczności i podziwu. Szacunku, że potrafił panować nad swoimi instynktami. Kompletna ambiwalencja. Zawahałem się, ale nie mogłem tego zostawić bez słowa.

– Chciałbym ci podziękować, za... wszystko. – Wyciągnąłem do niego rękę.

– Nie musisz. Chyba się domyślasz, że zrobiłem to wyłącznie dla niej. – Mocno ścisnął moją dłoń.

– Jeszcze coś. Wiem, co wydarzyło się między wami. Anna nie jest ci obojętna. To może głupio zabrzmieć, ale chciałem wyrazić swój podziw. Na twoim miejscu chyba nie potrafiłbym tak się zachować. – Nadal trzymałem dłoń Briana.

– Hm... – Parsknął śmiechem i wysunął rękę. – Daruj sobie. Zakochałem się w Annie, ale dobrze wiem, że to jednostronne uczucie. Sądziś, że potrafiłbym się powstrzymać? Naiwniak z ciebie. Gdy Anna mnie całowała, nie myślałem o tym, że ona ma kogoś. Liczyła się tylko ta chwila i nic więcej, rozumiesz?!

– To dlaczego przerwałeś? To ty ją odsunąłeś... – Nie mogłem pojąć logiki jego postępowania.

– Chryste, Black! Nie bądź głupi, ona potrafi mówić myślami. Nie wiesz tego? Jak sądziś, kogo wtedy całowała w tej pieprzonej łazience?! Kogo miała przed oczami? Czyja twarz nagle pojawiła się w jej głowie? I te wspomnienia, ten obraz... Miałem to wykorzystać? Aż takim gnojem nie jestem... – wycodził przez zaciśnięte zęby.

Wróciłem na kozetkę, musiałem ochłoniąć. Ze szczęścia kręciło mi się w głowie, nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy.

– Nie wiem, po co ci to wyznała. – Brian wzruszył ramionami. Usiadł na krześle i wsparł łokcie na kolanach. – Tego samego dnia wieczorem zostałem w stróżówce. Obserwowałem, jak Anna czyta, zresztą podglądałem ją, kiedy tylko miałem okazję. Godzinami wpatrywałem się w monitory. Lukas poszedł się zdrzemnąć, a ja cały czas zastanawiałem się, czy nie pójść do niej. Czytała, przełączałem obraz, żeby widzieć ją z każdej strony. W pewnym momencie rzuciła książkę, popatrzyła do kamery, jakby wyczuła, że jestem po drugiej stronie. – Pokręcił głową z niedowierzaniem.

Wiedziałem, co nastąpiło później, ale nie chciałem mu przerywać. Rozumiałem, co musiał wtedy czuć. Podniosłem się i nalałem wody do kubków. Przez chwilę piliśmy w milczeniu.

– Anna wstała i zaczęła tańczyć. Niestety, nie słyszałem muzyki, ale i tak to było niesamowite! Pomachała do kamery, rozumiesz? Pomyślałem, że daje mi znać... Zerwałem się z fotela i wtedy nagle zobaczyłem, że podbiega do drzwi, że je kopie, a na koniec upada na ziemię i zaczyna płakać. W tym momencie pozbyłem się ostatnich złudzeń. Ona nigdy nie chciała mnie, ona chciała uciec do ciebie. I jedno ci powiem: żałuj, że nie widziałeś tego tańca. Dałbym wiele, żeby usłyszeć ten utwór i zobaczyć to jeszcze raz. – Brian

przełknął ostatnie krople. Zgniół kubek i rzucił nim w kąt.

– *Chandelier*.

– *Chandelier?* – Ze zdumieniem uniósł brwi.

– Tytuł.

– Widziałeś?! – Był w szoku.

– Tak. – Pokiwałem głową.

– Jak? Poleciałeś?

– Nie. Mam zarchiwizowane na laptopie, jak zresztą wszystko, co się wydarzyło w tym pokoju... – Na chwilę zawiesiłem głos. – To, co zdarzyło się w łazience, też widziałem. Widać odbicie w lustrze.

Nic nie powiedział, jedynie parę razy kiwnął głową. Na chwilę obaj się zamyślił. W końcu wstałem. Ból ustąpił całkowicie, zrobiłem się senny.

– Powiedz jutro komuś, lekarzowi lub pielęgniarce, że podałem ci ketonal. Następną ampułkę najpóźniej o ósmej rano, nastaw budzik. – Brian też podniósł się z krzesła.

– Wybierasz się gdzieś jutro? – Spojrzałem na niego.

– Tak, ale nie jutro, lecz... – zerknął na zegarek – jeszcze dzisiaj.

– Gdzie?

– Nieważne. Mam sprawę do załatwienia. Black, mam prośbę... – Popatrzył na mnie z napięciem. Widziałem, że się zdenerwował. – Wszystko zostawiłem, wiesz gdzie. Potrzebuję trochę kasy, pożyczysz?

– Jasne. – Podałem mu portfel wyciągnięty z kieszeni dzinsów. – Wyjmij kartę, zaraz podyktuję ci PIN.

– Chryste, nie masz gotówki? – zachnął się.

– Nie.

– Która karta?

– Granatowa. W dolarach.

– Okej, może być. – Wyciągnął kartę. – Jaki ten PIN?

– Dwa osiem zero dziewięć.

– Dwudziesty ósmy września. Zapamiętałem. Ile na niej masz? Będzie piątka?

– Pięć milionów? Raczej nie, może ze dwa, trzy? – Próbowałem sobie przypomnieć, ile jeszcze zostało tam pieniędzy. – Uważaj, mam na niej ustawiony limit dzienny, chyba dwadzieścia tysięcy.

– Trzy miliony? Nie masz innej?

– Za mało? To weź grafitową. Tam na pewno jest więcej.

– Chyba cię pogięło. Potrzebuję kilku tysięcy, a nie trzech milionów. –
Wzruszył ramionami.

– Bierz granatową, przecież nie musisz wszystkiego wykorzystać. –
Zabrałem mu portfel.

– Niech ci będzie, zresztą usługi medyczne kosztują. – Parsknął śmiechem. –
To za ten ketonal. Black, tak sobie myślę, że często musisz dostawać po uszach
od losu...

– Bo?

– Straszny z ciebie naiwniak. Nawet nie spytałeś, co ci wstrzykuję. Równie
dobrze mogłem cię uśmiercić. I ta karta... – Z niedowierzaniem pokręcił
głową.

– Kiedyś było inaczej, ale od jakiegoś czasu próbuję się zmienić –
odpowiedziałem po chwili namysłu. – Uczę się cierpliwie, jak ufać ludziom,
jak nie zwracać uwagi na pozory. Ciężko mi idzie, ale na szczęście mam
dobrego nauczyciela, a raczej nauczycielkę. Brian... – Zawahałem się na
moment.

– A jednak chcesz wiedzieć, kiedy oddam ci kasę? – Znów się zaśmiał. –
W tym roku raczej nie zdążę.

– Nie. Myślę tylko, że powinieneś pożegnać się z...

– Z Anną? Po co? Zresztą ona by nie chciała – dokończył z goryczą
w głosie.

– Czego bym nie chciała?

Odwróciliśmy się jak na komendę...

– Leo? O co chodzi? – Podeszła do nas.

– O nic. Bolała go ręka, dostał zastrzyk i zmieniłem opatrunek. Już
w porządku, wracajcie do siebie – odpowiedział za mnie Brian.

– Widzę, że coś się dzieje. – Anna nie dała się zwieść, choć głos mojego
rywała zabrzmiał bardzo spokojnie. – Czego bym nie chciała?

– Brian... – zacząłem.

– Black, weź się zamknij! Boże, ale z ciebie idiota.

– Co Brian? – Anna spojrzała mi w oczy.

– Brian nas opuszcza. Uznałem, że powinien się z tobą pożegnać, ale on
twierdzi inaczej. – Wzruszyłem ramionami.

– Co?! Dlaczego?! – Moja dziewczyna odwróciła się i złapała Briana za
rękę. – Dlaczego?! Gdzie się wybierasz? Leo, co ty mu nagadałeś?! Przecież
gdyby nie on... – powiedziała z wyrzutem.

Zacisnąłem zęby. Nie mogłem patrzeć, jak trzyma dłoń zakochanego w niej faceta i oskarża mnie bezpodstawnie. Chciałem jej odpowiedzieć, ale głos ugrzązł w gardle.

– Nic mi nie nagadał. – Brian parsknął śmiechem.

– To co się stało? Ktoś mi wreszcie powie?! – Anna spoglądała raz na mnie, a raz na Briana.

– Chyba najlepiej będzie, jak zostawię was samych. – Westchnąłem głęboko. – Wyjaśnijcie sobie wszystko. Trzymaj się, Brian – rzuciłem zza pleców.

– Ty też, Black.

Wróciłem do kajuty. Byłem wściekły. Miotalem się od ściany do ściany jak rozjuszony byk. W końcu walnąłem się na koję. Oczywiście, aż mnie wyrywało, żeby polecieć i zobaczyć, o czym rozmawiają. Moja ukochana dziewczyna! Moja przyszła żona została z facetem, który tak samo jak ja szalał za nią, kochał ją i pragnął! A ten atak na mnie?! Nawet głupiec by zrozumiał, że Anna coś czuła do Briana.

Podniosłem się z łóżka, nie mogłem tak leżeć beczynnym, narzuciłem kurtkę i wyszedłem na pokład. Chłodne powietrze uderzyło mnie w twarz, chyba znów zbliżał się sztorm: wiatr hulał po pokładzie i gwizdał w szczelinach burt. Nazajutrz mieliśmy wypływać. Oparłem się o barierkę na szczycie dziobu. Prawie jak w Titanicu, niemal parsknąłem śmiechem, tylko brakuje mi Kate.

Nachyliłem się. Woda z impetem odbijała się od burty, patrzyłem zafascynowany na ten taniec. Światła latarni portowych lśniły na wodzie setkami jasnych plam.

– Leo? Tu się skryłeś! Wszędzie cię szukam! – Anna podbiegła do mnie i mocno się przytuliła. Ledwie ją czułem, oboje mieliśmy na sobie dosyć grube kurtki.

Po chwili podniosła na mnie oczy.

– Co tu robisz?

– Próbuję ostygnąć – mruknąłem.

– Ostygnąć? – Zmarszczyła czoło.

– Trochę mnie zagotowało. – Odwróciłem wzrok.

– Uhm...

Staliśmy tak przytuleni dobre kilka minut, ale nadchodzący strażnik nas wypłoszył. Pewnie chciał sprawdzić, czy wszystko w porządku. W milczeniu wróciliśmy do kajuty, Anna poszła do łazienki się odświeżyć. Czekałem na nią

i biłem się z myślami.

– Co z nim? – Zadałem w końcu to pytanie.

– Poszedł. – Anna usiadła obok na koi. Wycierała włosy, w końcu rzuciła ręcznik na podłogę. Oparła głowę o moje zdrowe ramię. Chwyciłem jej dłoń, pierścionek lekko migotał z każdym, nawet najmniejszym ruchem. Tak bardzo znajome były te delikatne, szczupłe palce.

– Ten facet cię kocha, sam mi to powiedział. Widzę, że coś jest między wami, wyjaśnij mi co... Nie wytrzymam tego, tej niepewności. – Zacisnąłem zęby.

– Leo – westchnęła głęboko. – Ja sama nie potrafię tego zrozumieć. Potrzebuję go, chcę, żeby był ze mną, tak jakbyśmy byli połączeni jakąś niewidzialną nicią. Nie wiem, co to jest. Nie znałam takiego uczucia nigdy wcześniej.

– To po prostu miłość. – Pokiwałem głową.

– Nie! Nic nie rozumiesz! – Odsunęła się. – Przestań wreszcie! Ile razy mam ci powtarzać, że to ciebie Kocham i pragnę! A Brian jest jakby częścią mnie, jest dla mnie jak brat. Nie wiem, nie miałam nigdy brata, ale gdy go nie ma blisko, czuję się jakaś niekompletna. I na dodatek jest tak samo uparty jak ja! Nie chciał mi powiedzieć, gdzie się wybiera, ale obiecał, że wróci. Stwierdził, że jest ci coś winny. O co chodzi? – Anna świdrowała mnie wzrokiem.

– Pożyczyłem mu trochę kasy. Prosił.

– Uhm. Martwię się i przestanę dopiero wtedy, gdy znów go zobaczę całego i zdrowego. Mogłabym ci tego nie mówić, bo widzę, że jesteś zazdrosny, ale nie zamierzam niczego ukrywać. Dlatego proszę, żebyś mi zaufał. Kocham cię i nigdy nie przestanę. Wierzysz mi? – Patrzyła na mnie ciemnymi jak gorzka czekolada oczami. Nie mogłem w nich dostrzec ani cienia niepewności, widziałem tylko prawdę. Przytuliłem Annę i tak zostaliśmy objęci, a każde z nas ze swoimi myślami...

* * *

– Przepraszam, że przeszkadzam, ale muszę wam coś pokazać! – Kris władował się do naszej kajuty, ledwie zdążyliśmy odpocząć po obfitym obiedzie.

– Co jest? – Leo z trudem podniósł się z koi.

Najadł się tak, że miałam poważne obawy o stan jego żołądka. Chyba wracał do zdrowia, skoro apetyt mu dopisywał.

– Nowe wiadomości. Włączcie telewizję.

Przez moment rozglądaliśmy się bezradnie. Pomyślałam, że od kilku dni jednej rzeczy zdecydowanie mi brakowało. Mojej drogiej Sue! To było świetne, zwłaszcza dla takiej bałaganiary, jaką znów się stałam. Przypomniałam sobie, jak brzmiała moja pierwsza komenda, którą skierowałam do Sue, i od razu parsknęłam śmiechem.

Niestety pilota nie udało się zlokalizować i Kris musiał włączyć ręcznie niewielki plazmowy telewizor. Usiedliśmy przed odbiornikiem. Norweska telewizja regionalna właśnie emitowała wiadomości – oczywiście nie znaleźliśmy ani słowa w tym języku, więc patrzyliśmy jak wół na malowane wrota.

Reporterka, ładna wysoka blondyna, stała przed szpitalem w Oslo i nawijała jak nakręcona w dziwacznym narzeczu. Tylko Thor rozumiał ten język, jak i pewnie z dziesięć innych, ale dziś nie nadawał się zdecydowanie do roli tłumacza. Wyruszyliśmy jakieś siedem godzin temu, pogoda nie rozpieszczała, więc nasz biedny dredziarz od rana dyskutował z toaletą. Strasznie chorował: gdy tylko zaczynało choć ciut kołysać, Thor zieleniał i w panice szukał jakiegokolwiek naczynia, w którym mógłby zdeponować zawartość swojego żołądka.

– No i o co chodzi? – Leo z uwagą wpatrywał się w ekran.

Wierna kopia Claudii Schiffer wyrzucała z siebie dziesiątki słów, wskazując na budynek szpitala znajdujący się za jej plecami.

– Poczekaj, zaraz zobaczycie. – Kris tak samo jak my nie spuszczał wzroku z monitora.

Na ekranie ukazało się zdjęcie Einara, jednego ze strażników, a w tle blondyna pytlowała jak najęta. Dopiero po chwili dotarło do mnie, co się wydarzyło.

– Einar nie żyje! – krzyknęłam z przerażeniem. – To jest ta nowa wiadomość?!

– Tak. – Kris pokiwał głową. – Boże, dziewczyno, co jest? – Chyba zauważył, że jestem w szoku.

– Jezu, Anna, co się dzieje? – Leo chwycił mnie za rękę, ale natychmiast ją wyrwałam.

– Einar nie żyje! – Obiema dłońmi chwyciłam się za czoło i przez chwilę

próbowałam jakoś przyswoić sobie tę straszną informację. – Dlaczego? Co mu się stało? – Popatrzyłam na Krisa.

– Nie wiem dokładnie, nie znam norweskiego.

– Gdzie jest Thor? Musisz go przyprowadzić! – krzyknęłam przez łyzy, które nie wiadomo kiedy pojawiły się pod moimi powiekami. – On musi to przetłumaczyć! Może będzie powtórka.

– Ale co się dzieje? O co ci chodzi, kochanie? – Leo próbował mnie przytulić.

Pewnie myślał, że mi kompletnie odbiło. Rozpaczałam jak wariatka z powodu śmierci jednego z ludzi, którzy niekoniecznie byli moim przyjaciółmi.

– Zaraz wam wytłumaczę. Błagam, przyprowadź Thora! – Zerwałam się z koi i próbowałam wypchnąć Krisa z kajuty. – Niech weźmie ze sobą laptopa! Szybko!

Starłam się uspokoić, ale niezbyt mi to wychodziło. Przez te kilka minut, które ciągnęły się jak godziny, zdążyłam pobiec do łazienki, umyć twarz lodowatą wodą i wypić kilka łyków prosto z kranu. Wreszcie Kris wrócił, niosąc laptopa i wlokąc za sobą półprzytomnego Thora. Szybko odpaliliśmy Internet, ja poszukałam wiadomości i nasz ledwo żywy tłumacz mógł ponownie wysłuchać relacji.

– No dobra, słyszałem – wybełkotał po trzech minutach.

Widziałam, że znów blednie. Wszyscy wiedzieliśmy, co to oznacza, więc Kris błyskawicznie pobiegł do kajuty Beka i przyniósł ze sobą wielkie zielone wiaderko. Prawdę mówiąc, ledwie zdążył. W końcu Thor załatwił swoje żołądkowe sprawy, posprzątaaliśmy i usiedliśmy w oczekiwaniu. Te wszystkie czynności pozwoliły mi na szczęście nieco ochłonąć.

– Einar, że tak artystycznie to ujmę, bo tu prawie sami artyści... – Thor machnął bezwładnie ręką – zszedł właśnie z areny życia... Hep! – czknął, a Kris natychmiast podsunął mu wiaderko, na szczęście to był fałszywy alarm. – Jeszcze coś chcecie wiedzieć?

– Ale co się stało? – dopytywałam. – Dlaczego? Co mówiła ta reporterka!? – Szarpnęłam go za ramię.

– Nie trzęś mną, bo... Hep!

– Przepraszam! Już cię nie dotykam. – Odsunęłam się.

– Anna usiłuje się dowiedzieć, dlaczego zmarł. – Leo chciał jak najszybciej zrozumieć przyczyny mojego zdenerwowania.

– Trochę był poturbowany ten Norweg czy mi coś umknęło? Hep! Pan doktor Brian, zamiast leczyć ludzi, ratować życie i co oni tam jeszcze obiecują w tej przysiędze Hipo... Hipo... Hep!

– Hipokratesa! – Teraz to Kris nie wytrzymał.

– No właśnie, tego hipokryty... nie! Hipo...

– Hipokratesa!!! – ryknęliśmy we trójkę.

– Hep!... No właśnie! No i pan doktor załatwił mu sesję *Mortal Kombat*... Hep! *Fatality*, to się nazywało? Czy jakoś tak? – Thor wywrócił oczami, aż mnie zemdliło.

– Zaraz ja też komuś zrobię *Fatality* i to jedną ręką. – Mój chłopak stracił cierpliwość. – To będzie nowy chwyt, za dredy i przez burzę.

– Wiecie co? Chyba szybciej nauczymy się norweskiego – sapnęłam.

Kris podniósł się z fotela.

– Odprowadzę tego...

– Hipokretyna – dokończył pod nosem Leo.

Jakoś udało się nam znaleźć w sieci tę samą relację, ale po angielsku. W sumie nie dowiedzieliśmy się niczego nowego. Rzeczywiście Thor powiedział to, co najważniejsze. Według dziennikarki trzydziestoparoletni Norweg zmarł prawdopodobnie z powodu odniesionych obrażeń. W trzeciej dobie nastąpił jakiś nieprzewidziany kryzys, prawdopodobnie zator płucny. Lekarze stwierdzili śmierć pnia mózgu i odłączyli Einara od aparatury podtrzymującej życie. Oczywiście norweska prokuratura natychmiast wszczęła śledztwo w sprawie tego morderstwa.

– No dobrze, a teraz powiesz nam wreszcie, o co chodzi? – Kris z zaskononą miną spojrzał mi w oczy.

– Chodzi o Briana – ledwie wyjąkałam z siebie odpowiedź.

– To znaczy? – Kris otworzył oczy ze zdumienia. – Myślisz, że to on załatwił tego kolesia? Po to zszedł z promu?

– Kris, co ty mówisz!?! – Aż mnie podniosło z oburzenia. – On tego na pewno nie zrobił.

– Nie byłbym tego taki pewny... – Leo zmarszczył czoło. – Sprawdziłem rano konto, ubyło parę tysięcy, pieniądze pobrano w bankomacie w Oslo. To było jakieś trzy godziny przed śmiercią strażnika. Brian jest lekarzem, mógł łatwo wtopić się w tłum, zwłaszcza w tak wielkim szpitalu o to nietrudno.

– Leo, to raczej mało prawdopodobne. Pamiętaj, że on jest nieźle poobijany. Ma opatrunek, od razu ktoś by zwrócił uwagę – Kris głośno myślał.

– Akurat to też nie jest dobry argument. Przeciwnie: Brian wygląda jak pacjent, mógł śmiało wejść na każdy oddział, pod byle pozorem. Na przykład, że się zgubił.

– Leo, jak myślisz? Ciekawe, czy on zna norweski?

– Pewnie tak.

– No nie wiem...

– Jezu!!! Przestańcie! On tego nie zrobił!! – ryknęłam jak lew.

Myślałam, że ich zagryzę. Dyskutowali, w jaki sposób mój przyjaciel (tak! właśnie tak mogłam nazwać Briana!) wszedł do szpitala i zabił człowieka. Zagotowałam się, jeszcze chwila i ja też zrobiłabym im to *Fatality*, czymkolwiek ono było.

– Przepraszam! – Leo natychmiast się zreflektował.

– Posłuchajcie mnie! Brian nigdy nie zabiłby tego człowieka! Zresztą żadnego by nie zabił z premedytacją! To raczej Einar przez to, że zmarł, zabije Briana! Nie rozumiecie tego?

Patrzyłam z niedowierzaniem, jak Kris i Leo wlepiają we mnie oczy.

– *Hipokretyni!!!* – wrzasnęłam w myśli. Obaj podskoczyli równo jak dwie marionetki na wspólnym sznurku.

– Usłyszeliście? – zachichotałam nerwowo.

– O cholera! – sapnął Kris i natychmiast zerknął na mojego chłopaka. – Naprawdę robi wrażenie!

– Mówiłem ci.

– Widzę, że zupełnie nic do was nie dociera. – Wkurzyłam się, bo chyba obu panom udzielił się stan umysłu Thora. – Brian też jest Wędrowcem, tak jak my wszyscy, ale z Habbatum. Gdy członek tego plemienia zabije zwykłego człowieka, wtedy wraz ze śmiercią organizmu definitywnie kończy swoje istnienie. Już nigdy nie przeżyje następnego wcielenia, rozumiecie? – Znów poczułam pieczenie pod powiekami.

Myśl, że za maksymalnie kilkadziesiąt lat Brian zniknie z mojego życia, była nieznośna. Nie mogłam znieść tej świadomości. Łzy płynęły strugą.

– Już wiem, dlaczego tak bardzo nie chciałaś go puścić do bunkra. – Leo objął mnie w pół i posadził na kolanach. – Bałaś się, że zabije Lukasa, że zaryzykuje własnym istnieniem, byleby nas uratować.

Nie byłam w stanie mówić. Ściśnięte wzruszeniem gardło nie pozwalało na

wydobycie z siebie nawet jednego słowa. Kropelki łez strząśnięte skinieniem głowy kapnęły na rękaw koszuli Leo.

– Już wiem, co miał na myśli, gdy stwierdził, że nie ma nic do stracenia. Sądził, że Einar nie żyje. Dopiero teraz zrozumiałem, ile tak naprawdę Brian poświęcił dla ciebie. Wszystko, co miał, czyli siebie samego...

– *A on tak bardzo chciał się zmienić! Już nie chciał być Habbatum... Chciał mi pomóc uciec od Dorothy! A teraz Einar nie żyje, a Brian jest winny jego śmierci, bo chciał mnie uratować...*

Zamknęłam oczy. Teraz mówiłam jedynie myślami, przywołując wspomnienia snów o Johnie, moim dziadku, o tym okropnym wypadku, w którym zginął Kris, o poprzednich rodzicach Leo, o jego mamie, którą Dorothy tak bezlitośnie pozbawiła szans na normalne życie. Bezglśnie opowiadałam te wszystkie dramatyczne historie. Nie musiałam widzieć moich słuchaczy, ta nieprawdopodobna, wręcz nieludzka cisza, przerywana co jakiś czas równoczesnym westchnieniem obu mężczyzn, była wystarczającym potwierdzeniem, że mnie słyszą. Zakończyłam opowieść motywem Księgi, którą miałam odnaleźć i odczytać. Przywołałam w głowie rozmowę z Brianem, znów widziałam go przed sobą.

– *Brian!!!* – Moim ciałem wstrząsnął kolejny szloch...

– Nie płacz, proszę. On na pewno wróci. – Leo kołysał mną jak małym dzieckiem. Głaskał po głowie, aż w końcu się uspokoiłam. Otworzyłam oczy. Jeszcze minuta huśtania i z pewnością usnęłabym na kolanach mojego chłopaka.

– Co za nieprawdopodobna historia... – Kris z niedowierzaniem kręcił głową. – To wiele wyjaśnia. Już wiem, dlaczego Debora wtedy hamowała dodge'em. Tak, to logiczne, a sytuacja z twoją matką? Leo, powiem ci, że nasza złotowłosa koleżanka to potwór w ludzkiej skórze. Boże, twoja biedna matka tyle lat chorowała tylko dlatego, że jakiś podły człowiek dał się namówić tej bestii i podawał jej truciznę. Jezu! Anka! – Nasz rudy przyjaciel nagle drgnął na fotelu, jakby ktoś dźgnął go rozpalonym do czerwoności pogrzebaczem.

– Co jest?! – Leo podskoczył prawie tak samo energicznie.

Niewiele brakowało, a spadłabym na dywanik. Dobrze, że prawa ręka Leo nadal otaczała moją talię.

– Posłuchajcie! Seryjni mordercy lubią się powtarzać! Było wiele takich przypadków, te same mechanizmy, procedury, zwyczaje, rodzaj broni i tak

dalej.

– I co z tego wynika? Szczerze mówiąc, nie rozumiem. – Mój chłopak zmarszczył czoło.

– Boże! – Palnęłam się w głowę. – No jasne, już wiem! Już wiem! Dlaczego sama na to nie wpadłam?! Jesteś pewny, Kris?

– Pewny nie, ale uważam, że to wysoce prawdopodobne. – Pokiwał głową.
– Ona ma tak rozległe znajomości w tej branży, że bez problemów mogła to załatwić. Niektórzy ludzie dla kasy zrobią wszystko. A powód? Chciała pozbyć się niewygodnego świadka, a przy okazji nieźle nastraszyć Briana, doprowadzić go do desperacji. Człowiek stojący pod ścianą zaczyna popełniać błędy.

– O czym wy mówicie, do jasnej cholery? – Leo spoglądał na nas jak na wariatów.

– Synu, załamujesz mnie... – Kris zakrył twarz. – Jak to leciało? Hipo...?
Wybuchnęłam śmiechem...

Rozdział 6

Pamiętaj, że kocham

Zerknęłam na zegarek. Boże! Już dziesiąta? Natasza miała przyjechać po mnie za pół godziny. Błyskawicznie kompletowałam zestaw ubrań, wszystko było albo brudne, albo wymięte. Niestety, nie pozostało mi nic innego, jak chwycić za żelazko.

Nie wiem, kiedy minęły te dwa tygodnie. To było jak jazda na rollercoasterze. W górę, w dół, kompletne wariactwo ciągle zmieniających się aktorów i scenariusza.

Wieczorem dwudziestego listopada w towarzystwie Leo i Krisa wkroczyłam do mojego domu. Powitanie z mamą? Dramatyczne. Łzy? To nie były strumienie, raczej potoki. Wylałyśmy ich chyba wiaderko. Pierwsze kilka godzin mama nie wypuszczała mnie z ramion, tuliła tak mocno, że zaczęłam obawiać się o nasze kości. Poszliśmy się położyć dopiero o północy, zamknięte na cztery spusty, a na naszej pasiastej sofie w salonie spał tajemniczy Igor.

Następnego dnia Wanda nas opuściła. Wiktoria źle się poczuła i jej mama przeniosła się tymczasowo, by jej doglądać. Dwa dni później mrukliwy Rosjanin zniknął, a do naszego domu wprowadził się kapitan Barrow. Kris uznał, że Alan w zupełności wystarczy, abyśmy z mamą czuli się bezpiecznie. I owszem, czułam się bardzo bezpieczna. Jedyne, co mi zagrażało, to upadek statku powietrznego ewentualnie meteorytu na nasz dom i może jeszcze śmierć z zagłaskania. Mama, gdyby mogła, z pewnością wsadziłaby mnie z powrotem do brzucha, na wszelki wypadek, żebym zawsze była w pobliżu.

Leo z Krisem ciągle coś załatwiali, mnóstwo czasu przesiedzieli u Thora i Bekan. Miało to związek z całym tym zdarzeniem w Norwegii. Rebecca na bieżąco zdobywała informacje o przebiegu śledztwa. Trochę się martwiłam, bo w pokoju, w którym byłam przetrzymywana, zostało mnóstwo śladów papilarnych i biologicznych, zarówno po mnie, jak i po Brianie. Leo jednak stwierdził, że nie powinnam zaprzętać sobie tym głowy. W końcu po kilku

dniach przyjechał do mnie, a raczej po mnie. Wreszcie mogliśmy spędzić trochę czasu razem. Umówiliśmy się, że do niego pojedę. Szybko spakowałam niewielki plecak i zeszłam do salonu z zamiarem pożegnania się z mamą.

I wtedy właśnie nastąpił ten upadek.

Meteorytu?

Samolotu?

O nie.

Naszych złudzeń, że pojedę do Leo na noc.

Dramat w jednym akcie.

Tytuł: *Na noc? Nie ma mowy!*

Gatunek: monodram.

Scenografia: salon.

Statyści: ja, Leo, Alan.

W roli głównej: moja mamusia.

Mama (*stoi w salonie, wskazujący palec wycelowany w mojego chłopaka, tupnięcie nogą przy końcu każdego zdania*): Na noc? Nie ma mowy! Leo Blacku, za-pom-nij! Od dzisiaj moja córka nie będzie u ciebie nocować! To porządna polska dziewczyna, z porządnego polskiego domu i nie będzie się włóczyć po nocach! Jak chcesz, to możesz ją odwiedzać, nawet codziennie! Oczywiście najpóźniej o północy proszę się zabierać! Ale Anna do ciebie na pewno nie pojedzie! I do żadnych restauracji i hoteli też! Dość tych brewerii! Już to przerabiałam i wiem, jak się skończyło! Wprawdzie Ania jest pełnoletnia, ale dopóki jest panienką, będzie nocować tu! W swoim rodzinnym domu!

Parsknęłam śmiechem na wspomnienie miny Leo. Gdy mama skończyła wykrzykiwać swoje warunki, aż skreśliło go z wrażenia. Alan zresztą też się zwinął, ale ze śmiechu. Wiedziałam, co sobie pomyślał: „Biedny Leo, już był w ogródku, już witał się z gąską, a tu taka sytuacja...”. I wtedy mój ukochany narzeczony (który chyba nie miał innego wyjścia – tu muszę go nieco usprawiedliwić) zrobił coś strasznego!

Jeszcze raz mi się oświadczył.

I to jak!

Padł na kolana i poprosił, żebym natychmiast została jego żoną. Zbaraniałam. Stałam i płonęłam jak biblijny krzew gorejący. Ostatecznie nie wiedząc, jak wybrnąć z tej strasznie krępującej sytuacji, po prostu zwinęłam

żagle (a raczej plecak) i uciekłam na górę. Leo oczywiście pognał za mną. Tłumaczyłam mu, że nie wyobrażam sobie tak szybkiego ślubu, nie jestem gotowa na małżeństwo i tak dalej, w końcu rozplakałam się jak mała dziewczynka. Wtedy Leo przytulił mnie, błagał o wybaczenie i stwierdził, że zachował się jak egoistyczny dupek. Tak mnie to rozbawiło, że od razu przestałam się mazać. Potem on mnie pocałował, ja jego i razem doszliśmy do wniosku, że ten szybki ślub to chyba całkiem niezły pomysł. Nie wyobrażałam sobie rozłąki z Leo, chciałam z nim być, mieszkać, spać, kochać się...

*

– Czy ona wszędzie się tak za tobą wlecze? – Wika wskazała brodą na siedzącą przy sąsiednim stoliku Nataszę.

– Dopiero drugi raz, ale naprawdę jest nieszkodliwa. – Parsknęłam śmiechem.

– Zna angielski?

– Tak, ale nie bój się, w nosie ma to, o czym rozmawiamy. Nie widzisz, że czyta? – Patrzyłam na moją ochroniarkę, na oko trzydziestolatkę, niewysoką ciemną blondynkę o typowo słowiańskiej urodzie. Akurat to nie dziwiło, bo Nat (tak kazała się nazywać) była Rosjanką.

Ja i Wiktoria chciałyśmy wreszcie spokojnie porozmawiać. U niej się nie dało, wiecznie kręcił się tam James albo Wanda, u mnie było nie lepiej. Na szczęście wyrwałyśmy się pod pretekstem zakupu sukienek. Musiałyśmy coś sobie sprawić na zbliżającą się wielkimi krokami skromną uroczystość, czyli mój ślub cywilny.

Wiktoria była w końcówce piątego miesiąca, już ładnie się zaokrągliła. Cięża wyraźnie jej służyła, przynajmniej wizualnie. Co do samopoczucia, nie bardzo. Nie mogła chodzić do pracy, lekarz zalecił jej spokojny tryb życia, więc dzisiejsza wycieczka była dla Wiki jak wygrany los na loterii. Wreszcie mogła uciec z domu spod nieustającej kurateli chłopaka i mamy. Leo na początku w ogóle nie chciał słyszeć o tym pomysle, oczywiście uzasadniając to względami bezpieczeństwa. W końcu jakoś udało mi się go przekonać, ale wyprawa miała się odbyć w towarzystwie Nataszy jako naszego kierowcy i organizatora.

– Ma fajne ciuchy – szepnęła mi do ucha Wiktoria.

– No. – Pokiwałam głową.

Rzeczywiście Natasza świetnie wyglądała i z pewnością była ubrana znacznie lepiej niż ja, zwłaszcza dzisiaj. Miała na sobie granatowe rurki, wysokie ciemnobrązowe kozaki na szpilce i czarną koszulę z surowego jedwabiu.

– Wiesz, ile kosztują takie dzinsy? – Wika znów nachyliła się nad filiżanką kawy. Mieszała ją już od dobrej minuty. Obawiałam się, że jeszcze chwila i dowierci się do porcelanowego spodeczka. – Ponad pięć stów!

– O matko! – Aż sama popatrzyłam na te superdrogie spodnie.

– To nowa kolekcja *Seven for All Mankind*. Musi nieźle zarabiać ta twoja Nat. Ciekawe, jaką ma prostownicę? Nawet w reklamie Alterny nie widziałam lasek z takimi włosami. Jaki połysk... – Wika cmoknęła z podziwem.

Przez chwilę obie dyskretnie przyglądałyśmy się Nataszy. Czytała najnowszą powieść Krisa pod nieco intrygującym tytułem: *Anatomia uległości*. Siedziała tak jak my, przy małym stolczku kawiarni Royal, jednej z najdroższych w Londynie. Niewielka, przytulna sala nieodparcie kojarzyła mi się z wnętrzami hotelu Stars. Tak samo luksusowo urządzona: marmurowa posadzka przykryta tu i ówdzie okrągłymi beżowymi dywanami, ściany obite satynową tapetą, tapicerowane krzesła z podłokietnikami rzeźbionymi w drewnie – wszystko było eleganckie i z pewnością kosztowne.

– Strasznie tu pusto – stwierdziłam cicho. Oprócz naszej trójki w kawiarni przebywała jeszcze tylko jakaś parka siedząca w drugim końcu sali.

– I bardzo dobrze. Przynajmniej możemy spokojnie pogadać. – Wika przysunęła się najbliżej, jak mogła. Chwyliła mnie za rękę. Chyba jeszcze ciągle się sobą nie nacieszyłyśmy, bo znów splotłyśmy palce.

– Dlaczego ona tu jest? – wskazała brodą na Nataszę.

– Przecież ci mówiłam, Leo się uparł.

– Jak możesz wierzyć w takie bzdury? Przecież fanki są zainteresowane nim, nie tobą.

– Dzięki – burknęłam.

– Anka. Błagam, chyba nie myślisz, że stalkerki będą za tobą ganiać po Londynie? Ten twój Otello... – Wywróciła oczami. – Jak możesz to znosić? Chybaby mnie krew zalała, gdyby James tak świrował. Nie jestem feminazistką, ale wasz związek to jakaś miazga. Leo traktuje cię jak niewolnicę. Dobrze, że nie nosisz kagańca i tego, jak mu tam? Pasa cnoty? – Wiktoria zachichotała i od razu rozejrzała się nerwowo, czy nikt jej nie usłyszał.

– Lepsza Natasza niż metalowe majtki – zripostowałam ze śmiechem.

– W sumie masz rację. Zawiezie cię wszędzie, gdzie chcesz, no może oprócz slumsów w Tottenham. Nie narzeka, nie wtrąca się. Taka trochę niania? – Wika wyszczerzyła zęby.

– Uhm. – Pokiwałam skwapliwie głową.

– A gdzie byłaś, gdy cię nie było ponad miesiąc? Powiesz mi, o co w tym wszystkim chodzi? – Świdrowała mnie wzrokiem.

– Kiedyś tak. Przecież obiecałam.

– Kiedyś, sreduś... Czekać tatka latka, a broda rośnie – sapnęła.

Wiktoria nie znosiła sekretów, zresztą ja też nie lubiłam niczego ukrywać, ale tym razem bezwzględnie musiałam zachować tajemnicę. Nie mogłam zdradzić żadnych szczegółów. Nikt poza wąską grupą zainteresowanych nie mógł wiedzieć, co wydarzyło się w bunkrze skrytym niedaleko norweskiego miasteczka Fauske.

Gdyby policja, lub co gorsza dziennikarze, powiązali w jakikolwiek sposób osobę Leo z tym zdarzeniem, rozpętałoby się prawdziwe piekło. Głównie z tego powodu cała akcja uwolnienia mnie odbyła się bez pomocy służb, nie licząc oczywiście Alana.

– Obiecałam ci, że się dowiesz, ale jeszcze nie teraz. Proszę, poczekaj cierpliwie.

– Już wiem! – Nagle pacnęła się w czoło. – To jakaś sekta? Co? Przyznaj się, byłaś w sekcie? Leo cię z niej wyciągnął i dlatego teraz tak cię pilnuje, żebyś znów tam nie uciekła! – Wika próbowała mnie wysondować, sycząc wprost do ucha.

– Nie. – Pokręciłam głową. – Przestań!

Jej pomysł wydał mi się tak szalony, że w pierwszym momencie parsknęłam śmiechem. Jednak po chwili namysłu stwierdziłam, że chyba miała trochę racji: niewątpliwie nas, Wędrowców, można było zakwalifikować jako pewnego rodzaju sektę.

– Zorganizowana grupa przestępcza? – Wiktoria nachyliła się jeszcze bliżej, prawie usiadła na moich kolanach.

– Tak, jestem członkiem kamorry – zażartowałam.

– Od kiedy poznałaś mojego szefa... – Wiki przymrużyła oczy – zrobiłaś się okropnie skryta. Same tajemnice, aż się boję, że kiedyś zrzucisz przy mnie skórę i zamienisz się w jakiegoś wilkołaka, elfa albo innego wampira.

– Nie wymieniłaś kosmity – dodałam po sekundzie.

– No. Jak twój luby w *Upalu*. Á propos Leo, gdzie on się podziewa? Od kiedy siedzę w domu, nie jestem na bieżąco – na szczęście Wiktoria zmieniła temat.

– Wczoraj poleciał z Mikiem do Los Angeles, coś nagrywa do *Potrójnego blefu*. Mieli jakieś problemy z postsynchronami, cokolwiek to znaczy. Przy okazji jeszcze wystąpi w *Daily Show*. Wraca dopiero jedenastego... – Westchnęłam, bo dwanaście dni rozłąki wcale mnie nie cieszyło.

– A kiedy zaczynają pierwsze zdjęcia do *Tokio*?

– Filmu Rickmana? – upewniłam się.

– Uhm.

– Kilka dni po Nowym Roku.

– Dlaczego tak szybko?

– Miał zacząć zdjęcia pod koniec stycznia, ale wszystko przyspieszyło. Judith Durant, która też gra w tym filmie, niestety jest dyspozycyjna tylko do końca lutego, i przesunęli termin rozpoczęcia zdjęć zaraz na początek roku.

– Jedziesz z nim?

– Chyba tak. – Wzruszyłam ramionami.

Cały czas zastanawiałam się, jak przeżyję prawie ośmiogodzinny lot. To miał być mój życiowy rekord.

– Julka cię puści?

– No proszę cię! – oburzyłam się. – Będę już mężatką.

– Bardzo młodą mężatką – dodała uszczypliwie Wika i pokręciła moim pierścionkiem zaręczynowym. – Dlaczego się zgodziłaś? – Kręciła głową ze zdumienia.

– Na zaręczyny?

– Na ten ślub, tak szybko?

– Nie miałam wyjścia. Pewnie myślisz, że jestem głupia. – Zamilkłam na moment. – Wiesz co? Chyba masz rację. Strasznie się boję. Im bliżej tego dnia, tym bardziej.

– Nie przesadzaj. To tylko ślub cywilny i skromny obiad. Raptem kilka osób, szalu nie ma – pocieszyła mnie.

To akurat się zgadzało. Całą ekipę stanowili: Wika i Kris (jako świadkowie), mama, Ruby i George, Wanda, James i ja z narzeczoną. Oczywiście wszystko zaplanowane z największą dyskrecją, jaka była możliwa, w przeciwnym razie pół Londynu zleciałoby się oglądać Leo Blacka, który wreszcie się żeni.

– Jakoś to zniosę. – Wzruszyłam ramionami.

– Lepiej być młodą mężatką niż nastoletnią mamusią. Przeżyjesz... – Pokazała mi język. – No to co? Jedziemy po te kiecki?

– Jedziemy. Poczekaj, muszę zapłacić. – Skinęłam na kelnera, który kręcił się kilka metrów dalej.

No cóż, rachunek przyprawił o zawrót głowy. Już wiedziałam, dlaczego tak mało osób odwiedzało kawiarnię Royal. Przy odrobinie samozaparcia za kwotę, którą zostawiłam, można byłoby kupić mały ekspres do kawy, a nie trzy filiżanki tego napoju. Choć to Leo sponsorował wszystkie wydatki, wcale mnie nie cieszyło aż takie marnotrawstwo.

Nasz pięknowłosy cerber już czekał przy wyjściu. Władowałyśmy się do land rovera, a raczej niewielkiej fortecy. Samochód posiadał kuloodporne szyby, wzmocnione drzwi, jakiś tajemniczy radiowy nadajnik, dwa niezależne urządzenia GPS i nie wiadomo co jeszcze. Wolałam nawet nie myśleć, co kryło się w licznych schowkach.

– Salon Lisy Ferrera? – Nat zerknęła na Wikę siedzącą z za mną.

– Uhm.

– Okej.

Wiktorija dostała od lekarza specjalne zaświadczenie zwalniające ją z obowiązku zapinania pasów, więc jechałyśmy bardzo ostrożnie, żeby broń Boże nie uszkodzić przyszłej mamusi. Stanełyśmy na światłach. Było dosyć wcześnie przed południem. Na szczęście o tej porze korki aż tak bardzo nie dezorganizowały życia londyńczykom.

– Za piętnaście minut będziemy na miejscu – burknęła pod nosem Nat.

Nie miałam pojęcia, czy mówiła do nas, czy też do kogoś. Chyba tylko do kąpieli zdejmowała bezprzewodowy zestaw składający się z mikroskopijnej słuchawki i niewiele większego mikrofonu. Natasza nie była szczególnie rozmownym towarzyszem, więc odwróciłam się, żeby pogadać z Wiką, bo miałam dosyć tej ciszy.

– Jaką chcesz... – Słowa ugrzęzły mi w ustach.

Na lewym pasie, częściowo za nami, stanął właśnie jakiś czerwony samochód. Audi? Nie, to chyba było porsche. Kierowca, te blond włosy, twarz... Wlepiłam oczy w mężczyznę. To z pewnością był on!

– Brian?! Brian!!! – wrzasnęłam z całych sił. Błyskawicznie odpięłam pasy i szarpnęłam za klamkę. – Otwórz drzwi! – ryknęłam do Nataszy.

– Co się dzieje? – Patrzyła na mnie wyraźnie zaniepokojona.

– Tam jest mój przyjaciel! – Wskazałam jej sportowe auto. – Muszę do niego pójść! Szybko, bo zaraz odjedzie!!!

– Nie. To jest niebezpieczne. – Zacisnęła dłonie na kierownicy.

– Boże!

Patrzyłam ze zgrozą, jak światła zamieniają się na zielone i wszyscy ruszają, łącznie z Brianem. Jego czerwony samochód wyprzedził nas już chwilę później i teraz jechał kilkanaście metrów przed maską land rovera. Odległość między nami powiększała się z sekundy na sekundę.

– Jedź za nim, błagam! Nie możemy go zgubić. – Zacisnęłam dłonie w pięści. Wpatrywałam się w tablicę rejestracyjną, ale nie zdołałam rozróżnić cyfr, bo już była za daleko.

– Nie ma mowy. Nie zamierzam się ścigać, zwłaszcza gdy mam ciężarną na pokładzie. – Natasza zerknęła na mnie z kamienną twarzą.

Oparłam się o zagłówek. Miałam jedną szansę.

– *Brian!!! Zatrzymaj się! Proszę! Jestem w czarnym land roverze za tobą!!! Proszę, zatrzymaj się!!!* – krzyknęłam w głowie. Przez ułamek sekundy przemknęła myśl, że mnie nie usłyszał. Nagle zapaliły się światła stopu: porsche zwalniało, dystans między nami nieco się zmniejszył, choć nadal wynosił co najmniej pięćdziesiąt metrów.

– *Brian?* – zadałam pytanie, bo mimo wszystko to mógł być zbieg okoliczności.

Nagle reflektory samochodu zaczęły migać, tak jakby mój przyjaciel porozumiewawczo do mnie mrugał, ale po kilkunastu, może kilkudziesięciu sygnałach porsche znów przyspieszyło i po chwili zniknęło nam z oczu.

– Zauważył cię – stwierdziła ze spokojem Nat.

– Wiem – burknęłam wściekła jak osa.

– Boże! Anka, kto to był?!

W tym całym zamieszaniu kompletnie zapomniałam o tym, że nie jesteśmy same z Nataszą, i Wika właśnie mi to uświadomiła.

– E... Znajomy, kolega. Amerykanin. Niedawno go poznałam – rzuciłam naprędce sklecone wytłumaczenie.

– Kolega? Bardzo romantyczny ten kolega, e f e k c i a r z. Zuch młodziec, lubię takich... Z fantazją. – Natasza zachichotała.

Właśnie pierwszy raz słyszałam, jak śmieje się moja osobista Lara Croft, Rosjanka, dotychczas zimna jak lód i opanowana jak buddyjski mnich w trakcie golenia głowy.

– Ale o co ci chodzi? – Nadal byłam wkurzona, choć jej śmiech nieco zbił mnie z tropu.

– Nie znasz alfabetu Morse’a? – Zerknęła na mnie.

– Nie.

– Światłami nadał ci wiadomość.

– Jaką? – Przełknęłam ślinę.

– Wróć. Kocham cię. – Natasza, już opanowana, prowadziła samochód, patrząc wyłącznie przed siebie.

– Ups! – Wika aż się zapowietrzyła.

– Co?! – Nie mogłam się odnaleźć w całej tej sytuacji.

– Koleś w tym czerwonym wypasionym wózku powiedział, że cię kocha i że wróci. – Moja przyjaciółka szybciotko zreferowała wszystko, co przed chwilą zaszło. – Hm, teraz to ja się wcale nie dziwię, że Leo tak cię pilnuje – burknęła.

– Ma dziewczyna rwanie...

– Nat! – warknęłam ostrzegawczo.

– Co? – Natasza spojrzała na mnie z miną niewiniątka. – Mówię prawdę...

* * *

– I co jest? Gwiazdor?! – Thor walnął mojego chłopaka w ramię, ledwie ten zdążył usiąść. – Kiedy zaczynasz karne komando?

– Za dwa tygodnie, dwudziestego ósmego – odpowiedziałam za Leo i od razu spiekłam raka.

Ciągle mnie zawstydzaly i drażniły te pytania o ślub, tak samo jak dziesiątki głupich żartów i rubasznych docinków, którymi byliśmy obsypywani już od miesiąca. Wolałam odpowiadać szybko i od razu ucinać wszelkie dywagacje.

– Przyniosę ciasto, chyba jest już gotowe, a tobie herbatę. – Zerknęłam na mojego... przyszłego męża. Ciągle nie mogłam przyzwyczać się do tej myśli.

– Chętnie, trochę zimno, nawet jak na połowę grudnia. Poczekaj, pójde z tobą. – Leo zerwał się z sofy.

– Nie spieszcie się... – Z salonu dobiegł nas głośny rechot Thora.

– Kiedyś go zamorduję. Alan ma rację. Jego braciszek to najbardziej irytujący koleś, jakiego znam, na dodatek jest nieśmiertelny. To bardzo źle rokuje dla przyszłych pokoleń – mruknął idący za mną Leo.

Ledwie weszliśmy do kuchni, gdy chwycił mnie w objęcia i docisnął do

pierwszego lepszego blatu, który się nawinał.

– Moja najdroższa, przyszła pani Black... – mamrotał w przerwach między kolejnymi pocałunkami.

W końcu przestał mówić i skupił się wyłącznie na pieszczotach. Całował mnie coraz zapalczywiej, mocno obejmując w talii prawą ręką. Lewa ciągle jeszcze niedomagała, ale nie na tyle, aby nie mógł posłużyć się nią w inny sposób.

– Przestań! – zaprotestowałam, bo w końcu udało mi się oderwać usta od gorących warg Leo.

Ciężko dysząc, odsunęłam wszędobylską dłoń mojego narzeczonego. Zdecydowanie zapędziła się za daleko. Nie wiadomo kiedy Leo zdążył rozpiąć mój biustonosz. Na szczęście nie wpadł na pomysł, żeby zdjąć mi bluzkę.

– Co ty wyprawiasz? – Rozglądałam się nerwowo, czy ktoś nie widział tej spontanicznej akcji.

– Nic złego, chcę się z tobą kochać... – Leo nadal błędził dłonią, czułam, jak delikatnie muska palcami skórę na moim brzuchu, powoli przesuwając się w niższe rejony.

– Tu? Oszalałeś!

– Nie panikuj, nasi goście są dobrze wychowani i na pewno tu nie przyjdą.

– Goście owszem, ale mama?! Alan? W każdej chwili ktoś może wejść do kuchni. Chyba spaliłabym się ze wstydu... – Westchnęłam, zapinając metalowe haftki stanika. – Spaliła...? Jezu! Ciasto! – Odepchnęłam Leo i błyskawicznie dopadłam do drzwiczek piekarnika.

– W takim razie przepraszam, już wychodzę. – Sprawca mojego zapomnienia szybko ewakuował się z kuchni. I dobrze zrobił, niewiele brakowało, a oberwałby kuchenną łapką.

– Anna! Gdzie to ciasto? – Thor chyba był głodny.

– Już idę...

Dobrze, że zostawiłam trochę dla mamy i Alana. Patrzyłam ze zgrozą, jak chłopaki pochłaniają ciepły sernik. Began i ja ledwie się załapałyśmy na dwa małe kawałeczki.

– Może by ich tak zawołać? – Thor uśmiechnął się i znacząco uniósł brwi. – Pójdę po nich! Szkoda Julki, fajna z niej babka.

– Daj im spokój! – Leo parsknął śmiechem.

Nie mogliśmy opanować śmiechu, gdy tylko Alan i mama pojawiali się na horyzoncie. Kilka dni po naszym powrocie z Norwegii kapitan Barrow wprowadził się do mojego domu. Mama czuła się pewniej w jego obecności, ja zresztą też. Cokolwiek by mówić, był policjantem, a my zostałyśmy tylko we dwie. Po kilku dniach zauważyłam, że Alan zaczyna wodzić za mamą maślanym wzrokiem. Na początku chyba ją to śmieszyło, bo udawała, że nie zauważa jego zabiegów, ale w końcu uległa. Może była sentymentalna i czar munduru tak na nią wpłynął? Kto to wie?

Spędzali ze sobą większość wolnego czasu. Alan, mimo że już całkowicie wrócił do sił, ciągle jeszcze był na zwolnieniu lekarskim, a mama korzystała z zaległego urlopu, którego przez lata nazbierało się prawie czterdzieści dni. Byłam zdumiona, że tak szybko otrząsnęła się po tym niefortunnym związku z ochroniarzem Leo, ale też bardzo mnie to cieszyło.

– Czy coś wiadomo o Jacku? – spojrzałam na Rebeccę.

– Nić. – Pokręciła głową.

– O Brianie?

– Też nie.

Martwiłam się. Leo na moją prośbę codziennie sprawdzał konto. Na razie Brian tylko raz skorzystał z karty, wtedy w Oslo, w dniu śmierci Einara. Pobrał równe pięć tysięcy i ani centa więcej. Kilka razy próbowałam mentalnie przekazać mu informację o naszych przypuszczeniach co do tajemniczego zgonu Norwega. Niestety, ten system komunikacji miał jedną zasadniczą wadę: brakowało potwierdzenia, że adresat otrzymał wiadomość.

Dobrze, że chociaż problem z Dorothy został tymczasowo rozwiązany. Była ścigana listem gończym za produkcję nielegalnych leków, narkotyków i pomoc w handlu żywym towarem. Kris przekazał policji całe stopy obciążających materiałów nagranych na MP3. Oczywiście płyty przygotowane przez Beka zostały wysłane anonimowo. Już myśleliśmy, że Dorothy skutecznie wyprowadziła wszystkich w pole, bo minął prawie miesiąc, a policja nadal kręciła się w kółko. Ku naszej radości, trzy dni temu nastąpił przełom: wreszcie ją schwytali, gdzieś w okolicach Bostonu.

– Beka, pokaż im ostatnie rewelacje. – Thor delikatnie pogłaskał swoją dziewczynę po ramieniu.

Rebecca otworzyła mały laptop, który zawsze nosiła ze sobą. Przewieszony przez ramię, towarzyszył jej chyba całą dobę, zupełnie jak Nataszy jej bezprzewodowy zestaw.

– Ja już widziałem, teraz wasza kolej. Zobaczcie, jakie wygody ma nasza pani magister. Pensjonat w San Quentin, słoneczny stan Kalifornia. Nagranie na żywo prosto z USA! – Thor parsknął śmiechem.

Usiedliśmy obok Beka. Wnętrze celi ziało chłodem: kafelki na ścianach i podłodze zlewały się w jednolitą białą całość. Dorothy w jaskrawopomarańczowym kombinezonie odcinała się od tła dramatyczną plamą. Siedziała na materacu pełniącym funkcję łóżka i czytała książkę.

– Skromnie, ale wszystko co niezbędne jest. – Thor chyba miał na myśli niewielką toaletę widoczną w rogu pomieszczenia.

– Nie mogę na to patrzeć.

Zerwałam się z sofy. Wspomnienia były jeszcze zbyt żywe. Wpadłam do kuchni, wsparta o szafkę trzęsłam się ze zdenerwowania. Nawet nie zauważyłam, że Leo pobiegł za mną.

– Nie płacz. – Przytulił mnie mocno. – Chyba jej nie żałujesz?

– Leo, ja się boję. A jeśli ona ucieknie?

– Stamtąd? Sama? Nie ma możliwości. San Quentin to jedno z najlepiej strzeżonych amerykańskich więzień. Dlatego tak to surowo wygląda, ale należało się jej. Nie wyjdzie stamtąd do końca życia, przynajmniej tego. Kris twierdzi, że dostanie co najmniej potrójne dożywocie.

– A Jack?

– Też go wytropimy. Debora już nigdy cię nie skrzywdzi, przysięgam.

– E... – Thor stanął w drzwiach. – To my już sobie pójdziemy. Zadzwoń na taryfę, zaraz tu będzie.

– Przepraszam – wyjąkałam z objęć Leo. – Nie jestem dziś w towarzyskim nastroju.

– Rozumiem. Zespół napięcia przedślubnego: wszystko kojarzy ci się z pierdłem. – Theodor ryknął śmiechem.

– No, coś w tym rodzaju.

– Trzymajcie się. Leo, przestań męczyć tę biedną dziewczynę, bo ci da kosza, a szkoda, piecze świetne ciasta! – Thor musiał jeszcze na koniec trochę się wyżyć.

– Coś ci pokażę, może to poprawi ci nastrój. – Ledwie zostaliśmy sami, Leo wyciągnął z kieszeni pendrive'a. – Mogę skorzystać z twojego komputera?

– Jasne.

Szybko pomaszerowaliśmy na górę do mojego pokoju.

Mój zapobiegliwy narzeczony kilka dni temu przyniósł dwuosobowy karnet

VIP do kina *Empire* na Leicester Square. Rozpoczął się tam właśnie tydzień kina francuskiego. Sądziłam, że to niespodzianka dla mnie, ale to mama z Alanem go dostali. Przed chwilą wybrali się na nocny maraton filmowy i wreszcie mieliśmy z Leo kilka godzin dla siebie.

Patrzyłam, jak Leo siada przy biurku i w skupieniu coś wgrywa na twardy dysk mojego nowego laptopa. Dostałam go trzy tygodnie wcześniej. Od kiedy się zaręczaliśmy, Leo obsypywał mnie prezentami. Stwierdził, że praktycznie już jestem jego żoną i nie mogę odmawiać. Takim sposobem w ciągu miesiąca stałam się posiadaczką sporej ilości ubrań i równie imponującej kolekcji butów oraz torebek.

Gdy stara trzydrzwiowa szafa gdańska zaczęła pękać w szwach, mój narzeczony wpadł na kolejny, kompletnie niedorzeczny pomysł, czyli nadrabianie braków w moich zasobach biżuteryjnych. Rzeczywiście były skromne, tu musiałam się z nim zgodzić, ale gdy Leo pojawił się z szeroką złotą bransoletką, stanowczo zaprotestowałam.

Po pierwsze bransoletka wyglądała na bardzo kosztowną, a po drugie zbyt mocno kojarzyła mi się z tym irytującym urządzeniem, które nosiłam przez ponad miesiąc. Ostatecznie trafiła na rękę Ruby, która ponoć ucieszyła się niesamowicie z tego prezentu.

– Gotowe. – Leo uśmiechnął się tajemniczo, usiadł i ułożył laptopa tuż koło mnie na łóżku. – Załóż słuchawki i zamknij oczy.

Posłusznie spełniłam polecenie. Piękna melodia powoli zaczęła sączyć się do uszu. Przypominała mi coś, co już słyszałam, ale nie mogłam skojarzyć, gdzie i kiedy. Mężczyzna i kobieta naprzemiennie śpiewali w kilku językach, niestety prawie nic nie mogłam zrozumieć. W każdej ze zwrotek powtarzało się jedynie imię Dalila. To było tak piękne, męski głos brzmiał dojmująco, aż ścisnęło się serce.

*Śnij dobrze, śpij spokojnie,
Pamiętaj, że kocham...*

Ostatnie zdanie po angielsku wybrzmiewało coraz ciszej...

– Co to za melodia? Jestem pewna, że ją znam.

– Nie powiem ci, musisz sama zgadnąć. – Leo delikatnie zdjął z mojej głowy słuchawki, zabrał laptopa i z powrotem ustawił na biurku.

– Kto śpiewa? Znam ich? – Próbowałam zdobyć jakąś podpowiedź.

– Może? To para, która wygrała jedną z edycji konkursu *Mam talent*. Młodzi ludzie, chłopak może siedemnastoletni i dziewczyna niewiele starsza. Kiedyś się dowiesz, jak się nazywają, ale możesz też spróbować sama do tego dojść. – Usiadł tuż obok mnie.

– Hm... A te wszystkie języki? Co to było? Rozpoznałam jedynie kilka słów i zdań.

– To flamandzki okraszony angielskim. Szczerze mówiąc, gdyby nie Thor, nic by z tego nie wyszło, to on zajął się tłumaczeniem. – Leo wyraźnie bawiło moje śledztwo.

– Masz tekst tej pieśni po angielsku?

– Chciałabyś go poznać?

– Oczywiście.

– Hm... A gdybym powiedział, że znam go na pamięć? – droczył się. Chwycił kosmyk moich włosów i delikatnie założył za ucho.

– Wtedy ja powiedziałabym, że chcę go usłyszeć.

– A ja spytałbym: co z tego będę mieć?

– Leo! Nie mogę uwierzyć. Od kiedy zrobiłeś się taki interesowny? – Zmarszczyłam nos.

– Zawsze taki byłem. Myślisz, że bez powodu kupiłem ci te piękne rzeczy... w których jeszcze cię nie widziałem? – Nachylił się nade mną i pocałował w policzek.

Parsknęłam śmiechem, zdecydowanie miał rację. Nadal uparcie nosiłam moje ulubione dzinsowe spodnie, gładkie topy i koszule w kratkę. Te wszystkie kolorowe fatałaszkę, głównie sukienki i słodkie bluzeczki zalegające na półkach jeszcze nigdy do mnie nie zawołały: *Założ nas! Założ nas! Jesteśmy takie śliczne!* Obawiałam się, że nieprędko (o ile w ogóle) usłyszę ich cieniutkie, delikatne głosiki.

– Hm... To czego oczekujesz w zamian? Bardzo chcę usłyszeć tekst tej pieśni. – W końcu podjęłam grę.

– Powiem ci, gdy już skończę recytować.

– Nie jestem przekonana, a jeśli mi się nie spodoba?

– Wtedy zrezygnuję z nagrody.

– Okej. Nie boisz się, że cię oszukam? – Przekrzywiłam figlarnie głowę.

– A czy zapomniałaś już, że czasami mogę w tobie czytać jak w otwartej książce? – odpowiedział pytaniem.

– *Leo!!!* – W myślach pogroziłam mu palcem.

Na szczęście mogłam kontrolować ten sposób porozumiewania się, choć nie miałam pojęcia, jak to się odbywa. Od kiedy zaliczyłam wpadkę, tę przy Dorothy, byłam świadoma, że Wędrowcy słyszą moje myśli. Dobrze, że tylko Wędrowcy, a nie wszyscy, ale i tak starałam się panować nad bezgłośnym mówieniem. Niestety, kilka razy coś mi się wymknęło, lecz zawsze miało to związek ze zbyt dużą dawką emocji.

– Dobrze. To posłuchaj...

*Jest noc jak twoje włosy aksamitna
i staram się do ciebie mówić,
choć może ci mnie nie usłyszeć.
Liczę na dobrą wolę niebios i snów.
Jest noc jak twoje oczy głęboka
i śpiewam, jak ty śpiewałaś.*

*Moja droga Dalilo, nie pytam, co u ciebie,
wybacz, proszę, ten nietakt.
Być może kiedyś się zobaczymy, a wtedy
opowiesz mi wszystko i już nie odejdę.*

*Moja ukochana – czas nie chce się zatrzymać,
a ja nie umiem cię zapomnieć.
Twoje wspomnienie jasne, choć dookoła mrok.
Chciałem wczoraj śnić, zapomniałem,
że nigdy tego nie umiałem.
A to byłby sen o tobie, wiesz?*

*Chciałbym odnaleźć choć kawałek ciebie obok,
ale odkąd odeszłaś, jest tylko pustka i drobinki
wspomnień,
które kłują pod powiekami i parzą policzki.*

*Moja droga Dalilo, nie pytam, co u ciebie,
wybacz, proszę, ten nietakt.
Być może kiedyś się zobaczymy, a wtedy
opowiesz mi wszystko i już nie odejdę.*

*Moje słowa toporne, uwierz,
gdy muszę wędrować sam,
całe powietrze z płuc mam w gardle.
Śnij dobrze, śpij spokojnie.
Pamiętaj, że kocham.*

– Boże! Jakie to było... – westchnęłam. – Niesamowite? Piękne? Nie wiem sama, jak to wyrazić słowami. Co to za pieśń? Powiesz mi?

– Kiedyś się dowiesz, obiecuję, ale nie teraz. Poza tym chyba zapomniałaś o nagrodzie... – mruknął, przybliżając się do mnie.

– Chyba tak. To co mogę ci zaoferować? – Zerwałam się z łóżka. – Kawę? Może herbatę? – Teraz to ja się z nim droczyłam.

Wycofywałam się w kierunku wyjścia z pokoju, już prawie tam dotarłam, ale Leo złapał moją dłoń trzymającą klamkę, a potem drugą. Podniósł je do góry i zakleszczył nad głową, mocno dociskając do drzwi. Mój luby zdecydowanie zbyt szybko wracał do formy.

– Anno Wilk, przeginasz!

Całował mnie coraz namiętniej, już tylko jedną ręką trzymał moje uniesione ciągle ramiona, a drugą błyskawicznie rozpiął guziczki kraciastej koszuli. W końcu opuścił moje ręce, tylko po to, aby zerwać ze mnie bluzkę. Zaszumiało mi w głowie, nie kochaliśmy się od tego pamiętnego wieczoru, gdy Leo mi się oświadczył. Bardzo go pragnęłam, ale niestety to nie był dobry pomysł: moja kobieca fizjologia po paru miesiącach niebytności przed godziną wróciła do normy. Musiałam się jakoś opanować, tym bardziej że Leo właśnie zdjął koszulkę.

– Leo... – Oparłam głowę o nagi tors. Pachniał oszałamiająco, dotknęłam ciepłej, jedwabistej skóry. Z każdym muśnięciem dłoni, zetknięciem ust coraz bardziej odpływałam, a przecież miało być zupełnie inaczej...

– Tak...? – mruknął, całując moją szyję.

Wszystkie włoski na karku, jakimi obdarzyła mnie matka natura, podniosły się i teraz nieznośnie łaskotały.

– Leo... – ledwie wyjąkałam.

Zdecydowanie zbyt trudno było mi mówić, gdy jego usta ciągle przywierały do moich, gdy czułam, jak coraz bardziej napiera na mnie jego mocne, gorące ciało. Cienka bluzeczka na ramiączkach już dawno podzieliła los koszuli, nawet nie zauważyłam, kiedy znaleźliśmy się na łóżku, oboje półnagdy. Ciało

odmówiło mi posłuszeństwa, tak samo jak jego, wiedzione wyłącznie namiętnością. Leo sięgnął do zamka moich dzinsów, rozpiął je wprawnie i wsunął dłoń pod bieliznę.

– *Leo, nie! Nie możemy!!! Błagam, zatrzymaj się, proszę... NIE!!!* – spanikowana krzyknęłam w myślach, bo nagle uświadomiłam sobie, że tylko centymetry dzielą mnie, a raczej palce Leo, od katastrofy.

– Anna? – Chyba usłyszał, bo nagle zamarł.

Otworzyłam oczy. Przed sobą widziałam tylko jego twarz, rozpalony ciężko oddychał.

– Co się stało?! – Ten głos nie zabrzmiał łagodnie, raczej dosyć gniewnie. Nie wiem, jak ja się prezentowałam, ale Leo chyba zauważył, że coś jest nie tak, bo odsunął się z głośnym westchnieniem.

– Poczekaj. – Usiadłam zdyszana i od razu okryłam się szlafrokiem.

– Dobrze się czujesz? – Leo też był wzburzony, jego klatka piersiowa podnosiła się szybko i gwałtownie.

– Tak – wymamrotałam.

– Na pewno?

Skwapliwie kiwnęłam głową, chociaż zdecydowanie tak nie myślałam. Byłam zażenowana. Nie miałam pojęcia, jak przekazać mu tę informację. Owszem, kochaliśmy się kilka razy, ale wciąż odkrywałam swoją kobiecość, bliskość między nami. To wszystko było jeszcze zbyt nowe, zbyt nieznane, abym czuła się całkiem swobodnie, a może to ten pokój tak na mnie działał? Jeszcze nigdy nie byłam tak skrupowana przy moim chłopaku.

– Powiesz wreszcie, o co ci chodzi?

– Leo... ja, ja... – Czułam, że policzki pieką mnie żywym ogniem, nie mogłam wydusić z siebie nawet słowa. Z pewnością przybrałam kolor dywanu w Cannes, na którym pierwszy raz się spotkaliśmy.

Leo podniósł się z łóżka. Stał przede mną i powoli zapinał dzinsy, następnie sięgnął po leżący na ziemi biały T-shirt i równie ostentacyjnie go założył, by w końcu usiąść na krześle tuż obok biurka. Mój narzeczony był zły, rzekłabym nawet, że bardzo zły.

– Jesteśmy sami i przez następne kilka godzin to się nie zmieni, czujesz się dobrze, to już też ustaliliśmy, więc z łaski swojej powiedz mi, co się stało? Coś ci tu przeszkadza? – Leo rozejrzał się po pokoju, ale szybko skupił wzrok na mnie.

– Nie, wszystko w porządku – wydusiłam i od razu skryłam twarz

w szerokim kołnierzu szlafroka. Zamknęłam oczy, próbowałam spokojnie ułożyć w głowie słowa wytłumaczenia, ale nic odpowiedniego nie chciało przyjść.

– Nie wiem, o co ci chodzi? Przepraszam za tę scenę w kuchni, może trochę mnie poniosło i zachowałem się jak idiota. Musisz mnie zrozumieć, pragnę cię, bardzo. Tak dawno nie byliśmy razem, ostatni raz wtedy na promie....

Nagle mój ukochany zamilkł, przez chwilę nasłuchiwałam, ale w końcu odsunęłam miękką tkaninę i podniosłam wzrok. Leo siedział z zaciśniętymi pięściami. Gdy tylko zauważył, że na niego spoglądam, wziął głęboki wdech.

– Okej, wiem już wszystko.

Podniósł się z krzesła i powoli podszedł do drzwi. Wyglądało to tak, jakby zamierzał wyjść z pokoju, bo położył rękę na klamce. Od razu przypomniałam sobie nasze pamiętne lipcowe pożegnanie. Tak bardzo mnie to zabolalo, że natychmiast wyskoczyłam z łóżka i podbiegłam do Leo, musiałam natychmiast przerwać tę idiotyczną sytuację.

– Co niby wiesz? – Chwyciłam go kurczowo za koszulkę.

– Dlaczego mnie odtrąciłaś. – Popatrzył ze spokojem, w jego głosie słyszałam tylko rezygnację.

– Co? Co ci przyszło do głowy? Leo, ależ ja cię nie odtrąciłam! – Mój głos zabrzmiał piskliwie. Byłam tak bardzo zszokowana jego sugestią, że aż mnie zatkało z wrażenia.

– A jak inaczej można to zrozumieć? Anna, krzyczałaś „nie” tak przeraźliwie, że ciężko było to zignorować, błagałaś, żebym przestał. To było... – Przełknął z trudem ślinę, przez sekundę wyglądał, jakby chciał mi coś powiedzieć, ale w końcu machnął ręką.

– Leo, ja... po prostu... – zająknęłam się.

– Przestań, dobrze wiem co, a raczej kto jest powodem.

Nagle chwycił moją dłoń, prostował palce, chcąc się uwolnić, zupełnie tak samo jak wtedy w garażu, gdy Brian...

– Myślisz, że to przez... – Popatrzyłam w oczy Leo, przepełnione zazdrością, i nagle coś we mnie pękło.

* * *

– Leo, wyjdź stąd i nie wracaj, dopóki ci nie przejdzie ta twoja głupia, cholerna zazdrość! Idź sobie! – Anna wypchnęła mnie z pokoju, płacząc przy

tym tak strasznie, że aż się zanosila.

Odwrociłem się, nie mogłem jej zostawić w takim stanie, próbowałem przeprosić, ale nic do niej nie docierało. Na mój argument, że nie może zostać sama w domu, że to niebezpieczne, stwierdziła, że to już nie mój problem. Zamierzałem poczekać w salonie, dopóki nie wróca Alan z Julią, poprosiłem Annę o pozwolenie i wtedy kolejny raz usłyszałem, że mam się wynosić. W końcu chwyciłem ją za ramiona, chciałem, żeby się uspokoiła, i wtedy zarobiłem w twarz. Z liścia.

Potężnie, aż zadzwoniło mi w uchu.

Nigdy bym się nie spodziewał tak silnego ciosu z tak niewielkiej dłoni.

Wściekłem się. Zbiegłem ze schodów, wypadłem na zewnątrz i wsiadłem do jaguara. Odpaliłem silnik i w kilka sekund dojechałem do końca jednokierunkowej Hamprough Road. Zatrzymałem się gwałtownie przed wyjazdem na główną ulicę. Aż gotowało się we mnie ze złości, chyba nawet w Wyee, rąbiąc to nieszczęsne drewno, nie byłem tak wkurzony. Nagle ktoś zatrąbił, zerknąłem do wstecznego lusterka: jakiś facet w ciemnym volvo też chciał wyjechać z uliczki. Zastawiłem go, ale nic mnie to nie obchodziło.

– Chcesz się wydostać? To wycofaj, kretynie! – krzyknąłem. Chyba mnie nie usłyszał, bo nie przestawał hałasować. Ja też nacisnąłem klakson i tak staliśmy jak dwaj idioci, trąbiąc na siebie. W końcu ustąpiłem. Z całych sił chwyciłem kółko. Jeszcze chwila, a wyskoczyłbym z samochodu, mimo wszystko wolałem ścisnąć kierownicę niż szyję tego gościa.

– Spokojnie!!! Już wyjeżdżam!!! – Wcisnąłem gaz do dechy.

Jechałem jak wariat, ale już po trzech kilometrach i tak musiałem stanąć na światłach. Oparłem czoło o zaciśnięte do białości knykcie.

Znosiłem wszystko, choć tylko Bóg wie, ile mnie to kosztowało: codzienne sprawdzanie tego cholernego konta bankowego, bo Anna mnie o to poprosiła, jej ciągłe pytania do Bekan, czy już wiadomo cokolwiek o Brianie, nawet akcję z porsche, którą pokazała mi Nat! Zrobiła to z wielkimi oporami! Pieprzona solidarność jajników!!! To miała być profesjonalistka, a nie koleżanka! Miała zwracać na wszystko uwagę, dbać o bezpieczeństwo Anny i zgłaszać każdą nietypową sytuację, która się zdarzyła.

Niemalże zjadłem własną pięść, oglądając film nagrany małą kamerką zamontowaną w land roverze. Moja narzeczona, moja ukochana dziewczyna prawie wybiła okno, byleby pobiec do Briana. I te zachwyty Nataszy! Co to miało być? Czy ona też sfiksowała na punkcie tego kolesia?! To jakiś obłąd!

Na dodatek Jack plątał się nie wiadomo gdzie. Nikt z nas nie był pewien, co zamierza ten dwulicowy gnojek.

– Nie!!! Nie!!! I jeszcze raz nie!!!! – Podniosłem wzrok. Wciąż czerwone. – Nie!!! Jasna cholera!!! – Szarpnąłem kółkiem.

Szybki rzut oka, zawrotka, paskudne wymuszenie pierwszeństwa, pisk opon: moich i kilku nieszczęśników, którzy mieli pecha znaleźć się na przeciwległym pasie, i znów jechałem na Hamprough Road.

Zatrzymałem się przed domem Anny. Nie mogłem tego tak zostawić, nie tym razem, choćby miała mnie znów spoliczkować i wyrzucić. Wiedziałem dobrze, jeśli chcę ocalić nasz związek, muszę do niej wrócić, i to natychmiast – nie kiedyś, nie za jakiś czas, gdy naprawdę przejdzie mi zazdrość. Gdybym na to czekał, mogłaby się zestarzeć, umrzeć i narodzić ponownie jakieś pięć razy, i nie jest powiedziane, że to by się stało. Byłem zazdrosny jak sam diabeł i absolutnie niereformowalny pod tym względem. Jedyne, co mi pozostało, to lepiej nad sobą panować.

Wysiadłem i szybko podbiegłem pod drzwi domu Anny.

Zadzwoiłem. Cisza. Brak reakcji. Nerwowo bębniłem palcami tuż obok zielonego przycisku.

Jeszcze raz. To samo. Cisza.

Wyciągnąłem telefon, kilkanaście sygnałów i: *Tu Anna...*

– Niech to szlag! – Znów palec trafił na ikonkę.

Nadal cisza.

Stałem pod drzwiami jakieś pięć minut. Nadal nie miałem pojęcia, dlaczego tak fatalnie skończyły się nasze pieszczoty, ale w tym momencie przestało mnie to interesować. Zacząłem się martwić? Denerwować? A może raczej szaleć z niepokoju?

– Anno, otwórz! – Znów zadzwoniłem. Kolejne trzy minuty upłynęły jak w zwolnionym tempie, wskazówka sekundnika zdawała się wahać przy każdym ruchu.

Dzwonek, cisza...

Dzwonek, cisza...

Oburącz chwyciłem się za głowę, zamknąłem oczy i próbowałem wymyślić jakieś rozwiązanie.

Wróćę do auta, opuszczę ciało i sprawdzę, czy wszystko z nią w porządku, pomyślałem, ale nie zdążyłem wprowadzić tego zamiaru w czyn, bo zamek szczęknął i drzwi powoli się uchyliły.

– Mogę wejść? – Stałem w progu. Anna bez słowa odsunęła się pod ścianę, aby mnie przepuścić. – Martwiłem się, przepraszam. Dzwoniłem tyle razy, bo bałem się, że coś ci się stało.

– Byłam w łazience i nie słyszałam. – Wzruszyła ramionami.

Już nie była zła, ale jej twarz ciągle zdradzała ślady niedawnych przeżyć. Załamane oczy i lekko opuchnięte od płaczu powieki wyraźnie na to wskazywały. Wyglądała tak żałośnie, że aż ścisnęło się serce. Stała przede mną oparta o boazerię i cicho pociągała nosem. W końcu wyciągnąłem rękę, chciałem ją przytulić, ale wtedy odwróciła się powoli i szurając kapciami, powłokła do kuchni. Oczywiście podążyłem za nią.

Patrzyłem, jak moja ukochana dziewczyna, smutna jak tysiąc nieszczęść, napełnia czajnik, nastawia go, otwiera szafkę, wyciąga kubki i metalową puszkę. Znow próbowałem podejść, ale ponownie się odwróciła.

– Chcesz herbaty? – spytała zza pleców.

– Tak, proszę.

Stałem jak idiota na środku kuchni i nie mogłem zbliżyć się do Anny nawet na krok. Swoim dystansem zbudowała między nami tak wysoki mur, że prawie go widziałem. Szum gotującej wody przerwał kłopotliwą ciszę.

– Proszę. – Postawiła na stole dwa żółte kubeczki.

Usiedliśmy, na chwilę nasze spojrzenia się spotkały, ale to był zaledwie ułamek sekundy.

– Nie ma cukru, już podaję – wymamrotała.

Podniosła się z krzesła. Znow ta sama szafka, kliknięcie drzwiczek i nagle...

– Uch...

Ceramiczna miseczka wypadła jej z rąk, widziałem, jak uderza o posadzkę i rozpryskuje się razem z zawartością. Zanim ostatnie drobiny cukru zdążyły opaść na podłogę, znalazłem się przy Annie. Zgięta w pół opierała się o blat stołu.

– Boże! Co ci jest?! – Kucnąłem przed nią.

– Nic. Muszę się położyć... – Nagle znow cicho jęknęła i chwyciła się za brzuch.

– Zaniosę cię do salonu.

Wziąłem ją na ręce, starając się zrobić to jak najdelikatniej. Szybko znaleźliśmy się na miejscu. Ułożyłem Annę na sofie i przykryłem kocem. Od razu zwinęła się w kłębek.

– Wezwę pogotowie! – Patrzyłem na nią z przerażeniem.

– Nie. Nic mi nie jest. Mam prośbę, przynieś z górnej łazienki moją kosmetyczkę i coś do picia – wysapała.

Chyba po dwudziestu sekundach byłem z powrotem.

– Poszukaj, w środku są tabletki.

Błyskawicznie wyrzuciłem całą zawartość plastikowej torebki na stolik.

– Te?

– Tak.

Podąłem jej blister. Anna usiadła, wydłubała dwie pigułki z opakowania i szybko połknęła, popijając wodą.

– Zaraz przejdzie. – Znów się położyła. Teraz już nie zważałem na nic, usiadłem na dywanie tuż przy niej. Chwyciłem jej rękę, była lodowata.

– Co ci jest, Wilczku kochany? Boże, skarbie, co się stało? – Masowałem dłoń mojej ukochanej i jednocześnie umierałem z niepokoju. Sytuacja zdecydowanie mnie przerosła. – To przeze mnie? – zadałem pytanie, ale zabrzmiało wybitnie twierdząco.

– Nie. – Anna zamknęła oczy, widziałem, że ciągle jeszcze cierpi, cała się trzęsła.

Przysunąłem się bliżej i masowałem ją delikatnie po ramieniu, powoli się uspokajała, aż w końcu otworzyła oczy.

– Lepiej?

– Tak, dzięki – wymamrotała.

Chyba zauważyła, że ciągle jeszcze byłem przerażony, bo wyciągnęła prawą dłoń i pogłaskała mnie po twarzy. – Nic mi nie jest. Po prostu jestem głupia – stwierdziła z niewesołą miną.

– To ja jestem głupcem. – Zerknąłem na szklany blat i leżące na nim otwarte opakowanie tamponów. Już wiedziałem, dlaczego Anna nie chciała się ze mną kochać. – Zawsze to... tak wygląda? Tak bardzo cię boli?

– Czasami.

– Jestem idiotą. – Pokiwałem głową nad sobą i swoim zachowaniem. – Nawet nie zasłużyłem na to, aby prosić cię o wybaczenie.

Anna powoli usiadła i wyjęła z kieszeni chusteczkę. Przez chwilę pieczołowicie ocierała twarz.

– To ja nie zachowałam się tak, jak powinnam. Mogłam od razu ci powiedzieć. Na dodatek cię uderzyłam, przepraszam. Strasznie mi wstyd... – Westchnęła z ogromnym zażenowaniem.

– Przestań się obwiniać. Oboje dobrze wiemy, że to ja zawałem. Znów. Jesteś pewna, że ktoś taki jak ja powinien zostać twoim mężem? Że na to zasługuję? – Zaciśnięłem wargi w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Leo, nie wyobrażam sobie życia bez ciebie. Kocham cię.

– Ja też cię kocham, nawet nie wiesz, jak bardzo... – Przytuliłem twarz do ciągle chłodnej dłoni Anny.

– Nie możemy tak się kłócić, to było straszne.

– Wiem, przepraszam. – Podniosłem na nią wzrok. – Obiecuj mi coś, bardzo mi na tym zależy. Jeśli kiedykolwiek będziesz miała choć cień wątpliwości, czy powinniśmy być razem, nie będziesz pewna swoich uczuć, powiedz mi to, daj mi jakiś znak.

– Leo, ja nie mam żadnych wątpliwości, kocham cię i na zawsze chcę być z tobą. Naprawdę chcesz, żebym złożyła ci taką obietnicę? Więc dobrze, złożę ją, ale czy ty spełnisz najpierw moją prośbę?

– Każdą, zrobię dla ciebie wszystko, przecież wiesz.

– Pocałuj mnie...

Rozdział 7

Idą święta...

Zerknęłam na kuchenny zegar.

Dwunasta za pięć... – jęknęłam w duchu. Nie wyglądało to dobrze. Wszystko było jeszcze w powijakach: nasza wigilijna kolacja i prezenty, nawet stół w pokoju dziennym świecił jedynie śnieżnobiałym obrusem i tylko nim. Już miałam się lekko załamać, ale na szczęście cichy warkot za oknem obwieścił, że nadchodzą, a raczej nadjechały posiłki.

Pomknęłam do drzwi jak na anielskich skrzydłach.

– Jak dobrze, że jesteś! – powitałam Leo i spontanicznie wycisnęłam na jego policzkach dwa soczyste buziaki. – Wchodź, bo okropnie zimno!

– Poczekaj, prezenty. – Wręczył mi dwie spore papierowe torby, a sam wrócił do samochodu.

– Wiem, co kupiłeś mamie i Alanowi... – zachichotałam, gdy już ostatnie tobołki leżały w korytarzu.

– A skąd? Nie masz co robić, tylko latać za mną i podglądać? – spytał, unosząc mnie w górę i trzymając na rękach jak malutkie dziecko.

– A ty nie masz co robić, tylko pozwalać na selfie w centrum handlowym z jakąś śliczną blondyneczką, która zamieściła na wszystkich twoich blogach fanowskich słodkie fotki z tobą i opisała w detalach, co kupowałeś? – Nie byłam mu dłużna.

– Serio? – Leo wybałuszył oczy. – Kiedyś oszaleję – westchnął i postawił mnie na ziemię. – Na szczęście nie wszystko kupiłem dzisiaj – stwierdził i pokazał język swojemu odbiciu w lustrze. Nagle zauważył wiszący nad głową stroik. – Jemioła?

– Alan wczoraj szalał... – Przewróciłam oczami.

Nowego chłopaka mojej mamusi ogarnęło chyba szaleństwo: cały dom miałyśmy udekorowany jak nigdy dotąd. Kapitan Barrow dowiedział się, że nazajutrz przybywają rodzice Leo z oficjalną wizytą świąteczno-zaręczynową, więc starał się podwójnie. Gdzie mógł, porozwieszał skarpety na prezenty, na

każdym parapecie ustawił po dwie doniczki z gwiazdami betlejemskimi, a choinkę obwiesił setką prążkowanych laseczek. Na drzwiach wejściowych pysznił się wielki adwentowy wieniec, a wszystkie okna na parterze otoczone były niezliczonymi łańcuchami lampek.

Mama stwierdziła, że Alan jest bardziej papieski od papieża. Przecież to my, imigrantki, powinnyśmy starać się jak najmocniej zasymilować z rodowitymi londyńczykami, a nie on, którego rodzice mieszkali tu od dziecka. Na nic się nie zdało jej spostrzeżenie. Nawet ogródek padł ofiarą szalonego dekoratora: wąż choineczka – nasze jedyne drzewko – ugięła się pod ciężarem plastikowych bombek i kolejnych łańcuchów świetlnych.

– Renifer i bałwanek to też jego pomysł? – Leo przypomniał mi o niezbyt gustownych dmuchanych figurkach ustawionych po bokach rachitycznego świerka.

– Uhm... Mama powiedziała, że teraz nasz dom wygląda jak u Griswoldów.

– Coś w tym jest! – Leo uniósł kąciki ust. – To może całuska? – Wymierzył w górę palec wskazujący, po czym szybko objął mnie w pasie.

– Pocałuj Alana, to jego pomysł – zachichotałam, ale po sekundzie zarzuciłam ramiona na szyję mojego pieśczocho i obdarzyłam go słodkim buziakiem. Chyba go rozochociłam, bo nie chciał wypuścić mnie z objęć i dopiero drobne oszustwo: „Coś się przypala...” ułatwiło mi wyswobodzenie się z ramion Leo.

– Zanieś to pod choinkę – poleciłam, wskazując stos papierowych toreb.

– Pod choinkę? – spytał, jeszcze lekko rozmarzony.

– Uhm. Dzisiaj dzień polski, jutro brytyjski – przypomniałam.

– Rozumiem.

Pomaszerowałam do kuchni. Czekają nas jeszcze mnóstwo pracy: doprawić barszcz i żurek, dokończyć uszka, zrobić sos do śledzi, panierować ryby... To ostatnie postanowiłam scedować na Leo. Gdy tylko zaniósł swoje rzeczy do dziupli Wiki, bo tam miał nocować, a prezenty wylądowały pod naszą choinką, przyszedł do kuchni i ze zgrozą rozejrzał się po moim królestwie.

– Chryste... – jęknął, widząc cały ten kram. – Co mam robić?

– Już ci mówię.

Kazałam mu usadowić się przy stole, przygotowałam trzy miseczki: z mąką, rozbełtanymi jajkami i tartą bułką, solniczkę i młynek z pieprzem. Do tego wielka miska z filetemi rybnymi i równie spory półmisek na te gotowe do smażenia. Szybki kurs panierowania przeprowadziłam na dwóch przykładach

i już mój narzeczony mógł się spełniać w roli kuchcika. Sama zabrałam się do robienia kompotu z suszonych owoców. Nastawiłam go szybciotko, jednocześnie mieszając groch z kapustą, który może i pyrkotał wesoło, ale zapach na razie miał, niestety, niezbyt atrakcyjny.

– Włącz radio – zaproponował Leo.

Pobiegłam na górę po laptopa. Skoro dzień polski, to niech i muzyka będzie odpowiednia. Odszukałam jakąś polską stację radiową i zniosłam przygrywający komputer. Problem z miejscem rozwiązałam jeszcze szybciej: na szczęście na lodówce nic nie stało.

– I jak? Może być? – spytałam po chwili.

– *Oł maluszki, maluszki...* – zaczął podśpiewywać Leo.

– Maluśki – poprawiałam go, niestety bez większych efektów.

– Jak dobrze, że u nas szykuje się wyłącznie indyka, pudding i czasami ciasteczka. Ruby umarłaby w kuchni, gdyby miała tyle do zrobienia. A skoro o naszych rodzicielkach mowa, to jak ci się udało przekonać Julkę? – wymruczał po chwili.

– List do Dzieciątka – wyjaśniłam znad rondla z kapustą. – Hm... Mało pieprzu, czosnek też słabo czuć i przydałaby się świeża natka pietruszki. Chyba jest w zamrażalniku – mruknęłam do siebie.

– Czyli?

– Czyli co? – Nie załapałam.

– Mówiłaś o liście do dzieciątka?

– Aha! Napisałam list, co chciałabym znaleźć pod choinką. – Usiadłam na chwilę przy stole i patrzyłam na Leo, który oczywiście mnie nie posłuchał i zamiast posługiwać się widelcem, wszystko załatwiał za pomocą własnych palców.

– To jakaś tradycja?

– Tak. Dzieci piszą do małego Jezuska list, w którym wymieniają, co chciałyby znaleźć pod choinką. Od zawsze tak robiłyśmy z Wiką, a nasze mamy kupowały prezenty z listy życzeń. W tym roku napisałam, że pod choinką chcę znaleźć narzeczonego – zaśmiałam się. – A mama nigdy dotąd mi nie odmawiała.

– Sprytnie. – Leo z uznaniem pokiwał głową i mrugnął porozumiewawczo. – A tak w ogóle, to gdzie Julka?

– Ma dyżur do czwartej. Dlatego wszystko na mojej głowie.

– A Alan?

– Pojechał załatwić milion spraw: ma kupić prezenty, wysłać setkę kartek, które wczoraj przygotował, jechać na chwilę do domu i pożegnać Thora i Bekan, bo wybierają się do jej rodziców, a na koniec odebrać mamę ze szpitala.

– Rozumiem... – mruknął, przeciągając sylaby. – Skoro tak, to co byś powiedziała, gdybym się teraz położył pod choinką? Możesz mnie rozpakować, zachęcam. – Kilka razy znacząco uniósł brwi.

– Leo! – Próbowałam groźnie zmarszczyć czoło, ale mi nie wyszło. – Prezenty wolno oglądać dopiero po wieczery wigilijnej – wybrnęłam.

– Po wieczery? Tak przy wszystkich? Jesteś zdemoralizowana do szpiku kości! – Ryknął śmiechem. – A na marginesie, ile osób będzie? – spytał, zanurzając kolejny kawałek ryby w jajku. – Zważywszy na te ogromne ilości jedzenia, spodziewam się tłumów.

– Tylko cztery: ty, ja, mama i Alan. Wanda będzie u Wiki, bo tak zaplanowały. – Wzruszyłam ramionami. – Najczęściej święta spędzałyśmy w Polsce, ale kiedy zostawałyśmy w Londynie, zawsze świętowałyśmy z nimi. Pierwszy raz w tym domu spędzę Wigilię bez Wiki – dokończyłam z żalem.

– To normalna kolej rzeczy. Nie jesteście już dziećmi, poza tym wkrótce nasz ślub, wtedy poświęcicie z Wiktoria. – Leo odłożył kawałek ryby i popatrzył na mnie z uwagą. Chyba go nie przekonała moja nieco skwaszona mina, bo nagle zerwał się z krzesła i stanął przede mną. – Zaraz cię przytulę... – Wyciągnął oklejone panierką dłonie.

– Nie! – pisnęłam i uciekłam do kąta przy kuchence.

Dobrze, że tak zrobiłam, bo właśnie jedno z moich dań zaczynało się lekko przypalać. Na dodatek to był nieszczęsny groch z kapustą, a jak mówiła babcia Jania, moja kulinarna mentorka, przypalona kapusta nadaje się wyłącznie dla świń, a my nie miałyśmy przy domu chlewika. Natychmiast dolałam wody i energicznie zamieszałam w rondlu.

Leo podszedł i zajrzał do pozostałych garnków. Spytał, dlaczego nie ma mięsa. Znów musiałam przypomnieć, że to wegetariańska kolacja, a mięso będzie nazajutrz. Pomruczał pod nosem, że tyle jedzenia widział jedynie w filmie *Wielkie żarcie*. Rozbawił mnie tym, ale i oburzył, bo oglądałyśmy kiedyś z Wiką ten film i na pewno nie chodziło w nim wyłącznie o jedzenie. A porównanie wigilijnej kolacji z takim bezceństwem? Dobrze sobie! I kto tu był zdemoralizowany?

– Siadaj i panieruj... – burknęłam do Leo, który stał za moimi plecami i raz

po raz całował w odsłonięty kark.

– E... zakleiliśmy się – stęknął.

– To zmyj ciasto... – zachichotałam, bo jego oddech mnie połaskotał.

– Nie da się.

– Wobec tego usmażymy twoje palce zamiast paluszków rybnych – zagroziłam. – Nie będę musiała ich rozmrażać.

– Już mnie nie ma... – zaśmiał się i wrócił karnie do stołu. – Polacy jedzą paluszki rybne w Wigilię? – spytał po minucie.

– Nie. Żartowałam. Ale rzeczywiście muszę coś rozmrozić... – Przypomniałam sobie o pierogach z kapustą i grzybami naszykowanych kilka dni wcześniej.

– I co mam z tobą począć? – westchnął z udawanym żalem Leo.

– Kochać.

– Świetny pomysł! Czyli jednak mam się położyć pod choinką? Już skończyłem, jestem do dyspozycji.

– Leo... – Pokręciłam głową nad jego uporem. – Daj ryby, trzeba je podsmażyć, bo się posklejają.

Wyjęłam dwie spore patelnie, zrobiłam miejsce na kuchence i postawiłam je, żeby się rozgrzały. Jeszcze tylko trochę oleju i mogłam zacząć.

– Jesteś dzisiaj bardzo oziębła... – poskarżył się Leo, stając nad zlewem i próbując z trudem oczyścić palce. – Ja też napiszę do małego – stwierdził minutę później, gdy zaczął mi pomagać przy układaniu kawałków ryb na skwierczącym tłuszczu.

– Do małego? Jakiego małego?! – Wybałuszyłam na niego oczy. – A! Mówisz o Dzieciatku? – upewniłam się, zmniejszając płomień pod obiema patelniami. – I co napiszesz? – Odwróciłam się przodem do Leo i objęłam go w pasie.

– To będzie zazalenie na narzeczoną – wymruczał, delikatnie mnie całując.

– Nie poświęciła mi ani sekundy, bo wiecznie stoi przy garach, a cenne minuty, które spędzamy wyłącznie we dwoje, uciekają bezpowrotnie...

– A co, jeśli powiem, że będziemy mieć jeszcze okazję być sam na sam? – spytałam w jednej z krótkich przerw między pocałunkami.

– Naprawdę?

– Uhm...

– Mogłaś od razu powiedzieć.

– Mogłam od razu, a mogłam później. Docień to – stwierdziłam. – A teraz

skupmy się na rybach, bo jeszcze chwila i zamienią się w węgiel. – Odepchnęłam go lekko i zabrałam się do odwracania filetów.

Kolejne dwie godziny spędziliśmy, solidarnie kucharząc, śmiejąc się i zartując. Leo okazał się całkiem niezłym kuchcikiem. Polecenia spełniał bez większego entuzjazmu, ale za to z precyzją godną podziwu. Nawet polskie kolędy mu się spodobały, bo prawie przy każdej próbował niezbyt udolnie powtarzać słowa refrenu. Oczywiście wzbudzając kolejne salwy mojego śmiechu. – Oni śpiewają o książkach? – dowcipkował, gdy z głośników dobiegało *Bóg się rodzi...* Wywracałam oczami i tłumaczyłam z polskiego na angielski.

Zdażyłam go również wtajemniczyć w tradycję dwunastu wigilijnych potraw i tym uzasadnić liczbę przygotowanych przez nas dań, omówić kucharskie zapędy Alana i stwierdzić, że ostatnia rzecz, o której marzę, to widzieć przyszłego ojczyma pałętającego się po kuchni. Ale Leo zrozumiał mnie dopiero wtedy, gdy opowiedziałam mu, jak smakował rosół według receptury kapitana Barrowa oraz sernik na zimno, który zamiast w lodówce, wylądował w piekarniku.

– To już chyba wszystko – orzekłam, z dumą przesuwając wzrok po naszym dziele, czyli niezliczonych miskach i garnkach ze składnikami wieczerzy. Zegarek wskazywał wpół do czwartej. – Idziemy umyć ręce, przebrać się i możemy nakrywać stół. – Uśmiechnęłam się do Leo.

– Fiu, fiu, jakiś ty elegancki... – stwierdziłam z podziwem, gdy kwadrans później wyszedł z łazienki.

Leo wyglądał obłudnie. Specjalnie założył ten sam zestaw, w którym go poznałam w maju w Cannes. Niedawno wspomniałam mu o tym, że bardzo mi się wtedy spodobał, i proszę: znów miałam okazję podziwiać go w garniturze o barwie ciemnego pruskiego błękitu, podobnym jedwabnym krawacie i dyskretnie kontrastującej koszuli, przypominającej kolorem gorzką czekoladę.

– Wyglądasz ślicznie – odwzajemnił komplement.

Staął przede mną, objął i ucałował ostrożnie w czoło. Pewnie obawiał się o mój makijaż, choć to było niczym nieuzasadnione. Jedyne kosmetyki, jakich użyłam, to tusz i półprzezroczysty błyszczek. Jeszcze tylko kropelka perfum, i tyle.

Leo odsunął mnie, prostując ramiona, i jeszcze raz uważnie się przyjrzał.

– Znam tę sukienkę... – mruknął, marszcząc czoło.

– Naprawdę? – Nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy miał okazję zobaczyć mnie w mojej jedynej wizytowej princesce. – A, wiem! Pamiętasz? Chciałam w niej pojechać do twoich rodziców!

– Księżno... – zazartował jak wtedy.

– Leoś! – Nie byłam dłużna. – Uważaj, bo jak mówi przysłowie: „We Wiliją chłopców biją!” – powtórzyłam fragment jednego z ulubionych powiedzonek dziadka Józefa.

Spodziewałam się, że Leo od razu spyta, co to znaczy, ale wtedy mój narzeczony po prostu mnie zastrzelił:

– A dziewczenta bijo w szwienta! – rzucił łamaną polszczyzną.

– O ty! Skąd znasz to przysłowie?! – pisnęłam zachwycona.

– Zgadnij! – Chwycił mnie wpół i przerzucił przez ramię. – Oj, zobaczysz jutro! Już ja ci dam za to, że chciałaś mnie oszukać...

* * *

Pierwszy raz w życiu uczestniczyłem w uroczystej kolacji wigilijnej. Byłem zaskoczony, że to może być aż tak wzruszająca impreza. Obaj z Alanem, który tak jak ja debiutował w roli wigilijnego gościa, dziwiliśmy się, parskaliśmy śmiechem, ale i często przełykaliśmy ślinę, bo coś łaskotało w gardle, gdy widzieliśmy nasze ukochane kobiety z błyszczącymi oczami, poruszone magią chwili.

Zaczęło się już przy nakrywaniu do stołu, gdy jeszcze byliśmy z Anną tylko we dwoje. Patrzyłem oczarowany na te wszystkie drobiazgi, które składały się na to małe domowe sacrum. Siano włożone pod obrus symbolizowało ubogą kołyskę dla Jezusa. Gdy spytałem, co to i skąd się wzięło, moja narzeczona odparła, że kilka tygodni przed świętami nadeszła paczka od dziadków z gór, to babcia Anny spakowała pęk siana, które jeszcze pół roku temu porastało łąkę niedaleko rodzinnego domu Julii.

Kolejne były łuski karpia i parę banknotów, żeby się darzyło w sprawach związanych z finansami. Nawet ja wyjąłem z portfela pięćdziesiątkę i wsunąłem pod obrus. Anna ustawiła na środku blatu kilka zestawów z podgrzewaczami. Powiedziała, że dzięki nim wszystkie potrawy ułożone na półmiskach nie wystygną.

– Nie wolno wstawać od stołu w trakcie wieczerzy – wyjaśniła. – Kto pierwszy wstanie, ten może ściągnąć na siebie lub kogoś ze swojej rodziny

nieszczęście. Tak mówi dziadek Józef. Jego mama, a moja prababcia pochodziła ze Śląska i tam jest taka tradycja.

Pokiwałem głową, starając się zapamiętać, by pod żadnym pozorem nie wstawać z krzesła, chyba że mi pozwolą. Poprosiłem Annę, żeby wtajemniczyła mnie w przebieg całej uroczystości, bo coraz mocniej uświadamiałem sobie, że to bardzo ważne chwile dla mojej przyszłej rodziny. Podawałem nakrycia, sztucce, serwetki, świece, tackę z opłatkami, mały metalowy krucyfiks, Biblię i słuchałem Anny, która opisywała, jak wygląda tradycyjna wigilia w polskim domu.

– Idź do pokoju Wandy i przynieś patery z ciastem i sałatkę ziemniaczaną. – Anna wskazała mi brodą drzwi.

Posłusznie spełniłem polecenie. Gdy zobaczyłem i poczułem te wszystkie pachnące wypieki, moje ślinianki dostały doładowania. Byłem jak zgłodniały pies nad miską pełną karmy. Nie mogłem wytrzymać, bo od śniadania nic nie miałem w ustach, a Anna nie pozwoliła niczego uszczknąć. Rozejrzałem się na boki i już miałem ukraść jeden maleńki kawałek sernika i pochłonąć w mgnieniu oka, ale najukochańszy cerber chyba wyczuł moje intencje, bo stanął w progu i wymruczał groźnie: „Leo, nawet się nie waż”.

Ledwie umilkła, a w korytarzu zrobiło się zamieszanie: Julia i Alan wreszcie przyjechali. Dobrze, że zaledwie kwadrans zajęły im szybki prysznic i wskoczenie w eleganckie ciuchy. Gdyby dłużej się guzdrali, miałbym spore szanse rozpocząć dzisiaj nowe wcielenie. Pierwsza gwiazdka świeciła już od dwóch godzin, a my dopiero stanęliśmy przy stole.

Julia zapaliła świece, w tle cicho szemrały kolędy, wspomagane co jakiś czas donośnym burczeniem dobiegającym z mojego brzucha. Modlitwę prowadził Alan. Ten niezbywalny przywilej należał do ojca rodziny, więc nasz kapitan nie mógł się wykpić. Na szczęście Julia mu pomagała, bo trochę się jąkał. Jak znaczna większość moich obecnych rodaków, nie był szczególnie religijny, na dodatek, podobnie jak ja, należał do Kościoła anglikańskiego.

Później łamaliśmy się opłatkami i składaliśmy sobie życzenia. Nie wiedziałem, że przy tym zjada się tylko maleńki kawałek opłatka, więc mój zniknął, zanim ktokolwiek zdążył się zorientować. Dobrze, że jeden był w zapasie. Niestety, szybko wyszło na jaw, co się stało z moim opłatkami. Wtedy Anna się roześmiała i stwierdziła, że zjadłem opłatek dla zbłąkanego wędrowca.

Zamurowało mnie. Zbłąkany wędrowiec kojarzył mi się wyłącznie

z członkami plemienia Habbatum. Zaprosiła Briana? Gdzie? Jak? Moją głowę wypełniła gonitwa myśli. Z trudem wyjąkałem przeprosiny i usprawiedliwiałem się, że nie wiem, o co chodzi. Na szczęście Julia wyjaśniła, kto to jest zbłąkany wędrowiec. Przy okazji wreszcie dowiedzieliśmy się z Alanem, dlaczego na stole leżało piąte nakrycie.

Gdy już zasiedliśmy do kolacji, byłem słaby jak mucha. Nie dość, że głodny, to jeszcze miałem tyle przeżyć! Alan chyba czuł się tak samo, bo gdy na talerzach zobaczyliśmy te śmieszne małe pierożki, przypominające nieco chińskie z zupy wonton, popatrzył na Julię i spytał niemrawo, czy można już jeść. Dziewczyny parsknęły śmiechem i jak na komendę kiwnęły głowami.

– Dlaczego nie powiedziałyście, że trzeba wszystkiego skosztować? – jęknął Alan pół godziny później. – Zostawiłbym miejsce, a tak? – Pogładził się po wydatnym brzuchu.

– Zgadzam się. Mogłyście uprzedzić – wysapałem tak samo pełny po brzegi. Wszystko było świetne, oprócz kapusty, bo dziwnie pachniała.

Pierwsze miejsce w moim rankingu potraw wigilijnych zajął barszcz z uszkami, może dlatego, że jedliśmy go na początku, a głód zawsze dodaje smaku potrawie. Żurek, czyli szarobiała kwaśna zupa, i pierogi też były niezłe, chociaż pierwsze kęsy wydawały się ciężkie. Ryby na ciepło wyśmienite, nie omieszkałem pochwalić się Alanowi, że to z mojej ręki wyszły tak wspaniale. Chyba mi pozazdrościł, bo zmarszczył czoło i powiedział, że brakuje frytek. Julia zganiła go wzrokiem, więc szybko przeprosił i stwierdził, że Anna koniecznie musi go nauczyć, jak się przyrządza takie pyszne ryby. Kolejne były: sałatka śledziowa, też smaczna, i tradycyjna sałatka warzywna, którą jedliśmy z filedami, kompot o bardzo ciekawym smaku i wtedy musiałem zrobić przerwę, bo mój żołądek chwilowo odmówił posłuszeństwa.

– Spaghetti na słodko jest super. – Kapitan nałożył kolejną porcję makaronu i okraszył trzema kopiastymi łyżkami tajemniczej masy.

Jeszcze nie dotarłem do tego etapu, więc uniosłem się i z ciekawością nachyliłem nad stołem, żeby powąchać ten dziwnie wyglądający smakołyk.

– Leo! Siadaj! – Anna natychmiast szarpnęła mnie za rękę. – Nie wolno wstawać, przecież mówiłam.

– Ups! – Klapnąłem na krzesło. – Co teraz? Umrę?

– Nic. Po co go straszylaś, Aniu? – Julia przewróciła oczami. – U nas w domu co rok ktoś z nas się zapominał, a wszyscy żyją. – Mrugnęła porozumiewawczo.

– Wierzę ci na słowo.

– O co wam chodzi? – Alan wybałuszył oczy.

– W trakcie kolacji wigilijnej nie wolno wstawać, bo umrze lub zachoruje ktoś z twojej rodziny albo ty – wyjaśniłem.

– Przestań, bo dostaniesz po tyłku – zagroziła Julia. – Wiesz, że dzisiaj...

– Wiem, wiem – przerwałem jej. – Anna mówiła, że w Wigilię bijecie osobników płci męskiej. Prawda, kochanie? – Popatrzyłem na mojego Wilczka, który był wyjątkowo małomówny, zapewne z przejedzenia.

– Serio? – Alan ryknął śmiechem, aż zadrżał płomień stojącej przed nim świecy. – Co za barbarzyństwo. Podnosić rękę na mężczyzn?

– Bez obaw, jutro piłka po naszej stronie – uspokoiłem go. – Chyba tego spróbuję... – Zerknąłem na talerz z grubym makaronem o nieregularnym kształcie.

– Poczekaj, nałożę ci. To kluski z makiem. Robi się je ręcznie z ciasta makaronowego, a to mak z bakaliami, miodem i masłem. Pyszne. – Anna nagle się obudziła. Chyba chciała się zrehabilitować, bo nie tylko napełniła mój talerz, ale dostałem też słodkiego całusa w policzek.

– Rzeczywiście pyszne – potwierdziłem po chwili.

– To czasami nie jakiś narkotyk? Heroinę robi się właśnie z maku... – mruknął do Julii kapitan Barrow. Chyba poczuł się w obowiązku zadbać o nasze zdrowie i bezpieczeństwo.

– Alan, czy ty się dobrze czujesz? – zachichotała Julka. – Kupiłam go w polskim sklepie, tu niedaleko w naszej dzielnicy. Makowiec też jest z maku.

– Wskazała na prawie czarne ciastka, leżące na paterze.

– No nie wiem. Czuję się dziwnie uzależniony – zaśmiał się Alan i sięgnął po trzecią porcję. – Uważaj Leo, to wciąga... – zassał kluskę, która błyskawicznie zniknęła mu w ustach.

– Teraz ciasto. – Julia była bezlitosna. – Aniu, nalej chłopakom herbaty, a ja nałożę.

– Nie wiem, czy ta tradycja z wstawaniem od stołu nie powinna wyglądać inaczej: kto pierwszy wstanie, ten ma niewielkie szanse na przeżycie, a reszta gości umrze z przejedzenia – zażartowałem.

– Coś w tym jest, Leo – zgodził się ze mną Alan. – One to uknuły, nasze kochane polskie dziewczyny... – Popatrzył cielecym wzrokiem na Julię. – Dziękuję, że tak nas ugościłyście. To najlepsza polska Wigilia, na której byłem.

Wszyscy, włącznie z autorem żartu, ryknęliśmy śmiechem. Z trudem zjedliśmy po kawałku ciasta. Kapitan konsekwentnie zażyczył sobie makowca, a ja wybrałem sernik i coś z orzechami w słodkiej masie.

– A teraz czas na prezenty! – Julia klasnęła. – Córciu...

– Dlaczego ja? – jęknęła Anna.

– Bo jesteś najmłodsza – zachichotała moja przyszła teściowa. – Przejdźmy na kanapę. Tam będzie wygodniej. Już możecie wstać – oznajmiła.

Anna kucnęła przy choince, a my posłusznie zasiedliśmy na kanapie. Alan nachylił się i szeptem zdradził mi, że poupychał wszystko do kilku ozdobnych skarpet wiszących na barierce schodów. – Miałem prezenty dać pod choinkę? – spytał prawie bezgłośnie. Mruknąłem, że tak. Od razu zerwał się pod pozorem pilnego wyjścia do toalety i zniknął w korytarzyku.

– Alan, co ty tam robisz? – Julia odwróciła się i popatrzyła zaniepokojona w stronę, skąd dobiegały nas dziwne szelesty i szmery.

– Pewnie nie zdążył – rzuciłem od niechcienia. Oczywiście wszyscy znów się roześmiali, podobnie jak przy kolacji.

– E... Zaraz...

Władował się po chwili z pękiem zawiniątek, paczuszek i jedną ze skarpetek. Poupychał wszystko dosyć chaotycznie pod drzewko, przy okazji burcząc pod nosem, że kto to widział, żeby prezenty rozpakowywać w przeddzień świąt i że zapomnieliśmy o zostawieniu marchewki dla Rudolfa.

– Zaczynamy... – Niczym niezrażona Anna podniosła pierwszą paczkę, gdy tylko Alan wrócił na miejsce między mną a Julią. – Dla mamy...

Julia zerwała się z kanapy, zabrała pokaźne pudełko i usiadła, od razu zabierając się do rozrywania kolorowego papieru.

– Alan...

– Leo...

Po kolei wstawialiśmy i zabieraliśmy nasze prezenty. Oczywiście nie obyło się bez śmiechów i żartów, bo ani ja, ani Alan nie wpadliśmy na pomysł, żeby doczepić do paczek karteczki z imionami obdarowanych, i sami musieliśmy wskazywać odpowiednią osobę.

Kilkanaście minut zajęło Annie wręczanie prezentów. Widziałem, że zachwyił ją miękki szlafrok, który obiecałem jej już dawno. Książki i para kolczyków też się podobały, ale puszyste wdzianko w kolorze kawy z mlekiem robiło furorę. Ja natomiast pooglądałem już wszystko, co ofiarowali mi Julka i Alan, a teraz siedziałem z miną idioty i z niedowierzaniem spoglądałem na

mój prezent od Anny.

– Kredki? – Upewniłem się, że drewniana kasetka leżąca na moich kolanach właśnie to zawiera.

– Uhm... A do kredek masz kolorowankę. – Wilczek uśmiechnął się zawadiacko i wskazał na tajemniczy ni to notes, ni to zeszyt. – Kolorowanki są bardzo trendy. To ostatni hit.

Nawet Alan i Julka przerwali oglądanie swoich podarunków. Chyba też byli w szoku. Kolorowanka i kredki? Czy ja byłem przedszkolakiem? Nieśmiało otworzyłem sporych rozmiarów kajet i aż zamurowało mnie z wrażenia. Powoli przekładałem grube kartki: każda przepiękna ilustracja wykonana cienkim czarnym pisakiem obrazowała coś z mojego życia z Anną u boku.

Były róże i ich owoce, które widziałem nad polskim morzem, mrowisko z wiernie odwzorowanymi sosnowymi igiełkami, mój samochód, jedna z roślin stojących w apartamencie, Glock 19 z rozsypanymi wokół lufy nabojami, okulary przeciwsłoneczne, dłoń składająca podpis na moim zdjęciu, pierścionek zaręczynowy Anny leżący na małej rękawiczce, kotka Czarna, plaża w Antibes, znak naszego plemienia otoczony kompozycją z kwiatów, zorza polarna, kopia portretu z hotelu Stars... Dziesiątki rysunków, a każdy z nich przywoływał jakieś wspomnienia lub z czymś się kojarzył.

– Pokaż. – Julia wysunęła dłoń. – Piękne, popatrz Alan... – Razem przewracali stronę za stroną.

Zsunąłem się z kanapy, przytuliłem Annę i wyszeptałem, że to najbardziej wzruszający prezent, jaki dostałem w ciągu wszystkich moich istnień.

– Są tak piękne, że nie będę ich kolorował. Zepsułbym tylko twoją pracę – powiedziałem. Anna wymusiła na mnie pokolorowanie choć jednego rysunku i przystałem na to.

Prawie godzinę zajęło nam sprzątnięcie po tym wigilijnym zamieszaniu. Anna i Julia opanowały kuchnię, a my z Alanem salon. Potem zasiedliśmy we czwórkę na kanapie i włączyliśmy telewizję. Zaproponowałem po kieliszku brandy, ale wtedy Alan stwierdził, że będzie dzisiaj prowadził. Dziwnie się zachowywał, był jakiś spłoszony i w końcu Julia spytała, o co mu chodzi, dlaczego tak strzela oczami i ciągle patrzy na choinkę.

– E... Bo tam została skarpeta – wydukał po chwili.

– Rzeczywiście! – Anna podskoczyła do drzewka i wyjęła ją z trudem spośród dolnych gałązek. – Proszę, skoro to takie ważne. – Wręczyła kapitanowi pustą wełnianą skarpetkę.

– To dla ciebie – wymamrotał Alan i podał ją Julii, kraśniejac przy tym na twarzy jak pomidor.

– Dla mnie? – Moja przyszła teściowa była w nie mniejszym szoku niż ja na widok kasety z kredkami. – Po co mi pusta skarpetka? Chyba faktycznie ci zaszkodził ten makowiec – stwierdziła, biorąc ją od Barrowa.

– Nie jest pusta... – tego już prawie nie usłyszeliśmy.

– Nie? – Julia zajrzała do środka, chyba nic nie zauważyła, bo wsadziła dłoń i na szczęście dla Alana już po kilku sekundach gmerania wyjęła małe zawiniątko. – Co to? – spytała zaciekawiona.

Chyba wszyscy się domyśliliśmy, co skrywała ta paczuska, ale i tak patrzyliśmy jak urzeczeni, gdy Julia z trudem rozrywa papier bardzo szczelnie oklejony przezroczystą taśmą i wyjmuje pierścionek. Od razu skonstatowałem w myślach, że nie jestem oryginalny, a kobiety z tej rodziny mają szczęście do pierścionków zaręczynowych ofiarowanych w jakimś odzieżowym dodatku. Mimo to byłem chyba bardziej romantyczny, skoro wybrałem rękawiczkę, uśmiechnąłem się w duchu.

– Czy uczynisz mi ten zaszczyt... – wystękał kapitan, bez wdzięku osuwając się na dywan i przyklękając przed zszokowaną Julią.

– Ojej! – Jego wybranka zakryła na moment twarz, ale po sekundzie niezgrabnie objęła Alana i pisnęła jak pensjonarka: – Tak!

– Jezu! Super! – Anna plasnęła w dłonie i przytuliła się na moment do mojego ramienia. – Leo, jak się cieszę! – Ścisnęła moją rękę i patrzyła to na mnie, to na swoją matkę i jej przyszłego męża.

Julia uroniła kilka łez, a gdy Anna składała jej gratulacje, obie rozpląkały się na całego. Znowu zaproponowałem po kieliszku brandy i tym razem się udało. W końcu taka okazja nie zdarza się zbyt często, a poza tym od czego są taksówki?

* * *

To była najlepsza Wigilia, jaką przeżyłam. Mogłam tak powiedzieć, zanim jeszcze mama i Alan wybrali się do kościoła na pasterkę. Leo chyba nie mógł doczekać się chwili, kiedy wreszcie zostaniemy sami, bo ledwie zamknęły się drzwi, już był przy mnie. Powstrzymałam jego zapędy. Najpierw musiałam się podzielić moją radością. Byłam w euforii: wreszcie moja mama znalazła miłość swojego życia.

Czasami myślałam, jak to będzie, gdy ja wyprowadzę się z domu, a ona zostanie sama. Nie mogłam znieść tej myśli, w dodatku ta koszmarna sytuacja z Jackiem kompletnie mnie załamala, a teraz? Tyle wygrać? Chyba jednak był jakiś pożytek z tego, że Dorothy mnie uprowadziła. Dobrze i to, choć wcale nie zamierzałam jej wybaczyć ani usprawiedliwiać jej występków. Co to, to nie.

– Boże, jestem taka szczęśliwa – zwierzyłam się Leo.

– Ja też – mruknął, całując mnie w szyję. – Jestem pijany ze szczęścia. Muszę koniecznie się położyć.

Wziął mnie na ręce i zaniósł na górę, ale przy drzwiach łazienki udało mi się wydostać z jego objęć.

– Poczekaj, najpierw niespodzianka. – Puściłam mu oczko. – Idź do mojego pokoju, zaraz tam przyjdę.

Zgodził się, choć nie bardzo mu się to podobało. Żeby nie drażnić rekina, wpadłam do łazienki, szybko całkowicie wyskoczyłam z ciuchów i włożyłam nowy szlafrok. Był cudownie miękki i puszysty. W dotyku zupełnie jak małe jagniętko z reklam płynów do płukania bielizny. Przytuliłam twarz do wyłogów szerokiego kołnierza, przez moment napawając się wszechogarniającym szczęściem.

Zerknęłam do lustra. Moje oczy rozszerzone pod wpływem emocji błyszczały radością. Poprawiłam włosy, kolejny raz wzdychając, że jeszcze długo nie będą takie, jak bym chciała. No cóż, sama je obciąłam, więc i sama musiałam poczekać, aż odrosną. Obiecałam sobie, że nigdy więcej ich nie skrócę, a już na pewno nie do zera. Leo, choć tak bardzo kochał moje włosy, kiedy jeszcze były piękne i sięgały do pasa, nigdy ani jednym słowem nie zdradził, że teraz mu się nie podobają.

Czasami łapałam go na tym, że patrzył na moje krótkie kędziorki, a na jego twarzy rodził się smutek. Gdy tylko zauważał moje spojrzenie, od razu się uśmiechał, przytulał mocno i całował w głowę, mówiąc, że mnie kocha nad życie. Na pewno czuł się winny. Chociaż prosiłam, żeby przestał się oskarżać, i tak to robił.

– Idę... – wyszeptałam do własnego odbicia.

Przemknęłam cicho przez korytarz i powoli uchyliłam drzwi pokoju. Leo, jak poleciłam, czekał już na mnie. Zdjął marynarkę i powiesił na oparciu krzesła, na którym teraz siedział. Szóstym zmysłem wyczuł, że świeca ze stroiku będzie wystarczającym źródłem światła, a może ja nieświadomie mu to przekazałam? Było pięknie i nastrojowo: pokój tonął w lekkim półmroku,

płomień świecy migotał delikatnie jak garstka brokatu rozsypana w powietrzu. Poczułam, że pragnę mojego mężczyzny i podeszłam do niego.

– Ślicznie wyglądasz. – Leo przyciągnął do siebie moje drżące ciało.

– To przez ten szlafrok – powiedziałam, stając między jego rozchyłonymi kolanami.

– Nie... – wyszeptał.

Odsunął mnie na odległość ramion. Przez chwilę patrzył tak intensywnie, że wszędzie czułam dotyk jego wzroku. Widziałam, jak przełyka ślinę, oblizuje wargi i bierze głęboki wdech. Parsknęłam śmiechem, bo wyglądał, jakby miał ochotę mnie zjeść.

Przyłożył palec do moich ust. Od razu się uspokoiłam.

– Zdejmij to – polecił, patrząc na wiązanie w pasie.

Zawstydziłam się: stać nago przed kompletnie ubranym facetem, nawet gdy to jest narzeczony? Mimo to rozwiązałam pasek, rozchyliłam poły szlafroka, zsuwałam go z ramion, aż w końcu bezszelestnie opadł na dywanik.

– Jesteś taka... – Głos Leo ugrzązł w jego gardle.

Znów przyciągnął mnie do siebie. Przybliżył twarz i ucałował znamię, a sekundę później jego usta powędrowały nieco wyżej i dotknęły brodawki piersi, a język zatoczył pierwsze kółeczko wokół niej. Leo lekko zacisnął ją w zębach, to było tak nieoczekiwane, że zalała mnie kolejna fala podniecenia. Już nie mogłam się dłużej powstrzymać, zarzuciłam ręce na jego szyję i wyszeptałam, że tak bardzo go pragnę...

* * *

Pomyślałem, że nikt nie odbierze mi tej chwili. Zostanie w pamięci na zawsze, jak pieczęć odbita w sercu. I w każdym momencie życia będę mógł ją przywołać i spowodować, że znów poczuję to samo ciepło.

Patrzyłem na Annę i ciągle nie mogłem nasycić wzroku jej widokiem. Nazwać ją piękną, śliczną czy uroczą, to byłoby zbyt uproszczenie. Biła od niej jakaś niemierzalna słodycz, a mając ją blisko, czułem się jak najszczęśliwszy człowiek na ziemi. Mój kochany Wilczek z zarumienionymi policzkami, z kręcącymi się włosami, lekko wilgotnymi od naszych pieścizot, z wydatnymi ustami, które jeszcze przed chwilą całowałem... Wszystko to zapierało mi dech, powodowało, że serce ciągle nie mogło zwolnić, a ja nie byłem w stanie powstrzymać się od tego, żeby znów dotknąć Anny, całować,

kochać jeszcze i jeszcze.

– O której wracają Julka i Alan? – spytałem, zerkając na zegarek. Był kwadrans po północy. Prawie całą godzinę byliśmy sami, a wydawało mi się, że kilka minut.

– Koło drugiej najwcześniej. Pasterka trwa półtorej godziny – wyjaśniła Anna, przeciągając się jak kot. Jej chyba też było dobrze, bo cały czas się uśmiechała.

– Hm... Świetnie – mruknąłem, przysuwając się do niej i myśląc o powtórce.

– Pójdziemy na spacer? – zachichotała.

– Co? – Wytrzeszczyłem oczy. – W taki ziąb?

Od dwóch dni było wyjątkowo mroźno, a i śniegu nie brakowało. Co roku mój ojciec z lubością stawiał u bukmachera dziesięć funtów na to, że święta będą śnieżne, i od niepamiętnych czasów je tracił, ale nie tym razem. Wygrał sporą sumkę i chwalił się każdemu, kto tylko się napatoczył, a najbardziej dręczył swoim sukcesem Ruby.

– Boisz się odrobiny śnieżku? – Anna przewróciła oczami.

– Nie. Mam tu znacznie lepszą rozrywkę i bardziej podobasz mi się bez ubrań – odpowiedziałem, przysuwając się jeszcze bliżej i zagarniając Annę ramieniem.

– Hm... Mam pomysł. Może spacer w chmurach? – zaproponowała. – Polecimy zobaczyć choinkę, później sprawdzimy, co słychać u mamy i Alana, a na koniec zrobimy wyścigi, kto pierwszy wróci do ciała? Co ty na to?

– Wyścigi? Okej. – Od zawsze lubiłem wyzwania. – A jaka nagroda?

– Nie powiem.

– To nie biorę udziału – stwierdziłem, odsuwając się, bo palce Anny niepokojąco zbliżyły się do mojej pachy. Widocznie planowała jakieś łaskotki. – Poza tym masz fory, bo ty dasz sygnał do rozpoczęcia wyścigu. – Domyśliłem się, że ten plan to podstęp.

– No dobrze, niech ci będzie. Ten, kto przegra, robi masaż.

– Erotyczny? – Ledwie spytałem, a oberwałem w ramię małą piąstką.

– Leo! Jesteś okropny! – Anna wyduła usta, ale jej oczy śmiały się do mnie.

– Relaksacyjny, czyli zwykły. Z oliwką.

– W pępku?

– Do smarowania! – Znów obdarzyła mnie szturchańcem w biceps.

– Okej. Może być – potaknąłem, bo zarówno rola masażysty, jak

i masowanego miała swoje plusy.

Zamknęliśmy oczy i poszybowałaliśmy nad Londynem.

– *Mam nadzieję, że nie oszukujesz i lecisz ze mną?* – usłyszałem w głowie.

Doskwierało mi to, że nie umiem odpowiedzieć, ale i tak czułem się świetnie. Jak dobrze mieć świadomość, że w każdej chwili mogę wrócić do ciała i zobaczyć leżącą obok Annę. Znowu przypomniałem sobie jej tęskne nawoływania, gdy prosiła, żebym przybył, znalazł ją i zabrał. Od razu poczułem gdzieś w głębi szybsze bicie strwożonego serca. Te długie tygodnie, kiedy bezradnie trwałem w oczekiwaniu na wiadomość, były chyba najgorszym okresem w moim życiu. Mogłem je jedynie porównać do tego, co czułem, wegetując w Wye.

W kilkanaście sekund przemknąłem nad zupełnie białymi dachami i znalazłem się nad Trafalgar Square. Moja przewodniczka milczała, ale gdy zbliżyłem się, żeby poczuć zapach igieł na szczycie wielkiego drzewka, znowu podjęła swój monolog:

– *Leo, widzisz tę parę, która stoi przed choinką? Przyjrzyj się dobrze i zapamiętaj, jak byli ubrani. Po powrocie sprawdzę, czy nie oszukiwałeś* – zaśmiała się Anna.

Miałem nieodpartą chęć jej odpowiedzieć, że nie oszukuję, ale cóż było zrobić. Mój Wilczek chyba to wyczuł, bo stwierdził, że trochę mu mnie żal. Mogłem wyłącznie słuchać. Byłem ciekaw, czy Anna wie, skąd co roku dociera do nas to ogromne drzewko, ale szybko się zreflektowałem, że mieszka w Londynie tyle lat, więc na pewno zdążyła się dowiedzieć, że to prezent od Norwegów. Może to i dobrze, że musiałem trzymać język za zębami, bo Norwegia od jakiegoś czasu nie kojarzyła mi się dobrze, a w Annie musiała przywoływać jeszcze gorsze wspomnienia.

– *Pięknie, prawda?* – westchnęła Anna po kilku minutach.

Zgodziłem się z nią. Rzeczywiście było pięknie. Przez moment rozważałem, czy nie przybyć tutaj również w tradycyjny sposób, ale się rozmyśliłem. Szkoda mi było każdej chwili, którą mogliśmy spędzić sam na sam. Poza tym masaż kusił, a na spacer mogliśmy wybrać się nazajutrz wszyscy razem, z moimi rodzicami włącznie.

– *Lecimy do polskiego kościoła* – oznajmiła Anna. *W naszej dzielnicy* – dodała po chwili.

Dobrze, że sprecyzowała. W Londynie trochę ich funkcjonowało, nawet tego w Ealing nie kojarzyłem, ale dzielnica nie była ogromna, a język polski,

w którym odprawiano pasterkę, był doskonałą wskazówką.

– *Widzę ich!* – pisnęła po kilku minutach. *Siedzą w piątym rzędzie od ołtarza. Widzisz?* – spytała.

– Nie widzę, ale zaraz znajdę – mruknąłem gdzieś w swoim jestestwie, bo akurat byłem w trakcie podśpiewywania pod nosem mojej ulubionej polskiej kolędy, czyli tej z refrenem: *Oł maluszki, maluszki...* – A! Mam was! – Ucieszyłem się bezgłośnie, bo zauważyłem Julkę i Alana.

Rzeczywiście siedzieli w ławce blisko ołtarza, trzymali się za ręce, a na dłoni Julki połyskiwał pierścionek. Chwilę pokrzyżłem nad zgromadzonymi ludźmi w oczekiwaniu na kolejne polecenie, bym zapamiętał jakiś detal, gdy nagle szalony kapitan ekspedycji dał sygnał do odwrotu.

– Wygrałam! – krzyknęła Anna, ledwie otworzyłem oczy.

– Kiedy nauczyłaś się tak szybko latać? – spytałem bez namysłu.

Byłem zdumiony jej umiejętnościami. To w końcu ja miałem znacznie dłuższy staż „przelatanych” godzin. Od razu się zreflektowałem, że palnąłem głupstwo. Przecież to musiało się stać w Fauske, gdy na ręce Anny tkwiło urządzenie sprowadzające ją z powrotem do ciała i powodujące okropne cierpienia. Natychmiast przeprosiłem i przytuliłem moją ukochaną drobinę. – Wybacz. Nie chciałem ci tego przypominać.

– Nic się nie stało – mruknęła spomiędzy moich ramion. – Musisz mnie teraz porządnie wymasować.

– Dla ciebie wszystko – odpowiedziałem, jeszcze mocniej ją ściskając. – Kocham cię...

* * *

Tyle lat mieszkaliśmy w Londynie, ale i tak moja biedna mama często nie potrafiła się zachować jak prawdziwa angielska pani domu. Ja zdecydowanie szybciej i łatwiej zasymilowałam się z otoczeniem, choć to akurat chyba nikogo nie dziwiło. Wika, podobnie do mnie, czuła się bardziej brytyjsko niż polsko. Gdy wreszcie rodzice Leo dotarli do naszego domu, już w korytarzu zapanowała dziwna atmosfera. Z jednej strony chaos, bo Ruby i George radośnie i dosyć spontanicznie powitali własnego syna i mnie, a z drugiej dziwne skrępowanie, bo nie znali mojej mamy i Alana. Rzucali spojrzeniami. Ruby w końcu cmoknęła moją mamę. Alan zgłupiał, gdy jego również próbowała pocałować i ostatecznie lekko się cofnął. George wyciągnął rękę

do Alana, ten oddał uścisk dłoni, a chwilę później sam próbował pocałować Ruby, bo George z kolei cmoknął moją mamę.

To naprawdę było kompletne wariactwo: sześć osób gniotło się w wąskim przejściu, niezbyt zręcznie próbując się przywitać i równocześnie pozbyć wierzchnich okryć. Na dodatek rodzice Leo przywieźli mnóstwo prezentów i kilka pakunków ze świątecznym jedzeniem. Postanowiłam przejąć stery. Zaprosiłam wszystkich do salonu i z pomocą narzeczonego podałam herbatę i ciasto, a gdy już wszystko było naszykowane i pięknie prezentowało się na stole, przycupnęłam tuż obok Leo i z rozbawieniem obserwowałam właściwe zapoznanie się naszych dwóch kochanych rodzin.

Oczywiście nas nie zawiedli. Typowe! Trójka rodowitych Anglików musiała rozpocząć rozmowę od omówienia pogody. W tym roku mieli wyjątkowo dużo szczęścia. Śnieg i nawet lekki mróz zawitały do Londynu, więc okazji do narzekania i emocjonowania się tym faktem było co niemiara. Mama dyplomatycznie potakiwała, przewracała oczami, dziwiła się, narzekała na utrudnienia i próbowała za wszelką cenę nie odbiegać swoim zachowaniem od Alana i rodziców Leo.

Śmiałam się w duchu, bo od dziecka słuchałam jej opowieści o prawdziwych zimach, które przeżyła jako mała dziewczynka w Polsce, w górach. Nieraz siedziały z Wandą przed telewizorem i zaśmiewały się z londyńczyków, którzy każdy najmniejszy nawet opad śniegu traktowali jak istną klęskę żywiołową. Gdyby teraz mama wyskoczyła z taką historią i przedstawiła im, jak wygląda porządna polska zima z zaspami do pasa i siarczystym mrozem, z pewnością wszyscy by zamilkli i nawet Alan, choć zakochany po uszy, obraziłby się śmiertelnie.

Rodzice Leo przywieźli ze sobą indyka. Był tak ogromny, że z trudem wepchnęłam go do piekarnika, żeby tam się podgrzał i zarumienił. Choć goście przy stole nie brakowało, połowa wielkiego ptaszyska została niezjedzona. Później przyszedł czas na pudding, ciasteczka i obowiązkowo kawę oraz brandy. W trakcie deseru towarzystwo zabawiało się grą pod tytułem *A nasz Leo..., a moja Ania...* Oczywiście zachowywano wszystkie zasady, czyli na komplementy drugiej rodziny pod adresem naszego potomka zgodnie z etykietą odpowiadamy lekką krytyką.

Mama pochwaliła Leo, że taki jest sławny i popularny, tyle nagród, światowe sukcesy, i że na pewno rodzice są z niego bardzo dumni, a wtedy Ruby od razu wtrąciła, że zupełnie ich zaniedbał i że wolałaby być na miejscu

Julii. George stwierdził, że piekę świetne ciasta i ponoć równie doskonale gotuję, a na to mama odparła, że zostawiam po sobie w kuchni okropny bałagan. Kopnęłam ją lekko pod stołem. Jak mogła tak mnie szkalować przy narzeczonym?! Puściła mi porozumiewawczo oczko. Kapitan Barrow nie miał dzieci, ale Leo wspomniał o jego młodszym bracie, wychwalając pod niebiosa inteligencję tego młodego człowieka, wtedy mój przyszły ojczym też mógł się wykazać, skarżąc się na utrapienia związane z wychowaniem krnąbrnego braciszka.

Siedziałam jak na szpilkach. Nieuchronnie nadchodził najgorszy moment przyjęcia. Zaraz po drugiej kolejce brandy Leo kolejny raz oświadczył, tym razem przy swoich rodzicach, że mamy zamiar się pobrać. Ruby i George zerwali się z krzeseł, podeszli i zaczęli nam gratulować. Zaczęłam głupio chichotać, bo przecież nasz ślub był zaplanowany w każdym detalu, a oni usilnie próbowali sprawiać wrażenie ogromnie zaskoczonych.

Chwała Bogu, że Alan trochę nam pozazdrościł, bo ledwie Blackowie usiedli, też stanął przy stole i pochwalił się udanymi oświadczyniami. Odetchnęłam z ulgą. Nie przepadałam za sytuacjami, w których na mnie skupiała się uwaga wszystkich zebranych. Cały cyrk zaczął się od nowa, wszyscy sobie gratulowali, cmokali w policzki i przytulali. Wzniesiono dwa toasty: za nas oraz za mamę i Alana, a potem trzeci za rodziców Leo, którzy za kilka dni mieli obchodzić rocznicę ślubu.

Alan zaproponował gry planszowe. Wiedziałam, że przygotował kilka już parę dni wcześniej. Uwielbiałam planszówki, w dzieciństwie godzinami grałyśmy z Wiką, czasem nawet mama i Wanda się dołączały, zwłaszcza w drugi dzień świąt. Pobiegłam za Alanem, żeby pomóc je przynieść. Na pierwszy ogień oczywiście poszło ludo. Żeby cała nasza szóstka mogła zagrać, stworzyliśmy dwuosobowe zespoły. Ja i Leo byliśmy jedną drużyną, Alan z mamą stanowili drugą, a rodzice Leo trzecią. Albo mieliśmy wyjątkowe szczęście, albo ktoś z naszych rodziców oszukiwał, bo wygraliśmy wszystkie trzy kolejki.

W monopol wygrała drużyna rodziców Leo, ale przy scrabble chyba mieliśmy dosyć gier, zwłaszcza że na stole wylądowała druga butelka brandy. Schowałam pudełka, szybko podałyśmy z mamą kolację. Alan z George'em mieli już nieco w czubie. Leo nie pił, zamierzał odwiedzić rodziców do domu, ja też się oszczędzałam, przez całe popołudnie wypiałam może pół kieliszka wina.

– Kochanie, chyba ktoś dzwoni... – Alan uniósł brwi. Wyglądał zabawnie, bo Leo założył mu czapkę Mikołaja.

– Wanda! – ucieszyła się mama i ruszyła do drzwi. – Mówiła, że się postarają wpaść.

– To przyjaciółka Julii? – spytała Ruby.

– Tak, a jej córka Wiktoria to przyjaciółka Anny. – Leo znów mnie przytulił.

– Ona będzie waszym świadkiem. Spodziewa się dziecka? Dobrze zapamiętałem? – George popatrzył na mnie nieco mętnym wzrokiem.

– Uhm – potaknęłam.

– Aniu... – dobiegło z korytarza. – Możesz tu przyjść? – Głos mamy zabrzmiał dziwnie.

Natychmiast się zerwałam i pobiegłam do niej, a Leo i Alan za mną.

– Co się stało?! – Od razu zauważyłam, że mama płacze.

– Wika jest w szpitalu, coś nie tak z dzieckiem...

Rozdział 8

Nie ma nas

– Ślubu nie będzie. Dopiero gdy Wika urodzi dziecko, wtedy wyjdę za mąż – oświadczyłam, gdy przyjechaliśmy z mamą i Leo ze szpitala.

Dobrze, że nikt nie miał do mnie żalu. Rodzice Leo czekali cierpliwie aż do północy, bo dopiero wtedy wróciliśmy. Byłam tak bardzo smutna i przygnębiona, że Ruby też się rozplakała. Powiedziała, żebym się nie martwiła. Dziękowałam Bogu za tak wyrozumiałych teściów.

Moja biedna, szalona Wiktoria przeżyła straszne chwile, a my wszyscy razem z nią. Na szczęście udało się opanować sytuację, ale do końca ciąży Wika musiała zostać w szpitalu. Przyrzekłam, że nikt jej nie zastąpi na miejscu mojego świadka. Chyba to ją pocieszyło, bo od razu poczuła się lepiej i nawet zaczęła żartować, zwłaszcza z Leo, który znów musiał czekać na noc poślubną.

Leo zachował się wspaniale. Stwierdził, że może czekać nawet sto lat. Zaimponował tym mamie. Zgodziła się na nasz wyjazd do Stanów, choć nie obyło się bez uwag, wniosków, zaleceń i niezliczonych ostrzeżeń, również ze strony Alana.

Jakoś przeżyłam pierwsze dziesięć dni, chociaż nieraz myślałam, że mama miała rację, ostrzegając: – Aniu, to będzie trudniejsze, niż myślisz. – Ale czy ktokolwiek na tej planecie mógłby mnie odwieść od tego, co postanowiłam? Chyba nie.

Zaczęło się od podróży i pakowania. Miesięczny wyjazd do Stanów! To brzmiało naprawdę poważnie. Mama z Alanem zdjęli ze strychu prawie wszystkie walizki, którymi dysponowałyśmy. Pięć, a może sześć? Kto by je zliczył? Cały pokój był nimi zavalony. Mama stwierdziła, że powinnam zabrać ciuchy na każdą pogodę. Wpakowała nawet grubą zimową kurtkę, którą zawsze miałam ze sobą w czasie świąt u dziadków.

Mina Leo, gdy zobaczył te tobołki? Bezcenna. Spytał grzecznie, czy przeprowadzam się do niego. Oczywiście moja mamusia dosyć szybko sprowadziła go na ziemię, informując, że to po prostu moje bagaże na wyjazd.

W tym momencie Leo zaproponował, że wyczarteruje dla mnie jakiś niewielki samolot typu cargo, bo taka ilość bagażu nie zmieści się w zwykłym rejsowym boeingu.

Zaczęłam wyjmować rzeczy z tych wszystkich walizek przy nieocenionej pomocy mojego (wciąż jeszcze) narzeczonego. Przy puchowej kurtce prawie umarł, przewrócił się na ziemię i trzy minuty po prostu płakał ze śmiechu. No cóż, nie pomyślałyśmy z mamą, że w styczniu w Los Angeles, w środku słonecznej Kalifornii, moja pierzynka (jak nazwał ją Leo) może posłużyć jedynie jako materac do spania lub inkubator dla kurzych jaj, o ile tam ktoś hoduje kury.

Szybciutko wepchnęłam do szafy trzy czwarte chaosu walającego się po sypialni, spakowałam jedną walizę, napełniając ją wyłącznie wiosennymi i letnimi ciuchami. Ku wielkiej uciechu Leo większość z nich stanowiły prezenty od niego, czyli słodkie sukieneczki, także bluzki, że o bieliźnie nie wspomnę, i to zarówno daytime, jak i nocnej. Na szczęście udało mi się przemyścić kilka moich ulubionych zestawów: dzinsy, top, koszula, trampki. I miałam to, w czym poleciałam do Stanów i o czym od razu dowiedział się cały świat...

Znany brytyjski aktor Leo Black pojawił się wczoraj wieczorem na lotnisku LAX. Wkrótce rozpoczyna zdjęcia do filmu Tokio w reżyserii Edwarda Rickmana. Gwiazdorowi towarzyszyła tajemnicza kobieta. „The Stars” dowiedziało się z pewnych źródeł, że nowa przyjaciółka trzydziestoletniego gwiazdora to Anna Wilk (20 l.), Polka mieszkająca na stałe w Londynie.

Para poznała się w ubiegłym roku i spotykała z przerwami od czerwca. Młoda brunetka założyła klasyczne, ciemnoniebieskie dzinsy, koszulę w kratę i cienką, czarną kurtkę. Oczy przysłoniła ciemnymi okularami.

Ciekawe, czy Leo Black, który tym razem dał się usidlić słowiańskiej piękności, wreszcie się ustatkuje? Czas pokaże...

Och! Leo nie przesadzał, rzeczywiście to, co wyprawiali paparazzi i fani w Europie było niczym w porównaniu do szaleństwa, które panowało w Stanach. Owszem zabraliśmy ze sobą Mike’a, który wszędzie z nami jeździł, ale to i tak w niczym nie przeszkadzało tym wszystkim ludziom żywotnie zainteresowanym naszą dwójką. Byli wszędzie: przed naszym domem,

w restauracjach, do których czasami się wybieraliśmy, przed studiem filmowym i gdzie tylko można było nas spotkać.

O wypadzie na plażę mogłam zapomnieć. Tylko raz zdecydowaliśmy się na to wariactwo i to wyłącznie z mojej inicjatywy. Trzeciego dnia po przyjeździe stwierdziłam, że mam ochotę na inauguracyjną kąpiel w Oceanie Spokojnym. Leo znacząco uniósł brwi i powiedział, że mu się nie chce i żebym dała spokój z takimi pomysłami. Wkurzył mnie swoim podejściem, tym bardziej że mój ośli upór nie pozwoliłby mi się wycofać, a i urażona duma by ucierpiała. Przekonałam go, mówiąc, że będzie fajna zabawa. Parsknął wówczas śmiechem i orzekł, że mam absolutną rację. Przeprosił za to, że był taki niechętny. Dałam się nabrać jak naiwna gąska...

Do Santa Monica zapobiegawczo zabraliśmy okulary przeciwsłoneczne zasłaniające pół twarzy. Ja w kapeluszu z ogromnym rondem, a Leo w nieodłącznej czapce z daszkiem – wkroczyliśmy na plażę, trzymając się za ręce. Przez pierwszy kwadrans było świetnie, nikt na nas nawet nie spojrzał. Rozzuchwalałam się, zrzuciłam kapelusz i pobiegłam do wody. Już wtedy powinnam była się zorientować, że coś jest nie tak, a ciekawskie spojrzenia kilku młodych ludzi kręcących się przy brzegu nie mają żadnego związku z moimi wdziękami.

Krzyknęłam z wody:

– Leo, chodź do mnie!!!

I rozpętałam piekło. W ciągu kilku sekund podeszła do niego jakaś dziewczyna, za moment kolejna osoba i jeszcze jedna, a po chwili wokół Leo kłębił się całkiem spory tłumek fanów. Przez moment wahałam się, co zrobić. Uznałam ostatecznie, że nie będę stać sama w wodzie jak idiotka, i dołączyłam do Leo.

Wszyscy oczekiwali autografu, robili nam zdjęcia, dziewczyny szarpały Leo, żeby zrobić sobie z nim selfie. Niektóre z nich próbowały nawet pozować ze mną. Byłam nieprawdopodobnie zła, głównie na siebie, ale na niego też. Mógł mnie ostrzec! Pewnie chciał przytrzeć mi nosa, a przy okazji przetestować moją odporność na stres. Nie wyszło mu to na dobre. Całą drogę powrotną nie zamieniłam z nim nawet słowa, a gdy przejeżdżaliśmy przez bramę wjazdową naszej posiadłości, burknęłam, że nigdy tu nie zamieszkać na stałe. Dobrze, że Leo miał znacznie lepszy humor, bo zaśmiał się i stwierdził:

– Bez obaw, w przyszłym wcieleniu, o ile przetrwam to i uda mi się nikogo nie zamordować, wracam na deski teatru.

Na szczęście mieliśmy azyl: dom.

Zamieszkaliśmy w dosyć sporej posiadłości, którą Leo w tajemnicy kupił jeszcze w listopadzie zeszłego roku. Miał to być prezent ślubny dla mnie (swoją drogą, gdy mama się o tym dowiedziała, z wrażenia popadła w pięciominutowy stupor), ale ślub przełożyliśmy na bliżej nieokreślony termin, a dom został. Leo natychmiast przekwalifikował go na prezent urodzinowy. Pierwszego stycznia skończyłam dwadzieścia lat i zostałam, jak to powiedział: pełnoprawnym Wędrowcem. Taką okazję trzeba było uczcić wyjątkowym prezentem.

No i był wyjątkowy: prosty w formie, bardzo nowoczesny biały budynek o powierzchni około czterystu, może pięciuset metrów, z basenem i otoczony niesamowitym ogrodem. Gdy tylko tu weszłam, od razu zakochałam się w tym miejscu. Palmy, kaktusy, same egzotyczne krzewy – wszystko zachwycało. Każdy krzaczek obejrzałam pięć razy, żaden nie przypominał roślin, które widziałam w Polsce, czy też na Wyspach. Nawet we Francji nie spotkałam się z tak bogatą roślinnością.

Jednak to nie ogród, lecz wnętrze naszego domu było największą niespodzianką. Wyglądało jak spełnienie marzeń szalonego projektanta. Każde pomieszczenie urządzone było w innym stylu: kompletne pomieszczenie z poplątaniem, począwszy od prowansalskiego (w jednej z sypialni, mojej ulubionej), poprzez kolonialny, angielski (a jakże), rustykalny (kuchnia), na japońskim skończywszy.

Leo stwierdził, że nie wiedział, który styl najbardziej przypadnie mi do gustu, stąd wzięło się to niekonwencjonalne rozwiązanie.

Czy się nudziłam w tym nowym miejscu? Daleko od domu, od przyjaciółki i znajomych? O nie. Bynajmniej. Codziennie jechałam z Leo do studia, coraz częściej zabierając ze sobą szkicownik. Siadałam gdzieś w kąciку i z rozpalonymi z emocji policzkami oglądałam, a raczej chłonełam to wszystko, co odbywało się na planie.

Całą ekipę znałam już po dwóch dniach. Po kolejnym przestały mnie razić światła, a raczej tysiące świateł w najróżniejszych kształtach i kolorach, niektóre w formie reflektorów, inne zupełnie jak ściany wykonane z ułożonych jedna pod drugą długich jarzeniówek. Te ostatnie wyglądały jak gigantyczne świecące suszarki na mokre ręczniki. To był doskonały pomysł, żeby tak je wykorzystać, bo całe to świetlne ustrojstwo dosyć mocno się rozgrzewało. Gdy powiedziałam to mojemu chłopakowi, śmiał się przez kwadrans.

Mimo wszystko trzeba by było pewnie kilkuset dni, aby poznać to, co działo się w miejscu pracy mojego Leo. Otaczały nas setki przedmiotów: komputery, dziwaczne tła rozciągnięte na specjalnych stelażach i służące do kierowania światła w określone miejsca, wielkie zielone ściany, wentylatory, kamery we wszystkich możliwych wariantach – od tych noszonych na ramieniu po stojące, mikrofony, niektóre na długich wysięgnikach przypominających gigantyczne wędki, no i oczywiście kilometry kabli walających się po podłodze. Do tego scenografia i spory tłumek osób miotających się w całym tym chaosie.

Prawdziwy cyrk...

– Jutro które sceny? – spytałam, wtulona w ciepłe ramiona Leo.

Siedzieliśmy na miękkiej kanapie stojącej na środku naszego przytulnego salonu, po raz enty oglądając *Niemoralną propozycję*.

– Tylko jedna i obawiam się, że ta najtrudniejsza – mruknął, całując mnie w głowę.

– Czyli?

– Domyśl się...

– Hm... Jakoś sobie radzisz w tej dziedzinie, ja nie narzekam – zachichotałam nerwowo.

Przeczytałam scenariusz *Tokio* co najmniej pięć razy i coraz bardziej stresowała mnie świadomość, że półnagi Leo będzie leżał w łóżku z kompletnie rozebraną Judith Durant. Koleżanka Leo, Brytyjka jak i on, choć zbliżała się do czterdziestki, kasowała urodą i seksapilem niejedną moją rówieśnicę. Była bladą, naturalną blondynką. Z jasną oprawą wodnistych zielonych oczu, lekkimi piegami i błękitnymi żyłkami przebijającymi przez skórę, sprawiała wrażenie kompletnie odrealnionej istoty. Bardzo mi się podobała, zresztą nie tylko mnie. Judith znana była ze swoich towarzyskich podbojów.

– Chyba nie myślisz, że to będzie wyglądać identycznie? – Leo parsknął śmiechem i połaskotał mnie po szyi.

– Zobaczą jutro i powiem, czy stanąłeś na wysokości zadania... – Próbowałam żartem pomóc mu wybrnąć z tej sytuacji.

– Obawiam się, że nie zobaczysz – westchnął po chwili Leo.

– Dlaczego? – Odsunęłam się i spojrzałam na niego ze zdumieniem.

Przecież codziennie jeździliśmy do studia, Leo nie rozstawał się ze mną ani na chwilę.

– Judith zagra bez dublerki. Zastrzegła sobie w kontrakcie, zresztą jak większość dobrych aktorek, że w tej scenie obsada planu będzie zredukowana do niezbędnego minimum.

– Czyli?

Leo podniósł się z sofy, powoli podszedł do niewielkiej szafki stojącej tuż obok telewizora. Wyciągnął butelkę wina i korkociąg.

– Napijesz się ze mną? – rzucił odwrócony plecami.

– Tak.

– Proszę. – Siadając, podał mi kieliszek napełniony jasnym płynem.

Cisza, która zapadła, zdawała się nie mieć końca. Miałam wrażenie, że w powietrzu unoszą się małe iskierki, a napięcie rośnie jak w filmach Hitchcocka. Nie mogłam tego znieść, przełączyłam kanał. I tak już żadne z nas nie patrzyło na Roberta Redforda i Demi Moore. Z głośników zaczęła sączyć się delikatna melodia z opery *Nabucco*.

– Niezbędne minimum to ja, ona, operator kamery i dźwiękowiec. Reszta osób wyjdzie ze studia. Będziemy nagrywać setkę, czyli obraz i dźwięk jednocześnie, więc nikt nie może przeszkadzać. Tym bardziej że nawet liczba ewentualnych powtórzeń tej sceny też jest zastrzeżona w kontrakcie Judith – wytłumaczył mi.

Widziałam, że stara się za wszelką cenę zachować spokój, ale nie dałam się zwieść. Leo był zdenerwowany. Niewielka żyłka na jego czole pulsowała szybkim rytmem.

– Uhm... – Pokiwałam głową.

– Chyba się nie gniewasz? – Popatrzył na mnie z troską. – Sprawilem ci przykrość?

– Nie, to twoja praca – odpowiedziałam szybko, ale gdzieś głęboko w sercu poczułam lekkie ukłucie zawodu, że wcześniej mi tego nie zdradził. – Po prostu jestem zaskoczona.

– Uwierz mi, dla mnie to też jest bardzo trudne. – Chyba nie dał się zwieść i zauważył moją konsternację. Postawił pusty kieliszek na niewielkim stoliczku. – To najgorsza część tego fachu, zwłaszcza dla aktorów, którzy są z kimś na stałe. W związkach dwójki aktorów jest znacznie łatwiej, bo obie strony wiedzą, jak wygląda taka scena od kuchni, ale w takim układzie jak nasz sprawa nieco się komplikuje.

Tak. To, co mówił, miało sens. Pamiętałam dobrze, jak się czułam, oglądając miłosną scenę w jednym z filmów Leo. Wyglądała tak realnie, że za

każdym razem, gdy widziałam, jak mój narzeczony całuje swoją filmową partnerkę, moje serce również przyspieszało.

– Najbardziej komfortowy jest układ, gdy aktorzy odgrywający takie sceny są w sobie zakochani – Leo kontynuował wątek. – Niektórzy potrafią tak bardzo wczuć się w rolę, że w zasadzie zapominają o tym, że nie są sami. – Parsknął śmiechem, a ja natychmiast mu zawtórowałam.

Poprawiłam się na sofie. Napięcie ciut zelżało i od razu poczułam się lepiej.

– Powinnaś zostać aktorką, nie miałbym teraz problemów.

– Oj, raczej na to nie licz – zachichotałam.

– To jeszcze po kieliszku? – Zauważył, że już wszystko wypiałam.

– Okej.

Patrzyłam, jak Leo rozlewa resztę wina do naszych kieliszków, starając się napełnić je idealnie równo. Tak bardzo się do tego przykładał, że parsknęłam śmiechem.

– Mógłbyś mi przynieść to nagranie? Zrzuć na pendrive'a, pooglądam w domu – wyartykułowałam po chwili swoją ciut ekscentryczną prośbę.

– Po co? – Zerknął na mnie z uwagą. – Nie chcesz zobaczyć, gdy już będzie gotowe? W filmie?

– Nie, wolę takie niezmontowane. Sam wiesz, jak wygląda surowy materiał.

– Mrugnęłam porozumiewawczo. – To jak? Dasz radę?

– Spróbuję. Poproszę Sebastiana. Powinien się zgodzić, gdy usłyszysz, że to dla ciebie. – Leo uśmiechnął się wyrozumiale.

Jeden z techników pracujących przy *Tokio*, rzeczywiście darzył mnie sympatią, traktował mnie jak córkę. Był bardzo doświadczonym filmowcem i często zdradzał mi tajniki swojego warsztatu.

– Super, możesz mu obiecać, że nie puścimy tego na YouTube. – Znów mrugnęłam w odpowiedzi. – A teraz opowiedz mi, jak przygotowujesz się do takich scen.

– Naprawdę chcesz wiedzieć? – Leo uniósł swoje wydatne, ciemne brwi.

– Tak.

– Dlaczego?

– Może jak to sobie jakoś zracjonalizuję, mniej będę się tym przejmować – odpowiedziałam bez większego namysłu.

– Jesteś zazdrosna?! – Leo ryknął śmiechem tak, że aż podskoczył na kanapie.

– Cicho bądź! Co tak krzyczysz? – burknęłam zażenowana, że mnie zdemaskował.

– Przecież nikt nas nie słyszy! – Rżał jak szalony.

Miał rację, byliśmy sami w tym wielkim domu. Mike mieszkał w małym budynku na skraju ogrodu, tuż przy bramie wjazdowej, a dwie osoby, które dbały o całą posesję, pracowały z reguły w czasie, kiedy my przebywaliśmy w studiu.

– No dobrze, wyśmiałeś się już? – Wydęłam usta.

– Tak. Moja Anna jest choć troszkę o mnie zazdrosna. Jak miło to wiedzieć.

– Nie wiem, co cię tak cieszy? – westchnęłam, ciągle spłoszona jego żywiołową reakcją.

Leo nie odpowiedział, znów wstał i gdzieś wyszedł. Myślałam, że przyniesie jeszcze jedną butelkę wina, ale nie. Wrócił, niosąc ze sobą laptopa, postawił go na stoliku, szukał czegoś i w końcu obrócił ekran w moją stronę.

– Metoda Stanisławskiego, poczytaj.

Szybko przebiegłam wzrokiem krótką notatkę z Wikipedii.

– No i? O co w tym dokładnie chodzi? Jak to wygląda w praktyce?

– Tak, jak jest opisane. Żeby zagrać taką scenę, muszę się przygotować. Akurat ja posługuję się właśnie tą metodą, o której czytałaś, czyli bazując na własnych przeżyciach, wspomnieniach, doznaniach.

– Nie bardzo rozumiem – drążyłam, próbując sobie poukładać w głowie te informacje.

– A może skończmy ten temat?

– Leo, ale to bardzo ciekawe. Dlaczego nie chcesz mi wytłumaczyć?

– No dobrze. Pamiętasz scenę miłosną z *Francuskiego księcia*, zagrana z Jessicą Hill?

– Tak – westchnęłam, akurat tego fragmentu nigdy bym nie zapomniała.

– Byłam wtedy z Emily, charakteryzatorką. Kojarzysz?

– Uhm...

– Żeby dobrze zagrać scenę miłosną, wyobraziłem sobie, że to Emily leży koło mnie. Po prostu zamknąłem oczy i dałem się ponieść emocjom, to ją widziałem, to ją czułem, gdy całowałem Jess. Tylko dlatego ta scena wyszła tak dobrze i wiarygodnie.

– Aha. – Pokiwałam głową.

– Okej, zadowolona? – Leo wyraźnie miał dość. Ton głosu zdradzał, że to koniec rozmowy.

– Tak... – bezwiednie potaknęłam, bo właśnie uświadomiłam sobie, że najprawdopodobniej ja również, choć pośrednio, będę uczestniczyć w jutrzejszej scenie.

– I po co ci to mówiłem? – Od razu zauważył moje zmieszanie i z pewnością się domyślił, co było jego przyczyną.

– Spokojnie, przecież chciałam to wiedzieć. – Przysunęłam się blisko, chwyciłam go za rękę i zaczęłam delikatnie głaskać. – Czytałam kiedyś artykuł o tym, że niektóre kobiety, Kochając się z mężem, myślą o innych mężczyznach. Najczęściej o znanych osobach – zachichotałam.

– Ciekawe... – Przyglądał mi się spod przymrużonych powiek.

– Pewnie ty też często gościś w głowach takich pań. Hm... Podziwiam cię. Ja nie potrafiłabym tak wczuć się w rolę. Tak samo nie rozumiem tych kobiet.

– Nigdy nie przytrafiła ci się taka sytuacja?

– Jaka?

– Taka jak tym kobietom...

Leo przybrał jeszcze bardziej zagadkowy wyraz twarzy niż przed chwilą. Nie miałam pojęcia, co się stało. Nie mogłam dojść, czy jest zaskoczony, a może zły? Zdenerwowany? Jedyne, co mogłam stwierdzić, to że wprost przewiercał mnie spojrzeniem.

– Nie – odpowiedziałam zbity z tropu.

Znowżdziwiła mnie jego reakcja. Wyglądał, jakby spodziewał się całkiem innej odpowiedzi. Miał minę kogoś bardzo rozczarowanego, w końcu powoli wysunął dłoń z mojego uścisku.

– Może dlatego, że sama jestem z najprzystojniejszym facetem świata i nie muszę sobie nikogo wyobrazać? – dodałam z przekonaniem.

Za wszelką cenę chciałam przerwać ten dziwny dialog. Popatrzyłam na Leo, wyglądał tak bardzo inaczej niż wtedy, gdy go poznałam. Na potrzeby roli ogolił się prawie na zero. Z początku nie mogłam się przyzwyczaić, brakowało mi jego gęstych, jedwabistych włosów o barwie miodu, ale teraz już przywykłam, i nawet zaczęło mi się to podobać.

– Może – odparł bez cienia uśmiechu.

Odwrócił się i z głośnym klapnięciem zamknął laptopa.

– Co robisz?

– Idę się położyć. – Podniósł się z sofy.

– Poczekaj! – Zerwałam się błyskawicznie i złapałam go za rękę. – Leo, co się stało? Uraziłam cię czymś? – Byłam zdezorientowana.

– Nie. – Nachylił się i delikatnie przytknął usta do mojego czoła. – Niczym mnie nie uraziłaś. Po prostu jestem zmęczony... tym wszystkim.

Nie kochaliśmy się tej nocy, leżeliśmy tylko przytuleni. Nie wiem, o czym myślał Leo. Może o dzisiejszej scenie, a może o czymś innym. Ja też długo nie mogłam zasnąć i tak samo jak on leżałam w milczeniu, z oczami wbitymi w ciemnografitową szarość okna naszej sypialni. Nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa również rano. Wszedł, gdy jeszcze spałam.

Wstałam, zadzwoniłam do mamy i Wiki, a później bez celu plątałam się po domu przez bitą godzinę, bo nie miałam co ze sobą zrobić. W końcu poprosiłam Mike'a, żeby pojechał ze mną do pobliskiego marketu. Miałam pieniądze, Leo jeszcze w Londynie wyrobił mi osobistą kartę płatniczą, choć oczywiście nie obyło się bez sporu. Mój narzeczony chciał założyć mi osobny rachunek bankowy, na który planował wpłacić jakąś niebotyczną kwotę, ale się nie zgodziłam. Stało na tym, że zamówił dodatkową kartę do jednego ze swoich kont. Obiecałam mu, że ją przyjmę, ale sama w duchu przyrzekłam sobie korzystać z niej tylko w wyjątkowych sytuacjach. Zresztą mama przed wyjazdem wręczyła mi całkiem pokaźną sumkę, połowa pochodziła od babci Zofii, a reszta z kasy odłożonej na moje studia.

Uwinęliśmy się z Mikiem dosyć szybko, na szczęście pod domem nikogo nie było. Pewnie wszyscy paparazzi jak zwykle pojechali za samochodem Leo: wielkim czarnym land roverem, do złudzenia przypominającym ten Nataszy, no może tylko nieposiadającym tylu bajerów na pokładzie.

Postanowiłam coś przygotować. W naszej ogromnej rustykalnej kuchni obwieszanej dziesiątkami drewnianych szafeczek z wielkim trudem odnalazłam teflonową foremkę. Przygotowałam taką samą zapiekankę, jaką jedliśmy kiedyś u Leo: z makaronu, brokułów i żółtego sera. Wstawiona do lodówki czekała cierpliwie, aż wróci mój wygłodniały chłopak.

Trochę popływałam, ale zniechęciły mnie dziwne spojrzenia, które rzucał mi ogrodnik, i po kwadransie wyszłam z wody. Pewnie sądził, że te marne dwadzieścia stopni w cieniu to zbyt mało, aby pluskać się w basenie. Pomyślałam, że powinien się wybrać do Polski, nawet w lipcu potrafiło być tak zimno, że wszyscy paradowali w kurtkach z polaru.

Później zajęłam się rysowaniem. Przygotowałam szkicownik i ołówki. Na stoliku przed sofą ułożyłam dziwaczną kompozycję z owoców, które zalegały

w kuchni. Zasiadłam na sofie i włączyłam MTV, żeby coś brzęczało w tle, gdy będę pracować. Natrafiłam na program o nowych przebojach, już miałam przełączyć, gdy jeden z dwójki redaktorów prowadzących audycję zapowiedział piosenkę *Dalila*, która od tygodnia szturmowała sam szczyt listy przebojów „Billboardu”. Zszokowana wysłuchałam tej pięknej pieśni, którą jeszcze w grudniu puścił mi Leo.

Niski, dosyć tęgi młody chłopak śpiewał tak, że zapierało dech w piersiach. Razem z nim występowała śliczna dziewczyna, przewyższała go prawie o głowę. Mimo tych różnic wspaniale prezentowali się na scenie, oboje ubrani na czarno, on w garniturze, a ona w długiej, prostej sukience.

Siedziałam jak oczarowana, gdy znów na ekranie pojawiło się dwóch panów i zaczęli komentować to, co przed chwilą mogłam podziwiać. Jeden z nich stwierdził, że *Dalila* bazuje na motywach muzyki etno, a konkretnie romskiej, i że linia melodyczna nawiązuje do jednego z takich utworów. Zastanawiałam się gorączkowo, gdzie i kiedy mogłam słyszeć tę melodię, ale wtedy drugi redaktor dodał, że ponoć autorem tekstu, który w oryginale został napisany po angielsku, jest jeden z najpopularniejszych aktorów brytyjskich. Poczułam się, jakbym dostała w łeb. Leo?

Zerwałam się z sofy, ale natychmiast wróciłam na miejsce. Redaktorzy ciągle jeszcze spekulowali, kim mógłby być tajemniczy tekściarz-celebryta, ale w końcu dali za wygraną i zapowiedzieli następny utwór. Wyłączyłam telewizor.

– O co tu chodzi??? – Krążyłam po salonie, tłukąc się od ściany do ściany jak mucha. Nie powiem, żebym była w dobrym nastroju, nie podobała mi się ta sytuacja. Na pewno chodziło o jakąś kobietę, ale o kogo? I co wspólnego miał z nią Leo???

To musiała być jakaś tajemnica, skoro nic mi nie powiedział. Może to ja byłam tą tajemniczą Dalilą? Nie, to nie miało sensu. Szkoda, że tak słabo kojarzyłam treść utworu, słyszałam go zaledwie raz, i to w dniu, który skończył się bardzo burzliwie. Na pewno nie chodziło mu o mnie!

Musiałam po prostu poczekać, ale jak wytrzymać tyle godzin?

– Chwileczkę! Leo miał na pendrivie tę piosenkę! – Nagle sobie przypomniałam ...

* * *

Stałem w wąskiej uliczce na tyłach studia Silver i od dwóch minut pomstowałem na wszystko, na cały świat.

– Sam jesteś z drewna, idioto!!! – Kolejny raz kopnąłem w drzwi land rovera.

Byłem wściekły. Bynajmniej nie na samochód, lecz na siebie. Rickman miał rację, rzeczywiście dzisiaj zniżyłem się do poziomu dna. Grałem z wdziękiem drewnianej sztachety. Chyba nawet ona bardziej emocjonalnie by wypadła. Judith prawie mnie zabiła. Cztery razy powtarzaliśmy scenę i za każdym razem było coraz gorzej. Oczywiście wyłącznie z mojej winy.

– Niech to szlag! – Tym razem pięść wylądowała na bocznej szybie.

Otworzyłem drzwi. Gdzieś w schowku leżały czerwone marlboro kupione jeszcze w zeszłym roku. Ze zmiętej paczki wyciągnąłem papierosa i zapalniczkę. Ta jak na nieszczęście odmówiła posłuszeństwa. Rzuciłem nią o ziemię, żółty plastik rozprysnął się na kawałki.

– Co jest, Black? Zły dzień? – usłyszałem znajomy głos.

– Brian. – Podniosłem wzrok.

– Cześć. – Wyciągnął przed siebie dłoń trzymającą zapaloną zipo.

– Dzięki. – Zaciągnąłem się mocno. – Fajkę?

– Nie, dziękuję. Palenie szkodzi zdrowiu.

– Tak się boisz o siebie? – parsknąłem. – Jesteśmy jak grzyb na ścianie. Odradzamy się w nieskończoność.

Teraz on się roześmiał. Przez chwilę staliśmy, mierząc się wzrokiem. Blisko: oko w oko, twarz naprzeciw twarzy. Wypuszczałem smugi błękitnego dymu prosto w nos blondyna, aż w końcu odsunął się do tyłu. Wyglądał inaczej niż wtedy, w Norwegii. Zapuścił włosy. Opadały mu na czoło, przysłaniając cienką bladoczerwoną bliznę na łuku brwiowym. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że już kiedyś widziałem tego faceta. Próbowałem za wszelką cenę przypomnieć sobie, gdzie i kiedy, ale w końcu dałem spokój.

– Czego chcesz? Autograf?

– Nie, dzięki. Może innym razem, gdy będziesz w lepszej formie – stwierdził z przekąsem.

– To co? – Rozgniotłem niedopałek butem.

– Mam twoją kasę. – Wyciągnął z kieszeni złożony na pół gruby plik banknotów i kartę.

– Okej. – Zabrałem pieniądze i z trudem wepchnąłem do kieszonki portfela.

– Wiesz coś o Jacku?

- Nie, a wy?
- Też go nie namierzyliśmy. Pewnie zaszył się gdzieś jak szczur i czeka na następne wcielenie Dorothy. Coś jeszcze?
- Co u Anny? – Brian spoglądał na mnie z obojętnym wyrazem twarzy.
- Wszystko w porządku.
- Odwołaliście ślub?
- Nie twój biznes.
- Może nie, może tak.
- O co ci chodzi? – warknąłem.
- Póki Anna jest wolna, wszystko może się zdarzyć.
- Liczysz na to, że będzie z tobą? – Parsknąłem śmiechem. – Coś się zmieniło od naszej ostatniej rozmowy?
- Tak. Wiem, że ona też coś do mnie czuje.
- Skąd takie wnioski?
- Kto ma uszy, niechaj słuca – rzucił cytatem z Biblii. – Spotkaliśmy się w Londynie, jechała gdzieś podobną furą. – Kopnął oponę land rovera.
- Wiem, powiedziała mi – skłamałem, starając się zachować kamienną twarz. Do dzisiaj Anna nie miała pojęcia o tym, że widziałem to nagranie.
- Ciekawe, czy zwierzyła ci się ze wszystkiego? – prychnął. – Żałuj, że nie słyszałeś, co wtedy do mnie mówiła. Jak mnie wołała, śpiewała w myślach... Chyba że to też ci opowiedziała? Albo o Einarze, ile razy próbowała mi to przekazać? Dziesięć? Może więcej?
- Jestem pod wrażeniem – wykrztusiłem.
- Wiesz, kto to jest Agalope? To syrena. Anna jest taką moją syreną, śpiewa do mnie, wabi. Na razie trzymam się od niej z daleka, ale pamiętaj: czekam i jestem cierpliwy. Dobrze ci radzę, Black, uważaj. Jeden błąd i ona będzie moja.
- Zapomnij – wycodziłem przez zaciśnięte zęby.
- Wyluzuj, bo ci się rana rozejdzie. – Musnął mnie dłonią w lewe ramię. W ułamku sekundy chwyciłem go za nadgarstek.
- Trzymaj się od Anny z daleka – warknąłem. Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem, w końcu puściłem jego rękę.
- Nie mów jej o tym, że się spotkaliśmy – powiedział, rozcierając nadgarstek.
- To mogę obiecać – zaśmiałem się pod nosem.
- W takim razie ja się zbieram. Cześć. – Wyciągnął dłoń.

– Cześć. – Uścisnąłem ją tak, że zatrzeszczały kości.

Wsiadłem do land rovera. Brian ciągle stał i patrzył na mnie. Uchyliłem okno. – Coś jeszcze?

– Pamiętaj Black, jeden błąd...

Jego głos ucichł zagłuszony rykiem silnika.

– Hej...

Anna siedziała na sofie, przed nią stała butelka z winem. Opróżniona do połowy.

– Hej. – Przysiadłem na bocznym oparciu. Nie miałem siły na nic, najchętniej położyłbym się gdzieś i przespał całą dobę.

– Jesteś głodny?

– Nie. – Pokręciłem głową.

– Chcesz wina?

– Nie, dziękuję. Chyba nic nie chcę. – Podniosłem się z kanapy. Zdjąłem marynarkę i rzuciłem na siedzenie.

– Jesteś na mnie zły?

– Jestem, ale nie na ciebie – odburknąłem. – Idę pod prysznic.

– Jak scena?

– Nijak, nie nagraliśmy.

– Nie? – Popatrzyła na mnie z niedowierzaniem.

– Nie. I proszę, nie pytaj dlaczego.

Poszedłem do łazienki, czułem się jak wrak. Stałem przed lustrem. Ujrzałem faceta ze zmiętą twarzą, Leo Blacka, nieudolnego aktorzyne. W głowie wirowały myśli: Brian i Anna, dla mnie Wilczek, a dla niego syrena. Agalope.

– Co za cyrk... – burknąłem, z niedowierzaniem kręcąc głową.

Ściągnąłem przepocony T-shirt i przez chwilę przyglądałem się bliźnie na lewym ramieniu. Ciągle było ją widać. Eva, moja osobista charakteryzatorka, przez pół godziny próbowała zatuszować wciąż jeszcze sinoczerwoną szramę, niestety bez sukcesu.

– Nawet na prysznic nie mam sił – wymamrotałem do swojego odbicia i odwróciłem się na pięcie.

– Co robisz? – Patrzyłem ze zdumieniem na Annę, która właśnie trzymała w dłoni mój wypchany portfel. Kilka studolarówek upadło na dywanik, widocznie przy otwieraniu.

– Szukałam pendrive’a – wyjąkała z zażenowaniem.

– Po co? Przecież ci mówiłem, że nic nie nagraliśmy. Nie wierzysz mi?

– Wierzę.

– To po co ci on?

– Chciałam coś sprawdzić... – Nagle zamarła. – Leo, skąd masz tyle pieniędzy?

– Czy to ważne? Przecież nie ukradłem. Możesz mi go oddać? – Wskazałem brodą na portfel.

– Tak, proszę. Poczekaj, weź jeszcze to. – Szybko pozbierała leżące banknoty.

Pieczołowicie upychałem je w kieszonce, ale nie chciały się pomieścić. W końcu wyciągnąłem cały plik i rzuciłem na blat stolika. Przez moment razem z Anną gapiliśmy się na dziesiątki wizerunków prezydenta Franklina. Nagle zauważyłem, co właśnie zajmowało uwagę mojej dziewczyny. W skupieniu przyglądała się, jak powietrze z klimatyzatora delikatnie rozwiewa cały stosik. Przebiegała powoli wzrokiem po każdej studolarówce.

– Pięćdziesiąt – ułatwiłem jej sprawę.

– Widziałeś się z nim?! – Podniosła na mnie wzrok.

– A nawet jeśli, to co z tego?

– Dlaczego mi nie powiedziałaś? – zabrzmiało jak wyrzut.

Tylko spokojnie! Oddychałem głęboko, starając się opanować. Nie daj się sprowokować! Nie pozwól na to!

– Leo, dlaczego mi nie powiedziałaś?! – powtórzyła Anna, wyraźnie podnosząc głos.

– Może nie zdążyłem?! Dziś się spotkaliśmy, jakąś godzinę temu.

– Nie zdążyłeś? – Pokiwała głową z politowaniem.

– Prosił mnie o dyskrecję. Miałem ci nic nie mówić – wyrzuciłem z siebie po dłuższej chwili.

Wiedziałem, że mi nie wierzy. To było widać w jej oczach. Krew zaczęła coraz szybciej krążyć w moich żyłach, chociaż starałem się utrzymać kontrolę. Żeby dać sobie trochę czasu, postanowiłem odwrócić jej uwagę.

– Po co ci mój pendrive? Nie odpowiedziałaś. Co chciałaś sprawdzić?

– Nieważne. Jeszcze nie skończyliśmy rozmawiać o Brianie.

Boże, jeszcze chwila i... Na moment zacisnąłem mocno powieki, a później zęby i pięści, i tak pięć razy, wszystko oddzielone powolnymi oddechami. Znow jakoś udało mi się oddalić moment detonacji. Usiadłem w fotelu naprzeciwko Anny, nalałem sobie trochę wina i powoli je wypilem.

– No dobrze, pogadajmy. Skoro tak bardzo nalegasz, żeby wszystko wyjaśnić, zrobimy to. Zacznijmy od początku. Najpierw ty: dlaczego grzebałaś w moich rzeczach? – Powiedziałem to najspokojniej, jak tylko mogłem.

– Bo coś ukrywasz przede mną! – wypaliła Anna.

– Wiesz, że nic cię do tego nie upoważnia, nawet gdyby tak było. – Nachyliłem się nad blatem, żeby wypaść bardziej przekonująco.

– Ale tak jest, Leo! – Jej głos zadrżał ze zdenerwowania. – Powiedz mi, chodzi o jakąś kobietę? Tak? Masz kogoś na boku?

– Co? – Otworzyłem oczy ze zdumienia. – Jaką kobietę? Dziewczyno, co ty mówisz? Chyba raczej to ty masz ten problem? Wiecznie słucham o Brianie. Ten koleś ciągle się kręci wokół nas, a raczej wokół ciebie, i nie daje nam spokoju. Staram się, jak mogę! Szukałem go, jeszcze dzisiaj rano sprawdzałem konto, bo mnie prosiłaś, ale moja dobra wola w ogóle się nie liczy! Ciągle to ja jestem ten zły, zazdrosny, a teraz na dodatek coś przed tobą ukrywam. Możesz mnie sprawdzać, przetrząsać mi kieszenie. Tobie wolno wszystko, mnie nic. Nawet się odezwać! – Walnąłem pięścią w stół tak mocno, że aż podskoczyła butelka. Cholera! Jednak się nie udało! – przekląłem w duchu.

– Ty też mnie kontrolujesz! Jestem jak pies na smyczy! Albo z Mikiem, albo z innym aniołem stróżem! – wrzasnęła Anna i tak samo jak ja uderzyła w szklany blat. – Wiesz, co mi powiedziała Wiktoria?!

– Nie wiem i nie interesuje mnie to. Kocham cię! Dobrze wiesz, że robię wszystko tylko ze względu na twoje bezpieczeństwo – warknąłem.

– Nie potrzebuję twoich dozorców, sama dam sobie radę!

– Z pewnością... – Przymrużyłem oczy, choć wiedziałem, że tym ją wkurzę jeszcze mocniej. – Kiedyś chciałaś wybiec na środek ulicy. Nawet gdyby żaden Habbatum ci nie zagrażał, wpadłabyś pod samochód, bo tak bardzo chciałaś polecieć za Brianem – wycedziłem.

Tak, to był bardzo celny strzał. Widziałem, że trafiłem idealnie, w samą dziesiątkę. Przez moment Anna aż przestała oddychać z wrażenia.

– Brian ci to powiedział?! Nie wierzę! – Pokręciła głową. – To na pewno ona, Natasza! Powiedz, bo i tak się kiedyś dowiem!

– Owszem, Nat, ale zrobiła to...

– Wiedziała! Czuję, że wygada. – Słyszałem triumf w głosie Anny. – A ty udawałaś, że o niczym nie wiesz! Co za hipokryzja!

– Boże! Kochanie, opanuj się! Przecież gdybym ci powiedział, znów byś mnie oskarżyła, że jestem zazdrosny, a ja chciałem cię tylko chronić! – Chwyciłem się za głowę.

– Uważaj, bo ci uwierzę – fuknęła pod nosem.

Na moment oboje zamilkliśmy. Widziałem, że Anna nad czymś intensywnie myśli. Ja też myślałem. Na końcu języka miałem zarzut, że ten jej ukochany Brianek to kłamliwy gad w śliskiej skórce. Już wczoraj przestałem wierzyć w jego opowiadanie, jak to Anna marzyła o mnie w trakcie ich pocałunku. Nic takiego nie miało miejsca, sam słyszałem ubiegłego wieczoru. Pewnie chciał ją wybielić, a moja łatwowierność musiała sprawić mu sporo satysfakcji. Poczuję się jak ostatni frajer.

– Dlaczego nic nie mówisz? – Anna przerwała moje niewesołe spostrzeżenia.

– Nie mam nic do powiedzenia. Jeśli oczekujesz przeprosin, zapomnij – burknąłem.

– Tak?! – Jej oczy znów zaczęły ciskać błyskawice. – To teraz posłuchaj, Leo. Mam tego dość! Jestem jak pieprzona księżniczka w jeszcze bardziej pieprzonej szklanej wieży! Otaczasz mnie tym wszystkim – machnęła ręką. – Domami, kasą, ciuchami i Bóg wie jeszcze czym, a ja mam być grzeczna, siedzieć w domu pilnowana jak niewolnica, podczas gdy ty walasz się po łóżku z nagą Judith Durant i szyjesz sobie romans z jakąś czarnulą o aksamitnych włosach!

– Jaka czarnula? – Wybałuszyłem oczy.

– Dość! – Anna zerwała się z sofy i wybiegła z salonu, krzyżąc po drodze, że w nosie ma moją fałszywą troskę o jej bezpieczeństwo i mnie samego.

Oczywiście natychmiast za nią pobiegłem. Zamknęła się w naszej sypialni.

– Proszę cię, otwórz. Porozmawiajmy spokojnie. Błagam! – Stałem i jak najdelikatniej pukałem w drzwi. – Nie ma żadnej czarnuli. Otwórz!

– Nie! Daj mi spokój i odejź. Idź sobie!

Słyszałem, że się miota, biegając po pokoju.

– Okej. Już odchodzę. Będę w salonie. Gdy się uspokoisz, chętnie porozmawiam i wyjaśnimy sobie wszystko.

Nie wiem, jak udało mi się to powiedzieć. Nie mam pojęcia. Byłem tak dumny z siebie, jak nigdy w życiu: potrafiłem się opanować! „Brawo, Leo!” –

gratulowałem sobie w duchu. Jeszcze rok temu pewnie rozwalilibym te drzwi i wpadł do środka, ale nie dzisiaj! Żadnych błędów, panie Black! Żadnych błędów! No, prawie żadnych, nie licząc tego grzmotnięcia w stolik, ale cóż, nie od razu Rzym zbudowano.

W sumie cieszyłem się, że tyle trupów wypadło z szafy. Atmosfera może nie do końca się oczyściła, ale za to błyskawicznie. Postanowiłem spokojnie poczekać na moją ukochaną furiatkę. Boże! Ależ ona miała temperament. Aż uśmiechnąłem się do siebie. Jeszcze tylko trzeba wyjaśnić, o co jej chodziło z tą czarnulą, i chociaż jedna rzecz w tym okropnym dniu powinna szczęśliwie się zakończyć.

Spokojnie pobierałem wszystkie nieszczęsne banknoty i wrzuciłem do pierwszej lepszej szuflady. Zerknąłem na zegarek: jakieś dziesięć minut upłynęło, od kiedy moja „pieprzona księżniczka ze szklanej wieży” trzasnęła drzwiami. Już miałem usiąść i włączyć jakiś film, żeby na nią poczekać, gdy nagle usłyszałem ciche pukanie.

– Hej, wiem, że przeszkadzam, ale to chyba coś ważnego. – Mike wszedł do salonu.

Nigdy mu się to jeszcze nie zdarzyło. Szczerze mówiąc, od razu pomyślałem, że słyszał naszą kłótnię i przyszedł sprawdzić, czy się nie pozabijaliśmy.

– Co jest? – burknąłem niezbyt przyjaźnie.

– Jest tu jakaś babka. Przyjechała wypasionym merolem. Stoi przed bramą już pewnie z pół godziny i nie chce odjechać. Mówiłem jej, że jak nie zniknie, wezwę policję. Wtedy powiedziała, że odjedzie, ale najpierw mam ci to dać. – Podał mi złożoną na pół kartkę. – Czeka na odpowiedź.

– Mike! Nie masz co robić, tylko zawracać mi głowę!?! To pewnie jakaś kolejna napalona wariatka! – Rozgiąłem niewielkich rozmiarów fotografię.

Przez moment patrzyłem na bardzo dziwaczne ujęcie: kobieta ze skrzyżowanymi na twarzy dłońmi pozowała do aparatu. Już miałem oddać fotkę mojemu ochroniarzowi, gdy nagle zauważyłem coś na nadgarstku tej dziewczyny.

– Mike! Czy ona coś mówiła? Przedstawiła się?

– Tak. Dalia, Lilia czy jakoś tak? – Mike patrzył na mnie z filozoficznym spokojem.

– Leć i wpuść ją natychmiast! Otwórz bramę! Cholera! Gdzie moja koszulka?

Właśnie uświadomiłem sobie, że już prawie od godziny paradowałem po domu tylko w opuszczonych spodniach. Wpadłem jak oparzony do łazienki, miotając się w poszukiwaniu czegokolwiek. Nawet nie mogłem założyć z powrotem brudnego T-shirtu, bo wrzuciłem go do zsypu na pranie. Niech to szlag! Przypomniało mi się, że wszystkie ciuchy trzymałem w naszej sypialni. Pobiegnę pod drzwi.

– Anna! – Zapukałem. – Możesz otworzyć? Potrzebuję wejść na moment.

– Zaraz...

– Okej. – Nerwowo wpatrywałem się w klamkę.

– Leo!!!

– Co jest?! – odkrzyknąłem w kierunku dobiegającego głosu Mike’a.

– Możesz tu podejść? Muszę iść zamknąć wjazd. Brama znów się zacięła.

– Idę... – Szybko wybiegłem z małego holu między sypialnią a łazienką i skręciłem do korytarza przy drzwiach wejściowych, skąd przed chwilą wołał mnie mój ochroniarz.

Stanąłem jak wryty...

– Leo Black? Jestem. Wiem, że mnie szukałeś. – Kobieta powoli podeszła i podała mi dłoń.

Bezwiednie jej dotknąłem.

– Dalila?

I właśnie wtedy za plecami usłyszałem zbliżające się kroki...

* * *

Musiałam zostać sama, chociaż na chwilę...

Słowa Leo dudniły w głowie: *Gdy się uspokoisz, chętnie porozmawiam i wyjaśnimy sobie wszystko.*

Gdy się uspokoisz...

No co za dupek?! Potraktował mnie protekcjonalnie, jak jakiegoś dzieciaka!

Ze złości kopnęłam drzwi szafy. Białe drzwiczki z cieniutkich deseczek otworzyły się pod wpływem uderzenia. Przez chwilę patrzyłam na dziesiątki sukienek powieszonych w idealnie równych rzędach. Już wiedziałam, co zrobić. Z trudem zdjęłam, a raczej zrzuciłam z wysokiego pawlacza moją wielką walizę.

Ciuchy zrywane z wieszaków chaotycznie lądowały w jej wnętrzu i nie wiadomo kiedy cała się zapełniła. Stosy ubrań rozciągały się po obu jej

stronach.

Sukienka? W kwiatuszki. Ta, w której byłam w Sopocie? Usiadłam na łóżku i wzięłam do rąk bawełnianą szmatkę w kolorze wrzosu.

– Och, Leo... – łkałam, wycierając łzy miękką tkaniną. – Boże... Leo, co ja mam z tym wszystkim zrobić?

Powoli przypominałam sobie całą naszą rozmowę. Ależ się narobiło! Mój narzeczony wiedział o wszystkim! A Natasza!?! Też niezłe ziółko, jak mogła tak mnie wydać? Chociaż z drugiej strony, pewnie musiała. Leo na pewno ją przekonał! Tak naprawdę miał powody: po prostu bał się o mnie...

Kocham cię! Dobrze wiesz, że robię to tylko ze względu na twoje bezpieczeństwo... Chciałem cię tylko chronić...

Tia... Jasne, chronić... Przed Brianem!

Brian...

Już dwa razy miał okazję, żeby się ze mną spotkać, i co? I nic! Leo nie kłamał, pewnie faktycznie tak było, to Brian poprosił go o dyskrecję! Przecież gdyby chciał się ze mną zobaczyć, zrobiłby to już wtedy w Londynie. Mógł zatrzymać samochód, a nie odstawiać ten cyrk z alfabetem Morse'a.

Możesz mnie sprawdzać, przetrząsać mi kieszenie, tobie wolno wszystko, mnie nic...

Ja też zawaliłam! Co za zachowanie? Poniżej jakiegokolwiek poziomu! Po co grzebałam w tej cholerniej marynarce? Jakie licho mnie podkusiło!?! Mogłam po prostu spytać, o co chodzi z tą piosenką. Poza tym wcale nie musi chodzić o Leo! Znanych brytyjskich aktorów jest pewnie z setka, a może ci kolesie z MTV coś sobie ubzdurali!?

No to niezłe nawywijałam! Już wiem! Czyżby to wszystko przez ten cholerny PMS!?! Tak, to jest właśnie przyczyna. Przypomniałam sobie akcję sprzed równego miesiąca, też dałam wtedy do wiwatu.

Ciągle to ja jestem ten zły, zazdrosny, a teraz na dodatek coś przed tobą ukrywam...

– Leo... Mój kochany, biedny Leo... – chlipnęłam żałośnie. – Tak cię potraktowałam, a to ja byłam zła, to ja byłam zazdrosna i to ja przed tobą coś ukrywałam.

Muszę go przeprosić, a poza tym jestem żalosną kretynką i żadne PMS-y tego nie usprawiedliwiają. Gdy doszłam do tego wniosku, podniosłam się z łóżka.

– Zachowałam się strasznie i równie koszmarnie wyglądasz, Anno, ciągle

jeszcze Wilk – westchnęłam do odbicia w niewielkim lustrze zawieszonym nad komodą.

Rozczochrane włosy, przypadkowo dobrane zielone szorty i biały top lekko zaplamiony sosem z zapiekanki – tak właśnie się prezentowałam. Twarz? Jeszcze gorzej. Upiór? Może raczej salamandra plamista, tylko w innym wariacie kolorystycznym. Nie żółto-czarna, a raczej biało-czerwono-czarna. Błede oblicze, pokryte czerwonymi plackami i ozdobione dwoma efektownymi półksiężycami z rozmazanego tuszu.

– Puk, puk...

Ktoś zastukał do drzwi tak energicznie, że aż podskoczyłam.

– Anna! – To Leo gwałtownie przerwał moje skrupulatne oględziny krajobrazu po bitwie. – Możesz otworzyć? Potrzebuję wejść na moment.

– Zaraz...

Jak one to robią, te wszystkie aktorki? Nawet gdy płaczą, wyglądają jak księżniczki: idealne buzie i tylko te wyczelowane kropelki łez wiszące na perfekcyjnie czarnych rzęsach. Szybko starłam tusz. Nie wyglądało to jakoś istotnie lepiej, ale do zniesienia. Otworzyłam drzwi, ale nikogo przed nimi nie było.

– Leo? – Ostrożnie wychyliłam głowę i rozejrzałam się na boki.

Powoli doszłam do końca holu...

Nie wiem, ile to trwało? Może minutę? A może pięć?

W życiu każdego człowieka są takie chwile, gdy czas przestaje normalnie funkcjonować. Niewyobrażalnie się wlecze, cedząc każdą sekundę jak przez do cna zapchane sitko, albo wręcz odwrotnie: gna jak „Sokół Millennium” w nadprzestrzeni, zostawiając za sobą białe kreski rozmazanych gwiazd.

I jest jeszcze trzeci wariant.

Mój.

Czas staje w miejscu, całkowicie. Serce przestaje bić, płuca falować, krew krążyć w żyłach... I tylko myśli...

Tylko one nie chcą się poddać i płyną...

Stali tam, na końcu korytarza: ona i on, i trzymali się za ręce. Oboje piękni jak marzenie. Jeszcze nie widziałam tak powalającej urodą kobiety. Wysoka, szczupła, śniada, z czarnymi sięgającymi talii włosami, lśniącymi jak skrzydło kruk, z oczami w kształcie migdałów ocienionymi wachlarzem czarnych rzęs, z malinowymi ustami pełnymi skrywanych tajemnic. I mój ukochany: bosy, z nagim umięśnionym torsem i dzinsami lekko opadającymi z bioder.

Romeo i Julia? Tristan i Izolda? A może... Samson i Dalila?

Zamknęłam oczy, ale ten obraz dalej tkwił w mojej głowie, a wraz z nim przypłynęły nie wiadomo skąd słowa wypowiedane przez Leo:

*Moja droga Dalilo, nie pytam, co u Ciebie,
wybacz, proszę, ten nietakt.
Być może kiedyś się zobaczymy, a wtedy
opowiesz mi wszystko i już nie odejdę...*

Jak automat odwróciłam się i skierowałam do sypialni. Znów przekręciłam klucz w zamku. Zamknęłam walizkę, metodycznie sprawdziłam zawartość małej podręcznej torebki: dokumenty, chusteczki do nosa, portfel, saszetka z pieniędzmi od mamy, telefon... Wszystko było na miejscu. Założyłam ją na ramię, przez chwile ogarnęłam wzrokiem pokój: nasze wielkie białe łóżko przykryte pikowaną kapą, a teraz zarzucone stosem moich ubrań, które nie chciały się zmieścić do walizki, otwartą szafę, lawendowe ściany obite u dołu białą boazerią, muślinowe firanki...

W końcu podeszłam do drzwi, klucz zachrobotał cicho.

Czy Leo nie próbował mnie zatrzymać?

Wydaje mi się, że tak. To chyba on pukał, a może nawet łomotał do drzwi, gdy ponownie schroniłam się w sypialni. To chyba Leo stanął mi na drodze, gdy chciałam przedostać się do wyjścia z naszego pięknego, białego domu. To chyba mój ukochany błagał mnie, żebym się zatrzymała, twierdząc, że wszystko mi wyjaśni. Wykrzykiwał coś o piosence, o Krisie, o Wędrowcach, o Dalili...

Niestety, ja słyszałam w głowie tylko te jego słowa:

*Moja droga Dalilo, nie pytam, co u Ciebie,
wybacz, proszę, ten nietakt.
Być może kiedyś się zobaczymy, a wtedy
opowiesz mi wszystko i już nie odejdę...*

Zamilkł dopiero wtedy, gdy zdjęłam z palca pierścionek i włożyłam go do ręki tej pięknej czarnowłosej kobiecie. Dopiero wtedy mój ukochany Leo dał za wygraną. Spokojnie przyglądał się, jak wyciągam z portfela kartę, którą kiedyś mi ofiarował, i kładę ją na niewielkim tekowym stoliczku stojącym

w holu, jak dzwonię po ochroniarza i jak razem z nim wychodzę z domu...

– Gdzie jedziemy? Znaleźć ci jakiś hotel? – Mike zerknął na mnie.

Odwróciłam twarz. Nie chciałam, żeby widział, że płaczę. W bocznym lusterku zobaczyłam dwa skrzydła bramy, którą właśnie minęliśmy. Zbliżały się powoli, aż w końcu zlały się w jedną ciemną całość. Zamknięte. Koniec.

– Zawieź mnie na LAX.

– Na lotnisko? – upewnił się.

– Tak. – Popatrzyłam na niego.

– Chcesz lecieć do Londynu?

– Tak.

– Mała, nie wiem, co tam zaszło między tobą i Blackiem, ale to chyba nie jest dobry pomysł. Zawiozę cię do jakiegoś hotelu, a jutro rano, jak się wyśpisz, pogadacie i wszystko sobie wyklarujecie. Co ty na to? – Mike podrapał się nerwowo po siwej szczecinie.

– Nic. Dzięki za radę, ale nie skorzystam. Zawieziesz mnie na to lotnisko czy mam wezwać taksówkę? – Postanowiłam mu ułatwić podjęcie decyzji.

– Okej. Jedziemy. – Powoli ruszył. Wyjechaliśmy z wąskiej uliczki.

Godzinę przed północą, oświetlone jak na karnawał Rio, Los Angeles tętniło życiem. Mknęliśmy bulwarem Santa Monica, mijając po drodze wszystkie te od niedawna znane mi już miejsca: Hollywood Center Studios, willową dzielnicę Beverly Hills...

– Halo? – Mike zaczął z kimś rozmowę.

Od razu się domyśliłam, kto tkwił po drugiej stronie słuchawki.

– Wjechałem na czterystąpiątkę... Nie... LAX... Uhm... Próbowałem... Chciała wezwać taksówkę... Nie... Rozumiem... Mam, dobra... Okej, wiem, wiem! Zrozumiałem! Cześć.

Mike chyba coś układał sobie w głowie, bo dopiero po minucie wyartykułował:

– Lecę z tobą.

– Chyba żartujesz? – Parsknęłam śmiechem przez ciągle kapiące łzy.

– Nie.

– Nie ma mowy!

– Leo mi kazał, mam odprowadzić cię pod same drzwi domu.

– Mike, daj spokój. Podrzuc mnie na LAX i wracaj – burknęłam.

– Chyba po wypowiedzenie? Zwolni mnie z roboty, jak cię nie dowiozę do Londynu. Zapowiedział mi.

– Żartował.

– To nie były żarty.

– Okej, zastanowimy się na lotnisku – sapnęłam, żeby wreszcie dał mi spokój.

– Na pewno wiesz, co robisz?

– Tak.

Ostatnie piętnaście minut spędziliśmy w kompletnym milczeniu...

* * *

Nie żyłem.

Siedziałem w salonie na tej samej kanapie, na której jeszcze przed dwiema godzinami siedziała Anna. Piłem wino z tego samego kieliszka, z którego jeszcze przed dwiema godzinami piła Anna, i nie żyłem...

Podniosłem wzrok na kobietę, która naląła mi wina. Dalila, ukochana mojego przyjaciela. On właśnie odzyskał miłość swojego życia, a ja straciłem. Przez jeden błąd? Nie, chyba było ich znacznie więcej.

– Drogi Leo... – Dalila podeszła do mnie i usiadła tuż obok. – Przepraszam. To przeze mnie. Nie wiem, co powiedzieć, tak bardzo mi przykro. Tym bardziej że tyle dla mnie... dla nas, zrobiłeś. Gdybym wiedziała, że tak się to skończy, pojechałabym prosto do niego do Londynu. Byłam głupia. Nie wiem, czego się bałam i czego nadal się boję.

Położyła na stoliku pierścionek Anny.

– Nie mogę bez niej żyć – wycedziłem przez ściśnięte do bólu gardło.

– Pojadę do niej, wyjaśnię. Czuję się winna tej sytuacji.

– To nie przez ciebie. Przecież widziałaś, ona już się spakowała. Wcześniej podjęła decyzję. Nie chce być ze mną, zerwała zaręczyny. – Zamknąłem oczy, czułem łzy zbierające się pod powiekami, zupełnie jak te drobinki wspomnień z mojej piosenki: kłuły i piekły, chcąc się uwolnić. Próbowałem je zatrzymać, ale nie pozwoliły mi na to.

Dalila dotknęła mojego ramienia, delikatnie głaszcząc miejsce z jeszcze ciągle bolesną blizną, i zaczęła mówić. Jej głos brzmiał tak spokojnie, jakby zwracała się do płaczącego dziecka, a nie dorosłego mężczyzny.

– Leo, to nie tak. Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Ona wróci do matki,

spokojnie to sobie przemyśli, daj jej troszkę czasu. Każdy z nas go potrzebuje, jedni mniej, a inni trochę więcej. Czasami nie dostrzegamy pewnych rzeczy, dopóki nie zacznie nam ich brakować. Coś, co pozornie wydaje się doskonałe lub pożądane ponad wszystko, nagle okazuje się nieistotne, a to, co uważaliśmy za oczywistość, za stale obecne w naszym życiu, nagle gdzieś znika. I dopiero wtedy odczuwamy brak, wyrwę w sercu. Pozwól jej za sobą zatęsknić.

– Nie mogę bez niej żyć – powtórzyłem. – Ona jest wyjątkowa. Mówiła do mnie myślami, słyszałem to...

– Każda z nas jest wyjątkowa, każda z kobiet plemienia Eperu. Jeszcze się o tym przekonasz. Poczekaj na Annę, zasługujesz na nią, daj jej tylko trochę czasu.

Siedziałem zasepiony. Popadłem w taką apatię, że nawet dzwonek telefonu, który zabrzmiał jak fanfary, nie był w stanie mnie z niej wyrwać. W końcu sięgnąłem po aparat. Odebrałem natychmiast, gdy zobaczyłem, kto dzwoni.

– Halo? Leo?

– Co się stało? Gdzie jesteście? – Wiedziałem, że coś jest nie tak. Mike był zdenerwowany.

– Ja wracam, a Anna jest w samolocie.

– Nawet tego nie mów! Miałeś z nią lecieć! Ona nie może być sama! Wracaj na lotnisko, może jeszcze zdążysz! – ryknąłem do słuchawki, aż coś zatrzeszczało.

– Leo, spokojnie. Daj powiedzieć. Ona nie jest sama.

– Co ty bredzisz? – Zerwałem się na równe nogi.

– Tak jak mi kazałeś: poszedłem z nią do kas. Tylko w Delcie były wolne miejsca, i to w pierwszej klasie. Kupiłem dla siebie bilet i natychmiast pobiegłem do Anny, bo stała przy innej kasie. Okazało się, że zabrakło jej pieniędzy. Oczywiście zaproponowałem, że dam jej braku...

– Do rzeczy!!! – Prawie zmiądzylem telefon.

– No i wtedy podszedł do niej jakiś facet i po prostu kupił jej ten bilet!

– Chryste, Mike! Jaki facet?! Dlaczego ją zostawiłeś?! – Krążyłem po pokoju i wrzeszczałem jak opętany. – Miałeś z nią lecieć!

– Ten koleś krzyknął, że mam w bucie nóż, no i dwóch pałkarzy od razu mnie zgarnęło do wyjaśnienia. Gdy wróciłem, już ich nie było.

– Co?! – zapałem jak Farinelli. – Zostawiłeś ją z jakimś obcym gościem?!

– Zatrzymałem się przy stoliku i kopnąłem w bok sofy.

– To był jakiś jej znajomy, zapomniałem imienia. Wysoki, blondyn, młody...

– Brian? – Ledwie to wycedziłem.

– Tak, Brian...

A potem...

Telefon wypadł z ręki... Miałem wrażenie, że to widzę: swoją pustą dłoń, aparat telefoniczny odbijający się od szklanego blatu i zawisający na chwilę nad kamienną posadzką, zanim rozprysnie się na kilka fragmentów lądujących tuż obok kominka...

Czas stanął w miejscu.

Gdy usiadłem obok Dalili i zacząłem opowieść, od pierwszej chwili, od momentu gdy w ten słoneczny dzień w Cannes zobaczyłem Annę...

(...) z okiem/ Jak gwiazda, z włosów wokół zmrokiem,

Gdy wszystko inne w jej rozkwicie

Miało wzór w dniu majowym, w świecie;

I kształt ten, choć pogodą łudził,

Nawiedzał, nękał, ze snu budził.

Z bliska ujrzałem, że to dziwo

Jest Duchem, lecz zarazem żywą

Dziewczyną – która ze swobodą

Niewinną dąży, dokąd wiodą

Młodzieńcze kroki (...) ¹

Gdy nie poszliśmy spać tej nocy z Dalilą, bo chciałem wszystko jej opowiedzieć.

Gdy rankiem zaprosiłem ją do kuchni i siedzieliśmy, patrząc, jak słońce przegania ostatnie cienie nocy.

Gdy zaparzałem kawę, choć nie była nam potrzebna, wszak nie byliśmy zmęczeni.

Bo czas ciągle stał w miejscu...

Gdy zadzwoniłem do Krisa i poprosiłem, żeby przybył tu jak najszybciej.

Gdy pojechałem do studia i usiadłem przed wielkim lustrem.

Gdy widziałem w nim odbicie oczu naszej charakteryzatorki, która ze zdumieniem patrzyła na moje lewe ramię bez śladu blizny, ze skórą równie gładką jak na prawym.

Czas ciągle stał w miejscu...

Gdy położyłem się do łóżka, tuż obok pięknej nagiej kobiety, z którą miałem być pierwszy raz, dla której to ja miałem być tym ukochanym, wyśnionym.

Gdy zamknąłem oczy i wtedy zobaczyłem ten obraz, znów po raz pierwszy usłyszałem z ust Anny te słowa: *Kochaj się ze mną...* i popłynąłem: całowałem ją, pieściłem, dotykałem całym sobą, całą duszą.

Czas ciągle stał w miejscu...

Gdy w końcu spłoszona Judith szepnęła mi do ucha: – Leo, co się dzieje?

Gdy Rickman podszedł i przez minutę ścisnął mi dłoń, z niedowierzaniem kręcąc przy tym głową.

Gdy wszyscy w kompletnym milczeniu patrzyli, jak wychodzimy z Judith ze studia.

Gdy chwilę później zerwali się z miejsc i zaczęli bić nam brawo.

Czas ciągle stał w miejscu...

Gdy wróciłem do domu, wszedłem do naszej sypialni i znalazłem leżącą na łóżku sukienkę, którą ona miała na sobie wtedy...

Wtedy pierwszy raz dotknąłem jej piersi.

Wtedy byliśmy razem, tam nad morzem.

Nagle uświadomiłem sobie, że już na zawsze zostanę tu, w tym fioletowym pokoju: siedząc na łóżku, zatopiony we wspomnieniach, tuląc do twarzy liliową sukienkę.

I że już nigdy nie ruszę się stąd, tak jakby czas na zawsze stanął w miejscu...

Rozdział 9

Ucieczka z raju

Los Angeles znikało: oddalało się z każdą minutą, coraz słabiej widoczne w oknie samolotu niosącego mnie do Londynu. Nie mogłam pojąć, dlaczego nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, przestałam bać się latania. Dopiero teraz, właśnie w tej chwili to sobie uświadomiłam. Może dlatego, że byłam nieśmiertelna? A może sprawił to mężczyzna, który siedział obok mnie?

– Dobrze się czujesz? – Powoli odwróciłam głowę opartą o opuszczony zagłówek fotela. – Anno? – Brian delikatnie dotknął mojej ręki.

Popatrzyłam na niego. Wyglądał tak dziwnie: znajomo, a jednak nieznajomo. Zbyt długo się nie widzieliśmy czy wzrok odmawiał mi posłuszeństwa? Ciągłe jeszcze przy każdym mrugnięciu czułam to nieznośne szczypanie pod powiekami, stale wymagające kolejnej porcji łez. Niestety, te chyba już się wyczerpały.

– Nie wiem – powiedziałam beznamiętnie.

Z równą obojętnością przyglądałam się, jak Brian chwyta moją lewą dłoń i zaczyna przesuwać kciukiem po kolejnych kosteczkach palców. Oboje patrzyliśmy na prawie niewidoczny ślad po pierścionku, który delikatnie odcinał się od mojej bladej skóry. Ale nawet gdyby w ogóle nie było go widać, i tak wiedzielibyśmy, że tam jest. Puste miejsce po cienkim metalowym kółeczku. Po mojej wielkiej miłości.

– Nie wiesz? – spytał.

– Nie. Czuję się pusta jak czysta kartka. Jak człowiek, który nie wie, kim jest i nawet nie zna swojego imienia. – Spojrzałam na Briana. – A ty jak się nazywasz? Kim jesteś?

– Mogę być tym, kim będziesz chciała. Mogę się nazywać, jak chcesz.

– Brian... Podobają mi się to imię.

– Dla ciebie już na zawsze zostanę Brianem. A nazwisko?

– Nie masz nazwiska? – zaśmiałam się cichutko.

Musiałam być dyskretna: dwa fotele za nami były puste, ale te z przodu

zajmowała dwójka Japończyków w czarnych garniturach.

– Jakies mam. Poczekaj, sprawdzę w paszporcie – szepnął mój towarzysz podróży, sięgając po portfel. – Bailey, Brian Bailey. Może być?

– Nie jesteś do niego zbyt przywiązany – stwierdziłam po chwili zastanowienia.

– Nie. Łatwo można je zmienić.

– Często tak robisz?

– Rzadko, tylko gdy to konieczne. Ostatnio w listopadzie. W mieszkaniu w Oslo miałem zapasowy komplet dokumentów na inne nazwisko. Niestety, musiałem je wykorzystać, wiesz dlaczego. – Brian nachylił się bardzo blisko.

Na szczęście panowie siedzący przed nami właśnie założyli słuchawki i chyba zamierzali uciąć sobie drzemkę. Sprawiali wrażenie biznesmenów w podróży służbowej i pewnie tylko w samolotach mieli odrobinę czasu na odpoczynek.

– Dużo kosztuje taki nowy komplet dokumentów? – rzuciłam po chwili.

– Dlaczego pytasz?

– Nie wiem – odparłam zgodnie z prawdą. – Tak jakoś, bez powodu.

– Sporo, jeśli ma to być naprawdę profesjonalnie zrobione. Zwłaszcza gdy potrzebujesz nie tylko dokumentów, ale też nowej tożsamości, nowej historii życia, dzieciństwa, ukończonych szkół i tak dalej.

– Uhm. – Pokiwałam głową.

Przez chwilę zastanawiałam się, jak by to było zmienić wszystko – całą otoczkę swojego jestestwa – i znów uświadomiłam sobie, że kiedyś pewnie mnie czeka taka zmiana, gdy zakończę to wcielenie. Gdyby tylko można było razem z nią wyciąć choć trochę fragmentów swojej pamięci... Dlaczego to było niemożliwe?

– Coś jeszcze chciałabyś wiedzieć o mnie?

– Gdzie mieszkasz? – Patrzyłam na Briana spod lekko opuszczonych powiek.

– Tam, gdzie będziesz chciała. Mam kilka mieszkań w różnych częściach świata. W Stanach, w Norwegii, w Londynie... I mogę mieć kolejne w każdym miejscu, które ci się tylko zamarzy – zaśmiał się.

Od niechcenia zadawałam kolejne pytania, nie dbając o to, co usłyszę w odpowiedzi, a on równie lekko odpowiadał. Zupełnie jakbyśmy byli dwójką ludzi bawiących się w grę fabularną.

– Skąd weźmiesz tyle pieniędzy?

- Z banku.
- Skąd je masz?
- Zarobiłem – parsknął śmiechem.
- Jesteś bogaty?
- Tak.
- Obrzydliwie?
- Nie. Choć pewnie mógłbym być, jak prawie wszyscy z Habbatum.
- Dlaczego jesteś z plemienia Habbatum?
- W poprzednim wcieleniu nie pomogłem człowiekowi i przyczyniłem się do jego śmierci – odparł po chwili.

Spoglądałam na Briana i nie mogłam zrozumieć, jak to możliwe? Wyglądał tak łagodnie z jasnymi, prawie złocistymi włosami, których kosmyki niedbale układały się na jego zmarszczonym teraz czole. Niezbyt ciemne wąskie brwi lekko opadające ku zewnętrznym kącom niebieskich oczu nadawały twarzy Briana nieco melancholijny wygląd. Tak nie wyglądał złoczyńca. Nie mogłam przyjąć do wiadomości, że ten mężczyzna, który właśnie siedzi tuż obok, swoim działaniem czy też jakimś zaniechaniem spowodował śmierć człowieka. Nie mieściło mi się to w głowie.

Chyba spodziewał się, jak będzie brzmiało moje następne pytanie, bo jego twarz nagle stężała jak ścięta lodowatym powietrzem, nawet oczy przybrały zimny odcień.

– *Nie, nie chcę tego wiedzieć. Może kiedyś mi powiesz, ale jeszcze nie teraz, dobrze?* – uśmiechnęłam się blado.

- Jesteś pewna?
- Tak.
- Ufasz mi?

Pokiwałam głową w odpowiedzi.

- Dlaczego? – Brian uniósł brwi, jakby właśnie coś go bardzo zaskoczyło.
- A nie powinnam?

Nie odpowiedział, patrzył jedynie w moje oczy, jakby w ten sposób chciał mi przekazać, że jednak zasługuje na zaufanie.

– Skąd wiedziałeś, że będę na lotnisku? – Domyślałam się, że nasze spotkanie nie było przypadkowe.

- Hm... – chrząknął znacząco.
- Podglądałeś nas? – Pokręciłam głową z niedowierzaniem.
- W miłości jak na wojnie, wszystkie chwytły dozwolone – odparł

z zagadkowym uśmiechem na twarzy.

– W miłości?

– Wiesz, co do ciebie czuję. – Podniósł moją dłoń i delikatnie ucałował jej wnętrze.

– Brian, ale ja... – Nie mogłam dokończyć, imię Leo nie mogło przejść przez gardło. Powoli wysunęłam rękę.

– Oprócz twojego widziałem jeszcze jedno Astrum. Czyje? – Przyglądał mi się spod przymrużonych powiek.

– Nie wiem. Nigdy jej wcześniej nie spotkałam.

– To była kobieta? – Brian posłał mi zdziwione spojrzenie. – Mam się dowiedzieć, kim jest?

– Nie. – Odwróciłam głowę.

Nie miałam ochoty poznać odpowiedzi, kim jest czarnowłosa piękność, która swoim niespodziewanym powrotem wkroczyła w życie Leo. Wiedziałam, że musieli się kiedyś poznać. Byłam tego pewna. Wystarczająco jasno wynikało to z tekstu piosenki, którą dla niej ułożył.

Leo już raz mnie okłamał. Na plaży w Antibes nie powiedział mi prawdy o bliźnie po znaku Eperu. Skoro wtedy skłamał, równie dobrze mógł mnie oszukać w innych sprawach, również co do swoich byłych kobiet. Mimo wszystko nie mogłam uwierzyć, że okazał się tak dwulicowym człowiekiem. Może pojawienie się tajemniczej Dalili było jakąś formą zemsty za to, że tak bardzo potrzebowałam u swego boku Briana? A może Leo od dawna to planował?

– Nasze kłótnie zawsze wynikały z tego, że on był zazdrosny – westchnęłam do swojego odbicia w szybie.

– Podczas gdy sam zachowywał się nieuczciwie – dokończył moją myśl Brian. – To często spotykane zjawisko. Może oceniał cię swoją miarą?

– Może.

Znów utonęłam w niewesołych wspomnieniach. Przypomniałam sobie, co Leo opowiadał o swoim związku z Alex. Jakie miał do niej pretensje, że go zraniła swoją dwulicowością. Teraz on postąpił tak samo. Hipokryta...

– Boję się. – Spojrzałam na Briana.

– Czego? – Od razu chwycił mnie za rękę.

– Że gdy wrócę do domu, on przyjedzie i uda mu się przekonać mnie do powrotu. Nadal go kocham. Bardzo. I nie wiem, czy kiedykolwiek przestanę. Chyba nie będę umiała mu odmówić. Rozumiesz? Nie mogę żyć bez niego, już

tęsknię... – Jęknęłam, bo właśnie to do mnie dotarło z pełną mocą.

Patrzyłam w oczy Briana i dopiero po kilku sekundach uświadomiłam sobie, że bardzo go zraniłam swoją szczerością. Zagryzł usta tak mocno, że aż pobieleły mu wargi.

– Pomogę ci – wycedził z trudem. – Zrobię wszystko, żebyś o nim zapomniała. On na ciebie nie zasługuje...

Staliśmy na środku hali przylotów lotniska Heathrow już jakieś pięć minut. Ludzie przechodzili obok, gapiąc się na nas ukradkiem. To nie mój towarzysz skupiał ich uwagę, jak to było dotychczas. To raczej ja byłam tego powodem: ubrana w szorty, cieniutką bluzkę na ramiączkach i koszulę Briana, czyli kompletnie niestosowny zestaw jak na środek stycznia.

Nie byłam zmęczona, choć przespaliśmy może dwie, trzy godziny. Nawet tego nie mogłam nazwać odpoczynkiem. W sennych majakach widziałam tylko odtwarzającą się w kółko sekwencję: twarz Leo, jego bliźnię po znaku Eperu i na koniec stojącą obok niego czarnowłosą piękność.

– Nie chcę cię zostawić. Pozwól mi ze sobą być – ponowił swoją prośbę Brian.

– Ale jak? – Byłam w kropce, nie miałam żadnego pomysłu.

Z jednej strony obawiałam się, że Leo wróci ze Stanów i będzie próbował mnie odzyskać, a z drugiej wątpiłam w to. Strach przed każdą z tych ewentualności paraliżował i odbierał mi rozum. Nie wiem, która z nich była gorsza, chyba jednak ta druga. Najchętniej zniknęłabym, żeby nie musieć się o tym przekonać. Do tego problem z mamą. Dzwoniłam do niej co drugi dzień. Wiedziała, gdzie jestem i z kim. Nie mogłam gdzieś się ukryć i udawać, że mnie nie ma. Już raz zniknęłam bez śladu. Kolejnej takiej sytuacji mogłaby nie przeżyć. Znów jej to zrobić, tym razem świadomie? Nie wchodziło w grę.

– Jedź ze mną, gdzie tylko zechcesz. Zabiorę cię w każde miejsce, które wskażesz, bylebyś mnie nie opuszczała. – Brian chwycił moją dłoń.

– Już ci mówiłam. A mama? Nie mogę jej tak zostawić – tłumaczyłam. – Ma tylko mnie.

– To zgódź się choć na krótko. Daj mi trzy miesiące. – Popatrzył z nadzieją.

– Nie. – Pokręciłam głową.

– Miesiąc?

– Za długo. – Nie zgodziłam się. Już dwa tygodnie byłam poza domem,

w rezerwie zostały drugie dwa.

I znów staliśmy bez słowa i bez porozumienia. Nagle z głośników popłynęła informacja dla pasażerów udających się do Warszawy.

– Masz jakąś rodzinę w Polsce? Dorothy kiedyś mówiła...

– Mam. – Pokiwałam głową.

– Gdzie to jest?

– W okolicach Zakopanego, na południu.

– Może ich odwiedzimy? – Brian uśmiechnął się od ucha do ucha...

Zgodziłam się. Chyba wolałam scedować na Briana podjęcie decyzji w kwestii mojej przyszłości, nawet tak niedalekiej. Zastanawiałam się niecałą minutę. Nie miałam ani siły, ani chęci na konfrontację z mamą. Zdawałam sobie sprawę, że ledwie przekroczę próg domu, zaczną się pytania. Wolałam to odwlec w czasie.

Dwadzieścia pięć minut? To niezbyt dużo na zrobienie zakupów, nawet jak dla mnie, zadeklarowanej antyzakupoholiczki. Pobiegliśmy z Brianem do pasażu handlowego. Już prawie wchodziliśmy do jednego ze sportowych butików z nadzieją, że kupimy tam jakąś odzież nadającą się na wyjazd w góry, gdy przed nami stanął... Facet z aparatem?!

Niestety, ale tak było. Cholerny paparazzo! Poznał mnie i zaczął cykać zdjęcia jak oszalały, a ja nawet nie miałam się czym zakryć. Zarzuciłam na głowę koszulę Briana i błyskawicznie zarządziłam odwrót. Może to i dobrze, że nas zaskoczył, bo ledwie zdążyliśmy na samolot.

Druga próba uzupełnienia garderoby zakończyła się podobnie, czyli kompletnym fiaskiem. Owszem, na warszawskim lotnisku fotoreporterów już nie było, ale sklepów z ciuchami również. Mogłam za to zaopatrzyć się w elegancką biżuterię, alkohole, regionalne pamiątki i okulary przeciwsłoneczne. Akurat zakup tych ostatnich był całkiem dobrym pomysłem, zawsze to większa szansa na zachowanie anonimowości. Wymaszerowałam z butiku bez kurtki, ale za to z parą ray-banów na nosie.

Z Okęcia kolejnym samolotem do Krakowa, by w końcu pod wieczór wylądować w taksówce wiozącej nas do Zakopanego. Mina kierowcy, gdy nas zobaczył podchodzących do samochodu? To nie była konsternacja, to był światowy rekord konsternacji.

Biedny facet wybałuszył oczy, bo mój codzienny kalifornijski strój nijak się

komponował z tym, co nas otaczało: piętnastostopniowym mrozem i wielkimi zaspami śniegu zalegającymi na poboczach dróg. Taksówkarz nawet nie chciał ruszyć z miejsca, dopiero gdy Brian wyciągnął z portfela dwie studolarówki i ostentacyjnie rzucił je na przednie siedzenie, siwiejący pan z niechlujną bródką uruchomił silnik. Chyba było mu głupio, że tak nas potraktował na początku, bo próbował zagadywać, ale udałam, że nie znam polskiego, i dał nam spokój. Jedyne, co mu pozostało, by zatrzeć złe wrażenie, to podkręcić ogrzewanie. Po kilkunastu minutach jazdy pot lał się z nas strumieniami.

Brian wyjął swojego iPhone'a i razem szukaliśmy jakiegoś hotelu lub innej kwatery. W końcu znaleźliśmy kilka interesujących miejsc. Mój kompan zadzwonił i zabukował dla nas apartament w ekskluzywnej willi (nomen omen) Anna na obrzeżach miasta, od razu opłacając dwutygodniowy pobyt z wyżywieniem.

Gdy podjechaliśmy na miejsce, Brian sam musiał wyciągnąć moją walizkę i wtedy chyba jakiś niedobry duszek kazał mi podejść, albo raczej prześliznąć się na ubitym śniegu do kierowcy. Zastukałam w szybę. Pan taksówkarz otworzył okno, a ja starając się, żeby zabrzmiało to jak najlepiej, przez szcękające z zimna zęby podziękowałam mu po polsku za miłą podróż. Wraziłam również swoje zdanie co do tego, że w ciągu tych dwóch godzin prawie nas ugotował na miękko, oraz że powinien iść na kurs języka angielskiego.

Brian śmiał się jeszcze przez kilka minut po odjeździe tego biednego człowieka.

Weszliśmy, wzięliśmy klucze do apartamentu i nawet nie korzystając z prysznic, po prostu zwałiliśmy się do łóżek jak dwie kłody.

* * *

Usłyszałam cichy zgrzyt bramy. To Mike wrócił z lotniska z Krisem. Wzięłam głęboki wdech, bo znów nadciągały emocjonujące chwile. Mój przyjaciel był kompletnie nieświadomy, dlaczego piętnaście godzin wcześniej wezwałam go do Los Angeles. Nie wdawałam się w wyjaśnienia, po co jest mi tak bardzo pilnie potrzebny. Wkurzył się, bo przerwałam mu pisanie, a tego nie wybaczał nikomu.

Kris wszedł do domu, zatrzymał się w holu w tym samym miejscu, w którym niedawno stała moja ukochana Anna, i przez chwilę przyglądał mi się

z uwagą...

– Leo, co jest grane? Co ci się stało?

Mogłem się tego domyślić. Zauważył, że wyglądam jak zbity pies, choć od momentu, w którym zwrócono mi pierścionek i wolność, upłynęła ponad doba.

– Cześć. – Podeszedłem do niego, wlokąc się noga za nogą i starając się za wszelką cenę nie rozpaść emocjonalnie.

– Cześć. – Uścisnął mnie. – Gdzie Anna? Leo, co się dzieje?!

– Powiem ci później – wychrypiałem. – Teraz chciałbym ci...

– Leo! Chłopie! Dlaczego później?! Widzę, że coś się stało. Wyglądasz tragicznie! No mówże, co jest grane, do cholery! Coś się stało Małej? – Kris odsunął mnie na odległość swoich ramion.

– Wszystko z nią w porządku.

– Leo? – Potrzęsnał mną.

Spoglądał mi w oczy, próbując dojść przyczyny mojego zachowania. Widziałem, że bardzo się zaniepokoił. Nie mogłem znieść współczucia malującego się na twarzy Krisa. Zaciśnięte do bólu gardło odmawiało posłuszeństwa, na szczęście w tym momencie ktoś przyszedł mi z pomocą.

– Hugo, daj mu spokój...

I wtedy, zupełnie jak w filmie puszczonej w zwolnionym tempie, Kris odwrócił wzrok od mojej twarzy po to, aby przenieść go na kobietę, która wypowiedziała te słowa. Ciągle stał, trzymając mnie za ramiona, ale uścisk słabł, aż w końcu jego ręce opadły bezwładnie wzdłuż ciała. Kris zachwiał się lekko i teraz to ja odruchowo go chwyciłem.

Dalila powoli podeszła i objęła nas obu. Staliśmy we trójkę przytuleni, z gardłami zaciśniętymi ze wzruszenia. Żałowałem później, że tak krótko trwał ten moment. Gdyby ktoś mógł nakręcić tę scenę rozgrywającą się w piękny sobotni wieczór...

Takiego ładunku emocji nie było w żadnym filmie, w którym grałem.

– Mogę? – Kris stał w drzwiach sypialni.

Schroniłem się tu przed godziną, chciałem im dać czas. Myślałem, że po ponad czterystu latach niewidzenia się nie będą mogli się nagadać, ale widocznie byłem w błędzie.

– Siadaj. – Wskazałem miejsce na fotelu stojącym obok łóżka.

– Dzięki. – Kris opadł ciężko, widocznie jeszcze przygnieciony ciężarem

chwil, które były jego udziałem. – Ciekawy wystrój – rozglądał się po wnętrzu. – Bardzo minimalistycznie.

– Uhm... – mruknąłem.

Miał rację, ta sypialnia była wyjątkowo oszczędnie urządzona. Chyba jeszcze bardziej niż salon w moim londyńskim apartamencie. Umebłowanie stanowiły: proste, dwuosobowe łóżce, czyli kwadratowa rama pomalowana na czarno, przykryta grafitowym materacem i takąż pościelą z surowego płótna, fotel, szafa wnękowa, dwie małe półki wiszące na białej ścianie po bokach wezgłowie, i to wszystko. Jedynym akcentem kolorystycznym w tym pomieszczeniu był granatowy sufit.

– Przeszkodziłem ci? Coś czytasz?

– Jakieś głupoty, nieważne. – Zamknąłem laptopa i odłożyłem na bok.

– Nie wiem, co mam powiedzieć? Jak ci podziękować? Chyba pierwszy raz w całym moim życiu, istnieniu, zabrakło mi słów – westchnął.

Parsknąłem śmiechem. No cóż, to musiało być absolutnie nowe doznanie dla mojego niezwykle elokwentnego przyjaciela.

– Boże! Leo, co za niespodzianka... Nie, to niezbyt właściwe słowo, nie wiem? Chyba jeszcze nikt takiego wyrazu nie wymyślił. To nie była niespodzianka, nie wiem, co to było... Do tej pory do mnie jeszcze nie dotarło i nie wiem, czy przez następny rok dotrze. – Kris kręcił z niedowierzaniem głową. – Aż mi gorąco.

– Mówisz: niespodzianka? – Parsknąłem śmiechem.

– A nie? Na Boga! Jak znalazłeś Dalilę?

– Nie powiedziała ci? Tak naprawdę sama się odnalazła. Widocznie nie słuchasz radia – stwierdziłem.

– Od waszego wyjazdu praktycznie nie opuszczałem mieszkania. Dałeś ogłoszenie w radiu? Przecież to idiotyczne.

– Może tak, ale skuteczne. Posłuchaj. – Podniosłem laptopa, znalazłem plik z piosenką i włączyłem. Przez prawie cztery minuty przysłuchiwaliśmy się tęsknej pieśni na dwa głosy.

– A niech cię... – Zakrył twarz, gdy tylko wybrzmiały ostatnie słowa.

Wiedziałem, że wszystko zrozumiał. Przecież Kris świetnie się posługiwał flamandzkim. Był wyraźnie wzruszony, w końcu po dłuższej chwili opuścił dłonie.

– Kto to napisał? – spytał, drżącym z emocji głosem.

– Ja, a Thor i jego znajomi z projektu ANBA przetłumaczyli.

– Nie wiem, co powiedzieć. – Kręcił głową z niedowierzaniem. – Nie mam słów... Leo... Bracie...

– Po powrocie z Australii przysiągłem sobie, że ci się odwdzięczę. Gdy powiedziałaś mi o Dalili, a później wypłynęła ta cała sprawa z Jane, pomyślałem, że chyba to będzie najlepsze. – Wzruszyłem ramionami.

– Nie mogę w to wszystko uwierzyć. Nie wiem, czy będziemy razem z Dalilą, może zbyt wiele czasu upłynęło, ale nawet gdyby się nam nie udało, jestem bezgranicznie szczęśliwy, że mogłem ją spotkać.

Znów przez kilka minut siedzieliśmy, rozmyślając nad wszystkim, w końcu Kris podniósł się z fotela.

– Pójdę do niej, ale chciałbym o coś spytać. Wiesz, o co?

Pokiwałem głową. Domyśliłem się, że martwi go mój związek z Anną, a raczej to, co z niego pozostało. Czyli nic.

– Nie mam siły o tym teraz gadać, wybacz. Zresztą Dalila wie. – Machnąłem ręką. – Jeśli chcesz, wszystko ci opowie.

– Wobec tego porozmawiam z nią. – Kris chyba chciał jak najszybciej zrozumieć całą sytuację.

– Dzięki, ale nie widzę sensu w tym, żebyście dzisiaj omawiali historię mojego beznadziejnego przypadku. Wiem, że chcesz mi pomóc, ale chyba inaczej powinniście spędzić ze sobą te pierwsze godziny. Idź do niej i ciesz się tą chwilą, póki trwa.

– Leo, posłuchaj... – Podeszedł do mnie i przez chwilę trzymał za ramię. – Nie pozwolę ci cierpieć, zwłaszcza po tym, co dla mnie zrobiłeś. Nigdy na to nie pozwolę.

– Kawy? – Kris powitał mnie w progu kuchni.

– Chętnie. Gdzie Dalila? – Usiadłem przy wysokim blacie.

– Iksha. Śpi.

– Brzmi ciekawie – domyśliłem się, że to imię Dalili w obecnym wcieleniu.

– Uhm. – Mój przyjaciel podał mi filiżankę parującego napoju. – Jej rodzice tak zdecydowali ze względu na znamię. Iksha to po hindusku znak – wyjaśnił.

– Za cholerę nie mogę się przyzwyczaić do tego imienia.

– Gdzie mieszka?

– W Bombaju. Najstarsza z trójki rodzeństwa, dwadzieścia siedem lat, pracuje jako handlowiec u ojca. Duża firma, coś związanego z produkcją

i handlem odzieżą. Panna. Jak na ich standardy, stara. – Kris uśmiechnął się blado.

– To chyba dobrze, że panna? – parsknąłem śmiechem.

– Chyba tak. – Usiadł po drugiej stronie blatu i przez chwilę powoli popijał wciąż jeszcze gorącą kawę. – Upłynęło sporo czasu. Nie nastawiam się na wiele, ciężko zachować stałe uczucia przez czterysta lat. To ja odszedłem, zamiast być, ochraniać, troszczyć się o nią. Nie wiem, czy mi wybaczyła.

– Jeśli naprawdę cię kochała, wybaczy.

– Może masz rację. Oby. A co z tobą? Co zamierzasz? – Kris odstawił pustą filiżankę i badawczo mi się przyglądał.

– Nie wiem. Mam poczucie, że właśnie straciłem wszystko: każdą możliwość, każde wyjście. Czuję się jak szermierz, któremu wytrącono z ręki floret. Nie mam nic, tylko to mi po niej pozostało. – Wyjąłem z kieszeni pierścioneł i położyłem na stole.

– Dal... Iksha opowiedziała, co się stało. Nie uważasz, że powinniśmy wyjaśnić to całe nieporozumienie z piosenką? Ta sytuacja nieodparcie kojarzy mi się z tym, co wydarzyło się w zeszłym roku w lipcu. Wtedy też rozstaliście się przez niezbyt fortunny zbieg okoliczności. Jeśli chcesz, zadzwonię do Małej i wszystko opowiem. Iksha również czuje się odpowiedzialna za ten nieszczęśliwy wypadek, jeśli tak można nazwać.

– Kris, tyle razy zastanawiałem się, co zrobić: czy do niej zadzwonić, czy za nią pojechać do Londynu, ale to chyba nie ma sensu. Nie tym razem. – Bawiłem się małą posrebrzaną łyżeczką, ciągle rozważając propozycję przyjaciela. – Gdyby Anna tylko na niespodziewane zjawienie się Dalili tak zareagowała, oczywiście, że starałbym się ją zatrzymać. Nie pozwoliłbym jej odejść bez wyjaśnienia. Ale to wszystko wygląda inaczej. Tego wieczoru strasznie się pokłóciliśmy. Anna zrobiła mi scenę o to, że jestem zazdrosny, że ją kontroluję... – Wrzuciłem łyżeczkę do filiżanki i przez kolejne kilka minut opowiadałem Krisowi ze szczegółami przebieg mojej ostatniej, burzliwej rozmowy z ukochaną.

– Czyli tylko fakt, że miała spakowaną walizkę, powstrzymuje cię od tego, aby do niej zadzwonić? Leo, przecież ona mogła zrobić to w złości. Według mnie to jeszcze o niczym nie świadczy. – Kris potarł swoje jasnorude, prawie niewidoczne brwi.

– To nie jedyny powód. – Zwiesiłem głowę. – Tak samo jak to nie była nasza jedyna sprzeczka związana z moją zazdrością o Briana – ledwie

wykrztusiłem imię człowieka, który kilkadziesiąt godzin wcześniej odebrał mi sens istnienia: ukochaną kobietę. – Pierwszy raz ścięliśmy się w listopadzie i wtedy poprosiłem, a w zasadzie wymusiłem na Annie obietnicę, że gdy kiedykolwiek poczuje choć cień wątpliwości, czy powinniśmy być razem i wziąć ślub, ma mi dać znak.

– I?

– Wtedy odparła, że nie ma zamiaru ze mną pogrywać i dawać mi żadnych znaków, że po prostu, gdy nie będzie chciała ze mną być, zwróci mi pierścionek.

Podniosłem leżący na blacie złoty krążek. Ani jeden kryształek nie zabłyszczał, zupełnie jakby umarło w nim wszystko wraz z naszym związkiem. Z głębokim westchnieniem włożyłem go do kieszeni.

Kris przysunął się z krzesłem i chwycił mnie za rękę. Widział, że coraz bardziej przygnębia mnie ta rozmowa. Postanowiłem kontynuować, chciałem wyjaśnić do końca, czym spowodowana była moja bierność.

– Pamiętam, jak Anna się śmiała, żebym nie liczył na to, że kiedykolwiek do mnie wróci. Mówiła o pierścionku, a teraz wiem, że to chodziło o nią. I Brian, tak samo jak ja zakochany w Annie do szaleństwa. Pojechała z nim, czekał na nią na lotnisku. Pewnie zadzwoniła do niego, gdy się pakowała. Nadal uważasz, że powinienem próbować się z nią skontaktować? Nie wierzę, że Anna odbierze telefon ani że wpuści mnie do domu, gdybym poleciał do Londynu. Tak samo Julia. Już kiedyś zawiodłem jej córkę, nie sądzę, by mi teraz wybaczyła. Za dużo tego. O wiele za dużo...

– Zamierzasz się poddać? – Kris pokręcił głową z niedowierzaniem, jakby nie dotarło do niego to, z czego przed chwilą mu się zwierzyłem.

– Nie wiem. – Zamknąłem oczy, splotłem dłonie na karku i odchyliłem głowę do tyłu, jakbym oczekiwał, że nagle w cudowny sposób spłynie na mnie jakieś rozwiązanie, recepta lub instrukcja postępowania. – A wiesz, co w tym wszystkim jest najgorsze? Że martwię się o nią jak cholera. Umieram ze strachu, że coś jej się stanie. Nie ufam temu koleśowi. Wiem, że wiele dla Anny zrobił, dla mnie też, choć wyłącznie ze względu na nią, mimo to nie mogę pozbyć się uczucia, że coś z nim jest nie tak. Ciągłe wydaje mi się, że gdzieś już go spotkałem, i nie mogę sobie tego przypomnieć.

Otworzyłem oczy. Jedyne, co widziałem nad sobą, to leniwie obracające się łopatki ozdobnego rustykalnego wentylatora. W końcu spojrzałem na Krisa. Siedział i chyba równie intensywnie zastanawiał się nad moimi słowami.

– Leo... – wysapał po dłuższej chwili – szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co ci poradzić.

– Kris, nawet gdyby udało mi się do niej zadzwonić, gdyby Anna odebrała, wyobraź sobie, jaka byłaby jej reakcja na moje obawy co do intencji i uczciwości Briana.

– Łatwo się domyślić. – Pokiwał głową.

Obaj dobrze wiedzieliśmy, że w najlepszym przypadku usłyszę, że jestem paranoikiem, zazdrośnikiem i idiotą.

– Umieram ze strachu, że oni razem... Wiesz, co się może stać, gdyby się nie zabezpieczali? – Zakryłem twarz.

Nie mogłem znieść świadomości, że moja najukochańsza istota, moja największa miłość, jest właśnie w ramionach innego mężczyzny, na dodatek nie miałem żadnej gwarancji, że nie skończy się to jej rychłą śmiercią.

– On na pewno wie, że narodziny dziecka kończą naszą wędrówkę. Nie zakładaj z góry najgorszego.

– Kris, Leo...

Odwróciliśmy głowy. Dalila powoli podeszła do stołu. Żaden z nas nie zauważył, kiedy wstała i przysła do kuchni jeszcze w szlafroku.

– Przepraszam, ale niechcący usłyszałam ostatnie zdanie waszej rozmowy i chciałam coś wyjaśnić.

Mówiła piękną, czystą angielszczyzną, ale wyczuwało się wyraźnie, że jest to język wyuczony: brzmiał zbyt idealnie. Był tak samo perfekcyjny jak wygląd tej młodej kobiety. Nawet bez makijażu i z włosami w porannym nieładzie wyglądała olśniewająco. Kiedyś nie mógłbym wysiedzieć spokojnie przy tak atrakcyjnej dziewczynie, ale od niecałego roku żadna kobieta oprócz Anny nie robiła na mnie wrażenia.

Usiadła przed nami. Widziałem, że się waha, bo nerwowo przygryzła wargi, ale to trwało może kilka sekund.

– Hugo, jestem ci winna przeprosiny. Wprowadziłam cię w błąd, choć na moje usprawiedliwienie muszę dodać, że ja również dałam się nabrać. O tym, że nie powinniśmy mieć dzieci, dowiedziałam się dawno przed tym, zanim się poznaliśmy, od pewnej kobiety z naszego plemienia Wędrowców. Dopiero po latach domyśliłam się, że pochodziła z Habbatum. Nie mam pojęcia, co nią kierowało, mogę jedynie przypuszczać. Może chciała zamienić moje życie w wieczną udrękę związaną z obawą o życie lub skazać mnie na to, żebym cierpiała, stojąc przed wyborem między istnieniem własnym a dziecka.

Okłamała mnie, wiem to bez cienia wątpliwości. Posiadanie dziecka nie stanowi dla nas, kobiet z Eperu, żadnego zagrożenia – stwierdziła bez wahania.

– Mówisz o śmierci przy narodzinach naszego ewentualnego potomka? – uściślił Kris.

– Tak. W tysiąc osiemset czterdziestym ósmym miałam zaledwie trzynaście lat i jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, kim jestem. Mieszkałam w Indiach, mój ówczesny ojciec oddał mnie pewnemu mężczyźnie, który został moim mężem. Był dobrym człowiekiem, zgodził się na bardzo skromny posag. Wiedziałam, że o mnie zadba, ale i tak ciężko mi było z nim... – Dalila na chwilę przerwała, widocznie wspomnienia tych chwil, mimo że pochodzące z zamierzchłej przeszłości, ciągle były zbyt żywe.

Kris natychmiast podniósł się z krzesła, nalał szklanek wody i podał Dalili, po czym usiadł obok ukochanej i delikatnie ją objął. Wtuliła się w jego ramiona, przez moment odzyskując równowagę, w końcu westchnęła i opowiadała dalej:

– Jeszcze czułam na szyi chłód koralu *nallal patiya*, gdy odkryłam, że spodziewam się dziecka. Nastaly dla mnie radosne dni, nawet teściowa lepiej mnie traktowała. Urodziła się śliczna dziewczynka: czarnowłosa jak ja, ze znakiem Eperu na lewym kolanku. W dniu, w którym wydałam ją na świat, mój mąż z niego odszedł. Dopiero wtedy doceniłam, ile dla mnie znaczył. Może gdybym urodziła chłopczyka, potraktowano by mnie lepiej, ale nikt nie chciał córek. Teściowa powiedziała, że wychowywać córkę to jak podlewać drzewo sąsiada, i po prostu wyrzuciła nas obie z domu. Pięć lat trwała moja dola-niedola matki samotnie wychowującej dziecko. Często przymierałyśmy głodem, mieszkając w rozpadającej się chałupie skleconej ze słomianych mat na skraju wioski niedaleko Afzalpur. Gdy już w naszej chacie nie było ani jednej gałązki ryżu, ani jednej ryby złowionej w rzece Bhima, ani jednego skrawka czegoś nadającego się do jedzenia, oddawałam przypadkowym mężczyznom moje piękne, ciągle młode ciało. Nie dbałam o siebie, myślałam tylko o tym, że muszę czymś nakarmić dziecko...

Widziałem, jak bardzo Kris przeżywa to wszystko, co opowiadała nam Dalila: krople potu zrosiły mu czoło, ja też byłem przejęty tą nieprawdopodobną historią. A czarnowłosa piękność mówiła dalej:

– Któregoś dnia przez przypadek odkryłam, że posiadam pewną niespotykaną umiejętność. Moja najukochańsza córeczka skaleczyła się o cierń

i przybiegła do mnie z krwawiącą stopą. Obmyłam ranę, ale maleńka Bishakha ciągle płakała, miała wtedy zaledwie pięć lat. Wzięłam ją w ramiona, głaskałam i całowałam, w końcu delikatnie dotknęłam tego bolącego miejsca. Zamknęłam oczy, modląc się, żeby przestało ją boleć, i nagle zdarzył się cud: moja słodka dziewczynka przestała płakać. Gdy oderwałam dłoń, po ranie nie pozostał nawet ślad. – Dalila uśmiechnęła się na to wspomnienie. – Mogłam leczyć ludzi, przykładając dłonie, a rany znikwały. Znikwały trąd, owrzodzenia, gruźlica i wszystko, co tylko przytrafiało się tym nieszczęśnikom, którzy mnie odwiedzali. Na początku starałam się trzymać to w tajemnicy, ale bardzo szybko ta wiedza dotarła do najdalszych zakątków naszego regionu. I wtedy zaczęło się nam dobrze wieść. Ludzie przybywali tłumnie, czasami potrafiłam wyleczyć nawet kilkadziesiąt osób dziennie, choć pod wieczór ślaniałam się na nogach ze zmęczenia.

Nigdy nie chciałam pieniędzy, więc płacili mi tym, co mieli: owocami drzewa chlebowego, rybami, ryżem, odzieżą albo dobrym słowem. Czasami moi pacjenci, jeśli mogę tak ich nazwać, byli tak ubodzy, że to ja dawałam im jedzenie i coś do ubrania. I tak trwało nasze życie aż do dnia, gdy pewna bardzo zamożna kobieta, księżniczka z najwyższej kasty, przybyła do mnie z prośbą, abym przywróciła jej miesięczkę... – Dalila na chwilę przerwała, odgarnęła z czoła grube pasmo lśniących czarnych włosów i wypija kilka łyków wody. Widziałem, że nad czymś się zastanawia, jakby układała w głowie to, co ma nam przekazać. Westchnęła głęboko i wiodła dalej swoją smutną opowieść:

– Od razu zorientowałam się, że księżniczka jest w ciąży. Chciała, żebym spędziła jej płód, a to był już siódmy miesiąc. Odmówiłam tej kobiecie, nie chciałam zabijać maleństwa, ale wtedy ona, a raczej mężczyzna, który z nią był, zmusił mnie do tego, żebym przyłożyła dłonie do brzucha. Czułam, jak dziecko porusza się pod nimi. Płakałam, gdy ten człowiek trzymał mnie siłą. Na szczęście nic się nie stało: dzieciątko cały czas żyło. Gdy w końcu po godzinie udało mi się jakoś wyswobodzić z rąk oprawcy, ta okrutna kobieta powiedziała, że mnie zniszczy, że zamieni moje życie w koszmar. I tak się stało. Ona i jej towarzysz rozpowszechnili plotki, że jestem demonem, że wszyscy ludzie, których uleczyłam, zmarli wkrótce potem, że niosłam złą karmę, a dusze moich pacjentów trafiły do ciał najpodlejszych zwierząt. Te oszczerstwa rozeszły się równie szybko, a może nawet szybciej niż wcześniej moja sława.

Bezradnie zacisnąłem pięści, już wiedziałem, jak to się skończy. Kris otarł czoło, ciężko przy tym wzdychając.

– Nie miałam za co żyć. Próbowałam zebrać, ale nikt nie chciał mi pomóc. Kilka tygodni potem, gdy moja najukochańsza córeczka skończyła dziesięć lat, zmarłam z wycieńczenia i głodu. Gdy urodziłam się w następnym wcieleniu i przypomniałam sobie o niej, przeklełam swoje zdolności za to, że sprowadziły na mnie tyle nieszczęść! Przysięgłam przed Bogiem, przed tym, który nas stworzył, że już nigdy nie ulecę żadnego zwykłego człowieka, dopóki nie odnajdę córki. Modliłam się, błagałam o to, żeby Bóg oddał mi córkę, a w zamian zabrał mój talent. Co do ostatniego Bóg mnie wysłuchał, ale do dzisiaj nie odnalazłam mojej najdroższej Bishakhi, nie wiem, co się z nią dzieje i gdzie podziewa się moje jedyne dziecko, choć nigdy nie ustałam w poszukiwaniach... – W oczach Dalili błysnęły łzy.

– O Boże... – wysapał po dłuższej chwili Kris.

Byłem tak wstrząśnięty, że aż zaparło mi dech w piersiach. Zarówno historią, jak i bezgłosną rozpaczą tej pięknej istoty. Świadczyły o tym tylko jej ramiona drgające z powstrzymywanego szlochu.

– Odnajdziemy ją, tak samo jak odnaleźliśmy ciebie. Przysięgam. – Kris przytulił swoją ukochaną. Wyglądało to tak przejmująco, że aż ścisnęło mi gardło, dopiero po kilku minutach Dalila się uspokoiła.

– Wierzę, że pomożecie mi ją odzyskać – wyszeptała z nadzieją w głosie.

– Zrobimy wszystko, żebyś mogła spotkać się z córką. Czy ojciec dziecka, twój ówczesny mąż, miał jakieś znamię? – Kris zwrócił się do niej.

– Nie.

– Tak samo jak ojciec Anny. – Zerknął na mnie.

– Czyli był zwykłym człowiekiem albo pochodził z tajemniczego trzeciego plemienia. – Popatrzyłem na siedzącą przede mną parę.

– Na to wychodzi. – Mój przyjaciel miał te same przypuszczenia.

– Kris, myślę, że nigdy się tego nie dowiemy, chyba że ktoś odnajdzie wreszcie Księgę, o której mówiła moja... – Na sekundę zawiesiłem głos. Ciągle jeszcze nie pogodziłem się ze świadomością, że ona już nie jest moją dziewczyną. – O której mówiła Anna.

– Chyba tak. – Pokiwał głową.

– Hugo... Muszę się położyć. Źle się czuję, z tego wszystkiego bardzo rozboleła mnie głowa. Zaprowadzisz mnie do sypialni? – Dalila oparła czoło o ramię mojego przyjaciela. – Chcę, żebyś ze mną troszkę pobył.

Widziałem, że chcą zostać sami.

– Dalilo, przepraszam, że pytam w takim momencie, ale powiedz, czy powinienem zadzwonić do Anny? – Popatrzyłem na przyjaciółkę Krisa z nadzieją, że pomoże mi podjąć decyzję.

– Leo, zrób to, co dyktuje ci serce. Nie kieruj się rozsądkiem, wyrachowaniem, wyliczaniem korzyści i strat. Zrób to, co mówi ci twoje serce. Po prostu... – Westchnęła. – Nawet gdy coś nie pójdzie po twojej myśli, przynajmniej zachowasz spokój sumienia, że zrobiłeś wszystko, co mogłeś.

Przez chwilę rozważałem jej słowa, w końcu podniosłem się i wyszedłem z kuchni. Skryłem się w sypialni: ulubionym pokoju Anny. Usiadłem na łóżku i wziąłem do rąk sukienkę mojej ukochanej. Trzymałem ją jak talizman z nadzieją, że przyniesie mi szczęście. Gdy wybierałem numer, ręce drżały mi tak bardzo, że telefon prawie z nich wypadł. Niepotrzebnie: od razu włączyła się automatyczna sekretarka. Ze ściśniętym gardłem słuchałem słów: *Tu Anna, niestety nie mogę teraz odebrać telefonu...*

Co robić? Po krótkim rozważaniu wszystkich za i przeciw postanowiłem jeszcze raz zdać się na instynkt i spróbować. Byłem bardzo zdeterminowany. Znałem numer domowy Anny, chciałem wykorzystać wszystkie możliwości...

Trzy sygnały i nagle ktoś podniósł słuchawkę.

– Halo?

– Julia, cześć... – wykrztusiłem, zbity z tropu. Nie przewidziałem, że ktokolwiek poza Anną może odebrać.

– Leo!?! Ranny ptaszek z ciebie. Już nie śpisz? – zaświergotała jak szczygieł.

– Tak, wstałem już dawno... – Ledwie odpowiedziałem, tak bardzo zaskoczyła mnie jej reakcja.

– Pewnie cię obudziłam?

– Nie... – wymamrotałem zdziwiony. – Dlaczego?

– Dzwoniłam do Ani jakąś godzinkę temu. Zapomniałam, że u was dopiero siódma rano. Biedaczka była taka nieprzytomna, coś tam bajdurzyła, w końcu się rozłączyłam. Przekaż, że zegarek jej się zepsuł, bo próbowała mi wmówić, że jest czwarta po południu...

– Aha...

– A po co dzwonisz? Coś się stało?

– Nie. Przepraszam. Wybrałem twój numer przez pomyłkę.

– Rozumiem.

- To ja nie przeszkadzam, trzymaj się.
- Pa, Leo. Pozdrów Anię...

* * *

Dryń, dryń...

Nie. To nie jest telefon, to mi się tylko śni.

Dryń, dryń...

Ręka sięgnęła po omacku: gdzie jesteś okropna, paskudna, przeszkadzająca komórko? W końcu jakoś się udało.

– Halo, Ania?

– Hej, mamuś... – odpowiedziałam zaspanym głosem.

– Spałaś?

– Tak.

– Przepraszam, rzeczywiście u was dopiero siódma.

– Nie, czwarta po południu. – Zerknęłam na zegarek. – Spoko, już wstaję.

– Boże, jaka czwarta? U mnie jest trzecia po południu, a u ciebie siódma rano.

– Siódma? – Ze zdziwieniem spojrzałam raz jeszcze na zegarek.

– Wiesz co? Śpij dalej. Widzę, że jesteś nieprzytomna. Zadzwoń jutro. Pa.

Kliknięcie. Koniec rozmowy.

Usiadłam na łóżku.

Bzz... Bzz... Bzz...

Czarny ekranik. Koniec baterii. Ładowarka? Gdzie ja mam ładowarkę? Zamknęłam oczy, próbując sobie przypomnieć, czy ją w ogóle zapakowałam. To było beznadziejne.

Podniosłam powieki. Pokój był przytulny, urządzony w góralskim stylu, wszędzie drewno pachnące i jasne. Na ścianach i podłodze surowe sosnowe deski tu i ówdzie okraszone czarnymi sękami, mebelki też podobne, wycinane we wzorki. Wielkie łóżko lub raczej łoże z drewnianym wezgłowiem ozdobionym płaskorzeźbą z motywami roślinnymi. Nawet pościel była oryginalna: ktoś pieczołowicie wyszył bukietki kwiatów na każdym rogu poszewek.

Powoli podniosłam kołdrę, hm... Nie wyglądało to dobrze. Ciągle jeszcze miałam na sobie szorty i poplamioną koszulkę. Dobrze, że chociaż zdjęłam trampki. Kompletnie przemoczone leżały na baraniej skórze tuż obok łóżka.

Wstałam i zaczęłam się rozglądać. Wyrzałam przez małe okienko osłonięte marszczonymi firaneczkami. Przedemną rozpościerała się wyłącznie biel, lekko już szarzejąca. Zmierzchało. Przespaliśmy cały dzień, pomyślałam.

W rogu pokoju odkryłam drzwi. Tak bardzo stopiły się ze ścianami, że na początku ich nie zauważyłam. Łazienka... Świetnie! Przynajmniej nie musiałam nigdzie wychodzić, żeby się odświeżyć. Szybko otworzyłam walizkę. Najpierw wyciągałam rzeczy powoli, starając się jeszcze bardziej ich nie rozkopać, ale w końcu zrezygnowana wysypałam całą zawartość na łóżko.

– Cholera! – mamrotałam pod nosem, przerzucając stertę kolorowych ciuchów. Nic! Ani jednej pary normalnych spodni, z bielizną też krucho. – Co za idiotka z ciebie? Zabrałaś sukienki, bluzeczki, ale o majtkach to nie pomyślałaś? – rugałam się bez litości. W końcu wyjęłam jakąś kieckę. Obcisła, w cielistym kolorze, z wszytymi miseczkami usztywniającymi stanik. Przynajmniej biustonosz mogłam sobie podarować. Znalazłam parę koronkowych bokserek, jedyną w całych moich zasobach, i uzbrojona w te dwa ciuszki pomaszerowałam do łazienki. Dobrze, że chociaż tu było normalnie – biała, elegancka glazura zamiast kolejnych ludowych motywów. Szybko się wykąpałam, umyłam włosy i nawet jakoś je ułożyłam.

Później władowałam większość ubrań do walizki, zostawiłam jedynie kilka bluzek z krótkim rękawkiem. Nie miałam już nic do zrobienia w moim bajkowym pokoiku, więc otworzyłam drzwi i wyszłam na korytarz. Drzwi do sypialni Briana usytuowane naprzeciw moich ciągle pozostawały zamknięte. Na paluszkach przeszłam do salonu. Konsekwentnie: drewno, dywaniki z owczych skór, ale dla kontrastu: wielka, obita miodowym pluszem wygodna sofa zapraszająca do tego, żeby się na niej ułożyć, i na osłodę zestaw kina domowego ze sporym plazmowym telewizorem (pasującym do całości jeszcze mniej niż ten biedny przysłowiowy wół do karety) oraz kominek.

Podeszłam do niego, pogłaskałam lśniące kafle w kolorze zgnitej zieleni. W dotyku do złudzenia przypominały mi te z naszego kaflowego pieca w Brzegach. Tak samo śliskie i gładkie, zimne, gdy w piecu się nie paliło.

– Dzień dobry...

Odwróciłam się. Brian stał tuż obok wejścia. Był w czarnych bokserkach, które stanowiły jedyny element jego garderoby, nie licząc frottowego ręcznika trzymanego w dłoniach. Umieśniony, wysoki, zgrabny jak model z reklamy bielizny CK. Z umytych kosmyków skapywały krople wody i delikatnie

zwilżały jego tors, prawie idealnie gładki, pokryty jedynie na środku delikatnym złotym pasmem krótkich włosków. Przełknęłam ślinę, bo zdecydowanie krępowała mnie ta sytuacja. Brian stał przede mną prawie nagi i chyba zauważył, że taksuję go wzrokiem, bo parsknął zduszonym śmiechem.

– Dzień dobry – wykrztusiłam. Świadomość, że na pewno się zaczerwieniłam, wcale nie pomagała.

– Idziemy coś zjeść? Głodna?

– Chyba nie... – odparłam po chwili namysłu. To było zadziwiające: ostatni posiłek zjadłam w samolocie Delty, choć tego nawet nie można było nazwać posiłkiem. Coś skubnęłam, żeby Brian przestał mnie męczyć.

– Uważam, że powinnaś coś zjeść. Poczekaj, tylko wrzucę na siebie ciuchy, choć nie są pierwszej świeżości. – Uśmiechnął się. – Ślicznie wyglądasz w tej sukience.

– Dziękuję, ale chyba jest niestosowna do okoliczności – mruknęłam pod nosem.

– Masz rację, niezbyt pasuje do tego wnętrza. Lepiej wyglądałabyś bez niej – odparł rozbawiony i kilka razy uniósł znacząco brwi.

– Brian!

– Przepraszam. To jak z jedzeniem?

– Naprawdę nie jestem głodna. Chce mi się tylko pić. – Rozejrzałam się bezradnie po salonie. Niestety, na stoliku nie stała ani jedna marna butelczyna wody.

– Sprawdziałaś lodówkę?

– A jest gdzieś?

– Musi być. Chwilę. – Brian rzucił ręcznik na oparcie sofy i podszedł do kilku szafek stojących niedaleko wejścia. W końcu otworzył jedną z nich i pokazał wnętrze z miną, jakby odkrył właśnie skarby wikingów. – Cola? Woda? Fanta? Sprite? Piwo... Czego sobie pani życzy?

– Może być fanta.

– Okej. – Podał mi puszkę. – O której jest kolacja? Nie znam polskich obyczajów.

– Nie wiem, ale zauważyłam folder. Leży na stole. Poczekaj, tylko się napiję. – Pociągnęłam za metalowe kółeczko.

Byłam strasznie spragniona. W końcu sięgnęłam po cienką broszurę i usiadłam na sofie. Brian przysiadł się tuż obok i przez moje ramię próbował zaglądać do regulaminu pobytu w apartamentach willi Anna, na jego

nieszczęście napisanego wyłącznie po polsku.

– Kolacja dopiero o ósmej, czyli za trzy godziny. – Zerknęłam na zegarek.

– Mam pomysł. Może pojedziemy na miasto coś zjeść? Wezwę taksówkę.

– W tym stroju? – Popatrzyłam na siebie.

Nie miałam rajstop, z butów tylko parę przemoczonych do cna trampek, o kurtce nawet nie wspominając.

– Rzeczywiście, nie bardzo się nadaje. I co teraz? Są tu w ogóle jakieś sklepy? – Brian chyba niezbyt się orientował, jak wygląda życie we współczesnej Polsce, bo miał minę bardzo cywilizowanego człowieka, który nagle trafił do amazońskiej dżungli.

– Są! – prychnęłam. – I wyobraź sobie, że prawie wszystkie otwarte w niedzielę. Nawet gotówki nie potrzebujesz, bo z reguły wszędzie są terminale kart płatniczych. – Trochę mnie wkurzyło to jego niskie mniemanie o mojej pierwszej ojczyźnie.

– A, to przepraszam... – Znów się uśmiechnął. – Wobec tego skoczę i kupię nam jakieś ciuchy.

– Sam? – Wybałuszyłam na niego oczy.

– Widzisz jakieś inne wyjście? – Parsknął śmiechem.

– No nie – przyznałam mu rację.

– No to ja idę się ubrać, a ty zastanów się nad listą rzeczy, które mam kupić.

– Podniósł się z sofy. – Dam ci iPhone'a, wpisz do notatnika.

– O matko!!! Co ja robię? Co za paskudna, żenująca sytuacja. Jesteś kretynką, Anno Wilk, dubeltową i nieuleczalną... – mamrotałam pod nosem, przeglądając spis rzeczy widniejący na niewielkim szklanym ekranie:

Buty

Dwie pary džinsów

Kilka bluzek z długim rękawem

Kilka podkoszulków z krótkim rękawem i na ramiączkach

Kurtka

Czapka, szal i rękawiczki

Sweter

Kilka par skarpetek

– Mam wpisać bieliznę?! Zaraz tu się spałę nad tym iPhone’em. Nie mam w czym spać i nie mam majtek. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy! Mam majtki, ale tylko dwie pary. Od biedy mogę je prać i nosić na zmianę. Hm... A spać mogę w T-shirtach. Spoko, nie wpisuję majtek! – Z aprobatą skinęłam głową nad listą.

– Gotowa? – Brian wszedł do salonu.

Założył już dżinsowe spodnie. Nawet odnalazł swoją koszulę z długim rękawem, która została w mojej sypialni.

– Proszę. – Podałam mu iPhone’a.

Przez chwilę wertował wzrokiem spis.

– Jaki rozmiar obuwia?

– Trzydzieści siedem.

– Okej. – Kiwnął głową. – Nie potrzebujesz jeszcze czegoś? – Spojrzał na mnie spod przymrużonych powiek.

– Nie – odpowiedziałam, starając się nie zaczerwienić.

– Dobrze. – Brian władował aparat do tylnej kieszeni spodni. – To jadę. Mam nadzieję, że się nie zgubię.

– Hm... – Uśmiechnęłam się cierpko.

Jakoś nie wydawało mi się to możliwe. Nagle sobie uświadomiłam, że jeszcze nie spytał o jedno.

– E... Nie napisałam ci, jaki noszę rozmiar odzieży. – Znów się zaczerwieniłam.

– To akurat wiem: trzydzieści cztery, w porywach do trzydziestu sześciu, lub angielska szóstka ewentualnie ósemka – stwierdził bez zawahania.

– Skąd wiesz? – spytałam.

– Pomyśl – odparł.

Przez chwilę patrzył na mnie i dopiero gdy zauważył kolejny wielki rumieniec malujący się na mojej twarzy, odwrócił się na pięcie i wyszedł. Oczywiście z przyklejonym uśmiechem wielkości banana.

– O matko! Co za idiotka ze mnie? – Klepnęłam się w czoło, ledwie opuścił progi apartamentu.

Przecież gdy przebywałam w Norwegii, przetrzymywana siłą przez Dorothy, to właśnie Brian codziennie dostarczał mi stosik nieskazitelnie czystych białych ubrań i ręczników. Zabierał te używane, schowane w specjalnym płóciennym woreczku, i gdzieś je wynosił. Mógł bez problemów zauważyć, jaki noszę rozmiar odzieży, i to każdej, z bielizną

osobistą włącznie.

Jeszcze przez dobry kwadrans przeżywałam własną głupotę. Tyle wstydu, ile najadłam się w ciągu ostatniej godziny, wystarczyłoby spokojnie dla pięciu moich rówieśnic. Zachowałam się jak bezmyślna trzynastolatka, ale gdy pakowałam walizkę, raczej nie myślałam chłodno – to mnie usprawiedliwiało.

Pałętałam się po wielkim, teraz tak bardzo pustym i cichym apartamencie. Dopiero gdy zostałam sama, nagle do mnie dotarło, co się wydarzyło. Przez całą podróż odpychałam od siebie tę straszną świadomość. Obecność Briana pozwalała mi na to, ale teraz go nie było i zostałam sama ze swoimi myślami.

Usiadłam na sofie, podwinęłam pod siebie nogi. Choć w pokoju było ciepło, dziwne drzenie opanowało moje ciało. Każdy mięsień drgał lekko, jakbym się czegoś przeraźliwie bała. Nie wiem czego. Może to był strach przed samotnością, ale przecież miałam wreszcie obok siebie Briana. Tak bardzo pragnęłam, żeby był u mojego boku, jak przyjaciel, brat... choć on myślał o nas zupełnie inaczej.

Jednak wiedziałam, że chyba nigdy nie będę go mogła pokochać choćby w połowie tak mocno, jak kochałam Leo. Tak strasznie za nim tęskniłam, już mi go brakowało: jego zapachu, który otaczał mnie każdej nocy, gdy tuliłam się do rozgrzanego miłością ciała, głosu Leo, śmiechu. Czułam, jak powoli oczy wypełniają mi się łzami, a one po sekundzie wahania pokonują cienką i delikatną granicę moich rzęs, staczając się po policzkach.

Nie chciałam płakać, chciałam zapomnieć. Na zawsze wyrzucić z pamięci to wszystko, co widziałam, co czułam do Leo, co słyszałam.

Sięgnęłam po pilota, nacisnęłam przycisk CD. Płyta uruchomiła się z cichym szumem. Kobięcy głos zaczął śpiewać pięknie i przejmująco. Każde słowo było jak cięcie nożem, jakby tajemnicza pieśniarka wiedziała, że siedzę na tej sofie sama, oplakując swoją wielką miłość. Każdą piosenką, zwrotką, każdym wersem pociągała po mojej duszy, zostawiając za nimi krwawe ślady...

– Anna? Wróciłem! – Brian wszedł do salonu i chyba starał się mnie dostrzec, bo stanął tuż za progiem.

Opatulona kocem, siedziałam na kanapie w kompletnych ciemnościach, teraz rozświetlonych jedynie promieniami padającymi z korytarza. Już dawno zapadł zmierzch, a ja nawet tego nie zauważyłam. Usłyszałam cyknięcie. Kilka żarówek w ozdobnym żyrandolu imitującym wiszący świecznik zapaliło się

delikatnie. Powoli się rozgrzewały. Przez chwilę patrzyłam, jak taksówkarz wnosi kilkanaście sporych papierowych toreb, układa je tuż obok wejścia, kiwa głową w podziękowaniu za napiwek i wychodzi bezszelestnie. Po kilku sekundach o tym, że naprawdę istniał, świadczył jedynie coraz lepiej widoczny stos kolorowych torebek.

– Anna... – Brian usiadł obok i mnie przytulił.

Z pewnością zauważył, że płakałam. Zresztą nigdy nie byłam w stanie tego ukryć przed kimkolwiek. Przez chwilę trwaliśmy: ja w objęciach jego silnych męskich ramion i on głaszczący mnie delikatnie po plecach. Gdyby tylko nie pachniał ciągle jeszcze tak bardzo nieznanom... Pomyślałam, że do tej pory zachowywałam się strasznie, nie zważając kompletnie na uczucia Briana, nie odwzajemniając ich, a przy tym pozwalając mu, żeby był ze mną tak blisko.

– Przepraszam. – Delikatnie wyswobodziłam się z kojących ramion. – Już mi lepiej. Dziękuję.

– Nie masz mnie za co przepraszać – westchnął. – Przysięgam, że już nigdy nie zostawię cię tu samej nawet na minutę.

– Hm... Pokażesz mi, co kupiłeś? – Staralam się, żeby mój głos zabrzmiał lekko, ale Brian nie dał się zwiść.

– Naprawdę cię to interesuje? – Uniósł brwi.

– Tak. – Teraz już nawet udało mi się uśmiechnąć, choć pewnie przypominało to raczej grymas.

– Od czego mam zacząć?

– Nie wiem, może od tej? – Wskazałam palcem grafitową torbę z napisem *Armani Jeans*. Leżała na samym wierzchołku wielkiego kopca.

– W porządku. – Brian sięgnął po torbę i wyjął z niej kilka par spodni. – Mogą być?

Wzięłam do ręki pierwsze dzinsy. Wyglądały dosyć niepozornie: klasyczne, granatowe. Dyskretny rzut oka na metkę... No cóż, pozbyłam się złudzeń. Jasno wskazywała, że spodnie nie były kupione na stoisku odzieżowym w jakimś hipermarkecie. Złożyłam w kostkę wszystkie trzy pary.

– Piękne. Dzięki... – Westchnęłam po chwili namysłu. Nie chciałam kolejny raz psuć mu humoru swoimi obiekcjami.

– Teraz może to? – Podał mi kolejną torbę. Była ogromna, ale na szczęście bez jakiegoś firmowego logo na wierzchu.

Tym razem było nie lepiej, a może nawet gorzej niż poprzednio. Trzy swetry zamiast jednego i kosztujące łącznie tyle, ile wynosił mój roczny budżet na

ciuchy – to nie wróżyło dobrze.

– Brian – jęknęłam z udawanym entuzjazmem, ale zabrzmiało to bardzo żałośnie. – Chciałam jeden sweter, jeden...

– Nie wiedziałem, który ci się spodoba, więc kupiłem trzy najładniejsze.

– Aha.

Nie wiem dlaczego, ale od razu przypomniało mi się, jak Leo oprowadzał mnie po swoim (a raczej moim, jak wtedy twierdził) kalifornijskim domu. Wtedy też usłyszałam, że chciał mi dać wybór, urządzając każde pomieszczenie w innym stylu.

Hm, może to jakaś stała maniera Wędrowców? Tę kąśliwą refleksję zachowałam jednak dla siebie.

– Widzę, że kiepsko spisałem się w roli zaopatrzeniowca. – Brian parsknął śmiechem.

– Świetnie się spisałeś. Przepraszam, już nie marudzę. Daj następną. – Odłożyłam trzy sweterki na rosnący powoli stosik.

Wydawało mi się, że przegląd tych wszystkich ciuchów nigdy się nie skończy. Oczywiście zamiast kilku bluzek i koszulek dostałam kilkanaście. Oprócz nich moje zasoby wzbogaciły się o dwie puchowe kurtki, parę kompletów czapek, szali i rękawiczek, trzy pary butów i dwie kapci (!!!), w tym jednych absurdalnie różowych z pomponikami w kolorze *baby pink*, i furę kolorowych skarpetek. Och, gdyby to Wika siedziała na moim miejscu, pewnie umarłaby ze szczęścia.

– Widzisz, jakoś przetrwałaś. – Brian wkładał z powrotem do toreb wielgaśny stos rzeczy.

– Dziękuję, naprawdę wszystko bardzo mi się podoba. – Pokiwałam głową.

Pomyślałam, że zakup samolotu typu cargo nie był wcale głupim pomysłem. Gdybym jeszcze zrobiła kurs pilotażu, mogłabym swobodnie przewozić sobie stopy tych wszystkich rzeczy, którymi ostatnio byłam obsypywana.

– A to? – Nagle zauważyłam, że obok kominka stoją jeszcze dwie duże torby.

– Ja też muszę czasami coś założyć na siebie – zaśmiał się.

– No cóż, masz rację.

– Pozwolisz, że pójde się przebrać? – Brian zerknął na mnie. – Ale może najpierw zaniosę zakupy do twojej sypialni?

– Idź, poradzę sobie. – Zerknęłam na zegarek. – Za pół godziny podają kolację, więc nie mamy zbyt wiele czasu. Wybiorę szybko coś do ubrania,

a po kolacji przeniesiemy te wszystkie torby do mojej sypialni.

– W porządku. Może być i tak... – odpowiedział zagadkowo.

Nie zastanawiałam się jakoś szczególnie nad tymi słowami. Szybko wyjęłam dzinsy, jakąś koszulkę, sweterek wkładany przez głowę i skarpetki. Wypadłam z salonu jak wicher, marząc o tym, żeby jak najszybciej zdjąć z siebie tę idiotyczną obcisłą sukienkę. I wszystko byłoby prawie idealnie, gdybym nie potknęła się w korytarzu o... parę narciarskich butów?

– Co to jest? – wymamrotałam. Jakkolwiek patrzeć, to były narty. Dwie pary. Buty? Również dwie pary, w tym jedna z pewnością dla ciebie, droga Anno, zważywszy na ich rozmiar.

Brian kupił nam dwa kompletne zestawy do jeżdżenia na nartach. Super, tylko dlaczego nie wziął pod uwagę, że ja nigdy nie miałam nart na nogach? Pokiwałam głową nad bezużytecznym sportowym sprzętem i już nieco spokojniej udałam się do sypialni.

Skierowałam się do łazienki, zapaliłam światło i...

– Niech to licho! – Znów bym się wywróciła. – Co za dzień!

Zdruzgotana własnym niedołęstwem patrzyłam ze zgrozą na dwie torby stojące na środku pomieszczenia. Kucnęłam i powoli rozchyliłam brzeg tej, o którą się potknęłam, płóciennej, czarnej i opatrzonej znajomo brzmiącym napisem *Sephora*.

Kosmetyki? Dziesiątki kosmetyków plus sporej wielkości kuferek do ich przechowywania? Nigdy w życiu nie miałam tylu mazideł! Natychmiast poczułam się jak Wiktoria, która otrzymywała całe stosy od firm chcących, żeby zrecenzowała je na blogu.

– Brian, chyba oszalałeś? – wysyczałam.

Dwa szampony, odżywka, balsam do włosów i drugi do ciała, jakieś tajemnicze olejki, dezodorant i antyperspirant w shtyfcie, tampony (!!!), krem do ciała, do twarzy, do stóp, do rąk, peeling do ciała i do twarzy, maseczki i pięć innych produktów o tajemniczym przeznaczeniu – wszystko ustawiałam obok torby. Po chwili dwie spore płytki terakoty zastawione były dziesiątkami flakoników i buteleczek. Wyjęłam kuferek, chcąc schować przynajmniej część tej drogerii do środka, ale po jego otwarciu opadłam na posadzkę. Kuferek był wypełniony kosmetykami do makijażu!

– Nie, to nie dzieje się naprawdę.... – wymamrotałam, całkiem zrezygnowana.

Odrzuciłam za siebie pustą czarną torbę i wtedy moim oczom ukazał się

napis na drugiej, jeszcze nietkniętej, *Victoria's Secret*.

– Nie!!! Mamusiu, ja chcę do domu...

Rozdział 10

Spowiedź

Dni mijały. Co drugi wieczór kryłam się w sypialni i dzwoniłam do mamy. Udawałam, że ciągle jestem w Los Angeles i że u mnie jest właśnie środek dnia. Nie wiem, dlaczego tak robiłam. Może nie chciałam jej martwić swoimi nigdy niekończącymi się problemami? A może po prostu nie wiedziałam, jak to wszystko się potoczy, co postanowię? Chyba sama przed sobą nie mogłam przyznać, że mój związek z Leo już nie istniał. Ciągle to do mnie nie docierało. Łudziłam się nadzieją, że kiedyś do siebie wrócimy, choć ta nie miała żadnych, nawet najmniejszych podstaw.

Mój telefon był wyłączony: nie zabrałam ładowarki. Brian pozwolił mi korzystać z iPhone'a. Któregoś dnia, gdy jak zwykle chciałam porozmawiać z niczego nieświadomą mamą, zastałam Briana siedzącego nad małym ekranikiem z bardzo dziwną miną. Wyglądał, jakby coś go ucieszyło, ale i zasmuciło jednocześnie. Gdy mnie zobaczył, podskoczył nerwowo, jak przyłapany na gorącym uczynku. Podał mi aparat, ale zanim to zrobił, zauważyłam, że korzystał z Internetu, bo nie dość szybko zamknął okienko.

Po rozmowie z mamą już miałam odnieść iPhone'a, ale coś mnie pokusiło i szybko połączyłam się z siecią. Palec zawisnął nad ikonką z otwartą książką. To, co zamierzałam zrobić, nie było zbyt eleganckie, ale chciałam zobaczyć, co wywołało tak interesującą reakcję Briana. W końcu otworzyłam historię przeglądarki. Natychmiast wyświetliła się ostatnio przeglądana strona. Przez trzy kompletnie nierealistyczne minuty wpatrywałam się w otwarte zdjęcie. Mój ukochany, miłość mojego życia, i Dalila...

Stali w ogrodzie: Leo nachylony czule obejmował ją prawą ręką, a ona trzymała dłoń na jego ramieniu i coś do niego mówiła. Wyglądali, jakby właśnie zamierzali się pocałować. Umierałam przez te trzy minuty... Czułam, jak moje serce rozpada się na setki maleńkich fragmentów, które już nigdy nie miały szansy złożyć się z powrotem. Nawet nie czytałam komentarzy ani notatki do tego zdjęcia. Wszystko było jasne.

Tak bardzo klarowne i oczywiste, że aż zabijało.

Leo po prostu wykasował mnie ze swojego życia. Jakbym nigdy się w nim nie pojawiła. Zamknęłam stronę i bez słowa odniosłam iPhone'a Brianowi, starając się nie dać niczego po sobie poznać.

Czasoumilacz? A może raczej pamięciusuwacz? Nie wiem, kim dla mnie był Brian. Pewnie jednym i drugim. Wychodził ze skóry, żeby zająć moje myśli, ledwie wychyliłam nos z sypialni. I tak przez te pierwsze dni, które tylko dzięki niemu jakoś przetrwałam.

Nie powiem, spisał się doskonale...

Scena I

Drugi dzień pobytu: wypad do centrum

Piękne mroźne przedpołudnie. Słonecznie. Zgrzytający pod stopami śnieg, połyskujący jak posypany perłowym brokatem i my: wędrujący po Krupówkach, trzymając się za ręce jak para zakochanych nastolatków. Na to mogę pozwolić: na szczęście mamy na sobie grube rękawiczki...

Informuję Briana, że większość amerykańskiej Polonii wywodzi się właśnie stąd, z południa Polski. Mój towarzysz wyraża chęć zapoznania się z polskim folklorem, jak to ładnie ujmuje w słowa.

Śmiejąc się, wchodzimy do pierwszego napotkanego sklepu z pamiątkami, dosyć dużego i wypełnionego wszystkim, co tylko może kojarzyć się z tym regionem kraju: od ręcznie robionych z owczej wełny szorstkich gryzących swetrów, puszystych kapci z wyszywanymi rozetkami, po różowe, szczekające pieski wyraźnie sugerujące chińską myśl techniczną.

Za kontuarem siedzi góralka w wyszywanym serdaku i kwiatowej spódnicy. To starsza pani, pomarszczona, spod kolorowej chustki wysuwają się pojedyncze niteczki siwych włosów. Trzyma w dłoniach druty, na których wisi coś, co chyba w przyszłości ma być skarpetką. Kobieta podnosi się leniwie na nasz widok.

Brian mówi, a ja tłumaczę, próbując nie udusić się ze śmiechu, choć jest to prawie niemożliwe. Na szczęście muszę się bardzo koncentrować, żeby góralka mnie zrozumiała, a ja ją...

– Mój znajomy przyleciał ze Stanów. Jego dziadek jest Polakiem, właśnie stąd, z Zakopanego. Staruszek ma prawie dziewięćdziesiąt lat i przed śmiercią zapragnął zobaczyć wnuka w stroju regionalnym – dławie się własnym śmiechem... – Boże! Co za łgarz z ciebie! – mamrocze po angielsku do Briana.

– Ło, panocku! Juści coś piknego nasykujemy! – Kobieta uśmiecha się promiennie i patrzy uważnie na Briana, oceniając pewnie jego wzrost. – Syćko chcom?

Przez chwilę zastanawiam się, czy ja też nie potrzebuję tłumacza. *Syćko?* Co to jest *syćko*?... W końcu domyślam się, że chyba chodzi o wszystko, i skwapliwie potakuję.

Zaczyna się szal: sprzedawczyni biega po sklepie, aż furkoczą jej kolorowe spódnice. Z coraz większym uśmiechem przyglądamy się, jak układa na ładzie kilka par białych wełnianych spodni, koszule z bawełnianego płótna, coś skórzanego z metalowymi ozdobami, kapelusz i kamizelkę wyglądającą jak kożuszek.

– Trza zamiezyć, panocku! – Krzepka babunia bierze Briana za rękę i wlecze za kotarę.

Widząc jego skonsternowaną minę, prawie leżę na ławeczce stojącej na środku sklepu. Zalewam się łzami ze śmiechu. Zdecydowanie nie spodziewał się takiego obrotu sprawy, no ale pewnie góralka uznała, że sam sobie nie poradzi.

Chichoczę przez dobre pięć minut, słysząc posapywanie babiny za pasiastą tkaniną, która co sekundę się porusza. W końcu kotara się odsuwa i wychodzą: biedna kobieta zaczerwieniona z wysiłku i mój żądny wrażeń amerykański góral. Brian prezentuje się całkiem niezłe w obcisłych spodniach, białej koszuli lekko rozchylonej pod szyją, ściśnięty w pasie czymś bardziej przypominającym gorset niż tradycyjny męski pasek. Na głowę założył kapelusz obszyty maleńkimi muszelkami.

Nasza dobrodziejka wyciąga skądś parę skórzanych, szpiczastych pantofli i podaje je Brianowi z uśmiechem.

– Kierpce...

Ten powtarza po niej, wymawiając to słowo z gardłowym „r”, brzmi to raczej jak *kierpce*. Wszyscy parskamy śmiechem. Gdy już kierpce lądują na stopach Briana, góralka podaje mu drewnianą laseczkę.

– Ciupaga.

– Czjupaga? – Brian układa usta w ryjek.

– Ciupaga! – Babina zgina się ze śmiechu, tak że prawie spada jej chustka z głowy. Co chwilę z głośnym plaśnięciem uderza dłońmi w uda.

– Czubaka?

Wybuchamy śmiechem. Wszyscy. Nawet para Niemców, którzy minutę wcześniej weszli do sklepu. I wtedy Brian zaczyna śpiewać i podrygiwać, wymachując drewnianą laską...

*If it had't been for Cotton Eye Joe
I'd been married long time ago
Where did you come from where did you go
Where did you come from Cotton Eye Joe...*

I gdy go widzę, jak tańczy przy tej piosence country o Bawełnianym Józiu, na chwilę zapominam o wszystkim, co do tej pory dawało mi przy każdym najmniejszym nawet oddechu, co tkwiło cały czas we mnie i nie pozwalało zaczerpnąć tchu. Śmieję się tak, że aż dostaję kolki. Zanim opuścimy sklep obładowani jak wielbłądy, przemiła sprzedawczyni całuje nas oboje z dubeltówki i macha ręką, póki nie znikniemy jej z widoku.

Jesteśmy głodni, więc znajdujemy restaurację, oczywiście w góralskim stylu. Z zewnątrz wygląda bardzo okazale. Wchodzimy do środka, szatniarz przyjmuje nasze okrycia. Niewielka kwadratowa sala jest prawie pusta. Przy jednym stoliku siedzi jakaś para starszych ludzi, przy kolejnym samotny facet z laptopem leżącym na blacie, i to chyba tyle, nie licząc śpiącego kota, który przycupnął na parapecie. W tle gra ludowa muzyka i słychać jeszcze coś z zaplecza. Jakieś śmiechy i przekomarzania. Przez dudniący męski baryton przebija się kobiecy chichot.

Upływa prawie pięć minut, zanim wreszcie zjawia się kelnerka. To młoda dziewczyna, prawdopodobnie moja rówieśnica. Chyba jest w kiepskim humorze, bo przerwaliśmy jej miłą pogawędkę na zapleczu. Gdy Brian po angielsku prosi o kartę, przewraca oczami i koszmarną angielszczyzną odpowiada, że główne menu w tym języku jest wywieszane przy barze. Robiąc nam łaskę, przynosi polski jadłospis i staje obok z miną cierpiętnicy.

– Obawiam się, że nic nie rozumiem. – Brian wpatruje się w spis potraw.

– Daj, zaraz coś wybierzemy. – Przebiegam wzrokiem po liście dań.

Stwierdzam, że sama też niezbyt się orientuję. W końcu zachowawczo zamawiam dla nas rosół z makaronem i schabowego z ziemniakami. Wskazuję palcem lub mówię, ale wyłącznie po angielsku. Wolę nie zdradzać znajomości tutejszego języka.

– Coś do picia? – Księżniczka w góralskim stroju wydyma usta.

– Dwie czarne herbaty. Jakieś dobre.

– Dla mnie dodatkowo piwo. Ciemne. Proszę podgrzać i podać dopiero, gdy zjemy obiad – dodaje Brian.

– Okej.

Dziewczyna zapisuje wszystko w notesiku, bez pytania zabiera kartę i wraca za grubą kotarę, która osłania wejście na zaplecze.

– Chyba jej przeszkadziliśmy – kwituje Brian.

– Chyba tak. – Puszczam do niego oczko.

Oboje słyszymy głośny śmiech na zapleczu i uwagę o nadętych Brytolach, którzy powinni siedzieć u siebie na Wyspach, a nie zawracać głowę. Mężczyzna dodaje, że nigdy nie zostawiamy napiwków, a nasza kelnerka kończy dyskusję, mówiąc: „To oni powinni pracować na zmywaku, nie my”.

Na bieżąco tłumaczę rozmowę Brianowi. Na początku jest trochę oburzony, ale po chwili zaczyna się zagadkowo uśmiechać.

Na szczęście wszystko jest bardzo smaczne. Kończymy obiad, dziewczyna przynosi filiżanki z wrzątkiem. Parzymy herbatę. Na stoliku łąduje otwarta butelka z jasnym piwem i szklany kufel. Brian

przez moment wpatruje się w szkło, po czym odwraca głowę i woła kelnerkę. Jeszcze raz cierpliwie tłumaczy, że prosił o podgrzane piwo porter. Nasza złoźnica fuka pod nosem, ale zabiera butelkę z heinekenem i pusty kufel.

– Muszę wyjść. Przepraszam. – Brian wstaje i kieruje się w stronę korytarza prowadzącego do toalet.

Czekam na niego, rozglądając się wokół. Cokolwiek by mówić, wewnątrz jest śliczne: grubo ciosane belki na stropie, ściany z bali z powpychanymi skręcanymi linami, stylizowane meble, otwarty kominek z przytulnie trzaskającym ogniem. Gdy patrzę na wesołe iskierki, przypominam sobie moment z hotelu Stars, na szczęście nie mam możliwości znów pograć się w niewesołych wspomnieniach, bo wydarza się katastrofa: słyszę głośne miauknięcie. Kot zeskakuje z parapetu jak obłany zimną wodą i wpada wprost pod nogi kelnerki. Dziewczyna spektakularnie się przewraca, a taca wraz z pięknym stylizowanym kuflem z kamionki z trzaskiem i brzękiem lądują na podłodze.

– Ups... – chichoczę cicho.

Spoglądam na rozlane piwo, fragmenty ceramiki leżące na posadzce i tacę, która poleciała pod jeden ze stolików. Ale nie to jest najzabawniejsze. Wszyscy goście patrzą na naszą bohaterkę zbierającą się z podłogi. Dziewczyna jest purpurowa ze wstydu. Szybko zbiera wszystko: tacę, większe szczątki kufła i jak wicher wpada za kotarę. Słyszę, że pomstuje na kota, na Briana i na cały świat.

– Jakiś wypadek? – Mój towarzysz wraca do stolika i uśmiecha się zawadiacko.

– To ty! – Wysuwam oskarżycielsko palec.

– Ja? – Robi minę niewiniątka. – Chyba mnie przeceniasz.

– Brian... – Kręcę głową. – Jak mogłeś? Biedny kotek.

Próbuję odszukać go wzrokiem. Chyba się nie przejął, bo leniwie zmierza w stronę kominka, wskakuje na gzyms, znajduje wygodne miejsce i układa się na kolejną popołudniową drzemkę.

Przenoszę wzrok na dziewczynę, która właśnie przyniosła wiaderko i zaczyna szybko ścierać rozlane piwo. Brian przysuwa się z krzesłem bardzo blisko, nachyla i mówi wprost do mojego ucha:

– Jak myślisz, dostanę od niej ścierką, gdy jeszcze raz poproszę o podgrzany porter?

– Myślę, że to jest możliwe – odpowiadam, ciągle obserwując sprzątającą złoźnicę. – Chyba ma dosyć na dzisiaj – stwierdzam, bo robi mi się żal dziewczyny.

– Należało się jej – szepcze cicho Brian.

Zagryzam wargi, gdy na szyi czuję jego usta delikatnie muskające skórę. Obejmuje mnie ramieniem, przytula, a jego ciepła dłoń pod zwisającym brzegiem obrusu odnajduje moją rękę i zaczyna ją pieścić. Siedzę sztywno jak manekin. Przełykam ślinę. Znów wzrok uparcie wraca w stronę migotającego ognia. Nagle ogarnia mnie jakaś dziwna niemoc. Chciałabym się wtulić w Briana, a może nawet go pocałować. Poczuć na ustach smak jego warg, a na ciele dotyk palców.

– Zapłać i idziemy stąd. – Ostatkiem sił zdobywam się, żeby to wykrztusić.

– Okej. – Brian potakuje z wyraźną niechęcią. Odsuwa się, wyjmując portfel, kładzie na stole dwa stułotowe banknoty. Wstaje i wyciąga rękę. – Chodź.

Nie odpowiadam ani słowem. Podnoszę się z krzesła, podaję mu prawą dłoń i posłusznie drepczę za nim w stronę wyjścia...

Scena II

Siódmy dzień pobytu: sanna

Jedziemy zobaczyć Morskie Oko. Taksówka podwozi nas na parking. Na miejscu okazuje się, że dalej trzeba iść pieszo lub skorzystać z podwozu oferowanego przez fiaków. Górale zebrani w niewielką grupkę stoją dosyć daleko od nas i rozmawiają, czekając na potencjalnych klientów. Podchodzimy do najmniejszych dwuosobowych sań. Zdejmuję rękawiczkę i delikatnie głaszczę grzywę siwej klaczy. Prycha na mnie, wyrzucając z siebie kłęby pary.

– Lubisz konie? – Brian przygląda się spod przymrużonych powiek.

– Tak. – Kiwam głową. – Bardzo. Gdy byłam mała, chciałam mieć konia, pewnie jak każda dziewczynka. – Parskam śmiechem. – Mama stwierdziła, że mi kupi, gdy wymyślę, gdzie zamierzam go trzymać.

– I wymyśliłaś?

– O tak. W moim pokoju. Miał spać ze mną jako przytulanka – chichoczę.

– Naprawdę?... – Nagle jego oczy zmieniają wyraz.

Przez ułamek sekundy przygląda się uważnie, a później bez słowa pakuje mnie do sań i okrywa nogi leżącym na siedzeniu grubym pledem. W naszym kierunku rusza jeden z fiaków, pewnie właściciel powozu. Brian wychodzi mu naprzeciw. Widzę z daleka, jak próbuje mu coś wytłumaczyć na migi, otwiera portfel i wciska w dłoń mężczyzny jakiś banknot. Góral trochę się waha, Brian ponownie sięga do portfela. Mężczyzna w końcu kiwa głową z aprobatą.

– Co robisz? – piszczę, gdy Brian wskakuje na ławeczkę i bierze lejce w dłoń.

– Porywam cię! – Odwraca głowę i na chwilę patrzy na mnie, szczerząc zęby.

Jedziemy. Dwa koniki parszczą wesoło, a szalony woźnica całą drogę pogwizduje i przyśpiewuje gromkim głosem, wzbudzając powszechne rozbawienie u każdego, kogo mijamy. Gdy pytam Briana, cóż to za dziwaczny repertuar, tłumaczy, że w poprzednim wcieleniu uwielbiał westerny, i to z nich pochodzi utwór *Bonanza*. Oboje wybuchamy gromkim śmiechem.

Ostatni kilometr pokonujemy pieszo i w końcu docieramy na miejsce. Stoimy nad brzegiem Morskiego Oka. Jakaś parka obok nas rzuca kilka monet na kompletnie zamarznątą taflę wody. Oczywiście ja i Brian również tak robimy, opróżniając jego portfel z całego bilonu.

Brian opowiada mi o swojej miłości do koni. Okazuje się, że nie tylko świetnie jeździ wierzchem, ale i powozi. Dowiaduję się też, że w Stanach posiada niewielkie ranczo. Otwieram szeroko oczy ze zdumienia. Sekundę później przychodzi refleksja: prawie nic nie wiem o Brianie.

Idziemy do schroniska coś zjeść. Siedzimy przy dużym stole. Przed nami w równie dużych, zielonych kubkach paruje herbata.

– Czy coś ciekawego wiąże się z tym jeziorem? – pyta Brian, sięgając po kolejną frytkę.

– Ponoć jest połączone pod ziemią z Adriatykiem – odpowiadam po chwili.

– Tak? Skąd takie przypuszczenia?

– Kiedyś ktoś wyłowił tu skarby, które zatoneły z jakimś statkiem na dnie Adriatyku. Babcia Jania, mama mojej mamy, mówiła mi o tym. Widzisz tamtą skałę? – Pokazuję przez okno ostro zakończony trójkątny szczyt odbijający się delikatnie w lodowej tafli.

– Tak.

– Nazywa się Mnich. Znam legendę o tej górze, też od babci.

– Opowiedz. – Brian opiera się wygodnie na krześle.

Skończyliśmy posiłek i teraz siedzimy, czekając na ostygnięcie herbaty, więc dlaczego nie?

– Dawno, dawno temu, daleko stąd w klasztorze na terenie obecnej Słowacji mieszkał mnich o imieniu

Cyprian. Był lekarzem jak ty – wyjaśniam.

– To o mnie? – Brian marszczy czoło. – Nie byłem nigdy mnichem, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo.

– Bez obaw. Cyprian głównie zajmował się ziołarstwem. W ogrodzie wokół klasztoru posadził zioła i z nich sporządzał leki. Miał marzenie: chciał nauczyć się latać... – Teraz ja unoszę brwi i się uśmiecham.

– Przekonałaś mnie. Potrafię latać, więc raczej chodziło o innego faceta. – Kiwa głową.

– Okej. – kontynuuję. – Braciszek Cyprian długo pracował nad budową maszyny latającej. W końcu się udało. To była taka wielka drewniana maszyna... – Rozkładam ręce, żeby zobrazować moją opowieść. – Ze skrzydłami obciążniętymi płótnem i czymś pokrytymi, żeby były nieprzemakalne.

– Aha. – Brian parska śmiechem, widocznie bawi go mój niezbyt profesjonalny opis prototypu.

– Któregoś dnia, gdy Cyprian szykował nowe leki, przypadkiem zerknął w lustro wiszące na ścianie. Zobaczył w nim jezioro w Tatrach, czyli tych właśnie górach... – rozglądam się wokół – a na jego brzegu piękną pasterkę.

– Szczupła? Ciemna szatynka? Krótkie, lekko kręcone włosy? Oczy w kolorze gorzkiej czekolady? – Patrzy się na mnie badawczo.

– Nie! – chichoczę. – Blondynka z długimi warkoczami.

– Koleś się nie znał. – Kiwa głową z politowaniem.

– Brian! – strofuję go, robiąc groźną minę.

– Przepraszam, ale mówię prawdę... – Rzy jak klacz, która nas tu przywiozła.

– No i widzi w lustrze tę piękną pasterkę, a ona nagle mówi: Czy chciałbyś mnie poznać, bracie Cyprianie? On oczywiście potakuje. Dziewczyna prosi: To przyleć nad jezioro na swojej maszynie, będę tu na ciebie czekać. Cyprian się w niej zakochał – wyjaśniam, a Brian mamrocze coś o złym guście biednego braciszka.

Opowiadam dalej niezrażona tym marnym flirtem:

– Cyprian się bardzo ucieszył i powiedział, że na pewno przyleci do dziewczyny. Wtedy ona zniknęła z lustra. Nagle z nieba huknął głos Boga: Latać mogą wyłącznie ptaki, a ty, Cyprianie, jesteś tylko zwykłym człowiekiem! Mnich się wystraszył, bo Bóg mówił prawdę. Zaczął myśleć, czy nie powinien odpuścić. Nie potrafił latać, bo Bóg nie dał mu skrzydeł. Ale po chwili nie wiadomo skąd w celi Cypriana pojawił się diabeł – zniżyłam głos. – Przypomniał mi, że piękna pasterka tam go wypatruje i nie powinien kazać jej na siebie zbyt długo czekać. I wtedy Cyprian podjął decyzję: postanowił sprzeciwić się swojemu przeznaczeniu, temu, do czego stworzył go Bóg, i polecieć do dziewczyny. Diabeł bardzo się ucieszył, pomógł mu nawet wnieść maszynę na pobliski szczyt. Cyprian usiadł za sterami, ale kolejny raz się zawahał, czy może sięgnąć po coś, co według Boga mu się nie należało. Chyba trochę się bał lotu, ale wtedy diabeł go popędził, znów przypominając o dziewczynie.

Milknę na chwilę. Podnoszę kubek, wypijam kilka łyków herbaty, bo zaschło mi w ustach. Zerkam na Briana. Widzę, że spoważniał, zastanawiam się przez moment, co jest tego powodem, ale wtedy mój przyjaciel uśmiecha się blade.

– Dokończ... – Nachyla się w moim kierunku i delikatnie chwyta za lewą rękę. Przełykam ślinę, widząc, jak przesuwają kciukiem po serdecznym palcu.

– Cyprian wznosił się w powietrze. Leciał nad górami, kierując się w stronę Tatr. Po kilku godzinach lotu dotarł tutaj i wylądował na brzegu Morskiego Oka. Pasterka już na niego czekała. Wysiadł ze swojej maszyny, ale gdy miał podejść do panny, nagle zerwała się burza... – Milknę, bo widzę, że Brian zagryza wargi i bierze głęboki wdech.

– Dokończ... – ponawia prośbę.

Odstawiam pusty kubek.

– Wtedy dosięgła go kara niebios. Jeden z piorunów trafił w Cypriana, zmieniając go w ogromną skałę. To właśnie jest Mnich. – Pokazuję ledwie widoczny z okna ostry szczyt, starając się przy tym zachować spokój.

Widzę, że coś jest nie tak. Na czole Briana pojawia się kilka kropelek potu, ociera je bezwiednie. Milczymy otoczeni gwarem gości siedzących przy innych stolikach. Brian powoli podnosi moją lewą dłoń, całuje, a potem na chwilę przytula do niej twarz.

– Zaryzykuję – rzuca.

Nie mam pojęcia, o co mu chodzi, ale nie mam śmiałości spytać. Brian wstaje i idzie kupić coś na pamiątkę. Gdy wraca, nie chce mi pokazać, twierdząc, że to niespodzianka. Kiedy podchodzimy do naszego pojazdu, już zaczyna zmierzchać. Siadam obok Briana, a on od razu łapie mnie za rękę. Wracamy powoli na parking. Gdy wreszcie tam docieramy, zdenerwowany właściciel sań podbiega do nas, krzycząc, czemu tak długo to trwało. Zaczynam tłumaczyć jego słowa, ale zanim skończę, Brian znów wyciąga portfel, wyjmując studolarówkę i wręcza z uśmiechem fiakrowi.

Zamawiamy taksówkę, nie wracamy jeszcze do naszej willi. Kierowca zawozi nas do jednej z największych dyskotek. Bawimy się w towarzystwie kilkuset osób. Światła stroboskopowe przyprawiają o obłęd, muzyka atakuje z wszystkich stron. Próbując ją przekrzyczeć, pytam Briana, czy lubi takie imprezy, wtedy on wybucha śmiechem i odpowiada, że nie, zwłaszcza na trzeźwo, ale bawi się dalej, nie pozwalając mi zejść z parkietu. Muszę przyznać, że tańczy naprawdę świetnie jak na faceta, który nie znosi tego typu rozrywek. Gdy padam już z nóg i odpoczywam przy naszym stoliku, pijąc piwo, Brian na chwilę odchodzi.

– A teraz zwalniamy... – Aksamitny głos didżeja przerywa ogłuszający huk.

Muzyka cichnie coraz bardziej, większość świateł gaśnie, na prawie ciemnej sali rozlegają się gwizdy kilku niezadowolonych osób, część z nich zaczyna rozchodzić się do boksów.

– Specjalna dedykacja, dla Anny... – wygłasza didżej.

Nerwowo rozglądam się na boki i wtedy zauważam Briana: stoi na skraju parkietu i kiwa na mnie palcem tak samo jak Patrick Swayze na Jennifer Grey w finałowej scenie *Dirty Dancing*. Podnoszę się na miękkich nogach, podchodzę do niego. Prowadzi mnie na środek przez rozstępujących się ludzi. Z głośników zaczynają płynąć pierwsze nuty, od razu poznaję głos Sii Fuller. *My love...*

– Wiem, że ją lubisz. – Brian czule całuje wnętrze mojej dłoni.

Tańczymy przytuleni, zamykam oczy. Brian nuci cicho słowa piosenki, ale słyszę je wyraźnie. Czuję, jak jego ciepłe wargi lekko muskają moje ucho. Łzy powoli zaczynają spływać mi po twarzy. Piosenka się kończy, jeszcze przez chwilę stoimy na środku. W końcu podnoszę powieki. Chyba wszystkim udzieliła się magia tej chwili, bo nikt nie protestuje, gdy didżej puszcza kolejny wolny utwór. Brian pociąga mnie za sobą, schodzimy z parkietu.

Wracamy do domu bez słowa. Kładę się spać, a rano, gdy się budzę, cała haftowana w kwiatuszki poszewka jest jeszcze ciągle mokra od moich łez.

Scena III

Jedenasty dzień pobytu: wypadek

Szósta lekcja jazdy na nartach. Brian świetnie sobie radzi. Ja coraz lepiej, choć daleko mi do niego. Instruktor, miła dziewczyna z orzechowym kucykiem wystającym spod czapki, cierpliwie tłumaczy, jak mam skręcać. Ma na imię Małgorzata, jest studentką ostatniego roku filologii angielskiej na Uniwersytecie Śląskim, a teraz dorabia, ucząc jazdy na nartach. Widzę, że Brian wpadł jej w oko, ale on nie zwraca na nią uwagi. Jest skupiony wyłącznie na moich poczynaniach.

Dwugodzinna lekcja się kończy, mamy już wracać, ale postanawiam sprawdzić nowo zdobyte umiejętności. Zjeżdżam! Jest świetnie, czuję wiatr we włosach. Niezupełnie, bo na głowie mam kask. Brian się uparł, więc go noszę dla świętego spokoju, choć ciągle zsuwa się do tyłu. Zakręcam ostro i... Bęc! Bardzo bęc!!! Uderzam twarzą w twardą powierzchnię stoku. Plastikowa klamka zapięcia wbija mi się w brodę, czuję ostry ból. Przeszywa mnie aż do kości. Z trudem siadam. Już po kilku sekundach widzę przed sobą Briana: kuca i natychmiast zdejmuje rękawiczki, ostrożnie rozpina pasek, który ciągle wbija się w moją brodę, i delikatnie zdejmuje sprawcę nieszczęścia.

– Cholera! – Wyciąga z kieszeni paczkę chusteczek, wyjmuje kilka i przykłada do bolącego miejsca.

Dopiero gdy spoglądam na siebie, zauważam, że cały skafander na piersiach mam upstrzony czerwonymi kropkami. Krew! Żołądek podjeżdża mi do gardła, piszczy w uszach...

Jak przez mgłę widzę, że Brian odpina moje narty. Bierze mnie na ręce i wynosi na górę stoku. Wsiadamy do terenowego samochodu, kierowca wiezie nas popędzany przez Briana, który ciągle trzyma chusteczki przy mojej twarzy. Trochę mi przechodzi, czuję się lepiej.

Wchodzimy do budynku z napisem *Stacja ratownictwa medycznego*. Pielęgniarka, młodzianka dziewczyna, która wpada na nas na korytarzu, od razu wprowadza mnie i Briana do ambulatorium. Znów robi mi się słabo: zapach unoszący się w pomieszczeniu jest nie do zniesienia. Ktoś sadza mnie na kozetce. Lekarz z pogotowia, brunet z tłustymi włosami, przez dłuższą chwilę przygląda się badawczo mojej brodzie. Brian cały czas trzyma mnie za rękę i uspokaja.

– Co mi będą robić? – pytam Briana drżącym głosem, bo tak bardzo się trzęsę.

– Trzeba to zszyć.

– Zszyć? – piszczę, sparaliżowana strachem.

Lekarz podchodzi do mnie.

– Po co to panu? – pytam, patrząc na strzykawkę, którą trzyma w dłoni. Z wrażenia zapominam, że ciągle mówię po angielsku.

– Znieczulenie – odburkuje pod nosem. Chyba zrozumiał.

– Nie! – krzyczę i odsuwam się na kozetce pod samą ścianę. – Nie zgadzam się! Brian zabierz mnie stąd! – Chwytam go kurczowo i wybucham płaczem.

Nic do mnie nie dociera, żaden racjonalny argument, że trzeba zszyć ranę, bo skóra się rozejdzie. Umieram ze strachu i nie pozwalam nawet się dotknąć przez dobre pięć minut. Robię cyrk, krzyczę i odpycham lekarza, który chce mi podać znieczulenie.

– Spokojnie. – Brian gładzi mnie po plecach. – Będę przy tobie.

– Nie!

– Bądź rozsądna. – Patrzy mi w oczy. – Będziesz miała paskudną bliznę, jeśli to zostawimy.

– Nie ma mowy, nie dam się dotknąć temu lekarzowi, nie! – szybko mu tłumaczę. – Boję się!

– Boże! – Brian przewraca oczami i kręci głową.

Wyciąga portfel i pokazuje brunetowi jakiś dokument, ten przez chwilę przygląda się badawczo. Tajemnicza plakietka łąduje z powrotem w kieszonce portfela. Jej właściciel podchodzi do umywalki,

dokładnie myje dłonie, nakłada rękawiczki podane przez młodszą dziewczynę i wyciąga rękę. Lekarz oddaje mu strzykawkę, uśmiechając się pod nosem i mamrocząc coś o wariatce. Wiem dobrze, kogo ma na myśli.

– Okej. Teraz spokojnie się połóżysz – wygłasza Brian tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Tu? – szcękam zębami, pokazując kozetkę.

– Tak.

Przełykam ślinę, już mam się zbuntować, ale po kilku sekundach posłusznie się kładę.

– Zamknij oczy – pada kolejne polecenie, które wykonuję bez szemrania.

– Może szczytać, muszę zdezynfekować ranę, przynajmniej powierzchownie. Wytrzymasz?

– Uhm... – odpowiadam, szybko zaciskając dłonie w pięści. Niepotrzebnie się obawiam, w zasadzie niewiele się dzieje, tylko pocieranie czymś lodowato zimnym.

– Okej. Teraz znieczulenie. Poczujesz kilka ukłuć. Gotowa?

– Tak.

Jakoś znoszę podawanie zastrzyku, choć nie jest to miłe.

– Leż spokojnie, za chwilę zacnie działać. Grzeczna dziewczynka... – Czuję, jak Brian nachyla się i delikatnie całuje mnie w czoło.

Leżę, jest całkiem przyjemnie, przestało boleć. Słyszę w tle szcęk metalu, szelest folii, szuranie butów o linoleum. Pielęgniarka chyba wyszła, bo drzwi do ambulatorium przed sekundą zaskrzypiały. Odgłosy mnie intrygują, więc powoli podnoszę powieki. Brian stoi odwrócony tyłem, przygotowuje coś na małym stolczku, a tuż obok niego stoi lekarz. Znów panikuję, chyba to widać w moich oczach, bo gdy Brian podchodzi bliżej, od razu mnie uspokaja.

– Zamknij oczy.

– Kto mnie...

– Ja.

Dziwne uczucie. Najpierw coś zimnego, chyba dezynfekcja, bo przez chwilę śmierdzi alkoholem, a później lekkie ciągnięcie, skubanie, ale nie boli. Skupiam się na oddechu Briana, jego zapach coraz bardziej mi się podoba. Wiem, że jest bardzo blisko, czuję ciepło bijące od ciała. Rozluźniam się całkowicie.

– Już.

Otwieram oczy. Jestem przeszczęśliwa, że zabieg mam za sobą. Zrzucam ręce na szyję nachylonego nade mną Briana i przyciągam go do siebie.

– Dzięki. – Nie mam czucia w dolnej wardze, więc trochę niezdarnie całuję go w policzek.

Gdy wychodzimy na zewnątrz, z ulgą oddycham mroźnym powietrzem. Wracamy do naszego apartamentu. Podziwiam w lustrze własne odbicie. Na brodzie mam wielki opatrunek i według Briana wyglądam jak ofiara przemocy domowej. W wypadku ucierpiał również mój nos. Nic poważnego się z nim nie stało, ale pod wpływem uderzenia pod oczami powstały dwa urocze sińce w kształcie półksiężyców. Próbuję je zamaskować korektorem. Niestety, ale to nie działa. Zrezygnowana opuszczam łazienkę.

Kolację zjadamy w moim pokoju.

Ledwie żyję po tych wszystkich emocjach, kładę się na łóżku. Brian przynosi tabletkę przeciwbólową i szklankę z wodą. Połykam pigułkę, próbując żartować, że to lek na poprawę pamięci, którym faszrował mnie w bunkrze. Mój osobisty lekarz najpierw tężeje na twarzy, ale w końcu parska śmiechem i stawia diagnozę:

– Chyba cierpisz na syndrom sztokholmski. – Okrywa mnie kołdrą. Gdy kończy, nachyla się znów, jak kilka godzin wcześniej, i całuje mnie w czoło.

Zamykam oczy i obejmuję go ramionami.

– *Zostań ze mną...* – Od kiedy tu jesteśmy, pierwszy raz bezgłośnie zwracam się do niego.

– Jesteś zmęczona, powinnaś dobrze się wyspać – odpowiada po dłuższej chwili Brian.

Głos ma zachrypnięty. Czuję, że delikatnie wysuwa się z moich objęć. Słyszę, jak gasi światło i wychodzi z pokoju. Widzę, jak idzie oświetlonym korytarzem, wchodzi do salonu i opada ciężko na sofę.

Zakrywa twarz rękami i wzdycha, a później palcami pociera powieki. Zbliżam się, aby mieć pewność, że to, co przed sekundą zauważyłam, jest odbiciem światła w małej kropli toczącej się po policzku...

Otwieram oczy, podnoszę się z łóżka i w kompletnych ciemnościach pomału docieram do drzwi...

* * *

Kim byłem w ciągu pierwszych dziesięciu długich dni, które upłynęły od wyjazdu Anny? Notatką w brukowcach, zdjęciem z plotkarskiego portalu? Może kreowanym przeze mnie Ronem Duffym, amerykańskim biznesmenem uwikłanym w mętne interesy z mafiosami z Yakuzy? Albo rewelacyjną partią ciągle do wzięcia, idolem, aktorem, Wędrowcem, przyjacielem, któremu wiele się zawdzięcza?

Z kompletną obojętnością przyglądałem się wszystkiemu, co mnie otaczało. Nie przeszkadzały mi bzdury wygadywane na mój temat: spekulacje, zdjęcia wykonane „przypadkowo” w najbardziej niepożądanych momentach. Nawet to z „kolejną tajemniczą kobietą”, zrobione przez jednego z moich prześladowców.

Wyszliśmy z domu. Mike włókł się z tyłu z Krisem. Dyskutowali żywiołowo o nowym modelu porsche, który właśnie miał premierę w Berlinie. Ja z kolei mówiłem Dalili o filmach Rickmana, gdy nagle moja towarzyszka się potknęła. Odruchowo ją złapałem, a w tym momencie jakiś łotr siedzący na drzewie tuż za ogrodzeniem strzelił nam fotkę. Przez trzy dni to nieszczęsne zdjęcie widniało na okładkach kilku największych amerykańskich szmatławców. Zamierzałem zadzwonić do Morrisa w tej sprawie, ale w końcu machnąłem ręką. Mówiąc żargonem prawników, to nic nie wносиło do sprawy.

Do mojej bezapelacyjnie przegranej sprawy.

Anna – kobieta, która odmieniła całe moje życie – odeszła definitywnie. Wyjechała z mężczyzną, który ją kochał. Łudziłem się, że wróciła do matki. Niestety, po rozmowie z Julią od razu się zorientowałem, że nie ma jej w Londynie, że gdzieś uciekli z Brianem, i tak upadł ostatni przyczółek nadziei.

– Leo... – Kris ciężko opadł na sofę. – Za dwie godziny wylatujemy.

– Wiem. – Skinąłem głową.

Zdawałem sobie sprawę, że mój przyjaciel i Iksha, jego odzyskana miłość, wiecznie nie będą siedzieć ze mną w Los Angeles. Zwłaszcza że trzy czwarte dnia spędzałem na planie.

– Poradzisz sobie?

– Tak. Możecie spokojnie się oddalić. Daję radę. W ciągu ostatnich dziesięciu dni Rickman zwymyślał mnie zaledwie pięć razy, co jest jego życiowym rekordem powściągliwości w stosunku do aktora ciągnącego główną rolę – parsknąłem śmiechem.

Mój reżyser był najgorszym cholerykiem, jakiego znałem, przewyższał mnie pod tym względem kilkunastokrotnie. Znany był ze swoich wybuchów na planie. Niektórzy nie wytrzymywali ciśnienia, zwłaszcza koleżanki z branży, ale pokusa zagrania u Demona Filmu była zbyt wielka i jakoś wszyscy to znosili w imię sztuki i pragnienia sławy.

Byłem naprawdę dobry. Pierwszy raz podobała mi się moja własna gra. Nie bez kozery ktoś powiedział, że najlepiej gra się na głodzie. Pewnie sprawił to stan wiecznego przygnębienia, w którym tkwiłem od dwóch tygodni. Idealnie wpisałem się w rolę Rona, człowieka coraz bardziej uzależnionego od pieniędzy, pokera i kokainy. Domyślałem się, dlaczego Rickman piał z zachwytu. Wlałem w rolę tak mocno, że bardziej się nie dało. Ja też umierałem bez Anny, bez mojego narkotyku.

– Chodzi mi o ten wolny tydzień. – Kris przypomniał, że od dzisiaj miałem przymusową przerwę w graniu, na szczęście krótką. Rickman wyjeżdżał na pięć dni na ślub córki. – Co będziesz robił? – spytał.

– Ogarnę. Eva wraca do Los Angeles, nie widzieliśmy się chyba z rok. Będzie okazja, żeby się spotkać.

– Eva? – Kris z dezaprobatą pokręcił głową. – Niepotrzebne ci teraz żadne nowe kłopoty.

Znał moją byłą dziewczynę. Pamiętał, jak wyglądał nasz burzliwy związek składający się głównie z kłótni, niezliczonych rozstań i bardzo gorących powrotów.

– Wraca z podróży poślubnej. Znam jej męża, też z branży. Świetny gość, chętnie z nimi spędzę dzień czy dwa – uspokoilem go.

– Leo, posłuchaj... – Kris przerwał moje rozważania. – Coś ci muszę powiedzieć, tylko się nie wkurzaj.

Zerknąłem na mojego przyjaciela. Takie ostrzeżenie z jego ust nie wróżyło nic dobrego. Siedział, nerwowo kiwając nogą założoną na kolano. Sprawiał nieodparte wrażenie kogoś, kto właśnie znalazł się pod ścianą. Nawet jego zazwyczaj rumiana twarz była bledsza niż zwykle.

– Mów – dodałem mu odwagi.

– Mam coś. Przeprowadziłem małe śledztwo w sprawie...

– I po co? – zachnąłem się. – Przecież mówiłem, że to zamknięte, *finito*. Ona wybrała i tyle.

– Wiem, ale mimo to poprosiłem Beka, żeby się temu przyjrzała. Tu masz dokładne namiary miejsca, w którym przebywa Anna. – Podał mi złożoną na pół białą kopertę. – Od początku jest tam z... nim.

– Po co mi to dajesz?! I tak nie otworzę tego listu. – Rzuciłem kopertę na stolik. Starłem się opanować, ale rzeczywiście obawy Krisa mogły się spełnić. Czułem, jak mój mózg się gotuje. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowałem, był adres miłosnego gniazdko eksnarzeczonej i jej nowego kawalera.

– Poczekaj. Jeszcze coś. Moim zdaniem Julia do tej pory nie ma pojęcia o tym, gdzie podziewa się jej córka.

– Skąd taki wniosek?

Kris mnie zainteresował, ale jeszcze bardziej zaniepokoił. Właśnie zacząłem się znów martwić o Annę, choć tak naprawdę chyba nigdy nie przestałem. Moją zazdrość trzymałem na tak grubym łańcuchu, że mogła co najwyżej skowyczeć gdzieś przykuta do ściany, ale troski o ukochaną nie mogłem tak potraktować.

– No cóż, nieoceniona Beka jest źródłem informacji. Otóż Mała zawsze dzwoni do matki, nigdy odwrotnie, po drugie na telefon stacjonarny, a po trzecie z reguły o tej samej porze, czyli w czasie, gdy ty jesteś w pracy. To wszystko świadczy o tym, że chce utrzymać w tajemnicy fakt, że jej tu nie ma, a co za tym idzie, że się rozstaliście.

– Serio? Dlaczego? – Byłem zaskoczony tymi informacjami. Anna zawsze starała się być wobec Julii szczerą.

– Prawdę mówiąc, nie wiem, czemu tak postępuje. – Kris wzruszył ramionami. – Telefon Małej jest wyłączony. Nie sądzę, aby przyczyną był brak ładowarki. Można je kupić w każdym sklepie z akcesoriami. A co do ukrywania się: nie mam pomysłu.

– Może Brian przetrzymuje Annę siłą... – wykrztusiłem. – Gdzie oni są!? – Chwyciłem kopertę, rozerwałem i błyskawicznie wyjąłem kartkę z adresem. – Zakopane? Polska? – Zszokowany popatrzyłem na Krisa, choć to było dosyć oczywiste, że tam mogli się udać.

– Gdyby chciał ją uprowadzić, to raczej nie do kurortu wypoczynkowego. Zatrzymali się w willi Anna, Mała jest zameldowana na swoje dane, a Brian na nazwisko Bailey. Na odwrocie masz zapisane. – Kris wskazał brodą na

kartkę. – Poza tym zawsze mogę ich sprawdzić, gdy wrócimy z Ikshą do Londynu. Chcesz?

– Nie. – Ledwie z siebie wydusiłem odpowiedź.

– Wszystko w porządku?

– Tak – skłamałem.

– Moim zdaniem dobrze się bawią.

– Uhm... – Przełknąłem ślinę, a razem z nią własne serce.

Ambiwalencja w czystej postaci: cieszyłem się, że nic złego się nie działo, a z drugiej strony – poczułem, że moja dusza przyjęła kolejny cios. Nic już nie znaczyłem dla Anny. Szybko zapomniała o mnie, zbyt szybko, abym mógł się z tym pogodzić.

– Bawią się, to znaczy jeżdżą na nartach i tak dalej. Nie bierz sobie tego do głowy. – Kris chyba chciał mnie pocieszyć.

Podniosłem się z sofy. Otworzyłem barową lodówkę i przez moment dokonywałem wyboru, zastanawiając się, kiedy ostatni raz piłem coś mocniejszego. Wypadało to dzień przed przybyciem Krisa. Bursztynowa ballantine's zachlupotała w szklance.

– Napijesz się? – Podniosłem butelkę.

– Może być. Strzemiennego nie odmówię.

Zaskoczył mnie. Jako zadeklarowany wróg mocnych trunków Kris nigdy nie szczędził okazji do tego, abym wysłuchał krótkiej pogadanki umoralniającej. Postawiłem jego szklankę na blacie. Oszroniła się pod wpływem ciepła panującego w salonie.

– Okej, możesz mówić. – Kurczowo trzymałem szklankę, próbując nieco ostudzić swoje rozbuchane na nowo emocje. Wiedziałem, że coś jeszcze się wydarzyło, tym bardziej że Kris siedział i nerwowo skubał wargę.

– Poprosiłem Rebeccę, żeby poszukała jakichkolwiek informacji o Brianie.

– I?

– Żeby to zrobić, napisała specjalny program, który pozwala wyszukiwać obrazy, a raczej zdjęcia konkretnych osób istniejące w sieci. Wykadrowała zdjęcie twarzy Briana, pozyskując je z nagrań wykonanych w bunkrze. Poprzez porównanie tego wizerunku z tym, co zostało zamieszczone w Internecie, odnalazła fotografię, na której prawdopodobnie widać Briana w poprzednim wcieleniu.

– I co w tym strasznego? – Uniosłem brwi.

Nadal nie rozumiałem, co aż tak bardzo niepokoiło Krisa. Ja też miałem na

koncie kilka takich fotek, nawet parę z nich wydrukowałem i trzymałem schowane w domu rodziców.

– Już mówię. – Mój przyjaciel wychylił duszkiem całą whisky. – Brian był wtedy lekarzem, neurochirurgiem. Nigdy się nie ożenił. Poprzednie wcielenie zakończył z początkiem osiemdziesiątego trzeciego, miał wtedy niecałe sześćdziesiąt lat. Zmarł w Bostonie, prawdopodobnie popełnił samobójstwo, choć to niepotwierdzone.

– W Bostonie? – Z trudem przełknąłem gulę w gardle.

– Tak, na dodatek jednym z ostatnich miejsc jego pracy, z którego pochodzi właśnie to odnalezione zdjęcie, jest ośrodek, w którym przebywała do śmierci twoja matka.

– Chryste! – Chwyciłem się za głowę. – Czemu wcześniej mi nie powiedziałaś!?

– Dowiedziałem się przed dwiema godzinami. Rebecca wysłała informacje mejlem. Próbowałem sobie to jakoś poukładać w głowie. Myślę, że teoretycznie mógł być to zbieg okoliczności, choć trudno mi w to uwierzyć. – Kris nerwowo podrapał się po podbródku.

– Lecę z wami! – Zerwałem się z sofy, wpychając do kieszeni kartkę z adresem Anny. – Muszę to wyjaśnić!!!

– Chyba zwariowałaś? – Kris gapił się na mnie, jak na kompletnego szaleńca. – Nie ma mowy! Nie pozwolę ci na to. Zapomnij. Gdy tylko znieruchomiejesz, zaraz cię szturchnę i ściągnę z powrotem.

Zacisnąłem zęby. Przed godziną opuściliśmy lotnisko we Frankfurcie. Lecieliśmy w pełnym składzie: Dalila vel Iksha, Mike, ja, no i oczywiście mój nadopiekuńczy przyjaciel. Cel podróży: lotnisko Balice, Polska.

Kris z Dalilą wybierali się do Londynu, ale gdy postanowiłem rozmówić się z Brianem, uparli się, by mi towarzyszyć. Trochę się zamotaliśmy na LAX, zmieniając bilety i starając tak dobrać samolot, aby jak najszybciej dostać się do Zakopanego. Oczywiście wszystko odbyło się w asyście fotoreporterów, którzy biegali za nami jak stado ogarów za znacznie mniejszym stadkiem lisów.

W końcu jakoś udało nam się opuścić słoneczną Kalifornię, a teraz Niemcy.

Wierciłem się na fotelu. To wszystko trwało zbyt długo, godziny ciągnęły się jak z gumy. Postanowiłem opuścić ciało i po prostu polecieć, sprawdzić,

czy wszystko z Anną w porządku. Tak brzmiała wersja oficjalna, choć nawet nie miałem okazji jej przedstawić. Po prostu chciałem zobaczyć Annę bez względu na to, co tam się działo. Umierałem z tęsknoty, nagle to sobie uświadomiłem. Spytałem Krisa dyskretnie, czy kiedykolwiek próbował opuszczać ciało w trakcie podróży samolotem i jak mogłem się przekonać, zareagował niezbyt przyjaźnie.

– Próbowałeś? – drążyłem.

Mój rudy towarzysz miał zdecydowanie większe doświadczenie w mentalnych podróżach. Żył cztery razy dłużej niż ja.

– Tak – warknął w końcu. – Kilkanaście lat temu.

Widziałem, że siedzący przed nim Mike drgnął, czujny jak zawsze. Drzemał, tak samo Dalila. Tylko ja i Kris wypoczęliśmy wystarczająco w drodze między Los Angeles a Frankfurtem i teraz mogliśmy podyskutować.

– I jak było? – Przechyliłem się przez podłokietnik. W pierwszej klasie Lufthansy przypominał raczej podnózek niż oparcie dla ręki.

– Nijak! To niełatwe opuścić siedzące ciało, choć od biedy można obniżyć tył fotela. Hałas też nie jest przeszkodą, wystarczą słuchawki... – cicho buczał pod nosem.

– To jaki masz problem? Czemu mi nie pozwolisz?

– Bo nie wrócisz?! – syknął. – Myślisz, że będziemy tu czekać na ciebie? Samolot się przemieszcza, przypominam. Będziesz szukał tego ze znaczkiem Lufthansy? Trochę ich lata nad Europą.

– Zgubiłeś się? – zdławiłem śmiech.

– Tak – przyznał po chwili i nerwowo podrapał się po szczecinie. No cóż, jako mentor nie lubił dyskredytować się w moich oczach.

– I? Jak się odratowałeś?

– Turbulencje.

– O Chryste... – Od razu wyobraziłem sobie, jak mogła wyglądać reakcja współpasażerów Krisa na jego nagły powrót do ciała. Ból rozsadzający czaszkę był nie do zniesienia.

– Właśnie. Wy tłumaczyłem przerażonym stewardesom, że miałem koszmarny sen, ale i tak zaraz gdy wylądowaliśmy, władowały mnie do czekającego już na pasie ambulansu.

– Ostro. – Pokiwałem głową.

– Już wiesz, dlaczego to kretyński pomysł?

– To nie ja wpadłem na niego pierwszy – przypominałem Krisowi.

– Leo, jest siódma. – Zerknął na swój stary zegarek, odzyskany szczęśliwie przed paroma tygodniami. – Wiem, że nie możesz wytrzymać, ale przy dobrych wiatrach za dwie godziny będziemy w hotelu. Mam nadzieję, że choć na tym lotnisku w Balicach nic się nie wydarzy.

– Uhm... – zgodziłem się.

– Po co chcesz tam lecieć? – Kris z łatwością odczytał moje zamiary.

– Raczej dam sobie spokój, ewentualnie rzucę okiem, czy wszystko w porządku.

– Chcesz sprawdzić, co dostaną na kolację? – Pokiwał głową z pobłażaniem.

– Chociażby.

– Rób, jak chcesz. Ja bym spasował.

* * *

Łądowanie, krótka odprawa (lekką uniesione ze zdumienia brwi miłej pani z okienka), taksówka... Na szczęście kierowca mnie nie poznał. Było tak koszmarnie zimno, że wszyscy ubrani byliśmy jak na wyprawę w Himalaje. Bez większych problemów dotarliśmy w końcu pod drzwi Sheratona. Tam też było spokojnie. Noclegi rezerwowaliśmy jeszcze we Frankfurcie, więc kwestie meldunkowe poszły wyjątkowo sprawnie.

Tym razem wziąłem dla siebie osobny pokój. Nie byłem głodny. Mój żołądek wyłączył się dość wcześniej. Wypiłem jedynie duszkiem butelkę wody Evian, wziąłem szybki prysznic i walnąłem się do wygodnego łóżka.

Zgasiłem światło, ale sen nie nadchodził. Biłem się z myślami. Decyzję o tym, żeby tu przyjechać, podjąłem pod wpływem impulsu, ale teraz emocje trochę ostygły. To, że Brian pracował w tym samym miejscu, w którym latami przebywała moja matka, tak naprawdę mogło nic nie znaczyć. Już wiedziałem, skąd znam twarz tego faceta. Widziałem go kiedyś, gdy odwiedziłem mamę. To było niedługo przed jej śmiercią. Brian musiał mieć wtedy jakieś sześćdziesiąt lat i wyglądał inaczej niż obecnie.

Bekan na bieżąco informowała Krisa o tym, co odkryła. Jeszcze w trakcie podróży dosyłała nam kolejne notatki. Dowiedziałem się w zasadzie samych pozytywnych rzeczy. Brian (profesor Edmund Lidz) w poprzednim wcieleniu był szanowanym lekarzem, neurochirurgiem z bardzo dobrą opinią. Śmiało można rzec, że jednym z najlepszych ówczesnych specjalistów w dziedzinie

neurologii i neurochirurgii. Był autorem kilku obszernych opracowań na temat leczenia amnezji dysocjacyjnej, współpracował z innymi lekarzami zajmującymi się rehabilitacją byłych wojskowych.

Zachowywał się dyskretnie, żadnych skandali, ot typowy amerykański naukowiec. Ostatnie dziesięć lat życia spędził jako ordynator neurologii w Boston City Hospital, był nawet członkiem prestiżowego Boston Psychoanalytic Society and Institute. Dwa razy w miesiącu odwiedzał ośrodek, w którym oprócz mojej matki przebywało też kilku weteranów wojny wietnamskiej. Mieszkał sam w niewielkim domu na Laurel Road, często wyjeżdżał – głównie na sympozja naukowe. Tyle.

Oczywiście nadal niewyjaśniona pozostawała kwestia, dlaczego w obecnym wcieleniu należał do Habbatum, może przyczyną było samobójstwo? Po śmierci Lidza długo spekulowano na temat jego nagłego zgonu.

Byłem uprzedzony do Briana, zdawałem sobie z tego sprawę. Tak naprawdę to go nienawidziłem, bo odebrał mi Annę. Cały czas nie dopuszczałem do siebie myśli, że to ona go wybrała, starałem się wcisnąć ją w najbardziej ukryte zakamarki w mojej głowie. Ale i tak ciągle wracała jak mantra. Rozważałem, czy Anna i Brian zostali parą? Wiedziałem, że on ją kocha, ale co do jej wzajemności... Ciągle się łudziłem, że może jednak coś jeszcze do mnie czuje...

Usiadłem na łóżku, włączyłem hotelowy komputer. Dobrze, że kartka z adresem ciągle tkwiła w kieszeni moich dzinsów. Patrzyłem na trasę, niecałe sto kilometrów. Kilka minut i mogłem tam być.

Otworzyłem drugie okienko. Willa Anna, kliknąłem na brytyjską flagę. Szybko przeczytałem nieco lakoniczną informację dla klientów anglojęzycznych. Hotel czterogwiazdkowy, a raczej hotelik, niewielki budynek stylizowany na ludowo, ale naszpikowany wszystkimi zdobyczami techniki: klimatyzacja, Internet, kino domowe. Trzy apartamenty o bardzo wysokiej klasie. Przy każdym dodatkowa łazienka z sauną i jacuzzi. W podziemiach basen, grotta solna i klub bilardowy. Na parterze kawiarnia i restauracja. Codzienne sprzątanie. Dyskretnie, nieco za miastem, w sam raz dla kogoś, kto chce miło spędzić czas, nie afiszując się zbytnio.

Wyłączyłem komputer.

Zacisnąłem pięści... Nawet najgorsza prawda była lepsza od niepewności.

Pięć minut lotu, może dziesięć? Nie spieszyłem się szczególnie.

Było późno, przeleciałem przez pierwszy apartament, pusty, bo wszędzie panowała kompletna cisza. W drugim jakaś para oglądała telewizję, zatrzymałem wzrok na ekranie: *Casino Royal*, scena z rozgrywką pokera. Ciągłe się wahałem, czy dobrze robię, próbując zobaczyć Annę. Żeby dać sobie trochę czasu, przez dobre pięć minut podziwiałem Daniela Craiga w akcji. Gdy wygrał, opuściłem apartament. Wiedziałem, że pozostał mi ostatni, ten, w którym znajdę Annę.

Pokonałem korytarz oświetlony mikroskopijnymi diodami świecącymi tuż przy dywanie. Zauważyłem drzwi do dwóch pokoiów usytuowanych naprzeciwko siebie, pustych, prawdopodobnie sypialni. W końcu dotarłem do salonu: ciemno, jedynie otwarte drzwi przepuszczały światło z holu. Po kilku sekundach mój wzrok się przyzwyczaił.

Brian siedział na sofie, przed nim stała Anna i przytulała jego głowę do brzucha. Miała na sobie jakiś podkoszulek, dosyć jasny, bo widziałem go wyraźnie. I wtedy Brian objął Annę lewą ręką, a prawą dłoń wsunął pod bluzkę...

Dość!!!

Dość!!!

Dość!!!

W ułamku sekundy uciekłem na korytarz. Nie chciałem niczego widzieć, zbliżyłem się maksymalnie do jednej z żarówek. Oślepiła mnie tak mocno, że przed oczami miałem jedynie czerwień. Jakbym się zanurzył w oceanie płonącej krwi. Nie wiem, ile to trwało. Już chciałem odlecieć, gdy nagle usłyszałem Briana.

– Muszę ci coś powiedzieć...

Zamarłem...

* * *

– Brian... – Stałam w progu salonu. Nie miałam śmiałości podejść bliżej. Zauważyłam, że nadal zakrywał twarz dłońmi.

– Zgaś światło – rzucił szybko.

Pewnie się wstydził, że go nakryłam, więc posłusznie nacisnęłam wyłącznik. Też nie lubię, kiedy ktoś patrzy, jak płaczę.

– Podejdz tu.

Powoli się zbliżyłam, Brian rozchylił kolana tak, że mogłam stanąć między nimi.

– Gdzie je masz?

Domyśliłam się, że spytał o znamię.

– Pod piersią. – Przełknęłam ślinę.

– Też miałem takie znamię. Kiedyś... – Znów ciężko westchnął. – Chciałbym je dotknąć. Mogę? – Wsparł czoło na moim brzuchu.

Wsunęłam palce w miękkie, jedwabiste włosy. Zatonęłam we wspomnieniach...

Przed oczami przelatywały mi setki obrazów. Jak pokaz slajdów. Na każdym byłam ja i Leo. Ja i Leo. Leo i ja... Bałam się, że zawsze tak będzie, ale teraz musiałam podjąć decyzję.

– *Tak...* – powiedziałam bezgłośnie.

Objął mnie i przysunął do siebie jeszcze bliżej, jego prawa dłoń nieśmiało wśliznęła się pod moją koszulkę. Zamknęłam oczy, serce biło coraz szybciej. Gdy opuszka jego palca zetknęła się z lewą piersią, miałam wrażenie, że czuję falę gorąca rozchodzącą się z tego miejsca. Przechodziła przez nasze ciała. To było jak prąd. Wzięłam głęboki wdech...

– Muszę ci coś powiedzieć... – Brian nagle opuścił dłoń. Teraz trzymał mnie w talii. – Usiądź.

Przez chwilę się zawahałam, ostatecznie wybrałam miejsce w rogu sofy. Choć w pokoju było bardzo ciepło, przykryłam nogi kocem. Nieznośny dygot nie chciał ustąpić.

– Jeszcze nikomu o tym nie... – zaczął.

Słyszałam, że jest mu ciężko, i chciałam chwycić go za rękę, ale zauważyłam mój gest.

– Nie ułatwiał mi, nie zasłużyłem. – Zakrył dłońmi twarz. Siedział tak przez chwilę, w końcu znów zaczął mówić: – Domyślasz się na pewno, że w poprzednim wcieleniu byłem lekarzem. Byłem neurochirurgiem, dobrym specjalistą, szanowanym. Mieszkałem w Stanach. Gdy zbliżałem się do czterdziestki, odkryłem nową metodę leczenia amnezji. Skupiłem się na zaburzeniach dysocjacyjnych. To była moja pasja. Nie zamierzam dokładnie ci tłumaczyć, na czym polegała opracowana przeze mnie metoda, bo teraz nie czas i miejsce ku temu, ale sukcesy były. Potrafiłem przywrócić pamięć osobom po długotrwałej śpiączce, nawet takim, którym już nikt nie dawał

szans. Otworzyłem projekt, niestety pieniądze z grantu, które otrzymałem na ten cel, szybko się skończyły. Miałem obiecany drugi, ale kilka dni przed terminem wypłaty dostałem listownie odmowę. Nie podano powodu. Byłem wściekły na nasz rząd, który się na mnie wypiął. Żeby zgromadzić trochę środków, zacząłem jeździć po kraju z odczytami i na jednym z sympozjów poznałem kobietę. Znacznie młodszą, atrakcyjną. Popłynąłem... – Westchnął z goryczą. – Kiedy teraz na to patrzę, wiem, że nie byłem zakochany, raczej odurzony. Gdy trochę się zbliżyliśmy, co zresztą nastąpiło bardzo szybko, ona obiecała mi pomóc zdobyć pieniądze. Wahałem się, ale w końcu przystałem na jej propozycję. Jak się domyślasz, nie ma w życiu nic za darmo. – Zerknął na mnie. – Część badań prowadziłem nieoficjalnie, na prośbę tej kobiety, a konkretnie jej tajemniczego mocodawcy. Czasami na niczego nieświadomych pacjentach testowałem nowe leki i ich kombinacje. Na szczęście znałem dobrze ich działanie i nikomu nic złego się nie stało, do czasu... – Referował beznamiętnie, jakby opowiadał historię życia kogoś zupełnie obcego.

– Gdy mój projekt był na ukończeniu, znów musiałem skorzystać z pomocy. Wtedy kobieta postawiła kolejny warunek. Zatrudniłem się dorywczo we wskazanym przez nią ośrodku leczenia nerwic. Miałem tam pod opieką kilku pacjentów... – Brian na chwilę zamilkł.

Wiedziała, że teraz poznam prawdę, dlaczego przestał należeć do naszego plemienia i w obecnym wcieleniu urodził się ze znakiem trójkąta. Poprawiłam się na kanapie, podczas gdy Brian mówił dalej:

– Na jednym z nich miałem przeprowadzić eksperyment. Polegał na podawaniu specjalnej kombinacji leków gwarantującej postępujący zanik pamięci. Systematycznie przez lata podawałem lek temu pacjentowi, patrzyłem ze spokojem, jak coraz bardziej poddaje się tej koszmarnej terapii. Jestem pewny, że gdybym zamienił leki i przeprowadził właściwie leczenie, ta osoba wróciłaby do normalnego życia, do swojej rodziny...

– Co było dalej? – Czułam, że to nie koniec tej historii.

– Nic. W końcu ten człowiek zmarł.

– A ty?

– Kilka lat później.

– Jak to się stało?

– Jeśli mogę, nie chciałbym odpowiadać na to pytanie.

Przez chwilę siedziałam wstrząśnięta, od razu się domyśliłam, że Brian popełnił samobójstwo. Ta świadomość była straszna. Jak bardzo musiał być

zgnębiony, żeby targnąć się na życie, nawet takie jak nasze, teoretycznie nigdy się niekończące.

– Brian... – Przysunęłam się do niego. Nie mogłam uwierzyć w to, że jest złym człowiekiem. To nie mogło się wydarzyć, przecież był dla mnie taki dobry. Chwyciłam go za rękę, tym razem pozwolił. – Ilu ludzi uratowałeś? Chodzi mi o to, ile osób...

– Przestań! – Szarpnął się gwałtownie, odwrócił w moją stronę i mocno chwycił za rękę. – Przestań mnie usprawiedliwiać! Wiem, do czego zmierzasz! Owszem, uratowałem mnóstwo ludzi! Dziesiątki, a może nawet setki! Moja kuracja pozwalała na normalne funkcjonowanie ludziom po traumach, wypadkach, weteranom wojennym, wybudzonym ze śpiączki dzieciom, kobietom, które przeżyły gwałt! Do dzisiaj jest stosowana. I co z tego? To nie umniejsza mojej winy! – stwierdził dobitnie. – Gdyby tak było, gdyby te wszystkie uczynki ją zmazały, nie siedziałbym tu przed tobą ze znakiem Habbatum! Zostałem ukarany za chorą ambicję, za to, że chciałem skończyć projekt. Gdybym tylko dostał ten przekłety grant... – Nagle się uspokoił, choć ciągle jeszcze oddychał szybko. – Próbowałem się usprawiedliwiać – wyjąkał. – Znałem historie lekarzy pracujących w obozach koncentracyjnych w czasie drugiej wojny światowej. Choć nikt o tym nie mówi oficjalnie, do dzisiaj korzysta się z wiedzy, którą wtedy zdobyli. Testowali leki na ciężarnych kobietach, robili eksperymenty na bliźniętach, które później mordowali. Patrzyłem na siebie i myślałem: „Nie jesteś taki, jak oni. Poświęciłeś tylko jedną osobę, żeby pomóc tysiącom”. Teraz wiem, że o jedną za dużo.

– Każdy zasługuje na wybaczenie, na drugą szansę – wyjąkałam przez ściśnięte gardło.

– Ty byś wybaczyła?

– Tak – szepnęłam ochryple.

Ucisk na moich ramionach zelżał.

– Dałabyś mi szansę?

– Jestem tu, z tobą... – Pogłaskałam go delikatnie po twarzy.

– Kocham cię. Nikogo w życiu tak nie kochałem, dla ciebie zrobiłbym wszystko.

Nachylił się ostrożnie i objął mnie w pasie. Jego usta nieśmiało dotknęły moich. Na pewno obawiał się o moją ranę, tak bardzo delikatna była ta pieśczoła. Zamknęłam oczy. Czułam jego palce wślizgujące się pod koszulkę,

błądzące coraz wyżej, aż dotarły pod sklepienia pach. Prześlizgnęły się pod nimi i spoczęły na moich piersiach.

Gwałtownie zebrane powietrze świsnęło w ustach Briana:

– Pragnę cię. Tak bardzo chcę się z tobą kochać – wyznał.

– *Brian...* – Zawahałam się.

– Tak? – wyszeptał prosto w moje usta.

Nie chciałam sprawić mu przykrości, ale wiedziałam, że jeszcze nie jestem gotowa na ten krok. Moje ciało odpowiadało na pieszczoty, słodki ból w dole brzucha rozlewał się bezlitośnie, a ja z sekundy na sekundę czułam się coraz bardziej słaba i bezwolna. Ale i tak ucisk w sercu był silniejszy. Odbierał mi powietrze. Nie mogłam zaczerpnąć tchu.

– *Daj mi trochę czasu, proszę...*

– Ile tylko będziesz chciała. Mówiłem ci, że zrobię dla ciebie wszystko.

– *Zostań ze mną, nie chcę spać sama* – powtórzyłam bezgłośnie moją prośbę.

Nie wypowiedział już żadnego słowa. Wziął mnie na ręce i zaniósł do sypialni...

Rozdział 11

Grande Finale

Myślałem, że brak wątpliwości to dobre uczucie, ale teraz wiem, że czasami lepiej je mieć: wątpliwości to ostatni bastion umierającej nadziei.

Wróciłem do hotelowego pokoju. Otworzyłem mały barek, przez kilka minut wpatrywałem się w napisy: Johny Walker, Sobieski (znowu ta przeklęta wódka?!), Ballantine's... i nagle w mojej głowie coś przeskoczyło. Zamknąłem oszklone drzwiczki.

Siadłem na łóżku z butelką wody, choć nawet ona nie była potrzebna komuś, kto już nie żył. Mimo to wypilem całość, a później z kompletnym otępieniem czytałem wszystko, co producent umieścił na etykiecie. Po dziesięciu minutach mogłem z pamięci wyrecytować, jaką zawartość jonów wapnia zawiera woda Evian, ile ma sodu i kiedy upływa termin jej ważności. Wstałem. Zacząłem chodzić w kółko, geometryczne wzory na dywanie przesuwały się przed moimi oczami jak fragmenty szkiełek w kalejdoskopie. Myślałem.

Jechać? A jeśli tak, to w jakim celu? Rozmówić się z Brianem, jak wcześniej zaplanowałem? Ale po co miałbym to robić? Wszystko było jasne. Przez niego moja matka nigdy nie wróciła do równowagi psychicznej. Brian z premedytacją okłamał Annę, ukrywając bardzo istotną część prawdy, żeby nie mogła w żaden sposób powiązać faktów.

Teoretycznie mógł nie zdawać sobie sprawy, że to moja matka, bo ja sam widziałem go raptem jeden raz w tym miejscu. Ale tylko teoretycznie. Intuicyjnie wyczuwałem, że znał szczegóły i doskonale wiedział, co mnie łączyło z jego pacjentką. A co do tajemniczej sponsorki, od razu przyszła mi do głowy tylko jedna osoba. Byłem pewny, że to Debora. Skoro znali się zarówno w tamtym, jak i w obecnym wcieleniu, Debora z pewnością oświeciła go w każdej możliwej kwestii.

A może machnąć ręką na to wszystko? Wrócić do Londynu, a później do Los Angeles i starać się zrobić coś niemożliwego, czyli zapomnieć? Zapomnieć o Annie przytulającej się do mężczyzny, który mi ją odebrał? Choć może to ja

sam mu ją ofiarowałem?

Dziesiątki myśli wirowały razem z kremowymi kwadracikami na bordowym tle dywanu. Zatrzymałem się. Rzut oka na zegarek: dochodziła północ. Pewnie wszyscy już spali. Wyszedłem z pokoju, starając się zrobić to bezszelestnie. Zjechałem windą na parter.

– Dobry wieczór, w czym mogę pomóc? – Recepcjonista, na oko mój rówieśnik, powitał mnie nienaganną angielszczyzną, choć wygłoszoną nieco zachrypniętym z wrażenia głosem.

– Dobry wieczór... – Zawahałem się na moment. – Chciałbym skorzystać z samochodu.

– Rozumiem. – Uśmiechnął się. – Życzy pan sobie wynająć limuzynę z kierowcą?

– Wolałbym bez.

– Oczywiście. – Delikatnie skłonił głowę. – Na którą godzinę mamy przygotować samochód?

– Właściwie potrzebuję go już teraz – stwierdziłem.

– Dobrze. Wprowadź to tylko formalność, ale muszę pana poprosić o jakiś dowód tożsamości – sapnął nieco spłoszony, przeczesując palcami krótko obcięte ciemne włosy.

Wręczyłem mu prawo jazdy. Powoli obracał dokument, jakby chciał jak najlepiej się z nim zapoznać.

– Przepraszam bardzo, ale muszę to powiedzieć: jestem wielkim fanem pana talentu – westchnął, kładąc blankiet na blacie.

– Dziękuję. – Uśmiechnąłem się blado.

– Czy byłby pan uprzejmy poczekać chwilę? To zajmie nie więcej niż dwie minuty. Proszę spocząć. – Wskazał mi dwa fotele i stolik znajdujące się kilka metrów dalej.

– Nie trzeba, tu poczekam.

Pięć minut później siedziałem w mercedesie i wyjeżdżałem z miasta, kierując się nawigacją. Nie spieszyłem się. Asfalt pokryty tu i ówdzie lodem uciekał powoli pod maską. Jakies trzydzieści kilometrów za Krakowem zatrzymałem się na chwilę na stacji benzynowej. Zamierzałem znów tam polecieć, do willi Anna, ale w końcu zrezygnowałem. Ruszyłem, po kolejnych minutach przystanąłem na poboczu.

Wrócić do Krakowa? Nie wrócić? Byłem zagubiony, nie miałem pojęcia, co zrobić. Co było najlepsze? Czy w ogóle cokolwiek mogło być dobrym rozwiązaniem? Uświadomiłem sobie, jak bardzo jestem samotny, siedząc w tym samochodzie i myśląc, co począć. Gdyby spytać teraz kogoś z moich bliskich, rodziny, znajomych, gdzie jestem – żaden z nich nie potrafiłby odpowiedzieć. Włącznie ze mną.

W końcu puściłem hamulec, wcisnąłem gaz i znów do przodu. Jak w koszmarnym śnie. Podróżowałem, mając wrażenie, że nie mogę dotrzeć do celu. Mało tego. Miałem wrażenie, że chyba nie chcę go osiągnąć, bo nie wiem, co nim jest.

Gdy zaparkowałem samochód, była piąta nad ranem. Stałem z włączonym silnikiem i przez dwie godziny słuchałem muzyki. Znalazłem stację z klasyką, trochę mnie uspokoiła, choć nie czułem się szczególnie zdenerwowany. Raczej jak ktoś do cna wypalony z emocji i wyprany z wszelkich uczuć. W końcu wysiadłem. Musiałem podejść jakieś dwieście metrów, po cichu otworzyłem małą furtkę ukrytą na tyłach posesji.

Powoli zaczynało się rozjaśniać. Wokół panowała cisza, ale w budynku już toczyło się życie. Widziałem światło w oknach na parterze, a przez szybę słychać było radio. Okrążyłem willę, stanąłem pod oknami sypialni i zadarłem głowę. Gdzieś tam spała moja ukochana. Była tak blisko, a jednocześnie najdalej, jak to możliwe.

Znów się zawahałem. To, co robiłem, było kompletnie idiotyczne. Oparłem czoło o ścianę. Gruby drewniany bal był lodowaty i zaskakująco gładki. W dotyku przypominał marmur. Od razu przed oczami stanęła mi scena z hotelu Stars, gdy czekałem na Annę oparty o kamienną kolumnę, równie zimną i bez skazy. I gdy już miałem stamtąd odejść, bo właśnie podjąłem decyzję, usłyszałem delikatny dźwięk. Ktoś otworzył okno i wyszedł na balkon. Zmroziło mi krew w żyłach, ale tylko na moment. Od razu wiedziałem, że to Brian, choć w ciemnościach trudno było go dostrzec. Głośno ziewnął, a potem zaczął coś cicho nucić.

– Edmund! – krzyknąłem.

Od razu zamilkł.

Oderwałem się od ściany budynku i powoli przeszedłem kilka metrów, tak żeby Brian mógł mnie zobaczyć. Bez słowa odwrócił się, wszedł do pokoju i zamknął za sobą drzwi. Wiedziałem, że nie będę musiał długo czekać i rzeczywiście minutę później stanął przede mną.

– Czego chcesz? – syknął cicho.

– Pogadać.

– O niej? Za późno. Już wybrała, a o tobie chce zapomnieć.

– Wiem. – Zaczepnąłem powietrza, dłonie zacisnęły się w pięści. – Ona wybrała, ale mojej matce nie dałeś takiej szansy. Zdecydowałeś za nią, o czym chce zapomnieć.

Staliśmy jakiś metr od siebie, ale i tak zauważyłem drgający przez moment mięsień na policzku Briana.

– Podglądałeś nas? – Odwrócił z niedowierzaniem głowę. – Co za żaloszny gnojek z ciebie!

– Ty jesteś żaloszny. Ambicja zaślepiła cię do tego stopnia, że sprzedałeś się Deborze. – wydusiłem. – Jestem w stanie zrozumieć, dlaczego nie powiedziałeś prawdy Annie, ale dlaczego mnie jej nie wyjawiałeś!? Gardzę tobą! Jesteś tchórzem!

– To ty jesteś tchórzem, Black. I głupcem. – Nagle Brian doskoczył do mnie. Prawie stykaliśmy się nosami. – Jesteś nikim. Nie zasługujesz na taką kobietę jak Anna. Poddałeś się bez walki, a teraz zobacz! – Rozchylił poły kurtki, nagie ciało błysnęło przez moment. – Czujesz? Jeszcze pachnę twoją dziewczyną, z którą właśnie spędziłem noc.

Wstrzymałem oddech. Przeszył mnie ból, jakby ktoś wbił mi nóż prosto w serce. Gdzieś w jego głębi kołatała się jeszcze nadzieja, ale teraz umarła ostatecznie. Ten zapach poznałbym wszędzie. Włosy Anny, jej ciepłe ciało, słodki oddech...

Żeby go nie czuć, przytknąłem do nosa pięść zaciśniętą tak mocno, że czułem paznokcie wbijające się do wnętrza dłoni.

– Tchórz! – Brian prawie na mnie splunął.

– Przepróś... – warknąłem.

– Chcesz walczyć? – spytał drwiącym tonem. – Zabiję cię, Black. Wiesz, że nie masz szans. Widziałeś, jak skończył Einar, a przy tobie nie muszę się kontrolować, bo nie jesteś człowiekiem. Jeszcze dzisiaj trafisz do szpitala, na oddział noworod....

Nie zdążył skończyć swojej kwestii. Moja pięść uderzyła szybko. Cios był celny.

– Ty... – ryknął, rzucając się na mnie.

Cios, unik, cios, unik, trafiony, cios, unik, unik, trafiony...

Z każdym uderzeniem, zarówno tym, które dosięgało Briana, jak i tym, które

ja przyjmowałem, wracało do mnie życie. Nie czułem bólu, tylko wszechogarniającą wściekłość. Rozsadzała mnie. Walczyliśmy, jakby każdy z nas bił się o coś najcenniejszego. Już po kilkunastu sekundach Brian krwawił z rozwalonego nosa, który mu załatwiłem na początku pięknie wyprowadzonym prawym sierpowym. Choć zalewało mi oczy krwią z rozciętego łuk brwiowego, nie dbałem o to, szarpaliśmy się jak rozwścieczone psy.

Upadliśmy na śnieg. Udało mi się przycisnąć Briana do ziemi i wtedy z całej siły uderzył mnie głową w lewe ramię. Pewnie liczył na to, że moja rana postrzałowa jeszcze się nie zagoiła. Roześmiałem się, widząc zaskoczenie w jego oczach, ale triumfowałem tylko sekundę. Wyswobodził lewą rękę i wałnął mnie pięścią w środek twarzy. Zachrupotało. Poczułem w ustach słodko-słony smak, jeszcze bardziej mnie to rozjuszyło.

Oddałem mu po raz drugi, trafiając w coś, co kiedyś było jego nosem.

– Ty gnoju! Nie żyjesz... – wysapał, spluwając krwią.

Zerwał się w ułamku sekundy, ja też. Krążyliśmy wokół siebie przez chwilę, obaj już skrajnie zmęczeni, z ust buchały nam kłęby pary. Rozjaśniło się, wokół nas jak na dłoni widoczne były ślady walki. Krew ostrym kontrastem odcinała się od wydeptanego śniegu.

– Nie doceniłeś mnie, Lidz... – warknąłem i uśmiechnąłem się szeroko.

– Wybiję ci te piękne hollywoodzkie zębki!

Znów rzucił się na mnie. Siłowaliśmy się szczeni ze sobą najmocniej, jak to było możliwe. Chciałem go przewrócić, ale nie pozwolił mi na to. Zaczął mnie okładać pięściami po karku i potylicy. Nie pozostawałem mu dłużny, choć coraz bardziej nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że mój mózg obija się o ścianki czaszki.

Brian przewyższał mnie technicznie, ale chyba nie docenił tego, że napędzany byłem czystym gniewem. Podciął mi nogi. Kolejny raz wylądowaliśmy na ziemi, uderzając o nią z głośnym jękiem.

– Zabiję cię – wychrypiał wprost do mojego ucha.

– Już to zrobiłeś – odwarknąłem. – Teraz kolej na mnie.

Szale przewagi przechylały się na zmianę: raz on na górze, raz ja. Brian uderzający precyzyjnie, ja walący na oślep, ale z determinacją gladiatora. W którymś momencie to on znów wysunął się na prowadzenie. Błyskawicznie wyrwał obie ręce z uścisku i uderzył dłońmi w moje uszy. Ból przeszył mi głowę, straciłem na moment orientację. To było tak przeraźliwie bolesne jak

nagły powrót do ciała, a może nawet bardziej. Brian zaczął mnie dusić i wtedy, gdy już prawie zwyciężył, resztkami sił kopnąłem go kolanem w najczulsze miejsce. Stoczył się na ziemię, zwijając z bólu. Prawie nic nie słyszałem, choć leżał tuż obok. Jak przez mgłę docierały do mnie jego słabe jęki. W końcu przestał się ruszać.

Próbowałem wstać. Obróciłem się na brzuch, ale nie miałem siły. W ostatnim momencie przytomności usłyszałem krzyk, to chyba była Anna... Przed oczami mignęła mi jej posiniaczona twarz i podbite oczy.

Zgwałcił ją? Zbił? Przez głowę przemknęły mi straszne wizje.

A potem powieki opadły i wszystko utonęło w czerni...

* * *

Scena IV

Dwunasty dzień pobytu: Grande Finale

– Boli cię?

Głos Briana dociera jak przez mgłę. Jestem nieprzytomna ze zmęczenia. Dotykam delikatnie opatrunku z gazy.

– Nie jakoś bardzo – mamroczę. – Da się wytrzymać. – Chcę spać, więc go zbywam. Niczego nie pragnę tak, jak spokoju.

– Przyniosę ci tabletkę, poczekaj. Musisz wziąć coś przeciwwzapalnego.

Materac przenosi każdy ruch: czuję, jak Brian wstaje z łóżka, a potem słyszę, że powoli idzie w kierunku drzwi. Po chwili przynosi pigułkę i butelkę z wodą. Ledwie jestem w stanie usiąść, na szczęście jakoś się udaje. Szybko popijam tabletkę kilkoma łykami lodowatej wody i z powrotem opadam na przepoconą poduszkę.

– Strasznie tu duszno. Mogę na chwilę otworzyć okno?

– Uhm... – mruczę, zasypiając. Ostatnim dźwiękiem, jaki rejestruję, jest skrzyp klamki od drzwi balkonowych.

Śpię? Chyba nie. Raczej balansuję na granicy między snem a jawą, jakbym nie mogła się zdecydować. Nie wiem, czy leżę w łóżku w góralskiej chacie, czy też w lawendowej sypialni. Widzę na przemian wyhaftowane bukietki polnych kwiatów i francuskie koronki. Brak mi siły, aby otworzyć oczy i ostatecznie się przekonać, gdzie jestem.

Nie słyszę oddechu śpiącego obok mnie mężczyzny, nie czuję kojącego ciężaru ręki bezwładnie spoczywającej na moim boku, ciepła wydychanego powietrza lekko poruszającego małymi włoskami na karku. Jestem tu sama. Tu, czyli gdzie? Jestem w domu? Przy Hambrough Road? Zaraz przyjdzie mama i będę musiała jej wszystko wytłumaczyć. Nie, to niemożliwe. Jeszcze nie wróciłam. Nie wiem, co mam jej powiedzieć? Przecież to tak bardzo skomplikowane, że sama się gubię.

Zasypiam.

Budzi mnie jakiś dziwny przytłumiony hałas. Nie mam pojęcia, co to. Otwieram oczy. Już jest jasno. Obracam głowę, Briana nie ma obok mnie. Nie mam siły wstać, więc opuszczam powieki i spaceruję mentalnie po naszym apartamencie, nie zaglądając jedynie do łazienek. Nie ma go. Nigdzie. Zauważam, że kurtka i buty też zniknęły. I wtedy znów to słyszę, jakby jęknięcie? Dochodzi od strony okna?

Wracam z krótkiej wycieczki. Siadam. Nagle zapada cisza. Kompletna. Taka, jaką można usłyszeć jedynie chwilę po czyjejs śmierci. Wyskakuję z łóżka, podbiegam do okna i wtedy go zauważam. Właściwie dostrzegam tylko nogi. Poznają po martensach, które Brian kupił tu w Zakopanem. Leżą na śniegu, który nie jest biały, a raczej różowy, tu i ówdzie upstrzony intensywnie czerwonymi plamami. Czuję, jak moje serce gwałtownie hamuje...

W ułamku sekundy wybiegam z sypialni, nie wiadomo kiedy zakładam buty, zbiegam po schodach, mijając po drodze piętro i parter z pustą recepcją, wypadam na zewnątrz i dopiero gdy docieram do Briana, widzę, że koło niego leży ktoś jeszcze.

To...

Leo?!

I wtedy zaczynam wrzeszczeć tak głośno, że chyba Bóg mnie słyszy i moja mama, i każdy, kto żyje na tej planecie. Upadam na kolana między nimi i wołam o pomoc, wykrzykuję ich imiona: Leo! Brian!, ale oni się nie ruszają.

Ktoś próbuje mnie podnieść. To kucharka, pani Krysia: miła, starsza kobieta, którą zdążyłam już troszkę poznać. Ma córkę w moim wieku, chyba Laurę? Pupilka rodziców i starszego rodzeństwa, ponoć bardzo

podobna do mnie z wyglądu. Pewnie dlatego pani Krysia tak sympatycznie się do mnie odnosi.

– Niech się panienka odsunie. – Kobięcina delikatnie dźwiga mnie z zakrwawionego śniegu.

Patrzę, jak kuca i przykłada rękę do szyi Briana, a później do tego samego miejsca u Leo.

– Zyją oba, ale strasznie poturbowani – wygłasza po chwili. – Ten ledwo dycho. – Wskazuje na Leo. – Bede tu psy nim. W recepcji jesce nikogo ni ma. Niech panienka leci po komórke, bo jo ni mom.

Gdy już mam biec po iPhone'a, na parking przy willi wjeżdża samochód. Otwierają się drzwi i ze środka wyskakują Kris i jakaś dziewczyna. Biegną tak szybko, że nawet nie mam możliwości zdziwić się ich obecnością. Poznają jedynie, że czarnowłosa piękność to Dalila.

– Kris, zabierz gdzieś tę kobietę, natychmiast! – wydaje polecenie, klękając między leżącymi Brianem i Leo. – Nie pozwól jej nigdzie dzwonić!

Otwieram ze zdumienia oczy. Przez sekundę stoję osłupiała, chyba nie docierają do mnie jej słowa, ale w końcu przytomnieję.

– Oni umrą!!! Trzeba wezwać pomoc!!! – wrzeszczę, szarpiąc ją za włosy. – Umrą! Obaj! Leo też! Chcesz go zabić!? Przecież on tak cię kocha!! – płaczę i krzyczę.

I wtedy Kris odciąga mnie od Dalili i wierzgającą stawia przed sobą.

– Ona ich uratuje! – Trzyma za ramiona i mocno mną potrząsa.

– Jak?! – pytam bezgłośnie, nie mogę nawet wyjąkać słowa przez szczękające z nerwów zęby. – Jak to możliwe?!

– Tak samo jak to, że słyszę, co do mnie mówisz. Poproś tę kobietę, żeby stąd odeszła. Natychmiast! – Wygłasza to tak stanowczo, że od razu się uspokajam. – Powiedz jej, że Iksha jest lekarzem i że sami wezwiemy pogotowie. Rozumiesz?! Zresztą cokolwiek jej powiedz, byle poskutkowało.

Obracam się w stronę osłupiałej pani Krysi. Załamującym się z wrażenia głosem tłumaczę, że kobieta, która klęczy przy chłopakach, jest lekarzem, i że ona udzieli im pierwszej pomocy. Pani Krysia chyba mi nie wierzy, jej wzrok pada na moje dłonie. Też na nie spoglądam i widzę, że w garściach trzymam kępki kruczoczarnych włosów.

– Przepraszam, ale zareagowałam zbyt nerwowo – tłumaczę.

W końcu Kris nie wytrzymuje, bierze kucharkę pod rękę i powoli, acz stanowczo prowadzi do budynku. Gdy znikają za węglem, obracam się i od razu dopadam do Dalili. Klękam naprzeciwko niej między głowami Briana i Leo.

– Podłóż sobie pod kolana. – Podaje mi swoją grubą, puchową kurtkę obszytą białym ortalionem.

Dopiero teraz zauważam, że nie mam na sobie nic oprócz kompletnie przemoczonych spodni od dresu i cienkiej koszulki na ramiączkach. Szybko rzucam puchówkę na śnieg.

– Co mam robić?

– Nic. Nie przeszkadzaj, musisz być cicho – szepcze. – Nie możesz ich dotykać. – Powstrzymuje mnie, choć zupełnie niepotrzebnie.

Obaj wyglądają strasznie ze skórą pokrytą krwią, ciągle świeżą i żywoczerwoną. Boję się, że nawet najłżejszy dotyk mógłby im zaszkodzić. Dalila przykłada dłonie do zmasakrowanej twarzy Leo. Zamyka oczy i na sekundę wznosi oblicze ku niebu, jakby się modliła, i znów pochyla się nad swoim pacjentem. Skupiam wzrok na jej rękach. Powoli przesuwa palcami, zaczynając od czoła, poprzez gęste ciemne brwi, teraz kompletnie zbroczone krwią, zatrzymuje się na dłuższą chwilę przy nosie, ustach. Później dotyka uszu. Trzyma je, lekko dociskając palce wskazujące do zakrwawionych małżowin. W końcu wkłada prawą dłoń pod głowę Leo, a lewą delikatnie przebiega po klatce piersiowej, jakby go głaskała.

Chyba przez cały ten czas nie oddycham, bo gdy kończy, czuję, że wiruje mi w głowie.

– Dlaczego on się nie budzi? – pytam, połykając łzy.

– Nie bój się, wydobreje, ale to trochę potrwa. Ja tylko zainicjowałam proces leczenia. Jeśli chcesz, teraz możesz już go dotknąć.

Podsuwam się i podnoszę ciągle bezwładną głowę Leo, po czym kładę ją sobie na kolanach. Głaszczę krótko ostrzyżone włosy, umazane tak jak wszystko – mieszanką krwi i roztopionego śniegu.

– A teraz ty, rozrabiako... – Dalila zwraca się w stronę Briana.

I znów tak samo: cały scenariusz prawie niczym się nie różni. Dalila jedynie pomija uszy Briana, za to przy jego nosie zatrzymuje się nieco dłużej.

– Skończyłam. – Otwiera oczy.

– Czemu się nie budzą? – Patrzę na nią.

– Popatrz, już im lepiej. Oddychają miarowo. Najpóźniej za kilkanaście minut oprzytomnieją. Obaj mieli wstrząśnienie mózgu, dlatego tak leżą. Nie martw się. – Głaszczę mnie po ręce.

– Dlaczego dotykałaś uszu Leo?

– Miał przerwane obie błony bębenkowe, dlatego z nich krwawił. Gdybym ich nie uleczyła, pewnie straciłby słuch.

– A nos Briana? Był złamany?

– Tak, i to chyba dwukrotnie. – Łagodnie się uśmiecha. – Dzisiaj i kiedyś, bo wyczułam stare zrosty. Usunęłam też bliznę, którą miał na łuku brwiowym. Bonus przy okazji. – Wzrusza ramionami.

Przełykam ślinę. Przez chwilę spuszczam wzrok na twarz Leo i dociera do mnie, że chyba to nie ja powinnam teraz go podtrzymywać.

– Proszę, możesz już tu usiąść. – Delikatnie wysuwam dłoń i układam głowę Leo na kurtce. Wstaję i sama nie wiem, co mam ze sobą począć. W końcu schylam się i naciągam puchówkę tak, że chłopaki mogą na niej leżeć, przynajmniej częściowo. Jestem zdziwiona tym, że Dalila nie zajmuje mojego miejsca. Ostatecznie siadam z powrotem na małym skrawku impregnowanej tkaniny.

– Nie jest ci zimno? – Dalila patrzy na mnie badawczym wzrokiem.

– Nie. Chyba z emocji. – Parskam śmiechem.

– Co ci się stało?

– A, to? – Dotykam brody. – Wypadek na nartach. Wywróciłam się przy skręcaniu.

– Mogę zobaczyć?

Waham się przez chwilę, ale w końcu odrywam plastry. Międlę w dłoniach kawałek gazy, uspokaja mnie to.

– Ładnie zszyte. – Dalila kiwa głową.

– Uhm... – potwierdzam. – To Brian...

– Wiem. Poznałam po ściegu, zastosował podobny nad swoim okiem.

Chichoczymy obie.

– Dawno nie miałam aż tylu pacjentów w ciągu jednego dnia – rzuca rezolutnie Dalila.

Nachyla się i delikatnie przykłada dłoń do mojej brody. Zamyka oczy. Nie wiem dlaczego, ale robię to samo. Czuję delikatne ciepło, rozlewa się po skaleczonym miejscu, a chwilę później skóra zaczyna mrowić i swędzieć.

– Już.

Otwieram oczy.

– Już? – Jestem zdumiona, wszystko trwało może dziesięć sekund.

– To była dosyć powierzchowna rana.

– Aha. – Uśmiecham się. – Dziękuję. Trochę mnie swędzi. Mogę się podrapać?

– Pewnie. – Odwzajemnia uśmiech.

Z błogością drapię się po brodzie, strzepując z niej resztki nici.

– Siniaki też byś mogła? – Zerkam na Dalilę.

– Już ich nie masz. Zniknęły, gdy tylko cię dotknęłam.

– Uhm. Praktyczna umiejętność. – Kiwam głową z podziwem.

I wtedy sobie uświadamiam, że ta śliczna kobieta nie bez powodu znalazła uznanie w oczach Leo. Ja sama jestem pod ogromnym wrażeniem. Dalila wygląda jak Królowa Śnieżka: czarne włosy, nieskazitelna cera, oczy spoglądające na mnie spod wachlarzy czarnych gęstych rzęs, pełne usta. Nawet sweterek ma bajkowy: z puszystej błękitnej angory.

Jest po prostu idealna: piękna, dobra, serdeczna, miła i na dodatek obdarzona tak wspaniałą mocą. Jeśli miałabym nadal operować postaciami z bajek, czuję się przy niej jak Kopciuszek albo brzydkie kaczątko bez szansy na zmianę w łabędzia.

– Przepraszam, że tak na ciebie napadłam – mamroczę pod nosem. – Wytargałam ci włosy, strasznie mi głupio.

– Nic się nie stało. Miałas prawo, byłaś zdenerwowana. Poza tym skąd mogłaś wiedzieć, że potrafię uzdrawiać? A włosy? Odrosną. – Kolejny raz Dalila wzrusza ramionami.

Znów zapada kłopotliwa cisza i wtedy nagle przychodzi mi z pomocą Kris. Widzę, jak biegnie w naszym kierunku, niosąc pod pachą jakieś tobołki.

– Boże! Już myślałam, że sobie nie poradzę z tą kobietą! Dobrze, że znam rosyjski. Coś zrozumiała. – RzUCA nam koce. – Trzeba ich okryć, ty też się owiń! – Wskazuje na mnie. – Jesteś blada jak śmierć, zaraz tu umrzesz z zimna.

Posłusznie otulam się grubym pledem z owczej wełny. Gryzie niemiłosiernie, każdy włoszek kłuje albo łaskocze, ale od razu zaczynam czuć ciepło. Dopiero teraz wiem, jak bardzo byłam złodowaciała. Dalila z Krisem pieczołowicie okrywają chłopaków, on przy tym opowiada, jak unieszkodliwił panią Krysię dwiema lampkami koniaku, a czarnowłosa piękność rewanżuje się opowieścią o tym, jak uzdrawiała obu bohaterów bójki.

I gdy wreszcie wszyscy jesteśmy już opatuleni, a ja siedzę, coraz mniej trzęsąc się z zimna, za to coraz bardziej z emocji – znów wydarza się coś niesamowitego: Kris przykłęka tuż przy Dalili i bierze ją na kolana, mocno przytula, a ona zarzuca ramiona na jego szyję i całuje go w usta! W końcu odrywają się od siebie.

– Przepraszam. – Patrzy na mnie spłoniona jak nastolatka.

– Spoko, nic się nie dzieje – ledwie udaje mi się wykrztusić.

– Jeszcze ciągle nie mogę się nim nacieszyć – wyjaśnia, wyraźnie zarumieniona.

– Rozumiem... – potakuję bezwiednie.

Równocześnie gdzieś z zakamarków mojej pamięci wyluskują powiedzonko o tym, że najłatwiej kiwać pustą głową. I tak! To by się zgadzało, bo właśnie tak się czuję: jak kompletna idiotka. Kris i Dalila siedzą i sprawiają wrażenie bardzo zakochanych, tak w siebie zapatrzonych, że to raczej nie może być jakiś okrutny żart z ich strony. Nie mam pojęcia, o co chodzi.

– Jesteś teraz z Krisem? – Mimo wszystko chcę się upewnić.

– Teraz, od zawsze i na zawsze – odpowiada, tuląc się do niego.

Wyglądają razem prawie jak Piękna i Bestia, choć może to nie najtrafniejsze porównanie. Kris zdecydowanie nie jest bestią, one raczej nie mewają rudych loczków i rumianej twarzy i nie uśmiechają się tak ciepło.

– Leo odnalazł ją dla mnie. Napisał tekst piosenki, Iksha ją usłyszała i postanowiła do mnie wrócić. – Kris patrzy prosto w moje oczy.

Przypominam sobie chwile sprzed dwóch tygodni i to, jak Leo próbował mnie zatrzymać, jak krzyczał coś o swoim przyjacielu, o Dalili i o piosence...

– Nie wierzę. To nie może być prawda. – Czuję, jak pod moimi powiekami zbierają się łzy. Przez moment nic nie widzę, tak bardzo zalewają mi oczy.

– To jest prawda... – nagle słyszę głos Briana.

I wtedy przestają cokolwiek rozumieć...

* * *

Usiadłem.

Hm... Jak to leciało? Surrealistyczne, acz prawdziwe? Nie... Chyba nie tak... Rozglądałem się ciekawie.

Najwyraźniej żyłem, choć nie było to wcale takie pewne. Stawiałem raczej na dziwaczny sen, zważywszy na scenografię, czyli połączie zdeptanego śniegu upstrzonego czerwonymi plamami. Przetarłem oczy i odruchowo spojrzałem na dłoń. Krew? Krew. Prawdziwa? Polizałem rękę. Chyba prawdziwa, bo metaliczny posmak wydał się znajomy.

Szybko przesunąłem wzrokiem po zebranych wokół mnie osobach. Kris? Tak, wyglądał jak to Kris, czyli rudy, rumiany, w granatowej kurtce kupionej na lotnisku we Frankfurcie. Dalila (czy może Iksha, swoją drogą nie podobało mi się to imię) siedząca mu na kolanach też w porządku, choć jej zakrwawione ręce nie bardzo pasowały do całości.

Brian?

Brian?!

Czy ten facet ze zmasakrowaną facjatą, siedzący po lewej, to Brian???

Chwileczkę. O co, do diabła, chodzi? Próbowałem jakoś osadzić go w całej sytuacji. I nagle wszystko dotarło, jasno jak błysk floretu przecinającego powietrze w słoneczny dzień.

– Lidz! – ryknąłem, mając przed oczami posiniaczoną twarz Anny i opatrunek. – Zabiję cię!

– Leo! Nie! – Głośny pisk przeszył mi uszy ułamek sekundy wcześniej, nim zdążyłem zaatakować sprawcę tej krzywdy. Odwróciłem głowę.

– Anna?! – Wpatrywałem się ze zdumieniem. Owinięta brązowym kocem klęczała za mną, dlatego wcześniej jej nie zauważyłem. – Gdzie masz... – Pokazałem na brodę. Byłem pewny, że wyglądała inaczej niż przed... Przed czym?

– Nic mi nie jest – wyrzuciła szybko z siebie. – Naprawdę wszystko w porządku.

– Miałaś opatrunek! – upierałem się. – I siniaki!

– Leo, spokojnie. – Kris dołączył do rozmowy. Podniósł się z ziemi i wyciągnął do mnie rękę. – Wstawaj, pomogę ci, choć chyba nie muszę. Jesteś zwawy jak komandos po koktajlu proteinowym – zarechotał.

Stałem, lekko się zataczając.

– Dobra, idziemy do środka – zakomenderował mój przyjaciel. – I spokojnie! Żadnych numerów! – warknął, spoglądając na mnie i Briana.

– A co z... – Zerknąłem na Annę.

– Iksha się nią zajmie.

Posłusznie skierowaliśmy się za nim. Weszliśmy całą grupą do willi. Przy końcu korytarza stała jakaś kobieta. Na oko mogła mieć pięćdziesiąt lat. Nie widziałem jej wyraźnie, była zbyt daleko. Gdy mnie zobaczyła, od razu się przeżegnała, zupełnie jak na widok ducha. Parsknąłem śmiechem. Spotykałem się z różnymi reakcjami fanek: piski, krzyki, rzucanie się na szyję, próby ściągania ze mnie ciuchów, płacz, omdlenia i Bóg wie co jeszcze, ale żeby się żegnać znakiem krzyża? O! Tego nigdy nie grali!

Pokonaliśmy schody.

– Zapraszam. – Brian otworzył drzwi do apartamentu.

Bez słowa weszliśmy do środka.

– Myślę, że przydałby się wam prysznic i może coś świeżego do ubrania? – Dalila zmarszczyła nos.

– Mam prośbę. Czy mogłabyś, czy moglibyście na chwilę...? – Spojrzałem na nią i Krisa.

– Okej. Pojedziemy ci coś kupić – domyśliła się od razu.

– Mogę skorzystać z łazienki? – spytałem gospodarzy, ledwie zostaliśmy sami.

– Proszę. – Anna wskazała mi drzwi na końcu niewielkiego holu.

Wszedłem do środka. Światło zapaliło się samoczynnie. Stałem przed umywalką. Wyglądałem niesamowicie, chyba w żadnym filmie tak mnie nie ucharakteryzowali, nawet w *Potrójnym blefie*.

– Nieźle, Brian... – skomentowałem własne odbicie.

Zrzuciłem ciuchy i wszedłem pod prysznic. Było zupełnie tak, jakbym zmywał sceniczny makijaż: woda zabarwiona krwią, nawet strugami krwi, a przy tym nic nie boli. – Znajome uczucie – parsknąłem do siebie, kończąc kąpiel.

Na szczęście tylko kurtka przedstawiała skrajnie żałosny widok, w zasadzie nadawała się do kasacji. Wepchnąłem ją do niewielkiego kubełka. Założyłem poplamione krwią dzinsy, koszulę i wymaszerowałem z łazienki.

– Leo... – Anna powitała mnie, ledwie stanąłem w progu salonu. – Brian się myje – wyjaśniła po chwili.

Ciągle otulona kocem, z podkulonymi nogami siedziała na sofie i patrzyła przed siebie kompletnie niewidzącym wzrokiem.

Usiadłem na jednym z foteli. Jeszcze nigdy nie czułem się w obecności Anny tak niezręcznie i obco. Zakryłem twarz. Nie mogło do mnie dotrzeć, że dwa tygodnie wcześniej ta dziewczyna była moją narzeczoną. Nie przestałem jej kochać, moje uczucie nie straciło na sile, a może nawet kochałem ją bardziej niż przedtem.

– Leo... – Chciała mi coś powiedzieć, ale nagle się zająknęła.

Opuściłem dłonie.

– Tak?

– Nic... – Odwróciła wzrok.

– Chcesz mi coś powiedzieć?

– Tak, nie... Nie wiem... – westchnęła.

Boże, co się z nami stało? Ciężar tej myśli przygniatał. Zwiesiłem głowę, napięcie uchodziło ze mnie jak z przebitego balonu, coraz bardziej, aż do stanu granicznego z apatią. Po kilku ciągnących się w nieskończoność minutach usłyszałem za plecami kroki Briana. Wszedł do salonu, przez chwilę stał przy drzwiach, ale w końcu się zdecydował i usiadł w fotelu obok mnie. Widziałem jedynie podwinięty do łokcia rękaw czarnej koszuli i umięśnione przedramię. Znow zapadła cisza. Atmosfera zgęstniała jeszcze bardziej, choć wydawało się to niemożliwe.

– Świetna sprawa. – Nagle Brian parsknął śmiechem.

Może też miał już dość tego oczekiwania. Zerknąłem na niego: pocierał brew, którą rozwalił mu swego czasu Einar. Domyśliłem się, że to umiejętności Dalili tak go zachwyciły. Fakt, gdyby nie ona, pewnie leżelibyśmy teraz na urazówce albo w szufladach prosektorium.

– Chciałabym z wami porozmawiać. – Anna wzięła głęboki wdech. – Ale najpierw coś ci wyjaśnię. – Popatrzyła na mnie.

Przełknąłem ślinę.

– Słucham – powiedziałem, starając się zachować jak najwięcej spokoju.

– Zauważyłam, że się zdenerwowałeś z powodu tego, co miałam na brodzie. Wywróciłam się na nartach i stąd opatrunek. Uderzyłam twarzą o powierzchnię stoku, pasek od kasku rozciął skórę i przy okazji stłukłam nos i się posiniaczyłam. – Wzruszyła ramionami.

– Rozczarowany? – Brian zaśmiał się pod nosem. – Co, Black? Myślałeś, że to moja zasługa? – Pokiwał głową z politowaniem.

Zacisnąłem pięści. Znow miałem nieodpartą ochotę mu przywalić.

– Możesz się zamknąć? – warknęła na niego Anna.

Punkt dla mnie! – ucieszyłem się w duchu. Chyba zauważyła moją minę, bo spiorunowała mnie wzrokiem.

– Okej, to już sobie wyjaśniliśmy? – Anna skupiła się na mnie.

– Tak.

– Świetnie, to teraz posłuchajcie. – Poprawiła się na sofie. – Nie bawią mnie takie akcje! Rozumiecie?! Nie bawią mnie wasze bijatyki i porachunki za moimi plecami. Szczerze mówiąc, mam was dość. Obu! – jeszcze bardziej podniosła głos. – Po co tu przyjechałeś?! – Wskazała na mnie brodą.

– Chciałem pogadać z Brianem – wyjaśniłem.

– O czym?!

Zawahałem się. Nie chciałem wplątywać Anny w nasze sprawy. Brian miał rację, przedstawiając historię o pacjencie w tak zawołowany sposób.

– To nie dotyczy ciebie – w końcu wybrnąłem.

– Pieprzony dyplomata! – Brian popatrzył na mnie jak na kretyna.

– To może ty mi wyjaśnisz? – Anna przesunęła na niego wzrok.

– Już i tak mleko się wylało... – Machnął ręką. – Posłuchaj, wczoraj, gdy rozmawialiśmy, nie powiedziałem ci całej prawdy. Moim specjalnym pacjentem w bostońskiej klinice leczenia nerwic posttraumatycznych była kobieta, matka faceta o imieniu William.

– Och! – Ciche westchnienie zdążyło się wyrwać, zanim Anna przytknęła dłoń do ust.

Niemal w tym samym czasie zerknęła na mnie, a potem szybko zamrugła. Oczy miała pełne współczucia i napływających łez. Z wrażenia podniosło mnie na fotelu, złorzeczyłem w duchu temu idiocie Brianowi.

Po co jej ta wiedza? Chcesz zagłuszyć wyrzuty sumienia? Teraz już chyba za późno na takie refleksje. – Próbowałem nadać mu komunikat, choć nie liczyłem na to, że usłyszy mnie tak, jak wszyscy słyszeliśmy Annę.

– To jeszcze nie wszystko, co zataiłem. Skoro już się spowiadam, to z całości. – Z rezygnacją pokiwał głową. – Wiedziałem, że ta kosmiczna laska wyglądająca jak Miss Wenezueli, która tak ładnie nas zreperowała, nie jest z Blackiem.

– Skąd? – szeptem spytała Anna.

– Mam w Los Angeles znajomego, którego poprosiłem o parę informacji, dostałem je przedwczoraj. To Kris był i jest jedynym obiektem westchnień

panny Ikshy Basu. Ha! Trzeba jej przyznać, że gust ma oryginalny. I trzecia sprawa, choć tu akurat nie poczuwam się jakoś szczególnie do winy, bo... – Zawiesił głos i zwrócił się w moją stronę. – Wkurzyłeś mnie, frajerze, wiesz czym?

– Bez obaw, ja też nie zamierzam się wybielać – warknąłem. – Wal śmiało.

– Więc ta trzecia sprawa to...

– Chciałeś go zabić? – Anna weszła mu w słowo. – Dlatego uderzyłeś go w uszy?

– Nie. Gdybym faktycznie chciał to zrobić, to nawet czarująca panna Basu by nie pomogła. – Zaśmiał się z przekąsem. – Może raczej przeszkodzić w karierze. Głuchy Leo Black...

– Nie wierzę. – Anna kręciła głową. – Brian, jak mogłeś?

– Nie mam nic na usprawiedliwienie. Jestem kanalią i tyle – parsknął. – No dobra, to już chyba nie mam tu nic do roboty. Idę się pakować.

Wstał z fotela. Rozglądał się przez moment, jakby coś rozważał.

– Przepraszam za twoją matkę. – W końcu wyciągnął do mnie rękę.

Zagryzłem wargi, ale po chwili wahania podałem mu dłoń, choć chyba tylko Bóg jeden wiedział, ile mnie to kosztowało.

– Anna... – Brian zatrzymał się przy wyjściu. – Od początku wiedziałem, że skończę jak Cyprian, ale nie żałuję. Spędziłem tu najlepsze jedenaście dni w moim życiu. Dziękuję ci za wszystko. Nie proszę o wybaczenie, wiem, że nie mam prawa. Bywaj.

* * *

Moje serce krwawiło, zupełnie jak twarze tych dwóch facetów jeszcze godzinę temu. Gdy tylko kroki Briana ucichły w korytarzu, Leo poderwał się z fotela. Nie pozwoliłam mu podejść do siebie, natychmiast wysunęłam dłoń i pokręciłam głową. Nie potrzebowałam jego litości, współczucia i dotyku. Niczego od niego nie chciałam. Musiałam sama to wszystko jakoś poukładać, choć było to gorsze od każdego znanego mi bólu. Jak operacja na otwartym sercu. Najpierw przez te koszmarnie sekundy myślałam, że obaj nie żyją, że straciłam ich, a teraz, gdy już byłam pewna, że fizycznie nic im nie dolega, to ja nie żyłam.

Zamknęłam oczy. Zagryzłam zęby na zaciśniętej pięści. Tak bardzo bolała mnie dusza, że chciałam czymś przytłumić to cierpienie.

– *Byłeś tu wczoraj w nocy?* – spytałam bezgłośnie, choć w zasadzie znałam odpowiedź.

– Tak.

– *Jak mogłeś? Po co nas podglądałeś? To nawet nie jest żenujące, to jakaś totalna porażka!*

– Uwierz mi, że żałuję. Bardzo. Tęskniłem za tobą, chciałem cię zobaczyć. Wybacz mi. Gdybym mógł cofnąć czas... – wychrypiał Leo.

– *Gdybyś mógł? Ale nie możesz! Dlaczego o mnie nie walczyłeś? Dlaczego?!!! Dlaczego pozwoliłeś mi odejść?* – Łzy lały mi się po policzkach, spływały tak obficie, że aż dławily w gardle. – *Dlaczego nie walczyłeś?...*

Umierałam z rozpacz, a Leo nie odpowiadał.

– *Zwątpiłeś w moją miłość?* – Domyśliłam się w końcu. – *Nie wierzyłeś, że cię kocham? A ja? Owszem, od momentu, gdy zdjęłam pierścione, próbowałam zapomnieć! Zabić to uczucie! Ale ono jest ciągle żywe, cały czas tak samo mocne!!! Jest częścią mnie, nieśmiertelne jak my, Wędrowcy!!! Rozumiesz? Nigdy nie przestałam cię kochać i nie przestanę, ale chyba nie potrafię już być z tobą. Chyba z nikim już nie potrafię być...*

Otworzyłam oczy. Leo siedział jak skamieniały. Tak bardzo chciałam do niego podbiec, przytulić się, ale nie mogłam.

Coś we mnie jednak umarło...

Wiara w ludzi?

Zaufanie?

A może i to, i to...

– Jesteśmy. – Kris stanął w progu salonu i z wyraźnym niepokojem dyskretnie się rozejrzał. Chyba uznał, że w czasie jego nieobecności nic złego się nie wydarzyło, bo odetchnął z ulgą.

– Masz tu parę ciuchów. – Postawił na dywanie papierową torbę.

– Dzięki. Zaraz pójdę się przebrać. – Leo nadal tkwił w miejscu, zastygły jak własna figura woskowa, którą kiedyś pokazał mi na stronie muzeum przy Hollywood Boulevard.

– Gdzie Brian? – Dalila spoglądała na nas zza ramienia swojego mężczyzny.

– Wyjechał.

– Uhm... – potaknęła.

– To co zamierzasz? – Kris przechylił głowę. Zabłąkany promień słońca zatańczył w rudych kosmykach. Miałam wrażenie, że już to kiedyś widziałam.

– Pójdę się wykapać, a później...

Zamarłam. Nie wiedziałam, co później. Co miałam ze sobą począć? Tyle rzeczy się wydarzyło, że nie miałam czasu, aby o tym pomyśleć.

– Wróc ze mną do domu, proszę. – Leo wbił wzrok w swoje złożone jak do modlitwy dłonie. Wiedziałam, że ma na myśli nasz, a raczej swój dom w Kalifornii.

– Nie. – Pokręciłam głową, bo właśnie mnie olśniło, co powinnam zrobić. – Wracam do mamy.

– Pojedziemy razem, mam kilka dni wolnego. – Podniósł na mnie oczy. – Zobaczysz się z Julią, a... – Zadrżał mu głos.

– Nie, Leo – wykorzystałam moment. – Zostanę w Londynie. Gdy już wrócę do domu, nie zamierzam nigdzie wyjeżdżać. Zbyt długo trwały w moim życiu te wakacje.

Nie takiej odpowiedzi oczekiwał. Nerwowo przeciągnął ręką po krótko obciętych włosach. Zagryzł wargi, jakby coś rozważał, w końcu pokręcił głową. – Nie powinienem zrywać kontraktu, nie tym razem, ale jeśli chcesz, żebym...

– Nie chcę. – Znów nie pozwoliłam mu skończyć. Wiedziałam, jakie niosłoby to konsekwencje dla jego kariery. – Wracaj na plan. To nie tylko twój film. Chyba zdajesz sobie z tego sprawę?

– Proszę. – Popatrzył na mnie z nadzieją. – Czy nie mogłabyś tego przemyśleć?

– Nie. – Byłam zdecydowana. Rozum podpowiadał mi tylko to jedno rozwiązanie, choć serce tak bardzo się z nim nie zgadzało. Znów poczułam napływające łzy, ileż jeszcze miałam dzisiaj znieść?

– *Nie gniewaj się na mnie. Proszę...* – westchnęłam w duchu. – *Chcę pobyc w własnym towarzystwie. Gdzieś zgubiłam samą siebie i teraz muszę się odnaleźć.*

– Rozumiem. – Leo zwiesił głowę.

– Lecimy z Krisem do Londynu, może jeszcze dzisiaj uda nam się dostać na samolot. – Dalila powoli podeszła do mnie. Położyła rękę na moim ramieniu i delikatnie pogłaskała. – Chcesz z nami lecieć?

– Tak, jeśli to nie kłopot. – Popatrzyłam na nią z wdzięcznością.

– Żaden kłopot. – Musnęła mnie w policzek.

– Pójdę się spakować. – Wysupłałam się z koca i nie oglądając się, wyszłam z pokoju.

Otworzyłam szafę: dziesiątki ubrań zawieszonych równiutko lub poskładanych w schludne kosteczki i leżących na półkach. Oprócz koszulki na ramiączkach założonej zeszłego wieczoru i szortów, w których tu przyjechałam, wszystkie pozostałe ciuchy dostałam od Leo i Briana.

Sięgnęłam po parę dżinsów, najbardziej nierzucającą się w oczy bluzkę, szary sweterek i jakiś pierwszy z brzegu komplet bielizny. Poczłapałam do łazienki. Nawet nie spojrzałam w lustro. Kogóż mogłam tam zobaczyć? Zwykłą dziewczynę po ostrych przejściach? A może niezwykłą, skoro dwóch facetów tak bardzo o nią zabiegało? Machnęłam ręką na te dywagacje.

Gorąca woda koła nerwy. Spędziłam kilkanaście minut pod jej strumieniem, łudząc się, że spłucze ze mnie nie tylko krew i brud, ale też cały ten zgiełk, chaos i emocje. Niestety, nic takiego nie nastąpiło. Nadal miałam ściśnięte z bólu gardło, drżące (choć teraz czyste) ręce i czerwone od łez oczy.

Po trzech minutach byłam gotowa. Wrzuciłam do walizki szorty i poplamioną krwią koszulkę i zamknęłam wieko. Sprawdziłam pobieżnie zawartość małej torebki zawieszanej na ramieniu, wszystko było w porządku. Jeszcze tylko mała karteczka dla pani Krysi, i tyle. Wymaszerowałam z sypialni z pustą walizką w dłoni...

Rozdział 12

Mur

To był powrót z zaskoczenia. Chyba zbliżała się już północ. Nie pamiętam, bo prawie od razu padłam jak kawka. Na szczęście było tak późno, że oprócz całusów i uścisków ze strony zaszokowanej mamy nie spotkało mnie nic więcej.

Koło południa zwlokłam się z łóżka, dosyć długo zamarudziłam w łazience, w końcu nieśmiało zeszałam do kuchni. Niepotrzebnie się czałam: przywitała mnie karteczka z informacją, że moi domownicy są w pracy, i prośbą o sprawdzenie zawartości lodówki. Skwapliwie spełniłam życzenie i znów kolejna niespodzianka: superśniadanie, czyli talerz z wymyślnymi kanapkami. Były pyszne! Zjadłam wszystkie. Nawet herbatę naszykowali, wystarczyło tylko zalać wrzątkiem, i kilka ciasteczek leżących na spodku obok dzbanka na wodę. Miło. Naprawdę poczułam się otoczona opieką i pełna sił.

Zabrałam się do porządków. Zaniiosłam pustą walizkę na strych, do pralki wrzuciłam szorty i koszulkę, wywlokłam z półek trochę dodatkowych ciuchów i nastawiłam pranie, żeby to wyglądało w miarę normalnie, jak po zwyczajnym powrocie z miesięcznego urlopu. No cóż, nic nie przywiozłam z Kalifornii, opalona też nie byłam (może oprócz twarzy), trudno... Nie wszystko musiało być idealne.

Trzy godziny spędziłam na porządkowaniu pokoju, a głównie zawartości mojej szafy. Spakowałam wszystkie letnie rzeczy, które dostałam od Leo jeszcze w ubiegłym roku, i przez chwilę myślałam, co z nimi zrobić. Ubrania od Briana pewnie trafiły w ręce Laury, córki pani Krysi, tak jak poprosiłam, ale co począć z tymi? Szkoda było wyrzucać. Mama? Oj, to był głupi pomysł, nie w jej stylu i na dodatek rozmiarowo też nie bardzo. Zanieść na strych? Może dać je Wiktorii? Nie, no bez sensu... W końcu upchałam spory worek na sam dół środkowej części szafy.

Zerknęłam na zegarek, do „godziny zero”, czyli powrotu mamy, zostało niewiele czasu. Zasiadłam w salonie, włączyłam telewizor... i wtedy

zachrobotał klucz w zamku.

Podniosłam się z sofy.

– Hej. – Uśmiechnęłam się i cmoknęłam mamę w policzek.

– No hej – odpowiedziała od razu, ale jakoś dziwnie.

Wyczuwałam coś w jej głosie, co mnie lekko zaniepokoiło. Pieczołowicie wieszała płaszcz, zdejmowała buty, kładła na stoliczku torebkę, zerknęła do lustra i przeczesła palcami włosy, poprawiła kołnierzyk bluzki, ale wszystko bez kontaktu wzrokowego ze mną. Coś było nie tak.

– Dziękuję za kanapki.

– Alan zrobił. – Wreszcie popatrzyła na mnie i odwzajemniła uśmiech. – Muszę napić się kawy, koniecznie.

– Zrobię ci – natychmiast się zaoferowałam. – Idź do salonu.

Pognałam do kuchni, nastawiłam wodę i naszykowałam dwie filiżanki. Czajnik głośnym szumem oznajmił gotowość do zalewania wrzątkiem mielonej kawy Percol Latin America.

– No i jak było? – Mama powoli mieszała kawę.

– Spoko – odparłam, starając się powiedzieć to jak najbardziej naturalnie.

– Gdzie masz pierścionek?

Ups!!!

Spostrzegawczą miałam mamusię!

Raczej trudno nie zauważyć takich rzeczy, choć nie spodziewałam się, że tak błyskawicznie zostanę rozpracowana. Może mamie udzieliła się wrodzona podejrzliwość Alana Barrowa?

Przez moment rozważałam, jak wybrnąć, ale wytłumaczenie, że zgubiłam albo zapomniałam założyć, byłoby idiotyczne. Nie kupiłaby tego. Mama siedziała naprzeciwko i bez problemów mogła podziwiać, jak zbieram się w sobie, żeby drugi raz wyłożyć (nomen omen) kawę na ławę. Wzięłam głęboki wdech.

– Został u Leo.

– Uhm... – Upiła mały łyeczek. – Co się stało?

– W sumie nic...

– Nic?

– No wiesz, nic takiego szczególnego.

Wygłosiłam to niefrasobliwym tonem, ale chyba nie poskutkowało. Mama zrobiła minę pod tytułem: „Co ty mi tu sadzisz głodne kawałki, moja panno...”.

– Nie rozumiem.

Zabrzmiało groźnie. Chyba?

– No nic dramatycznego, w sensie zdrada czy coś, jakieś kłótnie... – zająknęłam się. – Po prostu chyba nam nie wyszło. Pomieszkaliśmy razem i jakoś tak nam się nie układało, że chyba lepiej, żebyśmy zrobili sobie małą przerwę. Tak jakoś postanowiliśmy, a raczej ja uznałam, że to się nam przyda, no i tak wyszło... Miałaś rację, to nie był dobry pomysł, żeby tam jechać, bo to rzeczywiście trudne, tak mieszkać razem... – Bredziłam jak potłuczona, stosując metodę rozmydlania problemu.

– Boże! Dziewczyno, czy ty się słyszysz? – Mama postawiła filiżankę na stolik.

Kilka kropeł kawy wyskoczyło ze środka i chlapnęło na blat. Wpatrywałam się w nie ze skupieniem godnym podziwu, zupełnie jakby to był najciekawszy widok na świecie.

No nic. Gdzie ten byk? Dawaj rogi!

– Rozstaliśmy się – wypaliłam.

– Bo?

– Muszę to sobie wszystko przemyśleć. – Kiwnęłam głową na poparcie swoich słów.

– Hej, popatrz na mnie.

Podniosłam wzrok.

– Babcia do mnie dzwoniła, jakiś tydzień temu.

Ups! Nieźle. Przełknęłam ślinę. Wiedziałam, że ta informacja to nie przerywnik czy też zmiana tematu.

– I co u niej?

– Wszystko w porządku.

– Uhm.

– Byli z dziadkiem w Zakopanem, jakieś urzędowe sprawy mieli do załatwienia.

Zagryzłam wargi. Wiedziałam, że to, co teraz nastąpi, będzie katastrofą, jedynie nie znałam jej skali. Stawiałam na pandemonium...

– I babcia stwierdziła, że cię wtedy widziała. Wsiadałaś do taksówki z jakimś wysokim facetem. Nie zdążyła cię zawołać, bo odjechaliście. Powiedziała jej, że to na pewno nie ty, że jesteś w Stanach, ale mama upierała się przy swoim. Była przeświadczona, że cię widziała. Opisała mi nawet, jaką miałaś kurtkę, i wyobraź sobie, że od wczoraj w naszym korytarzu

na haczyku wisi bardzo podobna: gruba zimowa kurtka w czerwonym kolorze, z białym paskiem na rękawach i z kapturem. Obejrzałam ją dzisiaj dokładnie, wszywka w środku jest w języku polskim. Aniu, ja naprawdę nie jestem twoim wrogiem. Powiedz mi, co się stało, co ty narobiłaś? Zdradziłaś Leo? – Mama westchnęła ciężko.

– Nie.

– Gdy rozmawiałyśmy przez telefon, gdy cię obudziłam, a ty powiedziałaś, że jest czwarta po południu, już wtedy tam byłaś?

– Tak.

– Co to za facet?

Miazga, przesłuchanie w toku... Pani kapitanowa Barrow wczuła się w rolę... Nie wiem, czy mi się to podobało. Ojczym policjant! Nieźle.

– Znajomy.

– Znajomy? – Pokiwała głową. – Też jakiś inny?

– Uhm. – Domyśliłam się, o co jej chodzi.

– Gdzie ty ich znajdujesz... – westchnęła. – To twój nowy chłopak? Gdzie on teraz jest?

– To nie mój chłopak. Nie wiem, gdzie jest, bo wyjechał wcześniej – odpowiadałam zgodnie z prawdą, ale głos drżał mi tak bardzo, jakbym obsypywała mamę kłamstwami.

– Z nim też ci nie wyszło? – zabrzmiało jak sarkazm.

Byłam w szoku. Mama rzadko zdobywała się na taki ton w stosunku do mnie.

– Też – zachichotałam. Nerwy miałam napięte jak sznur do suszenia bielizny.

– Anka, ja chyba oszaleję... – Mama chwyciła się za głowę. – Kiedyś żałowałam, że nie wyszłam ponownie za mąż i że nie masz rodzeństwa. Ale teraz myślę, że gdybyś miała brata, albo co gorsza siostrę i ona by tak samo wywijiała, to mój delikatny system nerwowy by tego nie zniósł.

– Przepraszam.

– Strasznie jesteś małomówna – stwierdziła ironicznie.

– Widocznie nie mam nic do powiedzenia – mruknęłam.

– Skąd ja to znam? Co teraz? Masz jakieś plany?

Lepiej, znacznie. Każda zmiana głównego wątku tej dyskusji była mile widziana.

– Uhm. Mam.

- Świetnie. A jakie, jeśli można wiedzieć? – Mama sięgnęła po filizankę.
- Pójdę do pracy. Poszukam jakiejś szkoły zaocznej i od października wracam do nauki.
- Rozumiem. A co z Leo? To ostateczna decyzja?
- Już mówiłam. Muszę to sobie jakoś poukładać. Na razie nie chcę o tym myśleć, chcę pobyć sama ze sobą. Wiem, że miałam się wkrótce wyprowadzić, ale chyba będę mogła tu z wami jeszcze trochę pomieszkać? – Popatrzyłam na mamę.
- Nie gadaj głupstw! Nikt cię nie wyrzuca! – Podskoczyła jak oparzona. – Wanda teraz zajęła pokój Wiktorii, my z Alanem mamy drugi, a ty masz swój.
- Dziękuję.
- Udało się. Niskich lotów był ten mój wybieg z mieszkaniem, ale poskutkował. Zboczyłyśmy z tematu zgrabnie i elegancko.
- Aniu – znów westchnęła mama. – Chodź tu do mnie.
- Opadłam na sofę. Przytuliłam się do mamy, pachniała tak znajomo: mieszanką mydła, szamponu, szpitalnych środków do dezynfekcji i czegoś, co nazywałam zawsze „mamusiovym” aromatem.
- Zawsze będziesz miała tu swój dom. Jak mogłaś tak pomyśleć? Co? Ty włóczykiju mój kochany...
- Trochę nas tu będzie. Nie wiem, jak Alan się na to zapatruje...
- To najłagodniejszy człowiek na świecie. Zniósłby nawet pięciu nowych domowników, byleby mieszkać ze mną – zaśmiała się cicho. – Poza tym Wanda chyba wkrótce się wyniesie. Chce mieszkać bliżej Wiki, szuka już jakiejś kawalerki w ich dzielnicy. Mamy zamiar z Alanem zwrócić jej pieniądze, które włożyła w remont tego domu, będzie miała na start i kaucję.
- Wy tak na poważnie, co?
- Wiesz, jak jest. Muszę to sobie jakoś poukładać... – Mama parsknęła śmiechem.
- To chyba była moja kwestia?...
- Hej, kogo widzą moje zapuchnięte oczy? – zaszczebiotała Wika.
- Cześć, mamusiu. – Uśmiechnęłam się od ucha do ucha. – No i jak się dzisiaj czujesz?
- Jak sterowiec z jednym pasażerem, ale za to bardzo ruchliwym – westchnęła moja rozdęta do granic możliwości ukochana przyjaciółka. –

Siadaj.

Przysunęłam krzesło do łóżka. Rozejrzałam się po niewielkiej salce. Nic się tu nie zmieniło od mojej ostatniej wizyty w zeszłym tygodniu, chyba jedynie kwiaty, które stały na stoliczku pod oknem. Tym razem James zainwestował w czerwone róże. Wiktoria nie mogła się ułożyć, posapywała, próbując przyjąć w miarę wygodną pozycję, ale wielki brzuch nie ułatwiał jej sprawy.

– Pomóc ci?

– Nie – zachichotała. – Jakoś ogarniam, poza tym muszę ćwiczyć mięśnie, bo jak w końcu kiedyś wstanę z tego łoża, to się rozleję jak meduza. – Podnosiła i opuszczała oparcie pod głową, ostatecznie ustawiła je prawie pionowo i z trudem usiadła.

– Wolno ci siedzieć? – Uniosłam brwi.

– Nie wolno, ale już mam dosyć tego leżenia. Poza tym termin za dwa tygodnie, trzydziestego marca, więc nawet jakbym dzisiaj urodziła, nic by się nie stało. – Wzruszyła ramionami.

– Uhm... – Pokiwałam głową, patrząc na pistacjową koszulę Wiktorii. – Ślicznie wyglądasz, dobrze ci w tym kolorze.

– Przestań. To ja jestem dobra we wciskaniu kitu – odparła.

No cóż, trochę racji w tym było. Wiktoria wyglądała dosyć niecodziennie, zwłaszcza opuchlizna twarzy bardzo ją zmieniła. Z tego, co wiedziałam, wszystkie te objawy miały zniknąć wraz z pojawieniem się na świecie Jamesa Juniora – jak nazywała synka.

– Naprawdę dobrze wyglądasz. Nie masz żadnych plam na twarzy, pryszczki, no i włosy ci zgęstniały – pocieszyłam ją, bo zawsze miała hopla na punkcie wyglądu.

– Wiesz, co jest świetne w ciąży?

– Nie.

– Tylko jedna rzecz: cycki – parsknęła śmiechem. – Dolly Parton może się schować.

– Nie da się ukryć. – Popatrzyłam na obfity biust, który praktycznie nie mieścił się w wystającym spod brzegu koszuli staniku.

– Chcesz coś do picia?

– Nie. A ty? Mam ci coś przynieść z bufetu?

– Przestań. Przytyłam już piętnaście kilogramów, mam doła.

– Schudniesz.

– Mama mówi, że jeśli dzidzius z charakteru będzie taki jak ja, do końca

kwietnia zostaną ze mnie tylko skóra i kości. Nie brzmi to zachęcająco, choć z drugiej strony, jeszcze nigdy nie wyglądałam jak anorektyczka. To może być ciekawe doświadczenie.

Uśmiechnęłam się. Wiktoria zawsze potrafiła znaleźć pozytywne strony w każdej sytuacji. Czasami zazdrościłam jej tego optymizmu.

– A co u ciebie? – Zerknęła spod przymrużonych powiek.

– Wszystko po staremu. – Wzruszyłam ramionami.

– Jak w pracy? Poznałaś jakiegoś przystojniaczka?

– Do naszego pubu tacy nie przychodzą, a gdy już trafi się ktoś fajny i zadbany, to zajęty albo gej.

– Pewnie masz za wysokie wymagania. No, a ten twój kumpel, barman, jak mu było? Brenton? Ten Australijczyk? Wysoki, rudy...

– On ma dziewczynę! – Parsknęłam śmiechem. – Poza tym chwilowo nie mam ani czasu, ani ochoty na żadne związki. Już ci mówiłam. Spełniam się w inny sposób.

– Wiem, widziałam twój patologiczny grafik. Masz coś z głową. Nawet do kibelka chodzisz o wyznaczonych godzinach?

– Patologiczny? – Zachichotałam. – Obawiam się, że teraz jeszcze bardziej ci się nie spodoba.

– O losie! Coś jeszcze wymyśliłaś?

– Uhm... – Zwlekałam z odpowiedzią.

– Pokaż, zaraz cię zdiagnozuję.

– Poczekaj. – Sięgnęłam do torebki po notes. Wiedziałam, że tym troszkę rozbawię Wiktorię. – Proszę...

– Co my tu mamy? – Wika z zainteresowaniem przeglądała harmonogram moich zajęć. – Praca? Rozumiem, z czegoś trzeba żyć, choć nie wiem, czy to fajnie harować codziennie od południa do nocy.

– Nie jest tak tragicznie. W końcu to lokal rozrywkowy, miejsce relaksu – wyjaśniłam.

– W pierwszym tygodniu tak się zrelaksowałaś, że nie mogłaś ruszać prawą ręką.

– Zepsuł się kompensator.

– No dobra. Kurs rysunku figuratywnego, opowiadałaś, spoko, może być, choć nie masz żadnej wolnej niedzieli. Szkoła walki? Znasz moje zdanie.

– Znam – parsknęłam śmiechem.

Wika nie mogła zrozumieć, dlaczego dwa razy w tygodniu wstaję o piątę

rano i jadę na drugi koniec Londynu, żeby ćwiczyć, albo jak ona to określała: przez dwie godziny służyć Klausowi za poduszkę relaksacyjną. Mojego trenera nazywała treserem albo panem, a mnie niewolnicą. Tłumaczenia, że czasami to ja byłam „dominą” w tym specyficznym układzie, nie docierały.

– Ale o co ci chodzi? Chcesz być komandosem? – sarknęła.

– Bawi mnie to, po prostu.

– Niech ci będzie... – Przeglądała kolejne kartki. – Mam!!! Nowość!!! – pisnęła. – Co to za Chuck?! Boże, co za kretyńskie imię. Kolejny sadysta?

– Nie... – Wyszczrzyłam zęby. – Zgadnij.

– Może uczy tańca? Prywatne lekcje, te sprawy. – Pokazała język.

– Nie.

– Rzeźbiarstwo, lepienie garnków... Czeka! To twój nowy facet? – Przymrużyła oczy.

– Tak, oczywiście. Spotykamy się trzy razy w tygodniu o ósmej rano, a randka trwa zawsze równą godzinę. Tak lubimy. – Pokiwałam głową.

– Anka! Nie wkurzaj mnie, bo urodzę – zagroziła.

– Strzelnica.

– Strzelnica?

– Chuck prowadzi strzelnicę – wyjaśniłam.

– O ja cię! – Sięgnęła po telefon i zamarkowała wybieranie numeru. – Halo? Czy to psychiatria? Tu siostra Wiktoria z patologii ciąży. Mamy pacjentkę z zespołem Lary Croft. Uwaga, pacjentka ekstremalnie niebezpieczna! Zaleca się najwyższą ostrożność, proszę nie wysyłać sanitariuszy! Potrzebnych jest kilku ludzi z MI5... Tak... W kamizelkach... Jest uzbrojona....

– Przestań! – Pokładałam się ze śmiechu.

– Okej. – Wika odłożyła aparat na nocną szafkę. – Jesteś nienormalna...

– Możliwe.

– Strzelasz?

– No.

– I jak ci idzie?

– Nieźle jak na amatorkę. – Parsknęłam śmiechem.

Raczej nie mogłam wtajemniczyć Wiktorii w to, że byłam najlepszym strzelcem, jakiego znał Chuck, zawodowiec, który połowę życia spędził przed tarczą.

– Nigdy cię nie zrozumiem. – Oddała mi notes.

– Zamierzam się doktoryzować z filozofii gender. Taki mam plan, ale nie mów nikomu, bo to sekret.

– Aha. To wszystko tłumaczy. A co słyhać u Julii? – przeciągnęła głos.

– Spoko.

– Romans kwitnie?

– Na całego.

Alan Barrow mieszkał z nami od listopada i nic nie wskazywało na to, żeby ten stan w najbliższym czasie miał się zmienić. Mama wprawdzie na początku była nastawiona dosyć sceptycznie do adorującego ją oficera policji, jednak wreszcie znalazła kogoś, kto zastąpił godnie mojego tatę. Kwitła ze szczęścia, to było widać.

Dobry kwadrans gawędziłam o ich wspólnym życiu, o tym, jak mama i Alan kupili wielkie wyrko i jak bardzo śmiałam się z kapitana Barrowa, który składał je pół dnia, o ich wypadach do kina i na potańcówki, o planach małżeńskich, o tym, że mam konkurencję w kuchni, bo pan policjant okazał się niespełnionym zawodowo kucharzem i tak dalej.

– Dobra. Koniec żartów. Powiedz serio, co u ciebie? – Wiktoria w końcu chwyciła mnie za rękę. – Wiesz...

– Nic. Już ci mówiłam. Było, minęło. – Odwróciłam wzrok.

Nie chciałam po raz enty wałkować tego samego tematu. Ja byłam w Londynie, Leo na zdjęciach w Stanach albo Japonii, a Brian? Nie wiadomo gdzie. Wysłał tylko jeden SMS pod koniec lutego. Podał mi swój nowy numer.

– Wiesz, że mam tu dostęp do netu? – Wika nagle zadała dziwne pytanie.

– Pewnie, że wiem – potwierdziłam.

Wiktoria, mimo że leżała w szpitalu już prawie trzy miesiące, bynajmniej nie zaprzestała pisać na blogu. Testowała kosmetyki i recenzowała, oczywiście z pomocą Jamesa, którego zadaniem były robienie zdjęć i ich obróbka. Spełniał wszystkie zachcianki Wiktorii, a drugie tyle dokładał od siebie.

– Leo wrócił do Londynu. Dzisiaj wczesnym rankiem. Przeczytałam to na blogu jakiejś laski. Wstawiła fotki z Heathrow. Kiepskie, chyba zrobione telefonem, ale to na pewno Leo.

Bęc! Zabolalo. Bardzo.

– Uhm... – Skinęłam głową, starając się zachować kamienną twarz. – Szybko. Z tego, co kojarzę, mieli skończyć z początkiem kwietnia. – Przypomniałam sobie, co mówił Leo.

– Wiem. Dziwna sprawa.

– Dziwna – potaknęłam, zerkając na zegarek. – Lecę. Muszę być w pubie przed południem. Zastępuję dziś Glorię. Już się cieszę, dziesięć godzin za barem... – Westchnęłam, podnosząc się z krzesła.

– Anka, ale nie gniewasz się na mnie, że ci to powiedziałam? – Wika dobrze mnie znała. Zauważyła moją reakcję.

– Przestań. – Uśmiechnęłam się. – O co miałabym się gniewać?

Obietnica, że wkrótce się zjawię, kilka przyjacielskich całuszków i już mnie nie było.

Nie wiem kiedy pokonałam drogę z sali do wyjścia. Dopiero na zewnątrz zaczerpnęłam powietrza. Głęboko, aż poczułam je w szczytach płuc. Rozejrzałam się bezradnie, musiałam choć na sekundę usiąść i uspokoić rozszalałe serce.

Klapnęłam na najbliższą ławkę.

Co ja najlepszego zrobiłam?

Właśnie dotarło do mnie, że popełniłam straszny błąd. Moje życie przypominało wegetację. Czas wypełniony do granic pracą i kursami, byle nie myśleć, tylko wracać do domu, ogarnąć ciuchy na następny dzień, zrobić pobieżne porządki, zjeść kolację, a na koniec padać na łóżko, będąc już w fazie REM. Przez te sześć tygodni Leo nawet mi się nie przyśnił. Może wyparłam go z pamięci? Teraz był blisko, na wyciągnięcie ręki, a jednocześnie tak daleko, bo to ja wybudowałam między nami ten mur. Przez sześć tygodni pieczołowicie składałam cegiełkę do cegiełki, aż sięgnął wysoko do nieba...

To ja zdecydowałam i właśnie zajadałam się tym pasztetem. Chciałam pobyć sama ze sobą? Proszę bardzo! Byłam! Chciałam sobie wszystko poukładać? *Voilà!* Mogłam układać do woli, nikt mi nie przeszkadzał.

A ja... Chyba chciałam, żeby mi jednak przeszkadzał.

Żuraw i czapla? Gdy byłam mała, mama przeczytała mi kiedyś ten wierszyk. Pamiętam, jak bardzo się wtedy złościłam na bohaterów tej opowiadki. Głupie ptaszyska, wiecznie nie mogły się dogadać, raz jedno miało problemy, a za moment drugie. Ja też byłam taką czaplą...

Leo nie odezwał się od momentu, gdy powiedzieliśmy sobie „Do widzenia” na lotnisku w Balicach. On udał się do Frankfurtu, a my z Krisem i Ikshą godzinę później wylecieliśmy do Londynu.

Nie miałam prawa mieć do niego żadnych pretensji, przecież spełnił moją

wolę. Gdy staliśmy jeszcze w pełnym składzie przed willą Anna, Leo zaproponował mi wspólną podróż do Krakowa, zapraszając do samochodu, który wypożyczył w hotelu. Chciał pogadać po drodze. Odmówiłam i ostentacyjnie wsiadłam do limuzyny z Krisem i Dalilą. Leo tak się wkurzył, że dotarł na miejsce godzinę przed nami.

Później w hotelu Sheraton, gdzie zatrzymali się całą trójką, jeszcze raz podjął próbę. Schował dumę do kieszeni i błagał, żebym przemyślała swoją decyzję, a ja chyba zbyt mocno na niego naskoczyłam. Wykrzyczałam, że nie szanuje mojego zdania, nie daje mi spokoju i czasu na zdystansowanie się do wszystkiego. Spytał, czy będzie mógł zadzwonić, i wtedy stwierdziłam: „Na razie nie przewiduję takiej opcji, ale gdy zmienię zdanie, dam ci znać”.

Gdy staliśmy w hali odlotów, ostatecznie dałam mu do zrozumienia, co myślę o kontynuacji naszego związku. Powiedziałam jedynie „Cześć” i odwróciłam się na pięcie. I tak właśnie to wyglądało.

Ciężko było razem, ale osobno? Kompletna katastrofa... Ależ byłam głupia.

– Dobrze się czujesz?

Podniosłam wzrok. Przedemną stała jakaś kobieta w lekkiej kurteczce przykrywającej w połowie biały fartuch. Mogła mieć tyle lat co moja mama.

– Tak, dziękuję. – Szybko otarłam łzy.

– Będzie dobrze. – Wyciągnęła dłoń i pogłaskała mnie po włosach.

– Uhm... – Pokiwałam głową.

– Na pewno wszystko w porządku?

– Mniej więcej – wyjąkałam.

– Poradzisz sobie? A może zamówię ci taksówkę?

– Naprawdę nic mi nie jest. Dziękuję. – Podniosłam się z ławki.

Przez chwilę lustrowała mnie wzrokiem, ale w końcu uśmiechnęła się i poszła w kierunku wejścia do szpitala. Powlokłam się na przystanek.

– Już jesteś? – Mama właśnie wychodziła gdzieś z Alanem. Wypachniona, wystrojona – jak na wystawę.

– Boss kazał mi wyjść wcześniej.

Rzuciłam plecak na podłogę. Fizycznie nie byłam zmęczona, ale mój mózg ledwie powłóczył nogami, o ile jakieś miał.

– Coś się stało?

Oho! Skąd ja znałam to podejrzliwe spojrzenie.

– Nie było ruchu i stwierdził, że mogę iść do domu. Mam prawie dwadzieścia godzin do odebrania – uspokoiliam ją.

– Aha. No to dobrze. Wybieramy się do kina. W lodówce masz zupkę.

– Julia uczyła mnie gotować rosół – stwierdził Alan z bardzo dumną miną. – Musisz koniecznie spróbować i wystawić mi notę.

– Okej, masz to jak w banku – parsknęłam śmiechem.

– To my lecimy, pa.

Z ulgą zamknęłam za nimi drzwi.

Co za koszmar. Najpierw wizyta u Wiktorii, która pod koniec kompletnie wytrąciła mnie z równowagi, a później sytuacja w pracy... Sześć razy nalałam inne piwo, niż zamówili klienci. Super. Dobrze, że nie zdarzyło się to na początku mojej barmańskiej kariery. Wylądowałabym na zmywaku, albo gorzej.

Na szczęście boss był dzisiaj w wyjątkowo dobrym humorze: wygrał jakieś zakłady sportowe i tryskał entuzjazmem. Oczywiście zauważył, że myślami błądzę w dalekiej czasoprzestrzeni, i skwapliwie oddelegował mnie do domu, sam stając za kontuarem. Zrobił to raczej z obawy o własną kieszeń niż z troski o mnie, ale nie zmartwiłam się tym szczególnie. Mogłam wrócić do domu, walnąć się na łóżko i oddać rozpacz.

Miseczka z rosółem *by Kapitan Barrow* przestała się kręcić. Ledwie wyjęłam ją z mikrofalówki, od razu się oparzyłam. Typowe. Siedząc przy kuchennym stole, chlipałam coś, co tylko w niewielkim stopniu przypominało rosół. To ja, wyedukowana przez babcię Janię, najlepiej gotowałam tę tradycyjną polską zupę. Alan wybrał złą nauczycielkę. Przyprawy niewiele pomogły, gorąca woda z solą smakowała gorzej niż chińska zupka z torebki.

Powlokłam się na pięterko, wzięłam prysznic, wrzuciłam na siebie dresowe spodnie i koszulkę, a później zaległam na łóżku. Niestety, nie miałam ostatnio czasu ani sił na sprzątanie, więc z trudem się umościłam wśród wszystkich rzeczy, które od tygodnia tworzyły „aranżację mobilną”: ciuchów, szkicowników, książek i metalowej kasetki po ołówkach, które rozsypały się nie wiadomo gdzie i kiedy. Włączyłam telewizor, mój palec, naciskając klawisz, podsuwał kolejne propozycje, ale nic mi nie odpowiadało. Ostatni klik: HBO, megapremiera *Wietnamskiego dziecka*. Zawahałam się, ale w końcu odrzuciłam pilota na drugi koniec łóżka.

Gdyby ktoś mnie spytał, o czym był ten film, nie potrafiłabym mu odpowiedzieć. Widziałam tylko Leo. Każdy jego ruch, grymas, to, jak podnosił

swoje wydatne brwi, przeczesywał włosy, zasłaniał twarz kościstymi dłońmi o długich palcach, uśmiechał się (choć w tym filmie uśmiechnął się tylko raz), krzyczał, mówił coś zdenerwowany, przytulał się do kobiety, która grała jego matkę, energicznie chodził po pokoju – to wszystko było mi znane. Tak bardzo za tym tęskniłam.

Leo był częścią mnie. I nie mogłam tego zmienić. Miłość, która łączy na zawsze...

Film się skończył. Wtuliłam zapłakaną twarz w szlafrok. Ciągłe go miałam, nie mogłam się pozbyć tej jednej jedynej rzeczy. Wszystkie pozostałe odrzuciłam albo schowałam. Tkwiły upchnięte głęboko w czeluściach mojej szafy, pamięci i serca, tak jak sam Leo.

A może polecieć i go zobaczyć? Jakiś zły duszek chyba mi to podpowiedział. To byłby mój pierwszy raz. Nigdy wcześniej nie podglądałam Leo.

Biłam się z myślami. Właśnie zrozumiałam, dlaczego podglądanie było takie kuszące. Jak rosyjska ruletka: można było przeżyć wspaniałe chwile, ale równie dobrze mogłam się naciąć na coś, co niekoniecznie by mi się spodobało. Adrenalina? A może tęsknota? Chyba jednak to drugie. Dojmująca tęsknota, chęć zbliżenia się do ukochanego człowieka, usłyszenia z bliska jego oddechu, bicia serca. Byłam na Leo wściekła, gdy dowiedziałam się, że podglądał mnie i Briana, ale dopiero teraz zaczynałam rozumieć, czym się kierował i jak bardzo musiał to przeżyć.

Zerknęłam na zegarek: ósma.

Polecę, zobaczę. Jeśli cokolwiek będzie nie tak, czyli będzie brał prysznic, albo co gorsza, ktoś u niego będzie.... Nie!!! Nie zniósłabym takiej sytuacji. Przecież mógł już z kimś się spotykać. Trochę czasu minęło, a ja nie dałam mu żadnej nadziei, nie zadzwoniłam, nie napisałam.

– Kocham cię, Leo. – Sięgnęłam po szlafrok. – Kocham cię, tęsknię za tobą, nie mogę bez ciebie żyć, chcę, żebyś wrócił... – Huśtałam się, siedząc i trzymając przyciśnięte do policzków puszyste wdzianko w kolorze kawy z mlekiem. – Chcę, żebyś do mnie wrócił. Chcę, żebyś zadzwonił...

Dryń! Dźwięk telefonu jak na życzenie przeciął ciszę.

Zamarłam, jakby wszystko się zatrzymało. Cały świat.

Dryń! Dryń! Dryń!

W końcu zerknęłam na komórkę... To mama. Boże!

– Halo... – Ledwie byłam w stanie odebrać, tak bardzo trzęsły mi się ręce.

– Co tak długo?
– E... Byłam w łazience – wydukałam.
– Okej. Będziemy z Alanem dopiero za trzy godziny, jedziemy coś zjeść.
– Uhm...
– Pyta, czy próbowałaś zupy.
– Tak.
– I smakowało?
– Hm... Może lepiej niech skoncentruje się na kanapkach – stwierdziłam z przekąsem. Byłam wściekła. Wystraszyli mnie jak diabli tylko dlatego, że chcieli wiedzieć, czy smakował mi rosół!?
– Chi, chi... – Mama miała podobne zdanie o umiejętnościach Alana. – Dobrze, to odpoczywaj. Zobaczymy się jutro. Pa.
– Pa.
Odłożyłam słuchawkę. Chryste, ależ adrenalina! Przyłożyłam komórkę do serca. Gdyby to był holter, od razu jazda na ostry dyżur, tachykardia jak nic!
Dryń! Dryń!
Nie mogę, co znowu! Uczepili się jak pies do... Nie! Jak rzep!
– Coś jeszcze? – burknęłam do słuchawki...

* * *

Trzymałem się. Nie wiem jak, ale się trzymałem...
Gdy zadzwonił ojciec.
Była dziewiąta. Wtorek. Marzec w Tokio. Połowa miesiąca, zimno jak cholera, zwłaszcza po pobycie w Kalifornii. Zdążyłem odebrać, chwilę zanim Susan, nasza kłapserka, otworzyła pierwszą scenę w tym dniu.
Mój ojciec zrobił to za nią.
– Tato?
– Leo, mama... Ruby... Moja ukochana Ruby...
– Tato, co się stało? Nie płacz, proszę...
Trzymałem się.
Gdy Rickman podszedł do mnie i usiadł tuż obok, ledwie odłożyłem telefon. Ten wariat, ten tyran i despota potrafił doprowadzić do łez każdą aktorkę, każdą kobietę, która dla niego pracowała. Bez problemów sprowadzał do parteru nawet największego twardziela, i to tak, że łapy się trzęsły jeszcze przez kolejne dwa dni. Za dziesięciominutowe spóźnienie robił trzygodzinną

awanturę, a nieobecność na planie usprawiedliwiła tylko czterdziestostopniowa gorączka, i to też nie zawsze.

- Co jest?
- Moja matka jest chora.
- Nowotwór? – zapytał oznajmującym tonem.
- Tak.
- Ile czasu?
- Miesiąc, maksymalnie sześć tygodni.
- Pakuj się.
- Ale...
- Mówiłem! Zjeżdżaj stąd! Teraz tam jesteś bardziej potrzebny.
- Zostało jeszcze dziesięć dni zdjęciowych. Nie wiem, kiedy...
- Wrócisz, kiedy będziesz mógł. A teraz idź już.
- Dzięki.
- Spadaj!

Trzymałem się.

Gdy chwilę później byłem w taksówce wiozącej mnie do tokijskiego hotelu Peninsula i dzwoniłem do Krisa, który od paru dni bawił z wizytą u swojego przyszłego teścia.

– Błagam, spytaj Dalilę, czy na pewno nie może uzdrowić człowieka! Błagam, sprawdź to...

Trzymałem się.

Gdy Kris oddzwonił pół godziny później.

- Leo, sprawdziliśmy. Niestety, nie.
- Jesteś pewny!? Sprawdziliście? Jak?
- Iksha skaleczyła ojca, zadrapała go nożem do cięcia papieru.
- I co?
- Przykro mi.
- Rozumiem.
- Leo, zaraz będę dzwonił do Londynu. Mam tam znajomego onkologa, profesora. Jest najlepszy. Gramy razem w brydża.
- Kris...

– Wiem! Ale to nam da trochę czasu! Musimy znaleźć córkę Ikshy! I znajdziemy! Leo, słyszysz mnie?

– Tak...

– Daj mi numer do ojca. Ma komórkę?

– Tak...

Niecałą dobę później byłem na Heathrow, ojciec w hotelu, a Ruby w najlepszym szpitalu na oddziale onkologii pod opieką profesora Duvalla. Nie płakałem, nie rozpaczałem, wszystko tkwiło we mnie, a ja nawet nie mogłem uronić jednej maleńkiej pieprzonej łzy. Ból wysysał je bez litości, na dobre zagnieżdżony w moim sercu.

Chciałem prosto z lotniska jechać do szpitala, ale ojciec odwiódł mnie od tego pomysłu. Mama była półprzytomna, dali jej chemię i fatalnie to zniosła. Podałem taksówkarzowi adres apartamentu.

Godzinę później już siedziałem przed laptopem.

– Widzisz nas dobrze? – Kris zbliżył twarz do kamerki.

– Tak. Wszystko w porządku. A wy?

– Też. – Dalila kiwnęła głową.

– Posłuchaj, jakie mamy pomysły: zrobimy portret pamięciowy i symulację wyglądu zmieniającego się na przestrzeni lat. Gdy to będziemy mieć, Began przefiltruje cały net. Może trafimy. – Kris podrapał się po brodzie.

– Okej.

– Druga sprawa: rozmawialiśmy z Ikshą o potencjalnym miejscu pobytu Bishakhi. Możemy z dużym prawdopodobieństwem założyć, że przebywa gdzieś w Indiach, ale pewności nie mamy.

– Mogła kiedyś pomyśleć, że chciałyby żyć w innym miejscu – potwierdziłem.

Zdawałem sobie sprawę, że jesteśmy w dosyć kiepskiej sytuacji. Szukaliśmy kobiety, która zniknęła z oczu Dalili, gdy była jeszcze dzieckiem. Nie wiedzieliśmy, gdzie jest, ile ma lat, jak wygląda i czy wie, że jest Wędrowcem. Na pewno zauważyła, że jej istnienie jest skrajnie odmienne od życia zwykłego człowieka, ale czy pamiętała swoją matkę? Tego nikt z nas nie wiedział.

– Tak mi przykro. To przeze mnie, przez moją przysięgę! Byłam egoistką. Tak mi wstyd... – jęknęła Dalila.

– Przestań się obwiniać. Obiecałem ci, że ją odnajdziemy.

Kris objął Dalilę. Jej ciałem wstrząsał szloch. Zagryzłem wargi, to wszystko było straszne.

– Wiem, kto mógłby nam pomóc. – Odważyłem się wyartykułować to, nad czym myślałem już dobie.

– Brian? Też to rozważyłem, ale nie chciałem za ciebie decydować. Masz do niego jakiś kontakt?

– Nie.

– Anna?

– Na pewno.

– Mała mogłaby pomóc przy portrecie.

– Wiem.

– Zadzwoń do niej?

– Tak. Ale najpierw pojedę do Bekan.

– Okej. Trzymaj się.

– Wy też.

Zamknąłem klapę laptopa.

Zasiedziałem się u Thora i Bekan. Kolejna burza mózgów poskutkowała nowymi pomysłami. W ciągu tych paru godzin Rebecca zdążyła ściągnąć jeden z najlepszych programów do obróbki rysunków pamięciowych i zmodyfikować go do naszych potrzeb. Była jeszcze mowa o wpuszczeniu zdjęć do systemu ANBA, który obejmował już parę milionów użytkowników, i o kilku niekonwencjonalnych pomysłach, włącznie z przeszukaniem baz znajdujących się w bankach dawców szpiku, ostatecznie odrzuconym. Materiał genetyczny naszych organizmów był zdeterminowany wyłącznie tym odziedziczonym po rodzicach biologicznych z danego wcielenia.

Zmierzchało, gdy wychodziłem z mieszkania braci Barrow. Zajechałem na Hamprough Road. Siedziałem w samochodzie i zastanawiałem się, jak zrealizować mój plan. Postanowiłem najpierw zadzwonić. Czego się spodziewałem, zanim wybrałem numer Anny? Przede wszystkim tego, że po prostu nie odbierze. Wystarczająco jasno dała mi do zrozumienia, co myśli o naszym związku. Prosiłem o szansę trzykrotnie. Niepotrzebnie. Zwłaszcza ten ostatni raz był wyjątkowo niefortunny.

Trudno. Musiałem spróbować. Dla rodziców.

Jeden sygnał i już. Odebrała.

– Coś jeszcze? – warknęło w słuchawce.

Zastygłem. *Coś jeszcze?* Krótkie pytanie odtworzyło się w głowie. To był na pewno głos Anny, na dodatek bardzo niezadowolonej Anny. Może mnie z kimś pomyliła? Kilka sekund na zastanowienie.

– Hej. To ja, Leo.

Znów cisza, dłuższa, jakby coś przerwało połączenie. Zero dźwięków. Bez szmeru oddechu po drugiej stronie, jak głuchy telefon od kogoś, kto dłonią zakrył mikrofon. Zerknąłem na wyświetlacz: połączenie trwało.

– Halo... słyszysz mnie? – powtórzyłem trochę głośniejsze.

– Hej, Leo – odpowiedziała od razu.

– Chyba ci przeszkodziłem. Może zadzwonię później?

– Nie. W porządku. Zaskoczyłeś mnie.

– Przepraszam.

– Myślałam, że to mama.

– Rozumiem.

Spodziewałem się, że może być niezręcznie, ale nie aż tak!

– Coś się stało?

– Nie... Tak. Chciałbym z tobą porozmawiać.

– O czym?

– Nie przez telefon.

Chwila zastanowienia. Nie spytała, gdzie jestem. Czyżby wiedziała, że wróciłem do Londynu?

– Dobrze. Kiedy?

– Mógłbym teraz się z tobą zobaczyć?

– Gdzie się spotkamy?

– Stoję przed twoim domem.

Zauważyłem, że podeszła do okna.

– Już schodzę...

O matko! O matko!

Leo!

O matko!

Telefon wysliznął mi się z dłoni, trzasnął o parkiet i rozleciał na trzy części. Świetnie! Po prostu fantastycznie. Uklękałam przy łóżku, gdzieś pod nim

skrywał się jeden z fragmentów. Wyciągnęłam dłoń i jakoś go wydobyłam razem z wielkim szaroburym kocurem. Trzęsącymi rękami złożyłam aparat i wrzuciłam razem z kłębem kurzu do szuflady biurka.

Rozejrzałam się bezradnie wokół.

– Boże! Przecież go tu nie zaproszę! – jęknęłam.

To nie był pokój, raczej obora, jak to czasami mówiła Wanda o sypialni Wiki. Rzut oka do lustra na toalecie. Brawo!!! Miss zmiętego podkoszulka! Wyjęłam z szafy jakąś przypadkową koszulę. Guziki zapinałam, zbiegając po schodach. Parter. Przyłożyłam dłoń do serca. Raz, dwa, trzy – głęboki wdech.

– Uspokój się, wariatko! – warknęłam do odbicia w lustrze.

Otworzyłam drzwi.

– Hej. – Leo stał w progu.

Przełknęłam ślinę, bo wyglądał dziwnie. Sprawiał wrażenie kogoś bardzo smutnego i zrezygnowanego.

– Hej. Wejdz – zaprosiłam go.

Powiesił płaszcz na środkowym haczyku, jak zawsze to robił, gdy do mnie przychodził. Położył kluczyki na niewielką półkę; ten gest również był znajomy. Ścisnęło mnie w gardle. Te pozornie drobne rzeczy, nieistotne drobiazgi, były aż tak bardzo znaczące. Ale było też coś nowego. Pierwszy raz widziałam Leo w golfie. Czarnym? A może bardzo ciemnogranatowym? Do tego brązowa marynarka ze sztruksu i zapach, nieznany, dziwny. Korzenny, a może ziołowy? Docierał do mnie przy każdym ruchu Leo.

Nie wiedziałam, co mam myśleć. Jaki charakter miała ta wizyta? Oficjalny? Co to miało być? Randka? Ponowne oświadczenia? Formalne zerwanie? Byłam w kropce. W wielkiej czarnej kropce.

– Zapraszam do salonu – zaproponowałam.

Popatrzył na mnie, dostrzegłam coś w oczach. Błysk rozczarowania? Wiedziałam, że uwielbiał moją sypialnię. A może liczył na to, że będzie tak jak kiedyś?

– Przepraszam, ale naprawdę mam bałagan w pokoju. Nie spodziewałam się gości – wytłumaczyłam szybko.

– Nigdy mi to nie przeszkadzało. Lubię... Lubiłem twój bałagan – westchnął.

Coś tu nie grało, i to bardzo. Czułam każdym nerwem, że coś się stało. Coś strasznego. Leo nigdy nie był taki. Nie zachowywał się jak człowiek, który właśnie przegrał życie. Wyciągnęłam rękę, chciałam dotknąć jego ramienia.

Chyba to zauważył, bo odsunął się nieco.

Hm... O, co ci chodzi? – pomyślałam, zachowując tę refleksję wyłącznie dla siebie.

– Jeśli chcesz, możemy siedzieć u mnie. – Wzruszyłam ramionami.

– Nie. W salonie też jest dobrze. – Leo zachowywał się jak zombie.

– Okej. – Nie nalegałam. – Zaparzę herbaty. Napijesz się?

– Proszę.

Z ulgą skryłam się w kuchni. Nastawiłam wodę. Trzęsącymi rękami naszykowałam dwa kubeczki. Żółte, nasze ulubione. Boże, co się stało? To jedno pytanie tłukło mi się po głowie jak ćma uwięziona w szklanym kloszu.

Niosłam kubki, zawieszki z napisem Lipton powiewały jak mikroskopijne latawce. Całą trasę między kuchnią a salonem spędziłam, licząc obroty papierowych kwadracików. Następnie drugi spacer: po łyżeczki, spodki i cukierniczkę. Wszystko, żeby się uspokoić.

W końcu klapnęłam na fotel naprzeciw niespodziewanego gościa. Leo siedział na sofie i sprawiał wrażenie osoby, która pozuje do serii zdjęć. Na pierwszy rzut oka swobodnie, naturalnie, ale dość szybko zauważyłam, że mięsień na policzku drgał leciutko, tak samo jak opuszki palców, gdy sięgał po łyżeczkę.

Ścisnęło mnie w dołku. Leo był taki... Piękny? Tak, to właściwe słowo. Z krótko obciętych włosami, kilkudniowym zarostem i wyraźnie podkrążonymi oczami patrzącymi spod zachmurzonego czoła wyglądał nieszczęśliwie, ale przez to pięknie. Chyba zorientował się, że go obserwuję, bo odstawił kubek.

– Przepraszam za najście. Potrzebuję twojej pomocy, gdyby nie to, nigdy nie odważyłbym się przeszkadzać.

– Nie przeszkadzasz. Cieszę się, że... przyszedłeś – wyjąkałam.

– Naprawdę? – Popatrzył smutnym wzrokiem, jakby mi nie wierzył.

– Leo... – Przycisnęłam dłoń do ust.

Nie mogłam wytrzymać, łzy przypuściły atak. Och! Dlaczego nikt nie wymyślił jeszcze jakiegoś sposobu na natychmiastowe zablokowanie płaczu. Mogłam pognać na górę, wsadzić głowę pod lodowaty prysznic, ale to był głupi pomysł. Leo uznałby mnie za kompletną wariatkę. Musiałam jakoś to znieść.

– W czym mogę ci pomóc? – wydukałam.

– Ruby jest chora.

Powiedział to beznamiętnie, jak o czymś kompletnie nieistotnym. Tylko te

wargi zaciśnięte do białości...

Przełknęłam ślinę.

Łzy w ułamku sekundy zamieniły się w lodowe igiełki.

– Rak. Został jej miesiąc, może trochę więcej.

Zamurowało mnie. To nie działo się naprawdę. Owszem, ludzie chorowali na raka, niektórzy umierali, ale to byli jacyś ludzie... Nie wiem? Nieznani? Inni? Znałam Ruby, uwielbiałam ją: mamę Leo, ciepłą kobietę z puciołowatą twarzą pokrytą piegami, w szylkretowych okularkach do czytania zawsze wiszących na szyi, lubiącą swój ogród i mówiącą do ukochanego syna Leoś. Co teraz miałam powiedzieć? Co mówi się w takiej sytuacji? Że jest mi przykro? Przecież to idiotyczne. Przykro? Czy to jest słowo, które by opisało takie uczucia? Znow zakryłam usta ręką. I nagle pojawiła się myśl, jak błyskawica!!!

– Leo! Przecież Dalila ją uleczy!!! – Zerwałam się z fotela. – Trzeba do niej zadzwonić!!!

Stałam nad nim i ze zdumieniem patrzyłam, jak ponownie zagryza wargi i kręci opuszczoną głową.

– Dlaczego nie?! Chyba nie martwisz się o to, że tajemnica się wyda? Przecież to głupie!

– Usiądź. Proszę.

Opadłam posłusznie na fotel.

– Tajemnica? To ostatnia rzecz, o której bym myślał w takiej sytuacji.

– Dalila się nie zgodziła? Nie chce tego zrobić? – zapałam, bo nie mieściło mi się to w głowie.

– Chce, ale nie może.

– Dlaczego? Przecież uleczyła nas, ciebie, Briana, mnie – wymieniałam. – Nie może wyleczyć kogoś chorego na raka?

– Ty, ja, Brian, wszyscy jesteśmy Wędrowcami.

– Boże! Co za kretynstwo! – Pacnęłam się w głowę. – Przecież to zwykłym ludziom najbardziej potrzebna jest taka pomoc! My jesteśmy nieśmiertelni!

Nagle uświadomiłam sobie, że mój dar, czyli mówienie myślami, też obejmował wyłącznie komunikację z Wędrowcami.

– To jest głupie! Takie ograniczenie jest głupie! – Nie mogłam tego zaakceptować. – Moja umiejętność jest nic niewarta, ale Dalili? Dlaczego tak jest?!

– Dawno temu leczyła zwykłych ludzi. – Leo znow mnie zaszokował.

– To dlaczego? Co się stało?

– Kiedyś ci opowiem – westchnął. – Ale teraz skupmy się na tym, co można zrobić. Musimy odnaleźć pewną kobietę, córkę Dalili.

– Ona miała dziecko? – pisałam jak chłopiec w czasie mutacji.

– Tak.

– Wędrowca?

– Tak. Widzę, że chyba teraz powinnaś poznać całą historię. Postaram się opowiedzieć to najlepiej, jak potrafię.

– Nie! Później. Po co ta dziewczynka?

– Gdy się odnajdzie, Dalila odzyska dar leczenia zwykłych ludzi.

– Co wiecie o niej?

– Nic. Nie wiemy, ile ma lat, gdzie jest i czy jeszcze istnieje.

– Jak mam pomóc? Mów! – ponagliłam go.

– Dalila się z tobą skontaktuje, musisz narysować portret pamięciowy... – tłumaczył mi cierpliwie krok po kroku. Powtarzałam po Leo każde zdanie, byleby nie uronić ani słówka, ani jednej informacji.

– To wszystko, co mam zrobić? – Byłam rozczarowana. Tak bardzo chciałam odnaleźć tę tajemniczą córkę Dalili.

– Nie. Jest ktoś, kto mógłby znacznie przyspieszyć poszukiwania. – Wziął głęboki wdech. – I tylko ty możesz...

– Brian – przerwałam mu. – Habbatum. Wędrowiec widzący Astrum?

– Tak. Przypuszczam, że masz z nim kontakt. – Widziałam, jak bardzo się skupił, aby powiedzieć mi to spokojnie i bez cienia pretensji czy żalu w głosie.

– Mam numer telefonu. Wysłał mi, ale jeszcze do niego nie...

– Nie musisz się tłumaczyć... – przerwał Leo. – Szanuję twoją decyzję. Uwierz mi, zrozumiałem wszystko. Pamiętam, co powiedziałaś, i powoli staram się z tym pogodzić. Chcę uratować Ruby, tylko dlatego ośmieliłem się znów wkroczyć w twoje życie. Gdy to się nam uda, obiecuję, że zniknę.

– Idę po telefon. – Podniosłam się z fotela.

Dopiero gdy weszłam do sypialni, pozwoliłam sobie na żal. Jedyna oznaka rozczarowania. Westchnięcie. Krótkie jak błysk światła na ostrzu noża wbitego zbyt szybko. Leo już mnie nie chciał. Z trudem przełknęłam gorzką pigułkę. Zresztą jakie to miało teraz znaczenie?

– Sam chcesz zadzwonić czy dać ci numer? – Stałam z telefonem w wyciągniętej ręce.

– Nie wiem, czy będzie chciał ze mną rozmawiać. – Leo zabrał aparat.
– Może ja spróbuję?
– Nie. Na razie zapiszę numer, jeśli pozwolisz.
– Okej. Jest w kontaktach.
– Zadzwoń. Gdyby się nie udało, poproszę cię o wsparcie. – Podniósł na mnie wzrok.

– Zostawić cię samego?
– Nie trzeba. Wyjdę na zewnątrz.

Wstał i przez chwilę patrzył na mnie oczami przypominającymi dwa skrawki morza, które widziałam w Cannes. Niebieskimi ze szmaragdowozielonym refleksem.

– Powodzenia – szepnęłam. – Będę blisko...

Rozdział 13

Prawda

Stałem pod ścianą. Dosłownie i w przenośni. Wyjąłem z kieszeni marynarki zmiętą paczkę marlboro.

Wypuszczając błękitny dym, rozmyślałem nad tym, co się wydarzyło. Czy to nie ironia losu? Ruby, która nigdy nie miała papierosa w ustach, właśnie leżała w szpitalu na oddziale onkologicznym, a w jej płucach rozwijał się rak.

Nie miałem czasu na zbędne rozważania nad sprawiedliwością.

Rzuciłem niedopałek do kałuży. Znów lało...

– Bailey, słucham – odezwał się dosyć szorstko.

– Cześć. Tu Leo.

– Black? – spytał z niedowierzaniem. – Czego chcesz? Skąd masz mój numer?

– Od Anny.

– Co z nią? – Brian wyraźnie się zaniepokoił. Zaciśnąłem zęby. Z jednej strony cieszyło mnie, że ciągle się o nią martwi, ale z drugiej...

– Wszystko w porządku.

– Po co dzwonicz?

Zaczerpnąłem powietrza. Dwie, może trzy sekundy na opanowanie. Grałem o wysoką stawkę.

– Chodzi o moją matkę...

– Chyba już to wyjaśniliśmy? – zachnął się. – Przeprosiłem, ty przyjąłeś przeprosiny i nie oczekuj nic więcej.

– Daj powiedzieć! – warknąłem. – Moja obecna matka jest chora. Potrzebuję twojej pomocy.

– Mów od razu! Co jej jest?

– Drobnokomórkowy rak płuc. Stadium czwarte.

– Rokowania?

– Maksymalnie sześć tygodni, gdy nie będzie żadnego kryzysu.

– Przykro mi, Black... – Zawiesił głos. – Jestem neurochirurgiem. Nie

siedzę w onkologii. Kiedyś znałem paru gości dobrych w te klocki, ale nie w tym wcieleniu. Poza tym stadium czwarte to praktycznie wyrok śmierci. Ma przerzuty?

– Tak. Między innymi na wątrobę.

– Kiepsko. Choć może udałoby mi się kogoś skołować. Mam trochę znajomych w Royal Marsden.

– Tam leży, u profesora Duvalla.

– Aha. Ile ma lat? Co jej podają?

– Prawie sześćdziesiąt sześć. Chemię paliatywnie.

– Paliatywnie... Jeśli mam być szczery... Czeka! A co z panną Basu?! Dlaczego jej nie poprosisz? – Zdziwienie w jego głosie było aż nazbyt oczywiste. – Nie wyleczy takiego schorzenia? Nie wierzę.

– Dalila może uzdrawiać jedynie Wędrowców.

– To nie bardzo rozumiem, jak mogę ci pomóc? Chciałbym, uwierz mi. – Na chwilę zamilkł. – Naprawdę, chłopie. Cholera jasna!!! Dlaczego tak późno?!

– Możesz mi pomóc.

– Jak?

– Musimy odnaleźć córkę Dalili. Wtedy będzie mogła leczyć ludzi.

– Dalila ma córkę?!

– Ma.

– Z Eperu?

– Tak.

– No dobra! To już coś. Co o niej wiesz?

– Praktycznie nic. Możemy spekulować jedynie co do miejsca pobytu: najprawdopodobniej Indie. Dzieciak miał dziesięć lat, gdy Dalila zmarła, od tego czasu się nie widziały.

– Kiedy to było?

– Jakieś dwieście lat temu.

– Fatalnie – stwierdził, oceniając nasze szanse.

– Wiem, ale nie beznadziejnie. Będziemy mieć portret pamięciowy. Anna go narysuje, posiłkując się wskazówkami Dalili. Began przygotuje symulację wizerunku zmieniającego się na przestrzeni lat i wrzuci do specjalnego programu szpiegującego.

– Coś jeszcze?

– Nie. To w zasadzie wszystko, co mamy... – Nie chciałem go oszukiwać.

– Okej. Nieważne, wchodzę w to – odpowiedział natychmiast.

– Dzięki – wykrztusiłem. – Dzięki, Brian.

– W porządku. Posłuchaj mnie teraz uważnie. Jestem w Mo...

– Gdzie? – Nie rozumiałem, coś zatrzeszczało w słuchawce.

– W Moskwie, takie duże miasto w Rosji. – Parsknął śmiechem, zadowolony ze swojego żartu. – Pracuję tu w prywatnej klinice. Jutro mam poważną operację, ale na kolejne dni załatwię urlop. To dobra robota i wolałbym ją utrzymać – zarechotał. – Postaram się jak najszybciej dotrzeć do Londynu.

– Brian... – zawahałem się. – Jeszcze raz dziękuję.

– Na czułości przyjdzie pora, gdy odnajdziemy córkę panny Basu. Teraz przygotuj mapy w kilku wariantach: geograficzne, polityczne i tak dalej. Cały świat i poszczególne kontynenty: Europa, Azja, Afryka. Każdą w dwóch egzemplarzach, kilka cyrkli, długą linijkę, zakreślacze i ołówki. Ja mogę nie mieć czasu tego kupić.

– Okej. Zapamiętałem. Zapisales mój numer?

– Tak.

– Wobec tego do zobaczenia i dzięki.

– Black, poczekaj...

– Tak?

– Wróciliście do siebie? – rzucił po chwili.

– Nie – odpowiedziałem prawie od razu, choć kusiło mnie, żeby skłamać albo odburknąć, że to nie jego interes.

– Uhm – mruknął. – To trzymaj się... Leo. Pozdrów matkę i Annę.

Trzask rozłączonej nagle rozmowy. Tyle.

Trzęsły mi się ręce. Wyciągnąłem jeszcze jednego papierosa, ale po sekundzie schowałem go z powrotem. Musiałem jakoś się ogarnąć. Dwie sprawy załatwione, została trzecia. Nie tak trudna jak rozmowa z Brianem, ale też niełatwa.

Zapukałem do drzwi. Anna chyba rzeczywiście była gdzieś w pobliżu, bo otworzyła po kilku sekundach.

– I jak? – Wpatrywała się z napięciem.

– W porządku. – Kiwnąłem głową. – Zgodził się.

– Boże! Jak się cieszę – wysapała. – O matko! Wchodź do środka! Strasznie leje!

Posłusznie zamknąłem za sobą drzwi.

– Cały jesteś mokry.

– To nic. – Zdjąłem marynarkę. – Możesz to gdzieś odwiesić?

– Daj. Zaniosem do kuchni, tam jest najcieplej. Jeśli chcesz, idź do... mojego pokoju. Zaraz tam przyjdę.

Rozglądałem się z ciekawością. Nie byłem tu od miesiący. Zauważyłem wystający spod kołdry róg szlafroka, który Anna dostała ode mnie w pamiętny wieczór wigilijny. Na wspomnienie tego dnia od razu przeskoczyła w moim sercu ciepła iskierka. Ale czy to był jakiś znak? Chyba nie. Te same meble, rysunki porozkładane tu i ówdzie, książki i ten sam szlafrok. Po prostu w tym pokoju niewiele się zmieniło.

W pokoju niewiele, za to w życiu? Moim, Anny, moich rodziców?

Podszedłem do półki wiszącej nad biurkiem. *Mnich – Zakopane* – głosił napis na tabliczce przyklepionej do małej drewnianej rzeźby przedstawiającej jakiś górski szczyt. Przez chwilę zastanawiałem się, co może oznaczać słowo „Mnich” ale oprócz Monachium z niczym mi się nie kojarzyło. Jakież to wszystko było dziwne, ten nasz skomplikowany trójkąt, który zakończył się kompletnym fiaskiem. Dla mnie na pewno, dla Briana chyba też, skoro Anna nie utrzymywała z nim kontaktu.

– Zrobiłam ci jeszcze jedną herbatę.

Odwróciłem się, jakby mnie przyłapała na gorącym uczynku. Musiała zauważyć, że przyglądałem się figurce.

– Dziękuję. – Siadłem przy biurku.

– Posłodziłam... Tak jak lubisz.

Anna przysunęła drugie krzesło.

– O czym myślisz? – Przechyliła głowę.

– Zastanawiam się, czy pytanie o to, co teraz porabiasz, nie byłoby zbyt nietaktowne.

– Nie. – Pokręciła głową. – Nic szczególnego. Pracuję, trenuję z Klaudem, chodzę na kurs rysunku i od jakiegoś tygodnia zapisałam się na strzelnicę, mam ten darmowy karnet od Chucka. – Wzruszyła ramionami. – I mały sukces: w zeszłym tygodniu zdałam wreszcie egzamin na prawo jazdy.

– Pracujesz? – Zaskoczyła mnie, choć to nie było przecież niczym dziwnym czy oryginalnym. – Gdzie?

– W pubie, niedaleko stąd. Jakies pięć minut autobusem. Nazywa się Ojciec Chrzestny. Jak ten film – parsknęła śmiechem.

– Uhm.

Zapadła kłopotliwa cisza. Anna siedziała blisko, czułem jej zapach.

Wyglądała tak znajomo: spodnie w popielatym kolorze, miękkie, z grubej bawełny, jakaś bluzeczka wystająca spod kraciastej koszuli, włosy w kitkę. Smutne oczy? Chyba tak. Moja Anna, moja zwyczajna-niezwyczajna dziewczyna. Ukochana i tak bliska sercu, ale jednocześnie daleka i już nie moja.

Miałem nieodpartą ochotę wstać, porwać ją w ramiona, rzucić na łóżko i całować aż do utraty tchu. Dwa miesiące, a ja nie zapomniałem ani trochę, jak bardzo dobrze mi z nią było i jak bardzo jej pragnąłem. Zawsze.

– Mam jeszcze jedną prośbę – wymamrotałem cicho, ale i tak chyba ją wystraszyłem, bo leciutko drgnęła.

– Tak?

– Do tej pory nie odwiedziłem Ruby. Jutro się do niej wybieram. – Przełknąłem ślinę. Wiedziałem, że to będzie trudne spotkanie.

– Czy ona wie, że to taka ciężka choroba?

– Ojciec nie mówił jej dokładnie. Poprosił lekarzy, żeby dosyć oględnie ją informowali. Nie chciał, żeby się załamała. Psychika jest bardzo ważna.

– Rozumiem.

– W związku z tym mam prośbę. Chciałbym, żeby moja wizyta wypadła bardzo naturalnie, żeby Ruby nie pomyślała, że przyjechałem specjalnie z jej powodu. Od razu się zorientuje, że coś jest nie tak. Czy mogłabyś... – Zawahałem się.

– Tak? – Anna popatrzyła na mnie.

Co malowało się w tych oczach o barwie gorzkiej czekolady? Nagle do mnie dotarło, że to bez sensu. Sam musiałem się zmierzyć z wizytą u Ruby.

– Przepraszam, nie było pytania. Bardzo ci dziękuję za wszystko, naprawdę mi pomogłaś. Pójdę już.

Zamierzałem wstać z krzesła, ale Anna mnie powstrzymała:

– Poczekaj. Chciałeś, żeby z tobą pojechała?

– Tak. – Pokiwałem głową. – Głupi pomysł, teraz to widzę.

– Leo. Chcę z tobą pojechać. – Anna przechyliła się w moją stronę i chwyciła za rękę.

Wziąłem głęboki wdech. To było mocne. Bardzo. Okazywanie współczucia komuś, kto ze wszelkich sił próbuje trzymać emocje na wodzy, mogło skutkować tylko jednym. Zacisnąłem na moment zęby, modląc się o opanowanie.

– Dziękuję – wysapałem po chwili. – Przepraszam, ale z tego wszystkiego

zaschło mi w gardle.

Przynajmniej miałem pretekst, aby delikatnie wysunąć dłoń. Dopilem resztkę herbaty. Anna schyliła głowę i objęła się ramionami. Chyba sprawiłem jej przykrość moim chłodnym zachowaniem, bo miała bardzo niewyraźną minę.

– Przyjedziesz po mnie? – rzuciła po chwili.

– Tak.

– O której godzinie mam być gotowa?

– Jak z twoją pracą?

– Wezmę sobie wolne.

– Na pewno nie sprawiam ci kłopotu?

– Nie. Bardzo chcę zobaczyć się z Ruby, poza tym będzie ci... – Opuściła wzrok. – Rodzice wiedzą? Że ty i ja, że nie jesteśmy...

– Nie.

– Uhm. – Pokiwała głową.

Zamarłem. Ostatnia rzecz, jaka mi była teraz potrzebna, to tłumaczenie Annie, dlaczego nie poinformowałem rodziców o naszym rozstaniu. Właściwie sam tego nie wiedziałem. Może chciałem oszczędzić im rozczarowania? Przecież tak bardzo ją pokochali. Może gdzieś w skrytości ducha liczyłem na to, że Anna jednak do mnie wróci? Choć to ostatnie było dosyć żałosne: zaklinanie rzeczywistości, jakby nic się nie wydarzyło.

– To o której przyjedziesz? – Na szczęście Anna nie zamierzała wnikać.

– Mogę być o dwunastej?

– Dobrze.

– Dziękuję. Będę się zbierał. – Wstałem.

Nagle dotarło do mnie, że jestem na nogach grubo ponad dobę, nie licząc kilku godzin drzemki w samolocie. Napięcie opadło. Poczułem się strasznie zmęczony, jakbym miał sto lat. Choć, jeśli się zastanowić, w sumie przeżyłem przecież więcej lat.

– Odprowadzę cię.

Zeszliśmy na dół. Anna podała mi marynarkę. Przerzuciłem ją przez ramię, ciągle jeszcze była wilgotna.

– To do jutra.

– Do jutra.

Znów chwila dziwnego milczenia. W końcu zabrałem kluczyki i płaszcz.

– Trzymaj się, Leo...

– Ty też.

Wsiadłem do samochodu, włączyłem silnik i wtedy uświadomiłem sobie, że właśnie dzisiaj Brian po raz pierwszy zwrócił się do mnie po imieniu...

Ledwie zdążyłem. Zerknąłem na zegarek: za minutę dwunasta. Nigdy nie lubiłem się spóźniać. Miałem taki deficyt snu, że z trudem udało mi się zwlec z łóżka. A gdy wreszcie wyruszyłem z domu, przez własną sklerozę musiałem się wrócić z połowy trasy. Anna chyba zauważyła samochód, bo właśnie wychodziła z domu. Wsiadłem, żeby otworzyć jej drzwi.

– Daleko? – spytała, zapinając pasy.

– Szpital jest w ścisłym centrum. Mama leży na oddziale profesora Duvalla. To najlepszy onkolog w całym Zjednoczonym Królestwie. Przynajmniej tak twierdzi Kris – westchnąłem, wyjeżdżając z Hamprough Road. – Umówiłem się z ojcem na pierwszą.

– Będzie dobrze. – Anna zerknęła na mnie. – Zdążymy, zobaczysz.

Wiedziałem, że mówi o poszukiwaniach, choć mogło to równie dobrze dotyczyć dojazdu do szpitala.

– Mam taką nadzieję. – Popatrzyłem na Annę.

Wyglądała ślicznie. Ułożyła włosy i zrobiła lekki makijaż, postarała się. Pewnie chciała wypaść przekonująco, jak szczęśliwa narzeczona. Przełknąłem ślinę. Jeszcze coś miałem do załatwienia, brakowało jednego detalu, ale odłożyłem to na później, gdy już będziemy na miejscu.

– Odpocząłeś?

– Tak, dziękuję.

– Skończyłeś już zdjęcia?

– Nie. Jeszcze jakieś piętnaście, może dwadzieścia dni.

– Rickman dał ci wolne? Nie wierzę – stwierdziła ze zdumieniem. – Jak ci się udało go uprosić?

– Okazuje się, że to naprawdę dobry człowiek. Bardzo. Gdy się dowiedział o chorobie Ruby, po prostu kazał mi natychmiast opuścić plan i wracać do domu.

– Naprawdę? I co teraz?

– Coś mogą nakręcić, sceny bez mojego udziału i tak dalej, ale wiadomo, że to spora komplikacja dla niego. Powiedział, że mam tyle czasu, ile będę potrzebował.

– Nigdy bym nie pomyślała... – Pokręciła głową.

– Ja też. Jest mi głupio, bo tak naprawdę wcale go nie znałem. Gdy wracałem z Tokio, przeczytałem trochę w necie. Rickman wychowywał się bez ojca. Miał osiem lat, gdy stracił matkę. Też chorowała na raka. Po jej śmierci trafił do wujostwa, a ci zapisali go do szkoły z internatem. Miał ciężkie życie.

– Może dlatego jest taki... szorstki?

– Może – pokiwałem głową. – Co u Julii? Mówiłaś jej o Ruby?

– Nie. Wrócili późno w nocy, a rano nie było okazji. Poza tym nie wiem, czybyś sobie życzył. Mam nadzieję, że wszystko się ułoży po naszej myśli – westchnęła Anna.

– Denerwuję się.

– Wiem. Ja też.

– Mogę puścić jakąś muzykę?

– Jasne.

– Może być? – Włączyłem płytę z przebojami Leonarda Cohena. – Jakoś mnie uspokaja. Od lat go nie słuchałem.

– Też go lubię i też dawno nie słuchałam. Mój ulubiony kawałek to słynny...

– *Niebieski prochowiec* – dokończyłem, kiwając głową. – Mój też.

– Naprawdę?

– Tak.

Jechaliśmy przez deszczowy Londyn, wycieraczki zgarniały wodę z lekkim szumem, mój imiennik śpiewał balladę *Hallelujah*, a ja? Tyle słów z jej treści mogłem sam powiedzieć. Nagle poczułem się dobrze, pierwszy raz od momentu, gdy ojciec zadzwonił. Moje serce zaczęło bić, napędzane nadzieją. Zacząłem wierzyć, że wszystko wreszcie się ułoży, że znów będę szczęśliwy w moim tajemnym życiu. I gdy to do mnie dotarło, Anna chwyciła mnie za rękę, a ja ścisnąłem mocno jej małą, ciepłą dłoń...

* * *

Stanęliśmy na parkingu. Leo nie wyłączył silnika. Jakby nie chciał opuścić samochodu. Ja chyba też tego nie chciałam. Tak dobrze mi było, gdy jechaliśmy drogą połyskującą od deszczu. Może i smutne były te ulice, ale jednocześnie tak bardzo żywe, pełne ludzi w kolorowych samochodach. Leo trzymał mnie za rękę. Wreszcie. Tak bardzo bałam się kolejnego odtrącenia, a teraz zapomniałam już o swoich lękach. Liczyła się wyłącznie ta chwila.

Obawiałam się tej podróży, niepotrzebnie. Ubolewałam, że już dobiegła końca, a moja dłoń znów leżała samotnie na podłokietniku.

– Chciałem cię prosić o jeszcze jedną rzecz. – Leo wyciągnął portfel ze schowka. Wiedziałam, o co mu chodzi, zanim wyjął z kieszonki pierścione. – Czy mogłabyś go założyć? Ruby na pewno zauważyłaby jego brak – tłumaczył. – Chyba że bardzo ci to przeszkadza? Nie nalegam.

Przełknęłam ślinę ze wzruszenia, gdy wkładałam na palec ten mały złoty przedmiot. Tak bardzo mi brakowało.

– Dziękuję, że się zgodziłaś.

– W porządku – wyjąkałam. Chwila była tak przejmująca, że nie mogłam złapać tchu. Byłam jeszcze bardziej zdenerwowana niż wtedy, gdy Leo mi go wręczył po raz pierwszy. Wszystko bym dała, żeby to były ponowne oświadczenia.

– To co, idziemy? – Przyglądał mi się uważnie. Chyba zauważył, że bardzo się zmieszałam.

– Uhm... – Pokiwałam głową.

– Jeszcze kamuflaż. – Wyjął ze schowka przeciwsłoneczne okulary.

Wysiadłam z samochodu na drżących nogach. Musiałam się jakoś uspokoić, więc rozglądałam się z ciekawością. Na szczęście deszcz na chwilę ustąpił. Podeszliśmy do wysokiego budynku wymurowanego z czerwonej cegły, pięknego, szlachetnego w formie, z imponującym wejściem i szerokimi schodami. Pomyślałam, że mimo tego piękna nikt nie chciałby się tu znaleźć. Wjechaliśmy windą na drugie piętro, w milczeniu pokonaliśmy korytarz.

– Gotowa? – Leo zatrzymał się przed drzwiami sali.

– Tak. – Popatrzyłam na niego.

Znów miał na sobie marynarkę i golf, tym razem ciemnobordowy, chyba z kaszmiru, bo lekko opalizował w świetle jarzeniówek. Może to odbicie światła powodowało, że twarz Leo wydawała się nienaturalnie blada. Prawie biała, zupełnie jak u gejszy albo wampira. Pokręciłam z niedowierzaniem głową, cóż za głupoty mi teraz do niej przychodziły?

– Idziemy...

– Poczekaj! – Wzięłam go za rękę. – Teraz jest okej.

Leo nacisnął kłamkę, drzwi otworzyły się bezszelestnie.

Weszliśmy, starając się zrobić to jak najciszej. Nie było pewności, czy Ruby nie śpi.

– Hej, dzieciaki. – George podniósł się z krzeselka na nasz widok i od razu

przystawił palec do ust.

– Dzień dobry – przywitałam się szeptem.

– Cześć, tato.

Leo podszedł do ojca i przez chwilę tkwili w uścisku. Poczułam się bardzo niezręcznie. Pomyślałam, że może moja wizyta to nie był dobry pomysł, ale George szybko wyprowadził mnie z błędu. Przytulił mnie równie mocno i wyszeptał do ucha słowa podziękowania.

– Siadajcie. – Podsunął nam dwa krzesła.

– Jak ona się czuje? – wykrztusił Leo.

– Dzisiaj świetnie. Zjadła śniadanie, a teraz śpi już prawie cztery godziny, pewnie niedługo się obudzi.

– Uhm. Może chcesz zejść do bufetu? Kiepsko wyglądasz.

– Może to i dobry pomysł. Pójdę po kawę i trochę rozprostuję nogi, muszę się przewietrzyć. Gdyby coś się działo, tu jest dzwonek.

– Okej.

Zostaliśmy sami. Bez słowa wpatrywaliśmy się w leżącą Ruby. Schudła, ale nie jakoś znacząco. Pot zrosił jej blade czoło i przyklejone do niego włosy. Do ust przylegała mała maseczka z tlenem: cicho szumiała, zupełnie jak lekki wietrzyk. Przeniosłam wzrok na leżącą na kołdrze dłoń, posiniaczoną od wkłutego wenflonu, przez który podawano jakąś kroplówkę. Spomiędzy rozchylonej koszuli nocnej wystawał opatrunek, tu i ówdzie upstrzony plamkami zaschniętej krwi.

Zrobiło mi się słabo, widok był porażający i do tego ten charakterystyczny szpitalny zapach. To było straszne. A ty, idiotko, chciałaś zostać pielęgniarką! – podsumowałam się w duchu.

– Źle się czujesz? – Leo nachylił się do mnie.

– Nie – skłamałam. Nie chciałam mu dokładać dodatkowych zmartwień. – W porządku.

– Zbladłaś.

– Naprawdę jest okej.

Nagle Ruby westchnęła, zamarłam z wrażenia.

– Leoś? Ania? – spytała bardzo cicho i niewyraźnie. Z trudem odwróciła głowę w naszą stronę. – Co za niespodzianka...

– Cześć, mamusiu. – Leo od razu nachylił się i ją uścisnął.

– Co tu robicie? – wymamrotała.

– Mam przerwę w zdjęciach i wróciłem na parę dni do Londynu.

Zadzwoiłem do taty, chcieliśmy was odwiedzić z Anną, a ty wywijasz taki numer! Nie masz co robić, tylko chorować? – zaśmiał się wesoło. – Co ci dolega? Symulujesz, żeby trochę pożyć na koszt podatników?

Zmroziło mnie. Leo grał tak, że aż ścisnęło serce.

– No cóż, chyba masz rację – parsknęła. – Weź to odepnij, bo nie mogę mówić normalnie.

– Już. – Zdjął jej maseczkę.

– Nie wiem, co mi jest. George pewnie chciał pożyć jak kawaler, bo mnie tu przywłókł. Nic mnie nie boli, tylko trochę kaszlę, choć wczoraj nie było fajnie. Chyba mnie czymś zatruli, bo wymiotowałam pół dnia. Widzisz, jak zaoszczędziłam? – zachichotała. – Sernika pewnie nie przywieźliście?

– Przepraszam! – odpowiedziałam z uśmiechem, starając się wejść w całe to przedstawienie. – Poprawię się.

– A gdzie się podział twój ojciec, synku?

– Poszedł do kawiarni.

– No i dobrze. Siedzi tu kamieniem stary piernik i nie chce się ruszyć z miejsca. Po cholere się mnie pozbył z domu? – powtórzyła. – A co u ciebie, Leosiu?

– W porządku.

Leo opowiadał jakieś kompletne bzdury, sypał anegdotami z planu, a ja uśmiechałam się jak idiotka, co jakiś czas wtrącałam słówko lub dwa, chichotałam. To był koszmar. Jak dwa światy równoległe: ten wymyślony, wykreowany przez nas, zabawny i beztroski, oraz drugi, prawie niezauważalny: zaciśnięta na mojej dłoń Leo, drżąca i mokra z potu.

Nie wyobrażałam sobie, co mógł czuć w ciągu tych kilkunastu minut. A gdyby to była moja mama? Serce miałam już tak zmrożone, że prawie go nie czułam. Zastygłam jak posąg, słuchając tych pozornie wesołych pogaduszek.

– Nie żebym was wyganiała, ale za chwilę podadzą obiad i chyba jakieś leki. Nie mam pojęcia. Pewnie chcecie pobyć we dwójkę?

– Już ci się znudziło nasze towarzystwo?

– Raczej wam moje. Leoś, mam prośbę. Zanim pójdziecie, idź poszukać taty. Pewnie gdzieś się zgubił albo ugania się za pielęgniarzkami – Ruby pokręciła głową. – Ja tu jeszcze chwilę pogawędzę z Anią. Nie dopuściłeś jej do słowa, gaduło.

– Żeby tylko Leo też się nie zgubił – zaśmiałam się, gdy zamknął za sobą drzwi.

– Aniu... – Ruby popatrzyła na mnie.

Od razu poczułam, jak coś zawisło w powietrzu. Coś tak bardzo trudnego i przytłaczającego, że aż ciężko było oddychać.

– Posłuchaj. – Wzięła mnie za rękę. – Ja... Wiem, że już się z tego nie podniosę...

– Ależ nie... – Przełknęłam ślinę.

– Aniu. Ja wiem i wy też to wiecie. Mój syn jest aktorem, ale matki nie oszuka. – Pokiwała smutno głową. – Mam do ciebie prośbę. Leoś, on tak bardzo cię kocha... Czuję, że coś między wami nie gra. Widzę to. Jest inaczej niż w czasie świąt, gdy byliśmy u was. Wiem, że on jest zazdrośnikiem, pewnie próbuje cię ograniczać, kontrolować i to przeszkadza takim młodym dziewczętom, nie jesteście do tego przyzwyczajone... – Nagle zaniósła się kaszlem. Zerwałam się z krzesła, ale Ruby uspokoiła mnie od razu gestem ręki.

– Nic mi nie jest. Zakrztusiłam się śliną. Usiądź.

Posłusznie klapnęłam z powrotem.

– Posłuchaj. W dzisiejszych czasach kobiety są inne: wyzwolone, niezależne, a mój syn, on jest dużo starszy od ciebie, może trochę zbyt porywczy i gwałtowny, ale to taki dobry człowiek. Zawsze kieruje się sercem, nie jest wyrachowany. Nie zrobiłby ci krzywdy, nie potrafi bez ciebie żyć. Pamiętaj o tym i jeśli go kochasz, bądź z nim na dobre i złe. Bez ciebie on nigdy nie będzie szczęśliwy. Od dnia, w którym cię poznałam, myślałam, że kiedyś zobaczę was razem przed ołtarzem, biorących ślub. To było moje największe marzenie.

Nie mogłam już ich zatrzymać... Łzy płynęły strugami jak krople deszczu po szybie samochodu, którym tu przyjechałam.

– Ruby... – Nie potrafiłam wydusić z siebie ani słowa. W końcu wzięłam głęboki wdech. – Przysięgam, że zrobię wszystko, razem zrobimy wszystko, żebyś mogła to zobaczyć, i nie tylko to. Obiecuję... – Byłam pewna, że uda się nam odnaleźć córkę Dalili. Nie wiem jak, ale czułam to chyba szóstym zmysłem.

– Aniu – pokiwała głową – jeśli weźmiecie ślub, na pewno to zobaczą. A teraz idź już do niego.

– Dobrze.

Podniosłam się z krzesła.

– Do zobaczenia, Ruby.

– Do zobaczenia, Aniu.

Ledwie stamtąd wyszłam. Chyba jeszcze nigdy w życiu nie byłam aż tak przejęta i wzruszona. Kręciło mi się w głowie. Żeby nie zemdleć, oparłam się o ścianę tuż obok drzwi. Pielęgniarka, która przechodziła korytarzem, wskazała mi najbliższą toaletę. Dowłokłam się z trudem, choć do pokonania miałam raptem kilka metrów.

Za dużo! O wiele za dużo było tych emocji. Nie potrafiłam sobie z nimi poradzić. Chyba każdy miałby z tym kłopot. Chciałam ochłapać twarz, ale nad umywalkami wisiały tylko pojedyncze krany z fotokomórką.

– Letnia woda! – sarknęłam ze złością.

Cały makijaż się rozmazał. Nabrałam troszkę pianki do mycia rąk i porządnie się natarłam, szczypało w oczy, ale to i tak nie miało znaczenia. I bez pianki były wystarczająco czerwone i opuchnięte. Osuszyłam twarz papierowym ręcznikiem. Rzut oka w lustro: katastrofa.

Najchętniej zostałąbym w tej łazience na zawsze. Znów zrobiło mi się słabo, przed oczami miałam tylko twarz Ruby, w uszach kołatały jej słowa...

Co miałam zrobić?

Bałam się.

Tak bardzo się bałam, że Leo mnie odrzuci.

Usiadłam na szerokim parapecie i otworzyłam okno. Przez chwilę oddychałam chłodnym powietrzem, ale nie zdało się to na wiele.

Wszystko, co mówiła Ruby, odtwarzało się bez ustanku, jak zapętlone nagranie.

...On tak bardzo cię kocha... Nie potrafi bez ciebie żyć...

Objęłam głowę ramionami i znów wybuchnęłam płaczem...

* * *

– Mogę w czymś pomóc? – Wysoka postawna blondynka w błękitnym fartuszku uśmiechnęła się miło. Na pewno mnie poznała, bo w jej oczach błysnęło zaciekawienie. Gdybym nie był aż tak przejęty, może nawet dałbym autograf sympatycznej pannie Monice (jak widniało na identyfikatorze), ale teraz nie miałem na to czasu.

– Szukam dziewczyny. Była ze mną. Niewysoka, ciemne krótkie włosy.

– Poszła do toalety. O tam. – Wskazała drzwi oddalone o jakieś pięć

metrów.

– Dzięki – sapnąłem z ulgą.

Szukałem Anny już od dobrych dziesięciu minut, miotając się po szpitalu i wyobrażając sobie oczywiście najgorsze i najgłupsze z możliwych scenariusze, zamiast po prostu zajrzeć do łazienki.

– Co się stało? Co ci jest? – krzyknąłem, gdy tylko otworzyłem drzwi.

Anna siedziała na niewysokim murku tuż przy otwartym na oścież oknie (na szczęście zakratowanym) i zalewała się łzami. Natychmiast dobiegłem do niej i usiadłem tuż obok.

– Koch... Aniu, co się stało? – Przytuliłem ją, bo cała się trzęsła. – Nie martw się. Na pewno uda się odnaleźć córkę Dalili. Nie płacz, proszę. – Domyśliłem się, że widok Ruby tak ją poruszył.

– Twoja mama cierpi, ona myśli, że umrze. Ona wie...

– Pewnie się domyśla, to bystra kobieta. – Pokiwałem głową. – Też mnie to boli, ale jakoś musimy przetrwać. Ruby jest twarda, wytrzyma. Jest silna. Wiem, że łatwo się nie podda. Na szczęście fizycznie nie cierpi, rozmawiałem z lekarzem, który jest asystentem Duvalla. Mówił, jaką stosują terapię. A co do tego, jak zamierzamy ją uratować... Niestety, nigdy by w to nie uwierzyła. Zresztą ojciec tak samo. Dlatego na razie nic nie powinniśmy mówić, musisz to zrozumieć.

– Uhm...

– Mamy sporo czasu, uda się. – Głaskałem Annę po drżących plecach. – Spokojnie. Nie płacz...

– Och! Leo, wiem, że się uda, też to czuję, ale nie o to... – I znów kolejny szloch.

Boże! Po co ją tu wziąłem! – plułem sobie w brodę. Gdybym tylko wiedział wcześniej, jak to się skończy. Nie spodziewałem się aż tak rozpaczliwej reakcji.

– Chodź, zabieram cię stąd. – Podniosłem się.

– Nie pożegnałam się z twoim tatą – wychlipała.

– Spokojnie. Jeszcze będziesz miała okazję.

– Okej. Już się zbieram.

Bez problemów udało nam się dotrzeć do samochodu. Na szczęście znów zaczęło lać jak z cebra, wszyscy schronili się pod parasolami, więc nikt nie zwrócił uwagi ani na mnie, ani na moją zapłakaną towarzyszkę. Włączyłem silnik i ustawiłem ogrzewanie. Anna ciągle jeszcze dygotała. Uspokoila się

dopiero po kilku minutach.

– Przepraszam. Zamiast pomóc, sprawiłam ci tylko kłopot – wyjąkała.

– Nie sprawiłaś mi kłopotu. Dziękuję, że byłaś tu ze mną. Naprawdę. Zobacysz, wszystko będzie dobrze – pocieszałam ją.

– Uhm... Przepraszam, Leo. Boże, co za idiotka ze mnie – westchnęła.

– Nie jesteś idiotką. Nigdy tak o sobie nie myśl.

– Jestem. Cierpię na fantomowe bóle mózgu, nieuleczalne na dodatek. Zaśmiałam się pod nosem. Anna chyba nie była w nastroju do dyskusji.

– Odwiozę cię do domu. A może chcesz coś zjeść? – Zerknąłem na nią.

– Dziękuję. Nie jestem głodna. Zjadłam obiad przed wyjazdem, poza tym szczerze mówiąc, wolałabym dzisiaj nikomu się nie pokazywać.

– Jasne.

– Ale może ty...

– Nie. Też jakoś nie mam ochoty.

Ruszyłem z parkingu. Gdy jechaliśmy do szpitala, na ulicach było jeszcze względnie pusto, ale teraz Londyn kompletnie się zakorkował. No cóż: godziny szczytu, centrum miasta – to raczej nic zaskakującego. Bębniłem palcami o kierownicę, jechaliśmy pięć metrów, a później staliśmy pięć minut, i tak w kółko.

– Leo...

– Tak?

– Puść muzykę.

Włączyłem odtwarzacz.

Rzuciłem okiem na Annę: siedziała skulona, jakby ciągle było jej zimno, choć w samochodzie bardzo się nagrzało. Znów się zatrzymaliśmy, tym razem na światłach. Na szczęście ostatnich przed zjazdem na obwodnicę.

– Okryj się. – Sięgnąłem na tylne siedzenie po marynarkę.

– Dziękuję. – Posłusznie się opatulila. – Może się zdrzemnę.

– Opuszczę ci oparcie.

Popatrzyłem na nią po kilku minutach, chyba zasnęła. Trudno było dostrzec, bo zakryła twarz kołnierzem.

Czułem się lepiej, trochę mi ulżyło. Choć nic jeszcze nie drgnęło, nie rozpoczęliśmy poszukiwań, ale nadzieja była. Postawa Ruby bardzo mnie zdopingowała. Wierzyłem w nią, widziałem, że stara się nie poddawać. Będzie dobrze... – powtarzałem w myślach jak mantrę.

Przyjechaliśmy na miejsce. Anna obudziła się, ledwie zgasilem silnik.

- Wyspałaś się? – Martwiłem się o nią.
- Nie spałam.
- Nie?
- Tak tylko... rozmyślałam.
- Rozumiem.
- Leo...
- Tak?
- Kiedy Dalila się ze mną skontaktuje? Chciałabym się przygotować do tego rysunku.
- Jutro ma do ciebie dzwonić, mówiłem ci wczoraj.
- Aha. – Anna pokiwała głową. – No tak, zapomniałam. To... już wszystko wiem.
- Odpięła pasy.
- Poczekaj, odprowadzę cię.
- Nie. Nie trzeba, naprawdę. – Otworzyła drzwi. Nagle zaczęło to wyglądać, jakby chciała uciec ode mnie jak najszybciej.
- Dziękuję jeszcze raz za wszystko.
- To ja dziękuję, że pozwoliłeś mi w tym uczestniczyć.
- Uniosłem brwi. Nie wiem, czy akurat dla niej ta wizyta była dobra, zważywszy na to, do jakiego stanu ją doprowadziła.
- Zdzwonimy się? – spytałem.
- Jasne. Jak tylko coś będziemy miały z Dalilą, dam ci znać.
- Okej.
- To trzymaj się...
- Do zobaczenia.

Ruch był nie do zniesienia, nawet tu, na obrzeżach. Stałem na końcu Hamprough Road, próbując wyjechać na główną, ale bez skutku.

– *Leo!* – nagle to usłyszałem. – *Wróć się. Proszę. Zapomniałam ci coś oddać.*

– Znów ten cholerny pierścionek! – Zakląłem pod nosem.

Sięgnąłem po telefon. Zamierzałem zadzwonić, powiedzieć, że przy okazji, żeby na razie go schowała, ale po chwili namysłu uznałem, że to chyba niezbyt dobre rozwiązanie. Widziałem reakcję Anny, gdy zakładała pierścionek przed szpitalem. Trudno było nie zauważyć jej konsternacji i drżących ze

zdenerwowania rąk. Wolałem mieć to z głowy.

Zerknąłem do lusterka, na szczęście nikogo za mną nie było. Włączyłem wsteczny i powoli cofałem. Samochody ustawione szczelnie po obu stronach nie ułatwiały zadania. I ten przekłęty deszcz! Pokonanie czterystu metrów zajęło mi prawie minutę. Nikt nie zdążył zająć mojego miejsca przed domem Anny, zatrzymałem samochód.

Wysiadłem i kilkoma susami pokonałem drogę do drzwi. Chyba czekała, bo otworzyła, ledwie się do nich zbliżyłem. Wszedłem do środka.

– Proszę. – Anna podała mi pierścionek.

Szybko włożyłem go do portfela.

– Przepraszam – westchnąłem. – Nie myślę dziś trzeźwo.

– Nic się nie stało. – Przełknęła ślinę, jakby coś ścisnęła ją za gardło.

– Na pewno wszystko w porządku? – Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że coś jest nie tak.

– Uhm. – Spuściła wzrok. Stała oparta o ścianę z głową zwieszoną na piersi.

– Popatrz na mnie. – Chwyciłem ją za ramiona. Zero reakcji, no może oprócz łez, które znów pojawiły się na policzkach. – Popatrz na mnie! – powtórzyłem, tym razem bardziej stanowczo.

Podniosła oczy.

– Powiedz mi. Przecież widzę, że coś się stało! – Zaczynałem się niepokoić. To nie było normalne zachowanie.

Znów westchnęła i nagle po prostu objęła mnie rękami w pasie i przytuliła się jak kiedyś, ze schyloną głową spoczywającą na moim torsie. Teraz to ja przełknęłam ślinę. Wszystkiego mogłem się spodziewać po dzisiejszym dniu, przygotowałem się chyba na każdą ewentualność, ale nie na coś takiego, co właśnie miało miejsce.

– *Leo... To takie pokrętne i kompletnie głupie, ale powiem ci. Zapomniałaś o pierścionku i gdy odjechałaś odniosłam wrażenie, że to jakiś znak. Zawołałam cię, żebyś po niego wrócił, ale pomyślałam, że jeśli mnie nie posłuchasz, to znaczy, że chcesz, żebym go miała i że kiedyś znów będziemy razem...*

Zamarłem. Czuję, jak serce mi się zatrzymuje.

– *A ty wróciłaś i to tak bardzo mnie zabolowało. Wiem. Jestem głupia...*

W końcu udało mi się wziąć kilka głębokich wdechów, chyba pierwszych od chwili, gdy otoczyły mnie szczupłe ramiona Anny.

- Kiedy Julia tu będzie?
- Nie wiem, pewnie niedługo – wymamrotała w klapę marynarki.
- W porządku. Jedziemy do mnie.
- Po co?
- Chyba masz mi coś do powiedzenia?
- Chyba tak...

* * *

Czułam się jak małe dziecko, gdy Leo założył mi kurtkę, zabrał moje klucze i torebkę, trzymając za rękaw, wyprowadził z domu i posadził w samochodzie. Nawet zapiął mi pasy i zamknął drzwi od mojej strony. W kompletnej ciszy przyjechaliśmy na jego osiedle. Nie włączył muzyki, a ja nie miałam śmiałości o to poprosić.

W milczeniu pokonaliśmy drogę z parkingu pod drzwi apartamentu. Leo wprowadził mnie do środka. Zdjęłam kurtkę, a on zabrał ją i razem z torebką rzucił na szafkę. Nigdy tak się nie zachowywał. Nawet nie zdjął marynarki, zupełnie jakbyśmy byli u kogoś z wizytą.

- Zapraszam – pokierował mnie do salonu, a sam zniknął w kuchni.

Usiadłam na sofie. Tak dawno nie byłam w tym mieszkaniu, prawie trzy miesiące. Miałam wrażenie, że jest tu jeszcze bardziej sterylnie i obco niż zazwyczaj. Nawet małe poduszki, które tu zawsze leżały, gdzieś zniknęły. Pomyślałam, że pójdę do holu i zabiorę kurtkę, cała się trzęsłam, ale gdy miałam wstać, usłyszałam stukot butów na marmurowej posadzce.

- Napijesz się? – Leo postawił na stoliku dwie szklanki i odkręconą butelkę wody Perrier, która natychmiast pokryła się leciutką mgiełką.

- Proszę.

Marzyłam o czymś, co pozwoliłoby mi nieco się rozluźnić albo zająć ręce. Kieliszek wina? Kubek gorącej herbaty? Cokolwiek, ale nie szklanka lodowatej wody.

- Zimno ci? – spytał. Chyba zauważył, że zatrzęsłam się, gdy tylko upiłam mały łyk.

- Tak. Troszkę.

Leo znów gdzieś wyszedł, liczyłam w skrytości ducha, że przyniesie mi koc, pod którym się schronię, ale nie. Wrócił z pustymi rękami. Usiadł naprzeciw na wielkim skórzanym fotelu.

– Zaraz zrobi się cieplej, podkręciłem ogrzewanie – wyjaśnił.

– Dziękuję.

Nie ułatwiał mi niczego. Nawet tym, jaką pozę przyjął: szeroko rozstawione nogi (ciągle w czarnych, błyszczących oksfordach), łokcie na kolanach, broda wsparta na splecionych palcach.

– Słucham – rzucił, gdy tylko odstawiłam pustą szklankę.

Nie byłam w stanie wydusić z siebie ani słowa. Zakryłam twarz rękami. Przesłuchanie? Tak to miało wyglądać? Powoli opuściłam głowę na kolana. Dlaczego tak się zachowywał? Może przez to, że tyle razy go odtrącałam, gdy to on chciał ze mną porozmawiać. Uwierzył w moje słowa. Zostawił mnie w spokoju, jak sobie tego życzyłam. Marzyłam o tym, żeby podszedł tu i po prostu mnie przytulił, ale to nie nastąpiło. Ciągle tam siedział, czekając na pierwszy krok, i to ja musiałam go zrobić.

– *Czy mógłbyś dać mi kartkę papieru, coś do pisania i swoją marynarkę?*

– zdecydowałam się podnieść rękawicę, bo czyż miałam inne wyjście? Słyszałam, że Leo wstał i gdzieś poszedł. Po niezbyt długiej chwili wrócił. Jakiś przedmiot stuknął lekko o blat.

– Proszę, wszystko jest na stoliku – poinformował mnie sucho.

– *Możesz zostawić mnie samą? Gdy skończę, dam ci znać.*

Wyszedł, od razu podniosłam głowę. Nie zapomniał o niczym: śmieszny żółty długopis z logo McDonald's, kartka wyrwana z jakiegoś notesu i ciemna wełniana marynarka, którą jeszcze przed chwilą Leo miał na sobie. Założyłam ją, a później zsunęłam się z sofy na dywan. Wtuliłam nos w podniesiony kołnierz i od razu poczułam się lepiej. Znów otoczył mnie ten dziwny, choć teraz już znajomy zapach i kojące ciepło bijące od tkaniny, jak wtedy, gdy wracaliśmy ze szpitala.

Przysunęłam kartkę. Przez chwilę myślałam, co napisać, ale gdy dwa pierwsze słowa pojawiły się przede mną, reszta jakimś tajemnym sposobem dopisała się sama. To było parę szybko skreślonych linijek. Złożyłam karteczkę na czworo i zostawiłam na blacie bez czytania, bez sprawdzania, czy gdzieś nie wkradł się błąd. Nie zamierzałam pozwolić rozumowi, aby poprawiał moje serce. To ono miało rację.

Otulona marynarką wyszłam na balkon. Materiał lekko gryzł skórę na policzkach i szyi. Opanowało mnie dziwne uczucie, coś bliskiego euforii. Oparłam się o balustradę.

– *Już...*

* * *

*Kocham Cię.
Nic ani nikt tego nie zmieni.
Tak będzie zawsze, bez względu na wszystko.
Tęskniłam za Tobą.
Teraz też tęsknię, choć jesteś tuż obok.
Tęsknię za Twoim dotykiem, zapachem, za smakiem pocałunków, za
pragnieniem, które tyle razy widziałam w Twoich oczach.
Gdy Ciebie nie ma, nie ma też mnie.
Jesteś moim sercem. Miłość połączyła nas na zawsze.
Teraz to zrozumiałam, żałuję, że tak późno.
Nie będę przepraszać i o nic nie proszę.
Chciałam tylko, żebyś to wiedział.*

Już nic się nie liczyło oprócz tego, co widziałem przed sobą. Tylko te słowa napisane na błękitnym świstku z poszarpanymi brzegami i nic więcej. Gdyby ktoś mnie spytał, kto napisał ten list – mógłbym powiedzieć, że to ja jestem autorem.

Odwróciłem głowę. Anna stała tam, czekając na moją decyzję.
Odłożyłem kartkę.
– Chodź ze mną. – Stałem za jej plecami.
Podała mi dłoń...

* * *

Weszliśmy do sypialni. Leo podszedł do okna. Rolety opadły na dół z cichym szumem. Najmniejszy promień światła nie przenikał przez szyby. Leo odwrócił się i przez moment patrzył na mnie z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

– Zamknij drzwi – polecił.
Zawahałam się, ale spełniłam jego prośbę. Kompletna czerń zalała pokój. Równie dobrze mogłam zamknąć oczy.
– Dlaczego tak ciemno? – wyszeptałam, prawie nie słysząc samej siebie.
– Tak jest dobrze.

- Chcę cię widzieć.
- Dlaczego? – spytał po dłuższej chwili.
- Bo cię kocham, bo się stęskniłam za twoim widokiem, bo...
- Później mnie zobaczysz – przerwał mi.

Podszedł i delikatnie zdjął marynarkę z moich ramion, opadła na dywan z cichym szelestem. Jego dłonie błędziły po szyi, palce przesuwały się między kosmykami moich włosów. Był tak blisko, ale ciągle jeszcze mnie nie pocałował, tylko jego ręce powoli wędrowały po moim ciele. Rozpiął guziki sweterka, zsunął ramiączka koszulki, ale jego usta nawet na sekundę nie zetknęły się z moimi. I dopiero, gdy stałam całkiem naga i drżąca z pożądania, poczułam ciepłe, wilgotne wargi delikatnie stykające się z moimi.

- Kocham cię – wyszeptał po krótkim pocałunku.

Teraz słyszałam, jak on zdejmuje rzeczy: stłumiony odgłos zrzucanych butów, szcęk metalowej klamerki paska, szmer ściąganych pospiesznie spodni. Trwało to może kilkanaście sekund, ale dłużyło się jak godziny, gdy stałam, czekając na dotyk Leo. W końcu chwycił mnie za rękę i lekko pociągnął za sobą. Materac ugiął się pod ciężarem naszych ciał...

* * *

Usiadłem na brzegu łóżka. Czułem dłoń Anny lekko prześlizgującą się po plecach.

- Wiesz, że jesteś jakiś inny?
- To znaczy?
- Inaczej pachniesz? Twoja skóra jest inna w dotyku? Sama nie wiem. Może przez to, że cię nie widzę.
- Nadal chcesz mnie zobaczyć? – spytałem.
- Tak.

Sięgnąłem po omacku do lampki stojącej gdzieś obok, na szafce nocnej. Błysk światła oślepił mnie na moment.

- To na zawsze? – wyszeptała Anna z za moich pleców.
 - Nie. Charakteryzacja.
 - Obróć się.
- Jej oczy wędrowały po moim ciele.
- Jakie to piękne.
 - Naprawdę ci się podoba? – Byłem zaskoczony.

Moje ciało pokrywał tatuaż: rozpościerał się od karku, poprzez cały tors i ręce aż do nadgarstków. Był tak intensywny, że przebijał spod każdej koszuli, dlatego od paru dni byłem zmuszony nosić wyłącznie golfy w ciemnym kolorze.

– Tak. Bardzo. Po co to puste miejsce? – Delikatnie powiodła palcami od mojej szyi do podbrzusza.

– Tak wygląda klasyczne irezumi, czyli odmiana japońskiego tatuażu. Członkowie yakuzy w ten sposób oznaczają swoją przynależność do klanu – wyjaśniłem. – A pas czystej skóry jest po to, żeby tatuaż nie był widoczny w rozpięciu koszuli.

– Aha. Jak długo będziesz tak wyglądał?

– Jakies dwa, góra trzy tygodnie.

– Szkoda – westchnęła Anna. – Jeszcze nigdy nie widziałam czegoś równie pięknego. Połóż się, chcę dokładnie cię zobaczyć. Plecy też.

Znow się obróciłem.

– Co to za ryby?

– Karpie koi – odpowiedziałem, leżąc na brzuchu z rękami ułożonymi przed głową. Zamknąłem oczy, jeszcze ciągle raziło mnie światło.

– Coś symbolizują?

– Tak. Na ogół oznaczają szczęście i powodzenie. Stara legenda mówi, że karp koi potrafi płynąć w górę Żółtej Rzeki, by stać się smokiem. Koi symbolizuje zdolność osoby do dążenia, aby stać się lepszym, stanowić bardziej wartościową część wszechświata, również ambicję i odwagę, wolność i niezależność, wytrzymałość, silny charakter, a u facetów dodatkowo męskość – referowałem to, co zapamiętałem z przeczytanej niedawno książki o sztuce japońskiego tatuażu i co przekazali mi charakteryzatorzy.

– Pięknie. A to? – Dotknęła ramion.

– Peonie. We wschodniej kulturze to królowe kwiatów. Ludzie, którzy je sobie tatuują, lubią hazard, najczęściej są ryzykantami.

– Uhm. – Czułem jak jej dłoń wędruje po mojej skórze. – Nie masz włosów na rękach...

– Niestety, zgolili je, zanim zaczęli mnie malować.

– Długo?

– Koszmarnie. Jakies pięć godzin łaskotania. Chyba wolałbym już tradycyjną metodę, choć wykonanie takiego tatuażu trwałoby pewnie kilka lat.

– Chciałabym mieć taki.

- Peonie? – zaśmiałem się pod nosem.
- Nie. Ryby. Na plecach.
- To bardzo bolesne.
- Ale piękne.
- Teraz moja kolej.
- Na co?
- Chcę zobaczyć miejsce, gdzie dopiero pojawi się wizerunek koi.

Usiadłem i obróciłem Annę na brzuch. Wiodłem palcami po satynowym ciele. Moja dziewczyna, pozornie krucha i delikatna, potrafiła rzucić na kolana i przygiąć do ziemi, jak nikt inny. I tak samo tylko ona mogła spowodować, że się z ziemi podniosłem.

Znów ćwiczyła, nawet gdyby mi tego nie powiedziała, i tak bym się domyślił. Jej mięśnie napinały się pod skórą, gdy tylko jej dotykałem. Każdy najmniejszy ruch powodował reakcję. Moja dłoń zjechała do lekkiego zagłębienia nad pośladkami... Serce przyspieszyło, znów poczułem falę pożądania. Pragnąłem Anny.

Delikatnie położyłem się na niej. Ciało do ciała, ręce pokryte ciemnymi wzorami na tych zupełnie gładkich i jasnych jak porcelana, moje usta na jej karku prześwitującym przez prawie czarne, błyszczące włosy.

- Chcę cię. Już, teraz... Proszę... – wyszeptała.

Ostatnim obrazem, jaki zobaczyłem, zanim opuściłem powieki, była moja dłoń zamykająca się na tej drobnej ręce o szczupłych palcach.

Rozdział 14

Mój przyjaciel Wróg

Czekałem na Briana. Miał zjawić się za minutę. W zasadzie wskazówki zegarka już pokazywały dwunastą. Przyleciał z Moskwy nad ranem. Zadzwoił do mnie, jeszcze zanim opuścił pokład samolotu. Umówiliśmy się na południe, bo coś miał do załatwienia w City. Chciał się spotkać w knajpie, ale pomysł upadł ze względu na brak prywatności, i ostatecznie zaprosiłem go do siebie.

Dzwonek. Brian był punktualny.

– Witaj, Black. – Wyciągnął rękę.

– Cześć, zapraszam. – Wprowadziłem go do salonu.

– Niezłe mieszkanie. – Brian rozejrzał się z zainteresowaniem.

– Dziękuję. Czego się napijesz?

– Niczego. Dzięki.

Usiadłem naprzeciwko mojego gościa.

– Przejdźmy do rzeczy, nie mamy zbyt wiele czasu. Przygotowałeś wszystko? – spytał.

– Tak. – Podałem mu wypchaną teczkę.

– Przejrzę później. Co ze zdjęciami?

– Już w systemie. Anna wczoraj skończyła rysować. Rebecca od razu przepuściła rysunek przez program do obróbki portretów pamięciowych i dała do sieci.

– Coś drgnęło?

– Niestety, do tej pory nic nie znalazła. Na razie pokażę ci, jak to wygląda. Mam fotki. – Otworzyłem laptopa. – Tu są, przesuwaj strzałkami. – Obróciłem komputer w jego stronę.

– Uhm.

– Symulacje zaczynają się od wieku pięciu lat, później dziesięć, piętnaście, dwadzieścia, trzydzieści, czterdzieści i tak dalej. Wszystko w kilku wariantach fryzury.

– Widzę. – Wpatrywał się z uwagą w monitor. – Ładna dziewczyna.

– Bardzo – zgodziłem się z nim.

Rzeczywiście, córka Dalili była prawdziwą pięknoscią. Bardzo podobna do matki: kruczowłosa, o czarnych oczach osadzonych w ciemnej oprawie rzęs i oliwkowej cerze.

– Zaraz podam ci adres, wyślij mi te zdjęcia najpóźniej dziś wieczorem. – Zamknął laptopa i wyciągnął z kieszeni zwykłą białą kopertę. – W środku jest kartka z adresem mojej skrzynki, druga z numerem telefonu i hasłem. Gdyby zaszła konieczność zdobycia nowych papierów dla tej dziewczyny, człowiek, który odbierze telefon, pomoże ci w tym.

– W porządku. – Włożyłem kopertę do portfela. – Jaki plan?

– Zaczynam u źródła. Jeszcze dzisiaj wylatuję do Bombaju, a stamtąd do Nagpur. To w centralnych Indiach. Zaraz ci pokażę. – Otworzył teczkę. Wyciągnął jedną z map i przez chwilę się przyglądał. – Tutaj, zobacz.

Nachyliłem się nad mapą Azji.

– Ile czasu zajmie ci sprawdzenie całego obszaru?

– Indii?

– Tak.

– Nie mam pojęcia. Tydzień, może dwa? Nigdy nie szukałem żadnego z was w tak zaludnionym kraju. Zresztą do tej pory zajmowałem się tym wyłącznie z nudów, czasem namierzyłem kogoś przez przypadek. Wczoraj spędziłem kilka godzin, penetrując okolice Moskwy. Niestety, żaden Wędrowiec z Eperu nie mieszka w rosyjskiej stolicy, w promieniu stu kilometrów też nikogo nie widziałem.

– Kiedy najłatwiej nas zauważyć? W nocy? – Byłem ciekawy, jak to wygląda w praktyce.

– Hm... – Splótł palce i wyciągnął ręce przed siebie. – W nocy fatalnie, zwłaszcza w mocno zabudowanym terenie. Wszystko świeci: samochody, budynki, latarnie. Z daleka nic nie zauważysz oprócz jednolitej plamy światła. W słoneczny dzień też kicha. Wystarczy bateria na dachu albo okno połaciowe i już można się naciąć. Najlepiej, gdy pogoda jest kiepska i leje, ale raczej na to nie liczę. Monsuny zaczynają się dopiero w maju. – Pokiwał głową. – To wasze Astrum ma średnicę kilku metrów, może pięć? Sześć? To nie grzyb atomowy – zarechotał z własnego żartu. – W Norwegii można was wyłapać jak wszy na łysym karku, w kanadyjskich lasach też, ale Indie to już nie taka łatwa sprawa.

– Rozumiem.

– Szkoda, że nie namierzyłem Jacka. Miałbym skrzydłowego.

– Jacka? – Zaskoczył mnie.

– Tak.

– Po co ci taki parszywy typ?

Już prawie zapomniałem o moim byłym ochroniarzu, który tak gorliwie pomagał Deborze porwać Annę, a najpierw, żeby się do niej zbliżyć, uwiódł jej matkę. Już prawie pół roku szukali go Natasza i Igor: dwójka agentów wynajęta przeze mnie i Krisa. Niestety, bez efektów. Jack zapadł się pod ziemię.

– Może i parszywy typ. – Brian zaśmiał się pod nosem. – Jest w Habbatum nie bez powodu, ale to bardzo wierny i lojalny facet. Od zawsze zakochany w kasie, za pieniądze robi wszystko, no może oprócz narażenia życia i zdrowia. Ten koleś to miliarder, wiedziałeś o tym?

– Nie wierzę. – Pokręciłem głową.

– To uwierz. Myślisz, że bez forsy byłby w stanie tak dobrze się ukrywać? Pewnie siedzi gdzieś na jednej z tych swoich wysepek i używa sobie.

– Czeka, przecież to były komandos.

– Tia... Taki z niego komandos jak ze mnie krawiec. Choć nie, ja pewnie coś bym uszył, tyle że specjalizuję się w kuśnierce na żywych osobnikach. – Brian śmiał się z własnego żartu. – Dorothy mu zapłaciła, i to sporo, za cyrk, który odstawił w zeszłym roku. Zabrał kasę i się ulotnił, gdy zaczęły się kłopoty.

Od razu skojarzyłem, o co mu chodzi. Jack wiedział, że go zdemaskowaliśmy, i w Kanadzie wykorzystał okazję, żeby zniknąć ze sceny.

– Myślisz, że nie jest groźny?

– Gdyby choć w najmniejszym stopniu zagrażał Annie, już dawno bym go unieszkodliwił, tak samo jak Dorothy. – Brian nie żartował.

– Czeka, masz coś z tym wspólnego? – Byłem w szoku. Nie przyszło mi do głowy, że Brian mógł maczać palce w ujęciu Debory.

– Nieważne. Kiedyś pogadamy, a teraz skupmy się na twojej matce. Kris i Iksha muszą mi pomóc – zmienił temat.

– Wiem, mówiłem im. Dotarł SMS z ich zamiarami?

– Tak.

– Wszyscy zaangażowani, a ja... – Machnąłem ręką.

– Daj spokój. Dokumenty na fałszywe dane wszystkiego nie załatwią. Nie mam zamiaru po tygodniu pobytu w Nagpur zobaczyć zdjęć naszych twarzy

w gazecie, zwłaszcza z sugestiami, że Leo Black to ciota. I w tym momencie nie troszczę się bynajmniej o twój wizerunek artystyczny – rzucił z ironią.

Miał rację. Dopiero trzeci dzień siedziałem w Londynie, a już na witrynach plotkarskich ukazała się wzmianka o moim niespodziewanym powrocie. Kwestią dni było odkrycie faktu, że moja matka jest w szpitalu.

– Dobra, spadam. Muszę się przygotować do drogi.

– Brian...

– Tak? – Podniósł się z fotela. – Daruj sobie podziękowania, na razie nic nie działałem.

– Chodzi mi o koszty. Hotele, samoloty i tak dalej.

– Daj spokój – parsknął, biorąc teczkę ze stołu.

Wstałem, żeby go odprowadzić.

– Wystawię ci rachunek, gdy już wrócę z drugą panną Basu. Tylko żebyś się nie zrujnował, łóżka masujące są drogie... – Śmiech Briana odbił się od ścian holu.

– Pożyczę od Krisa, jeśli zabraknie – rzuciłem, patrząc, jak zakłada skórzaną kurtkę.

– Żebyś miał łzej, poproszę naszą piękność, to mnie rozmasuje. Ewentualnie Annę – powiedział do swojego odbicia w lustrze.

– Nie sądzę, żeby się zgodziła, więc daruj sobie – ostrzegłem go.

– Jesteście razem? – domyślił się.

– Tak.

– Świeża sprawa?

– Od wczoraj.

– Gratuluję. To naprawdę świetna dziewczyna. – Popatrzył na mnie i znacząco uniósł brwi.

– Wiem.

Znów staliśmy naprzeciwko siebie, jak wtedy przed willą Anna. I znów miałem ochotę przejść do komunikacji niewerbalnej, czyli po prostu dać Brianowi w mordę. Prowokował mnie i chyba go to bawiło. Czy to kiedyś się skończy? A może będzie trwać jak eksperyment Parnella przez pięć lub więcej naszych kolejnych wcieleń? Zacisnąłem pięści.

– Zazdroszczę ci, ale nie bój się, ona i ja to już zamknięty rozdział historii, która nigdy się nie wydarzyła. Nic nie było i nie będzie między nami – rzucił po chwili Brian.

– Nie było? – zachnąłem się. Wiedziałem, że spędził z nią noc.

– Nie. – Przeczesał włosy dłonią.

– Spałeś z nią! – Chwyciłem go za rękę i szarpnąłem, aż się zatoczył. – Nic to dla ciebie nie znaczyło?!

– Puść. – Popatrzył na mnie.

Przełknąłem ślinę i przywołałem się do porządku. Muszę myśleć o Ruby. Opuściłem dłoń.

– Spałem z nią w jednym łóżku, ale nic poza tym.

– Robisz ze mnie durnia?! – wycodziłem przez ściśnięte z bólu i wściekłości gardło.

– Nie. Mówię ci prawdę.

– Wiem, co... – przerwałem.

Znów przed oczami pojawił się ten obraz: ich pocałunek, Brian niosący Annę do sypialni i jego słowa rano, i zapach, który poznałbym wszędzie: jej ciała, jej włosów, jej oddechu.

– Gówno widziałeś. Posłuchaj! – Teraz on chwycił mnie za ramię. – Gdybyś się nie pojawił i gdybym został z nią jeszcze jakiś czas, pewnie by mi uległa. Już wtedy niewiele brakowało, ale nie o to chodzi! Nie chciałem, żeby mi u l e g a ł a! Chciałem, żeby to mnie kochała, pragnęła! Chciałbyś być na moim miejscu?! Być tym drugim? Facetem o nazwisku Zamiast? Ona nigdy nie przestała cię kochać! – Walnął mnie w pierś, ale nie zwróciłem na to uwagi. – I to nigdy się nie zmieni! Jesteś w jej głowie i sercu, jak wyryty w kamieniu. Chodziłbym do łóżka z nią i z tobą! Rozumiesz?!

Nie reagowałem, więc chyba jednak nie dotarło.

– Tego dnia rano postanowiłem stamtąd wyjechać. – Nagle się uspokoił. – Wstałem wcześniej, Anna jeszcze spała. Zamierzałem się spakować, ale coś mnie pokusiło i wyszedłem na balkon. Gdy cię usłyszałem, to było jak los wygrany na loterii. Chciałem cię sprowokować i zabić. Wiesz za co?! Za to, że tak łatwo odpuściłeś! Że pozwoliłeś, żeby taki gnój jak ja zabrał ci dziewczynę! – Znów mnie uderzył.

Wziąłem głęboki wdech. Walił we mnie na przemian: to pięścią, to pytaniem, a ja z każdym kolejnym uderzeniem coraz bardziej czułem się winny.

– Byłem pewny, że przyjechałeś po nią, a ty powiedziałaś, że chodzi ci tylko o tamto wcielenie i sprawę twojej matki. Odpuściłeś! Powiedz dlaczego?! Wyłumacz mi, do cholery, dlaczego tak ją olałeś?!

– Myślałem, że cię kocha, że postanowiła być z tobą. Chciałem, żeby wreszcie była szczęśliwa. Zanim... – Zawahałem się, czy kontynuować, ale

mimo wszystko zasłużył na prawdę. – Zanim wyjechała z Los Angeles, tęskniła, brakowało jej Ciebie, ciągle myślała, martwiła się, gdzie jesteś. Jak miałem to rozumieć? Gdy się dowiedziałem, że uciekła z tobą i że jesteście razem w Polsce... – Na chwilę znów odebrało mi głos.

– Black, stwierdzam autorytatywnie: jesteś idiotą. O taką kobietę się walczy! Wszystkimi metodami! Wyciągasz oręż, co masz na podorędziu: pistolet, nóż, maczetę i walisz bez litości! Wróć do początku: Norwegia. Wiedziałeś, że Anna mnie pocałowała, że coś się działo między nami. Dlaczego nie pozwoliłeś mi wtedy wrócić do bunkra? Posługiwanie się gnatem to twoja działka, ja nie jestem w tym dobry i Lukas z pewnością odstrzeliłby mi łeb. Miałbyś problem z głową.

– Brian, może i jestem idiotą. Masz rację, popełniłem wiele błędów – pokiwałem głową – ale gdyby to zdarzyło się dzisiaj, postąpiłbym identycznie. Chciałem dać jej wybór, pozwolić na podjęcie decyzji, właśnie dlatego, że coś do Ciebie czuła.

– Chryste. – Chwycił się za czoło. – Pieprzysz jak potłuczony, ale dobra. Niech Ci będzie, że coś do mnie czuła. Jak to sobie wyobrażasz? Ja odpuściłem, ale niech na horyzoncie pojawi się jakiś kolejny facet i znów będziesz czekał, aż ona to przetrawi i wybierze Ciebie? Tak?

– Nie.

– Nie zwątpisz?

– Nie.

– Dlaczego? – Przymrużył oczy.

Przez chwilę myślałem, że pokażę mu list, ale w głowie znów pojawiła się scena z ciemnego pokoju, gdy Brian całował Annę. Jak się wtedy czułem? Jak człowiek z wbitym w plecy nożem, którym ktoś powoli obracał. Ta mała kartka wyrwana z notesu byłaby dla Briana niczym nóż.

– Nigdy w nią nie zwątpię. Masz moje słowo. Musi Ci to wystarczyć – odpowiedziałem w końcu.

– Dobrze. – Pokiwał głową.

– Dzięki.

– Za co?

– Za to, że powiedziałeś mi prawdę.

– Prędzej czy później dowiedziałabyś się od Anny.

– Nie sądzę, dlatego dziękuję.

– Zasiałem się – chrząknął.

– Trochę – zgodziłem się z nim.
– Będziemy w kontakcie. Trzymaj się, Black. – Wyciągnął rękę, którą od razu uściskałem.

– Cześć.

Wyszedł.

Przez chwilę stałem w holu, zastanawiając się, czy nasza rozmowa miała miejsce, czy też mój mózg wyimaginował sobie całą scenę, która rozegrała się przed chwilą. Ulga? Czy to właśnie poczułem? Tak. Do dzisiaj nie mogłem się pogodzić z tym, że Anna i Brian byli razem. Choć starałem się o tym nie myśleć, ta świadomość mnie dręczyła jak zadra w sercu, która na co dzień nie daje o sobie znać, ale czasami ukłuje boleśnie aż do utraty tchu.

Ale teraz Brian wyjął ten cień i wreszcie mogłem oddychać swobodnie...

* * *

– Jaki on śliczny! – rozplęwałam się w zachwycie. Szczerym zachwycie.

Syn Wiki był najśłodszym noworodkiem, jakiego widziałam, choć szczerze mówiąc, skalę porównawczą miałam bardzo zawężoną. To był jedyny bobas, z jakim miałam aż tak bliską styczność. Gdy jeszcze jako nastolatka jeździłam z mamą do naszej rodziny w Polsce, raz trafiłyśmy na uroczystość, w której uczestniczyła cała rodzina. Jedną z kuzynek mojej mamy przyjechała ze swoją synową, która właśnie niedawno urodziła dziecko. Też chłopczyk, ale tak kochany jak James Junior nie był z pewnością.

– Popatrz, jakie ma paluszki. – Wika delikatnie dotykała stópek synka. – Wiesz, co powiedział James? Że są tak mikroskopijne, zwłaszcza te najmniejsze, że gdyby je odgryzł i zjadł, nikt by nie zauważył. Słyszałaś kiedyś coś równie kretyńskiego? – Moja przyjaciółka popatrzyła na mnie ze świętym oburzeniem w oczach.

Parsknęłam śmiechem.

– Przecież żartował – ujęłam się za Jamesem.

– No, ja nie wiem. Czasami tak patrzy na małego, jakby naprawdę miał ochotę go zjeść.

– Ale on jest taki kochany. Wcale mu się nie dziwię – usprawiedliwiłam chłopaka Wiktorii.

Ich syn był koncentratem słodczy: złocisty meszek na główce, niebieskie oczka, no i ten niesamowity zapach: czegoś najmiłszego na ziemi. Znałam tego

młodego człowieka zaledwie kilka godzin i już zakochałam się po uszy.

Maluch cicho zakwilił.

– Pewnie jest głodny.

– Uhm. Znowu. On ciągle jest głodny, jak jego tatuś – zachichotała Wiktoria. Wzięła dziecko na ręce.

– Kiedy wychodzicie do domu?

– Jutro. James ma trzy tygodnie wolnego, będziemy razem. Mama też się zapowiedziała z pomocą, choć nie wiem, czy skorzystam. – Wika karmiła synka, delikatnie się kołysząc. – Mamy zamiar sami sobie poradzić, ale co z tego wyjdzie, zobaczymy. A co u Ruby?

– W porządku. – Przełknęłam ślinę. Oszukiwanie jej nie sprawiało mi przyjemności. Wika dosyć szybko dowiedziała się, że matka Leo jest w szpitalu Royal Marsden. Wy tłumaczyłam jej wtedy, że to nic poważnego, i na szczęście chyba mi uwierzyła. – Ciągle w szpitalu, ale to kwestia dwóch, może trzech tygodni i ją wypiszą.

– Leo wyjechał?

– Jeszcze nie.

– Nie? – Podniosła na mnie zdumiony wzrok. – Już trzeci tydzień siedzi w Londynie. Po co taka długa przerwa?

– Nie wiem. Rickman na razie odwołał zdjęcia. Ponoć wyjechał na urlop.

– Na urlop? W trakcie zdjęć? Ciekawe... – Pokręciła głową.

– No. W sumie dobrze się złożyło, bo mamy troszkę czasu dla siebie i na dodatek może odwiedzać mamę.

– Szczerze? Cieszę się, że znów jesteście razem. Mam nadzieję, że to na zawsze.

– Ja też – wymamrotałam, przełykając ślinę.

Zerknęłam na zegarek. Dochodziła pierwsza po południu. Dwóch minut brakowało do niespodzianki, którą miał być pracodawca Wiktorii, czyli mój narzeczony z wielkim bukietem kwiatów. Zaczęłam nerwowo się kręcić i co kilka sekund spoglądać na drzwi. Wiktoria zauważyła to dziwaczne zachowanie, bo parsknęła śmiechem.

– Synciu, ciocia Anna chyba chce już nas opuścić, bo wierci się, jakby miała kolkę.

– Chwileczkę. Jakie już? Siedzę tu od dziesiątej – przypomniałam jej. – Poza tym widzę, że ziewasz.

– Kiepsko spałam. W nocy karmiłam go tyle razy, że straciłam rachubę.

Czuję się jak chodzący całodobowy wodopój.

– Uhm... Poczekaj, telefon. – Sięgnęłam do torebki. – Zaraz wracam.

Wyszłam z aparatem na korytarz.

– Leo? Co się stało? Gdzie jesteś?

– Zaraz będę pod szpitalem. Zejdź na dół. – Wyraźnie wyczuwałam zdenerwowanie w jego głosie.

– Jasne, pożegnam się tylko z Wiką.

Trzy minuty później wsiadałam do jaguara stojącego przed budynkiem.

– Co się stało? – Zerknęłam z niepokojem na Leo.

– Zaraz ci wytłumaczę. Zapnij pasy, jedziemy do mnie.

Leo manewrował, próbując jak najszybciej wydostać się z zatłoczonego parkingu szpitala Queen Charlotte's & Chelsea. Stara honda stojąca przed nami zatarasowała wyjazd, chyba się zepsuła. Jej właściciel, niski grubasek w granatowym dresie, biegał bezradnie wokół.

– Musimy się wycofać. – Leo włączył wsteczny bieg i tyłem przejechaliśmy przez cały plac. – Ruby się pogorszyło. Próbowali podać drugą chemię, ale ledwie zaczęli, matka dostała zapaści. Serce nie wytrzymało – wyjaśnił, gdy tylko dostaliśmy się na główną drogę przez dodatkowy wyjazd.

– Ale żyje? – Byłam w szoku.

– Tak. Odratowali ją. Sullivan, asystent Duvalla, stwierdził, że już nie będą jej podawać kolejnej chemii. Zostają jedynie środki przeciwzapalne, no i oczywiście przeciwbólowe. – Leo mówił i zerkał na mnie co jakiś czas.

Był bardzo skupiony, prowadził jak szaleniiec. Wyprzedzaliśmy wszystko, co pojawiało się przed nami, kolory mijanych samochodów zmieniały się jak w kalejdoskopie.

– I co teraz? – Przełknęłam ślinę.

– Za dziesięć minut powinniśmy być na miejscu – rzucił. – Przed godziną uprzedziłem Krisa. Wie, co się wydarzyło, ale muszę jeszcze pogadać z Brianem.

Resztę drogi spędziliśmy bez słowa. Nie chciałam rozpraszać Leo, który ze sto razy złamał przepisy. Odetchnęłam z ulgą, gdy już szczęśliwie dotarliśmy na osiedle. Nie znosiłam szybkiej jazdy, mimo że mój kierowca był naprawdę świetny.

Leo postawił laptopa na stoliku i połączył się z przyjaciółmi, którzy już ponad dwa tygodnie gościli w Nagpurze, w największym apartamencie hotelu Radisson Blu.

– Widzisz nas? – spytał.

– Tak. – Kris skinął głową na ekranie.

– Gdzie Dalila?

– Wraca, powinna być tu za jakieś... – Kris zerknął na zegarek – trzy godziny.

– Szkoda, że to był fałszywy alarm – westchnęłam z żalem.

Brian znalazł jednego z nas w niewielkiej wiosce na północy Indii. Oczywiście natychmiast, gdy wrócił do ciała, Dalila poleciała sprawdzić trop. Wędrowcem okazała się starsza kobieta. Niestety, bez osobistej wizyty, czyli podróży samolotem, się nie obyło.

– Szkoda, ale nie martwcie się, zdążymy. – Kris starał się nas pocieszyć.

– Zawołaj Briana, muszę z nim pogadać.

– No właśnie... – Kris ściszył głos. – Wolałbym pogadać z tobą o tym w cztery oczy. Mała, nie gniewaj się, ale chyba nie powinnaś tego słuchać.

– Możesz nas na chwilę zostawić?

– Nie. Proszę, pozwól mi zostać. Chcę wiedzieć, co się z nim dzieje – wymamrotałam przez ściśnięte ze strachu gardło. Czułam wyraźnie, że coś jest nie tak.

– *Leo jeśli mnie wygonisz, i tak będę was podglądać. Proszę, zgódź się.*

– No dobrze – stwierdził po chwili namysłu. Wiedział, że nie ustąpię. – Mów, Anna zostaje.

– Jak chcecie. – Kris wzruszył ramionami. – Co do Briana. Powiedziałem mu o Ruby, gdy tylko wrócił, a ten idiota wypił kawę, skorzystał z toalety i znów poleciał. Zaczynam się martwić. On za mało śpi, praktycznie nie odpoczywa więcej niż cztery, może pięć godzin na dobę. Iksha go masuje za każdym razem, gdy wraca do ciała, ale co z tego? Jego mózg nie ma czasu na regenerację.

Gdy tylko Kris zaczął mówić, aż ścisnął mi się żołądek. Niepokoiliłam się coraz bardziej o upartego blondyna, który nikogo nie słuchał. Chwyciłam Leo za rękę, potrzebowałam wsparcia. Mocny uścisk jego ciepłej dłoni od razu mnie uspokoił.

– Podejrzewam, że chłopak coś bierze. – Nasz rudy kumpel obejrzał się nerwowo za siebie. Wyglądało to, jakby się spodziewał, że zaraz ktoś wpadnie i przetrzepie ich apartament w poszukiwaniu narkotyków.

– Skąd taka sugestia? – Starałam się zachować spokój.

– Dzisiaj rano znalazłem w jego sypialni strzykawkę.

– Po czym? – Leo też był zdenerwowany. Słyszałam to wyraźnie w jego głosie.

– Moim zdaniem amfetamina albo jakaś pochodna. Na amfie można jechać praktycznie bez odpochnięcia, trzy godziny snu wystarczają w zupełności. To nawet nie jest sen, raczej pewnego rodzaju letarg. Człowiek jest pobudzony, energiczny i nie ma apetytu. Brian schudł, ciuchy na nim wiszą.

– Cholera! – Leo bezwiednie ścisnął moją dłoń. – Dlaczego dopiero teraz mi to mówisz?!

– Oszukiwał nas! Twierdził, że idzie spać, a pewnie w tym czasie ciągle latał. Jestem głupi, mogłem wcześniej się zorientować. Na dodatek czasami wybudza się na siłę. Dwa dni temu Iksha usłyszała w nocy, jak Brian krzyczy. Akurat wyszła do toalety i gdy mijala jego sypialnię, coś ją zaniepokoiło. Otworzyła drzwi i zobaczyła go tarzającego się na łóżku. Musiał akurat wtedy wrócić. Żebyśmy go nie słyszeli, tłumiał dźwięk poduszką. Do budzenia używa telefonu komórkowego.

Nie mogłam wydusić z siebie słowa. Wyobraźnia szalała, przed oczami miałam tylko Briana, który najpierw godzinami w samotności przeczesuje Indie, a później wraca do ciała, przeżywając przy tym nieludzki ból.

– Niech to szlag! Kris, mogłeś mu nic nie mówić o stanie Ruby! – Leo był wstrząśnięty chyba jeszcze bardziej niż ja. Nawet nie zwracał na mnie uwagi, puścił moją rękę i nerwowo pocierał skronie.

– Nic by to nie dało. Brian ma w Royal Marsden jakiegoś znajomego, Sullivan czy jakoś tak. Kontaktują się codziennie. Dzisiaj też z nim gadał.

– To asystent Duvalla.

– Wszystko jasne. Młody ma info z pierwszej ręki. – Kris pokiwał głową.

– Jak postępy? Co teraz sprawdzacie? – Leo chyba chciał usłyszeć coś krzepiącego.

– Indie praktycznie przeczesane. Nie wiem, co Brian teraz zamierza. Nie siedzę w jego głowie. Równie dobrze mógł już przelecieć pół Azji. – Kris był wyraźnie poirytowany. – Jeśli nic się nie zmieni, za trzy dni mamy opuszczać to miejsce. Zabukowałem już bilety do Xian.

– Uhm. – Leo pokiwał głową.

– Poczekaj... – Kris nagle się odwrócił. – Chyba ktoś puka, pewnie z kolacją. – Zerknął na zegarek. – Będę kończył, później się zdzwonimy.

– Okej.

– To trzymajcie się.

– Ty też, pozdrów resztę w naszym imieniu. Cześć.

– Cześć.

Leo zamknął klapę laptopa.

Właśnie zaczęłam żałować, że nie posłuchałam Krisa. Mogłam sobie podarować udział w tej rozmowie. Ostatnio niezbyt często Brian gościł w moich myślach. Tak dawno się nie widzieliśmy. Od naszego pożegnania w Zakopanem minęły już prawie trzy miesiące.

Czy wcześniej czułam żal do Briana? Na pewno. Nie o to, że tak okrutnie postąpił z matką Leo w poprzednim wcieleniu, bo przyznał się do winy i obecnym zachowaniem starał się naprawić wyrządzoną krzywdę. Czułam żal, bo oszukał Leo, ukrywając przed nim prawdę. Oszukał również mnie: dobrze wiedział, że Dalila jest wybranką Krisa i nie zamierzał mi o tym powiedzieć, ale właśnie w tym momencie to wszystko przestało się liczyć. Został tylko strach, że coś się wydarzy, a ja nie będę mogła powiedzieć Brianowi, że mu wybaczyłam.

– I co teraz? – spytałam po chwili.

– Nie wiem. Brian ćpa, nie śpi, nie je, niewiele się rusza. To prosta droga do katastrofy. – Leo tak samo jak ja zdawał sobie sprawę, że w taki sposób prowadzone poszukiwania córki Dalili mogą doprowadzić do śmierci mojego przyjaciela. – Nic nie mogę zrobić. Nawet gdybym chciał go teraz przystopować, i tak nie posłucha. Obrał za punkt honoru uratowanie Ruby i nic oprócz upływającego czasu nie powstrzyma go przed dokończeniem misji.

– Boję się, że coś mu się stanie.

– Wiem. – Leo chwycił mnie za rękę. – Nie martw się, na pewno zachował resztki instynktu samozachowawczego, jak każdy człowiek.

– Może sądzi, że się na niego gniewam. Nie chcę, żeby tak myślał – jęknęłam cicho.

– Kochanie, obiecuję, że będziesz mogła mu to powiedzieć, i to wkrótce. – Leo delikatnie przyciągnął mnie do piersi, wtuliłam się w bezpieczne ramiona.

– Pozwoliłbyś mi tam pojechać?

– Ale po co?

– Nie wiem.

– Przecież możesz przekazać mu wszystko myślami. Ale tak, zgadzam się, gdyby zaszła konieczność.

– Naprawdę?

– Tak.

– Nie jesteś zazdrosny.
– Nie. I już nigdy nie będę – stwierdził łagodnym tonem.
– Dlaczego? – Uniosłam twarz i popatrzyłam Leo głęboko w oczy. – Po tym wszystkim, co się wydarzyło?
– Wiem, że mnie kochasz i to wystarczy.
Leo nachylił się, a po chwili jego miękkie, ciepłe wargi dotknęły moich.

– Gdzie się tak wcześnie wybierasz? – Mama stanęła w drzwiach pokoju. – Jest wpół do siódmej.

Spojrzałam na nią. Oho! Postawa wyczekująco-napastliwa, oceniłam w myślach założone ręce, zmarszczkę na czole i podejrzliwie przymrużone oczy.

– Jadę do Leo. Ma do mnie pilną sprawę – odpowiedziałam do własnego odbicia w lustrze.

– A co z pracą? Zdążysz wrócić na dziesiątą?

– E... Jak by ci to powiedzieć. – Chrząknęłam. – Już tam nie pracuję. Od wczoraj.

– Wylali cię? – pisała mama.

– Zwolniłam się. Sama – uspokoiłam moją rodzicielkę.

– Dlaczego?

– O matko... – jęknęłam. – Przecież nie byłaś zadowolona, że tam pracuję, więc o co ci chodzi? – Pokręciłam głową.

– Nie byłam – powtórzyła po mnie mama, siadając na małym krzeselku tuż obok toaletki. Od razu poczułam specyficzny zapach, który rozpoznałabym wszędzie: woń szpitala i mojej zmęczonej mamy po ciężkim, nocnym dyżurze.

– Ale teraz chyba jeszcze bardziej nie jestem zadowolona. Czas płynie, a ty ani się nie uczysz, ani nie pracujesz.

Wywróciłam oczami. Nie uczyć się? Nie pracuję? Od jednego dnia? Rzeczywiście, niebywały problem. Sarkałam w duchu, bo większość moich koleżanek i kolegów po ukończeniu college'u zrobiła sobie *gap year*. Udawali, że pracują, a najczęściej włączyli się po świecie, zdobywając życiowe doświadczenie, jak to nazywali, za ciężko zarobione pieniądze swoich rodziców.

A ja? Przecież od razu zapisałam się do szkoły (choć wyszło, jak wyszło), zdałam egzamin i zdobyłam prawo jazdy, chodziłam na strzelnicę, na treningi

do Klause, codziennie rysowałam, ale widocznie moja mamusia uznała, że się objam, bo od dwudziestu godzin byłam bezrobotna. Martwiła się o wszystko, o Alana oczywiście też. Dzień w dzień ta sama śpiewka: „Uważaj na siebie, kiedy wrócisz, zabrałeś śniadanie?” i tak dalej... Przypomniałam sobie, jak czasami mówiła o mamie Wanda: Matka Julka Frasobliwa, i od razu uśmiechnęłam się pod nosem.

Mama lamentowała nad wszystkim: nad kolką synka Wiktorii, nad kiepską pogodą, podwyżką cen biletów, ale to ja byłam główną przyczyną trosk, a konkretnie mój związek z Leo. Przyznam, że było mi ciut głupio, gdy informowałam mamę, że znów jesteśmy razem. Złożyła dłonie jak do modlitwy i stwierdziła, że uspokoi się dopiero po naszym ślubie, o ile do niego kiedykolwiek dojdzie.

– Połóż się. Jesteś wykończona – odezwałam się pojednawczo. – Poszukam czegoś w przyszłym miesiącu. Obiecuję. Może pójde do McDonalda albo gdzieś na kasę. Mam trochę oszczędności, a darmozjadem nigdy nie byłam i być nie zamierzam. – Uśmiechnęłam się do mamy w przerwie między nakładaniem kolejnych warstw tuszu na rzęsy.

– I tak zawsze postępujesz według własnego widzimisię. – Mama przez chwilę przyglądała się, jak kończę makijaż, w końcu wstała, dała mi całusa w czoło i wyszła, narzekając na wieczne tajemnice.

Nie widziałam potrzeby, aby się jej tłumaczyć z tej decyzji. Co miałam powiedzieć? Że menedżer wykorzystywał mnie jako człowieka do wszystkiego, niestety bez pokrycia w moim uposażeniu? Że darmowy drink albo piwo od rozochoconych klientów nie sprawia mi przyjemności?

Gdybym wypijała chociażby co drugie piwo stawiane w myśl zasady: „I jeden dla pani”, pod koniec zmiany musieliby wynosić mnie z baru. Na dodatek niektórzy ciężko się obrażali, gdy grzecznie odmawiałam.

Z drugiej strony już wiedziałam, że będę za nimi tęsknić. I za kolegami, i za klientami. Niektórzy czasami byli okropnie irytujący, zwłaszcza próbując mnie podrywać, ale i tak przyzwyczaiałam się do nich, do ich upodobań, nawyków, stałych tekstów i ulubionych kanałów w telewizji. Nawet te okropne wrzaski w czasie transmisji meczów, gdy kibicowali swoim drużynom, albo w czasie rozgrywek w rzutki czy bilard, też miały swój urok. No cóż, zawsze mogłam wpaść do Ojca Chrzestnego na duże ciemne, ale na pewno bez Leo. Już widzę ich miny, gdyby zobaczyli mnie w jego towarzystwie. Nawet bez tego twierdzili, że zadzieram nosa i czekam na księcia z bajki.

A co do mojego chłopaka? Gdy powiedziałam mu, co zamierzam, stwierdził, że to moja decyzja, ale musiałabym go nie znać, żeby nie spostrzec, jak bardzo się ucieszył...

* * *

– Będzie dobrze – mamrotałem do siebie, chodząc od okna do drzwi i z powrotem.

Czekałem na Annę, jeszcze minuta i powinna się zjawić. Wczorajszy dzień uznałem za wyjątkowo dobry. Był jak promień słońca, który przedarł się przez wielką czarną chmurę. Zawdzięczałem go głównie Brianowi. To przecież on odnalazł córkę Dalili. Nadzieja na szczęśliwe zakończenie choroby Ruby urosła w moim sercu. Nie mówiłem ojcu, choć bardzo mi to ciążyło, zwłaszcza gdy patrzyłem na jego cierpienie. Musiałem jednak zachować tę wiedzę dla siebie.

Gdybym mógł się zwierzyć, powiedzieć mu, że za kilka dni, już za niecały tydzień Ruby będzie całkowicie zdrowa, od razu zrzuciłbym z siebie ten nieznośny ciężar. Serce pękało, kiedy obserwowałem ojca siedzącego godzinami przy łóżku i trzymającego mamę za rękę. Gdy czasami Ruby budziła się na moment ze swojego morfinowego snu, szeptał, że już nigdy nie będzie słuchał rybackiej prognozy pogody, co zawsze ją irytowało, i że kupi jej wszystkie nowe odmiany róż, jakie tylko pojawią się u hodowców.

Odwracałem wzrok, bo ten widok rozdzierał mi serce i odbierał dech, zupełnie jak myśl o tym bezlitosnym przybyszu, który zagnieździł się w płucach mojej matki. Pocieszające było to, że jeszcze kilka dni i wszystko miało się ułożyć. Na szczęście lekarze dawali Ruby co najmniej dwa tygodnie życia, więc mieliśmy spory margines czasu, ale i tak najchętniej przywiózłbym tu Dalilę choćby dzisiaj.

Udawało mi się zachować względny spokój tylko dlatego, że wiedziałem, iż Ruby nie cierpi. Praktycznie mówiąc – była nieświadoma. Niestety, nie mogłem tego samego powiedzieć o ojcu. Dlatego usilnie go przekonywałem, że będzie dobrze. Powtarzałem to jak mantrę, ale jego wiara słabła z dnia na dzień.

Rozmyślenia przerwał mi odgłos otwieranych drzwi.

– Jestem! – Anna wkroczyła na korytarz. – Pierwszy raz zapamiętałam te wszystkie kody. – Znow uścisnęła mnie mocno, jak wczoraj, gdy

dowiedzieliśmy się od Krisa o sukcesie Briana.

– Jesteś głodna? – spytałem, prowadząc ją do salonu.

– Szczerze mówiąc, tak. Nie zdążyłam... – przerwała, gdy zobaczyła zastawiony stół. – Ojej, sama tyle nie zjem.

– Pomogę ci. Bez obaw.

Szybko zapełniliśmy żołądki, bo czasu nam nie zbywało. Kris w każdej chwili mógł zadzwonić. Od rana czekałem na wiadomości, więc laptop stał otwarty i w pełnej gotowości. Znów zgraliśmy się w czasie, bo ledwie odstawiłem pustą filiżankę po kawie, przyszedł sygnał, że czas rozpocząć kolejną konferencję.

– Mów szybko, co słyhać – ponagliłem, gdy tylko twarz Krisa pokazała się na ekranie.

– Hej, dzieciaki – przywitał się z nami. – Dzisiaj sami pogadamy, bo Brian nadal śpi, a moja pani pojechała do miasta po jakieś ciuchy dla córki. Nieco kompulsywne te zakupy, ale skoro jej pomagają... – Wzruszył ramionami.

– Aha – mruknąłem nieco zawiedziony, bo liczyłem na to, że zamienię parę słów z naszą uzdrowicielką, a Anna z pewnością choć przez chwilę chciała zobaczyć Briana.

– Sam wam o wszystkim opowiem – szybko podjął Kris, gdy zobaczył, że miny mamy niewyraźne. – Najpierw najważniejsze, czyli córka Ikshy. Dziewczyna jest obywatelką Chińskiej Republiki Ludowej, nazywa się Huang Niandi, ma około siedemnastu lat. Mieszka z babką ze strony ojca w... – zerknął do notatnika – Zhangmu. To niewielka miejscowość w Tybecie blisko granicy z Nepalem. Żyją w małym domu, w zasadzie chałupie na skraju miasta. Z tego, co widzieliśmy, bieda goni nędzę, żeby ją zjeść.

– Rozumiem – potaknąłem. – Może powinienem coś notować?

– Nie. Wszystko prześlę ci mejlem.

– W porządku. – Zerknąłem na Annę, siedziała jak na szpilkach. Ona również jak najszybciej chciała się dowiedzieć, co mamy robić. – Mów dalej.

– Przedyskutowaliśmy wszystko z Da... Ikshą – poprawił się.

Starał się, biedak, używać aktualnego imienia ukochanej. My z Anną już dawno się poddaliśmy i oboje zwracaliśmy się do niej wyłącznie starym imieniem, czyli Dalila.

– Ustaliliśmy, że najlepsze będą dokumenty wystawione na takie nazwisko, jakie nosi jedna z jej kuzynek – kontynuował Kris. – Szczęśliwie się złożyło, że od kilku lat mieszka z rodziną pod Colchester, więc ona i mąż pasują

idealnie jako rodzice dziewczyny. Wszystkie informacje, czyli imiona, nazwisko, datę i miejsce urodzenia zaraz wam prześlę.

– Uhm... – mruknąłem. – Jak ona wygląda?

– Jest bardzo podobna do Ikshy. Z rysów twarzy i budowy ciała nie przypomina przeciętnej Chinki, więc nie powinno być kłopotu.

– A jeśli nie zgodzi się z wami pojechać? – spytała trzeźwo Anna.

Przecież to było prawdopodobne. Zdziwiłem się, że wcześniej o tym nie pomyśleliśmy. Mogła być bardzo przywiązana do babki, poza tym wszystko było możliwe: również to, że dziewczyna nie pozna Dalili. Minęło przecież tyle lat, a ona jeszcze nie osiągnęła wieku dorosłego Wędrowca, więc i pamięć o poprzednich wcieleniach jeszcze w niej nie odżyła.

– Może tak być, ale to mało prawdopodobne. – Kris wzruszył ramionami. – Trochę tam posiedzieliśmy i zaobserwowaliśmy parę niepokojących sytuacji. Przede wszystkim ta panienska nigdy się nie odezwała w domu ani poza nim. Milczy jak grób, nawet nie próbuje otworzyć ust. Podejrzewamy, że po prostu jest głuchoniema. Reaguje, kiedy babka ją zawoła, ale wołaniu zawsze towarzyszy uderzenie laską w podłogę. Dziewczyna jest bardzo szczupła, rzekłbym, że zagłodzona, choć to do przewidzenia. Nie przelewa się w tym domu, już wspominałem. Pracuje w restauracji, a raczej w podłym barze w centrum miasta. Naszym zdaniem nie płacą jej, a zamiast pieniędzy dostaje resztki jedzenia i to w zasadzie chyba jedyne źródło utrzymania jej i babki. Ta z kolei nie wychodzi z domu, mimo że nie wygląda na bardzo starą. Niestety – nagle Kris ściszył głos – byłem mimowolnym świadkiem przemocy. Widziałem, jak babka zbiła dziewczynę laską, a to dlatego, że mała zasnęła przy stole i niechcący wylała jakiś napój, prawdopodobnie alkohol. Ukochana babunia często sprawia wrażenie bycia w stanie nieważkości – podsumował z ironią. – W tym ich małym domostwie niepodzielnie panują brud, robactwo i inne atrakcje, na przykład w postaci gigantycznego grzyba w głównej izbie. Mała stara się tam sprzątać, ale wiele nie ma do powiedzenia, a babka nawet potrafi załatwić się pod siebie, gdy jest pijana. Zastanawialiśmy się z Ikshą, skąd się bierze niechęć babki do wnuczki, i uznaliśmy, że to dlatego, iż mała nie przypomina z wyglądu Chinki. Pewnie stara sądzi, że to nie dziecko jej syna, i dlatego tak źle ją traktuje i robi jej na złość.

– O matko – jęknęła Anna, przytulając się do mnie.

Ja też bezwiednie zacisnąłem szczęki. Nikt nie zasługiwał na takie życie.

– A gdzie są jej biologiczni rodzice? Ma jakieś rodzeństwo? – dopytywała

Anna.

– Już dawno nie żyją, a ona jest sama. Możliwe, że było jakieś rodzeństwo, bo Rebecca trafiła na ślad po chłopcu, ale chyba zmarł krótko po narodzinach. Ojciec zginął w więzieniu. Polityczna sprawa. Matka chorowała i zmarła, gdy Niandi poszła do szkoły, której zresztą nie skończyła, bo musiała zacząć pracować.

– Trzeba ją stamtąd jak najszybciej zabrać – stwierdziłem.

– Wiem. Mam potwierdzenie, że dokumenty dla niej jutro będą do odbioru.

– Już jutro?! – Byłem w szoku. Znajomy Briana był wyjątkowo skuteczny. – Muszę pomyśleć, jak je do was przesłać... – Zmarszczyłem czoło. – Może Mike by z nimi poleciał? Mam do niego pełne zaufanie.

– Leo, obawiam się, że nic z tego nie będzie. Brian zdecydował, że tylko któryś z nas lub Anna może je odebrać. Ten facet z nikim innym nie będzie gadał. Wie, jak wyglądamy, i nie przekaze papierów nikomu nieupoważnionemu.

– Okej, dokumenty odbiorę ja, ale przywiezie je wam Mike.

– No i tu właśnie jest problem. – Kris podrapał się po zarosniętym podbródku. – Leo... Co byś rzekł na taki pomysł, żeby to Anna tu przyleciała?

– Ale jak? – Nie mogłem zrozumieć, o co mu chodzi. – Po co? – Zerkąłem to na monitor, to na Annę.

– Mam na myśli normalną podróż, nie mentalną – doprecyzował Kris.

Zamarłem, gdy to powiedział. Wiedziałem, że nie będę mógł towarzyszyć Annie, byłem potrzebny tu, na miejscu. Jak wytłumaczyłbym ojcu ten nagły wyjazd? Nie mówiąc o wścibskich reporterach czyhających na prawie każdym większym lotnisku.

– Kris, czy to konieczne? – Przełknąłem ślinę, jeszcze mocniej przytulając mojego Wilczka.

– Nie mamy możliwości kontaktu z tą dziewczyną.

– A może ten system ANBA? – Przypomniałem sobie o wynalazku Thora i Beka. Za wszelką cenę nie chciałem dopuścić do wyjazdu Anny.

– Niestety, jeszcze nie funkcjonuje w języku chińskim ani w hindi. – Kris pokręcił głową.

– Poczekaj! – Pacnąłem się w czoło, jak mogłem o tym zapomnieć!? – Jeśli faktycznie dziewczyna jest głuchoniema, Dalila może natychmiast ją uleczyć! – rzuciłem kolejny argument, tym razem nie do obalenia.

– To nie takie proste. Owszem, Iksha może szybko przywrócić jej słuch, ale

nie myśl, że Niandi od razu będzie reagowała jak człowiek, który zawsze słyszał. Poza tym istnieje ryzyko, chociaż niewielkie, że dziewczyna nie pamięta języka hindi, podobnie jak twarzy Ikshy. Przecież była wtedy małym dzieckiem. Weźmiemy tłumacza, już mamy tu kogoś takiego na oku, ale na miejscu wolelibyśmy skorzystać z pomocy Anny. Tylko ona może powtórzyć i przekazać myślami wszystko, co powie Iksha. Na pewno tak łatwiej zdobędziemy zaufanie tej dziewczyny.

– Pojadę, Leo. Nic mi nie będzie. – Anna najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z powagi sytuacji. Wsunęła się delikatnie z moich ramion i zbliżyła twarz do ekranu. – Kris, możesz na mnie liczyć.

Biłem się z myślami. Gdy pomyślałem, jak niebezpieczna jest ta wycieczka, cierpła mi skóra na grzbiecie. Najpierw wizyta u jakiegoś kryminalisty, bo przecież trefne papiery nie czekały na nas w urzędzie, potem lot do tego dzikiego kraju, a na koniec wizyta w chińskiej mieścinie na końcu świata. Z drugiej strony wiedziałem, że jestem winny Dalili pomoc. Chciałem, żeby tu przyjechała, aby uzdrowić mamę. Najbardziej odpowiadałaby mi taka sekwencja zdarzeń: uleczenie Ruby, a potem wyjazd do Chin i zabranie córki Dalili do Londynu, ale rozumiałem naszą przyjaciółkę. Sam z pewnością również robiłbym wszystko, co w ludzkiej mocy, aby jak najszybciej wyrwać własne dziecko z tego piekła, w którym tkwiło.

– Leo? Jaka decyzja? – Kris chyba uznał, że moja aprobatą dla tego pomysłu też jest potrzebna.

– Zgoda, ale na moich warunkach. Zrozumiałaś? – Zerknąłem na Annę.

– Zrozumiałam – sarknęła pod nosem.

– A co z Julią? Zgodzi się? – spytałem, mając nadzieję, że może matka Anny nie zezwoli jej na taki wyjazd.

– Leo, jestem pełnoletnia. Szczęśliwa nie będzie, ale nie może mi zabronić. Powiem, że lecę odwiedzić Dalilę i Krisa, a przy okazji trochę pozwiedzać.

– Na pewno ci uwierzy – stwierdziłem z ironią.

Patrzyłem na Annę. Jej oczy lśniły z przejęcia, widziałem, że jest gotowa i pełna energii, by stawić czoło temu wyzwaniu. Niestety, jedyne, co czułem ja, to dodatkowy ciężar, który przed chwilą z łoskotem zwałił się na moją głowę...

Rozdział 15

Wyprawa

Byłam jak bohaterka filmu sensacyjnego albo któregoś z odcinków serialu o Jamesie Bondzie, choć zamiast niego u boku miałam Nataszę. Zaczęło się już wczesnym rankiem, jeszcze w Londynie. Pojechałyśmy do tajemniczego znajomego Briana na drugi koniec miasta, a w zasadzie poza jego granice, bo aż do Bexley.

Oczywiście Natasza szła krok w krok za mną, czujna i skupiona jak pantera w trakcie polowania. Asekurowała mnie co najmniej jak prezydenta Stanów albo bardzo ważnego celebrytę. Nie miałam zbyt wiele do gadania. Leo powiedział, że nie puści mnie bez ochrony, a Natasza jest najlepsza i koniec.

Nie zamierzałam się z nim kłócić. Jeśli obecność Nataszy u mojego boku miała wpłynąć kojąco na nerwy Leo, niech mu będzie. Dobrze, że po krótkiej inspekcji mieszkania znajomego Briana zostawiła nas samych i wyszła na korytarz.

Człowiek, który miał mi przekazać fałszywe papiery dla córki Dalili, w niczym nie przypominał kogoś, kto mógłby zajmować się taką, bądź co bądź kryminalną, działalnością jak podrabianie dokumentów czy tworzenie nowej tożsamości dla ukrywających się osób.

Drzwi otworzył niski, łysiejący grubasek o pocziwej twarzy, trzymający pod pachą małego kociaka. Przywitał mnie dosyć wylewnie, pytając, co u Briana, i zaproponował mocną poranną kawę. Zupełnie inaczej wyobrażałam sobie takiego kogoś. Pewnie dlatego zgodziłam się zostać na moment. Przy niezobowiązującej pogawędce wypiliśmy po filiżance espresso, schrupaliśmy po ciut wyschniętej babeczce, gospodarz (nie przedstawił się) dał mi kopertę, zerknęłam do środka, odwzajemniłam się drugą kopertą – znacznie bardziej wypchaną, pogłaskałam kotka płaczącego się wokół stołu, po czym opuściłam prawie puste mieszkanko.

Prosto stamtąd pojechałyśmy na lotnisko. Heathrow przywitało nas jak zwykle załoczone do granic. Dobrze, że w perspektywie nie miałyśmy

przesiadki. Kris uprzedził, że w środku kwietnia Delhi to prawdziwe piekło, ale i tak jest nieco chłodniej niż w maju, gdy temperatury przeważnie dochodzą do czterdziestu kilku stopni w cieniu. Moja walizka była wyjątkowo skromna, zabrałam parę kompletów letnich ubrań, coś praktycznego na wyjazd do Zhangmu, szkicownik i laptop, za to walizka Nataszy zadziwiała gabarytami. Spytałam Nat, co w niej przewozi, ale mnie zbyła, a po przybyciu na lotnisko okazało się, że nie tylko będziemy wchodzić na pokład samolotu innym wejściem niż reszta pasażerów, ale że będziemy same w przedziale dla VIP-ów.

Na początku czytałam jakąś powieść, niestety nie zapamiętałam ani słowa, chyba nie byłam w stanie się skupić. Natasza też zabrała książkę do samolotu, ale gdy zauważyła, jak marnie mi idzie lektura, odłożyła ją i nawet udało się nam trochę porozmawiać, jak na ironię właśnie o książkach: Krisa i nie tylko.

Oczywiście nie czuła się w obowiązku wyjaśnić, dlaczego tkwiłyśmy we dwie w tym wielkim przedziale, ani też wytłumaczyć braku kontroli osobistej jeszcze na Heathrow. Widocznie miała jakieś znajomości, stąd tak wyjątkowe traktowanie. Starłam się nie myśleć o tym, co się dzieje w Londynie. Nie miałam powodu do zmartwienia, bo Leo, który spędził u Ruby cały poprzedni dzień, twierdził, że mama jest w dobrej formie. Miałam zamiar polecieć i ją zobaczyć, ale poprosił, żebym tego nie robiła. Prawdę mówiąc, niechętnie przystałam na jego prośbę. Uległam dopiero wtedy, gdy powiedział, że to mogłoby mnie kosztować zbyt wiele niepotrzebnych emocji, zwłaszcza gdybym trafiła na jakiś niezbyt sprzyjający moment.

Zjadłyśmy lunch z Nataszą. Znużona długim lotem drzemałam, czasami uchylając powiekę, gdy coś słyszałam: rozmowy kogoś z personelu lub dziwne odgłosy dobiegające spod pokładu. Wydawało mi się, że Nat z kimś rozmawia, a za moment przyśnili mi się Leo i Ruby. Znowu byłam z wizytą u rodziców Leo, by za chwilę przenieść się do naszego londyńskiego domu. Jedliśmy indyka i pudding polany brandy, Dalila krzątała się w kuchni, a Kris siedział tuż obok mamy i co sekundę całował ją w rękę...

– Obudź się. – Głos Nat wyrwał mnie z sennych majaków.

– Już? – Otworzyłam oczy. – Wylądowaliśmy?

– Tak.

– Boże... – jęknęłam, prostując się na fotelu. – Jakie głupoty mi się śniły...

Muszę natychmiast zadzwonić do Leo! – Nagle pacnęłam się w głowę. – Gdzie mój telefon?

– Rozmawiałam z Leo, gdy spałaś. Mam cię pozdrowić. Prosił, żebyś poczekała, aż on sam zadzwoni – odparła Natasza, odpinając moje pasy.

– Naprawdę?

– Naprawdę – burknęła niezbyt uprzejmie.

– Zadzwoniłaś? Wiesz, że nie wolno korzystać z komórek w trakcie lotu? – Postanowiłam trochę utrzyć nosa pannie Bezpieczeństwo Ponad Wszystko.

– Mam radio, a teraz idziemy – odpowiedziała, ciągnąc mnie za rękaw.

Indie nokautowały już na lotnisku. Na szczęście tu było mniej tłoczno niż u nas i od razu mogłam zacząć chłonąć wszystkimi zmysłami inną kulturę. Nie omieszkałam tego zrobić. Jak oczarowana patrzyłam na wystrój głównej hali. Nad punktami informacyjnymi i stanowiskami kasjerów rozpościerała się gigantyczna ściana ozdobiona niezliczoną ilością miedzianych tarcz. Były idealnie okrągłe, wklęsłe i połyskujące, a pomiędzy nimi ktoś osadził gigantycznych rozmiarów rzeźby dłoni.

– To mudry do medytacji – wyjaśniła Natasza, widząc, że stoję z rozdziawioną buzią i przyglądam się tym wielkim dłoniom z niekłamanym zachwytem. – Ta – wskazała na pierwszą od lewej strony – to mudra shuni. Za jej pomocą kształtujesz cierpliwość i dociekliwość, a ta obok to mudra surya albo ravi, leczy depresję, nadwagę, bezsenność i dodaje energii.

– Hm... One czymś się różnią?

– Tak. Shuni to połączone środkowy palec i kciuk, a surya – serdeczny i kciuk.

– Rzeczywiście, teraz widzę – potaknęłam, próbując od razu ułożyć tak samo dłoni.

– Nie masz depresji i nadwagi – stwierdziła Natasza, lekko się uśmiechając. – Na bezsenność też nie cierpisz, przespałaś prawie całą podróż.

– Ale kropla energii by się przydała. – Mrugnęłam porozumiewawczo. – Medytujesz? – spytałam, zaskoczona jej wiedzą.

– Trochę – odpowiedziała lakonicznie, jak zawsze gdy tylko próbowałam wyciągnąć z niej jakieś osobiste informacje. – Moja ulubiona mudra to bhairava. Uspokaja ciało i rozum. – Natasza na moment puściła rączkę walizki, ułożyła swoje dłonie środkami do góry i jak łyżeczki: prawą w lewej. – Powinnam siedzieć i trzymać je oparte na udach – doprecyzowała.

– Ciekawe. – Z podziwem uniosłam brwi. – Musisz mnie nauczyć.

– Okej, ale nie teraz. Już ktoś po nas przyjechał. – Wskazała brodą człowieka w białym mundurze, który zmierzał w naszą stronę, prześlizgując

się zgrabnie między nielicznymi pasażerami.

– Szkoda – jęknęłam, bo najchętniej siadłabym tu ze szkicownikiem i narysowała te wszystkie gigantyczne dłonie. Może to mudra surya tak na mnie podziałała? – pomyślałam, sięgając po walizkę i drepcząc przed popychającą mnie lekko Nataszą.

Kilka minut później siedzieliśmy w wielkiej limuzynie, nawet nie zdążyłam wziąć głębszego oddechu w parnym, gorącym powietrzu Delhi, które uderzyło w nas, ledwie opuściliśmy budynek lotniska. Było bardzo późno, dochodziła północ, a i tak wlekliśmy się w tempie kontuzjowanego żółwia. Otaczały nas sznury samochodów i rowerów, tłumy ludzi przewalały się między nimi jak kolorowa rzeka. Światła reflektorów odbijały się od ich barwnych ubrań. Wyglądało to niesamowicie. Niestety, na moją prośbę o otwarcie okna Natasza burknęła tylko, że chyba jestem niepoważna. Kazała siedzieć spokojnie i odkleić nos od szyby. Była jak ten mityczny cerber: nadzór, kontrola, bezpieczeństwo. Aż się zachnęłam, gdy nagle przyciągnęła mnie do siebie na jednym z przymusowych postojów przed skrzyżowaniem.

– Ten facet wygląda podejrzanie – wymamrotała, wskazując jakiegoś mężczyznę zagląającego przez szybę.

– To zwykły żebrak – po angielsku uspokoił ją nasz dotychczas milczący kierowca.

– Możliwe – zgodziła się z nim, mimo to nadal tkwiłam w jej nadopiekuńczych stalowych ramionach.

– Puść mnie – burknęłam. – Muszę zadzwonić do Krisa, że już dotarliśmy.

– Już dawno dałam mu znać, jeszcze na lotnisku. Przecież wysłał po nas kierowcę – odpowiedziała, luzując nieco swoje objęcia. – Nie przysuwaj się do okna, dobrze?

– Okej.

Żeby ją wkurzyć, wyswobodziłam się z jej ramion, ostentacyjnie wyjęłam telefon i wysłałam mamie SMS, że jestem na miejscu. Ze skwaszoną miną przetrwałam resztę podróży. Najchętniej od razu przekazałabym mentalnie mojemu narzeczonemu, co myślę o tej okropnej Nat, ale jak mogłam mu przeszkadzać i przysparzać trosk? I nie byłam pewna, która godzina jest w Londynie. Zawsze miałam z tym problem: czy dodać, czy też odjąć różnicę czasu. Dopiero po dłuższym namyśle uznałam, że u Leo jest późne popołudnie.

Widok delhijskiego hotelu Oberoi nie poprawił mi humoru. Prezentował się bardzo nijako. Miałam nadzieję, że będzie to jakiś egzotyczny budynek

o ciekawej architekturze, a nie zwykły typowy klocek w biało-popielatym kolorze i oświetlony od dołu zimnym blaskiem halogenów. Na szczęście wnętrza, choć niezbyt egzotyczne, zatarły to fatalne pierwsze wrażenie. Zameldowałyśmy się bardzo szybko i sprawnie, boy zawiódł nas do windy, a później pod drzwi naszego pokoju, a raczej apartamentu z dwiema osobnymi sypialniami i małym salonikiem.

– Zostawiam cię. Idę do Krisa – oświadczyłam Nataszy, ledwie wstawiłam walizkę za próg.

– Okej. Wiesz, który to numer pokoju?

– Wiem – potwierdziłam nieco zdziwiona, że Nat nie zamierza biec za mną i czaić się w korytarzu ani wychylać głowy zza węgła w oczekiwaniu na ewentualnych napastników.

Może uznała, że hotel Oberoi jest bezpieczny lub po prostu była zmęczona. Nie miałam okazji zbyt długo się nad tym zastanawiać, bo apartament numer 55 przylegał do naszego, więc pokonałam dziesięć metrów i już byłam na miejscu. Zapukałam, po chwili otworzyły się drzwi.

– Jesteś! – Kris wciągnął mnie do środka, spontanicznie całując i ściskając.

– Jestem – potaknęłam, gdy już się wyswobodziłam. Dopiero teraz mogłam spokojnie mu się przyjrzeć i od razu wyczułam, że coś jest nie tak, i to bardzo. – Co się dzieje? – spytałam, mając przed oczami jego bladą twarz i rozbiegany wzrok.

– Już ci mówię. – Chrząknął, prowadząc mnie do małego stolika i foteli. – Siadaj – polecił.

Posłusznie zajęłam miejsce. Milczałam, gdy Kris nalał wody do dwóch szklanek i jedną podsunął w moją stronę. Zaraz gdy weszłam, spodziewałam się zobaczyć Dalilę i Briana, ale teraz, po minucie, już wiedziałam, że prawdopodobnie jesteśmy sami w tym eleganckim apartamencie.

– Dalili nie ma. Już pewnie jest w samolocie – mruknął, zerkając na zegarek.

– Słucham? – Wybałuszyłam oczy. – Dokąd poleciała?

– Do Londynu. Zmiana planów – sapnął Kris. – Cholera, chyba to był kiepski pomysł – stwierdził, nagle zrywając się z fotela.

Nie miałam pojęcia, o czym mówi, byłam tak nieprawdopodobnie zaskoczona, że zapomniałam języka w gębie. Domyśliłam się jedynie, że coś złego się dzieje, bo Kris sięgnął do małej lodówki, wyjął z niej butelkę piwa i wrócił do stołu, ciężko opadając na fotel. – To będzie lepsze. Porter –

mruknął wyjaśniająco.

– Aha.

Już wiedziałam, że to woda była tym złym pomysłem, i ciut odetchnęłam, ale tylko ciut, bo ciągle mina Krisa nie zwiastowała niczego dobrego. Na dodatek wyjął z kieszeni dżinsów chusteczkę i otarł czoło. Czułam, jak małe włoski podnoszą się na przedramionach, a ciało pokryło mi się gęsią skórką. Bałam się. Pomyślałam o najgorszym i, niestety, mogłam sobie pogratulować przenikliwości, bo Kris westchnął ciężko:

– Posłuchaj... Ruby nagle się pogorszyło. Leo dzwonił kilka godzin temu. W zasadzie już wczoraj było źle, ale stabilnie. Niestety, dzisiaj od rana... – Zamilkł, spuszczać wzrok na kolana i kiwając głową. – Ruby przeszła poważny kryzys w tym czasie, gdy leciałyście tutaj. Dalila uznała, że nie może czekać ani minuty. Nawet nie zdołałem wyczarterować dla niej jakiegoś samolotu i poleciała rejsowym – dokończył bezradnie.

– Rozumiem – jęknęłam.

Łzy cisnęły się do oczu. Chciałam natychmiast wracać, ale co by to dało? Jedyne, co mogłam zrobić, to cierpliwie czekać na informacje, choć tak naprawdę tylko jedna wiadomość by mnie ucieszyła: że Dalila dotarła do Londynu i zdołała uleczyć Ruby.

– Może zadzwonię do Leo? Muszę go pocieszyć – odezwałam się po chwili.

– Poczekaj, Leo sam zadzwoni, gdy będzie mógł. Wie, że już jesteście z Nataszą bezpieczne i na miejscu. To mu wystarczy. Uwierz.

– Dlaczego nic mi nie powiedział? – Spuściłam głowę, bo nie oczekiwałam odpowiedzi. Leo po prostu nie chciał mnie martwić, to było oczywiste. – Brian pojechał z nią?

– Nie. Brian jest w szpitalu.

– Co?! – Natychmiast podniosłam wzrok na Krisa. – Co? Jak?! – Chwyciłam go za rękę.

– Dzisiaj po południu go zabrali. Wydawało się nam, że po prostu odsypia te wszystkie dni, ale już rano, gdy zajrzałam do jego sypialni, wydał mi się dziwny. Spał tak twardo, że nie usłyszał, jak go budzę. Spróbowałam lekko nim potrząsać, nie reagował. Uznaliśmy z Ikshą, że może jest zbyt zmęczony i dlatego tak mocno śpi. Wymasowała go delikatnie i zostawiła w spokoju.

– Więc? Po co ten szpital?! – ponagliłam Krisa.

– Koło południa znów tam zajrzeliśmy i wtedy już było źle. Brian oddychał tak płytko, że prawie niezauważalnie. Wyraźnie zbladł. Zmierzyłem tętno. Było

zbyt wolne. Godzinę później prawie całkiem ustało. Zgłosiłem się do recepcji, przyjechał ambulans i zabrał go do szpitala.

– Do szpitala?! A oni mają tu w ogóle jakieś dobre szpitale? – Zerwałam się z fotela i zaczęłam krążyć po pokoju. – Co stwierdzili? Byłeś tam? Jedźmy do tego szpitala! – Stałam przed Krisem i zarzuciłam go gradem pytań i pomysłów.

– Spokojnie. Usiądź, tak mu nie pomożemy.

Pociągnął mnie za rękę, po czym sam wstał i znów podszedł do lodówki. Chwilę później postawił przed nami dwie szklanki z czymś, co zdecydowanie było alkoholowym drinkiem.

– Wódka z sokiem – wyjaśnił, gdy zobaczył, jak się krzywię. – Nie martw się o szpital. Na szczęście to bardzo porządna prywatna klinika neurologiczna. Kierownik recepcji mi ją doradził. Byłem tam, ale niewiele się dowiedziałem. Tylko tyle, że Brian zapadł w śpiączkę – dokończył i sięgnął po szklankę, po czym opróżnił jej zawartość duszkiem.

– Boże... – jęknęłam. – Co teraz?

To wszystko nie tylko mnie przerosło. Gdy patrzyłam na Krisa, stwierdzałam, że chyba nigdy jeszcze nie był tak bardzo przejęty jak teraz. Jego zawsze pogodna, roześmiana twarz poszarzała, policzki zapadły się, a oczy zgasły, jak słońce, które zakryła ciemna chmura.

– Musimy zmienić plany. Iksha, gdy tylko dotrze do Londynu, pojedzie do szpitala pomóc Ruby. Później wraca tutaj i trzeba jechać po jej córkę. Przywiozłaś dokumenty? – spytał, choć brzmiało to raczej jak zdanie twierdzące. Może chciał się trochę pokrzepić chociaż jedną pozytywnie załatwioną sprawą.

– Tak. Są u Nataszy, w naszym apartamencie – odpowiedziałam szybko. – A co z Brianem? Leo wie?

– Nie. Co by to dało? Powiem mu, gdy już Iksha uzdrowi Ruby. Taka informacja jeszcze bardziej by go podminowała, a wyrzuty sumienia też mu niepotrzebne. A jeśli chodzi o Briana, jutro tam pojedziemy, zaraz po śniadaniu. Jest pod doskonałą opieką. Uwierz, nie okłamałbym cię.

– Wiem.

Zagryzłam wargi, żeby nie wybuchnąć płaczem, chociaż i tak pojedyncze łzy sączyły się uparcie, a gardło ścisnął lęk o wszystkich: o Ruby, o Briana, Leo, Dalilę i Krisa. Nawet o nieznaną mi córkę Dalili, która gdzieś tam daleko nie wiedziała, że jej matka istnieje i za nią tęskni. Cierpiałam razem z nimi,

przecież każde z nich znaczyło dla mnie tak wiele. Byli jak najukochańsza rodzina i choć nie łączyły nas więzy krwi, nie mogłabym teraz bez nich żyć.

– Idź się położyć. Już po pierwszej. Zostało ci siedem godzin snu.

Posłuchałam go tylko dlatego, że chciałam być nazajutrz przytomna i silna, ale i tak długo leżałam w nocy, nie mogąc zasnąć, patrząc zażawionymi oczami na odsłonięte okna i czekając brzasku i wiadomości od Leo...

* * *

Z każdym kolejnym wcieleniem jest coraz gorzej – stwierdziłem, spacerując od drzwi do okna i z powrotem. Może i nabywałem większej odporności psychicznej, lepiej radziłem sobie z myślą o nieuchronnej stracie rodziny, ale teraz, gdy miałem w zasięgu ręki możliwość odsunięcia w czasie tej straty, nie mogłem się z nią pogodzić. Siedem kroków: dum, dum, dum, dum... Kolejne zerknięcie na zegarek, sześćdziesiąte w ciągu ostatniej minuty? Dlaczego ten cholerny czas tak wolno płynie? Dlaczego? Przeklęty samolot, musiał się spóźnić! Właś-nie dzisiaj!

Przenieśli Ruby na ostatnie piętro: oddział paliatywny pod samym niebem. Tak blisko niektórym było już do niego. Od rana nikt do nas nie zaglądał; ani lekarz, ani pielęgniarki. Poprosiłem, żeby nam nie przeszkadzano. Personel chyba często spotykał się z taką prośbą, bo rzeczywiście pozwolono nam w spokoju spędzić te ostatnie chwile.

Ojciec od godziny nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Siedział bez ruchu, trzymając mamę za rękę. Ile czasu razem jeszcze im zostało? Może kolejna godzina? A może kwadrans? Zatrzymałem się. Sam miałem siebie dość. Kręciłem się bezradnie po sali cały ranek.

Telefon zawibrował...

– Halo?

– Już dojeżdżam! Za trzy minuty powinnam być na miejscu!

W myślach westchnąłem z ulgą: Boże! Chyba się uda!

– Wiesz, która sala?

– Tak!

– Wyjdę po ciebie, będzie szybciej.

– Nie! Lepiej uprzedź go już.

– Okej. – Rozłączyła się.

– Tato. – Podeszedłem do niego. – Tato? – George podniósł głowę. –

Posłuchaj, zaraz tu przyjdzie pewna kobieta.

Zero reakcji, otepliały z bólu i rozpaczy wzrok, i tyle.

– Będziesz musiał stąd wyjść na chwilę. Rozumiesz?

– Nie. Nie opuszczę twojej matki, będę z nią do końca.

– Tato...

– Nie.

Chwyciłem się za głowę. No tak, to było do przewidzenia. Ojciec tkwił przy łóżku już ponad dobę. Nie spał, nie jadł, zupełnie jakby on sam umierał razem ze swoją żoną. Wyszedł tylko dwa razy do toalety. W najgorszym wypadku mogłem po prostu odciągnąć go siłą. Oprócz uzdrowicielki nikt nie mógł dotykać Ruby w trakcie leczenia.

Drzwi otworzyły się z cichym szmerem. Dalila weszła, starając się zachowywać jak najciszej. Wskazała na ojca i popatrzyła pytającym wzrokiem. Pokręciłem głową. George chyba nie zauważył jej wejścia, bo nawet nie drgnął.

Dalila cicho do nas podeszła.

– George? – Położyła rękę na ramieniu ojca.

– Kim jesteś? – spytał, nie patrząc na nią.

– To nieważne. Pomogę Ruby. Pozwól mi na to.

– Nigdzie stąd nie pójdę – wychrypiał po chwili.

– Tato. – Chwyciłem go za ramię, ale zrzucił natychmiast moją rękę.

– Nie – warknął ostrzegawczo. – Nie zostawię Ruby z kimś obcym.

– Leo, poczekaj – westchnęła Dalila. – George, coś ci pokażę. – Podniosła powoli lewy rękaw cienkiego żakietu.

Ojciec tym razem oderwał wzrok od matki i przez moment przyglądał się nadgarstkowi Dalili.

– Mój syn miał takie znamię. Kiedyś, dawno – stwierdził beznamiętnie.

– Wiem. Zaufaj mi. Zostaw nas same. Na chwilkę, na minutę. Proszę.

– Nie.

– To chociaż pozwól mi jej dotknąć, możesz to zrobić?

– Tak, ale nie wyjdę stąd.

– W porządku. – Dalila odetchnęła z ulgą.

– Chodź, tato. – Podniosłem go z krzesła i zaprowadziłem w kąt sali. Staaliśmy przy oknie, ja na trzęsących się ze zdenerwowania nogach i ojciec jak manekin: sztywny, nieruchomy, wyobcowany.

Dalila usiadła na skraju łóżka. Odsunęła kołdrę, rozchyliła brzegi koszuli

nocnej Ruby. Delikatnie oderwała plastry z opatrunkiem przykrywającym miejsce wkłucia centralnego. Ojciec aż się zachwiał, gdy zrzuciła zakrwawioną gazę na podłogę.

– Spokojnie. – Ścisnąłem go za rękę. – Ona wie, co robi.

Dalila uniosła twarz ku górze, zamknęła oczy i przez moment tkwiła tak, że wyglądało to, jakby się modliła, ale zaraz potem przyłożyła dłoń do piersi Ruby.

Wpatrywałem się w ekran wiszący nad wezłowiem łóżka. Od rana tętno Ruby spadało nieubłaganie, moja matka gasła w oczach. Przed paroma minutami ciśnienie krwi osiągnęło tak niskie wartości, że aparat do jego pomiaru pokazał błąd.

Upłynęły trzy minuty. Skupiłem wzrok wyłącznie na wykresie EKG: fale przepływały coraz wolniej i wolniej, a ciszę coraz rzadziej przerywało charakterystyczne piknięcie. Ruby umierała na naszych oczach. Ojciec osunął się na ziemię, jego ciałem wstrząsał szloch. Przestał zwracać na nas uwagę.

– Co się dzieje? Dlaczego? – Szybko doskoczyłem do Dalili. – Nie potrafisz jej uleczyć? Za późno?

– Nie wiem. Mój dar nie działa. Coś wysysa moją energię. Leo, tu chyba jest zbyt dużo chorych ludzi. – Popatrzyła na mnie załzawionymi oczami. – Są wszędzie naokoło nas. Za tą ścianą ktoś też właśnie umiera. – Wskazała brodą na prawą stronę.

– Co robimy? – wykrztusiłem.

– Musimy ją zabrać gdzieś na zewnątrz. To jedyna szansa.

– Na zewnątrz?

– Tak.

Szybko próbowałem wymyślić jakieś rozwiązanie. Zjechać windą na dół? Przebrnąć przez dziesiątki ludzi kręcących się na parterze i parkingu? Po drodze zatrzymaliby nas personel, ochrona i Bóg wie kto jeszcze. Sytuacja była beznadziejna.

Nagle przypomniałem sobie, że w korytarzu klatki schodowej widziałem wyjście na dach. To było jedyne miejsce, gdzie ewentualnie mogłem zanieść Ruby. Kacheksja nowotworowa – jak to nazywał profesor Duvall – spowodowała, że moja zawsze pulchna mama ważyła teraz mniej niż sześćdziesiąt kilogramów.

– Może być dach?

– Oczywiście!

– Co z tym wszystkim? – Spojrzałem bezradnie na Ruby z wpiętą kroplówką, podłączoną do respiratora i z maską doprowadzającą tlen. Jak miałem ją tam zabrać?

– Odepniemy. – Dalila szybko zerwała się na nogi. – I tak to już niepotrzebne.

Błyskawicznie zdjęliśmy całe oprzyrządowanie. Ciągła linia na ekranie i charakterystyczny sygnał – ten widok był wstrząsający. Ojciec nawet nie podniósł głowy, gdy wychodziłem, niosąc Ruby na rękach. Szlochał skulony, pólżąc na podłodze pod oknem.

Przebiegliśmy przez hol między salami, na szczęście nikt nas nie zauważył. Dalila wspięła się jak kot po metalowych szczeblach wystających ze ściany. Zamarłem, gdy bezskutecznie siłowała się z klapą wjazdu, ale w końcu udało się ją otworzyć. Jakby było mało komplikacji, ktoś właśnie szedł po schodach...

– Włóż! – syknęła z góry.

Przerzuciłem bezwładną Ruby przez ramię. Przytrzymałem ją jedną ręką, drugą mogłem chwycić drabinę. Pokonałem osiem szczebli w kilkanaście sekund. Dalila pomogła wyciągnąć Ruby na górę i ułożyć ją na czarnej z brudu blasze pokrywającej dach szpitala Royal Marsden.

– Żyje? – spytałem po chwili.

– Nie wiem, chyba nie. Nie wyczuwam tętna. – Popatrzyła na mnie, przytrzymując palec przy szyi Ruby.

Zakryłem twarz rękami. Nie zdążyliśmy...

– Ale spróbuję, poczekaj – usłyszałem.

Boże! Pozwól jej przeżyć, modliłem się bezgłośnie.

Otworzyłem oczy dopiero, gdy Dalila dotknęła mnie w ramię.

– I co? – przełknąłem ślinę.

– Nie wiem. Chyba... Przykro mi, Leo.

Zamknąłem oczy. Otaczał mnie tylko delikatny szum wiatru i dobiegające z ulicy odgłosy samochodów. Poza tym nic.

Dzwonek telefonu przerwał upiorną ciszę.

– Halo... Nie... Przekażę. Zadzwoń później. Trzymaj się. – Dalila schowała komórkę do kieszeni.

– Kris?

– Tak. – Pokiwała głową. – Prosił, żeby...

– Wiem.

Siedzieliśmy bez ruchu, wpatrując się w ciało mojej matki. Tak bardzo ją kochałem, tak bardzo. Uświadomiłem sobie, że nie usłyszę już nigdy, jak woła do mnie „Leoś”, że nie kupię już jej żadnej nowej sukienki, w której pojedzie razem z ojcem na rozdanie nagród, że nie będzie na moim ślubie. Łzy dusiły mnie w gardle...

Nagle kilka metrów od nas przysiadł jakiś ptaszek, chyba wróbel. Małymi skokami powoli zbliżał się do nas. Przez moment ciekawie się przyglądał. W końcu zatrzymał się tuż obok Ruby. Stał, przekrzywiając małą główkę. Przypomniało mi się, jak mama zawsze dokarmiała ptaki w zimie, gdy jeszcze mieszkaliśmy w Londynie, przy Nelson Road. Może to był jeden z nich, przyleciał się pożegnać.

Nie mogłem już dłużej wytrzymać...

– Płacz, Leo. To pomaga. – Dalila objęła mnie ramionami. Oparłem głowę o jej pierś. Słyszałem bijące serce. Dlaczego nie zdążyliśmy?

– Leo, musimy już iść...

– Wiem, George. – Pokiwałem głową. Siedzieliśmy na dachu już pewnie kwadrans, a ojciec został sam.

– Dasz radę ją znieść czy mam pójść po kogoś?

– Ja to zrobię – wymamrotałem prosto w ramię Dalili.

– Halo? Proszę państwa!

Podniosłem wzrok. Widziałem jak przez mgłę. Jakiś mężczyzna, chyba pracownik ochrony szpitala, wystawił głowę z wjazdu.

– Co państwo tam robią?!

– Leo, co teraz? – Dalila zagryzła wargi.

Zgłupiałem. Ani jedno słowo nie mogło przejść mi przez gardło. Co miałem począć? Jak wytłumaczyć całą sytuację?

– Co tu się dzieje? Dlaczego ta pacjentka tu leży? – Facet zdążył już wyjść na dach i teraz kucnął, nachylając się nad Ruby.

– To moja matka, Ruby Black – wykrztusiłem po sekundzie.

Lekko posiwiały na skroniach ciemnowłosa strażnik chyba właśnie mnie rozpoznał. W jego oczach widziałem tak wielkie zdumienie, że aż się z nich wylewało.

– Czy pan zwariował? Państwo ją tu przynieśliście?

– Tak. – Dalila pokiwała głową.

- Przecież coś się jej stanie! Jest zimno!
- Mama nie żyje – wychrypiałem po chwili.
- Jak to nie żyje? Przecież oddycha!

Błyskawicznie przypadliśmy do Ruby, rzeczywiście klatka piersiowa unosiła się rytmicznie.

– Żyje!!! Moja matka żyje!!! – Skoczyłem na równe nogi. Wrzeszczałem tak, że wszystkie ptaki wzbiły się z okolicznych dachów. – Ruby żyje!!! Uratowana!!! Zdążyliśmy!!! – Chwyciłem w ramiona strażnika i ucałowałem go w oba policzki.

– Przestań, cioto! – Odepchnął mnie z całych sił. – Ty ćpunie, wszyscy jesteście tacy sami: chłacie, ćpacie i sprowadzacie sobie dziwki!!! – Splunął. – Antychrysty! Powinna się pani wstydzić! Taka piękna kobieta z takim łajzą! Tfu...

Zerknąłem na identyfikator. Ochroniarz o imieniu Alonzo i równie oryginalnym nazwisku brzmiącym z latynoska był zielony ze złości. Wybuchnąłem śmiechem, aż się zanosiłem.

– Zaraz wzywam policję! – ryknął, jeszcze mocniej wkurzony moją reakcją.
– Przepraszamy. – Dalila podniosła się z kolan. – Bardzo pana przepraszam, proszę nie wzywać policji. Już schodzimy na dół, za sekundę nas tu nie będzie.
– Uśmiechnęła się jak anioł i pogłaskała nerwusa po rękawie munduru.

– Hm... – chrząknął. – Muszę to zgłosić. To złamanie prawa, naraziliście państwo zdrowie tej kobiety na szwank!

– Naprawdę proszę się nie denerwować. Już schodzimy, jeszcze raz przepraszam za... tego pana. – Obdarzyła go kolejnym czarującym uśmiechem i wdzięcznie zatrzepotała rzęsami.

– Skoro tak pani nalega. – Ochroniarz miękł w oczach.

– Dziękuję, Alonzo... – przeciągnęła słowa. – Możesz nas zostawić? Obiecuję, że za pięć minut Ruby Black z powrotem znajdzie się w łóżku. Okej?

Z wrażenia chyba zapomniał języka w gębie, bo zdobył się jedynie na kiwnięcie głową.

– A tak na marginesie, o której kończysz zmianę? – spytała, przechylając lekko głowę.

To już było przegięcie. Dalila przeszła samą siebie. Zaśmiałem się w kułak, żeby biedny Alonzo mnie nie usłyszał, ale nawet głośny rechot nie byłby w stanie go wzruszyć. Pożerał Dalilę wzrokiem.

– Jestem żonaty – wykrztusił po chwili, mieniając się na twarzy.

– Szkoda... – Tym razem zrobiła smutną minkę. – Rzadko się spotyka w dzisiejszych czasach takich facetów: męskich, z zasadami, prawdziwych twardzieli. Mogę cię o coś prosić?

– Tak! – odpowiedział od razu.

– Nie wiadomo, co może się zdarzyć w przyszłości. Nie chciałabym mieć kłopotów – westchnęła. – Czy możesz zachować dla siebie to wszystko, co tu się wydarzyło?

– Oczywiście, nie paplam bez powodu jak baba. – Znow zerknął na mnie z pogardą.

– Dziękuję. – Wreszcie puściła rękaw munduru.

– To ja już pójdę. I proszę natychmiast odnieść matkę z powrotem na oddział. – Popatrzył na mnie groźnie.

– Oczywiście. – Zasalutowałem.

– Do widzenia.

Odetchnęliśmy z ulgą, gdy tylko zniknął z horyzontu.

– Dziękuję! – Uścisnąłem Dalilę. – Dziękuję!

– Leo, nie ma czasu. Zabierajmy się stąd. Ruby zaraz się obudzi. – Dobrze, że chociaż Dalila zachowała przytomność umysłu.

Teoretycznie rzecz ujmując, zejście powinno być łatwiejsze, ale tym razem zasapałem się okrutnie, zanim zniosłem mamę. Znow mieliśmy niebywałego farta, chyba Bóg nam sprzyjał, bo gdy wszedłem do korytarza między salami, oprócz naszej trójki nikogo w nim nie było.

– Co powiemy ojcu? – Zatrzymałem się przed drzwiami. Ręce drżały mi z wysiłku, ledwie stałem.

– Leo, myślę, że sam to powinieneś załatwić. – Zerknęła na zegarek. – Wybacz, ale za pięć godzin mam samolot, może złapię trochę snu. Pojadę do hotelu, po drodze dam znać Krisowi. Nie mogę tu być dłużej... – Zachwiała się nagle.

Przez te wszystkie emocje nawet nie pomyślałem, że Dalilę kosztowało to wiele wysiłku. A przecież miała za sobą uciążliwą podróż, później uzdrawianie, a właściwie wskrzeszenie Ruby, które z pewnością pochłonęło całą jej energię. Na dodatek otoczenie: dziesiątki chorych osób potrzebujących pomocy, co też osłabiało energetycznie.

– Przepraszam, pewnie ledwie żyjesz.

– Nic się nie dzieje. Zdzwonimy się jutro. – Cmoknęła mnie w policzek. –

Cudownie, że się udało.

– Dziękuję.

– A co z Anną? Przez to całe zamieszanie zapomniałam spytać. – Pacnęła się w czoło.

– Już wkrótce powinny być na miejscu. – Błyskawicznie policzyłem w myśli. – Jak tylko dotrą na lotnisko w Delhi, mają do mnie zadzwonić.

– Powinny, dotrą?

– Tak. Poleciała z nią Natasza. Znajoma Krisa. – Patrzyłem na Dalilę, ale chyba nie mogła skojarzyć, o kim mówię. Szybko dodałem parę informacji, bo moje ręce coraz mocniej drżały z wysiłku.

– A tak, tak, wiem. No, idź już. – Dalila skinęła głową, odwróciła się na pięcie i poszła w stronę windy.

– To na trzy – wymamrotałem. – Raz, dwa... – Pchnąłem drzwi plecami.

– Synku? – Ojciec podniósł oczy. Ciągle siedział pod ścianą, tam, gdzie go zostawiłem. – Gdzie byłeś?

Ułożyłem Ruby na łóżku. Poprawiłem poduszkę pod jej głową i przykryłem mamę kocem. Ciągle jeszcze była nieprzytomna, ale na jej twarzy pojawiły się wyraźne rumieńce, a skóra napięła się i odzyskała blask.

– E... W łazience. Zabrałem mamę do łazienki. – Nic innego nie przyszło mi do głowy. Zresztą chyba jeszcze do mnie nie dotarło, że Ruby żyje.

– Do łazienki? – Pokiwał głową, jakby zabieranie do toalety kogoś, kto właśnie umiera, było czymś najzupełniej normalnym.

– Tato. – Podeszedłem do niego i wyciągnąłem rękę. – Wstań.

Przyprowadziłem ojca do łóżka i usadziłem na tym samym krześle, na którym spędził całe przedpołudnie. Chwyciłem jego rękę i zacisnąłem na dłoni mamy, a później stanąłem tuż obok. Objąłem go ramieniem.

Ruby właśnie się budziła. Kaszlnęła lekko i powoli otworzyła oczy.

– Leoś? Co ty tu robisz? – wystękała. – Miałeś być na zdjęciach. W Tokio.

– Cześć, mamó. – Nachyliłem się i pocałowałem ją w głowę. – Mamy przerwę, przecież ci mówiłem.

– A tak! Ech, ta moja skleroza – sarknęła, klepiąc się w czoło. – Synku, muszę ci coś opowiedzieć, bo zaraz zapomnę. Miałam dziwny sen... – Na sekundę zawiesiła głos. – Śniło mi się, że byłam na dachu. Uwierzysz, Leoś? Przecież ja mam lęk wysokości – zachichotała. – To był dach tego szpitala, ty mnie tam zaniósłeś na plecach. Że też ci na to pozwoliłam... Nie wiem jak, ale udało ci się mnie podnieść. Ktoś tam był z nami: przepiękna dziewczyna,

miała takie długie, czarne włosy, ciemne oczy i tak niesamowicie gęste rzęsy, zupełnie jak arabska księżniczka. Była naprawdę śliczna, jak Jasmina z bajki Disneya. Nachyliła się i głaskała mnie o tu. – Mama wskazała na swoją pierś. – I leżę sobie na tym dachu, jest mi coraz lepiej, ciepło i tak jakoś lekko. Nie wiem, to chyba dotyk jej ręki tak na mnie działał. Niestety, ale w końcu ta dziewczyna przestała mnie masować, wstała i podeszła do ciebie. Usiadłam i patrzę na was, a wy nagle zaczynacie się przytulać! Leoś, naprawdę się zdenerwowałam. Myślę sobie: co to za kobieta? Przecież, łotrze, jesteś zaręczony! Oj! Wkurzyłam się, nie tak cię z ojcem wychowaliśmy! Już miałam cię ustawić do pionu, ale wtedy jakiś facet wylazł na górę, chyba policjant, bo miał mundur. Kucnął koło mnie i pyta, dlaczego ja jestem na dachu! – Ruby zaniósł się śmiechem. – Wyobrażasz sobie?! Policjant włazi na dach i mówi: Co tu się dzieje? Dlaczego ta pacjentka tu leży? – Mama naśladowała gruby głos ochroniarza tak dobrze, że miałem ochotę parsknąć śmiechem. – Chciałam mu odpowiedzieć i nagle sen się skończył! To było naprawdę zabawne.

– Powinnaś pisać scenariusze – ledwie wykrztusiłem przez ściśnięte ze wzruszenia gardło.

Przeniosła wzrok na tatę.

– Dlaczego twój ojciec płacze? – spytała po chwili. – George! Co się stało? Czemu beczysz, jakby ktoś umierał? – Mama wybałuszyła oczy i uniosła lekko głowę.

– Rybeńko... – Ojciec wydusił z siebie tylko jedno słowo, jego ciałem zaczął wstrząsać szloch? Śmiech? Nie miałem pojęcia, co to było.

– Rybeńko? George, ty stary wariacie, ostatni raz tak do mnie powiedziałeś chyba w czterdziestym piątym! – Mama była zszokowana.

– Rybeńko, przecież urodziłaś się dopiero w czterdziestym szóstym... – Ojciec rzucił kompletnie absurdalną w tej sytuacji, choć merytorycznie całkiem słuszną uwagę i wybuchnął niepowstrzymanym śmiechem.

– Wszystko w porządku?

Odwróciliśmy się jak na komendę. W drzwiach stała pielęgniarka i przyglądała się całej naszej trójce. Pierwszy raz w życiu widziałem człowieka z tak wytrzeszczonymi oczami.

– Tak... – Z trudem odzyskałem mowę. – Przepraszam bardzo, zaraz zabieram rodziców do domu.

Uwinęliśmy się w niecałe dwie godziny. Ktoś na moją prośbę przyniósł odpowiednie dokumenty. Ruby sama sporządziła wypis na własne żądanie.

Przełykałem łzy wzruszenia, gdy widziałem mamę pieczołowicie wypełniającą rubryczki. George miał poważne problemy z komunikacją. Gdy się przekonał, że to, co się dzieje, jest prawdą, że to nie cudowny sen, lecz jawa – nie odezwał się ani słowem. Trzymał mamę za rękę albo krawędź koszuli, wodząc za mną zaczerwienionymi oczami. Widziałem w nich tyle szczęścia, że dławilo mnie w gardle.

Reakcja Duvalla na to nagłe ozdrowienie też dostarczyła mi przeżyć. Szybko się dowiedział o tym, że mama wychodzi ze szpitala. On również musiał podpisać zgodę. Przygnał do naszej sali, trzymając w ręku plik dokumentów wypisowych. Złożył je i wepchnął do kieszeni fartucha, podszedł do Ruby, pobieżnie ją zbadał: tętno, ciśnienie, odruchy źreniczne. Widziałem, że zbladł jak trup, gdy skończył osłuchiwać mamę stetoskopem.

– Mogę pana prosić na chwilę? Chcę porozmawiać na zewnątrz – wymamrotał, ciągnąc mnie obcesowo za rękaw.

– Słucham. – Stałem przed nim, zagryzając wargę.

– Panie Black... – zająknął się, zamykając drzwi sali i rozglądając na boki, czy nikt nie podsłuchuje. Na szczęście na korytarzu oprócz nas nie było żywej duszy. – Nie wiem, co powiedzieć? – Znów otarł spocone czoło, jak przed chwilą w sali. – W medycynie nie ma cudów. Jest coś takiego, jak nieprzewidziany przebieg choroby, czy też procesu ozdrowienia, ale w przypadku pana matki... Przecież jeszcze dzisiaj rano ją badałem, wczoraj wieczorem również. Kilka dni temu robiliśmy ostatnie badanie tomograficzne. To niemożliwe. – Popatrzył na mnie, szukając wyjaśnienia w moich oczach.

– Panie profesorze, też jesteśmy zaskoczeni – potaknąłem.

Na niewiele to się zdało. Lekarz kręcił głową. Czuję, jak dłoń, którą ciągle mnie trzymał za rękaw swetra, mocno drży. Liczyłem się z tym, że przypadek Ruby wzbudzi sensację, ale musiałem zrobić wszystko, żeby jak najmniej osób się o tym dowiedziało.

– Panie profesorze, mam gorącą prośbę – zacząłem nieśmiało. – Wie pan doskonale, jak wygląda moja sytuacja zawodowa. Będę zobowiązany, gdy pan zapomni o całej sprawie. Nie ukrywam, że ja i moja rodzina jesteśmy ludźmi mocno wierzącymi i tu upatruję przyczyn tego cudu – skłamałem dosyć gładko. – Oczywiście będzie pan mógł wykorzystać wyniki badań i historię choroby mojej matki, chciałbym jednak, żeby nikt nigdy się nie dowiedział, że chodziło właśnie o nią. Proszę mnie zrozumieć. – Teraz ja spoglądałem na niego z nadzieją. – Dziennikarze nie daliby nam żyć. Staram się chronić bliskich

przed atakami mediów i do tej pory nieźle się udawało. Gdyby to wypłynęło, byłibyśmy skończeni. Dziennikarze zamęcziliby moich rodziców.

– Tak, tak... – wymamrotał pod nosem profesor Duvall.

Nie wiem, gdzie był myślami. Na pewno daleko. Zmarszczył czoło, schylił głowę i przymrużył oczy. Ocknął się po minucie.

– Czy wie pan, jak się czuję? – Podniósł na mnie wzrok. – Jak człowiek, który przed kwadransiem dowiedział się, że wygrał milion funtów na loterii, a teraz ktoś przyszedł i chce mu odebrać szczęśliwy kupon. Gdybym mógł, zatrzymałbym panią Black na oddziale na tydzień. Zrobiłbym wszystkie możliwe badania, choć nie wiem po co, skoro gołym okiem można stwierdzić, że jest zdrowa, jak nie przymierzając pan czy inny młody człowiek.

– Rozumiem – potaknałem.

– Jestem stary... – powiedział. – Dziesiątki, setki, tysiące przypadków, ale takiego... – Machnął ręką. – Dałbym wszystko, żeby móc to nagłośnić. – Musiał zauważyć przerażenie w moich oczach, bo natychmiast poklepał mnie krzepiąco po ramieniu. – Bez obaw. Najważniejszy jest człowiek, nie czyjeś ambicje. Proszę o tym pamiętać.

Z ulgą patrzyłem, jak wyciąga dokumenty, rozprostowuje je i przykłada do drzwi, drugą ręką odnajduje długopis i podpisuje wniosek Ruby.

– Czy to wszystko? – spytałem, trzymając plik papierów.

– Tak – westchnął. – Proszę być ze mną w kontakcie. – Wepchnął mi do ręki wizytówkę, choć miałem już jedną. – Może pan dzwonić o każdej porze dnia i nocy. Gdyby była chęć z państwa strony, z najwyższą przyjemnością wezmę pod prywatną opiekę panią Black. Wizyty domowe jak najbardziej wchodzą w grę. Postaram się tak podzielać w archiwum, żeby ten przypadek stał się całkowicie anonimowy, ale w zamian będę wdzięczny za umożliwienie wykorzystania go w moich pracach naukowych. Oczywiście nigdy nie zdradzę danych osobowych pacjentki.

– Myślę, że to bardzo rozsądna propozycja – zgodziłem się, wyciągając dłoń.

Teraz było już z górki. Ruby się przebrała, szybko spakowaliśmy jej niewielką torbę i przezornie opuściliśmy szpital tylnym wyjściem. Nie pamiętam zbyt wiele z podróży. Rodzice siedzieli z tyłu. Milczeli. Gdy zerkałem na wsteczne lustro, widziałem, że trzymali się za ręce. Ojciec co jakiś czas cicho wzdychał. Mama drzemała oparta o jego ramię.

W domu było podobnie. Żadne z nas nie drążyło tematu. Słowem nie

wspomnieliśmy o wypadkach, które zdarzyły się kilka godzin wcześniej. Ot, zwykłe rozmowy, a raczej pojedyncze zdania o pogodzie, moim filmie i tym podobnych bzdurach, zupełnie jak gdyby mama nigdy nie była chora, a szpital Royal Marsden istniał wyłącznie w jakimś serialu.

Postanowiłem zostać u nich na noc. Nie chciało mi się wracać do pustego apartamentu, poza tym domyśliłem się, że ojciec będzie chciał ze mną porozmawiać na osobności. Co chwilę łapałem go na ukradkowych spojrzaniach w moją stronę. Nie byłem zaskoczony, pewnie układał sobie w głowie jakieś pytania, ja też bym je miał, gdybym doświadczył tego cudu. Ruby zjadła lekką kolację i położyła się spać. Dopiero wtedy tato poprosił mnie do salonu. Usiedliśmy na naszej wielkiej kanapie przy stoliku i dwóch butelkach piwa, ale zanim zdążyłem je otworzyć, George zerwał się nagle i poprosił, żebym chwilę poczekał.

– Co to? – spytałem, widząc, jak ojciec ustawia na środku stolika omszałą butelkę z czymś ciemnym w środku i dwa kryształowe kieliszki.

– Zawsze narzekasz, że nie miałeś okazji skosztować moich wyrobów. – Usiadł przy mnie i wskazał brodą na butelkę. – Otwórz i nalej nam, synu – wychrypiał.

Posłusznie odkorkowałem wino i napełniłem kielichy. Bez zbędnych słów wznieśliśmy toast i wypiliśmy.

– Wspaniałe – oceniłem. – Zostawmy resztę dla mamy – zaproponowałem z uśmiechem.

– Twój rocznik. – Ojciec na sekundę się zadumał. Poprawił kołnierzyk zmiętej koszuli i popatrzył na mnie. – Zachowałem dwie butelki. Jedną na twój ślub, a drugą z okazji narodzin pierwszego wnuka. Mam nadzieję, że się nie obrazisz, bo któraś z tych okazji będzie musiała się obejść bez mojego wina.

– Bez obaw – parsknąłem. – Narodziny wnuka możesz uczcić młodym winem.

– Też racja – zgodził się ze mną. – To jeszcze po kieliszku? Zostanie dla Ruby – uspokoił mnie.

– Skoro tak mówisz. – Zaśmiałem się.

– Chciałbyś... – zawiesił głos – pogadać? O śnie Ruby i o tym wszystkim, co się tam wydarzyło?

– Chyba nie – mruknąłem, biorąc od niego kieliszek z winem.

Szybko go opróżniłem i postawiłem przed sobą. Ojciec poszedł w moje ślady.

– Ja chyba też nie mam ochoty. – Wzruszył ramionami. – Czasami lepiej nie wiedzieć zbyt dużo. – Pokiwał posiwiałą głową.

– Dzięki – odetchnąłem z ulgą.

– Leo, gdy się urodziłeś, dziękowaliśmy Bogu. Byłeś dla nas niespodzianką, bo przecież pogodziliśmy się już z faktem, że nie będziemy z Ruby mieć dzieci. Zawsze myślałem, że coś mi się roi w głowie, gdy uważałem cię za wyjątkowe dziecko... Twoja matka też tak uważała, ale ani ona, ani ja nigdy o tym nie rozmawialiśmy, a ty naprawdę byłeś inny. Miałem rację. Nie jesteś zwykłym człowiekiem, to żadne urojenia, teraz już jestem pewny – powiedział wzruszony. W kącikach jego oczu błyszczały łzy. – Dziękuję Bogu, że jesteś naszym synem.

Nagle objął mnie i mocno przytulił.

– Tato, kocham was – wyszeptałem przez ściśnięte wzruszeniem gardło. – To ja dziękuję, że mogę nim być.

To była niezapomniana chwila, gdy ojciec i ja siedzieliśmy razem: dwójka obejmujących się mocno mężczyźni. Nasze myśli z pewnością skupiały się tylko na jednym: na świadomości, że na piętrze rodzinnego domu, w pastelowej sypialni moich rodziców śpi zdrowa Ruby. Nic więcej nie potrzebowaliśmy do szczęścia.

– Synu, chodźmy spać. Ledwie żyję, ty też nie kładź się zbyt późno – stwierdził ojciec po chwili.

Znów poczułem się jak mały chłopiec, gdy rodzice pilnowali mnie, żebym nie siedział nocami z nosem w książkach albo przy komputerze. – Jasne. Idź, ja jeszcze trochę popracuję. Muszę odpisać na mejle – odparłem, podnosząc się z kanapy.

George poszedł na górę. Odczekałem, aż usłyszę, że skończył korzystać z łazienki i położył się spać. Z laptopem skryłem się w niewielkim gabinecie przylegającym do salonu. Musiałem wreszcie porozmawiać z Anną. Od jej wyjazdu nie zamieniliśmy nawet słowa. Nie było okazji.

Miałem pewne opory, bo w Delhi był środek nocy, ale Anna nalegała, żebym zadzwonił, kiedy tylko będę mógł. Puściłem jej SMS-a i już po chwili mogliśmy się wreszcie zobaczyć, wprawdzie na ekranie komputera, ale lepsze to niż zwykła rozmowa telefoniczna.

– Spałaś? – spytałem, widząc, jak mój kochany Wilczek siedzi w tej swojej śmiesznej koszuli w owieczki i ziewa, a jego krótkie kędziorki sterczą na wszystkie strony. – Wybacz, chyba to kiepski pomysł. Może jutro pogadamy?

– Nie, Leo Już mi przeszło. Nie spałam poprzedniej nocy. – Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się jakoś blado. – Co u Ruby, opowiadaj.

Myślałem, że mi podaruje i że nie będę musiał dokładnie referować całego przebiegu operacji ratowania mojej mamy, ale Anna chyba miała ochotę tego słuchać, bo wyciągnęła ze mnie każdy detal. Uśmiechała się przy co weselszym fragmencie historii, a ja starałem się tak opowiadać, żeby tych wesołych fragmentów było jak najwięcej. Gdy dotarłem do rozmowy między Dalilą a strażnikiem, Anna wreszcie się roześmiała. Mimo to czułem, że coś mi się nie podoba w jej zachowaniu. Czyżby perspektywa wyjazdu po córkę Dalili tak ją stresowała? Gubiłem się w domysłach.

– Leo, nawet nie wiesz, jak się cieszę, że twoja mama jest zdrowa. Gdy Kris powiedział, że Ruby zmarła, a za moment Dalila zadzwoniła i okazało się, że jednak udało się ją uratować, myślałam, że serce wyskoczy mi z piersi. To było okropne... to znaczy, zanim otrzymaliśmy drugą wiadomość. Nie wiem, jak to przeżyłeś. – Anna zagryzła wargi.

– Z trudem – wykrztusiłem, bo faktycznie tych kilka minut stanowiło jeden z najgorszych i najsmutniejszych momentów w moim całym istnieniu.

– Najważniejsze, że się udało. Przytulam cię – uśmiechnęła się i leciutko cmoknęła powietrze. – A jak George? Nie wnikał?

– Nie. Rozmawialiśmy przed niecałą godziną. Chyba w gruncie rzeczy nie chciał znać szczegółów. – Wzruszyłem ramionami. – I dobrze, bo nie wiem, co miałbym mu powiedzieć. Jak wytłumaczyć to cudowne i nagłe ozdrowienie, nie zdradzając prawdy?

– Wyczuł, że coś z tobą nie tak – zaśmiała się cicho.

– Coś się stało? – spytałem, gdy kolejny raz zauważyłem cień smutku przemykający przez ukochaną twarz.

Przez chwilę Anna milczała, aż w końcu rozszlochała się po drugiej stronie ekranu:

– Brian jest w szpitalu. Zapadł w śpiączkę...

Rozdział 16

Córeczka

Ścisnęło mi się serce, a dłonie bezwiednie zwinęły się w pięści. Znowu poczułem się kompletnie bezradny. Ona tam, ja tu – niemogący przytulić jej do piersi i z wyrzutami sumienia, że Brian, ratując Ruby, prawdopodobnie naraził samego siebie na śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Ale co się właściwie stało? – dociekałem, chcąc zrozumieć.

– Brian chyba zbyt długo przebywał poza ciałem. Lekarze nie wiedzą, dlaczego tak jest. Mówią, że umarł, że jego mózg nie pracuje.

– Chryste – wyszeptałem, zakrywając na moment twarz. – Czemu mi nie powiedzieliście wcześniej?! Co teraz? Kiedy to się stało?

– Kris nie chciał dokładać ci problemów. Wiedział, że się przejmiesz. Wczoraj po południu zabrali Briana do kliniki neurologicznej, byliśmy tam dzisiaj z Krisem. To bardzo dobry szpital, prywatny – mówiła Anna przez łzy, ciekące strumykami po jej bladych policzkach. – Kris powiedział, że Brian jest jego siostrzeńcem. Lekarze wszystko mu wytłumaczyli. Brian jest w śpiączce, stwierdzono śmierć pnia mózgu. Bez tych wszystkich maszyn, do których go podpięli, nie mógłby oddychać.

Anna znowu zaniósła się płaczem. Nie miałem pojęcia, co zrobić. Najchętniej pognałbym na łeb na szyję do Londynu, wsiadł w najbliższy samolot i poleciał, choćby z pięcioma przesiadkami, byle jak najszybciej dotrzeć tam na miejsce i ją przytulić, i jakoś pomóc Brianowi.

– Błagam, nie płacz – wyjąkałem. – Zaraz obudzę ojca i powiem mu, że wyjeżdżam. Powinienem dotrzeć do was za jakieś dziesięć godzin. – Postanowiłem wprowadzić w życie swój spontaniczny plan.

– Nie. Musisz zostać w Londynie. Jutro rano, gdy tylko Dalila wróci, wyjeżdżamy do Zhangmu po jej córkę. Kris ma czekać tutaj na miejscu w klinice, w razie gdyby coś się działo z Brianem. I tak nikogo nie zastałbyś w hotelu, bo okazało się, że Nat też jedzie z nami.

– Wiem – potaknąłem. – Nie po to wynająłem Nataszę, żeby siedziała

w hotelu, podczas gdy wy jedziecie w tak niebezpieczne rejony.

– Aha. Jutro Kris się z tobą skontaktuje. Trzeba załatwić dla Briana jakieś dobre miejsce w szpitalu w Londynie i transport. – Anna otarła łzy. Poczuję ulgę. Najgorsza fala rozpaczy już się chyba skończyła.

– Rozumiem. Zrobię, jak mówisz – potaknąłem natychmiast, choć czułem, że to zupełnie wbrew mojej woli. – A Dalila nie mogłaby pomóc Brianowi? – głośno myślałem.

– Niestety, nie. Jej dotyk nie pomaga. Mówiła, że to dusza Briana choruje, a ona nie potrafi jej wyleczyć. Masowała go, jeszcze zanim pojechał do szpitala. Lekarze nie wykryli żadnego urazu, żadnej najmniejszej zmiany w mózgu. Rozkładają ręce i to wszystko. On nie reaguje na nic. Badali go nawet w tym... – zająknęła się – w tomografie, ale nic nie wykazał. Żadnej aktywności.

Anna spuściła wzrok, bo znów jej ciałem zaczął wstrząsać szloch. Może się wstydziła tak jawnie okazywać przede mną swoje uczucia do Briana.

– W Londynie jest mnóstwo świetnych specjalistów, na pewno mu pomogą. Nie martw się na zapas – stwierdziłem. – Jutro pogadam z Krisem. Pamiętaj, on ma znajomości, a Brian jest neurologiem. Na pewno koledzy zajmą się nim znacznie solidniej niż zwykłymi pacjentami. A próbowałaś z nim rozmawiać? Mam na myśli twoje mówienie mentalne – doprecyzowałem.

– Próbowałam. Mówiłam do niego w klinice, trzymałam za rękę, ale on zupełnie nie reagował. Ciągle próbuję, nawet tutaj, w hotelu, przed zaśnięciem. Poleciałam do niego zobaczyć, czy może coś się zmieniło, ale... – zakwiliła żałośnie. – Och, Leo, nie chciałbyś go teraz widzieć. Leży pod tymi wszystkimi aparatami i wygląda, jakby nie żył. Ma taką gładką skórę, jak alabaster, wygląda jak rzeźba, którą ktoś chce ożywić – łkała, a mnie krajało się serce, gdy widziałem jej rozpacz.

– Gdzie Natasza, może ją zawołaj? – zaproponowałem. – Niech pójdzie do recepcji i poprosi o coś uspokajającego dla ciebie. – Przełknąłem ślinę. Gula w gardle rosła z minuty na minutę.

– Już mi dali jakieś lekarstwo w klinice. Dlatego zasnąłam, ale to taki zły sen, same koszmary – jęknęła. – Wolę nie spać wcale.

– Rozumiem. – Wierciłem się na fotelu, nie mogąc znieść tej obezwładniającej bezradności. Czy ten koszmar nigdy nie miał się skończyć? Już przeżyłem swoje, czekając na Dalilę, a teraz to? – Mimo wszystko położy się, kochanie. Może zadzwonię do ciebie. Wezmiesz ze sobą telefon, a ja będę

ci coś opowiadał. Chcesz? – Próbowałem poprawić jej nastrój.

– Jesteś kochany, ale nie trzeba. Wiem, że się martwisz o mnie, choć pewnie sam padasz z nóg. Zaraz mi przejdzie. Przepraszam, że tak się rozkleiłam.

– Zobaczysz, wszystko się ułoży. Musimy jak najszybciej sprowadzić tu Briana, wtedy mu pomożemy. Porozmawiajmy jeszcze chwilę, wcale nie czuję się zmęczony – zaproponowałem, widząc, że nie mogę zostawiać jej samej w takim stanie.

– Natasza jest w porządku, powinnam ją pochwalić. Przyszła do mojej sypialni i śpiemy razem na wielkim małżeńskim wyrku. – Anna zabawnie zmarszczyła czoło. – Nie spodziewałam się tego po niej. Powiedziała, że musi mnie chronić dwadzieścia cztery godziny na dobę, bo za to jej płacisz. Tylko dlaczego śpi jak kamień? Nie zauważyła, że wymknęłam się tutaj, do saloniku.

– Zgadza się, ma być przy tobie całą dobę – odpowiedziałem, odwzajemniając grymas, który miał być nieco bladym uśmiechem. – Śpi z gnatem pod poduszką?

– Nie sprawdzałam. – Anna sięgnęła po jakiś koc i owinęła się nim. Wyglądała teraz jak w kokonie. – Zimno mi, chyba klimatyzacja zbyt mocno działa.

– Może jednak się położysz, a ja zadzwonię na twoją komórkę? Coś ci opowiem, może jakiś monolog? Znam na pamięć kilka ciekawych monodramów. Masz słuchawki?

– Mam. Chcę usłyszeć coś wesołego.

– No to może powiem ci całe *Poskromienie złościcy* z podziałem na role. Może być?

– Czy to jakaś aluzja? – Anna przekrzywiła głowę, jak to często robiła, gdy żartowała ze mną.

– Nie... – Puściłem jej oczko.

– Chyba nie jestem przekonana.

– *Wszystko dobre, co się dobrze kończy* – zaproponowałem kolejną sztukę.

– To znaczy? – spytała, lekko wytrzeszczając oczy.

– Mam cię! – parsknąłem śmiechem. – To tytuł sztuki. Dramat Szekspira, ale mało znany. Graliśmy ją w Bostonie przez dwa sezony. Wyjątkowo się podobała, choć jest dosyć dziwna. Nie wiadomo, czy to dramat, czy raczej komedia. Chcesz posłuchać?

– Jakaś próbka?

– Jesteś bardzo nieufna. *Dzisiaj jest łatwiej sobie wydrapać oko niż trafić*

na dobrą żonę – zacytowałem jedno zdanie, licząc na to, że Anna znów da się nabrać i choć trochę ją rozbawię.

– Leo? Ale o co ci chodzi? – Zmarszczyła czoło. Chyba jednak się domyśliła, że z niej żartuję, bo po sekundzie namysłu pokręciła głową i westchnęła, że zachowuję się okropnie.

– *Kochaj świat cały, lecz ufaj nielicznym, nie krzywdź nikogo, a wrogowi swemu moc swoją okaż, lecz bez nienawiści. Za przyjaciela umiej ważyć życie.*

Zagryzła lekko wargi, a potem skinęła głową na znak, że jednak chce wysłuchać tej sztuki...

* * *

Jak dobrze, że rankiem oprócz kawy mieliśmy, a raczej miałyśmy do dyspozycji naszą nieocenioną Dalilę. Gdy o szóstej Natasza wyciągnęła mnie z łóżka, zaniósła do łazienki i niezbyt delikatnie ułożyła na posadzce, zamiast się przebudzić – zasnęłam. Zajrzała po paru minutach, a ja spałam w najlepsze. Niedługo. Wylała na mnie kubek lodowatej wody. To było średnio przyjemne.

Śniadanie zjadłyśmy w pokoju. Nat jadła, ja niestety dalej spałam, czyli pótleżałam z nosem w talerzu. Spytała, dlaczego jestem taka nieprzytomna. Fakt, przecież spędziłyśmy w łóżku prawie osiem godzin. Skąd mogła wiedzieć, że najpierw przeżywałam senne koszmary, później rozmawiałam z Leo przez Skype'a, a na koniec utonąłam w jego głosie. Nie dotrwałam do końca. Nie pamiętałam, kiedy odpłynęłam. Biedny ten mój ukochany, pewnie recytował Szekspira, a ja chrapałam, zamiast go słuchać.

Zebrałyśmy się w apartamencie Krisa, który jeszcze smacznie spał. Dalila wróciła w nocy, więc chyba teraz sobie wynagradzała nocną rozmowę. Nasza uzdrowicielka zauważyła, że ledwie powłóczę nogami. Pociągnęła mnie za sobą pod pozorem poufnej rozmowy, usiadłyśmy na kanapie i objęła mnie ramieniem. Już po niecałej minucie poczułam, jak krew zaczyna mi energicznie krążyć, umysł się rozjaśnił, a zmysły wyostrzyły. W myślach podziękowałam za terapię i zasugerowałam, żeby i Nataszy poprawiła nieco parametry życiowe.

Zjechałyśmy na parking pod hotelem. Wystarczyło kilka muśnięć wykonanych uzdrowicielską dłonią Dalili, gdy przebywałyśmy w windzie,

parę nieumyślnych otarć ciałem przy wychodzeniu i Nat również była jak nowa. Poruszała się jeszcze zwawiej niż zwykle, a ciężką torbę, którą tachała z pokoju i której nikomu nie pozwoliła nawet dotknąć, niosła teraz jak wizytową kopertówkę. Chyba wyczuła, że coś jest nie tak, bo nagle obrzuciła nas dziwnym spojrzeniem. Zachichotałam bezgłośnie, gdy zauważyłam jej konsternację. Pewnie pomyślała, że Dalila lubi zarówno facetów, jak i panie. Dobrze, że to zajęło jej myśli i nie próbowała zgadywać, skąd wziął się ten nagły przypływ energii.

Na lotnisko dotarliśmy na czas, choć po drodze nie obyło się bez niespodzianek. Dalila z wrażenia zapomniała zabrać ze sobą dokumenty dla córki. Dobrze, że jakieś pięć minut po wyjeździe spytałam, gdzie je schowała. Gdy Natasza usłyszała, że owszem, są ukryte w specjalnej torebce, którą nasza czarnowłosa piękność zostawiła w hotelowej łazience, myślałam, że coś ją trafi. Odwróciła się, zgromiła Dalilę wzrokiem, kazała kierowcy zawrócić i pędzić do hotelu. I tak oto znów nie miałam okazji nawet spojrzeć na to, co działo się za oknami, bo walczyłam z siłą ciężenia rozrzucającą nas po limuzynie mimo zapiętych pasów.

W samolocie siedziałam razem z Dalilą, a Natasza za nami. Lot do Katmandu trwał bardzo krótko: niecałe dwie godziny. Drzemałam, zresztą chyba wszyscy na pokładzie drzemali, no może poza Nataszą. Przy wychodzeniu z samolotu Dalila przysunęła się do niej i jeszcze raz przeprosiła za swoje gapiostwo, ściskając mocno dłoń, całując ją w policzek i przy okazji kolejny raz wywołując u niej szok.

Natasza znów poczuła falę nowych sił, ale tym razem były jej jeszcze bardziej potrzebne. Zjadłyśmy szybki, ale bardzo obfity lunch w restauracji i pomaszerowałyśmy na parking przy lotnisku. Po niecałym kwadransie wyjechałyśmy zamówionym wcześniej przez Krisa samochodem oraz w dodatkowym towarzystwie. Nat z dużą wprawą prowadziła gigantycznego hummera, a obok niej siedział nasz tłumacz, czyli pan Jiao. Poprosił, aby zwracać się do niego imieniem John, co wprawilo całą naszą babską trójkę w lekkie osłupienie, ale zgodnie potaknęłyśmy i od tego momentu pan Jiao teoretycznie zamienił się w Johna. Teoretycznie, bo chyba żadnej z nas ten niski, drobniutki facet z ciemną czupryną, odziany w szytą na miarę czarną koszulę i obcisłe dzinsy, nie kojarzył się z przeciętnym Anglikiem czy Amerykaninem.

Bez większych problemów przekroczyliśmy granicę. Najdłużej strażnicy

dyskutowali z panem Jiao. Może go jakoś rozkręcili, bo wróciliśmy do hummera i wtedy się zaczęło. Nasz radosny kieszonkowy mężczyzna gadał bez ustanku jak handlarz przy jarmarcznej budzie. Pytłował o pogodzie, stanie dróg, naszym pojeździe i nawet obdarzył każdą z nas niezbyt wyrafinowanym komplementem, zwłaszcza ten o pięknych oczach skierowany do mnie był wyjątkowo płytki. Natasza miała dość jego i tej koszarnej chińskiej angielszczyzny, jeszcze zanim opuściliśmy Katmandu, ale teraz już nie wytrzymała. Założyła słuchawki i zamilkła, a pan Jiao kilka minut później po prostu usnął, pewnie rozczarowany jej bardzo niegrzecznym zachowaniem.

Miałam wrażenie, że Natasza dobrze zna trasę, bo jechała na pamięć. Nawet nie korzystała z nawigacji. Siedziałam, ściskając Dalilę za rękę. Była zdenerwowana i chyba dosyć poważnie zmęczona, bo jej oczy wyglądały inaczej niż zawsze, otoczone ciemnymi sińcami, zgaszone, a za chwilę rozbiegane na wszystkie strony.

– Będzie dobrze – próbowałam ją pocieszyć, ale to niewiele dawało.

Dalila wzdychała co chwilę i zagryzała usta. W końcu zamknęła oczy i wsparła głowę na moim ramieniu.

– Zdrzemnę się – mruknęła. Pogłaskałam ją po rękę. Tak bardzo było mi jej żal.

Gdy wjechaliśmy na drogę wiodącą prosto do celu naszej podróży, zamarłam z wrażenia. Wyrzeźbiony przez naturę płaskowyż Tybetu powalał na kolana. Nat zauważyła we wstecznym lusterku, że się rozglądam, bo cicho rzuciła kilka słów, a raczej suchych uwag, oczywiście głównie związanych z bezpieczeństwem. Poleciała, żebym często przełykała ślinę, bo będziemy się przemieszczać dosyć gwałtownie w dół. Czekają nas około trzydziestu kilometrów jazdy, ale krętą trasą, więc musieliśmy jechać bardzo wolno. Na szczęście trafiliśmy na wyjątkowo mały ruch i kilometry zniszczonego asfaltu, choć powoli, ale systematycznie znikają pod maską, a nieliczne mijające nas samochody nie zasłaniały krajobrazu.

– Ups... – powiedziałam, gdy przejechaliśmy tuż obok kompletnie zdemolowanej barierki, odgradzającej drogę od stromego zbocza.

Niestety, za chwilę znów zobaczyłam podobne miejsce. Pokręciłam głową, myśląc, ile ludzkich istnień pochłonęła ta trasa.

– Trzeba uważać – skwitowała Natasza, którą już chyba znudziło słuchanie muzyki, bo zdjęła słuchawki. – Tu i tak jest dobrze. Są barierki i betonowe słupki. W Boliwii od La Paz przez prawie siedemdziesiąt kilometrów ciągnie

się znacznie gorsza droga. Ciągłe coś się sypie z gór, trasa jest bardzo wąska, a powierzchnia ledwie utwardzona. Dwieście albo i więcej trupów rocznie. – Wzruszyła ramionami.

– Aha – potaknęłam, rozdziawiając buzię.

Dobrze, że krajobraz znów się zmienił. Było coraz ciekawiej. Przestałam myśleć o tym, co może nam grozić i skupiłam się na widokach, a te były naprawdę imponujące. Słońce skryło się za szczytami, czułam się jak w tajemniczym i mrocznym lesie porastającym zbocza gór przeciętych głębokim kanionem i z wijącą się jak wstążka rzeką. Mijaliśmy u naszych stóp błakające się obłoki chmur, które po chwili zmieniały się w mgłę wpływającą wprost na drogę przed nami. Tu i ówdzie woda zaskakiwała swoim wszędobylstwem: spadała kaskadami z wodospadów lub ciekła leniwie po zboczach mijanych wzniesień.

– Wkrótce będziemy na miejscu – burknęła Nat, przerywając mi kontemplację.

Dalila musiała ją usłyszeć, bo nerwowo się poruszyła, otworzyła oczy i rozejrzała wokół błędnym wzrokiem. Biedaczka, pomagała wszystkim, ale jej nie miał kto naładować nowymi siłami. Na dodatek każde takie leczenie innych kosztowało ją sporo własnej energii. Pamiętałam, co powiedział Leo o tym, jak Dalila słaśniała się na nogach, gdy skończyła uzdrawiać Ruby.

Znów zaśmiałam się w duchu, myśląc, jaka byłam głupia, gdy sądziłam, że ona i Leo są parą, i jak bardzo cierpiałam, widząc ich razem na zdjęciu. A teraz? Dalila i Kris tworzyli cudowną parę, na każdym kroku widać było, że się kochają nad życie, a uczucie, które ich łączyło, przetrwa wszystko. Jak to pomiędzy mną i Leo.

– Zaraz dojeżdżamy – szepnęłam, żeby nie obudzić naszego tłumacza. Nikt nie tęsknił za jego trajkotaniem.

– Żeby się udało – odpowiedziała mi równie cichutko.

– Będzie dobrze. – Zacisnęłam kciuki.

– Boję się. Ciekawe, czy ją zastaniemy? – jęknęła. – Może jeszcze jest w tym barze?

– Poczekamy – odparłam. – Gdyby wróciła późno, możemy tam przenocować. Mamy zabukowane pokoje w hotelu. Kris ci nie mówił?

– Mówił, ale wolałabym mimo wszystko wrócić jeszcze dzisiaj.

Pokiwałam głową. Też wolałabym jak najszybciej dostać się z powrotem do Delhi. Nie mogłam zapomnieć o Brianie. Gdy tylko zamykałam oczy, znów

go widziałam leżącego bez życia na szpitalnym łóżku. Chociaż nie mogłam mu pomóc, lepiej się czułam, mając świadomość, że jestem blisko i że Dalila w każdej chwili może pojechać do kliniki i dotknąć go swoją uzdrowicielską dłonią.

Zhangmu rozwiało te smutne myśli. Z daleka przypominało nieco Monako: budynki szczelnie wypełniające zbocze góry, niestety z bliska wyglądało zgoła inaczej. „John” się obudził i znów zaczął nadawać. Uraczył nas lawiną informacji, istotnych i mniej istotnych. Zapamiętałam jedynie, że właściwie całe miasto to jedna długa główna ulica, że nie powinniśmy otwierać okien i żeby nie robić zdjęć, bo tubylcy za tym nie przepadają.

Przejazd zatłoczoną arterią zajął nam prawie godzinę. Zerknęłam na zegarek. Choć już dawno minęło południe, i tak nieźle nam poszło.

– To ten dom? – spytała Natasza, wskazując brodą niski, obdrapany budynek jakieś dziesięć metrów przed nami.

– Tak – szybko potwierdziła Dalila.

– Okej – odburknęła Nat, z trudem manewrując w tak wąskiej uliczce, że po zaparkowaniu mogliśmy otworzyć drzwi tylko z jednej strony i biedny pan Jiao musiał się przeczołgać przez całą szerokość samochodu, zahaczając przy okazji kieszenią spodni o drążek zmiany biegów i prawie je przy tym zdejmując.

Ledwie wysiadłyśmy, wokół hummera zbiegła się chmara dzieciaków. Od zupełnych maluchów po starsze, wszystkie otoczyły nasz samochód. Może to kolor je zwabił? Karoseria lśniła intensywną żółcią, lekką poświatą odbijając się od sypiącego się tynku z domostwa, do którego przyjechaliśmy. To pewnie była najbardziej kolorowa rzecz, jaką widziały te dzieci w tym miejscu.

– Chcą pieniędzy – stwierdziła spokojnie Natasza.

– Mam im coś dać? – spytałam, od razu sięgając do małej torebki, ale pan Jiao chwycił mnie za rękę.

– Nie. Bo się nie odczepią – syknął.

– Biedaki – zagryzłam wargę. Było mi ich żal, łatwo mogłam stwierdzić, że są głodne, a stan ich ubrań wołał o pomstę do nieba.

Nagle nasz tłumacz odwrócił się i zaczął krzyczeć na dzieci, które na moment zamarły, a potem jeszcze szybciej rozpierzchnęły się po podwórku, niż się pojawiły. Jedno z tych najmłodszych, chyba dziewczynka, przewróciło się. Dopiero inne dziecko, patykowaty chłopiec, wróciło, żeby pomóc koleżance, a może siostrzyczce, bo mała wylądowała na jego chudych rękach.

– To było niepotrzebne – wykrztusiła Dalila. – Mógł ich pan nie przeganiać.

Pan Jiao lekko się skrzywił, ale nie powiedział ani słowa. Podeszliśmy do drzwi domu i dopiero wtedy się odezwał:

– Może wejdziemy we trójkę? – Popatrzył znacząco na Nataszę, a potem w stronę podwórza. – Lepiej, żeby ktoś został na zewnątrz i pilnował wozu.

– Jest ubezpieczony – mruknęła Nat, kończąc tę krótką polemikę.

Byłam skonsternowana. Szczerze mówiąc, sądziłam, że do środka wejdziemy tylko my, czyli Dalila, tłumacz i ja. Uniosłam lekko brwi, chyba Nat to zauważyła, bo natychmiast stwierdziła stanowczo:

– Leo kazał nie spuszczać z ciebie oka. Nie ma dyskusji. Wchodzimy wszyscy.

Pan Jiao zerknął na Dalilę, pewnie oczekiwał, że choć ona się sprzeciwi, ale udała, że tego nie widzi.

– Jak panie chcecie – poddał się. Zastukał i od razu wszedł do środka, a my za nim. Natasza, jak było do przewidzenia, weszła za nami.

Dopiero po chwili moje oczy przywykły do panujących tu ciemności. Zaczęłam dostrzegać detale: obskurne ściany wąskiego korytarzyka proszące o malowanie, połamane krzesło leżące na podłodze, obok worków z odpadkami i kilkanaście pustych butelek. I ten zapach: stęchlizna, pleśń i mdlący słodki odór jedzenia i alkoholowych wyziewów. Dziękowałam Bogu, że Nat poszła z nami.

– O Jezu... – jęknęłam, gdy na ścianie zauważyłam jakiegoś wielkiego czarnego robala.

– Karaluszek na sterydach – oceniła go Natasza. Pstryknęła palcem, robal spadł na ziemię i chrupnął jak skorupka orzecha pod okutym gładem mojej strażniczki. – I już po kłopotcie.

Wywróciłam oczami.

Pan Jiao prowadził nasz korowód, dotarliśmy do kolejnych drzwi. Nieśmiało je popchnął i wszedł, a my wślizgnęłyśmy się za nim do pomieszczenia, które było chyba główną izbą tego domu. W nos uderzył okropny fetor, aż zakręciło mi się w głowie, ale i tak odetchnęłam z ulgą: nie musiałyśmy czekać. Od razu zauważyłam jakiś barłóg w kącie i siedzącą obok młodzieńką dziewczynę. Była przerażona, tak szeroko otworzyła oczy, że aż błysnęły białka. Mimo półmroku panującego w pokoju szybko spostrzegłam niewiarygodne wręcz podobieństwo do matki. Dalila głośno westchnęła i chwyciła mnie kurczowo za rękę.

– To ona. Moja córeczka – wyszeptała przez łyzy, które pewnie pojawiły się, jeszcze zanim tu weszliśmy, bo teraz płynęły wartko, zostawiając za sobą połyskujące ślady.

Nagle coś zaszurało w pościeli i jakaś postać uniosła się na łóżku, posapując i stękając z wysiłku.

– *Co teraz?* – spytałam Dalilę bezgłośnie.

– Proszę mówić – zwróciła się do pana Jiao.

Nasz tłumacz skłonił się lekko i zaczął głośno trajkotać. Mocno akcentował słowa, jakby się z kimś kłócił. Nie mogłam powstrzymać rozbawienia, bo brzmiało to jak miauczenie wściekłego kota, ale zdusiłam śmiech, bo chwila nie była odpowiednia. Przecież dla Dalili to najbardziej emocjonujące minuty życia.

Im dłużej mówił pan Jiao, tym częściej staruszka wtrącała się do jego przemowy, w pewnym momencie chyba zaczęli się kłócić na serio, bo kobieta podniosła głos, wygrzebała z kłębów pościeli drewnianą laskę i walnęła nią z całej siły w ramę łóżka. Zamarłam. Na szczęście Natasza od razu wysunęła się przed nas, podeszła do pana Jiao i powiedziała, że natychmiast ma się uspokoić i to samo przekazać starej, w przeciwnym razie ona pogada z nimi dwojgiem inaczej.

Znów parsknęłam cicho, ale gdy skierowałam wzrok na twarz tej biednej dziewczyny, a raczej dziewczynki, zważywszy na jej wątłą sylwetkę, szybko przeszła mi ochota na śmiech. Biedactwo, była jeszcze bardziej przerażona niż na początku naszej wizyty. Jak zaczarowana patrzyła na Dalilę, chyba też spostrzegła podobieństwo.

– Chciałybyśmy zostać same z dziewczyną – odezwała się nagle Dalila. – Ja i Anna. Dam babce pięćset juanów, ale ma opuścić izbę. Johnie, proszę powiedzieć to tej kobiecie.

Chińczyk znów skinął głową i przekazał wiadomość. Ledwie skończył, a ta babka coś wrzasnęła.

– Niestety, chce tysiąc. Wtedy wyjdzie – odpowiedział.

– Sobaczy syn – wycedziła przez zęby Natasza.

– Co powiedziałaś? – spytałam, bo nie zrozumiałam jej słów.

– Nic. Dam mu te pieniądze, później się policzymy – burknęła enigmatycznie, wyciągając z kieszeni na piersi gruby zwitek banknotów. Odliczyła dziesięć i wręczyła Chińczykowi, przy okazji lekko go popychając.

– *O co jej chodzi?* – spytałam Dalilę w myślach. Wzruszyła ramionami.

Chyba podobnie jak ja nie miała pojęcia, czym tak rozżłościła się Nat.

Pan Jiao podszedł do łóżka, przez chwilę po cichu rozmawiał ze staruszką. Znow wydawało się, że to raczej jakaś sprzeczka niż zwykła rozmowa, bo kobieta wyraźnie się zdenerwowała. Nawet szarpnęła go za rękaw, ale nasz tłumacz natychmiast stracił jej dłoń i ostro krzyknął. W końcu osiągnęli porozumienie, bo babka z trudem wyplątała się z niezbyt czystej pościeli i o lasce wyszła z pokoju, spluwając po drodze z pięć razy. Żołądek podjechał mi do gardła, gdy plwocina upadła tuż obok czubka mojego trampka.

– Panie Jiao... – Dalila zerknęła na tłumacza, który chyba nie zamierzał nas opuszczać. Na szczęście Natasza chwyciła go za ramię i wyprowadziła z izby.

Ledwie zostaliśmy same, Dalila doskoczyła do córki. Przykucnęła przed siedzącą dziewczyną i położyła dłonie na jej kolanach.

– Bishakha? Słyszysz mnie? To ja, twoja mama... – Patrzyła prosto w jej oczy, które tak samo błyszczały od wypełniających je łez. – Kochanie, przyjechałam zabrać cię stąd... – wyszeptała.

– Nawet jeśli słyszy, na pewno cię nie rozumie – zauważyłam trzeźwo. – Raczej nie zna angielskiego.

– Masz rację. Ależ jestem głupia. – Dalila potrząsnęła głową i szybko powiedziała coś do córki w pięknym śpiewnym języku.

Nic to nie dało, więc podniosła małą, szczupłą dłoń leżącą bezwładnie na udzie Niandi i ostrożnie ucałowała. Niestety, dziewczyna nadal nie reagowała, siedziała jak sparalizowana. Strużka potu spłynęła po jej szyi, aż dotarła do brzegu koszulki i wsiąkła bez śladu. Dalila szybko odsunęła mankiet bluzki i pokazała jej znamię. – Kochanie, poznajesz? Masz takie samo, tutaj – dotknęła ostrożnie lewego kolana córki.

Wreszcie coś drgnęło, bo Niandi nagle zaszlochała i niezbyt zgrabnie podniosła nogawkę spodni, ukazując znamię.

– Tak, tak! Jesteś moją córką, moja kochana... – załkała Dalila.

To była najbardziej wzruszająca scena, jaką widziałam w życiu. Padły sobie w objęcia, obie płacząc i całując się po mokrych policzkach, odsuwając wzajemnie pasma długich czarnych włosów i dotykając się, jakby nie wierzyły, że to wszystko dzieje się naprawdę i że wreszcie się odnalazły.

Choć stałam daleko od nich, płakałam razem z nimi. Ja też czułam te pocałunki i uściski, byłam z nimi sercem i duszą.

– *Jak cudownie, że wreszcie się spotkałyście! Bogu dzięki! Bardzo się cieszę!* – przekazałam im bezgłośnie, nie myśląc o tym, że tylko Dalila będzie

wiedziała, czyje to słowa. I wtedy znów coś się wydarzyło. Bishakha zastygła w bezruchu, a po sekundzie wychyliła się zza pleców matki i obdarzyła mnie bladym uśmiechem.

– Chyba się udało! Słyszysz mnie i co dziwne, rozumie. – Aż podskoczyłam, gdy to powiedziałam.

– Anno, chodź tu! – Dalila kiwnęła na mnie. – Musisz jej wszystko powiedzieć! – szeptała gorączkowo. – Siadaj. – Klepnęła podłogę obok siebie.

Usadowiliśmy się wszystkie trzy w zwartej grupce, bo Niandi zsunęła się z krzesła i teraz ja zaczęłam tłumaczyć zamiast naszego pana Jiao.

– Powtarzaj po mnie, ale tak, żebym ja też słyszała, co mówisz – poprosiła Dalila, ściskając równocześnie dłoń moją i odzyskanej córeczki.

– Jasne – odpowiedziałam.

– *Zadam ci parę pytań. Gdy będziesz chciała potaknąć, pokiwaj głową, a gdy zaprzeczyć, pomachaj ręką. Rozumiesz?... Wiesz, kim jestem... Pamiętasz mnie? Mieszkałyśmy razem, jestem twoją mamą. Chcę cię stąd zabrać, pojedziesz z nami?... Masz jakieś dokumenty?* – bezgłośnie przekazywałam informacje i pytania, a dziewczyna za każdym razem skwapliwie kiwała głową. Gdy padło pytanie o to, czy z nami pojedzie, Niandi kurczowo chwyciła dłoń Dalili i ścisnęła ją mocno, a potem przyłożyła do ust i pocałowała jej wnętrze.

– *Masz jakieś dokumenty? Jeśli tak, pokaż je nam* – poprosiłam.

Trzymała je w malutkiej szufladce szafki stojącej pod oknem. Miałam nadzieję, że Natasza dobrze pilnuje babki i pana Jiao, bo teraz zaczęła się najbardziej emocjonująca chwila. Poprosiłam przyszlą uciekinierkę, żeby po cichu, dyskretnie i w miarę szybko spakowała wszystko, co chce ze sobą zabrać, ale nie pozwoliłam jej wychodzić z pokoju.

Zaczęła się bezszelestnie krzątać. Wyjęła małą torbę z tej samej szafki, z której pochodziły dokumenty. Później otworzyła jakąś skrzynię i zaczęła w niej szperać. Usiadłyśmy z Dalilą przy stoliku i wysypaliśmy na blat zawartość brązowej koperty.

– Chyba ma osiemnaście lat, skoro ma dowód? – spytałam Dalili, próbując cokolwiek odszyfrować z plastikowego blankietu, który prawdopodobnie był dowodem osobistym. Przypominał brytyjskie dokumenty, choć jedyne, co poznawałam w gąszczu chińskich literek przypominających do złudzenia małe krzaczki, to cyfry.

– Nie wiem, ile tu trzeba mieć lat, żeby dostać dowód, ale chyba masz rację
– szepnęła, pokazując mi datę.

– Wygląda na znacznie młodszą – stwierdziłam.

– Uhm...

– Ona naprawdę jest głucha?

– Nie jest i nie była głucha.

– Skąd wiesz? – Popatrzyłam na Dalilę.

– Czuję, gdy coś szwankuje w ludzkim ciele. Zamykam oczy i widzę to chore miejsce jako szarą plamę na jasnoczerwonym tle. Gdy choroba jest poważna, na przykład taka jak u Ruby – plama jest bardzo ciemna, prawie czarna. A moja córeczka jest zupełnie zdrowa. Nie wiem tylko, dlaczego nie mówi? – stropiła się Dalila na moment. – Pewnie z tego samego powodu udaje, że nie słyszy, ale tym będziemy się martwić później.

– Aha – potaknęłam bezwiednie, bo to, co powiedziała, naprawdę było fascynujące. – Poznałaś Thora? – Nagle przypomniałam sobie o jeszcze jednym Wędrowcu, który też mógł skorzystać z niesamowitej umiejętności naszej przyjaciółki.

– Tak. Kris nas sobie przedstawił. – Dalila natychmiast się uśmiechnęła, a w jej oczach błysnęły ogniki. – Pewnie spytasz, dlaczego nie przywróciłam mu wzroku.

– No właśnie, dlaczego?

– Nie chciał.

– Nie?! – Zrobiłam chyba bardzo głupią minę, bo Dalila zachichotała.

– Powiedział, że chce zrobić ślubną niespodziankę Rebecce i dopiero wtedy mam go uzdrowić. W dniu ich ślubu. Oświadczył się i w sierpniu będzie wesele. – Mrugnęła porozumiewawczo.

– Oryginalny prezent.

– Też tak sędzę – potwierdziła.

Przez chwilę próbowałam wczuć się w jego sytuację i stwierdziłam, że raczej nie czekałabym na nic, tylko chciała jak najszybciej widzieć. No, ale przyjaciel Krisa był chyba najbardziej oryginalnym i ekstrawaganckim Wędrowcem, jakiego znałam, więc i pomysły na samego siebie też mógł mieć inne niż wszyscy.

– A Bekan? To jego dziewczyna. Ona nie słyszy – przypomniałam sobie.

– Zgadnij. – Znow puściła mi oczko. – To ma być podwójny prezent.

– Popatrz, to chyba dowód tej babci Niandi. Wygląda inaczej, ciekawe

dlaczego? – Postanowiłam wrócić do rzeczywistości i podniosłam dziwny papierowy dokument oprawiony w półprzezroczysty laminat, już nieco pożółkły ze starości.

– Pewnie poprzednie dowody tak wyglądały, a moja córka ma już nowy blankiet – stwierdziła Dalila.

– Ta pani ma pięćdziesiąt trzy lata – szybko policzyłam. – Wygląda znacznie starszej.

– A dziwisz się?

– Nie. Żyją w opłakanych warunkach – odparłam.

– Bo na alkohol musi wystarczyć. – Dalila była bezlitosna. – Wiem, że ta kobieta biła moje dziecko. Widziałam. – Jej ciałem nagle wstrząsnął stłumiony szloch.

Zagryzłam wargi. Sądziłam, że Dalila nie była tego świadkiem, więc tym bardziej jej współczułam. Nie wyobrażałam sobie, jak musiała cierpieć, gdy zobaczyła taką scenę. Nie miałam zbyt wiele czasu, żeby ją pocieszyć, bo Niandi stanęła obok nas i dała znak, że jest gotowa. Szybko włożyliśmy wszystkie dokumenty z powrotem do koperty. Niandi zabrała jedynie swój dowód i jakieś dwa papiery.

– *Przekroczysz granicę, podając się za kogoś innego. Mamy dla ciebie komplet dokumentów, w samochodzie wszystko ci dokładnie wytłumaczę. Od teraz masz na imię Alisha i mieszkasz na stałe w Londynie. Nie bój się, będziemy z tobą cały czas. Jak myślisz, twoja babcia nie będzie robić trudności, gdy zobaczy, że wyjeżdżasz?* – spytałam.

Niandi przez moment tkwiła bez ruchu, a potem pokiwała głową i machnęła ręką.

– *Nie wiesz?* – odczytałam jej odpowiedź, a ona ochoczo potaknęła.

– Trudno. Jakoś musimy to załatwić – stanowczo orzekła Dalila i zwróciła się do mnie. – Anno, co powiesz na taki plan: powiem Nataszy, żeby zabrała małą do samochodu, niech się przebierze, a my w tym czasie pogadamy z tą okropną kobietą. Może pieniądze ją przekonają i nie będzie się sprzeciwiać? – Popatrzyła na mnie z nadzieją.

– Na pewno pomogą. Ile masz kasy?

– Kris wypłacił pięć tysięcy dolarów. Poza tym mam jeszcze tyle samo w juanach.

– Sporo. Myślę, że na tak dużo nie liczy. Tutaj to prawdziwa fortuna... – Rozejrzałam się po izbie, myśląc, że nie chciałabym tu spędzić ani jednej

nocy.

Wszystko wyglądało strasznie: od podłogi wyłożonej zniszczonymi deskami, poprzez poobijane i brudne ściany, stolik przykryty zużytą ceratą i kompletnie zdezelowane meble, aż do sufitu, z którego smętnie zwisała niczym nieosłonięta żarówka. Ale nie to było najgorsze. Najbardziej obrzydliwy był zapach: stęchlizny, nieprzetrawionego alkoholu i uryny, którą czuć było najmocniej, zwłaszcza od strony łóżka babki.

– Zawołam Nataszę – zaproponowałam.

Po chwili weszła do izby, marszcząc nos i kręcąc głową, że musi znów tu wracać, ale gdy zobaczyła nasze twarze i Niandi z torbą w ręku, domyśliła się, że jest dobrze. Od razu przybrała swoją zwykłą minę opanowanej i czujnej profesjonalistki.

– Proszę, zabierz ją dyskretnie do samochodu. Niech się przebierze – poleciła Dalila.

– Okej. – Nat wzięła torbę z rąk dziewczyny.

– *Nie bój się, to nasza przyjaciółka Natasza. Idź z nią. Da ci inne ubrania, zmień je w samochodzie. Dobrze?* – poinformowałam Niandi, która od razu pokiwała głową. Popatrzyła z wahaniem na Dalilę, a ona uspokoiła ją lekkim uśmiechem.

– Gdzie oni są? – spytałam.

– Tu obok jest druga izba. Mniejsza. Chyba to pokój małej. – Nat wskazała brodą na swoją nową podopieczną. – Tam siedzą, mam ich zawołać?

– Nie. My pójdziemy do nich – postanowiła Dalila. – Idźcie już, tylko cicho.

– W razie problemów dzwoń. – Nat zerknęła na mnie i wyszła, ciągnąc za sobą Niandi.

Zacisnęłam kciuki, modląc się do wszystkich możliwych bogów, żeby równie łatwo nam poszło z babką, jak przed chwilą z Niandi, a właściwie teraz już Alishą. Dalila zapukała i wsunęła się do izby, a ja za nią. Tu było znacznie przyjemniej, choć również bardzo skromnie. Przede wszystkim nie śmierdziało tak okropnie.

– Panie Jiao, dziewczyna jest w samochodzie. Jedźcie z nami. Proszę to przekazać tej kobiecie. Mam nadzieję, że nie będzie robiła problemów. Zresztą na nic się nie zdadzą, bo jej wnuczka jest pełnoletnia i może jechać, gdzie chce. – Głos Dalili brzmiał stanowczo, ale ja nie dałam się nabrać. Zdradzały ją pobielające opuszki palców, którymi ścisnęła torebkę.

Nasz tłumacz skłonił się lekko i szybko przekazał wiadomość staruszce siedzącej na brzegu wąskiej pryczy. Kobieta uderzyła w lament, zaczęła zawodzić i krzyczeć, waliła laską o podłogę, aż w końcu runęła na nią, wyjąc jak ranne zwierzę. Zmroziło mnie. Przez chwilę stałam jak wmurowana, Dalila podobnie, ale szybko odzyskałam zdolność trzeźwego myślenia.

– *Zróbmy coś, bo zaraz się tu zlecą sąsiedzi!* – ponagliłam Dalilę, ale wtedy staruszka nagle przestała krzyczeć i zamiauczała do naszego tłumacza, wymachując przy tym laską i grożąc mu pięścią.

– Co ona mówi? – spytałam.

– Mówi, że was przeklnie, bo chcecie zabrać dziecko jej ukochanego nieżyjącego syna. Poza tą dziewczyną nie ma innych krewnych – odpowiedział.

– *Może daj jej trochę pieniędzy, ona tu umrze z głodu.* – Nagle zrobiło mi się żal tej kobiety. Chyba źle ją oceniłam, widocznie na swój sposób kochała Niandi. Taka rozpacz nie mogła być udawana.

– Wiem – potaknęła Dalila. – Dam jej wszystkie juany. Wystarczy na bardzo długo, nawet jeśli nadal będzie piła.

Sięgnęła do torebki i wyjęła grubą rolkę banknotów. Zbliżyła się do leżącej kobiety i wsunęła pieniądze do jej dłoni, zaciskając na niej palce. Domyśliłam się, że przez tę krótką chwilę przelała na kobietę nieco swojego daru. Może to miało być jakieś podziękowanie albo swoista zapłata za zgodę na odebranie wnuczki? Nie wiedziałam, dlaczego tak nagle Dalila wybaczyła tej kobiecie. Babka Niandi rozgięła palce, przez chwilę podejrzliwie patrzyła na gruby zwitek, już myślałam, że zaraz się zacznie dalszy ciąg awantury, ale nie.

Niespodzianka. A raczej rozczarowanie.

Staruszka żwawo zerwała się z podłogi. Znow coś mówiła, gestykulowała jeszcze bardziej żywiołowo niż przedtem. Gdy niespodziewanie dopadła do Dalili i ścisnęła jej rękę, zorientowałyśmy się, że właśnie udało się nam bez problemów odkupić wnuczkę. Widocznie dla tej kobiety tylko pieniądze miały wartość. I to, co można było za nie zdobyć, czyli alkohol.

– *Chodźmy, zanim się rozmyśli, bo będzie chciała coś jeszcze wyłudzić* – zasugerowałam, dobrze pamiętając sytuację sprzed pół godziny.

Dalila wysunęła swoją dłoń z ręki kobiety.

– Panie Jiao, proszę ją pożegnać w naszym imieniu. Może pan powiedzieć, że zadbam o Niandi jak o własną córkę i że będzie żyła w dobrobycie, chociaż nie wiem, czy to ma dla tej kobiety jakiegokolwiek znaczenie – dodała po chwili.

Wcale się nie dziwiłam jej słowom. Babka nie zwracała na nas żadnej uwagi. Usiadła na brzegu łóżka, rozwinęła rolkę banknotów i teraz podnosiła każdy z nich, patrząc pod światło, czy nie jest fałszywy. Później odkładała go na stosik i liżąc opuszkę palca, zabierała kolejny. Równie dobrze mogliśmy przestać istnieć, a i o własnej wnuczce z pewnością już nie pamiętała.

Nasz tłumacz wzruszył ramionami, miauknął coś bez przekonania i popatrzył w stronę drzwi. Prawidłowo zinterpretowałyśmy jego spojrzenie: zgodnie odwróciliśmy się na pięcie i chwilę później cała nasza trójka była na zewnątrz. Pierwsze, co zrobiłam, to wzięłam kilka głębokich oddechów. Wystawiłam twarz do słońca i na chwilę zamknęłam oczy.

– Prawie się tam udusiłam. Jak mi dobrze! – jęknęłam z rozkoszą, bo lekki wietrzyk przywiał kolejną porcję świeżego górskiego powietrza. Pachniało lepiej niż najdroższe perfumy świata.

– Pospieszmy się – usłyszałam głos pana Jiao, więc od razu uniosłam powieki.

Podeszłyśmy do samochodu. Córka Dalili siedziała w środku. Już chciałam wsiadać, ale Nat zerknęła na zegarek i stwierdziła, że nie zdążymy na samolot.

– Nocujemy w hotelu? – spytała, a raczej oświadczyła Dalila, marszcząc czoło.

– Obawiam się, że nie ma innego wyjścia – potwierdziła Natasza.

Mnie też nie podobała się taka perspektywa. Chciałam jak najszybciej wrócić do Delhi, pogadać z Krisem, dowiedzieć się, co słyhać u Briana i zadzwonić do Leo. Choć to ostatnie mogłam w zasadzie zrobić wszędzie.

Nawet pan Jiao był zmartwiony. Drapał się po czuprynie i przestępował z nogi na nogę, w końcu wyjął telefon i powiedział, że musi dać znać żonie, że wróci dopiero jutro. Odszedł od nas, a po chwili usłyszałyśmy kolejny słowotok po chińsku, na szczęście w miarę cichy i dyskretny.

– Ładujcie się. – Nat popchnęła mnie w stronę tylnych drzwi.

Hummer był tak wysoki, że wsiadało się do niego prawie jak do czołgu. Ale trzeba przyznać, że ten samochód, choć wyjątkowo brzydki i pokraczny, miał kilka zalet. W środku było sporo miejsca. Usadowiłyśmy się z Dalilą po obu stronach Niandi, obecnie Alishy, a mimo to jeszcze jedna osoba spokojnie by się zmieściła.

Czemu ona nie wsiada? – pomyślałam, patrząc na Nataszę, ale sekundę później klepnęłam się w czoło: czekała na pana Jiao, który na szczęście skończył już tłumaczyć się przed żoną i właśnie zaczął z jeszcze większym

możem niż my wcześniej ładować się na swoje stare miejsce.

– *Ta jego żona to jakaś hetera. Popatrzcie, jak się spocił, biedaczek* – zachichotałam w duchu.

Moje towarzyszki z tylnej kanapy od razu obdarzyły mnie prawie identycznymi uśmiechami. Były bardzo do siebie podobne. W zasadzie ich twarze wyglądały jak u sióstr bliźniaczek, choć dzieliło je ponad dziesięć lat różnicy.

Natasza ruszyła, zgrabnie wycofując hummera z wąskiej uliczki. Cokolwiek by o niej mówić, była doskonałym kierowcą. Mrukliwa, czasami nieprzyjemna, ale zdecydowanie świetna w swoim fachu. Dojechaliśmy do głównej ulicy. Zatrzymała się i z uwagą rozglądała na boki. Ruch zelżał, więc szybko wbiła się na drogę. Odetchnęłam z ulgą, bo nie uśmiechała mi się powtórka, czyli godzinny przejazd przez Zhangmu.

Zastanawiałam się, jak może wyglądać hotel w takim mieście. Miałam pewne obawy, bo przyklejone do ulicy budynki wcale nie skłaniały do wejścia. W większości prezentowały się raczej odstrasząco niż zachęcająco. Popatrzyłam na moje towarzyszki. Dalila i Alisha przytuliły się do siebie, co jakiś czas słyszałam westchnienie albo ciche jak szept całusy. Gdy przejechaliśmy przez prawie całe miasteczko, milczący dotychczas pan Jiao nagle się ożywił.

– Przejechaliśmy zjazd do hotelu – pisnął, podskakując śmiesznie na swoim fotelu. – Trzeba zawrócić! Tam była tablica! – Obrócił się i wskazał za siebie.

– Zmiana planów. Zdążymy na samolot – burknęła Natasza.

– Naprawdę? – ucieszyła się Dalila.

– Tak. Nie ma dużego ruchu – odparła Nat.

– Jak dobrze – westchnęłam.

Nie uśmiechało mi się tu zostać, choćbyśmy mieli spać w najlepszym hotelu w tym mieście. Chyba tylko pan Jiao nie był zadowolony, bo zaczął coś mruzczyć pod nosem, narzekając, że znów będzie musiał zadzwonić do żony. Już wyjął telefon, ale Natasza dosyć ostro warknęła, że za chwilę się zatrzymamy i wtedy zadzwoni, bo takie rozmowy ją dekoncentrują.

– Milusia... – szepnęła Dalila. – Ona tak zawsze?

– Uhm... – odpowiedziałam, uśmiechając się dyskretnie, żeby Nat nie zobaczyła mnie we wstecznym lusterku. Wolałam się nie narażać.

Ostatnie budynki już dawno zniknęły za nami, a Natasza gnała jak szalona. Chyba zapomniała o prośbie pana Jiao. Postanowiłam jej przypomnieć, bo

o ile mogłam ignorować coraz głośniejsze burczenie w brzuchu, o tyle parcie na pęcherz na to nie pozwalało.

– Mogłabyś zjechać gdzieś do lasu, muszę do toalety – syknęłam, nachylając się w jej stronę.

– Zaraz.

– Okej.

Ujechaliśmy może z kilometr i nadarzyła się okazja. Szeroki leśny trakt po lewej stronie zachęcał do wjazdu. Skręciliśmy. Niestety, zamiast od razu się zatrzymać, Nat brnęła hummerem przez las, aż dotarliśmy do małej polanki. No cóż, może nie chciała, żeby ktoś mnie podglądał.

– *Siusiu?* – spytałam moje towarzyszeki.

Dalila pokręciła głową, a sekundę później Alisha zrobiła to samo. Wzruszyłam ramionami, może hinduskie kobiety miały większe pęcherze? A może to ja przesadziłam z napojami? Dwie kawy rano, szklanka soku przy lunchu, nawet w samochodzie opróżniłam butelkę wody.

– Wyjdę zadzwonić – oświadczył pan Jiao, ale Nat kazała mu poczekać, aż wrócę. Wygramoliłam się z hummera i ruszyłam w krzaki, rozglądając się bacznie na boki, czy czasami nie kryją się w nich dzikie zwierzęta lub, co gorsza, jakieś paskudne robale. Na szczęście oprócz kilku mrówek nikt mi nie towarzyszył. Załatwiłam szybko, co trzeba, i pobiegłam do samochodu.

Pan Jiao już czekał, nerwowo przestępował z nogi na nogę. Może też mu się chce? – zaśmiałam się w duchu. Nagle z hummera wysiadła Natasza. Trzasnęła drzwiami, aż odbiło się echem.

– Wsiadaj do samochodu – warknęła, wskazując na mnie brodą. – A my idziemy! – Chwyliła naszego tłumacza za rękę i pociągnęła za sobą.

– Co robisz?! – wrzasnął pan Jiao, próbując się wyrwać Nataszy, ale nie miał szans. Była od niego wyższa o dobre piętnaście centymetrów i znacznie lepiej zbudowana.

Oddalili się od samochodu o jakieś pięć metrów, wtedy popchnęła go tak mocno, że upadł na ziemię. Przez moment zawahałam się, co zrobić. O co jej chodzi?! Zwariowała?! – pytania tłukły się po głowie. W końcu stwierdziłam, że jej nie posłucham. Nie chciałam, żeby zrobiła krzywdę biednemu panu Jiao. Może Nat chce nas porwać? – przyszło mi na myśl.

– Chciałeś zadzwonić! – Jej krzyk przerwał moje spekulacje. – Wyjmuj telefon!

Nagle uświadomiłam sobie, że Natasza oburącz trzyma broń i celuje z niej

w tłumacza. Nawet nie zauważyłam momentu, kiedy ją wyjęła. Zaczęłam powoli iść w ich stronę. Nat stała tyłem, więc nie mogłam zobaczyć jej twarzy, ale wystarczyła mina pana Jiao. Był równie przerażony jak ja. Wyjął z kieszeni telefon i rzucił przed siebie, bo tak mu poleciła Nat.

Aparat trzasnął pod jej butem, rozgnieciony z prawie taką samą łatwością jak karaluch w domu Niandi.

– Wstań! – warknęła. – Rozbieraj się.

– O Chryste... – jęknęłam do siebie. – *Nie wysiadajcie z samochodu. Na wszelki wypadek, Dalilo, przesiądź się za kierownicę i zablokuj wszystkie drzwi i okna, a Alisha niech schowa się między siedzeniami. Ty też schyl głowę. Nataszy coś odbiło, ma pistolet. Spróbuję ją uspokoić* – przekazałam dziewczynom.

Pan Jiao zdążył już zdjąć koszulę, odsłaniając szczupły, żylasty tors, a teraz rozpinał suwak spodni. Nat ciągle trzymała go na muszce. Postanowiłam obejść ją tak, żeby mnie widziała, i pogadać z nią. Jeszcze tego mi trzeba. Przekonam się, jak to jest być negocjatorem – sarkałam w duchu.

– Nat, to ja. Mogę podejść? – spytałam, powoli się zbliżając.

– Wracaj do samochodu! – warknęła, nie ruszając się nawet o milimetr.

– Spokojnie. Chcę tylko pogadać. Proszę, nie rób głupstw – odparłam, nie wiedząc, skąd wzięła mi się ta zgrabna kwestia. Może z jakiegoś filmu?

Ofiara naszej szalonej ochroniarzki zamarła. Pan Jiao patrzył na mnie z nadzieją, co sekundę przełykając ślinę.

– Nat...

– Mówiłam! Idź do samochodu!!! A ty zdejmuj gacie! – popędziła go. – I buty!

Posłusznie rozpiął do końca zamek i powoli zsuwał dzinsy, odsłaniając nieprawdopodobnie chude i białe nogi.

– Nat! Przestań! Co ty wyprawiasz?! – Nie wytrzymałam i podbiegłam do nich, stając tuż obok trzęsącego się jak galareta tłumacza, który stojąc na jednej nodze, nieudolnie próbował rozsypać sznurówki buta.

Nagle wypadki potoczyły się błyskawicznie: w ułamku sekundy ręka pana Jiao zacisnęła się na mojej szyi, przyciągnął mnie do siebie, a na gardle poczułam coś zimnego...

Rozdział 17

Jeszcze jeden cud

– Rzuć pistolet, bo zarżnę ją jak kurczaka – wysyczał pan Jiao.

Krew zakrzepła mi w żyłach. Serce najpierw chciało wyskoczyć z piersi, by po sekundzie niespodziewanie zatrzymać się w bezruchu. Natasza chyba czuła to samo, bo nagle zbladła jak ściana. Patrzyłam na nią, ale jej wzrok był skupiony wyłącznie na napastniku.

– Zabijesz ją, zabijesz siebie – wycedziła. – Puść dziewczynę. Dam ci pieniądze. Dziesięć tysięcy dolarów.

Zaśmiał się w odpowiedzi, a jego ręka delikatnie drgnęła. Po sekundzie coś uszczypnęło mnie w szyję, po kolejnej poczułam strużkę czegoś ciepłego ciekącego po skórze. Jezu, dziabnął mnie!!! Uświadomiłam sobie, że... zaraz umrę? Nie wiem, czy sprawił to strach, czy coraz mocniejszy zapach mojej własnej krwi, bo nagle przypomniałam sobie wszystkie metody obezwładniania przeciwnika.

Krav maga opiera się na naturalnych odruchach człowieka... Słowa Klausa zadźwięczały mi w głowie. Niemal słyszałam to, co mówił w trakcie treningu, gdy ćwiczyliśmy obronę przed nożownikiem: Chwyć oburącz uzbrojone przedramię i nadgarstek napastnika, oddal je od szyi, pochylając ciało w bok, równocześnie wycofaj nieco głowę pod ręką napastnika. Gdy jesteś w stanie, nie puszczając jego ręki, ugodź go nożem w brzuch, wykręć do tyłu uzbrojoną rękę tak, aby upuścił nóż, prawą nogą kopnij napastnika z całej siły w głowę...

Na moment zamknęłam oczy.

Byliśmy tylko ja i on.

Anna Wilk i pan Jiao. Napastnik.

Zrobiłam to.

Nie wiem kiedy i jak. Zupełnie jakby ktoś wyciął kilka sekund z mojego życia.

Gdy czas znów zaczął normalnie płynąć, ujrzałam pana Jiao leżącego tuż

obok i jęczącego z bólu. Z jego boku, kilka centymetrów pod ostatnim żebrzem, lała się krew.

– Anna, zbieramy się! – Ktoś szarpnął mnie za rękę.

Popatrzyłam na tego kogoś. To była Natasza.

– On umrze – wychrypiałam, nie pozwalając ruszyć się z miejsca. – Przebiłam mu wątrobę. Musimy jechać z nim do szpitala! – Chciałam go ratować za wszelką cenę.

– Trudno. Sobaczy syn! – Splunęła na ziemię jak babka Alishy. – Chciał cię zabić!

– Nieważne! Musimy mu pomóc! – Kucnęłam obok niego, szybko zdjęłam koszulkę i przycisnęłam do rany, z której coraz mocniej buchała krew. Mdliło mnie od jej zapachu, ale nie puszczałam prowizorycznego opatrunku. – Zadzwon po pomoc! – panikowałam, bo pan Jiao przestał się ruszać.

– Za późno! – Nat znów próbowała mnie odciągnąć. – Zostaw! On już nie żyje.

– On nie może umrzeć! – dobiegł nas głos Dalili.

Dopiero teraz uświadomiłam sobie, co się stanie, gdy pan Jiao umrze, i włosy stanęły mi dęba. Na szczęście ułamek sekundy później dopadła nas Dalila i kucnęła tuż obok nieprzytomnego mężczyzny.

– Odejdźcie! Obie! Natychmiast!!! – ryknęła nieludzkim głosem.

Może dlatego Natasza jej posłuchała, a może chciała za wszelką cenę wsadzić mnie do samochodu, żebym nareszcie była bezpieczna. Pobieglyśmy, a właściwie Nat zawlokła mnie w stronę hummera. Biedna Alisha była tak przerażona, że gdy usiadłam obok niej, od razu odskoczyła aż pod przeciwległe okno.

– Nie waż się stąd ruszyć! Wracam po Dalilę i spadamy – warknęła Nat, stojąc na progu samochodu.

– Nie idź tam, proszę. Ona zaraz przyjdzie. – Zagryzłam wargi. – Nie można jej przeszkadzać. Proszę. Błagam... – Chwyciłam jej dłoń.

– Ile to jest zaraz? – spytała, już znacznie spokojniejsza niż przed chwilą.

– Trzy minuty.

– Okej, niech się pomodli czy co tam nad nim robi. Trzy minuty i ani sekundy dłużej. – Popatrzyła na zegarek. – Muszę cię opatrzyć.

– Co?

– Skaleczył cię. Na szczęście niezbyt mocno.

Nagle przypomniałam sobie o ranie na szyi, a żołądek od razu niepokojąco

przemieścił się w okolice gardła.

– Niedobrze mi – jęknęłam.

– Patrzcie ją! Teraz jej niedobrze, a przed chwilą wsadziła koleśowi kosę pod żebra. Siadaj tu.

– To była samoobrona... – stęknęłam, patrząc, jak wyjmuje ze schowka sporą apteczkę, otwiera ją i szuka czegoś w środku.

– *Eto moja posledniaja rabota dla was, czierny...* – burczała pod nosem. – *Niet takich dienieg. O, ja durna!*

W końcu przyłożyła do mojej szyi wacik nasączony jakimś alkoholem.

– Szczypie...

– Muszę odkazić i zmyć krew, bo wyglądasz jak nieszczęście.

Szybko się uwinęła. Już po minucie na skórze tkwił sporych rozmiarów plaster. Nat zgrabnie zeskoczyła na ziemię, a po chwili wróciła z ubraniami.

– Skoro i tak musimy poczekać, przebierz się. – Wskazała brodą na moje spodnie. – To zapasowe ciuchy dla tej dziewczyny, mogą być małe, ale nie mam nic innego. Przebieraj się, a ja zadzwonię do Krisa. – Usiadła z przodu i założyła słuchawki.

Spuściłam wzrok: moje brązowe bojówki były całe ochlapane krwią. Zsunęłam spodnie i z trudem wcisnęłam się w przyciasne dzinsy. Bluzka, choć równie wąska, była znacznie wygodniejsza.

– Kris, zmiana planów. Niech ktoś spakuje nasze walizki i zawiezie na lotnisko... – Nastawiłam uszu, bo to, co mówiła Nat, bardzo mnie zainteresowało. – Tak, lecimy prosto do Londynu. Zabukuj cztery miejsca, jak najszybciej... Może być z przesiadkami... Nie, nie wracamy do hotelu... Później ci powiem... Tak, mała jest z nami, wszystko w porządku... Kończę, cześć. – Nat popatrzyła na zegarek. – Czas minął.

– Proszę, jeszcze minuta... – Zerknęłam w stronę Dalili.

Ciągle klęczała przy panu Jiao. Nie wróżyło to dobrze. Pewnie go zabiłam, a ona próbuje tak samo go ożywić, jak to zrobiła z Ruby, pomyślałam. Owszem, okoliczności były łagodzące, bo działałam w samoobronie, ale czy my, Wędrowcy z plemienia Eperu, mieliśmy do niej prawo? Może powinnam była się poddać i pozwolić mu na wszystko? Przecież i tak odrodziłabym się na nowo, ale co z mamą? Umarłaby z rozpaczy.

– Idę tam. Jeśli nie wróci ze mną, jedziemy same. – Natasza definitywnie straciła cierpliwość.

– Błagam, poczekaj! – Ruszyłam za nią pędem.

W dziesięć sekund obie stanęłyśmy nad Dalilą i panem Jiao. Nietrudno było się domyślić, że znów się udało: wprawdzie nasz tłumacz nadal był nieprzytomny, ale oddychał, policzki mu się zaróżowiły, a co najważniejsze – przestał krwawić. Rana zasklepiła się i znikła, a jedyne, co wskazywało, że była tam kilka minut wcześniej, to wielka plama krwi powoli wsiąkającej w ziemię.

– Co jest grane? – Natasza wybałuszyła oczy. Nagle zbladła, a jej czoło sperliło się kropelkami potu.

– Nic. – Dalila wstała, otrzepała spodnie i popatrzyła na nią. Pierwszy raz widziałam, jak zimne potrafi być jej spojrzenie. – Myślę, że masz nam coś do powiedzenia.

– Najpierw ty. Jesteś bioenergoterapeutką? – wykrztusiła Nat, zerkając to na Dalilę, to na leżącego tuż obok mężczyznę.

– Coś w tym rodzaju – odparła. – A raczej znachorką.

Odwróciła się w moją stronę, przyłożyła palce do plastra i na moment zamknęła oczy. Poczułam miłe mrowienie, a po chwili przemożną chęć podrapania się po szyi. Wiedziałam już, co to oznacza: rana się zagoiła i można było już pozbyć się opatrunku, co też skwapliwie uczyniłam.

Nat aż się zachwiała z wrażenia, gdy zobaczyła moją szyję. Odruchowo zatkała usta, a jej oczy prawie wyskoczyły z orbit. Chyba pierwszy raz w życiu po prostu się bała, bo opuszki palców dłoni, którą trzymała przy ustach, lekko dygotały. Nagle usłyszałam jakiś szmer. To pan Jiao właśnie odzyskiwał przytomność.

– Musimy jechać – powiedziałam. – On zaraz się obudzi.

Natasza zerknęła na niego, jeszcze ciągle wstrząśnięta i wystraszona, ale już nie tak mocno jak przed chwilą. Gdy powieki pana Jiao zaczęły leciutko drżeć, w jednej chwili odzyskała rezon. Kucnęła i zdecydowanym szarpnięciem pozbawiła mężczyznę obu butów, a potem spodni. Zwinęła ubrania i buty w kulę, mówiąc, że nie będą mu potrzebne.

– Zabierz jego nóż, tam leży – poleciała mi, wskazując na kępę trawy.

Gdy odjeżdżałyśmy z polany, spostrzegłam przez okno, że pan Jiao wsparł się na przedramionach. Wiedziałam, że po kuracji Dalili najpóźniej za kwadrans będzie jak nowo narodzony...

* * *

– Leo! Jak dobrze cię widzieć! – Julia powitała mnie w progu i serdecznie ucałowała. – Jak Ruby? Mam nadzieję, że wszystko w porządku? Martwiłam się.

– Wszystko dobrze. Rodzice prosili, żeby cię pozdrowić – odpowiedziałem ostrożnie.

Wprawdzie wiedziałem, że Julia nie do końca była poinformowana o tym, co dolegało mamie, ale medyczny świątek w Londynie nie był aż tak duży, żeby całkiem wykluczyć możliwość, że ktoś przez przypadek podzielił się wieściami z matką Anny. Poza tym brukowce nie omieszczały zamieścić kilku notatek na ten temat. Na szczęście niewiele z nich wynikało, bo skupiały się głównie na mnie, a nie na Ruby.

– Co to było? Ania nie potrafiła mi do końca wytłumaczyć, co dolegało biednej Ruby – Julia drażyła temat.

– Podejrzewali drobnokomórkowego raka płuc, na szczęście diagnoza była mylna. To nic złośliwego, ma tylko jakieś nieszkodliwe guzki na oskrzelach – wybrnąłem, odwieszając marynarkę.

– Rozumiem. – Julia złapała za moją rękę i ucisnęła krzepiąco. – Nie wiesz, jak się cieszę. Dobrze, że się wyjaśniło, ale co przeżyliście, to wasze. Ucałuj ją ode mnie i Alana.

– Jasne. Przekażę, dzięki.

– Żeby jeszcze z tym Brianem się ułożyło – westchnęła. – Co za nieszczęśliwy zbieg okoliczności. Najpierw twoja mama, teraz wasz przyjaciel...

– Jest pod dobrą opieką.

– Czasami i to nie wystarczy. – Machnęła ręką. – Ale nie traćcie nadziei. Ania jest u siebie. Mówiła, że przyjdiesz. Alan w pracy, a ja właśnie wybieram się na zakupy. Umówiłam się z Wandą – wyjaśniła, dlaczego miała na sobie płaszcz, a teraz stanęła przed lustrem i poprawiała fryzurę.

– Udanych łowów – życzyłem jej, ciesząc się w duchu, że będę sam na sam z moją dziewczyną.

Odczekałem, aż za Julią zamkną się drzwi, wziąłem głęboki wdech i wbiegłem na schody. Zapukałem, po chwili usłyszałem nieśmiałe „Proszę” i wmaszerowałem do pokoju Anny. Planowałem, że od razu po powitaniu ją zbesztam, ale gdy zobaczyłem, jak bardzo jest wystraszona i spłoszona moim przybyciem, od razu zmiękłem. Nie potrafiłem się na nią gniewać. Byłem zbyt stęskniony.

– Anna, kochanie... – Dopadłem do niej i zamknąłem w ramionach, ściskając aż do utraty tchu.

Długą chwilę tkwiliśmy objęci, a przez głowę i serce przetaczał się milion myśli i emocji. Gdy przypominałem sobie wczorajszą krótką wizytę Nataszy i jej opowieść, od razu coś dławiło mnie w gardle. Jak Anna mogła być aż tak nierozważna? Miała szczęście, że rozładowałem negatywną energię, a raczej furię, bo cały dzień byłem mocno zajęty załatwianiem miejsca w szpitalu i transportu dla Briana i Krisa z lotniska oraz dziesiątką innych spraw związanych z umieszczeniem naszego przyjaciela na oddziale, w tym również tego, żebyśmy mogli tam przebywać dyskretnie i bez ograniczeń. Do tego wszystkiego kilka razy rozmawiałem telefonicznie z Thorem i Bekan. Mieli dla mnie, a raczej dla Krisa i Dalili, wiele nowych informacji zarówno o Niandi, jej rodzinie, jak i o tym nieszczęsnym tłumaczu.

– Przepraszam – wyjąkała w mój tors Anna. Zawsze potrafiła prawidłowo zinterpretować moje zachowanie, zbyt dobrze mnie znała.

– Musimy pogadać. – Nie zamierzałem mimo wszystko puścić jej płazem tego, co wydarzyło się w Zhangmu.

– Chcesz herbaty? – Odsunęła się i popatrzyła prosto w moje oczy, zagryzając przy tym kącik ust.

– Dziękuję, przed chwilą piłem kawę. Może później – odmówiłem, starając się za wszelką cenę zachować maksimum spokoju.

– Okej. – Klapnęła na łóżko.

– Brian jest w klinice, ale to wiesz? – Usiadłem na krześle przy biurku.

Gdybym usadowił się przy Annie, nic by nie wyszło z moich planów, czyli poważnej „męskiej” rozmowy. Jak znam życie, siebie i moją dziewczynę, skończylibyśmy bez ciuchów, a zamiast pouczenia udzieliłbym jej tony pieścizot i pocałunków.

– Wiem. Dalila zadzwoniła do Krisa, ledwie przyleciałyśmy na Heathrow. Mówił, że wczoraj pod wieczór go przyjęli. Pojedziemy tam jutro?

– Tak.

– Mam nadzieję, że już coś będą wiedzieć – sapnęła, wyłamując palce.

Znów poczułem pragnienie, żeby wziąć ją w ramiona, ale je powstrzymałem. Najpierw rozmowa, później pocieszenie. Przez moment starałem się jeszcze raz poukładać w głowie to, co przekazała mi Natasza. Razem z Anną, Dalilą i Alishą wróciły z Delhi zwykłym rejsowym lotem, a Kris z Brianem oraz lekarz i dwie pielęgniarki lecieli specjalnie

wyczarterowanym samolotem z niezbędną medyczną aparaturą na pokładzie.

Pierwotnie plan powrotu samolotem-ambulanssem obejmował całą grupę, niestety wszystkie cztery kobiety, a w szczególności Alisha, musiały jak najprędzej opuścić tamte rejony i znaleźć się w bardziej cywilizowanym miejscu.

Tłumacz wynajęty przez Krisa okazał się tajniakiem, w dodatku grał na dwa fronty, czyli nie tylko zamierzał narobić kłopotów Alishy, demaskując ją na granicy i zatrzymując w areszcie, ale i wyłudzić od Krisa i Dalili pieniądze, gdy tylko była okazja. Pan Jiao miał pecha, bo Nat znała chiński, w stopniu podstawowym, ale to wystarczyło, aby go zrozumieć. Wiedziała, że oszukał Dalilę, przekazując jej, że babka Niandi chce znacznie więcej pieniędzy za to, żeby zostawić ją i Annę sam na sam z wnuczką. Później dał starej tylko część tej kwoty, ale nie to było najgorsze.

Gdyby nie sprytny manewr Nataszy z decyzją o nocowaniu w hotelu w Zhangmu i jej nagłą zmianą, na granicy Niandi zostałaby aresztowana, bo pan Jiao, mówiąc, że dzwoni do żony, tak naprawdę dzwonił do strażników przygranicznych, z którymi umówił się już przy wyjeździe z Nepalu. Przy okazji cała trójka osób towarzyszących dziewczynie, czyli Anna, Nat i Dalila też wylądowałyby w areszcie. Nie wiadomo, jak by to się skończyło, ale na pewno nie bez ogromnych łapówek i równie wielkich problemów.

– Natasza odwiedziła mnie dzisiaj rano. Powiedziała, że już nigdy nie podejmie się współpracy ze mną – przekazałem Annie informację. – Była wściekła jak osa. Chciałem jej dopłacić za fatygę drugie tyle, ile dostała przed wyjazdem, ale się nie zgodziła. Stwierdziła, że nie ma takich pieniędzy, za które świadczyłaby nam usługi. Możesz mi to wyjaśnić? – spytałem, kręcąc się lekko na obrotowym fotelu.

– Pewnie się wkurzyła, bo...

– Bo niewiele brakowało, żeby ten Chińczyk zarzął cię jak kurczaka? – powtórzyłem słowa Nataszy. – Powiedz, po cholere tam lazałaś? Jak mogłaś być tak bezmyślna? Tak się narażać? Czemu jej nie słuchałaś? Przecież ci mówiła, że masz odejść! – Trochę się uniosłem.

Znów czułem się tak samo zdenerwowany i przejęty, jak w trakcie opowieści Nataszy.

– Oj, wielkie rzeczy – fuknęła Anna, wydymając usta. – Po pierwsze Dalila by mnie uratowała, a po drugie chyba go skutecznie obezwładniłam. Na coś się przydał kurs samoobrony, a Klaus naprawdę jest świetnym instruktorem.

Leo, nie rób ze mnie takiej sieroty. Skąd mogłam wiedzieć, że on jest tym tajniakiem czy jakimś innym szpiegiem? – Wzruszyła ramionami. – Ja też go zaskoczyłam – dodała z nutką dumy w głosie.

– Prawdopodobnie Dalila by cię uratowała, ale nie pomyślałaś, że podrzynanie gardła jest dla ofiary niezbyt przyjemne? – Z niedowierzaniem pokręciłem głową. – A co do twoich umiejętności, muszę cię zmartwić: ten facet to fachowiec wyszkolony równie dobrze jak Natasza i ten twój Klaus, o ile nie lepiej. Potrafił udawać, że się boi. Nie rozumiesz? To maszyna do zabijania. Był na wakacjach, a nie na misji. Udało ci się, bo pół roku temu miał poważną kontuzję prawego barku. Jakieś zwichnięcie. Tylko dlatego wrąbałaś mu nóż po samą rękojeść, bo pewnie znów zwichnęłaś mu rękę! – Nachyliłem się, żeby moje słowa wreszcie dotarły do tej upartej istoty siedzącej przede mną.

Odniosły skutek, bo Anna wyraźnie zbladła.

– Naprawdę? Skąd wiesz? – wyjąkała.

– Od Bekan i Thora. Wytropili go w systemie. Ten koleś to profesjonalista. Na szczęście nie błyszczy intelektem, więc się nie domyślił, że Nat go zdemaskowała.

– Sądziłam, że coś jej odbiło – powiedziała Anna. – Gdy kazała mu się rozebrać, a w tym czasie celowała do niego z pistoletu, pomyślałam, że zaraz odbędzie się jakaś nieprzewidziana egzekucja. Musiałam interweniować.

– Nie dziw się, że kazała mu zdjąć ciuchy. Chciała mieć pewność, że zostawi go w lesie bez broni i telefonu, a brak butów i odzieży spowolni go na tyle skutecznie, że będziecie miały czas na ucieczkę.

– Wiem, wyrzuciła ten tobołek po drodze do jakiegoś wąwozu.

– To było bardzo nierozważne z twojej strony. Rok temu w identycznej sytuacji ten Chińczyk poszatkowałby cię na plastry grubości włosa. Nawet Dalila by nie pomogła – warknąłem, przypominając sobie dossier pana Jiao, który, nawiasem mówiąc, nie wiadomo, jak się nazywał, bo miał co najmniej osiem różnych tożsamości. Zupełnie jak niektórzy Wędrowcy.

– Ups... – syknęła Anna.

– Ups? Tylko tyle masz do powiedzenia? – Znów nie dowierzałem.

– Przepraszam. Myślałam, że Nat zwariowała.

– Nieważne. – Machnąłem ręką. – Powiedz, co tam się wydarzyło? Natasza nie wkurzyłaby się aż tak twoją niesubordynacją, żeby zerwać współpracę nie tylko ze mną, ale i z Krisem. Miała różnych klientów, jeszcze bardziej

kłopotliwych. Co jest grane? – spytałem, bo nie dawało mi to spokoju. – Widziała, jak Dalila uzdrowiła tego Chińczyka? – rzuciłem jedyne rozwiązanie zagadki, jakie przyszło mi do głowy.

– Uhm.

– Cholera! Czułem, że tak było! – Podskoczyłem na fotelu.

– Przepraszam, ale naprawdę nie miałyśmy innego wyjścia! Wiedziałyśmy, że z nim krucho. Dalila go uzdrawiała sama, ale zbyt długo to trwało i Nat poszła zobaczyć, co się dzieje.

– I jak zareagowała?

– Wystraszyła się. W zasadzie prawie umarła z przerażenia. Ona jest taka bardzo... pragmatyczna? Nie wiem, jak to ująć.

– I jak wyjaśniłyście to uzdrowienie?

– Pytała, czy Dalila jest bioenergoterapeutką. – Nagle Anna zachichotała.

– Świetnie – sapnąłem z przekąsem.

– Odpowiedziała, że coś w tym rodzaju. A potem uleczyła mnie i pokazała to Nataszy. W sumie mogła sobie darować, bo ten Chińczyk tylko mnie drasnął. Chyba wtedy Nat stwierdziła, że definitywnie kończy współpracę z nami. Pewnie boi się czarownic i mocy nadprzyrodzonych. – Anna zabawnie zmarszczyła nos, ale jej oczy wcale się nie śmiały, a głos nie brzmiał wesoło. Na dodatek odniosłem wrażenie, że coś niepokojąco błysnęło w kącikach oczu; chyba miała już dosyć reprimendy.

– Nieważne. Znajdziemy ci inną ochroniarzkę. – Podniosłem się szybko z fotela i przysiadłem tuż obok Anny. – Co taka markotna jesteś, martwisz się o Briana?

– Też.

– O co jeszcze? – spytałem, tuląc ją do siebie.

– Leo, muszę ci coś powiedzieć... – wyszeptała. – Nikomu nie mówiłam. Ten człowiek, ten pan Jiao przez moment nie żył. Dalila go uzdrowiła, ale fakty są takie, że ja go zabiłam... – wyłkała przez zaciśnięte płaczem gardło.

– Wiem. Mogło tak być, skoro rana była bardzo głęboka. Ale przecież udało się go przywrócić do zdrowia, a ty działałaś w obronie własnej. Skąd mogłaś wiedzieć, że tak się stanie? Nie rób sobie wyrzutów. – Ucałowałem ją w czubek głowy.

– Nie chodzi mi o wyrzuty, chociaż też je mam.

– A o co?

– O zamię.

– Co z nim?! – Odsunąłem się od Anny, chcąc spojrzeć jej w oczy.

– Zbladło – wyjąkała z przerażeniem. – Leo, ono znika...

– Pokaż! – zażądałem chyba zbyt stanowczo, bo aż się wzdrygnęła, ale od razu posłusznie uniosła brzeg koszulki, odsłaniając brzuch i znamię.

– Widzisz? – szepnęła, jakby się bała, że od jej głosu znak Eperu pojaśnieje jeszcze bardziej.

– Hm... – mruknąłem, chcąc dać sobie nieco więcej czasu do namysłu. Anna miała rację. Mnie też jej znamię wydawało się bledsze. – Kiedy to zauważyłaś? – spytałem, ciągle się przyglądając tej małej ósemce kiedyś wypełnionej malinowym, a teraz jasnoróżowym kolorem.

– Tak naprawdę to najpierw poczułam. Jeszcze gdy jechałyśmy w czwórkę, niedługo po tym zdarzeniu w lesie. Byłyśmy głodne, Natasza powiedziała, że za fotelami są termosy, zjadłyśmy brunch i jakoś chwilę później zaczęło mnie mrowić i swędzieć w tym miejscu. Mogę już zakryć? – Popatrzyła pytającym wzrokiem.

– Tak.

– Myślałam, że może mam uczulenie na coś z jedzenia albo że mnie ugryzł jakiś owad, gdy byłam w lesie za potrzebą. Na lotnisku poszłam do łazienki i wtedy zobaczyłam, że coś z nim nie tak. Kilka godzin później w samolocie znów sprawdziłam, i jeszcze, i jeszcze... – westchnęła. – Było coraz gorzej, ono ciągle bladło. Dalila spytała, co mi się dzieje, bo co dwie godziny wychodziłam do toalety, ale ją zbyłam. Na wszelki wypadek dużo piłam, żeby mieć pretekst. – Wzruszyła ramionami.

– Cały czas blednie? – Z trudem zadałem to pytanie.

– Nie. Chyba już przestało. Jakaś dobę po tym... wypadku. Co pięć godzin robię zdjęcie komórką. Staję w łazience, zamykam drzwi, żeby światło było takie samo. Pokażę ci. – Sięgnęła po leżący na szafce telefon i wyszukała galerię. Z łatwością mogłem poczuć, jak bardzo drżąca i spocona była ta szczupła dłoń, która podała mi aparat.

– Moim zdaniem jest takie samo na wszystkich zdjęciach – orzekłem po minucie.

– Ale i tak jest bardzo jasne. Leo... Co to znaczy? Czy ja już nie jestem Eperu? – Popatrzyła na mnie jak na wyrocznie.

Co mogłem powiedzieć? Nie miałem pojęcia, czy tak faktycznie się stało. Jedno było pewne: to, że znamię zbladło, nie oznaczało niczego dobrego.

– Musimy pogadać z Krisem i Dalilą, oni są znacznie starszymi

Wędrowcami. Może coś wiedzą na ten temat – zasugerowałem Annie. – Znamię zbladło, bo zrobiłaś krzywdę człowiekowi. W drugą stronę to powinno zadziałać podobnie – podsunąłem jej myśl. – Kierując się logiką: gdybyś uratowała komuś życie, przypuszczalnie znamię znów przyjmie swoją zwykłą barwę.

– Tak sądzisz? – Uniosła brwi. Chyba nieco sceptycznie podeszła do mojego rozumowania.

– Gdyby miało zniknąć, już dawno tak by się stało. Nie zabiłaś tego człowieka umyślnie, broniłaś się, pewnie dlatego tylko zmieniło kolor, ale nie zniknęło.

– Sama nie wiem... – jęknęła cicho, przytulając się do mnie. – Boże, ależ byłam głupia. Miałaś rację. Niepotrzebnie tam poszłam. Nie wiesz, jak żałuję, że się wtrąciłam w spór między Nat a tym Chińczykiem.

– Nie rób sobie wyrzutów. Może gdybyś tam nie poszła, skończyłoby się jeszcze gorzej? – próbowałem ją pocieszyć, bo znów zaczęła płakać. – Będzie dobrze, zobaczysz. Kiedy to wszystko już minie i Brian wyzdrowieje, zabiorę cię do Japonii. – Uniosłem ją lekko, posadziłem na kolanach i objąłem najmocniej, jak mogłem. – Za dwa tygodnie zaczynam zdjęcia. Polecisz ze mną. Najpierw pobuszujesz na planie, twój ulubieniec Sebastian też tam będzie, a wolne chwile spędzimy, zwiedzając Tokio. Jest piękne o tej porze roku. Co ty na to?

– Długo tam będziesz? – spytała Anna, pociągając nosem.

– Minimum trzy tygodnie, ale jeśli chcesz, możemy zostać nawet dwa miesiące – zaśmiałem się. – Zwiedzimy całą Japonię. Będiesz rysować, a ja wreszcie odpocznę. Zapuszczę brodę i wąsy, żeby szalone Japonki mnie nie poznały. A gdy wrócimy, weźmiemy ślub – snułem śmiałe plany, choć akurat to ostatnie zamierzenie już dwukrotnie zakończyło się fiaskiem.

– Mama mówi, że Bóg się śmieje, gdy człowiek coś planuje.

– Serio? Wobec tego nieraz dałem mu okazję do śmiechu – odparłem. – Powinien być mi wdzięczny. Wszak śmiech to zdrowie.

– Nie masz mnie dość?

– Dlaczego? – uniosłem brwi.

– Leo, myślę, że od kiedy mnie znasz, twoje życie to ciągła szamotanina, wieczne problemy. Ledwie znika jeden, a w jego miejsce pojawiają się dwa. Kiedyś też wszystko planowałam, ale ostatnio tyle się wydarzyło... – Zawiesiła głos. – Czasami boję się marzyć, a nawet gdy marzenie się spełnia,

znów się boję, że to było ostatnie. Chyba się starzeję. – Anna zachichotała.

– Każdy się starzeje – odpowiedziałem. – A czy moje życie się zmieniło, od kiedy cię poznałem? Tak, zmieniło się. Dopiero teraz czuję, że żyję naprawdę. Rozumiesz? Kocham cię, a problemy? Są zawsze. Gdy mieszkaliśmy w Londynie, naszą sąsiadką była panna Sennet. Zaprzyjaźniły się z Ruby, może dlatego, że były rówieśnicami i obie lubiły czytać, zwłaszcza takie typowe romantyczne powieści dla kobiet. Kiedyś przyszła nas odwiedzić, akurat gdy mama wróciła z pracy. Godzinę wcześniej zjedliśmy obiad z ojcem, w kuchni panowało istne pobojowisko, bo pralka się zepsuła i zalało podłogę. Wszędzie walały się brudne ciuchy, bo George wpadł na pomysł, żeby nimi powycierać wodę. Ruby się wściekła. – Zaśmiałem się na to wspomnienie. – Zaczęła krzyczeć, że zaraz oszaleje i wyprowadzi się z domu. Wtedy panna Sennet powiedziała: „Ruby, jesteś taka szczęśliwa”. Oczywiście mama popatrzyła na nią jak na wariatkę, pytając, co za szczęście ma na myśli.

– I co jej odpowiedziała panna Sennet? – Anna była ciekawa puenty.

– „Niektórzy marzą, żeby wrócić do domu i zobaczyć stertę naczyń w zlewie, by opróżniając kosz z brudną bielizną, wyjąć zaplamiony dziecięcy podkoszulek albo otworzyć lodówkę i stwierdzić, że mąż zjadł mój ulubiony jogurt. To właśnie jest twoje szczęście, kochana. Mnie nikt go nie sprawił i chyba już nie sprawi”. – Jak dobrze, że szczyciłem się niezłą pamięcią i mogłem prawie słowo w słowo zacytować sąsiadkę.

– Ładnie to powiedziała – westchnęła Anna. – I co się z nią stało?

– Mieszka nadal w tym samym domu, ale nie sama. Nazajutrz po tej rozmowie Ruby pojechała do schroniska i przywiozła małego kotka. Dała go pannie Sennet, mówiąc, że teraz będzie miał kto bałaganić i sprawiać jej problemy. Widzisz? Co byłoby warte życie bez nich?

– Leo, wiesz... Jesteś najukochańszym facetem na ziemi – sapnął mój Wilczek.

– Dostanę nagrodę? – Nadstawiłem policzek.

– A jak myślisz...

* * *

Szósty raz obserwowaliśmy tę samą procedurę: doktor Elfman, jeden z najlepszych londyńskich neurologów, powoli i w skupieniu badał Briana: świecił do oczu, sprawdzał, czy gałki oczne reagują na dotyk, a później czy

ciało odbiera bodźce bólowe. Gdy skończył, jak za każdym poprzednim razem bez słowa wyszedł do naszej małej łazienki, po drodze zdejmując gumowe rękawiczki. Wrócił po dwóch minutach. Znow otoczył nas lekki zapach mydła, którym z pewnością dokładnie umył ręce. Usiadł i wypełniał raport.

Poprawiłam się na krześle. Było niewygodne, wolałam stać obok łóżka, ale Leo się uparł, że mam siedzieć. Pewnie przez wczorajsze zasłabnięcie. Może i miał rację, dzisiaj było jeszcze gorzej: kończył się ostatni dzień... Ostatnie godziny nadziei upływały bezlitośnie, a wraz z nimi czułam, jak coś we mnie umiera.

Leo stał za mną i oburącz trzymał moje ramiona. Chciał dodać mi otuchy, ale to nie pomagało. Byłam otępiała z żalu i bólu.

– Proszę państwa – chrząknął Philip Elfman, stając przed nami. – Stan pacjenta określam jako bez zmian.

– Rozumiem – potaknął Leo i od razu ścisnął mnie mocniej za ramię.

Neurolog podrapał się po brodzie, zerknął do swoich notatek i przez chwilę czytał coś z uwagą. Po minucie podniósł na nas wzrok.

– Chciałbym teraz omówić, jak będzie wyglądał jutrzejszy dzień. Rano o godzinie ósmej...

– Nie tutaj. Nie przy nim – przerwałam mu nagle. – Przecież Brian wszystko słyszy...

Skuliłam się. Moim ciałem znow zaczął wstrząsać szloch. Nie mogłam się pogodzić ze świadomością, że to koniec. Jutro przyjedzie ambulans, zabiorą Briana do kliniki transplantacyjnej, tam pobiorą narządy, a potem pozwolą mu umrzeć. Gdy to sobie wyobrażałam, miałam wrażenie, że ktoś chce wyrwać z piersi moje własne serce, chce zabrać moje oczy, moje myśli i wszystko, co stanowiło moje jestestwo.

Ciągle nie mogłam wybaczyć Brianowi, że mnie opuścił. Na dodatek mimo tłumaczeń, że prawie wszyscy lekarze zgłaszają się jako dawcy i że Brian również wypełnił i nosił ze sobą taką deklarację, ja ciągle węszyłam jakiś spisek. Przecież ciało Briana było w doskonałym stanie. Dalila zadbała o to, codziennie go dotykając i masując. Mięśnie, skóra, kości, narządy wewnętrzne, mózg: stan idealny. Lekarze orzekli: wszystko bez zmian chorobowych, cech patologii i uszkodzeń. Niestety, ale brakowało jednej istotnej części: duszy Briana.

Przeszliśmy do naszego skromnego pokoju „dla rodziny”. Leo przytomnie zaproponował coś doktorowi Philipowi, ale ten natychmiast odmówił. Łatwo

dało się odgadnąć, że miał dosyć wizyt u nas i z pewnością jedyne, o czym myślał, to żeby jak najszybciej stąd wyjść.

– A ty chcesz wody? – usłyszałam.

Nie odezwałam się ani słowem, mimo to po chwili Leo postawił przede mną kubeczek. Usiadł tuż obok i mnie przytulił.

– Mam pytanie – wyjąkałam. Neurolog natychmiast skupił na mnie wzrok, a Leo zapobiegawczo przysunął się na wąskiej sofie i mocniej zagarnął mnie ramieniem. – Czy jutro będziecie robić jakieś badania? Czy od razu... – Załamał mi się głos. Leo skwapliwie podał mi kolejną chusteczkę.

– Nie od razu. To dość skomplikowane – wyjaśnił Elfman. – Ponownie zbierze się komisja. Oprócz standardowych badań wykonamy EEG i BAEP – sypał fachowymi terminami, a ja słuchałam każdego słowa, jak wyroku. – Przypuszczam, że ostateczna decyzja o godzinie odłączenia pacjenta zapadnie po południu.

Zacisnęłam wargi. Została niecała doba. Kusiło mnie, żeby ubłagać Leo o jeszcze trzy kolejne dni, ale wiedziałam, że się nie zgodzi. I wcale nie chodziło o pieniądze, bo tych wystarczyłoby nawet na kilka lat. Stać go było na to, żeby Brian leżał w prywatnym hospicjum, jednym z najlepszych w Londynie, i pod doskonałą opieką. Mój narzeczony, Kris, Dalila, nawet mama – oni wszyscy mieli na uwadze tylko jedno: moje dobro. Choć żadne z nich nie odważyło się powiedzieć ani słowa, czułam i wiedziałam, co chcą mi przekazać. Ich serca mówiły: pozwól mu odejść.

Ale to było takie trudne. Mojego cierpienia nie umniejszała świadomość, że gdy tylko ciało Briana definitywnie przestanie funkcjonować, on sam narodzi się na nowo. Chciałam go takiego, jak był teraz: dojrzałego, dorosłego mężczyznę, którego kochałam jak brata i przy którym czułam się kompletna i bezpieczna.

– Mówił pan, że jego mózg nie jest uszkodzony – znów chwyciłam się jedynej deski ratunku, jedyne odstępstwa od medycznej normy określającej śmierć pnia mózgu. – Na pewno wykorzystaliście wszystkie sposoby leczenia?

– Nie zarejestrowaliśmy żadnych uszkodzeń mózgu, które możemy wychwycić dostępnymi obecnie metodami. Nie oznacza to jednak, że można je całkowicie wykluczyć. Proszę pamiętać: medycyna ciągle się rozwija, diagnostyka również. Wiele schorzeń, które obecnie diagnozujemy bez problemów, kiedyś pozostawało jedynie w sferze domysłów – powtórzył to, co już usłyszeliśmy z ust pozostałych członków komisji, która orzekała

w sprawie Briana.

Zakryłam usta dłonią. Opuściłam głowę i patrzyłam, jak moje łzy kapią i wsiąkają w rękaw koszuli Leo. Nie mogłam uwierzyć, że to już koniec, że nic nie możemy zrobić. Byłam otoczona grupą Wędrowców, którzy tyle mogli: mieli pieniądze, rozliczne znajomości i kontakty, Dalila swój niesamowity dar, a ja swój. Godzinami mówiłam do Briana, prosiłam i błagałam bezgłośnie, żeby do nas wrócił, tysiącokrotnie powtarzałam, że mu wybaczyłam, że jest nam potrzebny. Wszystko na nic.

– Jeśli nie macie państwo pytań, będę się zbierał. – Słyszałam, jak Elfman wstaje. – Mam jeszcze inne obowiązki.

– Odprowadzę pana.

Na chwilę zostałam sama. Usilnie próbowałam odszukać coś w zakamarkach mojej pamięci po przodkach. Tyle razy się udało: uruchomiłam samochód, potrafiłam strzelać jak zawodowy snajper, widziałam rozmowę mojego dziadka z Dorothy. Niestety, jedyne, co teraz kołatało się w mojej głowie, to wściekłość i żal, że nie udało się odnaleźć Księgi. Byłam pewna, że w niej zawarty był sposób, jak uratować Briana i sprowadzić go do nas z powrotem.

– Przeklęta Księga! – mruknęłam pod nosem.

– Może się połóż? Jesteś wykończona.

Nie zauważyłam, kiedy Leo wrócił. Podniosłam na niego oczy i wyciągnęłam rękę, żeby usiadł przy mnie.

– Kocham cię. – Ścisnęłam go mocno. Wtulona twarzą w ciepłą pierś, słuchałam bijącego serca. – Leo, wybac mi, ale nie potrafię się z tym pogodzić – wyszeptałam. – Musisz mnie zrozumieć. Bez Briana czuję się jak bez fragmentu siebie. Nie wiem, dlaczego tak jest. Kocham go inaczej, nie tak jak ciebie. To irracjonalne, ale Brian jest kimś w rodzaju mnie samej – próbowałam nieudolnie oddać swoje uczucia.

– Wiem. – Leo delikatnie głaskał moje włosy. – Rozumiem cię.

– Dziękuję.

Przepełniało mnie poczucie bezgranicznej miłości i zaufania, tak silne, aż dławilo w gardle. Był przy mnie tak kochający i wyrozumiały człowiek... Nie mieściło mi się w głowie, że miałam tyle szczęścia, spotykając na swojej drodze Leo.

– Musisz odpocząć – mówił jak do małego dziecka. – Pewnie na kolację nie dasz się namówić, ale może choć wypijesz kubek kakao? Zagrzeję mleko. –

Popatrzył w stronę aneksu kuchennego.

– Nie. Później, bo teraz chciałabym spędzić z nim chociaż godzinę. Pójdiesz ze mną?

– Dobrze.

Wstał i pomógł mi się podnieść. Powoli przeszliśmy do drugiego pomieszczenia. Wodziłam wzrokiem po wszystkim, co miało sprawiać złudne wrażenie domowego klimatu: ścianach pokrytych tapetą lekko opalizującą w świetle nocnych lampek, małym obrazku przedstawiającym jakiś nadmorski widoczek, cienkim sznurkowym dywaniku leżącym przed łóżkiem, krzesłach przygotowanych dla mnie i doktora Philipa, ale nie mogłam odwręcić wzroku od nieskończoności tego, co nieuchronne i nie zauważać mojego przyjaciela leżącego bez życia, otoczonego sprzętem medycznym, przy cichym akompaniamencie pracujących maszyn.

– Leo, usiądź po drugiej stronie – poprosiłam, sama siadając przy prawym boku łóżka. Mój chłopak przez chwilę się zawahał, ale ostatecznie zabrał krzesło i usadowił się, jak chciałam. – Weź go za rękę. To już ostatni raz. – Popatrzyłam na Leo z nadzieją, że się nie zniecierpliwi.

– Pamiętaj, ja też mam wobec niego dług. – Przełknęła ślinę.

Siedzieliśmy, opierając łokcie o materac. W dłoniach trzymaliśmy dłonie Briana: chłodne, nieruchome, jak martwe. Ta, którą tuliłam i masowałam palcami, była oklejona plastrem zakrywającym wenflon. Gładziłam ją, pocieszając się myślą, że Briana na pewno nie boli to miejsce, gdzie tkwiła okropna gruba żyłka, którą pięć razy dziennie podawano mu kroplówki. Zamknęłam oczy. Moje myśli pofrunęły niczym nieograniczone...

– Wiesz... – zwróciłam się do Leo – *boję się, że on uciekł gdzieś bardzo daleko i dlatego nas nie słyszy. Nie wiem tylko, dlaczego tak postąpił. Gdy byłam w bunkrze, kiedyś chciałam zrobić podobnie. Chciałam polecieć do ciebie i zostać tak długo, aż umrze moje ciało.*

– Proszę, nie mów takich rzeczy – usłyszałam zachrypnięty głos.

– *Kris mówił, że jesteśmy połączeni z naszymi ciałami niewidzialną nitką.*

Pamiętasz?

– Tak.

– *Skoro to prawda, dlaczego Brian nie wraca?*

– Nie wiem, kochanie. Może już umarł i narodził się na nowo? – mówił łagodnie.

– *Ciekawe, co dzieje się z naszymi znamionami po śmierci. Gdyby*

zostawały, czy nadal posiadalibyśmy Astrum?

– Szczerze mówiąc, chyba nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Trzeba spytać Krisa albo Dalilę. A w ogóle, to skąd ci przyszły do głowy takie pytania?

Nie odpowiedziałam, bo moją głowę zaprzętało coś innego.

– *Muszę ci coś wyznać. Kiedyś Brian chciał dotknąć mojego znamienia. Pozwoliłam mu. Pamiętam, że wtedy między jego palcem a...* – Myśl zastygła nagle, jak wosk wlany do lodowatej wody...

* * *

Trzy dni w szpitalu neurologicznym przy Queen Square były jednym z najcięższych doświadczeń, jakie przeżyłem. Nieodparcie przywoływały wspomnienia z bostońskiej kliniki i czasu, gdy godzinami tkwiłem przy łóżku mojej umierającej matki. Ale gdy tylko ogarniały mnie zniecierpliwienie i frustracja, natychmiast strofowałem się w duchu. Przecież gdyby nie Brian, moja obecna mama już by nie żyła, a George z pewnością szybko dołączyłby do niej. Ojciec nie potrafił żyć bez Ruby. Tracąc mamę, straciłbym oboje rodziców.

Usprawiedliwiałem się tym, że moje uczucia, niejednokrotnie bardzo negatywne, nie miały związku z dyskomfortem czy przykrą atmosferą tego miejsca, a głównie, o ile nie wyłącznie, z cierpieniem Anny. Przez trzy doby napatrzyłem się wystarczająco na jej rozpacz. Żałowałem, że wyraziłem zgodę na przedłużanie tej agonii. Gdybym twardo został przy swoim zdaniu, już byłoby po pogrzebie, ale zmiękłem. Teraz wiedziałem, że to była zła decyzja. Powinienem był uparcie tłumaczyć Annie, że Brian gdzieś żyje, że znów go spotka za dwadzieścia lat, a może i wcześniej, choć ten argument jakoś nie mógł do niej dotrzeć.

Czy byłem zazdrosny o Briana? Już nie. Od kiedy na moim sercu spoczywała mała kartka z wyznaniem miłości, napisanym przez Annę wprost z serca, było mi łatwiej. Zawsze nosiłem ją przy sobie: złożoną we czworo i zabezpieczoną foliową kieszonką. Mając świadomość, że w każdej chwili mogę ją wyjąć i przeczytać tych kilka linijek, czułem się bezpiecznie. To ja byłem jedynym facetem, którego Anna kochała i z którym była w każdej najbardziej intymnej sytuacji. Tylko to się liczyło.

Jak co wieczór, musiałem iść z nią i życzyć Brianowi dobrej nocy. Chyba

zaden człowiek nie wzbudził we mnie takiej kompozycji uczuć jak on. Od nieprawdopodobnej nienawiści do czegoś, co można by śmiało nazwać braterską miłością i przyjaźnią aż po grób. Przerobiłem z nim cały wachlarz emocji. Były zazdrość, nieufność, złość, żal, gniew, chęć walki, ale również dozgonna wdzięczność, podziw, szacunek, wiara, że mi pomoże, że mogę na niego liczyć.

Czasem miałem ochotę mocno nim potrząsnąć, gdy tak leżał nieruchomy i pólnagi, okryty jedynie cienkim kocem przyniesionym przez Annę z jej domu. Chciałem wrzasnąć, żeby się nie poddawał, żeby żył i wrócił do nas, do Anny, która tak za nim tęskni, ale szybko odganiałem taką myśl, bo przecież ja sam już dwa razy postąpiłem podobnie w stosunku do mojej ukochanej: uciekając do Wyee i pozwalając jej odejść kilka miesięcy temu. Nie mogłem go pouczać, sam będąc niewiele lepszy.

Ale te wszystkie przemyślenia i uczucia były niczym wobec tego, co działo się z Anną. Jej cierpienie było nie do zniesienia. Pewnie dlatego na wszystko przystawałem, słuchałem jej bez słowa sprzeciwu, pocieszałem, przytulałem, odgadywałem każdą myśl, starałem się odpowiadać na dziesiątki mniej lub bardziej dziwacznych pytań, jak choćby to ostatnie o naszych znamionach i tym, co może się z nimi dzieć po śmierci.

Odpowiedziałem spontanicznie, że nie mam pojęcia, i faktycznie tak było. Rozważałem, czy nadal znamię jest aktywne, widoczne dla Wędrowców z Habbatum, ale przecież to nie miało sensu, bo po co Astrum ciała, w którym nie ma życia. Martwiło mnie też niespodziewane zblednięcie znamienia Anny. Nawet nie miałem okazji pogadać o tym z Krisem i Dalilą. Jedyłą pociechą było to, że proces zmiany koloru już dawno się zatrzymał.

– *Muszę ci coś wyznać. Kiedyś Brian chciał dotknąć mojego znamienia. Pozwoliłam mu. Pamiętam, że wtedy między jego palcem a...* – Anna znów przerwała moje rozmyślenia.

Już od minuty podobnie jak ona zamknąłem oczy i słuchałem jej myśli płynących w mojej głowie. Teraz podniosłem powieki, chciałem zobaczyć, co zatrzymało ten strumień.

– Leo! – powiedziała z napięciem. – Chyba coś mam.

– Co? – Od razu się domyśliłem, że to jakiś pomysł, który ma pomóc Brianowi powrócić, na co, szczerze mówiąc, już całkiem przestałem liczyć.

– Muszę spróbować – stwierdziła stanowczo. – Przytknę jego dłoń do mojego znamienia. Pamiętam, że wtedy, gdy go dotykał, poczułam coś

dziwnego. – Patrzyła na mnie, ale widziałem, że myśli o czymś bardzo intensywnie. – To było jak prąd? Jakby coś przepływało między nami. Jak myślisz, czy to go obudzi? – Zagryzła wargę.

– Tego nie wiem. Spróbuj – odpowiedziałem natychmiast. – Co mamy do stracenia?

– Racja, ale nie masz nic przeciwko temu, bo wiesz, gdzie je mam...

– Wiem. – Obdarzyłem ją łagodnym uśmiechem.

Anna uniosła dłoń Briana i niezgrabnie wsunęła pod brzeg bluzki. – Ta cholerna żyłka przeszkadza – mruknęła, próbując nie zaplątać się w przewód kroplówki.

– Ściągnij bluzkę.

Przez moment patrzyła, czy nie żartuję, po czym szybko zdjęła obcisły golf. Nie powiem, coś drgnęło w sercu, gdy obserwowałem, jak Anna przykładła dłoń Briana pod swoją pierś. Na szczęście znamię znajdowało się kilka centymetrów pod krawędzią miseczki biustonosza, bo nie wiem, czy równie łatwo zniósłbym widok obnażonej piersi dotykanej inną męską dłonią.

– I co? – szepnąłem po minucie. – Czujesz coś?

W odpowiedzi Anna pokręciła głową. Chyba nie miała już siły walczyć. Wszystko na nic. Bezradnie patrzyłem, jak zaczyna płakać. Nagle gwałtownie szarpnęła się z krzesła, objęła ramionami głowę Briana i rozszlochała się na dobre. Leżała na jego nagim torsie, przytulając do siebie nieruchome ciało przyjaciela, całując czoło i łkając w jego włosy tylko jedno słowo: „Dlaczego?”.

Chciałem coś powiedzieć, zrobić, ale gardło wypełniała mi wielka gula. Czułem się kompletnie bezsilny. Na szczęście równie szybko Anna opadła z powrotem na krzesło. Zabrałem ją z sali i zaprowadziłem do łóżka. Bez sprzeciwu pozwoliła się przebrać w pizamę i przykryć kołdrą. Głaskałem jej spoczone czoło, masowałem plecy. Zasnęła szybko, ale sen nie przyniósł ukojenia: wzdychała i pojękiwała. Szukała mojej dłoni i powtarzała cicho: „Przytul mnie, Leo”. Ułożyłem się obok niej, przywarłem jak najmocniej i nie wiem kiedy, ale jakoś udało mi się zasnąć.

Śniłem koszmar: wydawało mi się, że to ja leżę na miejscu Briana, a on jest tutaj w łóżku z Anną. Ledwie to sobie uświadomiłem, od razu postanowiłem natychmiast zrobić z tym porządek! Chyba jednak moja zazdrość nie umarła do końca, bo chciałem przyjść i wyrzucić go stąd, ale nie mogłem się poruszyć. To było okropne. Po chwili udało mi się usiąść. Ucieszyłem się, lecz moja

radość trwała tylko chwilę. Bezskutecznie próbowałem wstać z łóżka, ale powstrzymywały mnie te wszystkie kabelki, przewody i przyssawki. Szarpałem je, niestety medyczne macki tkwiły jak przyspawane, jakby wrosły w moje ciało. Nagle zatrzymała się pompa tłocząca powietrze. Zacząłem się dusić i dławić rurką, którą byłem zaintubowany. Próba zdjęcia maseczki i wyjęcia rurki zakończyła się fiaskiem. Gdy przed oczami zrobiło mi się ciemno, usłyszałem jakiś głos:

– Leo Black nie żyje...

Z wrażenia się obudziłem. Usiadłem na łóżku, oddychając jak po biegu maratońskim. Byłem spocony, aż się ze mnie lało. Szybko zdjąłem podkoszulek, przetarłem nim twarz i rzuciłem na podłogę.

– Boże, co to za horror? – wymamrotałem do siebie. Zerknąłem w stronę korytarza na drzwi prowadzące do pokoju Briana. – Sorry, chłopie, ale jeszcze jedna doba i na pewno byśmy tu z Anną powariowali. Dobrze, że to już koniec tego koszmaru – podsumowałem swoje odczucia.

Podniosłem się ostrożnie, żeby nie zbudzić Anny, i na palcach przeszedłem przez pokój. Na szczęście na stoliku nadal stał kubek z wodą. Wypiłem ją duszkiem. Już miałem wracać do łóżka, gdy zza drzwi dobiegł mnie dziwny dźwięk. To było jak delikatne, ale wyraźnie słyszalne rytmiczne stukanie. Przypominało ciche uderzanie o coś metalowego. Zastygłem ze strachu. Czuję, jak jeżą mi się włosy, a ciało opanowuje gęsia skórka. Oddech znów przyspieszył wraz z łomoczącym sercem.

Stałem, trzęsąc się jak osika. Zerkałem to na śpiącą Annę, to na drzwi. Nie wiedziałem, czy mój słuch tak się wyostrzył, czy dźwięk był coraz donośniejszy. Wzięłem głęboki wdech i powoli zbliżyłem się do drzwi. Moja dłoń dygotała, gdy naciskałem kłamkę. Nogi miałem jak z waty, z trudem wsunąłem się do sali i popatrzyłem na Briana, próbując zlokalizować źródło tego dzwonienia. Niestety, nic nie zauważyłem. Wszystko wyglądało tak jak zawsze, ale przecież coś musiało być na rzeczy, skoro stukanie nie ustawało.

Pokonałem dwa metry dzielące mnie od wejścia do łóżka. To były najdłuższe dwa metry w moim życiu. Nagle mój wzrok spoczął na lewej dłoni Briana. Już wiedziałem, co tak hałasuje: to plastikowa nakładka mierząca poziom saturacji, którą miał założoną. Palec ruszał się i stukał nią o metalową barierkę zabezpieczającą przed upadkiem z łóżka. Czerwona dioda przeświecała przez tworzywo, wyglądało to, jakby Brian specjalnie zbliżał ją do barierki i oddalał.

W pierwszym momencie z wrażenia aż mnie zatchnęło.

– Budzisz się? – wychrypiałem.

Ale zaraz przypomniałem sobie, że podobnie było wczoraj, gdy Brian też poruszył palcem. Anna zemdląca, a kiedy już opanowaliśmy sytuację i doszła do siebie, Elfman wytłumaczył nam, że to tak zwane spontaniczne czynności ruchowe, i podał przykład kury, która potrafiła biegać po dekapitacji. Nie zdało się to na wiele, bo przez kilka następnych godzin Anna siedziała przy łóżku i wypatrywała oczy, żeby znów dostrzec jakikolwiek ślad życia w naszym przyjacielu.

Przez chwilę patrzyłem na ruszający się palec. Rytm uderzeń czasami się zmieniał. Zacząłem się zastanawiać, czy ta dziwna sekwencja uderzeń się nie powtarza, gdy nagle za moimi plecami usłyszałem:

– Leo? Co się dzieje?! – Byłem tak napięty i skoncentrowany, że aż podskoczyłem. Natychmiast się odwróciłem. Anna stała w drzwiach i spoglądała na mnie równie poruszona jak ja przed paroma minutami.

– Boże! Ale mnie wystraszyłeś! – jęknęła, łapiąc się za serce. – Nie wiedziałam, gdzie jesteś! – stwierdziła z wyrzutem.

Na końcu języka miałem uwagę, że ona wystraszyła mnie jeszcze bardziej, ale się powstrzymałem. Nie miałem sumienia jej oskarżać. Wyglądała tak kiepsko: blada, z podkrążonymi oczami i ustami, które zapomniały chyba, jak to jest się uśmiechać. Podeszła i chwyciła mnie za rękę.

– Po co tu stoisz? – spytała, patrząc na Briana. Jej oczy od razu nabrały tego łagodnego, ale i umęczonego cierpieniem wyrazu.

– Usłyszałem hałas. – Wskazałem brodą na palec. Ciągle się poruszał. Raz szybciej, a raz wolniej.

– Leo! – Nagle Anna ścisnęła moją dłoń.

Natychmiast zerknąłem na jej twarz. Oczy miała jak spodki: wielkie i wytrzeszczone, prawie wypadały z oczodołów.

– Co jest grane?! – spytałem.

– On się budzi – wyjąkała i znów skierowała wzrok na dłoń z miernikiem saturacji.

– Wilczku, kochanie... – Nachyliłem się, żeby ją przytulić, ale odepchnęła mnie i gwałtownie dopadła do Briana.

– Słyszysz mnie? Czy mnie słyszysz? Brian! – Delikatnie potrząsała jego ramionami.

– Jezu, Anno...

Zakryłem usta. Nie mogłem na to patrzeć, znów zapowiadało się to samo: rozbudzona nadzieja i tragiczny finał w postaci koszmarnego rozczarowania. Przeklinałem w duchu samego siebie: „Po co się zgodziłeś na ten trzydniowy cyrk? Jesteś kompletnym idiotą! Jak możesz pozwalać na to, żeby ona tak się męczyła?!”.

– Leo! Posłuchaj! – Nagle odwróciła się i zastygła bez ruchu. – On do nas mówi...

– Co? – odparłem totalnie zrezygnowany.

– Wzywa pomoc! Nie słyszysz?! – zniecierpliwiła się. – SOS. Nadaje sygnał alfabetem Morse’a. Nie znasz? – Musiałem chyba przewrócić oczami, bo Anna bez ostrzeżenia szturchnęła mnie w brzuch. – Ja znam! Nauczyłam się niedawno.

– Jesteś pewna? – Ciągle stałem jak wmurowany. Chyba jeszcze do mnie nie dotarło, co właśnie się dzieje z Brianem.

– Tak! Posłuchaj: w, y, j, m, i, j. Wyjmij! – krzyknęła jak szalona i podskoczyła w miejscu. – R, u...

Od razu popatrzyłem na rurkę do intubacji.

– Rurkę? Chce, żeby mu to wyjąć? – Byłem przerażony. – Trzeba natychmiast kogoś wezwać! Nie możemy robić sami takich rzeczy! – Chwyciłem Annę za ramię, ale wyswobodziła je mocnym szarpnięciem.

– On chce, żebyśmy to zrobili, więc nie dyskutuj, tylko mi pomóż! – Stała i aż się trzęsła ze złości.

– Okej, spróbujmy – stwierdziłem stanowczo. Czasami przydawał się mój aktorski talent, bo w duszy czułem, że to kompletne szaleństwo

Nie miałem pojęcia, co robić, ale Anna żwawo pociągnęła mnie za rękę. Nachyliliśmy się nad Brianem. Patrzyłem na niego i coś mi wyraźnie nie pasowało w jego wyglądzie. Byłem wyczulony na takie drobne zmiany. Ile razy musieliśmy na nowo kręcić scenę, bo okazywało się, że któreś z aktorów zapomniało zapiąć guzik, nie założyło okularów albo przeczesало grzywkę nie w tę stronę, co trzeba. Co się zmieniło? Próbowałem odgadnąć, ale nie miałem szansy spokojnie się zastanowić, bo Anna właśnie z trudem oderwała plastry przytrzymujące rurkę i zerknęła na mnie, szukając wsparcia albo licząc na to, że to ja ją wyjmę. Już wyciągałem rękę, ale Brian chyba postanowił nas wyrećczyć, zaczął się szamotać, zerwał miernik saturacji i sam sięgnął po całe to okropne ustrojstwo wystające z gardła. Zamarłem z przerażenia, gdy próbował je wyszarpnąć.

– Pomóż mu! – Anna popchnęła mnie jeszcze mocniej niż przed momentem.

Od razu chwyciłem za rurkę, ale tkwiła mocno, a Brian zaczął się dusić. Wyrzeszczył oczy, a jego czoło pokryło się potem. Monitor piszczał. Szybki rzut oka upewnił mnie, że zaraz coś się wydarzy: ciśnienie krwi wzrastało z sekundy na sekundę, tętno Briana podobnie, zresztą moje chyba w niczym mu nie ustępowało. Przez głowę przemknęła mi szybka refleksja: to się wyda, a pismaki zrobią z nas morderców, którzy próbowali uśmiercić pacjenta hospicjum.

– Co tu się dzieje? – Nagle dobiegł nas kobiecy głos od drzwi, z ulgą wypuściłem powietrze. Siostra Torres! Byliśmy ocaleni...

* * *

– On się obudził! Proszę to wyjąć! – wrzasnęłam, od razu przytomnie się odsuwając. Gdyby nie to, tęga pielęgniarka z pewnością by mnie staranowała.

– Proszę, ratujcie go!

– Co jest?! – Doktor Powell dopadł do łóżka Briana jeszcze szybciej niż jego współpracownica.

– Budzi się! Musimy go odintubować! – odpowiedziała.

Oboje krzyczeli na zmianę, szarpali się z Brianem. Nasza ulubiona pielęgniarka, przemiła siostra Helena, choć wysoka i potężna, miała poważny kłopot z utrzymaniem rąk Briana tak, żeby lekarz mógł mu pomóc. Nie wiadomo kiedy Leo odciągnął mnie od łóżka, a teraz pomagał im opanować sytuację.

– Boże! – jęknęłam, zakrywając usta dłonią.

Nie mogłam na to patrzeć, zamknęłam oczy, ale i tak nie odgradziłam się od tej sytuacji. Słyszałam wszystko: najgorsze było charczenie, które wydobywało się z gardła Briana i jego jęki bólu. Uchyliłam powieki, bo do sali wpadła jeszcze jedna pielęgniarka. Doktor Powell polecił jej, żeby coś wyjęła z szafki stojącej pod ścianą. Jak przez mgłę skonstatowałam, że minęło zaledwie kilka sekund i wstrzyknęła do wenflonu pełną strzykawkę jakiegoś płynu.

Cała trójka personelu gorączkowo wymieniała między sobą fachowe uwagi, manipulowali przy naszym przyjacielu, próbowali mu pomóc, a mnie pozostało tylko biernie się przyglądać i modlić, żeby Brian przeżył te zabiegi. Na szczęście Leo już chyba nie był im potrzebny, bo podszedł do mnie i mocno

przytulił.

– Będzie dobrze – powiedział. – Będzie dobrze. Popatrz, już z nim lepiej. – Wskazał brodą na monitor. – Wyjęli! – sapnął z wyraźną ulgą.

Razem obserwowaliśmy Briana, który usilnie próbował się podnieść na przedramionach mimo wyraźnego sprzeciwu doktora Powella. W końcu się poddał. Leżał, rozglądając się jeszcze niezbyt przytomnym wzrokiem i pokaszując. Siostra Torres wpatrywała się w monitor, jej koleżanka znowu operowała przy wenflonie, podłączyła kolejną kroplówkę, a doktor był chyba jeszcze bardziej zaskoczony niż my. Zwłaszcza fizyczną formą Briana. Biedak, skąd mógł wiedzieć, że o ciało pacjenta dbała najlepsza uzdrowicielka na świecie?

– Jak się pan nazywa? – spytał, nachylając się nad nim.

– E...

Chyba na chwilę nasze serca, moje i Leo, przestały bić, gdy Brian nagle wypowiedział swoje imię i nazwisko, których używał w poprzednim wcieleniu.

– *Jezu, coś mu się stało z głową! Zaraz będzie katastrofa!* – jęknęłam bezgłośnie do Leo. Niestety, jedyne, co mógł zrobić, to jeszcze mocniej mnie uścisnąć. Był tak samo przerażony jak ja.

– Proszę pomyśleć – poprosił łagodnym głosem doktor Powell. – Jak ma pan na imię?

– Edmund. Edmund Lidz – powtórzył Brian. – Jestem lekarzem.

– Wiem, jest pan lekarzem. Zgadza się – potaknął jego kolega po fachu.

– Co to za miejsce? Gdzie jestem? Co się stało?

– Jesteśmy w Londynie. W klinice neurologicznej przy Queen Square. Leży pan na oddziale opieki paliatywnej i właśnie wybudził się ze śpiączki.

– Rozumiem. – Brian pokiwał głową.

– To jak się pan nazywa? Ile ma pan lat? – Lekarz się nie poddawał.

Znów westchnęłam. Co robić?

– Edmund Lidz.

– Proszę pomyśleć, panie Bailey. – Z pewnością doktor Powell chciał ułatwić Brianowi prawidłową odpowiedź i zwrócił się do niego po nazwisku.

– Nazywam się Lidz! Proszę się odsunąć! – warknął Brian, który chyba też już stracił cierpliwość, zupełnie jak ja. – Chcę usiąść.

Lekarz posłusznie zrobił krok do tyłu. Zauważyłam, że zerknął znacząco na siostrę Helenę, która od razu stanęła u jego boku w pełnej gotowości. Brian

usiadł bez większego trudu, zupełnie jak zdrowy człowiek, który budzi się rano po dobrze przespanej nocy. Rozejrzał się na boki i wreszcie jego wzrok spoczął na mnie i na Leo.

– Nazywam się Edmund Lidz. Jestem lekarzem, neurologiem. Pracuję w Bostonie w Boston City Hospital, jestem tam ordynatorem. Proszę zadzwonić i spytać, moi koledzy potwierdzą – powiedział, patrząc na nas z nadzieją, że choć my uwierzmy w jego słowa.

Sprawy przybierały coraz bardziej niekorzystny obrót. Obawiałam się, że jeśli doktor Powell kiedykolwiek czytał jakąś pracę Briana o amnezji dysocjacyjnej i zapamiętał nazwisko Lidz oraz, nie daj Boże, widział jego zdjęcie z poprzedniego wcielenia, wydarzy się coś, czego nie będziemy mogli już nigdy odwrócić. Prawdopodobieństwo takiej sytuacji było spore, bo przecież Powell był neurologiem, a ja wiedziałam, że metody Lidza stosowano w leczeniu do dzisiaj. Postanowiłam zaryzykować.

– *Brian, to ja, Anna. Nie poznajesz mnie?* – przekazałam mu, spoglądając wprost w jego oczy. – *Jestem twoją przyjaciółką, a mężczyzna obok to Leo Black. Jesteśmy twoimi znajomymi. Nazywasz się Brian Bailey. Spróbuj sobie przypomnieć, proszę!* – Zagryzłam bezradnie wargi. – *Nie mów im, że nazywasz się Edmund Lidz. Nie wolno ci tak mówić, bo wydarzy się straszne nieszczęście. Zaufaj mi.* – Patrzyłam błagalnie. – *Pomożemy ci stąd wyjść, ale musisz mnie posłuchać.*

Chyba mnie usłyszał, bo wziął głęboki wdech i kilka razy potrząsnął głową, jakby chciał wytrzepać z niej myśli i mój głos. Szybko przekazałam Leo w taki sam sposób, co powiedziałam Brianowi i o co go poprosiłam. Dyskretnie mruknął, że zrozumiał.

– Lidz Edmund? – Nagle doktor Powell przerwał naszą bezgłośną pogawędkę. – Kojarzę, rzeczywiście kiedyś czytałem jakąś pracę pana doktora. – Uśmiechnął się i krzepiąco poklepał Briana po ramieniu. – Świetnie, świetnie. Siostró, mamy przyjemność gościć na oddziale prawdziwą sławę medyczną. – Znów zerknął na swoją koleżankę, tę od zastrzyków. – Doktor Lidz powinien odpocząć. Podamy panu jakieś witaminy, musi się pan wzmocnić – chrząknął znacząco.

– *Myśli, że Brian ma amnezję albo zwariował, albo i to, i to. Pewnie dadzą mu coś na uspokojenie lub znów go uspią, jakby nie dość długo był nieprzytomny* – zasugerowałam Leo, załamując ręce.

– Uhm – burknął w odpowiedzi.

– *Dadzą ci specjalne lekarstwo. Nie bój się, to nic groźnego. Po prostu troszkę będziesz senny.* – Chciałam nieco uspokoić mojego ledwie co odzyskanego dla świata żywych przyjaciela.

Mimo wszystko to było znacznie lepsze rozwiązanie. Gdyby ktoś, chociażby Powell, odkrył to dziwne powiązanie między Brianem a jego wcieleniem z poprzedniego życia, byłaby totalna katastrofa, nie wiadomo z jakimi konsekwencjami. Trzeba było temu zapobiec wszelkimi sposobami. Najważniejsze, że Brian żył, a o resztę postanowiłam martwić się później. Na pewno Kris i Dalila coś wymyślą, pocieszałam się.

– Zabieramy pana na inny oddział – stwierdził Powell.

Pielęgniarki wywiozły Briana, a my zostaliśmy, bo doktor chciał z nami porozmawiać. Byłam tak szczęśliwa, że połowa informacji do mnie nie dotarła. Powell zaproponował, żebyśmy wrócili do domu, ale się nie zgodziłam. Wolałam być blisko Briana, tym bardziej że rano o ósmej miał do nas przyjść Elfman, żeby ostatni raz go zbadać. Nagle poczułam, że tylko jemu w pełni ufam. Może dlatego, że był taki skrupulatny i uważny podczas tych wszystkich skomplikowanych procedur, którym poddawał mojego przyjaciela?

– Dokąd zabrali Briana? – spytałam Leo, gdy już wróciłam z łazienki po ożywym prysznicu. Przydał się, bo spociłam się jak mysz w czasie ostatnich dwóch godzin.

– Na oddział wzmożonego nadzoru medycznego – wyjaśnił. – Chodź tu. – Klepnął miejsce na kanapie tuż obok siebie. – Jak się czujesz?

– Dobrze – odpowiedziałam. Usiadłam i mocno się do niego przytuliłam. – Jestem niewiarygodnie szczęśliwa. – Zagryzłam wargi i popatrzyłam na niego, mając nadzieję, że czuje się podobnie.

– Ja też. – Pocałował mnie lekko w czoło. – Nawet nie wiesz, jak bardzo. Gdy się kąpałaś, zadzwoniłem do Krisa i Dalili, zamierzają tu jutro przyjechać. Powinni być przed południem.

– Dobry pomysł – wymruczałam, wtulona w bezpieczne ramiona mojego ukochanego Wędrowca.

– Był tu na chwilę Powell.

– Tak? Po co? – Od razu lekko się odsunęłam, a moje serce niepokojąco przyspieszyło.

– Spokojnie. Wszystko pod kontrolą. Przyszedł pokazać wyniki jakiegoś testu. Skala Glasgow? – Leo zmarszczył czoło. – Chodzi o poziom świadomości. Ponoć Brian ma zaskakująco dobre wyniki. Mówił też, że

powiadomił Elfmana i lekarzy z komisji, która miała jutro kwalifikować Briana jako dawcę. Odwołali zespół transplantacyjny. Tyle wiem. Powell był tu może trzy minuty. – Zerknął na naścienny zegar.

– Mówił coś o amnezji? – dopytywałam, bo teraz, gdy Brian już wrócił do żywych, męczyła mnie tylko ta kwestia.

– Tak. Stwierdził, że to normalne u ludzi, którzy byli w śpiączce. Określił ten stan jako przejściowy i powiedział, że z naszą pomocą, czyli bliskich, jego pamięć powinna się unormować. Najważniejsze, że Brian reaguje prawidłowo, a co do jego wspomnień, ja też jestem dziwnie spokojny. Nie bój się, Wilczku, przypomnimy Brianowi wszystko. No może prawie wszystko – zaśmiał się cicho Leo. – Waszą wycieczkę do Zakopanego raczej sobie podarujemy. Co ty na to?

– Mój ty zazdrośniku. – Puściłam mu oczko. – Boże, jak się cieszę – westchnęłam, jeszcze mocniej przytulając się do Leo. – Pierwszy raz od tygodnia czuję się śpiąca. Gdy już zasnę, będę spać całą dobę. – Parsknęłam śmiechem.

– Śpij. – Leo pogłaskał mnie uspokajająco po głowie. – Byłaś bardzo dzielna. To ty go uratowałaś, dzięki twojemu uporowi Brian żyje – mruknął, kiwając głową.

– Tak myślisz? – spytałam, ziewając przy tym jak hipopotam.

– Tak myślę. I powiem jeszcze jedno: Brian też to wie.

– Może... – sapnęłam, będąc już na granicy między jawą a snem. – Leo...

– Tak?

– Zaniesiesz mnie do łóżka?

– Owszem.

– Jesteś kochany...

Czułam, jak podnosi mnie bez trudu, zupełnie jakbym nic nie ważyła, i po kilku sekundach układa delikatnie na materacu, a potem równie ostrożnie przykrywa kołdrą. Musiało być już blisko poranka, bo mimo zamkniętych okien coraz wyraźniej słyszałam szum przejeżdżających samochodów. Ułożyłam się wygodnie i wtuliłam w ramiona Leo. Myśli leniwie przepływały przez moją głowę, dzisiejsze wydarzenia mieszały się ze wspomnieniami, przenikając przez siebie jak farby na palecie.

Widziałam na przemian Briana leżącego tu jeszcze niedawno, podpiętego do tych wszystkich strasznych kabelków i kroplówek, martwego i tak bardzo odległego, a za moment słyszałam jego śpiew, gdy jechaliśmy razem do

Morskiego Oka. Znow pojawił się obraz, gdy zobaczyłam go w samej bieliźnie, a potem jego klatka piersiowa unosząca się energią pompy tłoczącej weń powietrze i ten sam tors, to samo serce i płuca napędzane już własnymi siłami.

Zanim odpłynęłam, nagle uświadomiłam sobie, że coś się zmieniło. Niestety, nie zdążyłam pomyśleć co. Senne majaki pochłonięły mnie, nie dając szansy na odpowiedź...

Otworzyłam oczy. Promienie słońca nieśmiało wpadały przez okno. Miałam ochotę wstać, otworzyć je i pierwszy raz od niepamiętnych czasów odetchnąć pełną piersią. Wyplątałam się z pościeli, nieco zaniepokojona tym, że mój ukochany gdzieś się zdematerializował. Na szczęście od razu zauważyłam małą karteczkę leżącą na poduszce.

– Też chciałam iść do Briana – jęknęłam z zawodem. – *Cześć, kochanie. Mogłeś mnie obudzić* – przekazałam Leo. – *Odświeżę się i zaraz was odnajdę. Czeka tam na mnie!*

Szybko popędziłam do naszej maleńkiej łazieneczki. Błyskawicznie umyłam zęby, szast-prast – pizama wylądowała na posadzce. Wskoczyłam do kabiny. Jeszcze na dobre nie zaczęłam, a już stałam przed umywalką. Z emocji aż trzęsły mi się ręce. Nie mogłam znaleźć szczotki do włosów! I zapomniałam zabrać ubrania na zmianę?

Wybiegłam z łazienki, z trudem wyszukałam w przepastnej torbie ostatnią czystą bluzkę i pędem wróciłam, sarkając, że niepotrzebnie umyłam włosy. Zerknęłam do lustra. Zamierałam jakoś ułożyć je palcami, gdy nagle mój wzrok padł na znamię. Zastygłam z rękami uniesionymi do góry.

– Boże... – wymamrotałam.

Opuściłam ręce. Zbliżyłam się i z niedowierzaniem patrzyłam na znak Eperu. Z pewnością przybrał swój właściwy kolor. Rozejrzałam się bezradnie, jakbym chciała gdzieś na łazienkowej glazurze znaleźć wytłumaczenie tej zagadki. Znow wlepiłam oczy w lustro. Dla pewności zapaliłam nad nim dodatkową lampkę. Nie miałam wątpliwości. Znamię wyglądało tak jak kiedyś: ciemnomalinowa ósemka odcinała się od bladej skóry ostrym kontrastem.

Dopiero teraz zaczęłam naprawdę solidnie dygotać z wrażenia. Ledwie mi się udało zapiąć klamerkę biustonosza. Rozwazałam, co zrobić? Czy

natychmiast przekazać tę radosną wiadomość Leo, czy lepiej poczekać i sprawdzić za jakiś czas, żeby się upewnić? Nagle usłyszałam cichy dźwięk otwieranych drzwi do naszego szpitalnego mieszkania. Od razu odruchowo narzuciłam na siebie ręcznik.

– Kto tam? – krzyknęłam.

– To ja – dobiegł mnie głos Leo. – Gdzie jesteś?

– W łazience, chodź tu szybko! – zawołałam go.

– Hej, kochanie. – Wszedł do środka.

– Popatrz! – pisnęłam, odsłaniając znamię. Byłam rozemocjonowana. Chyba nawet podskoczyłam raz, zupełnie jak mała dziewczynka albo Wiki, gdy coś ją ucieszyło. – Naprawiło się! Widzisz?

– Rzeczywiście. – Jego oczy od razu pojaśniały.

– Boże, nawet nie wiesz, jaka ulga... – wysapałam, rzucając mu się na szyję.

– Teraz mogę ci już powiedzieć. Choć nie mam znamienia, o twoje strasznie się martwiłem – przyznał, przytulając mnie.

– Może też je usunę? – zażartowałam. – Przynajmniej nie będę miała okazji do obaw przy jakimś kolejnym wybryku.

– Ani się waż – zaprotestował cicho i jeszcze mocniej mnie przycisnął.

– Ojej, nie znasz się na żartach – burknęłam.

Czułam się wspaniale w jego ramionach i ze świadomością, że z moim znakiem Eperu wszystko jest w porządku, ale przecież mieliśmy coś do zrobienia. Delikatnie wysunęłam się z objęć Leo i spytałam, czemu na mnie nie poczekał.

– Kochanie... – zagryzł dolną wargę – muszę ci coś powiedzieć.

Epilog

– Jack! Cóż za niespodzianka. – Uśmiechnęłam się promiennie.

– Świetnie wyglądasz. – Podszedł i przez moment badawczo mi się przyglądał. – Mogę? – spytał, nachylając się i unosząc do góry włosy nad moim uchem.

– Ależ proszę. – Byłam ciekawa, co powie o pracy jednego z najlepszych amerykańskich chirurgów plastycznych. – Jeszcze świeże.

Jack pozaglądał tu i ówdzie, obejrzał mój nos pod każdym możliwym kątem, naciągnął skórę na czole i lekko uszczypnął prawy policzek. Nawet piegi zauważył, choć były naprawdę delikatnie zrobione.

– No, no, pięknie – ocenił całość. – A oczy?

– Tatuaż. Nie byłam przekonana do kolorowych soczewek. To zbyt oczywiste rozwiązanie. A jak oceniasz implanty? – Pomasowałam się po kościach policzkowych. – Nie nazbyt wulgarne?

– Moim zdaniem majstersztyk – odparł. – A co z liniami papilarnymi?

– No cóż, ostrożna kobieta powinna zważać, czego dotyka gołą ręką – skwitowałam, wierzchem dłoni muskając podbródek Jacka.

– Cóż, cięty jęczyzek pozostał. To się nie zmieniło.

– Owszem – stwierdziłam, poprawiając fryzurę.

Choć już miesiąc minął od dnia, w którym moje długie blond włosy zmieniły się w miedzianorudego pazia, ciągle nie potrafiłam się przyzwyczaić. Wstawałam rano, szłam do łazienki i ze zdziwieniem witałam swoje odbicie w lustrze. Ciężko przywyknąć do tak drastycznej zmiany po kilkuset latach noszenia płowego warkocza.

– Drinka? – zaproponowałam.

– Chętnie. – Mój gość potaknął, rozglądając się po niewielkim pokoju. – Nie bałaś się? Cokolwiek by mówić, Maui to dosyć przeludnione miejsce – orzekł, sadowiąc się na łóżku.

– Najciemniej pod latarnią – odparłam.

– Racja.

– Proszę. – Podałam Jackowi kieliszek z niezbyt profesjonalnie przyrządzoną havaną.

Nie miałam świeżych owoców, zresztą nawet gdyby mi się chciało zająć po nie na okoliczny targ, i tak nie bawiło mnie wyciskanie cytrynowego soku czy papranie się z ananasem.

Pociągnął pierwszy łyk i z dezaprobatą pokręcił głową.

– Ciepłe.

– Nie narzekaj – zachichotałam. – Lodówka się zepsuła.

– Nie mogłaś znaleźć lepszej kwatery?

– Ta jest dobra. – Wzruszyłam ramionami.

Nie zależało mi na luksusach. Cichy pokój z łazienką i aneksem kuchennym lśnił czystością. Wystarczy. Codziennie szłam na plażę i ukryta pod parasolem spędzałam długie godziny, rozkoszując się wolnością. Nie przeszkadzały mi hałasy i krzyki innych turystów. Gdy ktoś próbował zagadać, odpowiadałam po norwesku albo łamaną angielszczyzną, że nie rozumiem.

– Wygodne – ocenił Jack i klepnął materac.

– Ale wąskie – odparłam, choć już poczułam to charakterystyczne mrowienie w dole brzucha.

Uniosłam się i przeciągnęłam fotel tak, żeby siedząc, móc położyć nogi na brzegu łóżka.

– Co u naszych gołębaczków? – spytałam.

– Kręcą film.

Jack zaczął masować moje stopy. Przymknęłam oczy, to było naprawdę przyjemne. Musiałam przyznać, że miał wyjątkowo sprawne palce.

– Serio? Mówiłeś, że masz dla mnie niespodziankę – wymruczałam.

Byłam prawie pewna, że potwierdzi moje przypuszczenia co do odnalezienia Księgi. Co innego mogło być równie ważne i sprawić, żeby Jack odwiedził mnie osobiście? Swoją drogą, ciekawe gdzie się podziewał przez cały ten czas? Przecież ślad po nim zaginął zaraz po wyjeździe z Leo do Kanady.

– A ty mówiłaś coś o nagrodzie. Zapomniałaś? To przecież było niecały rok temu – zakpił Jack.

– Od kiedy zrobiłeś się taki małostkowy? – Uniosłam powieki i popatrzyłam na niego.

– Od kiedy panią poznałem, pani Hattestad. – Zaśmiał się, pociągając mnie ku sobie i stawiając między rozchyłonymi kolanami.

– Poczekaj, a co z Brianem? – Wbiłam paznokiec w jego tors. – Jakies informacje?

– Wypisał się na własne żądanie i przepadł. Na razie.

– Mówiłeś, że stracił pamięć, więc jak mogli go wypisać?

– Owszem. Stracił, ale ponoć to było chwilowe. W dniu, w którym opuścił oddział, zbadali go, wy pytali o wszystko: adres, datę urodzenia, dane z prawa jazdy i tak dalej. Brian odpowiedział prawidłowo, więc nie mieli podstaw, żeby go dłużej trzymać. Był pewien problem, bo oprócz dokumentów i pieniędzy nic nie miał: ubrania, butów, telefonu komórkowego, ale stwierdził, że sobie poradzi, i opuścił oddział w lekarskich ciuchach, które mu pożyczyli.

– A to dowcipniś! A co z Anną i Leo? Przecież byli tam.

– Lekarze mówili, że są w tym samym budynku, że rodzina czeka na niego, ale nie zgodził się, żeby ich poinformować, zanim opuści oddział. Rzekomo bardzo się zdenerwował tą propozycją, więc go posłuchali – wyjaśnił Jack.

– Pięknie! Uciekł nam łobuz – sarknęłam. – No to teraz szukaj wiatru w polu. Pewnie już ma nowe papiery. Jak sądzisz, miał amnezję czy nie?

– Nie mam pojęcia. Mógł udawać, przecież leczył setki takich ludzi. Widział, jak wyglądają, jak się zachowują, co mówią.

– Moim zdaniem nie miał, skoro odpowiedział na wszystkie pytania dotyczące jego danych osobowych – spekulowałam.

– Równie dobrze mógł opuścić ciało, polecieć i zobaczyć, co widnieje na karcie pacjenta – spekulował Jack.

– Ale wtedy musiałby pamiętać, kim jest i że jako Wędrowiec może tak zrobić – zaśmiałam się.

– Hm... Może zostawmy te dywagacje na później – mruknął Jack, przewracając mnie na łóżko.

Szybko pozbyliśmy się ciuchów. Sprawnie poszło, bo nie było ich wiele. W maju na Maui zazwyczaj jest ciepło, choć nieco zbyt parnie. Ułożyłam się na wznak, Jack zawisł nade mną. Jemu też dokuczał brak klimatyzacji. Z kosmyka włosów skapnęła kropelka potu.

– Co to? – Lekko trąciłam plasterek na szyi.

– Zaciąłem się przy goleniu.

– Niezgrabiasz – zachichotałam.

– Bez obaw, gdy trzeba, potrafię wykonywać skoordynowane ruchy...

¹ William Wordsworth *Była upojnym przywidzeniem*, przełożył Stanisław Barańczak.



Augusta Docher o sobie:
*Mama, żona, córka i siostra.
Plastyczka, księgowa, manicurzystka
i pisarka.
Ogrodnik, kura domowa
i bizneswoman.
Polka, Ślązaczka.
Tradycjonalistka modyfikowana.
Ale przede wszystkim kobieta z krwi i kości.*

Anna budzi się uwięziona w sterylnym pomieszczeniu. Nie wie, gdzie się znajduje i z jakiego powodu jest przetrzymywana. Wie tylko, że uwięziła ją osoba, której ufała – jej nauczycielka Dorothy. Okazuje się ona jedną z plemienia Habbatum, wrogiego wobec ludzi spod znaku Eperu, takich jak Anna i jej ukochany Leo. Dorothy prowadzi skomplikowaną grę i jest podstępna, zdolna do wszystkiego przeciwniczką. Ma swoje porachunki z Leo. Życie Anny narażone jest na niebezpieczeństwo. Czy uda jej się wydostać? Co zrobi Leo, by ją uratować? Czy ich miłość pokona przeszkody? I kim jest Brian? Okaże się wrogiem czy sprzymierzeńcem? Pełna przygód, emocji i niespodziewanych zwrotów akcji opowieść o sile miłości i przeznaczenia.

*Habbatum to druga część cyklu „Wędrowcy”.
Dalsze losy bohaterów w książce Batawe.*

Patronat medialny:



www.wydawnictwobis.com.pl

